



Marian Keyes

OSTATNIA SZANSA

*Dzień wczorajszy to tylko sen,
A jutrzejszy — zaledwie wizja:
Lecz dobrze przeżyty dzień dzisiejszy
Zmienia każde wczoraj w szczęśliwy sen,
A każde jutro w wizję nadziei.
Dlatego zadbaj o ten dzień.*

Przysłowie staroindyjskie

1

W restauracji z chromu i szkła na Camden chuda recepcjonistka przejechała fioletowym paznokciem po książce rezerwacji i mruknęła:

— Casey, Casey, gdzie się podziałas? O jest, stolik dwanaście. Przyszła pani...

— Pierwsza! — skończyła za nią Katherine. Nie potrafiła ukryć rozczarowania, gdyż zmusiła się, wbrew każdej komórce swojego ciała, do pięciominutowego spóźnienia.

— Zodiakalna Panna? — Fioletowe Paznokcie święcie wierzyła w astrologię. Gdy Katherine kiwnęła głową, dziewczyna dodała: — Patologiczna punktualność to pani przeznaczenie. Lepiej się z tym pogodzić.

Kelner o imieniu Darius, z dreadami związanymi w kok à la Hepburn, skierował Katherine do stolika. Usiadła, skrzyżowała nogi i odgarnęła polakierowane, obcięte na pazia włosy. Miała nadzieję, że wygląda na pewną siebie i odprężoną. Potem udawała, że czyta menu. Żałowała, że nie pali, i przysięgała sobie w myślach, że następnym razem spróbuje się spóźnić dziesięć minut.

Może, jak to często sugerowała jej Tara, powinna zacząć chodzić na spotkania anonimowych obsesjonistów.

Chwilę później, stukając obcasami o bielone bukowe klepki, pojawiła się Tara, nietypowo o czasie. Miała na sobie asymetryczną sukienkę, która aż lśniła nowością, ociekała pieniędzmi i, niestety, nieco zbyt mocno ją obciskała. Za to buty prezentowały się całkiem nieźle.

— Przepraszam za brak spóźnienia — oznajmiła. — Wiem, że lubisz mieć nade mną moralną przewagę, ale ruch samochodowy sprzysiął się przeciwko mnie.

— Nic już na to nie poradzimy — oświadczyła grobowym głosem Katherine. — Oby takie zachowanie nie weszło ci w krew. Wszystkiego najlepszego.

— Co może być najlepszego w dniu urodzin? — spytała opryskliwie Tara. — Jak ty się czułaś na swoich trzydziestych pierwszych urodzinach?

— Zamówiłam dziesięć zabiegów niechirurgicznego liftingu twarzy — wyznała Katherine. — Ale nie przejmuj się, wyglądasz najwyżej na trzydzieści lat. No, może na trzydzieści i parę dni.

Przygłopotował Darius, żeby przyjąć zamówienie Katherine. Na widok Tary przez jego twarz przemknął cień niepokoju. Tylko nie ona, pomyślał, ze stoickim spokojem przygotowując się na wiele godzin pracy.

— Wino? — spytała Tara. — Czy coś mocniejszego?

— Gin z tonikiem.

— Dwa razy. No dobra. — Tara radośnie zatarła ręce. — Gdzie moja książeczka do kolorowania i kredki?

Tara i Katherine przyjaźniły się od czwartego roku życia, a Tara miała zdrowy szacunek do tradycji.

Katherine popchnęła ku niej kolorową paczkę, z której Tara natychmiast zdarła papier.

— Coś od Avedy! — wykrzyknęła z zachwytem.

— Produkty Avedy to książeczki do kolorowania i kredki trzydziestoparolatek — zauważyła Katherine.

— Czasem tęsknię za książeczkami i kredkami — mruknęła z zadumą Tara.

— Nie martw się. Moja matka ciągle ci je kupuje na każde urodziny.

Tara spojrzała na nią z nadzieją.

— W innym wymiarze — dodała pośpiesznie Katherine.

— Fantastycznie wyglądasz. — Tara zapaliła papierosa i z zazdrością popatrzyła na bordowe spodnie od Karen Millen.

— Ty też.

— Trata tata.

— Poważnie. Podoba mi się twoja sukienka.

— Urodzinowy prezent dla samej siebie. Wiesz co? Nie cierpię sklepów, w których lustra wiszą pod takim kątem, że wyglądam szczupło i wiotko. Jak żalosna idiotka zawsze zakładam, że to ze względu na świetny krój ubrania, więc warto zapłacić za sukienkę równowartość długu małego południowoamerykańskiego kraju. — Tara urwała, żeby zaciągnąć się aż do pępka. — A potem ląduję w domu przed zwyczajnym lustrem i wyglądam jak maciora w sukience.

— Nie wyglądasz jak maciora.

— Wyglądam. Nie chcieli mi oddać pieniędzy, bo z sukienką wszystko było w porządku. Powiedziałam, że nic nie jest z nią w porządku, bo przypominam w niej maciorę. A oni, że to się nie liczy. Trzeba czegoś w rodzaju zepsutego suwaka. W sumie mogę ją nosić, skoro niemal przekroczyłam limit na koncie, żeby ją kupić.

— I tak już wcześniej niemal przekroczyłaś limit.

— Nie, nie — zaprzeczyła gorąco Tara. — Tylko oficjalny limit. Prawdziwy to jakieś dwieście funtów więcej niż ten, który mi przyznano. Przecież wiesz!

— Jasne — westchnęła Katherine. Tara podniosła menu.

— Patrz — stwierdziła z cierpieniem w głosie. — Wszystko jest takie pyszne. Boże, daj mi siłę, bym nie zamówiła przekąski. Chociaż jestem taka głodna, że mogłabym pożreć konia z kopytami!

— Jak tam dieta „jem wszystko”? — spytała Katherine, chociaż mogła się domyślić odpowiedzi.

— Już po diecie. — Tara wydawała się zawstydzona.

— Jaka szkoda — pożałowała ją Katherine.

— Właśnie. — Tarze najwyraźniej ulżyło. — Jaka szkoda. Thomas się wściekł, znasz go. Ale sama rozumiesz: powiedzieć takiemu żarłokowi jak ja, że wszystko jest dozwolone? Przepis na katastrofę.

Katherine wydawała z siebie współczujące pomruki, jak przez ostatnie piętnaście lat, kiedy Tara miała problemy z wagą. Katherine mogła jeść, co tylko chciała, a to dlatego, że nie chciała. Jej atrakcyjna powierzchowność świadczyła o tym, że taka kobieta nie musi z niczym walczyć. Chłodne szare oczy pod gładką ciemną grzywką patrzyły surowo i oceniająco. Wiedziała o tym. Dużo ćwiczyła w samotności.

Następnie pojawił się Fintan. Jego przejście przez restaurację obserwował personel i większość klientów. Fintan był wysoki, potężny i przystojny. Ciemne włosy zaczesał do tyłu, a jego jaskrawofioletowy garnitur miał na obu rękawach dziurki, przez które lśniła i błyskała przeraźliwie zielona koszula. Na klapach marynarki mógłby wylądować samolot. Dyskretny szmer: „Kto to?”, „To jakiś aktor” i: „Albo model...” zaszeleścił jak jesienne liście, a czynnik dobrego samopoczucia wśród piątkowych imprezowiczów wyraźnie wzrósł. No tak, myśleli wszyscy, to ci dopiero stylowy mężczyzna. Fintan zauważył Tarę i Katherine, wpatrzony w niego z pobłażliwym rozbawieniem, i uśmiechnął się do nich szeroko. W restauracji od razu pojaśniało.

— Daje po oczach. — Katherine wskazała głową jego garnitur.

— A jak, sznowne towarzyszo — odparł Fintan, bez powodzenia naśladowując cockney. Nie potrafił ukryć akcentu z hrabstwa Clare.

Nie zawsze tak było. Kiedy pojawił się w Londynie dwanaście lat wcześniej, po ucieczce z prowincji, z zapalem przystąpił do tworzenia się na nowo. Zaczął od akcentu. Tara i Katherine bezradnie obserwowały, jak Fintan przyprawia swoje wypowiedzi afektowanymi: „Ooooz, ja cię kręcę!”, „Miau!” i wciąż papie o tym, jak to tańczył z Boyem George'em w Taboo.

Jednak mniej więcej przed dwoma laty powrócił do irlandzkiego akcentu. Z kilkoma modyfikacjami. W jego branży, czyli świecie mody, akcenty były akceptowane, wręcz na topie. Ludzie uważali je za czarujące, wystarczy przypomnieć „Bywojcie, kumowie Brytole” J.P. Gaultiera. Fintan zdawał sobie jednak sprawę, że ludzie muszą go także rozumieć. Obecnie mówił z irlandzkim akcentem, ale w wersji light. Te dwanaście lat również nieco zurbanizowało akcent Tary i Katherine.

— Wszystkiego najlepszego — powiedział Fintan do Tary. Nie pocałowali się. Chociaż Tara, Katherine i Fintan całowali niemal wszystkich, z którymi się spotykali na gruncie towarzyskim, nie praktykowali tego między sobą. Dorastali wspólnie w miasteczku, w którym niespecjalnie okazywano sobie uczucia. Gra wstępna w wykonaniu mężczyzny z Knockavoy to tekst: „Gotuj się, kwiatuszku”. Tak czy owak, nie powstrzymało to Fintana przed próbami wprowadzenia kontynentalnego zwyczaju — dwukrotnego cmokania się w policzki — na początku ich pobytu w Londynie, w mieszkaniu na Willesden Green. Chciał nawet, żeby tak się witali po powrocie z pracy. Napotkał jednak zdecydowany opór, który mocno go rozczarował. Wszyscy jego nowi gejoscy koledzy ściskali się namiętnie, dlatego on nie mógł?

— Jak się masz? — spytała go Tara. — Wyglądasz, jakbyś trochę schudł, szczęściarzu. Jak tam beri-beri?

— Szaleje, odgrywa się na mnie, teraz doszło do szyi — westchnął Fintan. — A twój dur brzuszny?

— Udało mi się go pozbyć — odparła Tara. — Przeleżałam parę dni w łóżku. Wczoraj miałam łagodny atak wścieklizny, ale już mi lepiej.

— Takie dowcipy są po prostu głupie. — Katherine z niesmakiem potrząsnęła głową.

— Co ja poradzę na to, że wciąż czuję się chory? — zdenerwował się Fintan.

— Gdybyś nie katował się każdego wieczoru, rano czułbyś się o wiele lepiej — odparła prosto z mostu Katherine.

— Będzie ci przykro, kiedy się okaże, że mam AIDS — mruknął ponuro.

Katherine zbladła. Nawet Tara się wzdrygnęła.

— Wolałabym, żebyś tak nie żartował.

— Przepraszam — stwierdził pokornie Fintan. — Przeważenie sprawia, że gadam głupoty. Wczoraj spotkałem dawnego kumpla Sandra, wygląda jak więzień z Bergen-Belsen. Nawet nie wiedziałem, że jest seropozytywny. Lista ciągle wydłuża się i przeraża mnie jak cholera.

— O Boże — powiedziała cicho Tara.

— Ale ty nie masz się czego obawiać — wtrąciła rażno Katherine. — Uprawiasz bezpieczny seks i jesteś w stałym związku. Przy okazji, co tam u włoskiego kuca?

— Pieeenkny, pieeenkny chłop! — zadeklarował Fintan głośno i teatralnie. Inni goście znów na niego popatrzyli i pokiwali z satysfakcją głowami, że to faktycznie sławny aktor, jak podejrzewali od samego początku. — Sandro jest wspaniały — ciągnął Fintan normalnym głosem. — Nie mógłby być lepszy. Przekazuje ci życzenia, tę kartkę... — podał

Tarze — i przeprasza, ale teraz, kiedy rozmawiamy, ma na sobie zieloną suknię z tafty i tańczy do *Pokaż mi drogę do Amarillo*. Jest druhną na weselu Petera i Erica.

Fintan i Sandro chodzili ze sobą od lat. Sandro, chociaż Włoch, był jednak za mały, żeby załapać się do kategorii ogierów, dlatego został kucem. Pracował jako architekt i dzielił z Fintanem pełne przepychu mieszkanie w Notting Hill.

— Powiesz mi coś? — spytała ostrożnie Tara. — Czy ty i kuc kiedykolwiek się kłócicie?

— Kłócimy? — Fintan był oburzony. — Czy my się kiedykolwiek kłócimy? Co za pytanie. My się Kochamy.

— Przepraszam — wymamrotała Tara.

— Nigdy nie przestajemy się kłócić — ciągnął Fintan. — Rzucamy się sobie do gardeł rano, w południe i wieczorem.

— A więc za sobą szalejecie — powiedziała z tęsknotą w głosie Tara.

— Ujmijmy to w ten sposób: człowiek, który stworzył Sandra, odwalił kawał dobrej roboty. Ale właściwie czemu pytasz o kłótnie?

— Bez powodu. — Tara wręczyła mu małą paczuszkę. — To twój prezent dla mnie. Jesteś mi winien dwadzieścia funtów.

Fintan przyjął paczkę, przez chwilę podziwiał opakowanie, a następnie oddał ją Tarze.

— Wszystkiego najlepszego, laleczko. Jakie karty płatnicze przyjmujesz?

Tara i Katherine umówiły się z Fintanem, że każde z nich samo będzie kupowało sobie prezenty na urodziny i na gwiazdkę. Stało się to po dwudziestych pierwszych urodzinach Fintana, kiedy niemal zbankrutowały, kupując mu komplet dzieł Oscara Wilde'a. Przyjął prezent i wylewnie im podziękował, ale miał nieprzenikniony wyraz twarzy. Kilka godzin później, gdy impreza urodzinowa nabrała rumieńców, znalazły go łkającego i zwiniętego niczym embrion na podłodze w kuchni, między rozdeptanymi chipsami i pustymi puszkami.

— Książki — szlochał. — Pieprzone książki. Przykro mi, że jestem niewdzięczny, ale myślałem, że dostanę elastyczny podkoszulek od Johna Galliana.

Po tym wieczorze ustalili nowe zasady.

— Co ci kupiłem? — spytał Fintan.

Tara rozdarła papier i zademonstrowała im szminkę.

— To nie jest zwykła szminka — oznajmiła z przejęciem. — Ta naprawdę jest nieścieralna. Dziewczyna w sklepie powiedziała, że wytrzyma nawet atak nuklearny. Moje długie poszukiwania chyba dobiegły końca.

— Najwyższy czas — stwierdziła Katherine. — Ile podróbek ci wcisnęli?

— Za dużo — odparła Tara. — Obiecują cuda niewidy, ale za chwilę mam je na szklance albo na widelcu, jak zwykłą szminkę. Można się poryczeć!

Następna przybyła Liv, w płaszczu od Agnès b, za który daliby się posiekać. Miała świadomość marek, jak przystało na osobę, która zajmuje się wystrojem, choć tylko wewnątrz. Liv była Szwedką. Wysoką Szwedką, o mocnych kończynach, oszalałymi zębami i długimi do pasa, bardzo prostych i bardzo jasnych włosach. Mężczyźni często myśleli, że widzieli ją w filmie pornograficznym.

Pojawiła się w życiu Tary i Katherine pięć lat wcześniej, kiedy Fintan zamieszkał z Sandrem. Dały ogłoszenie, że szukają nowej współlokatorki, ale nikt się nie skusił na wynajęcie małego pokoiku. Nie miały też żadnej nadziei, że zdecyduje się na to ta Szwedka. Była zwyczajnie za duża. Jednak w chwili, w której Liv zorientowała się, że są Irlandkami — co więcej, Irlandkami z małego miasteczka — jej błękitne oczy pojaśniały, sięgnęła do torby i wręczyła im depozyt.

— Ale... — zaczęła ze zdumieniem Katherine. — Nie zapytałaś, czy mamy pralkę.

— To pestka. — Tara była wstrząśnięta. — Nawet nie wiesz, czy w pobliżu jest monopolowy.

— Nieważne — odparła Liv z lekkim akcentem. — Takie rzeczy nie są istotne.

— Skoro tak twierdzisz... — Tara już się zastanawiała, czy Liv zna jakichś Szwedów w Londynie. Opalonych, jasnowłosych olbrzymów, których będzie przyprowadzała i przedstawiała.

Jednakże kilka dni po przeprowadzce wyjaśniły się powody entuzjazmu Liv. Ku zaniepokojeniu i konsternacji Tary i Katherine spytała, czy mogłaby iść z nimi na mszę albo przyłączyć się do modlitwy różańcowej. Okazało się, że szuka sensu życia. Chwilowo osiadła na mieliźnie wśród skał psychoterapii i pokładała nadzieję w duchowym oświeceniu. Liczyła na to, że spłynie na nią katolicyzm dziewcząt.

— Przykro mi cię rozczarować — wyjaśniła jej delikatnie Katherine — ale odeszliśmy od katolicyzmu.

— Odeszliśmy! — wykrzyknęła Tara. — Co ty wygadujesz?!

Katherine wydawała się zdumiona. Jakoś nie dostrzegła u przyjaciółki oznak nowo rozbudzonej wiary.

— Odeszliśmy to za lekkie słowo! — dopracowała myśl Tara. — Lepiej pasowałyby odbiegłyśmy.

Liv jakoś przełknęła rozczarowanie. Choć spędzała zbyt dużo czasu na dyskusjach o reinkarnacji z hinduskim kioskarzem, pod wieloma względami była idealnie normalna. Dostawała groźne listy z banku, miała chłopaków, kace i szafę pełną ciuchów kupowanych z siedemdziesięcioprocentową zniżką na wyprzedazach i nigdy nie noszonych.

Dzieliła mieszkanie z Tarą i Katherine przez trzy i pół roku, aż w końcu postanowiła pozbyć się egzystencjalnego bólu i kupiła coś własnego. Jednak następne pół roku spędziła u Tary i Katherine, płacząc i powtarzając, jak bardzo czuje się samotna. Pewnie trwałoby to dłużej, gdyby Katherine i Tara nie wyprowadziły się z Willesden Green i poszły każda w swoją stronę.

2

— Będzie nas tylko czwórka? — Fintan wydawał się zdumiony.

Tara skinęła głową.

— Jestem zbyt słaba na dzikie imprezowanie. W tym smutnym dniu pragnę, by pocieszała mnie grupka oddanych przyjaciół.

— Właściwie to chciałem zapytać, gdzie Thomas? — W oczach Fintana pojawił się dziwny błysk.

— Och, miał ochotę na cichy wieczór. — Tara wydawała się lekko zawstydzona.

— Przecież to twoje urodziny! — rozległ się chór protestów. — A to twój chłopak.

— Nigdy się z nami nie spotyka — narzekał Fintan. — Ten zrzedliwy dziad mógłby się wysilić na twoje urodziny.

— Mnie to nie przeszkadza — upierała się Tara. — Zresztą jutro zabierze mnie do kina. Dajcie mu spokój. Przyznaję, że nie jest najłatwiejszym facetem na świecie, ale nie jest też zły, tylko emocjonalnie poraniony...

— Tak, tak, tak — przerwał Fintan. — Wiemy... Matka go porzuciła, kiedy miał siedem lat, więc to nie jego wina, że jest zrzedliwym dziadem. Mógłby cię jednak lepiej traktować. Zasłużyłaś na coś lepszego.

— Ale ja jestem szczęśliwa! — wykrzyknęła Tara. — Przysięgam na Boga. Twoja wizja mnie jest zbyt... zbyt... — Gorączkowo szukała właściwego słowa. — Zbyt ambitna. Przypominasz tych rodziców, którzy chcą, żeby ich dziecko zostało neurochirurgiem, podczas gdy ono nadaje się na śmieciarza. Kocham Thomasa.

Fintana zamurowało z frustracji. Miłość jest ślepa, nie miał co do tego wątpliwości. W wypadku Tary miłość była także głucha, niema, dyslektyczna, miała rwę kulszową i początki Alzheimerera.

— A Thomas kocha mnie — dodała stanowczo Tara. — Zanim zaczniecie mi powtarzać, że mogłabym trafić o wiele lepiej, pozwolę sobie przypomnieć, że to moja ostatnia szansa na znalezienie faceta. W swoim zniechęcającym trzydziestoletnim stanie pewnie już nigdy nie poderwę żadnego mężczyzny!

Liv wręczyła Tarze kartkę i prezent. Kartka była pokryta ręcznie malowanym jedwabiem, a prezent okazał się smukłym szklanym wazonem o kobaltowej barwie.

— Wspaniały. Jesteś stylowa aż do bólu! — wykrzyknęła Tara, ukrywając rozczarowanie, że to nie nowe serum antycellulitowe Clarinsa, o którym tak ostentacyjnie wspominała. — Dzięki!

— Państwo już zamawiają? — Darius pojawił się z długopisem w ręce.

— Chyba tak — wymamrotali. — Niech zacznie ktoś inny.

— No dobrze. — Tara uśmiechnęła się znad menu. — Poproszę marsa z patelni, z weetabixami, i cappuccino z pasternakiem.

Darius wpatrywał się w nią ponuro. Ostatnim razem mówiła to samo.

— Przepraszam — zachichotała. — Te dziwaczne kombinacje są trochę śmieszne.

Darius nadal patrzył na nią ciężkim wzrokiem.

— Proszę — mruknęła Katherine. — Zamawiaj.

— Przepraszam. — Tara odchrząknęła. — Dobrze, poproszę brulę z wołowiny z pesto z kolendry, buraka z curry i na deser czekoladowe purée.

— Tara! — wybuchnęła Katherine.

— Nie, wszystko w porządku — pośpiesznie zapewnił ją Fintan. — To naprawdę jest w menu.

— Och. — Katherine wbiła wzrok w podłogę. — Przepraszam. Dla mnie to samo.

Kiedy pojawiły się dania — każdy talerz bardziej wymyślny od poprzedniego — rozmowa zeszła na temat wieku. W końcu świętowali urodziny.

— Wbrew temu, co wszyscy mówią — upierała się Katherine — to nie zmarszczki mnie przygnębiają. To fakt, że przez ostatnie dziesięć lat moja twarz...

— Opadła — dopowiedziały chórem Tara i Liv. Już wiele razy tak się bawiły.

— Wiem dokładnie, o co ci chodzi. — Tara przejęła temat równie płynnie jak biegacz pałeczkę w sztafecie. — Jeśli przyjrzyjecie się mojemu zdjęciu z paszportu, które zrobiłam dziesięć lat temu, zobaczycie, że miałam usta niemal na czole, a teraz oczy mi opadły i są na brodzie. Jakiej brodzie? Wiem, co myślicie: skronie opadły mi prawie do talii.

— Mamy szczęście, że istnieją operacje plastyczne — stwierdziła Liv.

— Bo ja wiem — zamyślił się Fintan. — Moim zdaniem, starzenie się z godnością jest wspaniałe. Pozwólmy działać naturze. Starzejąca się twarz ma tyle charakteru.

Trzy kobiety popatrzyły na niego krzywo. Najwyraźniej nie potrafił sobie wyobrazić, jak to jest, kiedy uroda dosłownie ucieka od kobiety. Ale czego mogły się spodziewać? Fintan, chociaż gej, był jednak mężczyzną. O tak wysokim poziomie kolagenu, że uważał się za Dorianą Graya. Wystarczyło jednak poczekać dziesięć lat, a ciekawe, czy wtedy zechce wygłaszać brednie o starzeniu się z godnością. Będzie błagał o nóż chirurga plastycznego, pomyślały z gorzką satysfakcją.

— Starzejąca się twarz ma tyle charakteru — powtórzyła szyderczo Tara. — I to mówi facet, który niemal musiał zamienić mieszkanie na większe, żeby pomieścić kolekcję kosmetyków Clinique. Twojej łazience przydałby się kustosz. Mógłbyś otworzyć ją dla publiczności.

— Miao! — roześmiał się Fintan. (Niektóre zwroty przetrwały jego zmianę osobowości).

Następnie konwersacja nieuchronnie przeszła na tykanie biologicznego zegara.

— Chciałabym mieć dziecko — oświadczyła ze smutkiem Liv. — Nie cierpię zmuszać macicy do czekania.

— Nie! — zbeształa ją Tara. — Pragniesz satysfakcji, a dostaniesz same problemy.

— Nie martw się, to się nie stanie — westchnęła Liv. — Przynajmniej dopóki mój chłopak jest mężem innej. I mieszka w Szwecji.

— Przynajmniej masz chłopaka — stwierdził radośnie Fintan. — Nie to co nasza Katherine. Ile czasu upłynęło, Katherine, odkąd robiłaś nieprzyzwoite rzeczy? — Katherine uśmiechnęła się tajemniczo, a Fintan westchnął. — Co my mamy z tobą począć? Przecież dostajesz propozycje od seksownych panów.

Katherine ponownie się uśmiechnęła, tym razem z większym wysiłkiem.

— Wiecie, też chciałabym mieć dziecko — przyznał się Fintan. — To jedyny powód, dla którego żałuję, że jestem ciotą.

— Przecież możesz — pocieszyła go Tara. — Znajdź uczynną kobietę, umów się z nią na wypożyczenie macicy i już.

— Może i tak. A ty, Katherine?

— Nie — stwierdziła lakonicznie Katherine. — Nigdy nie będę miała dzieci.

Fintan wybuchnął śmiechem na widok niesmaku na jej twarzy.

— Miłość dobrego mężczyzny zmieni twoje nastawienie. Tara, a ty? Czy czujesz, jak twoja macica drży na myśl o noszeniu dziecięcia?

— Tak, nie... Sama nie wiem — zawahała się Tara. — Ale, bądźmy szczerzy, ledwie potrafię zadbać o siebie. Mycie, karmienie i ubieranie kogoś innego mogłoby mnie przerosnąć. Jestem zbyt niedojrzała.

— Popatrzcie tylko, co się stało z biedną Emmą. — Katherine pokiwała głową. Emma, dawna przyjaciółka, była najbardziej imprezową dziewczyną pod słońcem, dopóki nie urodziła dwójki dzieci, jednego po drugim. — Dawno, dawno temu, była cudowna. Teraz wygląda jak radykalna pani ekolog.

— Straciliśmy dobrą kobietę — stwierdziła Tara. — Nie ma czasu umyć głowy, bo podciera tyłki. Za to jest szczęśliwa.

— Pomyśl o Gerri — przypomniała jej Katherine. Gerri także była niegdysiejszą imprezowiczką, która urodziła dziecko i sama szybko się w nie zamieniła. — Zupełnie utraciła zdolność mówienia jak dorosły człowiek.

— Ale korzysta z nocnika i umie liczyć do dziesięciu — dodała Liv. — Też jest szczęśliwa.

— I jeszcze Melanie — oznajmiła ponuro Katherine. — Była taka liberalna. A teraz zamieniła się w prawicową faszystkę, mogłaby rywalizować z Frontem Narodowym. Dzieci zmieniają ludzi. Tak się zajęła podpisywaniem petycji przeciwko domniemanym pedofilom, że zapomniała, kim jest.

— Ale pomyślcie, jak to by było potrzymać takie maleństwo w ramionach — odezwała się rozmarzona Liv. — Radość! Szczęście!

— Uwaga! — zachichotała Tara. — Rozkleiła się. Niech ktoś jej przerwie.

— Co Thomas dał ci na urodziny, Taro? — Chcąc powstrzymać pijackie łyż Liv, Katherine najpierw zapytała, a potem pomyślała.

— Dziesięć szylingów? — zasugerował Fintan.

— Dziesięć szylingów! — parsknęła Tara. — Zastanów się. Nie jest tak hojny — dodała. — Prędzej ćwierćpensówkę. — Rąbnęła pięścią w stół i akcentem z Yorkshire oznajmiła: — Nie jestem skąpy, jedynie ostrożny. — Do złudzenia przypominało to głos Thomasa.

— Doniczkę owiniętą folią z nalepionymi muszelkami, którą sam zrobił? Używany długopis? — naciskał Fintan.

— Dał mi wyjątkowy prezent Thomasa Holmesa — odezwała się Tara już normalnym głosem. — Słoik kremu do rąk o zapachu magnolii i obietnicę sfinansowania zabiegu odessania tłuszczu, kiedy wygra na loterii.

— Czyż nie jest cudowny? — spytał sarkastycznie Fintan.

— Czy to był nowy słoik kremu? — Katherine starała się mówić neutralnym tonem. — Może ukradł go z toalety dla pań w pracy?

— Proszę! — Tara była zniesmaczona. — Oczywiście, że nie nowy. To ten, który podarował mi na gwiazdkę. Wrzuciłam go na dno szafy, a Thomas najwyraźniej go znalazł i wykorzystał.

— Co za skąpiec! — Liv nie mogła się powstrzymać.

— Nie jest skąpkiem — zaprotestowała Tara.

Liv była zaskoczona. Zazwyczaj Tara pierwsza mówiła, jaki oszczędny jest Thomas, uprzedzając wszystkich innych, by pokazać w ten sposób, że jej to nie przeszkadza.

— To skąpiec — wyjaśniła Tara. — No już, Liv, powtórz.

— Thomas to skąpiec — powtórzyła posłusznie Liv. — Dziękuję, Tara.

— Tak czy owak, mogę zrozumieć jego punkt widzenia. To wszystko wyciąganie pieniędzy: gwiazdka, walentynki, urodziny i tak dalej. Podziwiam go, że nie pozwala sobą manipulować. Co nie znaczy, że nigdy nie kupuje mi prezentów. W zeszłym tygodniu podarował mi śliczny termofor na moje bóle menstruacyjne.

— Pożałował na paracetamol i tyle. — Fintan zmarszczył brwi.

— Przestańcie — zaśmiała się Tara. — Nie widzicie tego, co ja widzę.

— A co widzisz?

— Wiem, że wydaje się bardzo szorstki, ale potrafi być słodki. Czasem... — wydawała się nieco zakłopotana — ...opowiada mi prześliczne bajki na dobranoc o misiu imieniem Earnest.

— Tak pieszczotliwie nazywa swojego siusiaka? — spytał podejrzliwie Fintan. — Czy Earnest często się chowa w ciemnych pieczarach?

— Tracę z wami czas — zachichotała Tara. — Znasz jakieś nowe plotki? No już, opowiedz nam obrzydliwe historyjki o kimś sławnym.

W swojej pracy Fintan, prawa ręka Cannelli Garcii, uzależnionej od kokainy hiszpańskiej projektantki o reputacji niezwykle wizjonerki i zarazem parszywej suki, miał dostęp do interesujących informacji o sławnych i bogatych.

— Dobrze, ale najpierw zamówmy jeszcze po drinku. — Czy miś jest katolikiem?

Kilka godzin i parę francuskich kaw później Katherine nabrała niepokojącej pewności, że Fioletowe Paznokcie chce zgarnąć należność za przyjęcie i iść do domu. Albo zgarnąć należność, wyjść stąd i nawalić się narkotykami.

— Może lepiej zapłaćmy — powiedziała, przerywając szaleńczy, pijacki rechot przyjaciół.

— Ja zapłacę — zaproponował Fintan ze szczodrobliwością pijaka. — Stanowczo... nalegam...

— Mowy nie ma — odparła Katherine.

— Obrażasz mnie. — Fintan trzepnął kartą kredytową o stół. — Znieważasz mnie.

— Jak zredukujesz swój debet do ośmiocyfrowej sumy, skoro płacisz za cudze posiłki? — spytała Katherine.

— Ona ma rację — poparła przyjaciółkę Tara. — Mówiłeś, że cię aresztują, jeśli jeszcze zapłacisz za coś kartą. Przyjdą panowie w mundurach, z pałkami i kajdankami...

— Super! — krzyknęli niemal jednocześnie Fintan i Liv, trącając się i chichocząc.

— ...zabiorą cię i nigdy więcej już cię nie zobaczymy. Prosiłeś: „Powstrzymajcie mnie, zanim znowu coś kupię”.

— Tara popchnęła kartę w jego kierunku.

— I kto to mówi? — zachnął się Fintan.

— To nie zmienia faktu, że nie postępujesz słusznie.

— Dlaczego nigdy nie mam pieniędzy? — zdziwił się Fintan. — Przecież nieźle zarabiam.

— Właśnie dlatego — odparła Tara z pijacką logiką. — Im więcej zarabiam, tym jestem biedniejsza. Kiedy dostaję podwyżkę, chcę zaabsorbować dodatkowe pieniądze, więc zwiększam wydatki, ale narzucam im zbyt gwałtowne tempo przyrostu. Tyjesz od diet? Zapomnij: biedniejszy od podwyżek!

— Dlaczego nie jesteśmy tacy jak ty, Katherine? — dumał Fintan.

Katherine wyznała im kiedyś, że kiedy dostaje podwyżkę, ustanawia stałe polecenie przelewu na rachunek terminowy, równe sumie podwyżki netto, wychodząc z założenia, że skoro nigdy nie miała tych pieniędzy, nie odczuje ich braku.

— Potrzebni mi tacy ludzie jak wy, żebyśmy się lepiej czuła — odparła, unosząc wzrok.

W końcu wyszli.

Kelner Darius obserwował Katherine, kiedy sunęła ku wyjściu. Nie była w jego typie, ale coś w niej go zaintrygowało. Widział, ile wypła, ale nie potykała się jak inni, nie zataczała i nie łapała się przyjaciół. Jej zachowanie po przybyciu też wywarło na nim duże wrażenie. Był ekspertem od kobiet, które nerwowo udawały spokój w oczekiwaniu na kogoś, i miał absolutną pewność, że jej wystudiowany brak zdenerwowania był autentyczny. Szukał w głowie odpowiedniego określenia. (Chciał zostać didżejem, słowa nie były jego mocną stroną). Szukał słowa „enigmatyczna”, tyle że go nie znał.

— Dokąd teraz? — zapytała z ożywieniem Tara, kiedy drżeli na zewnątrz. Mimo że październik dopiero się zaczął, było chłodno. — Ktoś wie coś o jakichś imprezach?

— Nie dzisiaj.

— Zupełnie nic? Zazwyczaj potraficie coś wymyślić.

— Może pójdziemy do baru Mundo? — zaproponowała Katherine.

Tara pokręciła głową.

— Chodzimy tam w środy i kojarzy mi się z pracą.

— Blue Note?

— Za dużo tam ludzi. Nie dostalibyśmy stolika.

— Happiness Stans?

— Ostatnio muzyka była do niczego.

— Subterrania?

— Błagam!

— Rozumiem, że to odmowa. — Katherine niemal wyczerpała listę odwiedzanych przez nich miejsc.

— A może Torture Chamber? — zasugerował z nadzieją Fintan. — Mnóstwo tam ślicznych chłopaków prowadzonych na smyczy.

— Nie, już zapomniałeś? — przypomniała mu Katherine. — Nie wpuścili nas ostatnio, bo jesteśmy dziewczynami.

— To dlatego?! — wykrzyknęła Liv. — A ja myślałam, że to ze względu na nie ogolone głowy.

— Właściwie to chyba nie mam ochoty iść do klubu — przyznała się Tara. — Nie jestem w nastroju na zamieszanie. Mam ochotę ochłonąć, usiąść w jakimś wygodnym miejscu, nie musieć walczyć o drinka, słyszeć rozmowę... O Boże! — Z przerażeniem zakryła usta. — Już się zaczęło. Mam trzydzieści jeden lat i niecały dzień, a zachowuję się jak staruszka. Będę musiała iść do klubu, żeby udowodnić, że ciągle mi się chce.

— Ja też nie chcę iść dziś do klubu — pocieszyła ją Liv. — Ale od pół roku mam trzydzieści jeden lat, zdążyłam się przyzwycząić.

— Nie! — Tara była oburzona. — Wystarczająco źle jest nie chcieć, ale żeby się przyzwycząić?

— Zaraz powiesz, że najchętniej byś się położyła i pooglądała telewizję. — Oczywiście Katherine załśniły. — Przyłapiesz się na wyszukiwaniu pretekstów do zostania w domu. Istnieje nawet nazwa na takie zachowanie: moszczenie się. Polubisz pilota od telewizora. Ja już lubię — wyznała. — Przystaniesz kupować „Vogue” i zaprenumerujesz „Living Etc”.

— Czy to czasopismo o wystroju wnętrz? Katherine z powagą pokiwała głową, a Tara puściła oko.

— Chodźmy do mieszkania. — Fintan usiłował skierować rozmowę na nieco bardziej rozrywkowy temat. — Będziemy udawać, że to klub.

— Może do mnie? — zaproponowała Tara, myśląc o Thomasie i mając nadzieję, że odmówią. Była pijana, ale nie aż tak bardzo pijana.

— Może do mnie? — zasugerowała Katherine. Także myślała o Thomasie.

— Do Katherine! — oznajmili poważnie Liv i Fintan. I oni myśleli o Thomasie.

— Masz coś do picia? — spytała Tara.

— Jasne, że mam — odparła z oburzeniem Katherine.

— Naprawdę dorośliśmy — mruknęła Tara.

Katherine ściągnęła taksówkę, ku irytacji dwóch mężczyzn stojących pięćdziesiąt metrów dalej, którzy dłużej czekali.

— Na Gospel Oak — poleciła kierowcy.

— Mogliście się przejść — burknął.

— Ja nie — stwierdziła pogodnie Tara. — Jestem wstawiona. Pamiętacie — ciągnęła, kiedy cała czwórka wgramoliła się do auta — jak alkohol zniknął w mgnieniu oka, kiedy mieszkaliśmy razem? Kiedy jeździliśmy do Irlandii — wskazała Katherine i Fintana — albo ty do Szwecji — wskazała Liv — i przywoziliśmy cło od wina, znaczy wolne od cła alkohole, musieliśmy je wypić już w progu.

— To przez naszą biedność — stwierdziła Liv.

— Biedę — odruchowo poprawiła ją Tara. — I nie tylko o to chodzi. Byliśmy młodzi, mieliśmy ogień w brzuchach!

— A teraz jesteśmy starzy — stwierdziła ponuro Liv.

— Przestań — przerwała jej Katherine. — Za wcześnie na twoją depresję. Masz jeszcze całą godzinę.

3

Kiedy Fintan i dziewczęta byli w restauracji, w domu oddalonym o dwie minuty drogi trwała impreza. Oczywiście, nie tylko ta impreza odbywała się w londyńskim Camden w piątkowy wieczór. Na tej jednak przebywał Lorcan Larkin.

Lorcan Larkin był człowiekiem, któremu wszystko się udawało. Właściwie nie udało mu się jedynie imię, rodzice słabo się postarali. Miał ciało długości metra i osiemdziesięciu ośmiu centymetrów, o szerokiej piersi, płaskim brzuchu, długich nogach i wąskich biodrach, które to ciało rozpieszczał obfitym jedzeniem, pićm i papierosami. Miał też grzywę długich do ramion, ciemnorudych włosów, wąskie fiołkowe oczy i najpiękniejsze, najbardziej zmysłowe usta w okolicy Camden pod koniec dwudziestego wieku.

Tysiące kobiet czuło zakłopotanie, kiedy ledwo poznały Lorcana i natychmiast zaczynały go pożądać.

— Ale ja nie lubię rudzielców — powtarzały najczęściej. — To takie żenujące!

Lorcan był bardzo specyficznym rudzielcem. Nie do niego kierowano okrzyki: „Ja pierdzielę, ale marchewa”. Jemu rzucano zafascynowane spojrzenia.

W rzadkich przypadkach, kiedy zamiast zakochać się od razu, ktoś wahał się, czy oszaleć na jego punkcie, Lorcan sięgał po swoją tajną broń. Irlandzki akcent. Nie było to prymitywne kaleczenie angielszczyzny stosowane przez ludzi chcących okazać pogardę dla Irlandczyków, żadne: „To je moje” ani: „Ło kurde”, ani: „Na ile ty jaja”. Lorcan mówił spokojnym, lirycznym i przede wszystkim wyedukowanym głosem. W razie potrzeby nie wahał się wtrącić dziwnego cytatu czy fragmentu wiersza. Jego głos hipnotyzował kobiety. Lorcan umiał się o to postarać.

W chwili, gdy Tara zamawiała dwa desery („A co tam, w końcu to moje urodziny!”, broniła się), Lorcan uznał, że czas zerznąć szesnastoletnią córkę gospodyni, Kelly. Prosiła się o to, cały wieczór mu nadskakiwała, rzucała wymowne spojrzenia wielkimi oczyma łani, a przechodząc, ocierała się jędrnymi cyckami o jego ramię. Angeline, jej matka, mogła się wkurzać, ale nie pierwszy i zapewne nie ostatni raz córka i matka rywalizowały między sobą o względy Lorcana. Zlustrował Kelly, napawał się jej wspaniałą nastoletnią bujnością. Miała długie i szczupłe nogi, jędrną i okrągłą pupę. Wiedział, że ten typ szybko przybiera na wadze. Za parę lat kompletnie zejdzie na psy, wyhoduje sobie oponkę na brzuchu, wszędzie obrośnie sadłem. I będzie się zastanawiała, dlaczego wszystko poszło nie tak. Obecnie jednak wyglądała doskonale.

— Pora na nas, stary — przypomniał mu Benjy, starając się stłumić niepokój w głosie. Już kilka godzin wcześniej Lorcan miał się pojawić na urodzinach swojej dziewczyny Amy.

— Jeszcze nie. — Lorcan opędził się od niego ręką.

— Ale... — zaprotestował Benjy.

— Odwal się — warknął Lorcan.

Benjy był eks-współlokatorom Lorcana i jego nieoficjalną sekretarką towarzyską. Kręcił się koło Lorcana w nadziei, że spłynie na niego choć odrobina powodzenia kolegi. Skoro to się nie udawało, chciał być pod ręką, by pomagać odrzutom po Lorcanie — a były ich legiony — zebrać się do kupy, najlepiej w łóżku.

Lorcan zwinnie podniósł się z sofy. Jego twarz promieniała. Podszedł do Kelly, która wstydliwie spuściła wzrok, ale wcześniej Benjy zdążył dostrzec w nim triumf. Nie słyszał, co Lorcan powiedział do dziewczyny, ale mógł się tego domyślić. Raz, z dobroci serca, Lorcan zapoznał go ze swoimi odzywkami.

— Spróbuj mruknąć dziewczynie wprost do ucha: „Jesteś przepiękną kobietą, dręczysz mnie tymi oczyma” — radził mu. — Albo... Ale to musisz wyznać, zacinając się i jękając, jakbyś był śmiertelnie zdenerwowany: „Proszę mi wybaczyć, chciałem powiedzieć, że ma pani najpiękniejsze usta, jakie kiedykolwiek widziałem, przepraszam, że zawracam pani głowę, już sobie idę”. To stokrotnie zwiększy prawdopodobieństwo twojego sukcesu — obiecywał Benjy'emu.

Tyle że sto razy nic dalej równa się nic. Stwierdzenia, które tak dobrze sprawdzały się w ustach Lorcana, w wypadku Benjy'ego kończyły się obojętnym spojrzeniem albo pogardliwym śmiechem. Raz dostał w twarz tak, że przez trzy dni szumiało mu w prawym uchu.

— Co robię źle? — dopytywał się w rozpacz, kiedy już wrócił mu słuch. Może szłoby mu nieco lepiej, gdyby nie miał metra siedemdziesięciu wzrostu, brzucha i mysich, przeredzających się włosów, ale Lorcan tego nie powiedział. Lubił odgrywać dobroczyńcę.

— O — uśmiechnął się. — Posłuchaj mistrza. Znajdź dwie dziewczyny, jedną laskę, a drugą niezbyt wystrzałową. Uczepisz się paszteta, rozumiesz? Obleziesz ją jak pchły i nie będziesz zwracał uwagi na laskę. Pasztet się

zachwyci, że to ją wybrałeś, a nie jej przyjaciółkę. Laska się wkurzy, że ją ignorujesz, i będzie się starała zainteresować cię sobą. Dostaniesz obie!

Benjy'ego aż zatkało z wrażenia. W ustach Lorcana brzmiało to bardzo rozsądnie.

— Masz jeszcze inne wskazówki? Lorcan zastanawiał się przez chwilę.

— Każda kobieta lubi coś w sobie — powiedział. — Ma coś, co nazywa „swoją najlepszą cechą”. Musisz tylko odgadnąć, co to takiego — i wierz mi, stary, to jest zawsze oczywiste — a następnie to komplementować.

Benjy z nadzieją pokiwał głową.

— Powiniennem wiedzieć coś jeszcze? — spytał.

— Tak. Grube bardziej się starają.

Kilka sekund po zniknięciu Lorcana i Kelly, do Benjy'ego podeszła pośpiesznie Angeline, atrakcyjna kobieta, przejęta rozmiarami swojego brzucha.

— Dokąd poszedł Lorcan? — zapytała z niepokojem. — I gdzie jest Kelly?

— Eee, nie wiem — zająknął się Benjy. — Ale nie przejmuj się, na pewno nie odeszli zbyt daleko — dodał, zastanawiając się, co go to obchodzi.

Rzeczywiście, nie byli daleko — w różowej, romantycznej sypialni Kelly, gdzie kołdrę niemal całkowicie zakrywało mrowie pluszowych przytulank. Kelly mogła wyglądać jak kobieta, ale jej umysł nie nadążał za ciałem.

Sprawy z Lorcanem zaszły za daleko. Chciała go pocałować, żeby triumfalnie oświadczyć matce: „Widzisz, ty gruba ruco, mówiłam ci, że jestem od ciebie ładniejsza”. Jeszcze nie zdecydowała, czy pozwoli mu dotknąć piersi — oczywiście przez ubranie — ale uznała, że raczej nie. Tak więc kiedy Lorcan zaczął rozpinać dzinsy, przeżyła szok. Kiedy zaś opuścił je do kolan i wycelował wielką, groźnie wyglądającą erekcję w twarz Kelly, szok był jeszcze większy.

— Wracajmy na przyjęcie — powiedziała przerażona.

— Jeszcze nie — odparł Lorcan z niebezpiecznym uśmiechem i położył dłoń na jej pokrytej jedwabistymi włosami potylicy.

Benjy patrzył z mieszaniną podziwu i zazdrosnej nienawiści na powracającego Lorcana. Niemał mu się uklonił.

— Ty szczęściarzu — mruknął.

— Nie zerznąłem jej. — Lorcan aż się wzruszył na myśl o swojej szlachetności. — Jej cześć jest nadal nietknięta.

— Tak, pewnie! Nawet jej nie dotknąłeś. — Benjy zmarszczył brwi. — Co z Amy? To jej urodziny.

— Nie mogłem się powstrzymać — wyszczerzył zęby Lorcan i wzruszył ramionami w sposób, który rzuciłby na kolana niejedną dojrzałą kobietę. — Kocham kobiety.

— Nie kochasz — odparł półgłosem Benjy. — Wygląda na to, że ich nienawidzisz.

— Pora na nas — stwierdził Lorcan. — Rusz się, stary, już jesteśmy spóźnieni.

I wyszedł, ignorując szlochającą i upokorzoną Kelly, która przycupnęła na dole schodów.

— Dlaczego traktujesz kobiety jak szmaty? — spytał Benjy, kiedy znaleźli się na dworze w ten chłodny październikowy wieczór i czekali na taksówkę. — Co zrobiła ci matka? Za długo karmiła cię piersią? Za mało cię karmiła?

— Moja matka była wspianiała — odparł Lorcan, a jego miękki, łagodny głos kontrastował z wysokim, przepelnionym wściekłością głosem Benjy'ego. Dlaczego ludzie zawsze szukali głupich freudowskich źródeł jego krótkotrwałego zainteresowania kobietami? Przecież to było takie proste. — Jest taki stary dowcip, Benjy.

— Jaki stary dowcip? — spytał Benjy, a kiedy Lorcan milczał, powiódł wzrokiem za jego spojrzeniem i zobaczył, że Lorcan wpatruje się w trzy kobiety i mężczyznę przed pobliską restauracją. — Jaki stary dowcip?! — ryknął ponownie, a jego złość wzrosła na widok czterech osób ładujących się do taksówki, którą zamówił.

— Dlaczego psy liżą sobie jaja? — odparł Lorcan. Benjy popatrzył na niego w ponurym milczeniu.

— Bo mogą — powiedział Lorcan niemal ze znużeniem. — Bo mogą.

TLR

4

Liv, Tara, Fintan i Katherine pili gin z tonikiem, tańczyli do piosenek Wham! i denerwowali Rogera, sąsiada z dołu.

— Czy nie jest wspaniale? — zapytała rozpromieniona Tara. — Pamiętacie, jak tańczyliśmy to tego lata, gdy byliśmy piętnastolatkami? Pamiętasz, Fintan? Pamiętasz, Katherine?

— Tak — odparł z zakłopotaniem Fintan. — Ale nie mów na ten temat, Liv czuje się ignorowana.

— Nie, nie — zaprzeczyła Liv, starając się, żeby zabrzmiało to pogodnie. — Wszystko w porządku, zawsze czuję się ignorowana.

— Ale nie przez ludzi, których dobrze znasz — przypomniał jej Fintan.

— Zwłaszcza przez nich.

W końcu, o wyznaczonej godzinie, Liv została pokonana przez falę melancholii i postanowiła wrócić do domu.

— Nic ci nie będzie? — Katherine odprowadziła przyjaciółkę do drzwi.

Liv ze smutkiem pokręciła głową.

— Zjem dwanaście paczek chipsów, będę spała przez osiemnaście godzin, a potem poczuję się lepiej.

— Niech ją Bóg błogosławi — stwierdziła Tara po jej wyjściu. — Wiem, że i ja czasem wpadam w depresję, ale według Liv można regulować zegarek.

— Ja chyba też już pójdę do domu — oznajmił Fintan.

— Co? Odbiorą ci tytuł najstarszego imprezowicza w mieście — nastraszyła go Tara.

— Jestem zmęczony — powiedział. — Strasznie boli mnie kark i miejsce, w którym kiedyś miałem wątrobę.

Po tym impreza zamarła, ku nieopisanej uldze Rogera.

— Chyba wytrzeźwiałam podczas tańca — westchnęła Tara. Wham! zamknęło gębę, Tara zadzwoniła po taksówkę, a Katherine zaczęła przygotowywać się do snu.

— Ty wariatko — powiedziała Tara z zazdrosnym podziwem, rozglądając się po schludnej, pachnącej sypialni Katherine. Pościel była wykrochmalona i pachnąca, rośliny soczystozielone, a kurz niemal nieobecny. Liczne, bardzo liczne tubki mleczek do ciała stojące na toalecie wyglądały na nowe. Żadnych starych, brudnawych, z półmilimetrową zawartością, które stałyby tam przynajmniej od pięciu lat. Gdyby ktoś zechciał się rozejrzeć po jej lśniącej łazience, przekonałby się, że każde pachnące mleczko do ciała ma swój odpowiednik w postaci mydła albo żelu pod prysznic na półeczce.

Katherine przejawiała zamiłowanie do zestawów. Nie lubiła pojedynczych sztuk. Kiedy jednak występowały w kompletach, zakochiwała się w nich. Do szalików kupowała rękawiczki; do talku mydła o takim samym zapachu; mała, zdobiona misa nie podobała się jej, jeśli nie miała za towarzyszkę mniejszej, identycznie zdobionej misy. Tara często żartowała, że idealny mężczyzna Katherine musiałby mieć piękną twarz, wspaniałe ciało i brata bliźniaka.

Tara wciąż rozglądała się po sypialni.

— Przez ciebie czuję się taka beznadziejna — powiedziała zawistnie. — Pościeliłaś łóżko, chociaż nawet nie wiedziałaś, że przyjdą goście.

Zdażyła zapomnieć, jaką gospodynią jest Katherine, gdyż już od ponad roku nie dzieliły mieszkania. Katherine kupiła własne, a Thomas pozwolił Tarze, aby wprowadziła się do niego. I — skoro już o tym mowa — aby spłacała połowę hipoteki.

Nie mogąc się powstrzymać, Tara zajrzała do szuflad. Wszystko wydawało się poukładane, pachnące, wyprasowane, nieskazitelne i zadbane. Katherine była oryginalną istotą — kobietą regularnie wyrzucającą zszarzałą, porozciągana bieliznę do kosza na śmieci.

— Czyżbym podwójnie widziała z przepicia? — dopytywała się Tara. — Czy ty naprawdę masz po dwie pary majtek?

— Zgadza się — potwierdziła Katherine. — Dwie pary do każdego stanika.

Tara zwyczajnie tego nie rozumiała. Nie zwracała uwagi na bieliznę. Interesowało ją jedynie to, co jest na wierzchu, co zobaczą ludzie. Rzecz jasna, Thomas oglądał jej przedpotopowe majtki i staniki, ale w końcu chodzili ze sobą już dwa lata. Podtrzymywanie tajemnicy dłużej niż przez trzy miesiące zbyt ją męczyło. Poza tym, on też nie był szczególnie wybredny w kwestii swojej bielizny, przypominała sobie i czekała, aż poczucie winy osłabnie.

Otworzyła następną szufladę i znalazła skąpe koszulki nocne. Były słodkie, ale niezbyt seksowne. Nie dla Katherine przezroczysta czarna koszulka za pupę i majtki z dziurą w kroku do kompletu.

— Jesteś taka porządna — stwierdziła. — Tracisz tyle czasu i pieniędzy w Knickerbox.

— Chyba jak wszyscy?

— Może. Ale nikt poza tobą nie kupuje takich rzeczy dla siebie.

Leżała na łóżku i z zazdrością obserwowała nogi Katherine — jędrne i muskularne od stepowania — wskakujące w śliczne niebieskie szorty z dżerseju w białe kropki. Następnie Katherine wciągnęła na siebie podkoszulek do kompletu. Włożyła go tyłem na przód i na lewą stronę, tak że metka wystawała jej spod brody, ale tylko dzięki temu można było się domyślić, jak bardzo jest pijana.

— Czas, żebyś znalazła sobie faceta, który mógłby się cieszyć twoją piękną bielizną — zasugerowała Tara.

— Dobrze sobie radzę bez niego.

— Tyle ślicznych majtek i żaden mężczyzna ich nie ogląda. To smutne.

— Nie uważam, żeby to było smutne — odparła Katherine. — Poza tym to moje majtki.

— A ja uważam.

— No to powinnaś poszukać pomocy.

— Nie potrzebuję pomocy. — Tarze zakręciło się w głowie z ulgi. — Mam chłopaka.

— A jeśli to się skończy? — zapytała Katherine z ukrytą złośliwością.

— Przestań! — krzyknęła Tara z przerażeniem. — Kim bym była? — Zastanawiała się nad tym przez chwilę. — Stałabym się kompletnym dziwadłem.

— Znowu się zaczyna — westchnęła Katherine.

Tara obawiała się, że wolne kobiety po trzydziestce stają się ekscentryczne, i to tym bardziej ekscentryczne, im dłużej są wolne. Nabierają coraz dziwniejszych przyzwyczajzeń, coraz bardziej zamykają się w sobie. Kiedy w końcu pojawia się mężczyzna idealny, rozumowała Tara, już zdążą uwięznąć we własnej pułapce i odtrącają wyciągniętą dłoń.

— Pewnie stałabym się jedną z tych zaprzyjaźnionych z gejami bab zbierających śmieci — mówiła Tara. — Wszystko, od skórek po ziemniakach do gazet sprzed dziesięciu lat.

— Przecież już prawie taka jesteś — zauważyła Katherine.

— Nigdy nie otworzyłabym drzwi pielęgniarce środowiskowej — ciągnęła Tara uwięziona w swojej apokaliptycznej wizji. — Wyczuwałoby się moje mieszkanie z odległości stu metrów. Tym bym się stała bez mężczyzny.

— Wobec tego dobrze, że go masz — stwierdziła Katherine. Zadzwieczał dzwonek, co oznaczało, że pojawiła się taksówka Tary.

— Cholera, przykro mi, Katherine, jeśli cię obraziłam. — Nagle Tara przeraziła się nie na żarty. — Jesteś moją najlepszą przyjaciółką, kocham cię i nie zamierzałam sugerować, że staniesz się dziwadłem...

— Nie obraziłam się, a teraz już idź. Mam randkę z pilotem od telewizora. Najpierw jednak muszę pięćdziesiąt razy umyć ręce i wyprasować wszystkie rajstopy. My, samotne kobiety! Męczennice nerwicy natręctw.

5

Tara siedziała w taksówce, paliła, pustym wzrokiem wpatrywała się w przestrzeń i czuła się winna. Nie tylko była nikczemnym, nie dającym sobie rady bez mężczyzny mięczakiem, ale istniała możliwość — na szczęście niewielka — że przygnębiła Katherine. Katherine była tak zrównoważona i niezależna, że czasem Tara zapomniała o tym, że jej przyjaciółka ma uczucia.

Kiedy jednak taksówka wjechała na ulicę Alasdaira, Tara zapomniała o Katherine. Wyprostowała się i zaczęła rozglądać. Nic nie mogła na to poradzić. W nadziei, że go zobaczy, wpatrywała się w jego okna. Nie paliło się w nich światło, a taksówka jechała tak szybko, że Tara nie była w stanie stwierdzić, czy Alasdair i jego żona spali, czy też wyszli się zabawić.

Zwariowałam, pomyślała. Może wcale już tam nie mieszkał. Kiedy ludzie brali ślub, zazwyczaj wyprowadzali się ze stylowych mieszkań w centrum Londynu, obok dobrych barów i restauracji, do czteropokojowych bliźniaków z ogrodem na samym końcu Heathrow.

Żołądek Tary ścisnął się z niepokoju. Kochała Thomasa, ale nadal miała właścicielskie zapędy w stosunku do Alasdaira. Bolała ją myśl, że dokonywał wielkich życiowych zmian, a ona nic o tym nie wiedziała. Alasdair był jej chłopakiem przed Thomasem. Zupełnie innym niż Thomas. Hojnym, spontanicznym, lekkomyślnym, czułym, serdecznym. Lubił jadać w restauracjach i nigdy w życiu nie zerknął w menu, mówiąc: „Dziesięć funtów, dziesięć cholernych funtów za kawałek kurczaka. Mógłbym to kupić w supermarkecie za dwanaście szylingów”. Tara poznała Alasdaira w wieku dwudziestu sześciu lat, po serii znajomości z niepoważnymi chłopakami. Oczarował ją jego szkocki akcent, krótko obcięte czarne włosy i nieco psychopatyczne spojrzenie zza okularów w drucianych oprawkach. Nawet jego imię wydawało się jej ponętne. Niewiele czasu musiało upłynąć, nim zdecydowała, że tego mężczyznę poślubi. Wszystkie znaki na niebie i ziemi zdawały się o tym świadczyć.

Uznała, że jest we właściwym wieku do małżeństwa. Alasdair też, był dwa lata starszy od niej. Oboje mieli dobrą pracę i podobne małomiasteczkowe pochodzenie. Najważniejsze jednak, że od życia pragnęli dokładnie tego samego — mnóstwa rozrywek i jadać na mieście. Mimo że chodzili do tyłu restauracji, Tara utyla mniej, niż się spodziewała.

Należeli do pokolenia octu balsamicznego — byli przystojną parą po dwudziestce, organizowali przyjęcia, często korzystali z ekspresu ciśnieniowego Alasdaira, objeżdżali Londyn jego czerwonym MG, popijali szampana przynajmniej raz w tygodniu, w soboty chodzili do Paula Smitha albo Josepha. (Czasem nawet coś kupowali. Na przykład skarpety albo spinę do krawata).

Kiedy pewnego lata Tara pojechała na tydzień do Irlandii, Alasdair jej towarzyszył. Nagle zobaczyła Knockavoy jego oczyma. Wspaniałość szalonego Atlantyku podmywającego wybrzeże, olbrzymią pustą plażę, powietrze tak słodkie i czyste, że niemal można je było zobaczyć. Dotąd nienawidziła rodzinnego miasteczka. Małego, prowincjonalnego zaścianka, gdzie nic nigdy się nie działo, z wyjątkiem tych paru miesięcy w roku, kiedy przyjeżdżali turyści.

Matka Tary od razu pokochała Alasdaira. Ojciec nie, rzecz jasna, ale jemu nic się nie podobało, dlaczego zatem Alasdair miałby stanowić jakiś wyjątek? Potem Alasdair zabrał Tarę do swojej rodziny w Skye, co ją niezwykle pokrzepiło. Często się obawiała, że ludzie, których poznała w Londynie, nie odkrywali się do końca. Że do pewnego

stopnia wymyślili się na nowo. Tylko dlatego, że mogli: w większości nie urodzili się w Londynie, więc nie pętała się tam ich denerwująca rodzina, żeby zadać kłam fantazjom, którymi zwodzili innych. Chociaż przez tydzień odpoczywała po niesamowitym imprezowaniu zgotowanym jej przez rodzinę Alasdaira, przynajmniej wiedziała, skąd pochodził.

Wkrótce po powrocie ze Skye obchodzili drugą rocznicę związku i Tara pomyślała, że czas, aby wszystko zaczęło zmierzać ku małżeństwu. Lub przynajmniej do zamieszkania razem. Właściwie i tak mieszkała u Alasdaira, zatem uznała, że oficjalne potwierdzenie to zwykła formalność.

Kiedy mu to powiedziała, zdumiał ją swoją przerażoną miną.

— Ale... — powiedział i tym razem jego tańczące oczy znieruchomiały. — Ale skoro jest nam dobrze, nie ma co się spieszyć z pewnymi sprawami...

Tara była wstrząśnięta, ale nie chciała się do tego przyznać, więc natychmiast się wycofała.

— Masz rację — zapewniła go ciepło. — Wszystko jest dobrze, nie ma co się spieszyć z pewnymi sprawami.

Następnie zaczęła się wojna na wyczerpanie. Cierpliwy bierze wszystko. Niestety, w wieku dwudziestu ośmiu lat wiedziała, że nie ma czasu w nadmiarze.

Uspokajała swoją histerię, powtarzając sobie, że Alasdair ją kocha. Tego była pewna. Uczepiła się tej pewności, jakby jej życie od niej zależało.

Taki stan rzeczy trwał przez mniej więcej pół roku, pozornie nic się nie zmieniło. Pozornie. Alasdair miał wygląd zaszczutego zwierzęcia. To wszystko przenikało, brukało, tłumiło radość. Również Tara stała się ostrożna i niespokojna. Świadoma, że nie jest już po dwudziestce; świadoma, że każda koleżanka ze szkoły, z wyjątkiem Katherine, wyszła za mąż i ma dzieci; świadoma, że wokół niej kręci się coraz mniej mężczyzn; świadoma, że zbliża się do trzydziestki. Zainwestowała mnóstwo czasu i nadziei w Alasdaira — cały swój czas i nadzieję — i ewentualność, że postawiła na złego konia, była zbyt niezdolna, by brać ją pod uwagę.

Jestem za stara, żeby zaczynać od początku, myślała często, kiedy budziła się w środku nocy w szponach mdlącej paniki. Nie mam czasu. To się musi udać.

Cierpliwość nie należała do cnót Tary, więc w końcu zapytała Alasdaira, jakie wiąże z nią plany. Wiedziała, że nie powinna tego robić. Gdyby miał dla niej dobre wieści, już by się nimi podzielił. Zmuszanie go do małżeństwa tylko napchałoby mu głowę dziwnymi pomysłami, doprowadziło do konkluzji, której nie chciała.

Miała rację. Szorstko, gdyż rozzłościła go niezrozumiałymi żądaniem, poinformował ją, że nie chce się z nią zenić. Kochał ją, ale zwyczajnie zamierzał się dobrze bawić i nie interesowała go nuda domatorstwa.

Z powodu szoku Tara wzięła tygodniowy urlop.

— Daj sobie spokój — radzili jej wszyscy, kiedy objęła się po okolicy, oszałała z niedowierzania i bólu. — Odejdź, nie pogarszaj sprawy.

Ona jednak nie mogła. Nie mogła powiedzieć „pa, pa” dwom i pół roku. Nie mogła przyznać, że może będzie zmuszona rozważyć wariant przeszłości bez Alasdaira.

Usiłowała uratować ich związek, najpierw udając, że kwestia nigdy nie została podniesiona i że wszystko jest takie jak zwykle. Potem, kiedy życie w wymuszonej normalności stało się męczące, raz jeszcze próbowała zmienić nastawienie Alasdaira. Nazwała jego słowa blefem i zagroziła definitywnym zakończeniem związku. Słyszała już o takich przypadkach — kiedy mężczyzna stawał przed perspektywą odejścia kobiety, nagle uznawał zobowiązanie za doskonały pomysł. Nic takiego się jednak nie stało. Zamiast tego Alasdair stwierdził ze smutkiem:

— Odejdź, jeśli musisz. Nie winię cię, nikt nie mógłby cię winić.

— Ale przecież mnie kochasz? — zapytała bez tchu, głosem piskliwym z przerażenia, kiedy zdała sobie sprawę z tego, jak źle oceniła sytuację. — Nie będziesz za mną tęsknił?

— Tak, kocham cię — odparł łagodnie. — Oczywiście, że będę za tobą tęsknił. Jednak nie mam prawa cię zatrzymywać, skoro chcesz odejść.

Przeżona Tara natychmiast skończyła z dramatyzowaniem, że to koniec. Intryga odniosła odwrotny do zamierzonego skutek. Nagły zakręt zmusił ją do ponownej oceny istniejącego stanu rzeczy. Miała nadzieję, że nikt nic nie zauważył. Tak czy owak związek, tak wspaniały rok wcześniej, już nie wydawał się czarujący. To była byle jaka półrelacja, myślała gorzko. Ale lepsze to niż nic.

Okazało się, że nie. Nie dla Alasdaira.

— To już nie ma sensu — powiedział Tarze miesiąc później.

Wpatrywała się w niego z przerażeniem. Wyszadzany, beznadziejny związek pod wpływem zagrożenia zmienił się nagle w wyjątkowo pożądany.

— Przecież nic się nie zmieniło — wyjąkała osłupiała, bo to ona miała być górą. Ona powinna grozić zakończeniem ich relacji, gdyż ją zranił. Nie odwrotnie. — Przepraszam, że znowu mówiłam o małżeństwie, i przepraszam, że nalegałam, ale żyjmy tak jak dotąd.

On jednak potrząsnął głową i powiedział:

— Nie możemy żyć tak jak kiedyś.

— Możemy — upierała się z histerią w głosie, zastanawiając się, czemu złe rzeczy dzieją się, kiedy człowiek i tak jest załamany.

— Nie możemy — powtórzył.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — zapytała, znając odpowiedź. Buntowała się jednak przeciwko zrozumieniu tych słów.

— Pora z tym wszystkim skończyć — odparł cicho. Przez chwilę Tara — trzymając się kurczowo dotychczasowego życia — udawała, że w ogóle się nie odezwał.

— Nie — zaprzeczyła gorąco. — Nie ma potrzeby, wszystko jest dobrze.

— Nic nie jest dobrze. Zasłużyłaś na kogoś innego, kogoś, kto da ci to, czego pragniesz. Odejdź, nie ma sensu ze mną zostawać, marnujesz tylko czas.

— Nie chcę nikogo innego — zapewniała go rozpaczliwie. — Wolę, żeby zostało tak, jak jest, niż wychodzić za kogoś innego.

Jednak niezależnie od tego, jak bardzo usiłowała go przekonać, że jest szczęśliwa, nie chciał o niczym słyszeć, i w miarę rozwoju rozmowy stawał się coraz bardziej nieustępliwy. W końcu zrozumiała, że nie ma szans go przekonać, że — szczerze mówiąc — nigdy nie miała. Alasdair się zdecydował, zanim ona zdążyła otworzyć usta.

Tara odchodziła od zmysłów. Tygodniami zachowywała się jak obłąkana histeryczka. Jej rozpacz była tak ogromna, że dziewczyna godzinami leżała w łóżku i wyła jak zwierzę. Robiła to tak głośno, że sąsiedzi z góry pewnej nocy wezwali policję.

Zaniosła wieżę CD do swojej sypialni i wrzeszcząc, płacząc, bez przerwy puszczała sobie *To koniec* Roya Orbisona. Za każdym razem, kiedy ostatnie nuty cichły, szlochala jeszcze głośniej i wciskała przycisk „replay”. Którejś nocy Liv i Katherine naliczyły dwadzieścia dziewięć powtórek. Czasem trochę wyła, trochę śpiewała do wtóru, czerpiąc szczególną pociechę z fragmentu, w którym utwór wznosił się o oktawę. „To kooo-nieeeeeec”. O oktawę. „TO KOOO-NIEEEEC!” Sąsiedzi z góry zastanawiali się, czy ponownie wezwać policję.

Musiała wziąć kolejny tygodniowy urlop, a kiedy wróciła do pracy, jej koledzy żalowali, że nie została w domu. Każdy program, który miała testować, był błędny, w całym Londynie siadały systemy. Obciążenie jej działu w ciągu kilku miesięcy wzrosło o sto procent, wszyscy zajmowali się wyłącznie poprawianiem błędów Tary. Ona sypiała po trzy

godziny na dobę i snuła się po mieszkaniu, paląc papierosa za papierosem. Nie potrafiła normalnie funkcjonować. Zapominała zmyć odżywkę z włosów. Szła do pracy w sobotę i zastanawiała się, dlaczego budynek jest zamknięty. Jechała samochodem do pracy, wracała metrem, a następnie myślała, że skradziono jej samochód, gdy następnego ranka nie mogła go znaleźć przed domem. Otwierała jogurt, wrzucała pudełko do kosza na śmieci i zostawała z wieczkiem, próbując się domyślić, co zrobiła nie tak. W spokojniejszych chwilach z zaciśniętymi do bólu pięściami mówiła o zajęciach wieczorowych. Garncarstwo, nauka rosyjskiego, lukrowanie tortów.

Mniej więcej raz na tydzień, gdy ból stawał się nie do zniesienia, dzwoniła do Alasdaira i błagała o spotkanie. Naturalnie, zawsze się zgadzał i szli do łóżka. Uprawiali gorączkowy, łzawy seks, drąc na sobie ubrania, siniacząc się z ulgą na widok znajomego ciała.

Zdarzało się to tak często, że zaczęła mieć nadzieję na ponowny związek. Było jasne, że Alasdair jest równie zrozpaczony po ich rozstaniu jak ona, że nadal ją kocha.

Pewnego wieczoru jednak nie pozwolił jej przyjść.

— Dlaczego? — zapytała. Wcześniej zawsze chętnie się zgadzał.

Słyszała, jak oddycha głęboko, i w pikosekundzie między końcem tego oddechu a pierwszą sylabą zdania naszło ją bardzo złe przeczucie. Jeszcze zanim to powiedział, już się domyśliła.

— Poznałem kogoś.

Tara ostrożnie odłożyła słuchawkę, wsiadła do samochodu, pojechała do Alasdaira, otworzyła sobie drzwi kluczem, którego mu jeszcze nie zwróciła, znalazła Alasdaira w kuchni, gdzie gotował wodę na herbatę, i przedramieniem tak trzasnęła go w czaszkę, że spadły mu okulary.

Zanim zdołał się otrząsnąć, zaczęła okładać go rękami po głowie i twarzy.

— Skurwysynu — jęczała. — Ty skurwysyński skurwysynu.

Tłuczenie go po głowie nie złagodziło jej nienawiści ani nie powstrzymało bólu, więc rąbnęła go w brzuch, zdumiona słabością tego ciosu.

Przynajmniej spełnił swoje zadanie, pomyślała obojętnie, patrząc na krztuszącego się i rżęącego Alasdaira.

— Ali? — spytał ktoś, a Tara odwróciła się ku drzwiom kuchennym i ujrzała pulchną blondynkę. — Co się dzieje? — jęknęła przerażona dziewczyna.

Tara ocknęła się z transu. Popchnęła Alasdaira, który następnie wpadł na uzurpatorkę, i wyszła.

Kiedy dotarła do domu i powiedziała Katherine oraz Liv, co zaszło, nie mogły ukryć szoku. Zbyt późno zaczęły ją pocieszać.

— Skurwysyn — współczuły jej. — Dobrze zrobiłaś. Mamy nadzieję, że przetrąciłaś mu parę żeber.

— Przestańcie — błagała Tara. Czerwona mgła się rozwiązała, a Tarze było aż niedobrze z nienawiści do samej siebie. — Pobiłam go — jęczała, kołysząc się z twarzą ukrytą w dłoniach. — Teraz nigdy już go nie odzyskam. Myślałam, że nie mogłabym się czuć gorzej, niż czuję się od siedmiu tygodni, czterech dni i... — urwała, żeby spojrzeć na zegarek — szesnastu i pół godziny, ale się myliłam. Muszę położyć się na łóżku i wyć jak pies — stwierdziła łamanym głosem, po czym ruszyła do swojej sypialni.

Katherine i Liv przygotowały się na Roya Orbisona. Ku swojemu zaskoczeniu i uldze usłyszały *Faceta innej*. A potem jeszcze raz. I jeszcze raz. I jeszcze raz. I jeszcze raz. I jeszcze raz. I jeszcze raz.

Późnym wieczorem Tara wyłoniła się z sypialni.

— Zadzwońię do niego — oznajmiła.

— Nie! — zarządziła Katherine, po czym złapała telefon i go zabrała. — To tylko wszystko pogorszy.

— Pogorszy — stwierdziła ponuro Tara. — Jak mogłoby pogorszyć? Jahwe, Jahwe, Jahwe!

— To film *Życie Briana* — wyjaśniła pośpiesznie Katherine zdumionej Liv. — Nie, Tara, żadnego dzwonienia.

— Tylko go przeproszę — błagała Tara. — Jeśli mi nie pozwolisz, poczekam, aż się położysz, i będzie o wiele gorzej, kiedy zadzwonię w środku nocy.

W końcu Katherine ustąpiła.

— Jeśli zaczniesz na niego wrzeszczeć albo mu grozić, odłączę kabel — przestrzegła.

— Dzięki — pisnęła Tara i wykręciła numer Alasdaira. — Halo — powiedziała pośpiesznie, kiedy odebrał. — To ja, przepraszam, błagam, nie odkładaj. Nie masz pojęcia, jak mi przykro i jak wstyd.

Zamiast rzucić słuchawkę, odparł:

— Nic się nie stało, rozumiem.

Tak naprawdę Alasdair poczuł ulgę. Miał wyrzuty sumienia z powodu związku z Caroline, ale każdy policzek otrzymany od Tary obracał sytuację na jego korzyść. Teraz zamiast „biednej olanej Tary” był „biedny pobity Alasdair”.

— Wiesz, masz niezły cios — dodał, usiłując się roześmiać.

— Przepraszam — wyszeptwała. — Błagam, wybacz mi.

— Wybaczam — oznajmił.

Mimo to, kiedy zadzwonił do niej półtora miesiąca później i oświadczył, że się żeni, wcześniej zadbał o zmianę zamków.

Tego wieczoru Tara poznała Thomasa.

Spotkali się na imprezie asystentki Fintana, Dolly. Tara tańczyła jak kobieta opętana. Z roztargnieniem wyjęła papierosa z ust Thomasa i zaciągnęła się. Nie była to zamierzona prowokacja — Tara nawet nie dostrzegła Thomasa. Po prostu musiała zapalić, a nie mogła znaleźć własnych papierosów. Odkąd usłyszała o zbliżającym się ślubie Alasdaira, gubiła wszystko.

Mimo kradzieży papierosa, Thomas natychmiast zgłupiał na punkcie Tary. Wziął jej obłęd za żywy temperament i uznał, że ta bezpośredniość to oznaka braku zahamowań w łóżku. Największe wrażenie zrobiła na nim jej szczupła sylwetka, której się dorobiła dzięki wyrzucaniu jogurtów do śmieci. Przez kilka minut się wahał, myśląc, jak ją zaczepić. Był bezpośrednim człowiekiem, więc zdecydował się działać wprost.

— Mogę dostać papierosa z powrotem? — usłyszała Tara i przerwała swój gorączkowy taniec. Odwróciła się i ujrzała mężczyznę. Stał obok i uśmiechał się do niej. Niebrzydki. I niezbyt ładny, skoro już o tym mowa. W porównaniu z Alasdaiem.

Kiedy przyjrzała mu się bliżej, zobaczyła jednak, że ma lśniące brązowe włosy i mocną sylwetkę, i zapragnęła się o niego oprzeć.

Nadal się uśmiechał, a ona pławiła się w jego ciepłe i podziwiałe.

— Słodki z ciebie kociak — powiedział Tarze z uroczą mieszanką nieśmiałości i pewności siebie. — Zatrzymaj papierosa.

W innych okolicznościach Tara przebiegłaby na drugą stronę jezdni, by uniknąć towarzystwa mężczyzny nazywającego kobiety „kociakami”, ale ostatnio sporo przeszła. Brązowe oczy Thomasa wciąż się w nią wpatrywały, a Tara ze zdumieniem ujrzała w nich oddanie i szacunek. Po tym, co zrobił Alasdair, doszła do wniosku, że jest równie bezwartościowa jak rosyjski rubel. Nagle przyszło jej do głowy, że być może ten mężczyzna mógłby ją określić na nowo, przewartościować.

Choć miał na sobie nieco więcej brązów, niż uważała za konieczne (jakikolwiek brąz to było więcej, niż uważała za konieczne), czuła, że ją pociąga. Kiedy zrozumiała, że może go sobie wziąć, jej radość przypominała strzał heroiny.

— Chodź i zatańcz ze mną — zaprosiła go śmiało i wzięła za rękę.

Choć brązowe ubranie wydawało się tkwić w miejscu, podczas gdy reszta Thomasa próbowała tańczyć, świat Tary stał się nagle migotliwym, magicznym miejscem. Rozpostarła się przed nią alternatywna przyszłość. Alasdair zamierzał poślubić inną, ale byli też mężczyźni, którym to ona się podobała. Którym bardziej zależało na niej niż jej na nich. Którzy mogliby się z nią ożenić. Ból się skończył, chociaż myślała, że nigdy się tak nie stanie. Thomas był jej zbawcą.

— Jest takie chińskie przysłowie — wymamrotała. — Jeśli ktoś ocali ci życie, jest ci coś winien.

Thomas bezmyślnie pokijał głową, a następnie trącił w bok swojego kumpla Eddiego i stwierdził:

— Jest bardziej wstawiona, niż myślałem. Dziś mi się udało.

Od piątkowego wieczoru do poniedziałku rano tkwili w mieszkaniu Tary, głównie w łóżku, ale co pewien czas wstawali, żeby obejrzeć telewizję. Tara leżała na Thomasie i całowali się namiętnie, kiedy Katherine i Liv usiłowały oglądać *Ballykissangel* i ignorować cmokanie.

— Wydają takie odgłosy jak koń wyciągający kopyto z gęstego błota — powiedziała Katherine Fintanowi, kiedy zadzwoniła do niego ze skargą.

Liv wyrwała jej słuchawkę.

— W łazience jest takie coś, co ma ssawki, i przylepia się to do umywalki. Taka mydelniczka — oznajmiła. — Kiedy odrywa się ssawki, wydają taki odgłos jak Tara i ten mężczyzna. Czy możemy przyjść do ciebie?

Tara jednak była oczarowana Thomasem.

— Oszalałam na jego punkcie — informowała wszystkich.

— Oszalałam to właściwe słowo — mamrotała Katherine, nienawistnie lustrując wzrokiem Thomasa w jego brązowej chwale.

— Ona zwraca na siebie — wymądrzyła się Liv.

— Wraca do siebie — poprawiła ją Katherine. — A poza tym masz rację.

6

Uczucia, które ogarnęły Tarę przy mijaniu domu Alasdaira, sprawiły, że desperacko zapragnęła ujrzeć Thomasa. Niemal biegła z taksówki do mieszkania, ale przez entuzjazm i alkohol, który wciąż krążył w jej krwi, miała trudności z włożeniem klucza do zamka. Dopiero za czwartym razem zdołała władować się do przedpokoju. Wyprostowała się i wykrzyknęła:

— Thomas?!

Siedział w salonie, a obok sofy stały cztery puste puszki newcastle brown i tacka po mrożonym placku mięsny.

— Cholerny najwyższy czas — wymamrotał pogodnie.

— Tęskniłeś za mną? — zapytała z nadzieją. Ucieszył ją jego widok.

— Może i tak. — Uśmiechnął się chytrze, mrużąc oczy. — A może nie. Beryl dotrzymywała mi towarzystwa.

Beryl była kotką Thomasa, darzył ją uwagą, uczuciem i podziwem. Tara była dziko zazdrosna o nią i o to, jak bez przymusu, niedbale, obojętnie kotka brała sobie jego uczucie, kładła się na Thomasie, a potem, dla kaprysu, zeskakiwała, jakby zupełnie na niczym jej nie zależało.

— Udany wieczór? — spytał Thomas.

— Tak. — Nie powiedziała, że za nim tęsknili. Jej przyjaciele i chłopak po prostu nie bardzo się dogadywali. Typowa sytuacja, którą można jeszcze pogorszyć, kiedy chce się na siłę coś naprawiać. — Nie zjadłam przystawki i czekaj, aż zobaczysz moje prezenty! Spójrz na szminkę. Czy nie jest cudowna?

— W porządku. — Wzruszył ramionami. Zauważyła jakieś papiery na stoliku do kawy.

— Och, Thomas, wypełniłeś moje formularze ubezpieczenia samochodu? Dziękuję. Wiesz, jak tego nienawidzę.

— Nie mów, że nigdy nic dla ciebie nie robię. —

Uśmiechnął się. — A skoro już o tym mowa, zarezerwowałem bilety na jutrzejszy wieczór.

— Na jaki film?

— *Porachunki*. O gangsterach. Nieźle się zapowiada.

— Och. — Mina jej zrzedła. — Mówiłam, że chcę iść na *Zaklinacza koni*.

— Nie pójdę na te cikliwe babskie bzdety.

— Ale...

Thomas wydawał się urażony i zanim miał okazję zademonstrować jedną ze swoich nagłych zmian nastroju, dodała prędko:

— Nieważne. Jestem pewna, że to drugie też będzie niezłe.

Thomas był nieprawdopodobnie wrażliwy. Wszystko zaczęło się pewnego niedzielnego poranka, kiedy miał siedem lat i natknął się w korytarzu na swoją matkę z walizką w ręce. Kiedy spytał ją ze zdumieniem, dokąd się wybiera, roześmiała się i stwierdziła: „Nie gadaj głupot. Wiesz przecież”. Zaprzeczył, więc powiedziała gorzko: „Rozstajemy się, ja i twój tata”. Thomas usłyszał o tym pierwszy raz i mówił Tarze, że nawet teraz, dwadzieścia pięć lat później, nadal bolało go, że matka zamierzała odejść bez pożegnania.

— Nie musisz iść, jeśli nie chcesz — stwierdził obrażony.

— Skoro jednak zadałem sobie tyle trudu...

— Chcę iść — zapewniła go. — Poważnie. Dzięki za rezerwację. Kto chciałby oglądać obwisłą twarz Roberta Redforda?

— Zauważyła torbę fistaszków, na której pokładał się Thomas.

— Mniam.

— Fuj! — Klepnął ją w dłoń.

— Au, to moje urodziny.

— A ja jestem twoim sumieniem — zagrzmiał. — Podziękujesz mi za to.

— Pewnie tak — westchnęła smutno.

— Rozchmurz się, Tara. To dla twojego dobra.

— Masz rację. — Pogrzebała w torebce. — O nie, skończyły mi się papierosy. Jak to się mogło stać? Masz jakieś?

Po krótkim wahaniu rzucił Tarze swoją paczkę. Kiedy podawał jej ogień, powiedział:

— Musimy rzucić palenie, Tara.

— Zdecydowanie musimy.

— To kosztuje cholerną fortunę.

— Kosztuje.

— Trzy funty dziennie, Tara. Na osobę.

— Wiem.

— To dwadzieścia jeden funtów tygodniowo. Na osobę.

— Wiem.

— To osiemdziesiąt funtów miesięcznie. Na osobę.

— Wiem.

To tysiąc funtów rocznie. Na osobę. Pomyśl, co moglibyśmy za to kupić, Tara.

— To tysiąc funtów rocznie. Na osobę — powiedział Thomas. — Pomyśl, co moglibyśmy za to kupić, Tara.

Ty nie masz z tym problemu, ciągnęła w myślach. Jesteś analitykiem komputerowym. Zarabiasz dwa razy więcej ode mnie.

— Nie mam z tym problemu — stwierdziła beczelnie. — Jestem analitykiem komputerowym. Zarabiam dwa razy więcej od ciebie.

Nastąpiła chwila pełnej napięcia ciszy, a następnie Thomas uśmiechnął się ze smutkiem.

Grobowym głosem zza kadru Tara oznajmiła:

— Był najbardziej skąpym człowiekiem, jakiego znałam.

— Jakbym miał wybór! — zaprotestował Thomas.

Wszyscy jego przyjaciele z college'u wylądowali na niesamowicie dobrze płatnych posadach, a kwartalne premie mieli wyższe od całorocznej pensji Thomasa. Thomas był zbyt bezceremonialny, żeby oczarować ewentualnych pracodawców w bogatych firmach, więc skończył jako nauczyciel geografii w liceum w zachodnim Londynie. Bardzo ciężko pracował, zarabiał marne pieniądze, a jego zgorzknienie było legendarne. Co prawda nie tak legendarne jak jego skąpstwo. „Powinno mi się płacić tyle samo co ministrowi, bo nauczyciel to jeden z najcenniejszych zawodów, jakie może wykonywać człowiek”, powtarzał często. („Przepraszam, zapomniałem portfela, ty zapłać” — było jego inną typową odzywką). Ludzie mawiali, że ma krótkie ręce i głębokie kieszenie, że ma kieszenie na kłódkę, że pierwszy ucieka z taksówki i ostatni wchodzi do baru, że ścisła drobne, aż błagając litość.

Ale on się wcale z tym nie ukrywał. Zamiast przynajmniej udawać hojność, wyrobił sobie reputację skąpej pijawki, nie dopuszczając do tego, by drobne brzęczały mu po kieszeniach jak normalnym ludziom. Trzymał je w portmonetce. W małej, brązowej, plastikowej, zatrzaskiwanej portmonetce dla starszych pań. Katherine raz wyrwała mu ją z ręki i otworzyła, zanim Thomas zdążył ją zabrać. Upierała się, że z portmonetki wyleciał mól.

— Nie cierpię, kiedy brakuje nam pieniędzy, Tara — jęczał Thomas. — Ty nie przestajesz wydawać, a ja nie mam czego wydawać. Fajki odpadają.

— Najlepszy moment na rzucenie palenia to początek miesiąca — pocieszyła go Tara.

— Tak się składa, że masz rację.

— Przegapiliśmy początek października. Wobec tego musimy rzucić palenie pierwszego listopada.

— Masz rację.

Natychmiast o tym zapomnieli.

— Czas do łóżka. — Thomas z trudem podźwignął się z sofy, gdzie tkwił w towarzystwie aluminiowej folii. — Chodź, jubilatko. Mam dla ciebie prezent.

Tara natychmiast się rozpromieniła. Do chwili, w której Thomas zerknął wymownie na swoje krocze. Aha, taki prezent.

Z tęsknotą przypomniała sobie urodziny sprzed dwóch lat. Chodziła z Thomasem niespełna miesiąc, a ponieważ skończyła dwadzieścia dziewięć lat, podarował jej dwadzieścia dziewięć prezentów. Fakt, niektóre z nich były maleńkie, jak na przykład pudełko zapalek o kolorowych łebkach. A niektóre zupełnie do kitu, jak słoik różowego, brokatowego lakieru do paznokci i kolczyki, przez które dostała infekcji uszu. Mimo to czas, pomysł i wysiłek związane z kupieniem tych prezentów, jak również zapakowaniem ich, każdego z osobna, naprawdę ją wzruszyły.

Westchnęła. Zauroczenie nie mogło trwać wiecznie. Wszyscy to wiedzieli. W ciemnościach otoczyła Thomasa ramionami i przycisnęła się do jego ciepłego ciała. Krew rozkosznie szumiała jej w żyłach. Była bezpieczna i kochana, w łóżku ze swoim mężczyzną.

Chociaż następnego dnia była sobota, Katherine musiała iść do pracy. Zanim wyszła, zadzwoniła do babci na jej dziewięćdziesiąte pierwsze urodziny. Niechętnie to robiła. Nie dlatego, że nie kochała babci, wręcz przeciwnie. Kiedy jednak wykręcała numer i czekała, aż w Knockavoy rozlegnie się dzwonek, modliła się, jak zawsze, żeby nie odebrała Delia, jej matka.

— Halo — usłyszała zdyszany głos Delii.

Katherine poczuła znajomy przyptyw irytacji.

— Cześć, mamó — zdołała wykrztusić.

— Katherine — jęknęła Delia. — A niech mnie kule biją! Mówiłam o tobie pięć minut temu. Prawda, Agnes?

— Nie. — Katherine ledwie usłyszała babkę. — Wcale nie mówiłaś. Chyba że do siebie, a jeśli tak, to nie pierwszy raz.

— Mówiłam o tobie — upierała się lojalnie Delia. — Wiedziałam, że zadzwoni telefon, i wiedziałam, że to będziesz ty. Zawsze wiem takie rzeczy. Mam ten dar, widzenie.

— Chciałabyś — stwierdziła pogardliwie Katherine. — Wiesz, że zawsze dzwonię na urodziny babci.

— Nie nazywaj jej babcią, ma na imię Agnes. Czy nie powtarzam ci od dnia narodzin, żebyś nie mówiła do mnie mamó? Jestem Delia.

Rodzina Katherine była raczej nietypowa. Przynajmniej jak na Knockavoy. Skupiała się wokół Delii, matki Katherine, niegdyś dzikiej i pięknej młodej kobiety. Delia była bardzo postępową i jako nastolatka w latach sześćdziesiątych przekonywała każdego, kto chciał słuchać (cenna garstka w Knockavoy) o tym, że Kościół katolicki uciska Irlandię. Niczego się nie bała.

Pewnego dnia, kiedy miała siedemnaście lat, pojawiła się w kuchni z brudnymi rękami, czarnymi włosami bardziej potarganymi niż zazwyczaj i źle skrywaną radością w srebrzystych oczach.

— Co robiłaś? — Agnes, jej matka, spodziewała się najgorszego.

— Rzucałam bryłami torfu w wikarego, kiedy przejeżdżał na rowerze — parsknęła śmiechem Delia.

Agnes podbiegła do okna i na końcu ulicy ujrzała odjeżdżającego młodego ojca Crimmonda w upačkanej czarnej sutannie.

— Opanuj się! Sprowadzisz na nas straszne kłopoty — zaprotestowała Agnes, zaniepokojona, a jednak rozradowana.

— Tu potrzeba kłopotów — stwierdziła posepnie Delia. — Kłopoty przyniosłyby niewypowiedziane dobro.

Kiedy wiadomość o rzucaniu torfem rozeszła się, mieszkańcy miasteczka podnieśli wrzawę, a dwie zażywe matrony utrzymywały, że nawet straciły przytomność. Dotąd nic takiego się nie działo. Podczas kazania ojciec Crimmond zrobił niejasną aluzję do napadu i poprosił o modlitwy za biedne obłąkane stworzenie, które go zaatakowało.

— Lepiej jej żałować, niż ją potępiać — zakończył ku nieopisanemu rozczarowaniu kongregacji, która czekała na mocne słowa.

Delia zrobiła się bardzo popularna w kilku parafiach. Ludzie potrząsali głowami na jej widok.

— Ta dziewczyna Caseyów ma nierówno pod sufitem — mówili. Albo:

— Z tą małą Caseyów coś jest nie tak.

Austin, ojciec Delii, niebezpiecznie łagodny człowiek, podejrzewał, że Delię podrzuciły wróżki. Inni, którzy mieli nieco więcej zdrowego rozsądku, zastanawiali się, czy Agnes przypadkiem nie zbłądziła.

Delia nadal się buntowała. Nikt inny do niej nie dołączył, zbyt się tego obawiano. Bunt na własną rękę to średnia rozrywka, więc w 1966 roku Delia wyjechała z Knockavoy i przeniosła się do Londynu, gdzie znalazła wiele innych sposobów protestu przeciwko establishmentowi poza rzucaniem łatwo palnym torfem w duchownego na rowerze.

Teraz zaczęła się buntować za pomocą seksu i narkotyków, nadużywając jednego i drugiego. Jeśli ktokolwiek wątpił w szczerość jej rebelii, Delia uspokoiła go, zachodząc w ciążę. Lepiej, mężczyzna odpowiedzialny za tę ciążę nie miał najmniejszego zamiaru porzucać żony.

Nagle jednak, ku swojemu nieopisanemu zdumieniu, Delia bardzo się przestraszyła. Czuła się młoda, samotna i przerażona. Oplakiwała dzień, w którym wyjechała z Irlandii. Żałowała, że kiedykolwiek usłyszała o Londynie. Przeklinała swoją rogatą duszę. Dlaczego nie mogła się zachowywać jak dziewczęta, z którymi chodziła do szkoły? Pięć z nich trafiło do zakonów. Dlaczego nie bała się ogni piekielnych i potępienia jak wszyscy?

Jej biedny ojciec. Będzie się czuł w obowiązku przyłożyć jej pasem, to pewne. Nie będzie chciał tego robić, bo miał dobry charakter, ale zasady to zasady.

Okazało się jednak, że Austinowi tego oszczędzono, gdyż tydzień po tym, gdy Delia przekonała się o swojej ciąży, Austin zmarł na atak serca. (Wyszedł po torf do ognia. Jak stwierdziła Agnes, torf przyniósł rodzinie Caseyów same zmartwienia).

W drodze do domu na pogrzeb Delia ćwiczyła usprawiedliwienia.

— Nowe życie w miejsce starego. Tatusz odszedł, ale na jego miejsce urodzi się nowy człowiek.

Była zdenerwowana. Ciąża i porzucenie odebrały jej butę. Brak zasad, tak wartościowy w Londynie, wydawał się coraz mniej przekonujący w miarę zbliżania się do Knockavoy.

Musiała jednak poczekać, aż żałobnicy i naciągacze zjedzą wszystkie kanapki z szynką, wypiją beczkę portera i w końcu sobie pójda, zanim oznajmiła:

— Mamo, będę miała dziecko.

— Pewnie tak, *alanna* — odparła Agnes. Spodziewała się tego. Słyszała o bezeceństwach, jakim się oddawano w tak bezbożnych miejscach jak Londyn, i ze stoickim spokojem gotowa była zaakceptować ich konsekwencje. Żałowała tylko, że sama nie spędziła trochę czasu w Londynie. Od dawna nie miała żadnej uciechy. Właściwie to od wojny domowej.

Dziecko urodziło się pod koniec sierpnia 1967 roku. Ponieważ było to lato miłości, Delia chciała nazwać je Kropelką albo Promykiem, ale tu interweniowała Agnes.

— To tutejszy bachor — zauważyła spokojnie. — Może dałabyś jej porządne imię, żeby całe miasto nie robiło sobie z niej pośmiewiska?

Wszyscy spodziewali się, że Delia wróci do Londynu. Ona jednak została w Knockavoy, choć nikt nie mógł zrozumieć po co, z nią na czele. Wiedziała, że miało to coś wspólnego z przerażeniem, które poczuła na wieść o ciąży. Nie była obeznana ze strachem i nie miała ochoty odnawiać tej znajomości. Mieszkała z matką, w domu, w którym się wychowała, i zajmowała się dzieckiem. Czasem pracowała. Latem była barmanką, prowadziła szkolny autobus — etatowy kierowca lubił zaglądać do kieliszka — i pomagała matce przy kurach, krowach i zbiorach w obejściu.

Była piękna, ale wciąż za nerwowa, więc żaden miejscowy mężczyzna nie palił się do tego, by przyjąć ją i jej córkę pod swój dach. Pozostała wygadana i trudna, jeszcze bardziej na uboczu niż kiedyś. Zajęła się radykalną polityką. Pewnej soboty, o czwartej po południu, przed sklepem żelaznym Tully'ego zorganizowała masowy protest przeciwko interwencji Stanów w Wietnamie — wybrała Tully'ego, bo w latach pięćdziesiątych przez półtora roku mieszkał w Bostonie. Na masowym proteście pojawiła się tylko ona i dwuletnia Katherine. (Agnes stwierdziła, że chętnie udzieliłaby poparcia, ale musi wydoić krowy). Mniej więcej za pięć piąta, kiedy Delia już zamierzała zrezygnować, ujrzała tłumek

złożony z sześciu lub siedmiu osób zmierzający ku niej ulicą. Zamiast rzucić jakąś kąśliwą uwagę albo ją ominąć — jak wszyscy inni robili to całe popołudnie — tłumek przystanął. Delia wpadła w ekstazę. Chwilę później okazało się, że cała siódemka przyszła pomóc Padraigowi Croninowi kupić drabinę.

Wkrótce Delia napisała petycję przeciwko apartheidowi i po mszy popołudniowej nagabywała ludzi, żeby ją podpisali. Zebrała siedem podpisów: swój, swojej matki, swojej córki, Kopniętego Tommy'ego Formana, pana K. Donalda, pana M. Mickeya i pana J.F. Kennedy'ego.

Pod koniec lat siedemdziesiątych zafiksowała się na sandinistach i zorganizowała wyprzedaż na ich rzecz. Przyszły cztery osoby i zebrała dwa funty i jedenaście pensów.

Marzyła o ośrodku pomocy. Czasem przebąkiwała o stworzeniu centrum pomocy dla ofiar gwałtu w Knockavoy, chociaż od kilku dziesięcioleci nikogo tu nie zgwałcono.

Usiłowała uczyć jogi, ale nikt się nie zgłosił na zajęcia. Usiłowała założyć sklep z pamiątkami, ale pamiątki były do bani.

Nosiła długie koszule, chodaki i drewnianą biżuterię, twierdziła, że ma nadprzyrodzone moce. Zmuszała Katherine, by mówiła jej po imieniu; powtarzała córce, że nie musi chodzić do szkoły, jeśli nie chce, a z pewnością nie musi chodzić do kościoła. Katherine знаła na wylot układ rozrodczy, zanim opanowała sztukę wiązania sznurowadeł.

Rzecz jasna, Katherine się buntowała. Dlatego była schludna, porządna, cicha, pełna szacunku, posłuszna i pobożna. Była też łagodna, niczego nie kwestionowała, robiła dokładnie to, co jej kazały zakonnice, znała katechizm na wylot i opowiadała wszystkim, że Pierwsza Komunia Święta to najszczęśliwszy dzień w jej życiu.

Delia była zdruzgotana.

— Poczekajmy, aż zacznie się okres dojrzewania — szlochała z nadzieją. — Wyjdą z niej geny, to córka swojej matki.

Ale także swojego ojca.

Zgodnie ze swoimi libertariańskimi poglądami, Delia nigdy nie karmiła Katherine kłamstwami o tym, jak jej tatuś zginął tragicznie na wojnie albo w wypadku samochodowym, albo w dziwnym wypadku podczas orki (niepotrzebne skreślić). Od dzieciństwa Katherine wiedziała, że jej ojciec to płaczliwy burżuazyjny tchórz o nazwisku Geoff Melody, który zaciągnął Delię do łóżka za pomocą mieszanki narkotyków i kłamliwych obietnic opuszczenia żony.

Choć między Delią a Geoffem Melodym nie było kontaktu

— ani resztek miłości — Delia cyklicznie wbijała do głowy Katherine, że jeśli zechce się skontaktować ze swoim ojcem, ona jej to ułatwi. Katherine poprosiła ją o to dopiero w wieku dziewiętnastu lat. Rzecz jasna, brak ojca budził pogardę na szkolnym boisku. Przynajmniej w tych rzadkich okazjach, kiedy Tara nie krążyła czujnie obok przyjaciółki. Katherine jednak reagowała z godnym podziwu opanowaniem, kiedy jej koledzy z klasy — rozglądając się, czy aby nie wraca Tara — zaczynali mantrę: „Nie masz taty, nie masz taty”.

— Jak można tęsknić za czymś, czego się nigdy nie miało? — pytała spokojnie. Następnie uśmiechała się enigmatycznie, kiedy inni milkli zakłopotani, a śpiew się urywał. Dlaczego nie płakała, tak jak powinna? Dlaczego to im było głupio? I gdzie Tara Butler nauczyła się tak dobrze robić pokrzywkę?

Kiedy w końcu — tuż po pierwszej nieszczęśliwej miłości — Katherine stwierdziła, że chce się skontaktować z ojcem, Delia ochoczo dostarczyła jej jego ostatni adres.

— Chociaż jest sprzed dwudziestu lat, on pewnie nadal tam mieszka — powiedziała. Nie mogąc się powstrzymać, dodała złośliwie: — Ten typ tak ma.

Agnes podeszła do telefonu i porozmawiała z Katherine. Powiedziała, że świetnie się bawi na urodzinach, i podziękowała wnuczce za zestaw dwóch jedwabnych apaszek.

— Bardzo mi się przydają — oznajmiła. Mówiła prawdę.

Bardzo się przydały wczoraj wieczorem, kiedy odpadł zawias w drzwiach od kurnika i trzeba było je czymś przymocować do słupka. — Jak tam Londyn? Nadal bezbożny?

— Ogromnie, babciu — odparła entuzjastycznie Katherine. — Gorszy niż zwykle. Może do mnie przyjedziesz, to sama się przekonasz?

— O nie — stwierdziła Agnes. — Mógłby się okazać lepszy, niż opisujesz, i wtedy bym się rozczarowała. Lepiej pozostanę tutaj ze swoją wyobraźnią.

8

Katherine wyszła z budynku z czerwonej cegły, w którym mieszkała na pierwszym piętrze, a przejeżdżający motocyklista omal nie wpadł na chodnik, tak się na nią zagapił. W szarym kostiumie wyglądała świeżo i rześko, ani jeden włos nie sterczał jej na głowie — nie ośmieliłby się. Przy bramie przystanęła i nasyciła oczy swoją dumą i radością, czyli ghia karmann w kolorze niebieski metalik. Katherine ogromnie kochała ten samochód i całowałaby go, gdyby nie obawa, że może ją ujrzyć jeden z wcześniej wstających sąsiadów.

Ludzi często zdumiewało, że Katherine ma taki stylowy samochód. Nie zdawali sobie jednak sprawy, że należała do osób, które wysoko mierzą. Jeśli mają ochotę.

Ludzi także zdumiewało, że Katherine ma taki niesolidny samochód. Ghia karmann była jedyną niesolidną rzeczą w jej starannie uporządkowanym życiu. Choć auto niemal złamało jej serce i naruszyło oszczędności, Katherine pozostała mu wierna. Tak często pojawiała się w pobliskim warsztacie volkswagena, że w żartach obiecywała mechanikowi o imieniu Lionel nazwać swojego pierworodnego na jego cześć. Był oczarowany, a ona nie uznała za stosowne poinformować go, że w ogóle nie zamierza mieć dzieci.

Katherine zazwyczaj nie jeździła autem do pracy, ale ponieważ w sobotę ulice były przejezdne, tym razem wzięła ghie. Ku swojemu zdumieniu zdołała zaparkować tuż pod Breen Helmsford, agencją reklamową, w której pracowała jako księgowa.

— Chwalmy Pana — mruknęła. — To cud.

Podobnie jak w wypadku samochodu, ludzi często zdumiewało, że Katherine pracuje w reklamie. Nie uważali jej za osobę wystarczająco dynamiczną i przebojową. Była zbyt poważna i zamknięta. Na szczęście jako księgowa nie musiała wykazywać się dzikim entuzjazmem ani szafować frazami w stylu: „Jazda z tym do klienta, może łyknie taki szajs”. Wręcz przeciwnie, jej praca polegała na podawaniu w wątpliwość konieczności robienia największych zakupów, na kwestionowaniu zasadności wydatków, żądaniu rachunków za taksówki, dopytywaniu się, dlaczego ktoś chce zwrotu pieniędzy za podwójny pokój w motelu i dziewięć butelek szampana oraz informowaniu, że okazywanie rachunku z restauracji i potwierdzenia transakcji opłaconej kartą kredytową po tym samym posiłku może wskazywać na próbę oszustwa. Mimo że oczekiwano od niej, że będzie ponad takimi przyziemnymi zadaniami, nie wierzyła, że jej podwładni poradzą sobie z mistrzami oszustwa.

— Witaj, Katherine! — zawołał Desmond, portier, kiedy szła ku windom. — Co za banda debili, zmuszają cię do przychodzenia w weekend.

Zamiast gorzkiej tyrady, podobnej do tych, którymi raczyli go inni pracownicy, Katherine tylko się uśmiechnęła i powiedziała:

— Ktoś musi to robić. Desmond bardzo się zdumiał.

— Dziwaczka. — Tak ją opisywał. — Nikt na nią nie czeka, to widać. No bo niby czemu cieszyłaby się na pracę w sobotę? Co to za życie — dodawał z westchnieniem — dla młodej dziewczyny.

Breen Helmsford było małą agencją w porównaniu z innymi, zatrudniało tylko około siedemdziesięciu osób, ściśniętych na dwóch przestronnych piętrach zorganizowanych jako otwarta przestrzeń, z kilkoma szklanymi budkami służącymi za gabinety szefostwa.

Kiedy weszła, zastała już mnóstwo ludzi. Poza podwładnymi Katherine: Bredą, Charmaine i Henrym, była tam też garstka „kreatywnych”, którzy uważali się za prawdziwy personel, nie to co ten tłum beznadziejnych biurokratów, którzy bez żadnych powodów nie dawali im pieniędzy. Kreatywni — gromada wyjątkowo modnych młodzieńców, wyglądających, jakby wykupili cały zapas z magazynów Duffer of St George — наносили ostatnie poprawki na poniedziałkową prezentację dla firmy produkującej tampony. Mnóstwo obrazków promiennych dziewcząt lądujących na Księżycu i pośrodku żółtego krajobrazu, mającego przedstawiać planetę Wenus plus *Freedom* George'a Michaela. Hasła, jakie proponowali, brzmiały: „Zakład, że pije carling black label” i „Chyba najlepszy artykuł dla pań w znanym nam wszechświecie”.

W reklamach tamponów obowiązywały dwie twarde reguły: do produktu nawiązuje się eufemistycznie i nigdy nie pojawia się kolor czerwony:

Wszyscy automatycznie spojrzeli na Katherine. Natychmiast stracili zainteresowanie, kiedy zobaczyli, że to ona. Katherine nie była szczególnie lubiana przez kolegów. Nie była też nielubiana. Skoro jednak nie chodziła z nimi urzynać się parę razy w tygodniu i nie sypiała ze wszystkimi, nie istniała.

Seks zajmował bardzo wysoką pozycję na liście zajęć w Breen Helmsford. Skoro cały personel regularnie sypiał z kolegami płci przeciwnej, pojawienie się tymczasowego pracownika powodowało więcej zamieszania niż finalizacja nowej umowy. Na szczęście kreatywni zmieniali się z szybkością światła, więc w firmie zawsze była świeża krew i świeże ciała do łóżka.

Katherine nazywano Królową Śniegu. Wiedziała o tym, a przeszkadzało jej jedynie to, że po agencji reklamowej spodziewała się więcej oryginalności.

Kierownik projektu reklamy tamponów, Joe Roth, dostał się w szpony pięciu facetów, którzy z przejęciem mówili zdania typu: „Wszyscy wiedzą, że możesz skakać na bungee z tamponem”, „Tak, skoki na bungee to już nie nowina”, „Teraz możesz latać z nimi w kosmos!” Patrzył, jak Katherine podchodzi do biurka i uruchamia swój komputer.

— Dobra robota, chłopcy — pochwalili swój zespół. — Osobiście kupiłbym te tampony. Cholera, niemal żałuję, że nie mieszam okresu. A teraz przepraszam na chwilę. — Nie spuszczał oczu z Katherine. — Pora na kubek zimnej wody.

Katherine intrygowała Joe Rotha. Pracował w Breen Helmsford od trzech tygodni. W innych branżach oznaczałoby to, że dopiero zaczął, ale rok w reklamie był jak rok w życiu psa. Trzy tygodnie zazwyczaj wystarczały, by dostać duży projekt, dwukrotnie awansować, zostać opisanym w „Campain”, dać się przyłapać w łóżku z żoną dyrektora, stracić duży projekt i wylecieć. Joe z pewnością uważał, że trzy tygodnie to wystarczająco dużo czasu, żeby poczynić jakieś postępy z Katherine, ale właściwie nie wiedział, dokąd zmierza.

Pierwszego dnia Joe w pracy, Fred Franklin z Lancaster, otyły, dobiegający czterdziestki, mocno trunkowy osobnik, który miał zostać jego szefem, wziął go na bok. Najpierw ustalił, którą drużynę Joe popiera — Arsenal — a następnie dobronnie sprzedał mu parę mądrości na temat pracy: gdzie stoi ekspres do kawy, jak oszukiwać z wydatkami i, co najważniejsze, które kobiety podrywać.

— To Martini. — Fred wskazał głową wysoką, zębatą rudą. — Szybka jak błyskawica.

— Myślałem, że ma na imię Samantha — powiedział Joe.

— Cóż, w zasadzie tak — przyznał Fred. — Nazywamy ją Martini, bo zawsze, w każdych okolicznościach, ma na nie ochotę. Jest wspaniała — dodał z rozmarzonym uśmiechem. — Zrobi wszystko. Wszystko. I nie chce tych głupot, których zawsze chcą kobiety.

— Chodzi ci o kwiaty i czekoladki? — spytał Joe.

— Chodzi mi o telefony, pamiętanie imienia, takie tam. Zależy jej tylko na seksie. Nawet pozwoli ci w trakcie oglądać mecz. Jest świetna — powtórzył, a następnie obdarzył ją największym komplementem, na jaki go było stać: — Jest jak facet z cyckami.

— A to Gazeta. — Fred wskazał małą kobietkę z mocno kręconymi blond włosami. — Robi świetne sztuczki z oliwką dla niemowląt i flanelową ściereczką, ale jest trochę kłopotliwa, zadzwoniła do mojej żony i powiedziała jej...

— Myślałem, że to Connie — przerwał mu Joe.

— No tak — przytaknął Fred. — Nazywamy ją Gazetą, bo...

— Łatwo się rozkłada — skończył oschle Joe. Fred posłał mu promienny uśmiech.

— Bingo! Spodoba ci się tutaj, synu. Joe nie był taki pewien.

— A ta... eee... Katherine, księgowa? — spytał od niechcienia.

— Kto?

— No wiesz, ta szczupła ślicznotka, która nosi kostiumy.

— Ślicznotka? — Fred był zakłopotany. — Szczupła? Chodzi ci o Lolo? — Wskazał ciemnowłosą dziewczynę, tak wychudzoną, że nogi miała równie wąskie jak ramiona. — Nie jest zbyt piękna. Ale każ jej zrobić sztuczkę z pastą do zębów, kiedy będzie ssala ci fiuta. Nie połyka, lojalnie cię ostrzegam. Boi się przytyć.

— Ona chyba ma na imię Deirdre — powiedział Joe.

— Ma — przytaknął Fred. — Nazywamy ją Lolo, bo wciąż ma depresję. Marudna krowa. Ale kiedy trzyma fiuta w gębie, przynajmniej nie gada.

— Rozumiem. Ale nie o nią mi chodziło, tylko o tę małą Irlandkę.

Fred był tak zaszokowany, że nie mógł mówić.

— O nią! — wykrztusił wreszcie. — O tę zasuszoną starą torbę?

— Jest cudowna — stwierdził ze zdumieniem Joe.

— Cudowna by była, jakby coś robiła — odparł Fred. — A ona nic nie robi! Nie marnowałbym na nią czasu. Nie, kiedy wokół taki wybór. Uważam, że ta cała Katherine to lesba.

— Nie umówiła się z tobą? — spytał ze współczuciem Joe.

— Nie tylko ze mną — zagrział Fred. — Nie umawia się z nikim. Zwykła strata czasu. Popatrz tylko na te ciuchy. Cholerna zakonnica.

Katherine zawsze przychodziła do pracy ubrana w dobrze skrojone, profesjonalne kostiumy i wykrochmalone białe bluzki. Niektóre z kobiet w Breen Helmsford także nosiły kostiumy, ale jakoś tak z przymrużeniem oka. Ich kostiumy były seksowne, modne, w jaskrawych kolorach, z krótkimi spódnicami. Przez kontrast Katherine wypadła bardzo zachowawczo, a jej spódnice nieodmiennie kończyły się tuż przed kolanem.

Joe jednak zauważył wiele mówiące znaki. Lekkie wybrzuszenie pod szyją na miarę spódnicą zdradzało, że nosiła pończochy i pas, a nie nudne rajstopy. Brak szwu biegnącego przez brzuch potwierdził jego podejrzenia. Czasem, kiedy siedział przed nią i wysłuchiwał reprimendy za wyrzucanie rachunków z restauracji, dostrzegał przelotnie błysk czegoś koronkowego pod schludną białą bluzką. Wobec tego zaczął gubić jeszcze więcej rachunków. Jedenastego dnia pracy podszedł i usadowił się na skraju jej biurka.

Był bardzo wysoki — ponad metr osiemdziesiąt pięć — i szczupły. Takie zachowanie do niego pasowało. Ubrania trochę na nim wisiały, co wyglądało swobodnie i stylowo. Dziś włożył czarne bojówki i T-shirt z długimi rękawami. Żeby spojrzeć mu w oczy, Katherine musiała odchylić głowę tak mocno, że jej twarz znajdowała się niemal równolegle do sufitu.

— Witaj, Katie — powiedział z szerokim uśmiechem na szczupłej twarzy. — Co cię tu sprowadza w sobotę?

Katherine osłupiała, słysząc to „Katie”. W pracy utrzymywała zdecydowany, celowy dystans. Nikt nie nazywał jej Kathy ani Kate, ani Katie, ani Kath, ani Kit, ani Kitty. Zawsze była Katherine.

Najchętniej zostałaaby panią Casey, ale zdawała sobie sprawę, że przeciągnęłaby strunę. Kierownictwo Breen Helmsford było zbyt celowo nieformalne, żeby zwracać się do pracowników po nazwisku. Nawet dyrektor generalny, pan Denning, upierał się, żeby mówić mu Johnny. (Chociaż naprawdę miał na imię Norman).

Tylko do sprzątaczkę zwracano się po nazwisku. Nałogowa palaczka o zaciętej twarzy, z kaszlem nałogowca, gorzko narzekała na bałagan. Wszyscy się jej bali i nikt nie pozwoliłby sobie na poufałości. Zapewne urodziła się jako pani Twyford.

Katherine rzuciła Joe swoje groźne spojrzenie, stopień czwarty. Było to przerażające spojrzenie, napełniające mężczyzn nieoczekiwanym, szokującym strachem. Znajdowało się zaledwie dwa stopnie pod spojrzeniem meduzy. Czasem straszyla samą siebie, doskonaląc je przed łazienkowym lustrem. Zanim jednak zdążyła oznajmić lodowatym tonem, że nikomu nie wolno zdrabniać jej imienia, Joe spytał z błyskiem w przyjaznych brązowych oczach:

— O, ząb cię boli? Niemilo! Czy coś ci wpadło do oka?

— Nie — mruknęła Katherine, rozluźniając mięśnie twarzy.

— Dlaczego dziś przyszłaś? — spytał Joe.

— Zazwyczaj nie pracuję w weekendy — odparła uprzejmie i zmierzyła go wzrokiem — ale to koniec roku księgowego i jestem bardzo zajęta.

— Uwielbiam ten twój akcent — powiedział z promiennym uśmiechem. — Mógłbym go słuchać całymi dniami.

— Obawiam się, że nigdy nie będziesz miał okazji. — Uśmiechnęła się do niego lodowato.

Joe wydawał się lekko zaszokowany, ale zaryzykował:

— A więc nie ma sensu pytanie, czy wybierzesz się ze mną na lunch?

— Nie — odparła krótko. — Dlaczego nie dasz mi spokoju?

— Dlaczego nie dam ci spokoju? — zamyślił się Joe. — Zaraz ci odpowiem. Jak powiedział pewien bardzo mądry człowiek, niech sobie przypomnę, jak to dokładnie brzmiało...? — Zapatrzył się w przestrzeń. — A tak. Zalażłaś mi za skórę.

— Czyżby? Cóż, cytując jednego z moich bohaterów, wielkiego humanistę Rhetta Butlera... „Doprawdy, mój drogi, nic mnie to nie obchodzi”.

— Och, jest okrutna, jaka okrutna — jęknął Joe, zataczając się przed jej biurkiem, jakby dostał cios nożem.

Popatrzyła na niego ze spokojną pogardą.

— Wybacz, ale mam coś do zrobienia — powiedziała i odwróciła się do komputera.

— A co powiesz na drinka po pracy? — zaproponował pogodnie.

— Której literki w słowie „Nie” nie rozumiesz? „N”, „i” czy e”?

— Łamiesz mi serce.

— I dobrze.

— Jesteś najbardziej intrygującą kobietą, jaką widziałem. — Wpatrywał się w nią z podziwem.

— Powinieneś częściej wychodzić.

Joe, inteligentny mężczyzna, wiedział, kiedy marnuje czas.

— Nie mam więcej pytań — stwierdził rzeczowo jak młody, gorliwy prawnik w trakcie przesłuchiwania świadka. Miał nadzieję, że rozbawi Katherine. Nie rozbawił. Zaczął zbierać się do odejścia. — Muszę iść i porozmawiać z kimś o tamponach. Ale jak powiedział kiedyś wielki uczoney i filozof Arnold Schwarzenegger... — Przerwał dla efektu, przysunął się do Katherine i wyszeptał szorstko: — Jeszcze tu wróć...

Odszedł rozpromieniony. Tak, zdecydowanie się rozluźniła. Stała się bardziej gadatliwa, bez wątpienia. W takim tempie za jakieś dziesięć lat powinna się do niego uśmiechnąć.

Katherine patrzyła, jak odchodził. Wiedziała, że niepotrzebnie była okrutna. Musiała jednak przyznać, że sprawiło jej to przyjemność. Przepelniona poczuciem winy zastanawiała się, czy iść z nim na drinka. Zdecydowała jednak, że nie. Wystarczy przypomnieć sobie, co się stało, kiedy poprzednio wyszła z kimś na drinka. I jeszcze wcześniej.

— Idź, dziewczyno — usłyszała głos Charmaine. — To przystojniak!

Odwróciła się, żeby jej nawymyślać. — Wiem, co chcesz powiedzieć — uprzedziła ją Charmaine. — Zamknij się i z powrotem do kierunku.

Później tego dnia Joe widział, jak Katherine podchodzi do ghii karmann, otwiera ją, sadza w niej niedużą pupę i odjeżdża. Patrzył za nią z przejęciem, a jego fascynacja wzrosła jeszcze dziesięć razy. Kobieta o wspaniałym ciele to coś pięknego, ale kobieta z dobrym autem, no cóż...

9

— Włóż czerwoną sukienkę — przymirał się Thomas. — Wyglądasz w niej tak seksownie.

— Ale idziemy tylko do kina. — Minęło sporo czasu, odkąd ostatni raz miała ją na sobie, i podejrzewała, że od tamtej pory przybrała na wadze.

— Proszę.

— Po jedzeniu — obiecała, mając nadzieję, że o tym zapomni. — Kolacja gotowa!

Zaprowadziła go do stołu przyozdobionego świecami.

— Placek pasterski? — spytał podejrzliwie.

— Niespodzianka — oznajmiła radośnie. — Mój ma sto dwadzieścia siedem procent tłuszczu mniej, a twój to normalny kawałek, tłusty jak zawsze.

— Brawo.

— Wyłącz telewizor, proszę.

— Ale to *Gladiatorzy*.

— No właśnie.

W blasku świec obejrzeli *Gladiatorów* i w milczeniu zjedli kolację. Kiedy Thomas nie mruknął tęsknie: „Ta Ulrika Johnson, nieźle jest zbudowana”, Tara uznała, że może się rozpromienić.

— To takie romantyczne. Powinniśmy częściej tak robić.

Po zjedzeniu sernika z porzeczkami (Tara dwieście dziesięć procent tłuszczu mniej, Thomas normalny), Thomas raz jeszcze poprosił Tarę o włożenie czerwonej sukienki. Pełna złych przeczuć wyjęła ją z szafy, a w łazience odkryła — zgodnie ze swoimi obawami — że nieco się rozrosła. Wciągnęła brzuch, wstrzymała oddech i pokazała się Thomasowi.

— Popatrzmy — powiedział z zadowoleniem.

Kiedy jego wzrok wędrował po niej, poczuła, że nieco za długo zawisł na brzuchu. Zerknęła w dół i zauważyła, że sukienka się marszczy. Nie mogła już bardziej wciągnąć brzucha. Rozpaczliwie miała nadzieję, że z powodu jej wagi

Thomas nie wpadnie w depresję. Rozmiar Tary przygnębiał ją samą, ale Thomasa jeszcze bardziej, a Thomas w dobrym humorze był przyjemny, za to Thomas w złym humorze był rzeczywiście bardzo zły.

— Wyglądasz jakoś inaczej — stwierdził w końcu, zakłopotany i zirytowany.

Dwa lata wcześniej, kiedy zaczął chodzić z Tarą, nie mógł uwierzyć w swoje szczęście. Przyznał jej w duchu szóstki za blond włosy, pełną pupę i szczupłą talię, biodra oraz nogi. Jak wielu indoktrynowanych brukowcami mężczyzn miał bardzo wyśrubowane potrzeby i pomysły na „zalety”, jakimi powinna dysponować idealna dziewczyna.

Kiedy jednak Tara została znowu czyjąś dziewczyną, powrócił strach przed odrzuceniem i ponownie zaczęła się objadać. Szybko przybrała na wadze i Thomas poczuł się gorzko rozczarowany. Dlaczego kobiety zawsze sprawiały mu zawód? Próbując przywrócić tamten wspaniały okres, poświęcał mnóstwo czasu i energii na próby odchudzenia Tary. Nakłaniał ją do biegania, sugerował, że powinna zapisać się na siłownię, wpędzał w poczucie winy, kiedy coś jadła. Sam nie był Twiggy.

— Tylko spójrz na niego — mawiały panie kucharki w szkole. — Zwłaszcza w czwartek (dzień rolady z dżemem). Zjada porcje dzieciaków, kiedy myśli, że nikt nie patrzy.

Mimo własnej tuszy jego początkowe oddanie Tarze malało wraz ze wzrostem jej wagi.

— Och, Tara — jęknął, kiedy oglądał czerwoną sukienkę pod każdym możliwym kątem. — Wyglądasz jak ciężarna. Kiedy cię poznałem, byłaś taka seksowna.

— Tego bym nie powiedziała. — Roześmiała się.

— Byłaś jak cholera, ale gdybym zobaczył cię teraz, nie chciałbym mieć z tobą nic wspólnego.

— Nie dziwię ci się — stwierdziła wesoło. — Sama bym nie chciała, ale nie mam wyboru.

— Szósty miesiąc. — Wskazał jej brzuch. — Tak wyglądasz.

— Raczej siódmy. — Uśmiechnęła się smutno. Kiedy jednak nie zachichotał, zaryzykowała: — Czy nie byłoby wspaniale, gdyby się okazało, że faktycznie jestem w ciąży? Co byśmy zrobili?

Miała nadzieję, że wyciągnie go z ponurego nastroju. Zazwyczaj jej się to udawało. Zdecydowanie nie spodziewała się, że powie: „Byśmy?”, jak gdyby nigdy dotąd nie słyszał tego słowa.

— Byśmy? — powtórzył jeszcze bardziej zdumiony. — Co byśmy zrobili?

— Tak, co byśmy zrobili? — Ze śmiechem przewróciła oczyma. — No wiesz, my, dwoje odpowiedzialnych za to ludzi.

— Ja nie miałbym z tym nic wspólnego — parsknął lekceważąco Thomas.

— Bezsenne noce, brudne pieluchy. — Mrugnęła. — Nie dziwię ci się. Biedne dziecko pewnie umarłoby z zaniedbania.

Miała nadzieję, że na tym się skończy. Nie zanosilo się jednak na to, że konwersacja ucichnie, gdyż Thomas powtórzył tym samym wyzywającym tonem:

— Ja nie miałbym z tym nic wspólnego.

Wiedziała, że nie powinna tego robić, ale nie mogła się powstrzymać.

— Co przez to rozumiesz? — spytała cicho.

— To, co powiedziałem. Nie miałbym z tym nic wspólnego. Tarę naszło niedobre przecucie. To wszystko było w zamierzeniu żartem, ale Thomas wcale się nie śmiał.

Daj spokój, podpowiadał jej rozum. Zapomnij o tym. Nie otwieraj żadnych drzwi, których nie potrafisz zamknąć. On nie mówi poważnie. A nawet jeśli, ty nie zamierzasz tego wiedzieć.

— Chcesz powiedzieć, że nie... — Urwała, zanim z jej ust padło: „ożeniłbyś się ze mną”? Wystraszyła tym pomysłem Alasdaira i przysięgła sobie, że nie popełni tego samego błędu z Thomasem. Zamiast tego dokończyła: — ...wsparłbyś mnie?

I ponieważ zaprezentowała bardzo wymuszony, nieprzekonujący uśmiech.

Thomas usiadł na sofie i wbił wzrok w Tarę. Bardzo, bardzo żałowała, że w ogóle otwierała usta. Miała okropne *déjà vu* i przeczuwała, co się stanie.

— Nie wiem — odparł bezbarwnie.

Serce Tary runęło gwałtownie w dół, niesione wodospadem zimnego strachu.

— Chyba zostałbyś ze mną i pomógł? — spytała z rozpaczą. Jej głos wydawał się stłumiony, jakby miała zatyczki w uszach.

Znowu na nią popatrzył.

— Wątpię, żebyśmy chcieli — wycedził jak po objawieniu.

Nic dziwnego, przypomniała sobie bez tchu. Jak on może wierzyć w rodzinę? Po tym, co się stało z jego rodzicami. Niespecjalnie ją to pocieszyło.

— Przecież mnie kochasz — oznajmiła.

— Tak, ale...

— Dawałbyś mi pieniądze na dziecko? — wychrypiała, czując się tak przerażona, jakby faktycznie była w ciąży.

— Tara, przecież zarabiasz dwa razy więcej ode mnie — zauważył z goryczą.

— Chyba tak — przyznała zawstydzona.

Straszliwe pytania tłoczyły się w jej głowie. Co to wszystko miało oznaczać? Jaka przyszłość ich czekała?

— Ale nie chciałbyś chyba... — Przerwała nagle. Po co uchylać wieka puszkę Pandory? — Ta dyskusja jest głupia, bo nie jestem w ciąży — oznajmiła i wyszczerzyła zęby, jakby gorączkowo chciała naprawić sytuację. Szybko, szybko, zanim zauważy. — Gruba, tak, zdecydowanie, ale nie ciężarna. Nie ma się czym martwić.

Thomas popatrzył na nią inaczej. Prawie ze zdumieniem, jakby i jemu przychodziły do głowy rozmaite pytania. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć.

— Chodźmy — wyrzuciła z siebie Tara, próbując go powstrzymać. — Spóźnimy się na film.

Wahał się przez chwilę, nabrał powietrza, żeby coś powiedzieć. Jednak między oddechem a wypowiedzeniem zdania morderczy błysk w jego oczach zniknął.

— Dobrze. — Objął ją ramieniem. — Chodźmy.

Nie rozmawiali więcej na ten temat. Jednakże po kinie, zamiast iść na imprezę albo do klubu, jak zazwyczaj, wrócili do domu i oglądali telewizję, palili i w milczeniu opróżnili butelkę wina. Tara poszła do kuchni i ukradkiem wypła olbrzymi gin z tonikiem. Potem jeszcze jeden i jeszcze jeden. Taka ilość alkoholu mogłaby zwalić słonia z nóg, ale Tara nie czuła się szczęśliwsza.

Później w nocy, kiedy Thomas chrapał obok niej, poczyniła pijackie plany. Choć nie zamierzała się w to zagłębiać, wiedziała, że dziś wieczorem dostała ostrzeżenie. Po prostu musiała się bardziej postarać, żeby uszczęśliwić swojego umęczonego, poranionego mężczyznę.

To było w jej mocy. Na początku za nią szalał. Szalał. Boże, jak tęskniła do tych cudownych dni, kiedy przez cały czas się uśmiechał i powtarzał, jaki z niej słodki kociak. Kiedy całymi dniami uprawiali seks. Kiedy mówił, że ma najlepszą figurę ze wszystkich dziewczyn. Kiedy czuła się podziwiana, uwielbiana i silna.

Nie umiała powiedzieć, w którym momencie to się zmieniło. Ale tylko chwilowo. Dobre czasy były na wyciągnięcie ręki. Po prostu musiała się trochę bardziej postarać.

Zazgrzytała zębami i poprzysięgła sobie, że teraz naprawdę schudnie. Ponieważ denerwowała go jej rozrzutność, zamierzała przestać wydawać pieniądze. Kupi mnóstwo seksownej bielizny. Rzecz jasna, taniej seksownej bielizny. Zamieni się w totalną zbereźnicę i jak tylko Thomas wróci z pracy, powali go na podłogę i będą się kochali w korytarzu. Zacznie gotować mu pyszne posiłki. Sama nic nie będzie jadła.

Wpatrywała się w ciemność, wysilając umysł i usiłując wymyślić coś wyjątkowego dla Thomasa. Co było najmiłszą rzeczą, jaka ją w życiu spotkała? Najmiłsza rzecz, jaka ją w życiu spotkała, wydarzyła się, gdy Tara miała dziewięć lat. Błagała matkę, żeby kupiła jej dzinsową spódnicę i kamizelkę, takie jak te, które widziała w filmie *Jackie*, ale wiecznie splukanej Fidelmy Butler nie było na to stać. Zamiast tego pojechała autobusem do Ennis i kupiła wzór oraz dużo szczotkowanego dzinsu na spódnicę i kamizelkę. Uszyła je według wskazówek Tary, nawet gdy córka powiedziała: „Tu musi być podwójny pomarańczowy ścieg na brzegu, mamó. Taki widoczny”. Choć Fidelmę przerażała perspektywa szwu, który będzie, widoczny gołym okiem, zagryzła wargi i tak zrobiła, bo właśnie tego chciała Tara. To była najmiłsza rzecz, jaką ktokolwiek dla niej zrobił. Nawet kiedy ojciec Tary spojrział znad gazety i parsknął: „Można przebrać kozę w jedwab, ale to nadal będzie koza”, nic nie mogło popsuć jej radości z nowego stroju.

Mimo to nie wyobrażała sobie niezwyklej radości Thomasa ze spódnicy i kamizelki ze szczotkowanego dzinsu. Jednakże spodobał jej się pomysł zrobienia mu czegoś, i nagle zrozumiała, co to będzie. Zamierzała... zamierzała... zamierzała... zrobić mu na drutach sweter!

10

Następnego ranka Tara obudziła się bardzo wcześnie. Coś było nie tak. Kac. Jestem na to za stara, pomyślała, przelykając garść proszków przeciwbólowych. Nie umiem już tego znosić. Choć ból minął, niejasne przecucie nadszycia krążyło nad nią niczym błędne ogniki i towarzyszyło jej w drodze z sypialni do łazienki i kuchni.

Mimo nocnych obietnic przejścia na dietę, Tara była wariacko głodna. Tak właśnie wpływał na nią kac. Niektórym było tak niedobrze, że przez cały dzień nie mogli spojrzeć na jedzenie. Ona jednak na kacu czuła się tak, jakby przez całe życie nic nie jadła. To był skręcający żołądek, oszałamiający głód, wręcz pierwotny. Potrzebowała węglowodanów. Na myśl o toście poczuła taki przyływ adrenaliny, że niemal uniosła się nad podłogą.

Cicho zamknęła drzwi od kuchni, żeby Thomas nie wyczuł, co zamierzała zrobić, i wrzuciła do tosterka dwa kawałki chleba. Rozgorączkowana ze zniecierpliwienia, wpatrywała się w urządzenie, żałując, że tak wolno pracuje. Pośpiesz się, poganiała je desperacko, przyłóż się do roboty. Czuła, że jeśli natychmiast, w tej właśnie chwili, nie dostanie czegoś do jedzenia, odgryzie sobie stopę. W kuchni wszystkie szafki były pełne makaronów, pomidorów w puszkach i jedzenia dla kotów. Thomas już dawno temu pozbył się herbatników i chipsów, poświęcając się, by oddalić pokusę od Tary.

Tosty wyskoczyły. Drżały jej ręce, kiedy kładła na jeden kawałek ser, a drugi smarowała dżemem. Jedząc, dołożyła jeszcze dwa kawałki chleba. I jeszcze dwa. Urządziła sobie tostową orgię, znalazła się w niebie. Tost z masłem fistaszkowym, tost z serem, tost z dżemem, tost z pastą drożdżową.

Pokryta okruszkami, właściwie pożerała tosty w całości, wychylając się ku drzwiom kuchennym i nasłuchując kroków Thomasa.

W okienku kuchennym pojawiło się jakieś oblicze i Tara podskoczyła. Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że to Beryl. Jej zielone oczy w czarnej mordce lśniły pogardą i potępieniem. Tara wystawiła do niej oba środkowe palce, następnie odwróciła głowę i zajęła się tostem. Potem wstała, żeby dołożyć jeszcze dwa kawałki, i odkryła, że nie ma już chleba.

O Boże! Zjadła cały chleb tostowy! Thomas zauważy, będzie się zastanawiał, co się stało. Panikowała przez chwilę, po czym się uspokoiła. O co chodzi?, zapytała samą siebie. Głupiejesz. Przecież możesz kupić nowy bochenek pod pretekstem wyjścia po niedzielne gazety. Jeśli pakistański spożywczy nie będzie jeszcze otwarty — chociaż chyba zawsze był otwarty, dniem i nocą, harowali jak niewolnicy, żeby mieć za co żyć — to pójdzie na całodobową stację benzynową. Ubrała się po cichu, rozpaczliwie starając się nie obudzić Thomasa, a następnie wyszła w wilgotny, mglisty poranek, odprowadzana podejrzliwym spojrzeniem Beryl. Wcale nie była taka pewna, czy ten cholerny kot na nią nie doniesie.

Spożywczy był zamknięty, więc Tara poszła na stację, gdzie kupiła chleb i gazety. Kupiła także trzy pączki — czekoladowy i dwa z custardem, uwielbiała custard — które zjadła podczas bardzo powolnego spaceru powrotnego, a opakowanie wrzuciła do kosza w cudzym ogródku. Z zapalem strzepnęła zdradliwe okruszki, oblizwała zęby językiem, aby pozbyć się ewentualnych dowodów, i wróciła do mieszkania.

Thomas jeszcze nie wstał, co oznaczało, że jeśli chciała, wciąż mogła coś zjeść. Gorączka jednak minęła. Jem tak tylko z powodu kaca, pocieszała się Tara i zapaliła papierosa. Od jutra przejdę na dietę, ale przez resztę dnia też postaram się pilnować. Usiadła przy kuchennym stole, paląc i próbując czytać gazetę. Czy to nie straszne ocknąć się za wcześnie w zimny, wilgotny niedzielny październikowy poranek?, zapytała samą siebie. Pomyślała, że mogłaby wrócić do łóżka z gazetą, ale bała się obudzić Thomasa. W końcu pozwoliła sobie sprawdzić, dlaczego ogarnęło ją poczucie klęski.

Przez jego wczorajsze słowa.

Natychmiast poczuła ponowne ukłucie, jakby coś w rodzaju głodu usiłowało przedrzeć się przez jedzenie i wyłonić jako mdłości.

Ze stanowczością zrodzoną z okropnego strachu przemówiła sobie do rozumu. No i co z tego, że nie chciał, aby zaszła w ciążę? Ona też nie chciała zajść w ciążę. Co za pomysł! To była nic nie znacząca, hipotetyczna dyskusja. Z igły widły.

W niczym nie przypominało to sytuacji z Alasdaiem. Mieszkała z Thomasem. To on, zaproponował, żeby się wprowadziła. Najlepszy dowód, że ją kochał — nawet jeśli podejrzewała, że jego oczy rozświetlał symbol funta, a nie blask miłości.

Przez ostatnie dwa lata nigdy nie naciskała na Thomasa, nigdy nie wspomniała o małżeństwie, żeby nie wyszło tak jak z Alasdaiem. Jeśli wciąż będzie bawiła się w czekanie, jak dotąd, wszystko dobrze się skończy. Nie miała powodów do zmartwień, kochał ją i musiało się im udać. Piorun nie uderza dwa razy w to samo miejsce.

Zadzwoiła do swojej matki, bo chciała porozmawiać z kimś, kto ją kocha, ale odebrał ojciec.

— Matki nie ma — powiedział burkliwie jak zwykle.

— Gdzie jest o tej porze? — spytała Tara.

— A jak myślisz, poganko? — odparł.

Nadal zląkniona pociechy, zadzwoniła do Katherine. Bez obawy, że i ona poszła do kościoła.

— Przepraszam — odezwała się. — Mam nadzieję, że cię nie obudziłam.

— Nic się nie stało — powiedziała Katherine. — I tak muszę iść do pracy.

— W niedzielę? Ach, wy zapaleńcy z reklamy.

— Rozliczenia na koniec roku, zazwyczaj tak nie jest.

— Okropnie się czuję — stwierdziła Tara. — Witamina C i szybki spacer.

— Pochłaniam proszki przeciwbólowe jak smarties, choć naprawdę żałuję, że to nie smarties. Tak czy inaczej, nie mówię o swoim kacu, chociaż jest gigantyczny.

— No to o co chodzi?

— Nie teraz, nie chcę, żebyś się spóźniła do pracy. Powiedz mi tylko jedno. Piorun nigdy nie uderza dwa razy w to samo miejsce, prawda?

— Przecież wiesz, że uderza — przypomniała jej Katherine. Ale łagodnie, jakby wyczuwała, że to ważne. — Pamiętasz, jak strzecha na dachu Billy'ego Queally'ego zapaliła się podczas burzy, a dwa lata później poraził go prąd, kiedy włączył toster w czasie burzy?

— Nie mówiłam dosłownie — stwierdziła ze smutkiem Tara. — Ale i tak dzięki.

— Przepraszam. Powiedz mi, co się stało.

— Być może nic — powiedziała ciężko.

— Przyjdź wieczorem, kiedy wrócę z pracy.

— Dzięki, kochana jesteś.

Katherine domyśliła się, o co chodzi. Nigdy nie sądziła, że sprawa z Thomasem potrwa dłużej niż dwa tygodnie, więc od dwóch lat czekała, kiedy się wreszcie rozstaną.

Od samego początku nie przepadała za Thomasem. Rzecz jasna, była zachwycona, że Tara poznała nowego faceta — obserwowanie jej bólu po odrzuceniu przez Alasdaira było nieznośne. Nie wspominając już o tym, że nawet przy najlepszych intencjach dzielenie mieszkania z kimś, komu niedawno złamano serce, staje się nieco męczące po pierwszych trzech miesiącach hysterii i dziwacznych zachowań.

Intuicja jednak podpowiadała jej, że Thomas nie jest mężczyzną idealnym, ani nawet panem Lepszy Rydz Niż Nic.

— Chyba znalazła nowego przyjaciela — mruknął Fintan do Katherine, kiedy Tara i Thomas żarliwie całowali się w kuchni Dolly, nieświadomi niczego poza sobą.

— Hmm — mruknęła niezobowiązująco Katherine.

— O co chodzi? — spytał Fintan.

— Nie wiem. Może o te brązowe dzinsy.

— Brąz to nowa czerń.

— Ale te są okropne. Patrz! Koszulę też ma brązową.

— Nie bądź brązofobem — poradził jej Fintan. — Pewnie jest piekielnie miłym człowiekiem.

Później jednak, kiedy Thomas przyjechał do domu z Tarą, Katherine i Liv, nie chciał się dołożyć do opłaty za taksówkę.

— Nie — stwierdził bez ogródek. — Gdyby mnie tu nie było, zapłacilibyście tyle, co zawsze. To będzie jakiś idiotyzm, jeśli skorzystacie na mojej obecności. Mówię, jak jest.

Katherine wybuchnęła śmiechem. Może Thomas mimo wszystko był w porządku.

— „Mówię, jak jest?” Niezłe. — Kiepskim akcentem z Yorkshire ciągnęła: — Głodny brzuch uszu nie ma. Gdzie błoto, tam złoto. Lepsza chuda szkapka niż żadna. Tego kwiatu na pół świata. Kto rano wstaje, ten leje jak z cebra, póki mu się ucho nie urwie. Uwielbiam te powiedzonka z Północy. Coś jeszcze?

Nagle zdała sobie sprawę z tego, że Tara, Thomas i Liv znieruchomieli. W tym samym momencie Tara syknęła:

— Katherine! Zamknij jadaczkę. Katherine zrozumiała, że Thomas nie żartował.

W ponurej ciszy Tara zapłaciła taksówkarzowi. Gdy Katherine patrzyła, jak Thomas wtacza się do mieszkania, wprost do sypialni Tary, myślała, że eksploduje z poczucia krzywdy.

„Mówię, jak jest” było ulubionym powiedzonkiem Thomasa. Ale to jak było, rzadko mu się podobało.

Zawsze o tym informował.

Dzień po poznaniu Tary, gdy wszyscy siedzieli w salonie, Katherine uznała, że czas posprzątać, choć wiedziała, że zaraz zaczną się protesty.

— Chcę odetchnąć pełną piersią — zaczęła.

— Jeśli można nazwać to piersią — przerwał Thomas.

Tara zanosła się śmiechem tak głośno, że nawet Thomas wydawał się zaniepokojony. Kiedy Katherine otrząsnęła się z szoku i usiłowała zaprotestować, uprzedził ją, mówiąc:

— Przecież to PRAWDA, nie?

— Nie o to chodzi — odparła chłodno Katherine. — To bardzo niegrzecznie...

— ALE TO PRAWDA, NIE? — powtórzył głośniej. — Nie masz cycków. To fakt i nie zamierzam ci kłamać.

— Nikt nie prosił, żebyś w ogóle się odzywał — warknęła Katherine.

— Nie umiesz przyjąć prawdy, co? — Wzruszył ramionami. — Jesteś za miękka. Mówię...

— Jak jest — dokończyła Katherine. — Wiem.

W ciągu kilku dni Thomas zdołał poobrazić wszystkich przyjaciół Tary. Nazwał Liv kolubryną, a kiedy sprawdziła to słowo w słowniku, zrobiło jej się bardzo przykro. Podczas oficjalnego przedstawiania Fintanowi zawahał się przed podaniem mu dłoni i szybko wytarł ją o dzinsy po uścisku, czym jasno dał wszystkim do zrozumienia, że nie lubi homoseksualistów.

Kiedy jednak zaczął się tak zachowywać w stosunku do Tary, w subtelnej próbie zyskania przewagi, inni naprawdę go zniechęcili. Ale wtedy Tara była już stracona. Thomas wybawił ją w chwili, gdy myślała, że przed nią czterdzieści pięć lat staropanieństwa. Uzależniła się od jego przywiązania, a jeśli miał do niej jakiegokolwiek zastrzeżenia, postanowiła za wszelką cenę mu dogodzić.

Chodziła z nim jakiś miesiąc, kiedy po raz pierwszy napomknęła, że Thomasa denerwuje jej tycie.

— To okropne — stwierdziła zaszokowana Liv. — Powinien cię kochać dla ciebie.

— Mówi mi to tylko dlatego, że się o mnie troszczy — upierała się Tara. — Ma rację. Utyłam kilka kilogramów. Zamierzam je zrzucić.

Liv zacisnęła dłonie w pięści.

— Po tym, co ci zrobił Alasdair, masz poczucie własnej wartości Khmera.

— Komara — poprawiła ją łagodnie Katherine.

— Thomas to zwykły tyran, nie poddawaj się mu.

— Wiem, że jesteś zła za to, co powiedział o twoim wzroście. A ty, Katherine, jesteś zła za to, co powiedział o twoim biuście. Ale nie oszukujmy się, był po prostu szczery. Czy to nie jest przyjemne mieć obok siebie kogoś, dzięki komu wiesz dokładnie, na czym stoisz?

To wtedy Katherine postanowiła się wyprowadzić i kupić własne mieszkanie.

— Uwielbiam jego zdecydowane poglądy — wyznała rozmarzona Tara. — Uwielbiam, kiedy wyraża swoją opinię i nie chce ustąpić. Nie sądzicie, że jego pewność siebie i wiara we własną słuszność są bardzo seksowne? A skoro mowa o seksie, to szalenieć w łóżku, dniem i nocą. Nic ci nie jest, Katherine? Strasznie się zaczerwieniłaś.

— Nic mi nie jest — mruknęła Katherine. Pomyślała, że jeśli jeszcze raz będzie musiała wysłuchać opowieści o sprawności seksualnej Thomasa, zacznie wrzeszczeć.

— Poza tym — dodała Tara, wracając do sedna sprawy — jeśli nawet Thomas czasem rani ludzi, to nie jego wina.

Na widok ich sceptycznych min opowiedziała, jak zostawiła go matka.

— Może gdyby nasze mamy zostawiły nas w tak ważnym okresie życia, też powtarzałybyśmy wszystkim, że mówimy, jak jest.

Chociaż Fintan i — w mniejszym stopniu — Liv usiłowali przemówić jej do rozsądku, marnowali tylko czas. Wielkoduszna Tara postanowiła kochać Thomasa jak najlepiej. Nawet w najgorszych okresach — a robiło się coraz gorzej, kiedy przez te wszystkie miesiące odzyskał całą władzę, którą na początku oddał Tarze — nie mogła przestać mu wybaczać.

Widziała w dorosłym Thomasie porzuconego chłopca. Czy to naprawdę dziwne, że czasem naskakiwał na innych po tej największej z możliwych zdrad?

Istniała też nagroda pocieszenia. Thomas bardzo cenił sobie lojalność. Żądał wierności, ale także ją dawał.

11

Kiedy Tara odłożyła słuchawkę po rozmowie z Katherine i wróciła do kuchni, okazało się, że Thomas już wstał. Patrzył na pseudorustykalny pojemnik na chleb, który kupił na targu w King's Crescent za dziewięćdziesiąt dziewięć pensów.

— Chleb... Wczoraj wieczorem go otwieraliśmy.

Tara poczuła zimną rękę strachu na szyi i zaczęła szukać papierosów. Dlaczego wsadziła do pojemnika chleb w opakowaniu? Dlaczego nie odtworzyła scenerii zastanej tego ranka?

— Czy to nowy bochenek? — zawył z niedowierzaniem.

— Tak — odparła Tara. Zabrakło jej energii, by skłamać albo zażartować.

— A gdzie ten drugi?

Chciała powiedzieć, że go wyrzuciła, ale była zbyt przygnębiona.

— Zjadłam go.

Spojrzał na nią wybałuszonymi oczyma i z otwartymi ustami. Był tak zaszokowany, że ledwie mógł mówić.

— Prawie cały bochenek? — wyjąkał. — Ale dlaczego? Tara poczuła przyływ beztroski.

— Był tu, a ja się czułam taka samotna — spróbowała być dowcipna.

— Nie ma się z czego śmiać, Tara! — wybuchnął.

— Daj spokój. — Uśmiechnęła się. — Zaczynam od zaraz. Od dziś głodówka. Jutro po pracy pójde na zajęcia stepu.

Cały dzień byli apatyczni. Zupełnie jakby mgła tego wilgotnego, szarego poranka zdołała się dostać do ich mieszkania, owinać wokół nich, napełnić powietrze dziwnym fatum. Niezadowolenie tak mocno emanowało z Thomasa, że Tara niemal je dostrzegała. Był niczym komin wypuszczający szare kłęby złych fluidów.

Atmosfera w salonie — w najlepszym wypadku depresyjna, przez brązową sofę Thomasa i brązową wykładzinę — stawała się coraz bardziej nieznośna. Oboje palili więcej niż zwykle i dym z papierosów jeszcze przyczyniał się do ciężkiej atmosfery. Tara rozpaczliwie chciała ją jakoś rozładować, powiedzieć coś radosnego i skłonić Thomasa do uśmiechu, tak żeby znowu wszystko było dobrze. Niczego jednak nie potrafiła wymyślić. Kiedy pokazywała mu coś w gazecie, tylko jęczał albo zwyczajnie ją ignorował.

Siadawali tak niezliczenie wiele razy, w niezliczone niedziele, i zawsze wszystko było w porządku. Właściwie nic się nie zmieniło. Nie było uzasadnienia dla ściskającego żołądek... oczekiwania. Tak, to właściwe słowo. Na co jednak czekała?

— Chętnie bym poszła na tę sztukę o Woodstock — powiedziała, przerywając godzinne milczenie. Tak naprawdę miała gdzieś sztukę o Woodstock, ale nie mogła już znieść ciszy. Potrzebowała pretekstu, żeby się do niego odezwać, i chciała obietnicy jakiejś intymności, sugestii, że wybierze się z nią do teatru.

Thomas zerknął na nią znad gazety.

— No to dlaczego nie pójdziesz na tę sztukę? — warknął, jak gdyby nigdy w życiu nie słyszał czegoś równie głupiego. Następnie potrząsnął gazetą i zniknął za nią, nie widząc zaszokowanej miny Tary.

Do pokoju weszła Beryl, z niesmakiem i wyższością ominęła Tarę — widziałam, jak zjadasz te wszystkie tosty, tłusta krowo, zdawała się mówić — i wylądowała na kolanach Thomasa.

— Przyszłaś do tatusia? — zagruchał i pojaśniał jak bożonarodzeniowa choinka. — Co to za ślicznotka? No co to za ślicznotka?

Tara obserwowała jego dłoń głaszczącą grzbiet i ogon Beryl, a następnie zobaczyła, jak zwinięta na kolanach Thomasa kotka patrzy na nią z wyższością. Poczula się jak w trójkącie miłosnym. Chciała być tym cholernym kotem. Mieć jedną dziesiątą uczucia, jakim darzył go Thomas. Być łaskotaną po brzuchu. Dostać deseczkę do ostrzenia pazurków. I kawałki królika w galaretce.

Beryl posiedziała jeszcze trochę, dopóki jej to odpowiadało, a następnie, z godną podziwu niezależnością, którą tak bardzo chciała naśladować Tara, zeskoczyła z kolan Thomasa i poszła sobie. Ponury nastrój natychmiast powrócił.

— Idę pod prysznic — mruknęła Tara, kiedy ściany pokoju zaczęły na nią napierać.

Strumień wody i świeży, czysty zapach nieco podniosły ją na duchu. Kiedy jednak wróciła do Thomasa, niepokój powitał ją już w drzwiach.

— Czy coś się stało? — spytała. To najwyraźniej zirytowało go jeszcze bardziej. Po chwili uznała, że dłużej nie wytrzyma.

— Daj spokój — powiedziała wesoło. — Zróbmy coś. Zamiast tu siedzieć jak dwa ślimaki, zróbmy coś.

— Niby co? — parsknął.

— Nie wiem — wykrztusiła wstrząśnięta jego wrogością.

— Wyjdźmy. Na litość boską, mieszkamy w Londynie. Możemy zrobić milion rzeczy.

— Niby co? — powtórzył.

— Eee... — Zastanawiała się gorączkowo, desperacko chcąc wymyślić coś interesującego. — Możemy iść do galerii. Do Tate! Jest niezła.

— Piernicz się — stwierdził bezceremonialnie.

Tara musiała przyznać, że jej ulżyło. Choć okropnie się czuła uwięziona w salonie, łażenie po cholernej galerii sztuki byłoby o wiele gorsze. Przeciskanie się przez tabuny hałaśliwych turystów i tych okropnych ludzi, którzy „rozumieli” sztukę, następnie godzinna kolejka w kawiarni po obowiązkowy kawałek ciasta marchewkowego nie przemówiły jej do wyobraźni.

— Może pójdziemy na zakupy? — zaproponowała. — To nowy rock and roll.

Skrzywił się z obrzydzeniem.

— Masz debet, na wszystkich kartach zadłużyłaś się do maksimum, a mnie, choć wykonuję jedną z najważniejszych prac, jakimi może parć się człowiek, też brakuje kasy.

— Już wiem — stwierdziła nagle. — Jedźmy na przejażdżkę.

— Na przejażdżkę? — Thomas oblał trzy egzaminy na prawo jazdy, więc w jego ustach wszystko związane z jazdą samochodem wydawało się dewiacją. — Dokąd? Nic jej nie przychodziło do głowy.

— Nad morze! — zaproponowała z entuzjazmem podszytym rozpaczą.

Nagle wydało jej się to wspaniałym pomysłem. Świeże, rześkie morskie powietrze rozwieje stagnację, która się między nimi zaległa. Odrobina spontaniczności przyniesie im wiele dobrego.

— Nad morze? Czwartego października? — Popatrzył na nią, jakby zwariowała.

— Czemu nie? Ciepło się ubierzemy.

— No to jedźmy — ustąpił z niechęcią.

Po kłesce tostowej Tara bała się zjeść lunch przed wyjazdem. A to oznaczało, że przez całą drogę na wybrzeże paliła i fantazjowała o jedzeniu. Wszystko, co mijali, wyglądało jak żywność. Drzewa stały się główkami brokułów. Belesiana zamieniły się w olbrzymie zbożowe batoniki Shredded Wheats albo — nawet lepiej — w chałwę pełną miodu i cukru. Kiedy mijali pastwisko owiec, Tara zaczęła szybciej oddychać na myśl o olbrzymiej torbie cukierków piankowych. Ściana kredowego kamieniołomu skojarzyła się jej z wielkim kawałkiem nugatu. Ślinka jej pociekła, gdy mijali połyskujące błotniste pole. Dwuakrowe czekoladowe ciastko, pomyślała, z czekoladową polewą. Inne pojazdy na drodze dręczyły ją najbardziej. Nie dlatego, że ich opony wydawały się zrobione z lukrecji. Te z lakierem metalik kojarzyły się jej z czekoladkami opakowanymi w kolorową folię, a potem w celofan. Quality Street na kółkach. Czerwony samochód pomknął w przeciwnym kierunku. Truskawkowy, pomyślała. Potem przejechało fioletowe auto. Orzech laskowy w karmelu. Potem żółte. Toffi. Potem zielone. Kompozycja orzeszkowa. Potem brązowe. Kawowy.

Często się jej to przytrafiało. Kiedy Liv nosiła zielone soczewki kontaktowe, Tara zawsze miała skojarzenia z cytrynowymi żelkami. Kiedy pojechała do Włoch i przelatywała nad białawymi górami pokrytymi brązową karłowatą roślinnością, mogła myśleć wyłącznie o tiramisu. Kiedyś poszła do znajomej i już od progu ujrzała miskę z żelkami, więc szybko spytała, czy może wziąć jednego. To jednak nie były żelki, tylko kryształ, i przez następne pół godziny Tara musiała udawać, że je podziwia.

— Cierpię na skojarzenia z żywnością — mruknęła do Thomasa, ale był zbyt zajęty paleniem i wyglądaniem przez okno. Zresztą i tak nie chciała, żeby ją usłyszał.

Po niemal godzinnej jeździe Thomas wystawił palec w kierunku restauracji Little Chef i powiedział:

— Patrz!

Serce Tary wypełniło się nadzieją. Może pozwoli jej coś zjeść. Okazało się jednak, że Thomas pokazywał jej morze. Pojechali do Whitstable w Kent i mieli kamienistą plażę wyłącznie dla siebie. Było równie wilgotno i mglisto jak rano. Nieruchome morze miało brudnawy, szarobrazowy kolor, a niebo wyglądało na zabetonowane. Pustka i szarość jeszcze bardziej przygnębiły Tarę. Przyjazd tutaj był pomyłką. Dwie godziny, na które uwięźli w samochodzie, paląc jak głupi, okazały się jeszcze bardziej stresujące niż poranek w salonie. Mimo mało zachęcającej aury Tara uparła się, by poszli na spacer, w nadziei, że świeże powietrze uczyni cuda. Z opuszczonymi głowami wlekli się plażą, a gdy dotarli do falochronu, przystanęli. Usiedli na wilgotnym żwirze i wpatrywali się w nieruchomą wodę. Było to równie odprężające jak gapienie się na wyłączony telewizor. Nie śpiewały żadne ptaki.

Po piętnastu pełnych ciszy minutach podreptali do samochodu i wrócili do domu. W drodze powrotnej znów zaczęło padać.

Fintan i Sandro spędzali dzień milej niż Tara i Thomas. Najpierw poszli do Circus na ożywiony, przegadany lunch z tłumem przyjaciół, a po powrocie do domu czytali niedzielne gazety. Fintan rozłożył się na sofie z beżowej skóry — ostatnim krzyku mody, a stopy oparł o nogi Sandra.

Doskonale zharmonizowani, nawet nie musieli mówić, żeby się porozumieć.

— Czytałeś...

— ...Michaela Bywatera?

— Uhm. Zabawne.

— Uhm.

Nastąpiła długa, przyjemna cisza.

— Myślisz...

— ...o kosmatym dywaniku? Myślę. Moglibyśmy obejrzeć je...

— ...w następny weekend. Dobrze. Znowu pełna cisza.

Sandro zwinął stronę poświęconą kulturze z „Independent” i otworzył usta, by poprosić Fintana o dział „Z życia wzięte”, ale Fintan go uprzedził i już wyciągał gazetę w jego kierunku.

Fintan i Sandro poznali się sześć lat wcześniej, kiedy Fintan, Tara i Katherine wynajmowali mieszkanie w Kentish Town. Sandro dosłownie był chłopakiem z sąsiedztwa.

W dniu, w którym wprowadził się do mieszkania po drugiej stronie korytarza, Fintan tylko zerknął na jego drobną, ale krzepką sylwetkę, delikatną twarz, ogoloną głowę i okrągłe okulary, i natychmiast się zakochał. Już do tego dojrzał. Od mniej więcej roku nie przestawał się użalać:

— Mam dosyć tych podchodów. Chcę się ustatkować. Potrzebuję poważnego partnera.

Wiedział z przychodzącej do nich poczty, że nowy chłopak nazywa się Sandro Cetti. Kiedy się spotykali na korytarzu, zawsze był uśmiechnięty i przyjacielski, więc pewnego ranka Tara odważnie go wypytała i ustaliła, że to architekt z Rzymu.

— Włoski ogier — powiedział później Fintan.

— Ogier raczej nie — zaprotestowała Tara. — Chyba raczej włoski kuc.

Przez wisko przyłgnęło do Sandra.

— Nie wiem, czy to gej — histeryzował Fintan. — Nie odbieram żadnych sygnałów.

— Ja też — martwiła się Tara. — Nie jestem pewna, czy jest hetero.

— Może to kosmita — odezwała się Katherine z łazienki.

— Wychodzi, wychodzi — pisnęła Tara, a Fintan pognał do okna i dyskretnie obserwował, jak Sandro idzie prężnym krokiem ulicą, schludny i malutki w modnym garniturku i błyszczących martensach.

— Czy nie jest cudowny? — westchnął Fintan. — Śliczny jak marzenie.

Z biegiem tygodni wszystko, co Sandro powiedział i zrobił, tylko pogłębiało oddanie Fintana. Pewnego wieczoru przed domem zdarzył się wypadek samochodowy i następnego dnia niezwykle ożywiony Sandro ekscytował się przed drzwiami wejściowymi.

— Leżałem we śnie i nagle BUM! — Uniósł obie ręce, jakby dyrygował. — Usłyszałem okropny, okropny hałas, więc pobiegłem do okna i wszędzie było szkło!

Później Fintan powtarzał każde słowo wypowiedziane przez Sandra.

— „Wszędzie było szkło”. Jak można się temu oprzeć? „Leżałem we śnie”. Ten chłopak jest aniołem. — Westchnął z uczuciem. — Coraz gorzej ze mną.

Mijał czas, a Fintan ciągnął swoje wysokooktanowe życie: imprezy, dubbing, lecz zawsze rozglądał się na boki na wypadek, gdyby Sandro pojawił się w którymś z gejowskich klubów.

Nie pojawił się jednak, a z Fintana uchodziła para. W końcu zaczął przebąkiwać:

— Życie straciło swój smak.

Krytyczny moment nadszedł pewnego wieczoru, kiedy Fintan zmierzał do domu w białych neomasochistycznych spodniach od Katherine Hamnett. Wskoczył z nocnego autobusu — drobiąc jak gejsza, gdyż miał związane nogi — kiedy natknął się na tłum opryszków, przepelnionych uprzedzeniami i dysponujących dużą ilością wolnego czasu. Fintan próbował uciec. Ponieważ nie mógł biegać, usiłował skakać jak podczas wyścigu w workach i jednocześnie rozwiązać troczki. Nie zdołał jednak zbiec, stłukli go do nieprzytomności. Zdarzało się to już wcześniej, ale nigdy aż tak dramatycznie.

Po trzech dniach spędzonych w szpitalu wrócił do domu i właśnie wtedy Sandro wkroczył na scenę. Powiedział, że wpadnie do Fintana, kiedy dziewczyny będą w pracy. Fintan wyglądał jak po katastrofie kolejowej, ale był tak rozklejony i przygnębiony po napadzie, że machnął ręką na próżność.

Sandro przygotował Fintanowi herbatę i zupę i aby nie urazić jego przestawionej szczęki, pomógł mu pić przez słomkę. Ponieważ Fintan ledwie widział ze względu na podbite, opuchnięte oczy, Sandro zaproponował, że mu poczyta.

— Tak, poproszę. Weź coś z tej sterty.

Fintan machnął ręką, a Sandro niepewnie podszedł do stosika, zastanawiając się, co to za czasopisma. Okazało się, że to prospekty reklamowe.

Depresja Fintana rosła, kiedy leżał w rozkosznej męce, na wyciągnięcie ręki od obiektu pożądania, który sącył mu do ucha słodkie słówka.

— ...bar na basenie, bujne ogrody, klimatyzacja, darmowa herbata i kawa, strzeżony plac zabaw.

— Śniadanie i kolacja?

— Tylko pokój. Ale piszą, że są trzy restauracje. „Grill bar przy plaży, przyjazna dzieciom U Harveya i bardziej formalna Cochon Gros”.

— I tak nie pojedę do żadnego z tych miejsc — mruknął Fin tan. — Ale miło jest pomarzyć. Jakie tam są temperatury o tej porze roku?

Sandro zerknął do tabeli z tyłu broszury, po czym nagle rzucił ją na ziemię.

— Jestem taki zły na tych ludzi, na te zwierzęta, które ci to zrobiły — powiedział ze złością.

— Na... naprawdę? — zakrzuszył się Fin tan.

— Jestem zły, że zrobili to gejomu, i jestem zły, że zrobili to tobie!

Co to oznaczało? Czy Sandro był jedynie liberałem o miękkim sercu? Heteroseksualnym liberałem o miękkim sercu?

Na szczęście nie. Sandro był takim samym gejem jak jego sąsiad (Fin tan). W końcu wyszło to na jaw i Sandro przyznał, że dwa lata wcześniej jego przyjaciel zmarł na „wirus”.

— Czuję, że już nigdy nie będę mógł się do nikogo przywiązać. Ale kiedyś widzę, jak wchodzisz do mieszkania i wychodzisz. — Sandro z zażenowaniem zwiesił głowę, niepotrzebnie zresztą, bo Fin tan właściwie nic nie widział. — Myślę, jaki... jaki przystojny. Potem przynosisz mi listy i ulotki o pizzach i czyszczeniu okien, i myślę, że jesteś bardzo miły.

Wyjątkowo łagodnie, żeby nie przestawić szczęki Fintana, pocałowali się po raz pierwszy, a Fin tan poczuł się tak szczęśliwy, że niemal pękło mu serce, zupełnie jak warga. Od tego dnia Sandro i Fin tan byli nierozłączni i stanowili idealną parę.

Szaleli za sobą. Sandro był przepełniony szczęściem, że znów się zakochał, a Fin tan w końcu poznał mężczyznę idealnego.

— Teraz rozumiem, dlaczego mówią o „drugiej połowce” — przyznał. — Tym jest dla mnie Sandro.

Obaj byli poranieni — Fin tan przez traumę związaną z pobiciem, a Sandro przez śmierć poprzedniego chłopaka — więc traktowali się czule i z troską. Jednocześnie obaj mieli niespożytą energię, olbrzymie grono przyjaciół i wielką potrzebę życia towarzyskiego. Angielszczyzna Sandra bardzo się poprawiła. Jedyne problemy polegały na tym, że teraz mówił z leciutkim irlandzkim akcentem i okraszał rozmowy zwrotami takimi jak „spoko” i „a niech cię”.

Pół roku później kupili mieszkanie na poddaszu w Notting Hill, a Sandro wykorzystał swoje architektoniczne umiejętności, żeby porobić otwory w suficie i wyburzyć ściany, a także wstawić tyle antresoli, świetlików i podłóg z polerowanego betonu, że mieszkanie pokazano w „Który dom?” i „Elle Decoration”.

— Wstajemy. — Fintan podniósł stopę z ud Sandra. — Trzeba oglądać rzeczy, zająć się ludźmi. Chcesz iść później do Katherine?

Sandro entuzjastycznie pokiwał głową. Był to kolejny powód, dla którego tak dobrze im się układało. Fintan stanowił część zestawu, razem z Tarą i Katherine — kochaj mnie, kochaj moich przyjaciół — i kiedyś darował sobie potencjalny obiekt westchnień, gdyż tamten był bardzo niechętny Katherine i wykrzyknął: „Ona ma obsesję!”

— A po Katherine wyskoczmy na drinka i tańce? — spytał Sandro.

— Pewnie. Wobec tego lepiej spakujmy cię przed Norwich, bo rano będziesz zbyt zmęczony — zatroszczył się Fintan. Następnego dnia Sandro wyjeżdżał na tydzień do Norwich, gdzie miał pracować nad tamtejszym domem. — Przynies koszulę do wyprasowania.

— Wiesz, że nie musisz tego robić — zauważył Sandro. — Ja mogę spróbować.

— Eee, nie. Tobie tak ładnie nie wychodzi.

— No dobrze — stwierdził wstydliwie. — Dziękuję. Fintan rozłożył deskę do prasowania, a Sandro podał mu pięć koszul.

— Co muszę zapakować? — zawołał z beżowej, utrzymanej w japońskim stylu sypialni, a jego walizka sfrunęła na stojące na podeście łóżko.

— Pięć par majtek, pięć par skarpet, szczotkę do zębów, fajki, ładowarkę do komórki, zapomniałeś jej ostatnio...

— Mogę wziąć twoją dzinsową marynarkę?

— Jeśli ci nie przeszkadza, że jest za duża.

Fintan z uczuciem rozprasowywał każdą fałdkę na koszulach Sandra, a następnie starannie ułożył je w walizce i wygładził.

— No dobrze, jesteś już gotowy. Teraz zadzwonię do matki. Każdej niedzieli bez wyjątku dzwonił do matki. Jak na siedemdziesięcioparolatkę i irlandzką katoliczkę, JaneAnn była całkiem w porządku. Wiedziała, że Fintan to gej, i wyglądało na to, że nie jest to dla niej problem. Jediną zmarszczką na gładkiej powierzchni pozostawała kwestia „współlokatora” Fintana. Fintan nie wiedział, jak pokierować rozmową, aby wyjawic, że mieszka ze swoim chłopakiem, a z biegiem czasu coraz trudniej mu było zahaczyć o ten temat. Podnosił słuchawkę, a następnie plotkowali godzinami, choć głównie mówiła JaneAnn. Jak na takie małe miasteczko, Knockavoy nie mogło narzekać na brak akcji. Trzy jałówki uciekły z pola Clancy'ego i zniszczyły krzak w ogródku na plebanii, i teraz gospodyni proboszcza nie odzywała się do

Francie Clancy. Delia Casey organizowała aukcję charytatywną dla Rwandy. „A co to jest ta aukcja charytatywna? Coś jak wyprzedaż?” No i najświeższa nowina: w spożywczym pojawiły się tartinki.

— Może na gwiazdkę pojedziesz ze mną do Irlandii? — zaproponował Fintan po odłożeniu słuchawki.

Sandro zachichotał nerwowo.

— Boję się. A jeśli mnie nie polubią? Twoja matka i bracia?

— Polubią. Sandro, pięć lat to za dużo, żeby ciągle unikać rodziny. Czas stawić temu czoło.

— Masz rację. I moglibyśmy jechać do mojej rodziny na Nowy Rok.

Fintan zbladł.

— Możemy też zapomnieć o całej sprawie i pojechać do Lanzagrotty.

— Znowu?

— Zobaczymy. Przygotujmy się na wyjście do Katherine.

— Wziąłeś dziś witaminy?

— Zapomniałem. Wezmę je teraz.

— Fin tan, nie wolno ci zapominać. To ważne, żebyś je brał. Sandro wydawał się zirytowany.

— Przepraszam, mamó.

13

Tego wieczoru Tara niemal bała się wyjść. Nie chciała zostawiać Thomasa, gdyż atmosfera wciąż była dziwna i napięta. To oznaczałoby przyznanie się do porażki. Kiedy jednak znalazła się za drzwiami, a potem w aucie, omal nie zemdląła z euforii. Co za ulga wydostać się z tego mieszkania! Znaleźć się daleko od okropnej klaustrofobicznej atmosfery strachu i napięcia.

— Nic ci nie jest? — spytała Katherine, otwierając drzwi. Tara pokręciła głową i zapaliła papierosa.

— Przepraszam cię za ten telefon alarmowy o świcie. Miałam porannego kaca, a wtedy świat wydawał mi się... złowieszczy, jak sądzę. To kara za picie zbyt dużych ilości ginu.

— Nieważne — odparła Katherine. Tara nie chciała nic mówić, jeszcze nie.

— O nie! — wykrzyknęła Tara, demonstrując papierosa ze śladem po szmince na filtrze. — Moja nowa nieścieralna szminka wcale nie jest nieścieralna. Tamta dziewczyna mówiła, że będę potrzebowała rozpuszczalnika, żeby ją usunąć.

— Typowe — mruknęła Katherine.

— Dlaczego ciągle kłamią? — westchnęła ze smutkiem Tara. — Dlaczego wciąż mnie zawodzą?

— Napij się — pocieszyła ją Katherine. — Piwo czy wino?

— Piwo. Zrobię Thomasowi sweter na drutach.

Przez chwilę Katherine była całkowicie skonsternowana. Szybko jednak odzyskała równowagę.

— Dobra dziewczynka! — stwierdziła entuzjastycznie.

— Nieźle sobie radziłam na zajęciach z robienia na drutach, pamiętasz? — przypomniała jej Tara. — Pamiętasz ten śliczny różowy szalik, który zrobiłam dla Puszka?

— Taaaak — odparła cicho Katherine. — Czy fakt, że to się działo dwadzieścia sześć lat temu, kiedy miałyśmy po pięć lat, ma jakieś znaczenie?

— Robienie na drutach jest jak jazda na rowerze — zauważyła Tara. — Chociaż... — dodała zniecierpliwiona, mocno zaciągając się papierosem, aż do pięt — pamiętasz, jak Puszek rzucał się i darł ten śliczny szalik, aż się go pozbył? W ogóle nie chciał się uspokoić, dopóki go nie załatwił?

— Tak to już jest z kotami. — Katherine uśmiechnęła się do niej zachęcająco.

— Tak to już jest z kotami — powtórzyła z goryczą w głosie Tara. — Niewdzięczne świnię. Nie to co psy. Psy są inne, czułe i lojalne. Ale kot utopiłby cię w łyżce wody, zjadł ostatniego dropa, wystawił cię do wiatru dla uciechy. Sprzedałby własną babkę, gdyby mu się to opłacało, oczerniłby cię za...

— Może Puszek po prostu nie lubił różowego koloru. — Katherine uznała, że lepiej przerwać tę litanię.

Tara spojrzała na Katherine jak na obcego człowieka.

— Może i nie — mruknęła. Rozejrzała się wokół, jakby nie była pewna, gdzie jest. — Katherine, co jest nie tak?

Twój beznadziejny chłopak, pomyślała Katherine, ale milczała.

— Może to hormony — odpowiedziała sobie Tara. — Trochę za wcześnie, ale to by wyjaśniało, dlaczego dziś tak się czuję. Brakowało tylko, żebym spadła ze schodów i wydała miesięczną pensję na śliczny żółty korkociąg, a miałabym całą listę symptomów. Z wiekiem PMT robi się coraz gorszy, prawda?

— Tak — zgodziła się Katherine. — Tyle że teraz nazywa się PMS.

— W wieku dwudziestu lat nie miałam pojęcia, jaka ze mnie szczęściara — stwierdziła z rozmarzeniem Tara. — Nie działo się nic poza tym, że przez dziesięć dni w miesiącu zjadałam dwudziestopięciokilogramową torbę słodyczy i płakałam, jeśli ktoś zapytał mnie o godzinę, a po trzydziestce to się zamieniło w pełnowymiarową psychozę! Menopauzo, przybywaj!

— Nic ci nie jest — oznajmiła Katherine. — Nie zapominaj, że mam wolny pokój, jeśli nie miałabyś gdzie się przespać.

Tara znowu poczuła się okropnie. A już robiło się jej lepiej. No cóż.

— Dzwoniłam do Fintana — ciągnęła Katherine. — Wpadnie razem z kucem.

Nastrój Tary ponownie się poprawił. Fintan zawsze potrafił ją pocieszyć. Poczuła, jak czarna chmura, przesładująca ją przez cały dzień, odsuwa się znad czubka jej głowy.

— Dzwoniłam też do Liv, ale Lars przyjechał. Zupełnie nieoczekiwanie.

Lars był tym żonatym Szwedem, z którym chodziła Liv. Czy raczej z którym zamykała się w mieszkaniu. Przyjeżdżał do Londynu co parę miesięcy, zawsze odpowiednio dozując przerwy między swoimi wizytami, by Liv szalała z samotności, ale jednocześnie nie zdążyła jeszcze o nim zapomnieć. Ze względu na krótkotrwałość jego wizyt większość czasu spędzali w łóżku.

Rozległ się dzwonek, oznajmiając, że przybyli chłopcy. Katherine wpuściła ich na klatkę schodową i czekała w przedpokoju, żeby otworzyć drzwi. Fintan dudnił na schodach, odziany w przeraźliwie kosztownie wyglądający pistacjowozielony płaszcz z owczej skóry. Był bardzo podekscytowany.

— Chodźcie, chodźcie — zarządził i nie chciał wejść do mieszkania. — Szybko, dziewczyny! Tuż przy furtce niemal mnie powaliło na widok überfaceta nad überfacetami. Szedł tędy jak wiking. Sandro stoi na straży. — Złapał Katherine za rękę i usiłował zaciągnąć ją na schody. — Był olbrzymi. Wielki jak stodoła i — wiem, że nie uwierzycie — miał cudowne rude włosy. Rude włosy! Ale był wspa... Co ci jest, Katherine? Masz minę jak pies, który ugryzł osę.

— Nic.

— No to chodź się pogapić. Zanim zniknie.

— Pada.

— Nie to nie, ty marudna Margaret. Chodź, Tara.

— Nie dziś, Josephine — odparła Tara. Uwielbiała Fintana, ale nie chciało jej się wychodzić na zimny wieczór i podziwiać jakiegoś rudego bałwana. — Rozgość się. Chodź i zaprezentuj nam swój fantastyczny płaszcz.

— Et tu, Brute? Nie wiem, co się z wami dzieje — narzekał Fintan. Uznał jednak, że wiking zapewne i tak już zniknął z pola widzenia, więc wetknął w usta dwa palce i przeraźliwie zagwizdał. Usłyszeli tupot i za chwilę na schodach pojawił się Sandro.

— Bóg miłości ucieka — oznajmił bez tchu. — Jeśli się nie pośpieszymy...

— Zapomnij, Sand — przerwał mu Fintan. — Nie są zainteresowane.

Sandro spojrział na nie z przerażeniem, a Fintan mruknął:

— Wiem.

Następnie Sandro wznosił oczy ku niebu, a Fintan mruknął:

— Wiem.

— Dziewczyny! — stwierdził Sandro.

— Wiem.

Katherine zmarszczyła brwi.

— Właźcie obaj — powiedziała, a oni aż podskoczyli. I potulnie weszli.

— Dlaczego biegacie za facetami na ulicy, skoro właściwie jesteście małżeństwem? — Tara zwróciła się do Sandra i Fintana, gdy siadali na sofie. Fintan nie zdjął jasnozielonego płaszcza.

— A co złego w patrzeniu? — uśmiechnął się Sandro. — Nie porwaliśmy go.

— Tylko dlatego, że sieci zostały w domu. — Fintan trącił go łokciem i obaj wybuchnęli obleśnym śmiechem, pochylając się ku sobie.

— Dupki — westchnęła Tara. — Macie cholerne szczęście. Nigdy nie czujecie się zazdrośni ani niepewni?

— Nie. — Spojrzeli na siebie i wzruszyli ramionami.

— Dlaczego? — chciała wiedzieć Tara.

— Po co jeść hamburgera, kiedy ma się w domu stek? — odparł Fintan śpiewnym głosem.

— Jakie to słodkie — pisnęła Tara, na krawędzi łez. Pokój zalała cukierkowa poświata, ale kiedy dotarła do Katherine, straciła tupet, podkuliła ogon i związała.

— Chociaż miło jest czasem zjeść hamburgera — oznajmił zuchwale Sandro.

— Na pewno nie ma nic złego w patrzeniu. — Fintan pokiwał głową.

— Gdyby Thomas spróbował zarzucać sieci na ładną kobietę na ulicy, oberwałabym mu jaja — wyznała Tara. — Wiem, że wszyscy go nienawidzicie, ale...

— Nie wszyscy go nienawidzimy — przerwała Katherine.

— Ja go nienawidzę — oświadczył hardo Fintan. — Ja też — dodał Sandro. — I Liv.

— Ja także — dodała Katherine. — Przykro mi, Tara, masz absolutną rację. Wszyscy go nienawidzimy. Mów dalej.

Tara patrzyła ponuro, jak ryczą ze śmiechu.

— Żartowałam — wycofała się pospiesznie Katherine. W przeciwieństwie do Fintana zazwyczaj potrafiła ukrywać pogardę do Thomasa. Stapała po wąskiej ścieżce: choć miała obowiązek informować Tarę, że zasłużyła na kogoś lepszego od Thomasa, miała też obowiązek być jej spowiednikiem. Gdyby Tara uświadomiła sobie, jak bardzo Katherine nienawidzi Thomasa, przestałaby się jej zwierzać, a to nie byłoby dobre. Przynajmniej nie dla Tary. Z drugiej strony, byłoby to bardzo dobre dla Katherine: jej ciśnienie skakało nieraz bardzo wysoko na wieść o tym, co znowu zrobił Thomas.

— Wiem, że wszyscy go nienawidzicie — upierała się Tara. — Ale nie widzicie tego, co ja.
— Naturalnie — mruknął Fintan, bojąc się spojrzeć na innych, aby nie wybuchnąć śmiechem.
— Wiem, że czasem bywa... trudny. Ale to dlatego, że mama go zostawiła. Kocha mnie i nigdy nie zdradzi — powiedziała Tara. — A to bardzo ważne. Zwłaszcza po tym, jak...

Wszyscy czekali.

Znali scenariusz.

— Zwłaszcza po tym, jak... — Tara złowieszczo czknęła.

— Zwłaszcza po tym, jak...

— ...Alasdair cię zostawił... — podsunął Fintan.

— ...i ożenił się z inną — dokończyła Katherine. Tara popatrzyła na nich podejrzliwie.

— Za długo o tym gadam czy co?

— Ależ nie — odparł uprzejmie Fintan. — Dwa lata to pestka.

— Skoro tak twierdzicie — rozjaśniła się.

— Jasne, że twierdzimy — stwierdzili. Nadszedł czas na przyjrzenie się strojowi Fintana.

— Mogę dotknąć płaszcza? — spytała niemal z nabożeństwem Tara. — Naprawdę jest twój czy tylko pożyczony?

— Pożyczyłem z magazynu. Cannella zrobiłaby sobie z moich jelit podwiązki, gdyby się o tym dowiedziała.

— Ubrania wyglądają na tobie wspaniale — westchnęła z zazdrością. — Zwłaszcza odkąd trochę schudłeś.

Fintan zawsze ubierał się z charakterem. Jako że płaszcz był częścią stylizacji à la Manchester, Fintan włożył też workowate dżinsy, workowatą koszulę i kobaltowe traperki.

— Dziś czuję nostalgię — oznajmił, żeby nikt sobie nie pomyślał, że wróciła moda na Manchester. Zawsze trzymał rękę na pulsie i dbał, aby wszyscy o tym wiedzieli. — Pomyślałem, że zrobię się na retro. Powtórka z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego siódmego. Brakuje mi tylko... — Wbił wzrok w okulary Sandra.

— Nie! — Sandro natychmiast przyjął pozycję obronną. — Nie dam ci ich.

— Na pięć minut, tylko o to proszę — błagał Fintan. — Czuję się bez nich nagi. Nie da się naśladować stylu manchesterskiego bez lennonek. Błaaaaagam.

— No dobrze. — Sandro niechętnie wręczył mu okrągłe okularki, a Fintan natychmiast je nałożył.

— No proszę! Nareszcie czuję się ubrany. Jezu Chryste, ale mocne. — Usiłował przyjrzeć się pozostałym. — Boże, to świetne. Szkoda, że nie wiedziałem tego wcześniej. Co tam halucynacje! Mogłem przez te wszystkie lata oszczędzić fortunę na narkotykach.

— Możesz mi je już oddać? — spytał Sandro. — Bez nich latają mi plamy przed oczyma.

— Przecież i tak latają ci każdej niedzieli, kiedy się schlewasz — zauważył Fintan. — Zaczynaj trochę wcześniej.

Tara machnięciem ręki zbyła Fintana wręczającego jej okulary.

— Kiedy ja nakładam okulary, wyglądam jak sowa — powiedziała.

— Jaka sowa?

— Rasowa.

— To jak sobie radzisz? Nosisz szkła kontaktowe?

— Tak — odparła.

— A ty? — Fintan zwrócił się do Katherine. — Jaki masz wzrok?

— Idealny — odpowiedziała.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, nawet Katherine.

— No pewnie — wyła Tara. — Chodzący ideał.

— Czasem rzygam już sobą — wyznała Katherine z rozbawioną miną.

— Anonimowi perfekcyjniści — doradziła jej Tara. — Tam powinnaś się udać.

— Au, au — narzekał Fintan, kładąc rękę za uchem. — Au, cholera jasna, au. Moje węzły! Coś się do mnie przyczepiło.

— Sandro może się obrazić — zauważyła Tara.

— Nie, to nie żart. Moja szyja, brzuch. Jestem wrakiem! Te cholerne pałeczki coli. Cały dzień dobrze się czułem. Myślałem, że je załatwiłem.

Katherine otworzyła usta, żeby ich ochrzanić, ale zamknęła je natychmiast, gdy ujrzała zmartwione spojrzenie Sandra.

— A co dziś z tobą? — zwrócił się Fintan do Tary. — Co cię dziś gnębi?

— Niedożywienie — westchnęła Tara. — Znalazłam się na etapie, w którym żołądek wydyma się z braku jedzenia. To bardzo zaawansowana forma tej choroby, wzdęło mi również uda, tyłek i całą resztę.

— Skoro już o tym mowa — wtrąciła gładko Katherine — dzwoniemy po pizzę?

— Jedzenie? — powiedział z wyższością Fintan. — Nie tykam. My, ludzie mody, nie jadamy.

— Musisz coś zjeść.

— Nie mogę! — zapiszczał i złapał się za żołądek. — W zeszły wtorek zjadłem anadin i utylem gram. Ważę już niemal dwadzieścia pięć kilogramów. Codziennie muszę wysłuchiwać tego w pracy — stwierdził ponuro. — Zmuszają cię do wymiotów. No dobra, chcę dużą pizzę „Cztery pory roku” z dodatkowym serem, pomidorami, grzybami, pepperoni, szynką... — Wszyscy czekali, aż krzyknie: „Dobra, niech będą dwie duże pizze, i tyle!”, jak zawsze. Nie zrobił tego jednak, a kiedy Katherine mu przypomniała, stwierdził: — Nie jestem aż tak głodny. Jedna mi wystarczy.

— Dla mnie duże „Cztery sery” na głębokim oleju — stwierdził bez wahania Sandro. Był jednym z tych szczupłych, drobnych mężczyzn, którzy obżerali się do upadłego i nigdy nie tyli.

— Jestem tak głodna, że mogłabym zjeść udziec Baranka Bożego — stwierdziła Tara. — Ale nie wolno mi jeść. Jestem na diecie. A kiedy jestem na diecie, jem tyle samo, co zawsze, a różnica polega tylko na tym, że bez przerwy myślę o jedzeniu. Chociaż i tak bez przerwy myślę o jedzeniu. Wiecznie jestem głodna. Nadepnij mi na stopę, a otworzę usta. — Mówiła coraz wyższym głosem. — Kiedy się denerwuję, chcę jeść. Kiedy się ekscytuję, chcę jeść. Kiedy się martwię, chcę jeść. Nawet kiedy mi niedobrze, jedynie jedzenie uspokaja mój żołądek. Moje życie to KOSZMAR. — Skończyła wibrującą nutą, a jej słowa odbiły się echem w pełnej współczucia ciszy.

— Czyli to, co zwykle? — odezwała się po chwili Katherine.

— Może jeszcze dodatkowy chleb czosnkowy z serem? — zaproponowała Tara.

Tara zadzwoniła, a następnie cała czwórka usiadła, by obejrzeć *Ambasadora*.

— Fantastycznie — oznajmił Fintan podczas pierwszej przerwy reklamowej. — Dobra, czysta, staroświecka rozrywka. Jak za dawnych czasów.

— Nie powinnam była zamawiać tego jedzenia — przerwała Tara grobowym głosem. Mówiła do siebie. — Naprawdę nie powinnam — dodała głośniejszym głosem. — Żałuję, że to zrobiłam. O Boże, naprawdę żałuję.

— Nie musisz jeść — zauważyła bez przekonania Katherine.

— Nie mam wyboru. — W głosie Tary pojawiła się histeria. — Nie mam cholernego wyboru. Teraz, kiedy już złożyłam zamówienie, nie zdołam się powstrzymać. Nie mam nawet grama silnej woli. Ale od tego zależy cała moja przyszłość. O Boże — załkała. — Co ze mną będzie?

Następnie ukryła twarz w dłoniach i wybuchnęła płaczem, od którego trzęsły się jej ramiona.

Właśnie ten moment wybrał dostawca pizzy na realizację zamówienia, więc kiedy Katherine i Sandro pocieszali Tarę, Fintan zszedł i zapłacił. Nie mógł sobie odmówić: podbiegł do furtki, by raz jeszcze zerknąć na swojego wikinga. Lorcan jednak dawno sobie poszedł.

Gdy tylko zaczęło padać, pośpieszył do domu. Zawsze niechętnie wychodził podczas mżawki, bo choć miał piękne i jedwabiste włosy, już po kilku sekundach opadów atmosferycznych skręcały się w wielką kulę. Obawiał się, że bieganie odbierze mu godność, więc kiedy dwadzieścia minut później dotarł do swojego mieszkania, wyglądał jak dubler Ronalda McDonalda. Musiał umyć włosy. Na szczęście ten wieczór i tak miał poświęcić na wszechstronną pielęgnację. Kiedy Fintan po raz ostatni ze smutkiem spoglądał na ulicę, Lorcan właśnie przystępował do wiązania gorącego różowego ręcznika na głowie. Wtarł resztki odżywki w końcówki włosów. Jestem tego wart, powiedział sobie z zadowoleniem, uśmiechając się do nie istniejącej kamery. Bo jestem tego wart.

Fintan wrócił.

— Przykro mi z tego powodu — szlochała Tara. — Po prostu teraz trochę mi trudno. Bo Thomas i urodziny, i jestem tłustą krową, i ten straszny dzień nad morzem, i moja nieścieralna szminka nie jest nieścieralna! Wszystko będzie dobrze, kiedy trochę schudnę i zrobię Thomasowi sweter... Przepraszam.

— Nie musisz przeproszać — uspokoił ją Fintan.

— Jasne, że nie — potwierdził Sandro.

— Nie nas — zapewniła ją Katherine.

— Jesteśmy twoimi przyjaciółmi — oznajmili unisono.

14

Tara i Katherine były najbliższymi przyjaciółkami od początku szkoły, ale Fintan dołączył do nich stosunkowo późno. Zacieśnili więzi, gdy one miały po czternaście lat, a on piętnaście. Znały go, rzecz jasna: Knockavoy było małym miasteczkiem, wiedziało się tam niemal wszystko o sąsiadach. Zwłaszcza że Fintan zawsze był „inny” niż reszta chłopców. Świadczyły o tym jego zdolności manualne, uprzejmość dla własnej matki i brak entuzjazmu dla wrywania nóg żabom.

Jednakże dopiero w 1981, kiedy odkrył muzykę New Romantic, jego „wyjątkowość” na dobre wymknęła się spod kontroli. (Faza New Romantic dotarła do reszty cywilizowanego świata nieco wcześniej, lecz Knockavoy znajdowało się w innej strefie czasowej, miało jakieś sześć do dziewięciu miesięcy opóźnienia). Nagle Fintan zaczął paradować po dwóch ulicach miasteczka w błyszczącej żółtej tkaninie. (Już wtedy nazywał materiał „tkaniną”, pewny znak, że czekała go kariera w branży mody). Wiązał jedwabną wstążkę na asymetrycznym paziu, malował usta fioletową szminką i ozdabiał uszy kolczykami, które sobie zrobił, gdy ukradł piórka z zestawu wędkarskiego brata i ufarbował je na czerwono i niebiesko.

„Fintan O'Grady przekłuł uszy!” Plotka rozprzestrzeniła się jak pożar lasu. Tyle zamieszania nie było od wyglupów Delii Casey. Wszyscy byli bardzo rozczarowani, gdy się okazało, że rzekome kolczyki to w rzeczywistości klipsy.

Mimo to Fintan nie przestawał intrygować mieszkańców Knockavoy.

— Patrz tylko na niego — mamrotali w ponurych barach, sklepach i na poczcie. — Paraduje tu jak paw. Czy ma na sobie najlepszy obrus JaneAnn O'Grady? Jeremiahs O'Grady na pewno przewraca się w grobie.

W zwykłych okolicznościach Fintan mógłby się spodziewać potężnego lania od innych młodych mężczyzn w mieście. Rzeczywiście odnosili się do niego z pełną zgorzknieniem wrogością. Paru ulicznych chłopaków wrzasnęło: „Ty

cioto, ty", gdy się przechadzał w swojej szafranowej jedwabistości. Jeden z nich nawet posunął się do tego, żeby krzyknąć: „Brudny pedał!”

Kiedy jednak Fintan odpowiedział: „Och, Owene Lyonsie, nie mówiłeś tego w niedzielę za oborą Cronina. Anity, Michaelu Kenny", tłum młodzieńców natychmiast zarzucił oskarżenia. Mimo zalewu spanikowanych zaprzeczeń Owena Lyonsa i Michaela Kenny'ego — „Nie wiem, o czym gada ten kłamliwy pedał” — wśród chłopców pojawiły się podejrzliwość i strach.

Fintan miał ostry i niewyparzony język. Był wysoki i dobrze zbudowany. Miał czterech starszych braci, także wysokich i dobrze zbudowanych, i do tego bardzo opiekuńczych. Ze względu na to wszystko zdenerwowani młodzieńcy w miasteczku postanowili dać mu święty spokój.

Z powodu wybranej przez siebie, a może narzuconej, roli outsidera, Fintan nie miał przyjaciół. Przez to Tara była kłębkim nerwów.

— Jest zrozpaczony — powtarzała, kiedy patrzyły, jak Fintan kroczy ulicą odprowadzany nienawistnymi spojrzeniami i tłumionymi wyzwiskami. — Musi się czuć okropnie samotny. — Nagle w jej głowie zapaliła się żarówka. — Wiem! My się z nim zaprzyjaźnimy.

Katherine i Tara niedawno zakończyły okres nienawidzenia chłopców (zazwyczaj występujący między siódmym a dwunastym rokiem życia). W wieku czternastu lat odnosiły się do nich całkiem przyjaźnie, przynajmniej Tara, Katherine zaś nie miała nic przeciwko chłopcom, choć Fintan nie był chłopcem w konwencjonalnym rozumieniu tego słowa przez Tarę — prościej, nie miała żadnych nadziei na chodzenie z nim.

— Po co chcesz się z nim przyjaźnić? — zapytała cienkim głosikiem Katherine i poczuła zimną bryłę zazdrości w żołądku. — Czy to dlatego, że jest... — zawahała się przed użyciem zakazanego słowa — ...gejem? Dlatego, że w poprzednie wakacje dziewczyny z Limerick wyśmiewały się z twoich sandałów?

Katherine bardzo pragnęła, żeby intencje Tary były podejrzone. W tamtych czasach gejomscy przyjaciele wciąż dodawali prestiżu i posmaku nowatorstwa. Fintan u boku musiałby zrobić wrażenie na przyjezdnych dziewczynach z Limerick, ba, może nawet na dziewczynach z Dublina. Większe niż bluzka z mieniącym się wzorkiem i buty typu saszki z frędzlami i paciorkami.

Tara była zaszokowana sugestiami Katherine, że Fintan to modny dodatek.

— Nie — odparła. — Dlatego, że on nie ma przyjaciół. Katherine jednak wcale nie zamierzała dać się przekonać.

— Wszystko jedno. — Czuła kwaśny smak w ustach. — On wcale nie jest gejem. Jak mógłby być gejem, skoro nie ma się z kim geić w Knockavoy?

Ku jej konsternacji ta zdumiewająca informacja wcale nie zniechęciła Tary i Katherine musiała znieść parę bolesnych tygodni, zanim układ z Fintanem się umocnił. Niema ze strachu i bólu, była pewna, że w chwili, w której Fintan i Tara oficjalnie zostaną kumplami, Tara ją porzuci. Z wymuszonym uśmiechem na twarzy pragnęła pociechy, ale nie umiała o nią poprosić.

— My zawsze będziemy przyjaciółkami — Tara niejasno przeczuwała obawy Katherine — ale nie możemy zostawić biednego Fintana samego.

— Biedny Fintan, myślałby kto — mamrotała Katherine z niemym sarkazmem. Ale ku własnemu zdumieniu, ona i Fintan dogadywali się jak starzy kumple. Tak dobrze, że Tara niemal poczuła się wyobcowana.

Rzecz jasna, zarówno Katherine, jak i Fintan wychowali się bez ojca; tata Fintana zmarł, gdy jego najmłodszy syn miał pół roku. Fintanowi podobało się, że Katherine wygląda jak niewiniątka, a potrafi się niezłe odgryźć. Miał ambitne plany przerobienia jej na Holly Golightly ze *Śniadania u Tiffany'ego*.

— Masz w sobie coś z Audrey Hepburn, coś niedużego, schludnego — powtarzał jej.

Tara usiłowała stłumić zazdrość.

Choć Katherine miała wątpliwości co do gadaniny o toczku i sukienkach od Givenchy, kręciło się jej w głowie z ulgi, że Fintan ją akceptuje. Teraz miała nie tylko jedną przyjaciółkę, ale aż dwoje przyjaciół!

Jej babcia nie była zbyt zachwycona zażyłością wnuczki z Fintanem.

— Z kim byłaś? — Agnes spytała pewnego wiosennego wieczoru, kiedy Katherine wróciła z policzkami zaczerwienionymi od chłodu.

— Z Tarą i Fintanem O'Gradym. — Nie potrafiła ukryć nutki dumy w głosie.

— Z Fintanem O'Gradym — powtórzyła Agnes. — Powiedz mi, dlaczego on się ubiera w szlafrok JaneAnn?

— Bo jest gejem — wyjaśniła Katherine.

— Gejem! — warknęła Agnes. — No i co ty na to? Katherine i Delia były zdumione, gdyż Agnes zazwyczaj wydawała się bardzo zgodną staruszką.

— Ja mu dam geja — zagroziła.

Oburzona Delia już zaczęła planować wielką imprezę charytatywną przeciwko homofobii.

— Mamo... to znaczy Agnes, musisz przestać być taką bigotką. Fintan ma prawo manifestować swoje preferencje seksualne...

— Nie mówię o jego seksualnych preferencjach! — wybuchnęła Agnes. — Mam gdzieś jego seksualne preferencje! Jeśli chce, niech to sobie robi z kurami, krzyżyk na drogę! Może będą mu lepiej pasowały. Chodzi mi o geja. To było takie urocze słowo*. — Na jej twarzy pojawiło się rozmarzenie. — Kiedy ludzie odwiedzali moją matkę, niech Bóg ją błogosławi, siadała z boku, przy kominku, a oni mówili: „Rany, Maudie, taka jesteś radosna. Jak szczypiorek na wiosnę”. Chodziło im o to, że wyglądała na szczęśliwą. Ale teraz nie można tak powiedzieć, chyba cię zastrzelili!

* *Gay* (ang.) — radosny, żywy. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

Z kolei matka Tary, Fidelma, była oczarowana Fintanem. Kiedy przychodził po szkole z Tarą i Katherine, siadał na łóżku, po dziewczęcemu podwijał pod siebie nogi, palił woodbine'y w hebanowej fife i rozmawiał z nią o filmach. Trzej młodszy bracia Tary — Michael, Gerard i Kieran — wtykali głowy do pokoju i chichotali na widok dziwnego, egzotycznego stworzenia. Fidelma i Fintan rozmawiali o filmach *Mężczyźni wolą blondynki* i *Słodkie życie*, a także o innych filmach, które Fidelma widziała w czasach, gdy pracowała w Limerick, zanim wyszła za Franka i przeniosła się do Knockavoy.

Tara zazwyczaj miała łzy w oczach na to wspomnienie, ale na szczęście oczyma duszy widziała też wkurzającego się ojca. Uwielbiała przypominać sobie, jak wszedł do pokoju i syknął z furią do Fidelmy:

— Czy ten chłystek może palić? Założę się, że JaneAnn O'Grady mu nie pozwala.

Jeszcze bardziej podobała się jej spokojna odpowiedź Fidelmy:

— Powiedziałabym, że JaneAnn na wiele mu pozwala.

Frank Butler był bardzo porywczym człowiekiem, autokratą i patriarchą, i wszyscy się go bali. Nic mu się nie podobało. Wraz z bratem miał niewielką firmę, która zajmowała się kopaniem i sprzedażą torfu. Skutek był taki, że przy łagodnych zimach, gdy wszyscy dziękowali za nie Bogu, Frank szalał z wściekłości.

— Piękny dzień — powtarzał szyderczo, kiedy podsłuchiwał, jak żona rozmawia z kimś o niezwykle łagodnych żywiołach. — Piękny dzień. Nie uważałabyś go za taki piękny, gdybyś widziała księgę zamówień.

— Wciąż mamy gęsi i indyki — uspokajała go Fidelma.

— To twoje pieniądze — zauważał ze złością. — To mają być twoje pieniądze. Masz jakieś zamówienia na szybie?

— Kilka — odpowiadała łagodnie.

— Co? Kto? Byłoby cudownie, gdybyś podłapała coś wielkiego, jak zasłony dla hotelu.

— Rzeczywiście — zgadzała się Fidelma. Nie chciała mówić mu o tym, jak w domu zjawił się Fintan z belą lśniącą karmazynowej podszewki i żądaniem, by Fidelma uszyła mu szatę według jego projektu.

Mimo fenomenalnej nieuprzejmości Franka Butlera, Katherine w sekrecie go idealizowała. Odpowiadały jej jego zasady i nieustępliwość. Frank Butler był szczególnie nieugięty w kwestii odrabiania pracy domowej. Jedną z największych obaw Katherine związanych z utraceniem Tary był brak możliwości chodzenia każdego popołudnia do Butlerów i pławienia się w atmosferze napięcia.

Często leżała w nocy, marząc o ojcu, który darłby się na nią za nie odrobione lekcje. O patriarchalnym przesłuchaniu w sprawie pracy domowej: „Ile jest metrów w kilometrze?“, „Kiedy proklamowano Republikę“, „Co jest stolicą Limy?“ Chociaż była bardzo zażenowana, kiedy Tara zdołała w końcu wyjaśnić tacie, że Lima nie ma stolicy.

Delia, matka Katherine, z uporem odmawiała kontrolowania pracy domowej córki.

— Tak się nie uczy dzieci — powtarzała wciąż. — Zastraszanie prowadzi do mechanicznego powtarzania materiału. Jeśli coś je interesuje, nauczą się, a jeśli ich nie interesuje, nie ma co ich zmuszać.

Katherine błagała matkę, aby się jeszcze nad tym zastanowiła.

15

Coś wybudziło Lorcana Larkina z głębokiego snu. Odruchowo zrobił to, co zawsze każdego ranka po obudzeniu — złapał się za penis, żeby nabrać pewności, że organ wciąż znajduje się na swoim miejscu.

Znajdował się i Lorcan wyraźnie się odprężył.

Pokój był pogrążony w ciemności, a ciało podpowiadało Lorcanowi, że jest środek nocy. Co go obudziło?

Nie miał kogo spytać, gdyż — niezwykle jak na siebie — znajdował się w łóżku sam.

W piątkową noc, kiedy pojawił się na urodzinowym przyjęciu Amy tak spóźniony, że niemal wszyscy inni goście poszli już do domu, jego dziewczyna dostała histerii z wściekłości. Uśmiechnął się, wzruszył ramionami w geście: „Co ja na to poradzę?“, oznajmił, że jest głodny, i wetknął jedną z ostatnich, już nieco podeschniętych kanapek w swoje idealne usta. Ku jego zdumieniu Amy miała czelność wrzasnąć, żeby to odłożył, że od niej niczego już nie dostanie, że nikt jej tak w życiu nie upokorzył i że nie chce go więcej widzieć.

— A ty — skrzeknęła tym razem do Benjy'ego, który próbował testować resztki kanapek — zostaw moje żarcie w spokoju i wypierdalaj!

Benjy znieruchomiał z minitartą wielkości dziesięciopensówki w odległości kilku centymetrów od twarzy. Powinien zaryzykować? Pomyślał, że lepiej nie. Amy nie była w pełni władz umysłowych. Nikt nie wiedział, co może zrobić.

— Jasne, skoro tego chcesz. — Lorcan uśmiechnął się do niej szeroko. Był bardzo zły, ale za nic nie zamierzał tego okazywać. — Idziemy? — spytał Benjy'ego, sugerując głosem, że on jest za.

Benjy gapił się na niego jak królik, niepewny właściwej odpowiedzi. W końcu z wahaniem kiwnął głową. Na szczęście była to prawidłowa reakcja.

— No to chodź — powiedział Lorcan i ruszył ku drzwiom, wciskając podarte papierowe serpentyny w dywan i wykopując oklapłe balony. Benjy podążył za nim.

Rzecz jasna, kilka godzin później Amy zmieniła zdanie, a kiedy Lorcan obudził się w sobotni poranek, jego automatyczna sekretarka była pełna coraz bardziej rozpaczliwych wiadomości.

— Przepraszam.

— Bardzo przepraszam.

— Proszę, zadzwoń.

— Gdzie jesteś?

— Błagam, błagam, zadzwoń!

— Posłuchaj tylko — powiedział z pogardą do Benjy'ego, który spał na kanapie. — Płaszcz się, dziewczyno, płaszcz!

Benjy, który spędził noc w odległości pół metra od sekretarki, słyszał już wszystkie wiadomości od Amy.

— Zadzwonisz do niej? — spytał zaniepokojony bólem w głosie dziewczyny.

Lorcan wydawał się tak zdegustowany, jakby Benjy poprosił go, żeby zjadł własną śledzionę.

— Zadzwoń do niej? Po tym, co mi zrobiła?

— To były jej urodziny — zauważył ciekawym głosem Benjy. — Bardzo się spóźniłeś.

— Po czyjej stronie jesteś, do cholery?! — spytał zimno Lorcan i Benjy zamilkł.

Wiadomości powtarzały się przez następne trzydzieści sześć godzin. W niedzielę wieczorem, kiedy Lorcan nakładał odżywkę na włosy, Amy dzwoniła przez cały czas. Niekiedy odkładała słuchawkę, niekiedy zostawiała wiadomość.

— Jeśli tam jesteś, podnieś słuchawkę — błagała, usiłując stłumić historię. — Musiałeś już odsłuchać moje wiadomości. A jeśli nie, to gdzie jesteś?

Lorcan słyszał przerażenie w jej głosie i z ponurą satysfakcją kiwał głową. To będzie nauczka za wrzeszczenie na niego przy ludziach. Za atakowanie go i deklaracje, że to już koniec. Za przygnębienie go do tego stopnia, że puścił Benjy'ego do domu dopiero w niedzielne popołudnie.

Przez weekend jego gniew jeszcze wzrósł i Lorcan coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że to on jest pokrzywdzony. Kiedy kładł się spać w niedzielną noc, czuł się najbardziej uciśnioną osobą we wszechświecie. Owinięty w różowy ręcznik oraz kokon świętoszkowatego zadufania, spał głębokim snem sprawiedliwego.

Teraz jednak już nie spał.

Spojrzał na budzik: dziesięć po czwartej. Co go obudziło? Z pewnością nie nieczyste sumienie. Nie miał sumienia.

Gdy tak leżał w ciemnościach, trzymając się za penis, ze zdumieniem usłyszał dzwonek u drzwi. Właśnie wtedy uświadomił sobie, że dzwonił kilka minut wcześniej. A więc to go obudziło.

Kto to był? Niech no pomyślę, zastanowił się z ironią, może Amy? Pewnie, że Amy. Nie po raz pierwszy kobieta pojawiłaby się w środku nocy pod jego drzwiami, roztrzęsiona i szalejąca, gdyż nie odbierał jej telefonów. Niech poczeka, uznał Lorcan. Dlaczego poprawiać jej samopoczucie? Powiedziała, że nie chce go nigdy więcej widzieć. Zraniła go.

Dzwonek odezwał się ponownie i Lorcan zaczął się zastanawiać, czy otworzyć. Zdecydowanie było jej przykro i może dość już wycierpiała. Kiedy zadzwonił raz jeszcze, Lorcan się podniósł.

Ze zdumieniem usłyszał dziwne dźwięki na korytarzu pod drzwiami. Głosy. Liczba mnoga. Co najmniej jeden należał do mężczyzny, więc to nie była Amy mamrocząca do siebie, oszalała po zawodzie miłosnym. Następnie dobiegły go dziwne trzaski, jakby przed drzwiami stał dostawca pizzy albo taksówkarz. I znowu głosy, ciche i stłumione. Bardzo dziwne.

Lorcan podskoczył, kiedy bardzo głośne *ratatatata* zabębniło o jego drzwi. Gorliwe, władcze *ratatatata*, a nie pełne skruchy, delikatne pukanie załamanej kobiety.

— Panie Larkin — odezwał się męski głos. — Czy pan mnie słyszy? Może pan otworzyć te drzwi? — Znowu trzaski.

— Najwyraźniej nie odpowiada — oznajmił głos.

— Lepiej wejdźmy — rozległ się damski głos. Nie należał do Amy.

Lorcan był bardziej zaintrygowany niż przestraszony. Wcale się nie przeraził. Jeśli usiłowali go obrabować, to zupełnie nie wyszło im z dyskrecją, znakiem rozpoznawczym dobrego włamywacza.

— Rozwalamy? Albo wyważamy drzwi? — zasugerował męski głos.

Tylko spróbuj, pomyślał zaniepokojony Lorcan. Zamki kosztowały mnóstwo pieniędzy. Podszedł do drzwi i otworzył je na oścież.

Ku swojej konsternacji posterunkowy Nigel Dickson i posterunkowa Linda Miles stanęli twarzą w twarz z bardzo dużym, bardzo rozzłoszczonym i bardzo nagim mężczyzną w różowym ręczniku na głowie i z penisem w dłoni.

— Eee, pan Larkin, tak? — spytał posterunkowy Dickson, kiedy zdołał się opanować.

— Kto pyta? — odparł ostrożnie Lorcan, przyglądając się krzepkiej dwójce, ich mundurom, czapkom, walkie-talkie, pokaznym pałkom, fluorescencyjnym kurtkom i czarno-białym kwadratam na wszystkim.

— Ktoś zgłosił zaginięcie pana Lorcana Larkina. Pani Amy... Jakie ona ma nazwisko? — spytał koleżankę Nigel.

Posterunkowa Linda Miles nie zwróciła na niego uwagi. Nie mogła oderwać oczu od Lorcana. Nigdy dotąd nie widziała rudych włosów łonowych. Chociaż właściwie nie były rude, tylko piękne, złocistoczerwone...

— Pani Amy Jones. — Nigel musiał zajrzeć do notesu, gdy stało się jasne, że jego koleżanka nie spuści wzroku z genitaliów Lorcana. — Przestraszyła się, kiedy nie odbierał pan jej telefonów, mimo że widziała światła w pana mieszkaniu. Bała się, że zrobił pan sobie krzywdę, albo przypadkowo, albo... celowo. — Jego głos odpłynął, gdy Nigel ujrzał wściekłość na twarzy Lorcana.

— Gdzie ona jest? — syknął Lorcan i puścił siusiaka.

— W wozie patrolowym. — Nigel nerwowo przełknął ślinę. Może to był jeden z tych, które w erekcji wcale szczególnie nie rosły. — Powiedzieliśmy, że skontaktujemy się z nią przez radio, kiedy wejdziemy do mieszkania.

— Zanim aresztujecie ją za marnowanie czasu policji — zaczął groźnie Lorcan — powiedzcie jej, że jutro mam casting. Jeśli nie dostanę roli, to przez nią.

Zatrzasnął im drzwi przed nosem. Linda spojrzała na Nigela i zmrużyła oczy.

— Wiesz, podejrzewałam, że ta kobieta tylko traci czas.

— Podobał ci się — rzucił zazdrośnie Nigel.

— Nige, wcale nie! — wykrzyknęła.

— Podobał ci się, patrzyłaś mu na fiuta. Na pewno żałujesz, że ja nie mam takiego dużego.

— Nige, wcale nie!

Posterunkowy Nigel Dickson i posterunkowa Linda Miles od czterech i pół miesiąca mieli romans. To była ich pierwsza kłótnia.

— W każdym razie — dodał Nigel nieco łzawo — to Irlandczyk, pewnie z IRA.

— Irlandczyk? — spytała rozczarowana Linda. — Nie lubię Irlandczyków.

Lorcan wrócił do łóżka. Nie był tak zły, jak udawał. Właściwie czuł ulgę. Przez jeden zatrważający moment myślał, że przeszłość w końcu go dopadła i że pójdzie do więzienia. Za jakieś kretyńskie wykroczenie typu seks z nieletnią.

Okazało się, że kobieta wykorzystała gliniarzy w rozpaczliwej próbie porozumienia się z nim. Tak się stało po raz pierwszy i musiał przyznać, że to mu pochlebilo.

16

W poniedziałkowy poranek tuż po przebudzeniu Tara umierała z głodu. Była jednak pełna determinacji, by nie jeść. Głód to mój przyjaciel, powtarzała sobie, leżąc w łóżku i pijąc czarną kawę, którą zostawił jej Thomas. Głód to mój najlepszy kumpel.

Źle spała w nocy, obudziła się o jakiejś kretyńskiej porze ogarnięta paralizującym strachem. A jeśli Thomas przestał ją kochać i odejdzie? A jeśli w sobotni wieczór uświadomił sobie, że już nie chce z nią być? Co się z nią stanie? Teraz, w wieku trzydziestu jeden lat, naprawdę nie miała czasu zaczynać ponownie. Myślała, że porzucenie przez Alasdaira było takie straszne. Wtedy jednak miała tylko dwadzieścia dziewięć lat. Samotni mężczyźni po trzydziestce byli cenniejsi od złota; mogą minąć lata, zanim któregoś spotka. Potem musiałyby wziąć na wstrzymanie i co najmniej przez rok udawać, że to nic poważnego. Wtedy miałyby już trzydzieści cztery albo trzydzieści pięć lat. O Boże! Matuzalem.

Kiedy Tara zaczęła się ubierać, poczuła zadowolenie, że Thomas już wyszedł do pracy. Obserwowanie jej walki o to, by wbić się w za małe ciuchy, znowu by go rozzłościło. Mimo chłodnego poranka czuła, że jest złana potem, i nie mogła zapiąć guzika od spódnicy.

Od pewnego czasu nosiła rozmiar czternasty, ale to miało być jedynie tymczasowe, dopóki nie straci na wadze i nie wróci do rozmiaru dwunastego. Przy okazji, rozmiar dwunasty miał być tylko tymczasowy, dopóki nie schudnie i nie wróci do prawidłowej wagi, prawdziwego rozmiaru, duchowego królestwa rozmiaru dziesiątego. Teraz jednak, gdy pasek spódnicy wpijał się w brzuch tak mocno, że gniótł jej organy wewnętrzne, niechętnie zaczęła uświadamiać sobie, że lepiej kupić coś w rozmiarze szesnastym. Żeby mogła oddychać. Nie na długo, rzecz jasna. Dopóki trochę nie schudnie i nie wróci do rozmiaru czternastego.

Rozmiar szesnasty, pomyślała, zbulwersowana tym, jak daleko zaszła. Potem będzie rozmiar osiemnasty, a jeszcze później dwudziesty. Na czym się skończy?

Kiedy zapięła żakiet, łał się z niej pot i była tak wykończona, że miała ochotę z powrotem położyć się do łóżka. Nienawidziła swojego ciała, strasznie go nienawidziła. Musiała taszczyć ze sobą całe to sadło, a czuła, że to nie jest część niej.

Bo to nie jest część mnie, przypomniała sobie. To po prostu niechciany gość, który się zasiedziało. Jego dni były policzone.

Zmusiła się do zerknięcia w lustro. Wyglądam okropnie, przyznała ze smutkiem. Elegancki żakiet ledwie się dopinał, a okrągły brzuch wystawał w miejscu, gdzie poły żakietu nie zachodziły na siebie.

Jestem gruba, uświadomiła sobie z przerażeniem. Jestem oficjalnie gruba. Nie mam lekkiej nadwagi, nie jestem przyjemnie pulchna ani nieco okrągła. Jestem gruba. Tak naprawdę.

Poczuła, jak zmierza ku kompletnej marginalizacji. Nie będę mogła wchodzić na górny podest autobusu. Przez gruby tyłek będę musiała opłacać nadbagaż na lotniskach. Mali chłopcy będą rzucali we mnie kamieniami. Będę łamała ludziom krzesła, kiedy zaproszą mnie na kolację. Zdegradują mnie, bo wszyscy wiedzą, że grubasy pracują gorzej od chudzielców. Nie zdołam wyjść z samochodu bez dźwigu. Ludzie uznają mnie za patałacha, bo nadwaga to znak straszliwych problemów. Będę musiała kłamać i opowiadać o swoich kłopotach z gruczołami.

Nie jestem warta, by wychodzić z domu, pomyślała. Tak mi wstyd za siebie.

Zauważyła, że szczupła, zwinna, jedząca ile dusza zapagnie Beryl patrzy na nią z wyższością, i zapagnęła ją kopnąć. Potem bardzo niechętnie wyszła z mieszkania. Jej nienawiść do samej siebie była tak wielka, że podświadomie czekała, aż ludzie zaczną trąbić na jej widok i wrzeszczeć: „Patrzcie na tę tłustą krowę”, kiedy zmierzała do samochodu. Padało i była za to wdzięczna losowi. W taką pogodę ludzie mniej się sobie przyglądali. Auto Tary było jaskrawopomarańczowym, hałaśliwym, strzelającym, zniszczonym volkswagenem garbusem. Wyglądało jak ruchomy śmietnik, śmierdziało papierosami, po podłodze wały się taśmy i pudełka na kasety. Na siedzeniach leżały mapy, stare gazety, papierki po cukierkach, puste puszkę po napojach i majtki, którymi przecierała zaparowane szyby.

Zepsuły się wycieraczki, więc na każdym czerwonym świetle musiała wyskakiwać z samochodu i przecierać szybę fragmentem zmiętej gazety, jednocześnie walcząc z agresywnymi wyrostkami uzbrojonymi w szmaty i wiadra z mydlinami, chętnymi do przetarcia jej szyby i wyciągnięcia od niej funta za fatygę. Jazda z Holloway Road na Hammersmith trwała długo i kiedy Tara dotarła do pracy, była przemoczona i wyczerpana, gdyż musiała krzyknąć dwadzieścia osiem razy: „Nie!” i jedenaście razy: „Odejdź, nie mam drobnych!”

Kiedy pojawiła się w swoim niewielkim biurze na planie otwartym, był tam tylko Ravi. Jak zwykle jadł.

— Witaj, Taro! — zaryczał z mocnym akcentem. — Masz ochotę na sernik z podwójną czekoladą? Dwadzieścia siedem gramów tłuszczu w każdym kawałku. Wspaniały!

— Jak możesz jeść o tej porze? — spytała Tara. Lubiła udawać, że ma apetyt jak normalny człowiek.

— Wstałem o piątej! — zarżał. — Wiosłowałem trzydzieści kilometrów. Umieram z głodu!

Ravi strasznie dużo ćwiczył. Nie dość, że należał do drużyny wiosłarskiej, to co najmniej cztery razy w tygodniu chodził na siłownię i trenował, dopóki skomputeryzowane maszyny nie poinformowały go, że spalił tysiąc kalorii. Jego niezwyklej kondycji dorównywał jedynie niezwykle apetyt. Każdego ranka Ravi pojawiał się w biurze obciążony torbami smakołyków z Marksa i Spencera.

— Może chcesz zatrzymać opakowanie i później je polizać? — Pomachał trójkątnym kawałkiem plastiku, który wzięła do ręki. — Jak ta nowa szminka od Fintana? Jesteś zadowolona?

— Nie, Ravi, to kolejne rozczarowanie.

— O, buuu. Zatem poszukiwania trwają.

— Zdecydowanie.

— Widziałaś Real TV w piątek wieczorem? Facet poleciał balonem na gorące powietrze, wpadł przez świetlik do łazienki. Złamał nogę i prawie się utopił. Wspaniale!

— Proszę, przestań. Uaktualniłeś dane ligi piłkarskiej? — Tara włączyła swój komputer.

— Jasne — przytaknął Ravi i odgarnął z czoła lśniący czarny lok. Wyglądał jak hinduski odpowiednik Elvisa.

Ravi zorganizował piłkarskiego lotka dla pracowników GK Software. Na początku każdego sezonu piłkarskiego wszyscy przewidywali, jaka będzie kolejność drużyn na końcu rozgrywek ligi angielskiej. Po każdym weekendzie Ravi aktualizował wyniki, więc wszyscy mogli śledzić swoje dotychczasowe postępy. Podobno niektórzy przebąkiwali, że tylko dlatego zwlekają się z łóżek w poniedziałkowy rano.

Zaczęli napływać ludzie. Pojawili się Evelyn i Teddy. Evelyn i Teddy byli małżeństwem. Mieszkali razem, razem jeździli do pracy, pracowali ramię w ramię, razem jadali lunch i razem wychodzili do domu.

— Dzień dobry — powiedzieli jednocześnie.

— Czy...? — spytała Ravię Evelyn.

— Jasne. — Uśmiechnął się z wyższością.

Evelyn i Teddy gorączkowo stukali w klawiatury, aż znaleźli tabelę wyników.

Przyszedł Vinnie, szef Tary, sympatyczny mężczyzna po czterdziestce, obdarzony czwórką małych dzieci i postępującą łysiną. Lubił wyobrażać sobie, że jest rzutkim biznesmenem, który wywarkuje zdania w stylu: „No, młodzieży, tym razem mój kutas rządzi”, ale kiedy to mówił, wszyscy wybuchali śmiechem i klepali go po rzednących włosach.

— Dzień dobry wszystkim! — wykrzyknął. — Miły weekend?

— Nie — odpowiedzieli automatycznie jak jeden mąż.

— Czy aktualizowałeś...? — spytał z niepokojem Ravięgo, a po uzyskaniu potwierdzenia pognął do swojego stanowiska i uruchomił komputer.

Mimo pracy w firmie komputerowej koledzy Tary nie byli kretynami, tylko normalnymi ludźmi, których biurowe rozmowy obracały się głównie wokół wakacji i jedzenia. I tak powinno być. Zadzwoił telefon Tary. To był Thomas. Jej serce podskoczyło — częściowo z niepokoju, częściowo z radości. Nie zamierzał z nią jednak rozmawiać, jak powiedział, bardziej szorstko niż Tara uważała za konieczne. Chciał ją jedynie poinformować, żeby zapłaciła za kablówkę. Nie bierz tego do siebie, usiłowała się pocieszyć. On tak ma.

Podczas poniedziałkowej przerwy na lunch dział Tary miał zwyczaj chodzić do włoskiej garkuchni. Był to ukłon w stronę weekendu, założenie, że wszyscy męczą się z kacem. Od dziesiątej trzydzięci, gdy tylko zniknęły kanapki z bekonem, ludzie zaczęli planować, co zjedzą w garkuchni.

— Smażony chleb, jajecznica, pieczarki, pomidory, kielbaski, kitkat i szklanka coli — oznajmił Teddy, nie odrywając wzroku od ekranu.

— Frytki, dwa jaja sadzone, bekon, fasolka, chleb z masłem i aqua libra — odparł Vinnie, także przyklejony do komputera.

— Tost, dwie kielbaski, omlet z serem i cebulą, ciastko karmelowe i kawa z trzema kostkami cukru — dobiegł zza przepierzenia głos Cheryl. Smukła Cheryl przez rok była w zespole Vinniego i choć przeniesiono ją do zespołu Jessiki, nigdy nie zerwała z nimi więzów.

— Cztery kielbaski, cztery jaja sadzone, pieczarki, pomidory, bekon, podwójna porcja frytek, sześć kawałków chleba z masłem i lucozade sport — oznajmił Ravi.

O wpół do drugiej, dokładnie jak w zegarku, wszyscy zawsze naciskali klawisz „Zachowaj”, wkładali płaszcze i szli razem do U Caffoli. Jedna osoba musiała zostać, żeby służyć informacją i przyjmować telefony od rozhisteryzowanych klientów, którym właśnie siadł cały system. To stanowisko obsadzały różne osoby, tym razem padło na Śpiącego Steve'a. (Śpiący dlatego, że miał zwyczaj upijać się po pracy, zasypiać w pociągu do Watford i budzić się na końcu trasy w Birmingham). Pustym wzrokiem patrzył na exodus i dopytywał się żałośnie, czy ktoś mu przyniesie kanapkę.

— No chodź, Taro — rozkazał Ravi niczym starszy sierżant. — Idziemy!

— Chyba nie powinnam iść.

— Buuu — stwierdził rozczarowany Ravi. — Ta cholerna dieta. Ty głupia dziewczyno. No dobrze, idźcie beze mnie, zostanę tu z Tarą.

Tara czuła się winna. Ravi nie był może szczególnie błyskotliwy, ale miał dobre serce. Nie powinna pozbawiać go gigantycznego smażonego lunchu.

Poza tym od samego rana nic nie jadła, a na kolację zaplanowała wielki talerz warzyw. Nie zapominaj, że idziesz na zajęcia stepu po pracy, zemdlejesz, jeśli czegoś nie zjesz, upomniała się.

— No dobrze — powiedziała do Ravięgo. — Idę.

Siedzenie w plastikowym boksie, przy stole z formiki, w hałaśliwej, pełnej pary garkuchni, jedzenie frytek i fasolki, picie mocnej herbaty z grubej białej filiżanki zawsze podnosiło Tarę na duchu. Jednak nie dzisiaj. Thomas przez telefon był zimny i zniecierpliwiony, powróciło przeczucie nadciągającej klęski.

Po smażeniu mężczyźni zazwyczaj znikali w sąsiednim pubie na jednego, a panie zostawały na ciastku. Pan Cafolla zbierał zamówienia, sprząając tłuste talerze.

Evelyn zamówiła kawałek szarlotki.

— Kawałek szarlotki! — zawołał pan Cafolla do żony.

Smukła Cheryl poprosiła o ciastko karmelowe.

— Cziastko karmelowe! — krzyknął pan Cafolla. — A pani młodka? — spytał Tarę, kiedy wyglądało na to, że nic nie zamówi. — Co pani chciała? Cziastko z custarrdem?

Skrzywiła się. Sukinkot. Znał jej piętę achillesową. Nie powinna. Nigdy nie będzie chuda, jeśli zje ciasto z custardem. Nie mogła jednak go nie zjeść.

Gdy wpatrywała się w jaskrawożółty krem, tak gęsty, że mógłby samodzielnie stać, i w rozdrobnioną gałkę muszkatołową rozsypaną na jego lśniącej powierzchni oraz w ciasto, przez chwilę czuła prawdziwą błogość. Kilka sekund później, gdy po ciastku pozostało jedynie wspomnienie, nadciągnęło poczucie winy. Jakże się nienawidziła za swoją słabość! Przeszło jej przez myśl, żeby poprosić pana Cafollę o klucz do łazienki i tam doprowadzić się do wymiotów, ale ilekroć próbowała tego w przeszłości, nigdy jej nie wychodziło. Szkoda zachodu. Nie miała pojęcia, jak radzą sobie bulimiczki. Chyliła przed nimi czoło. Może to była jakaś sztuczka, której nie potrafiła opanować.

17

Po powrocie do pracy Tara wymknęła się do toalety dla pań na dymka. Tam wpadła na Amy Jones, która pracowała piętro wyżej, w zaopatrzeniu. Kiwały sobie na powitanie głowami od poprzedniego piątkowego lunchu, kiedy odkryły, że obchodzą urodziny tego samego dnia. Obie były w pubie i świętowały ze swoimi działami. Choć grupy nie znały się aż tak dobrze, by się zbratać, uśmiechem, skinieniem głowy i wznoszeniem szklanek dawały do zrozumienia, że zauważają synchroniczność okazji i siebie nawzajem.

W piątek, po czterech ginach z tonikiem, Tara uznała Amy za bardzo miłą osobę. Teraz jednak, kiedy zaciągała się papierosem tak mocno, że jej uszy niemal dotykały się z tyłu czaszki, i patrzyła, jak Amy rozczesuje długie, kręcone włosy w kolorze truskawkowego blondu, doszła do wniosku, że jej nienawidzi. Może Amy była dobrym człowiekiem, ale z takimi cudownymi włosami, urodą i szczupłą sylwetką z pewnością nie zaznała w życiu niczego przykrego. Jak dwie osoby, które urodziły się tego samego dnia, mogły się do tego stopnia różnić? Wyjaśnij to.

— Przyjemne urodziny? — spytała uprzejmie. Pomyślała, że powinna, bo inaczej Amy się domyśli, że Tara jej nienawidzi za szczupłość i ładnie uczesane loczki.

— Uhm, w porządku — odparła Amy drżącym głosem. Wyglądała bardzo kiepsko, pewnie z powodu balowania w trakcie weekendu, uznała Tara. — Jedyne problem w tym, że... — jej głos wzniósł się i ucichł — ...pokłóciłam się ze swoim chłopakiem i skończyłam w... w areszcie.

Po idealnej śnieżnobiałej skórze Amy spływały łzy, kiedy opowiedziała Tarze o wydarzeniach na przyjęciu; o straszliwym upokorzeniu związanym z niepojawieniem się jej chłopaka, jego spóźnieniu, jedzeniu kanapki, wyrzuceniu go, koszmarnych godzinach, miriadach telefonów, najdłuższej sobocie i niedzieli w historii, histerycznej desperacji, telefonie na policję. Tara szybko pozbyła się zaszokowanej miny i zaczęła wygłaszać stosowne słowa pociechy, takie jak: „To była zwykła kłótnia” i: „Wiesz, jacy są mężczyźni, daj mu czas, to mu przejdzie”, i: „Może na kilka dni powinien

zostać sam", i: „Tak, wiem, jakie to trudne, naprawdę wiem", i: „Będziecie to sobie przypominali i śmiali się z tego", i: „Wiesz, to zapewne pozwoli wam zbliżyć się do siebie", i: „Mężczyźni, z nimi nie da się wytrzymać!", i: „Przepraszam, że pytam, ale tak z ciekawości, ile wynosi taka kaucja?"

Po powrocie do biura bardzo chciała zadzwonić do Thomasa. Zazwyczaj nie czuła potrzeby telefonowania do niego do pracy, zwłaszcza gdy wiązało się to z przerywaniem mu lekcji. Poza tym, jako że biuro nie było podzielone na pokoje, nie mogła prowadzić intymnych rozmów — zwłaszcza Ravi bardzo się interesował jej życiem. Jednak ze względu na swoje obawy potrzebowała pociechy. Musiała wiedzieć, czy tylko wyobraziła sobie poranną wrogość Thomasa.

Kiedy jednak odważyła się zadzwonić, Lulu, szkolna sekretarka, nie chciała go przywołać. Zawsze zachowywała się tak, jakby był jej własnością.

— Przekażę panu Holmesowi, że pani dzwoniła — skłamała.

— Gruba dziwka — mruknięła Tara, odkładając słuchawkę.

— Lulu?! — ryknął Ravi.

— A któżby inny? — odparła. Przez chwilę pocieszała się myślą, że ona przynajmniej nie nasłała gliniarzy na Thomasa. Nigdy by jej tego nie wybaczył, nigdy. Nadal przygnębiona, zadzwoniła do Liv. Połączyła się z sekretarką, więc zatelefonowała na komórkę.

— Halo?

— To ja. Jesteś zajęta?

— Utkwiłam w Hampshire ze straszną kobietą, która chce mieć w domu wszystko ze złota — jęknęła Liv.

— Fuj. Kurki i kłamki?

— Nie, zestawy kuchenne i szopę w ogrodzie.

— O nie. Jak ci się układa z Larsem?

— Bardzo dobrze. — Liv wydawała się nietypowo radosna. — Mówi, że tym razem naprawdę zostawi żonę.

— Bosko! — z trudem wykrztusiła Tara. Uwierzę, jak zobaczę. Nie lubiła Larsa. To, że był wysoki, jasnowłosy i silny, nie dawało mu prawa zwodzenia Liv gadką o zostawieniu żony. Od piętnastu miesięcy. — Kiedy wraca?

— W sobotę.

— To dobrze. Wpadnę posprzątać.

— Muszę iść — syknęła Liv. — Królowa Midas wraca.

— Zostawił już żonę? — spytał Ravi, gdy Tara odłożyła słuchawkę.

— Właśnie zamierza — odparła i oboje przewrócili oczyma. Następnie Tara wykręciła numer Fintana. Vinnie popatrzył na nią groźnie.

— Jeśli nie pozwolisz mi dzwonić do ludzi, będę do nich pisała e-maile. — Uznała, że jest mu winna to wyjaśnienie.

— Nie rób tego — sprzeciwił się Ravi. — Skąd będę wiedział, co się dzieje?

— Oboje jesteście siebie warci — mruknięła Vinnie.

Fintana nie było w pracy. Rzekomo zachorował. Tara wiedziała, co mu dolega. Wczoraj o północy, po wyjściu od Katherine, Fintan i Sandro dopiero wybierali się bawić. Dla nich noc właśnie się zaczęła.

— Pokażę swoje prawdziwe ja — zarzekał się Fintan. Tara zadzwoniła na jego numer domowy.

— Fintan ma kaca, co? — spytał Ravi.

— Założę się o życie mojej babci — odparła. Telefon dzwonił przez całe wieki, zanim Fintan w końcu podniósł słuchawkę.

— Co z tobą, moczymordo? — przywitała się radośnie Tara.

— Coś mi się stało w szyję. Mam na niej gigantycznego guza.

— Boże, jesteś taki próżny — westchnęła. — Każdy ma pryszcz.

— Nie, Tara, to nie pryszcz. To opuchlizna, przez którą wyglądam jak Człowiek-Słoń.

— Sama miałam dzisiaj przejścia z czarną ospą — wczuła się w sytuację Tara. — Te czyraki!

— Tara, przestań — upierał się Fintan. — Mówię poważnie. Mam na szyi guza wielkości melona.

— Mów dalej. Jakiego guza?

— Guzowatego!

— Ale chyba nie wielkości melona? — Uśmiechnęła się na myśl o tym, jak strasznie dramatyzował. — Może winogrona?

— Nie, jest o wiele większy. Tara, przysięgam, naprawdę jest wielkości melona.

— Jakiego melona? Miodowego? Galii? Kantalupa?

— No dobra, może i nie melona. Ale kiwi na pewno.

— Posmaruj go savlonem.

— Savlonem! Potrzebuję lekarstw.

— No to lepiej idź do lekarza.

— Nie mów — stwierdził sarkastycznie. — Pomyślałem, że położę się i poczekam, aż moja szyja w naturalny sposób wróci do normalnych rozmiarów. Umówiłem się na wieczór — dodał.

Wydawał się przygnębiony, więc pożałowała żartobliwej odpowiedzi.

— Chcesz, żebym z tobą poszła? — mruknęła cicho do słuchawki. — Vinnie mnie puści, jeśli powiem, że mam okres. To go strasznie peszy. Niekiedy mam dwa albo trzy okresy w miesiącu, a on nie ośmiela się mi tego wypomnieć.

— Nie, dam sobie radę.

— O której wrócisz do domu?

— Nie wiem, jak długo to potrwa, ale powiedzmy, że o ósmej na pewno już będę.

— Dobra, przekreślę do ciebie. Powodzenia, jestem jednak pewna, że nic ci nie dolega.

Kiedy tylko odłożyła słuchawkę, Ravi jęknął z ciekawością:

— Co się stało Fintanowi?

— Spuchnięte węzły chłonne czy coś. — Wzruszyła ramionami. — To straszny hipochondryk.

Następnie zadzwoniła do Katherine, która jednak jeszcze nie wróciła z lunchu. O wpół do czwartej! To nie pasowało do porządnej Katherine.

— No dobrze, Vinnie, obdzwoniłam wszystkich.

Kiedy jednak Tara zabrała się do pracy, odkryła, że myśli o Fintanie. Może wcale nie był histerykiem szukającym uwagi? A jeśli naprawdę coś mu dolegało? Coś poważnego? Zawsze tak było, kiedy przyjaciel gej zapadał na jakąś chorobę. Zawsze pojawiała się to słowo na A. Potem poczuła się nieswojo przez te myśli. Czyżby uważała, że geje i AIDS nieuchronnie się łączą?

Jej troska o Fintana szybko przerodziła się w troskę o Thomasa. Co się stało? Może to wszystko działo się tylko w jej głowie. Wciąż jednak powracała do słów wypowiedzianych przez niego w sobotni wieczór i nie mogła się zdecydować, czy ma się tym zamęczać, czy lepiej to zignorować w nadziei, że sobie pójdzie.

Nie potrafiła się skupić, więc o czwartej zaczęła szykować się do wyjścia.

— Przepraszam bardzo, dokąd się wybierasz? — spytał podejrzliwie Ravi.

— Pomyślałam, że spróbuję odrobiny terapii wyprzedażowej,

— Nie. — Ravi usiłował zablokować jej drogę, zgodnie z jej żądaniem. — Musisz przestać wydawać pieniądze.

— Dziękuję ci, Ravi. — Tara usiłowała go wyminąć. — Doceniam twoją gorliwość, ale dziś nie chcę być zatrzymywana.

— Mówiłaś, że nawet jeśli zaczniesz błagać, mam nie zwracać na to uwagi — przypomniał jej Ravi.

Tara skoczyła do biurka i próbowała się precyzyjnie, ale Ravi natychmiast przejrzał jej manewr. Rozpoczęła się krótka szamotanina.

— Vinnie, zabierz go stąd!

— Robi to, o co go prosiłaś. — Vinnie ociężale wzruszył ramionami. Nic dziwnego, że tracił włosy.

Patrzyli na siebie. Ravi ugiął kolana, a jego liczne mięśnie napięły się, gotowe do działania. Skrzyżował ręce, gotów zadać jej cios kung-fu. Tara gorzko żałowała, że kiedykolwiek poprosiła go o pomoc.

— Możemy zacząć od jutra? — zajęczała. — Błagam!

Zawiedziony Ravi opuścił ręce.

— No to idź.

Zatem Tara poszła na zakupy i usiłowała udawać, że nie umiera z głodu. Miała wielką nadzieję, że przyglądanie się ubraniom pozwoli jej zapomnieć o wielu sprawach, ale odkryła, że nie może przywyknąć do myślenia o sobie w kategoriach rozmiaru szesnastego. Kupowanie ubrań nie było już dla niej przyjemnością; zamieniło się w ćwiczenie w ograniczaniu szkód.

Tyle strojów automatycznie musiała wykluczyć: bluzki bez rękawów, strecz, sukienki z dzianiny, wszystko z dżerseju, lycra, plisy czy brak stanika. Nie pamiętała już, kiedy ostatnio miała na sobie spodnie.

Pocieszało ją jedynie patrzenie na seksowne, dziwne buty. Buty były przyjaciółmi grubych kobiet. Buty nadal wyglądały pięknie, nawet kiedy wszystko inne poszło w diabły.

Maskara do włosów także wydała jej się dobrym pomysłem; zawsze interesowała ją odpowiednia taktyka dywersyjna. Ciekawa biżuteria, zwariowane torebki i makijaż w technicolorze również stanowiły czynniki przyciągające spojrzenia. Niebieska grzywka z powodzeniem oderwie uwagę ludzi od okrągłego brzucha Tary.

Kiedy już kupiła odświeżacz powietrza do samochodu, czarne kozaczki, niebieską maskarę do włosów, fioletową maskarę do włosów, wzór, druty i wełnę na sweter Thomasa, zajęcia stepu już się skończyły.

Udawała, że czuje się zawiedziona. Mogła jeszcze iść na siłownię, ale ta zawsze była pełna barczystych facetów robiących pompki na jednej ręce i strasznie głośno stękających. Nie dałaby rady, nie w różowym trykocie. Zacznę od jutra, przysięgła sobie.

18

W drodze do domu, pod wpływem impulsu postanowiła wpaść do Katherine. Przez całe popołudnie nie udało jej się skontaktować z nią telefonicznie, a miała ochotę na pogawędkę.

Zazwyczaj nie składała jej niespodziewanych wizyt. Zaraziły się londyńskim zwyczajem, zgodnie z którym wpadanie do ludzi bez uprzedniej zapowiedzi było uważane za szczyt nieuprzejmości. Zwrot: „Właśnie tędy przechodziłem...” traktowano jako gafę towarzyską równą komentarzowi: „Ale masz wielki nos”. Wielu londyńczyków, nawykłych do selekcyjonowania rozmów telefonicznych za pomocą automatycznej sekretarki, dostawało drgawek na nieoczekiwany dźwięk dzwonka. Człowiek! We własnej osobie! Na progu ich domu!

Kiedy mieli pewność, że to nie listonosz, często po prostu nie otwierali drzwi. Typową sztuczką było przyklejanie się do ściany i próba wyjrzenia przez okno. Wyglądali jak ktoś, kto uczestniczy w policyjnej wymianie ognia. Nie robili

tego z zamiarem wpuszczenia gościa, lecz przekonania się, co za dewiant postanowił ich odwiedzić, i późniejszego skreślenia go z listy osób, do których wysyła się pocztówki bożonarodzeniowe.

Katherine brała prysznic, ale Tara poczuła się zignorowana, gdyż nie umówiła się oficjalnie. Wyciągnęła komórkę, żeby zadzwonić i zmusić przyjaciółkę do otwarcia drzwi, ale zapomniała naładować aparat.

— To ja! — krzyknęła. Cofnęła się od domofonu, stanęła w maleńkim ogródku od ulicy i zerknęła w okno Katherine. — Wpuść mnie! Ty włochata gówniario! — zawyła sfrustrowana. — Wiem, że tam jesteś. Widzę światło.

— Witam — rozległ się jakiś głos. — Szukasz Katherine?

Tara odwróciła się i ktoś, kto musiał być biednym Rogerem, poszedł z kluczem ku drzwiom wejściowym.

— Tak. — Tara unikała jego spojrzenia ze względu na inne okazje, podczas których mieli ze sobą kontakt, na przykład wtedy, gdy Roger walił w sufit kijem od szczotki i Tara wrzeszczała po pijaku: „Wyluzuj, dobra, młody pierdzielu”. — Dziękuję — szepnęła, uciekając od Rogera i pędząc na górę do Katherine.

Kiedy waliła pięściami w drzwi i krzyczała: „Wpuść mnie!”, Katherine spokojnie otworzyła drzwi. Miała na sobie krótką białą koszulkę z jedwabiu i nieco dłuższy, dopasowany szlafrok, który się rozchyłał, pokazując jej szczupłe, drobne nogi. Emanowała dobrym samopoczuciem, ale Tara była zbyt poruszona, by to zauważyć.

— Witaj. — Katherine powitała ją uśmiechem. — Jak się tu dostałaś?

— Roger buldożer mnie wpuścił.

— Biedny Roger — stwierdziła Katherine. — Muszę go kiedyś przeprosić za te wszystkie hałasy. Co się stało? Dlaczego usiłowałaś wyważyć drzwi?

— Myślałam, że mnie ignorujesz.

— Dlaczego miałabym to robić? — spytała Katherine i ponownie uśmiechnęła się szeroko. Miała piękne stopy. Małe, wręcz filigranowe, z paznokciami pomalowanymi perłowym lakierem. Tylko po co zadawała sobie tyle trudu z malowaniem paznokci? Tara nie kiwnęłaby nawet palcem, gdyby nie miała chłopaka. Prawdę mówiąc, nie kiwnęła palcem, mimo że miała chłopaka!

Czuła się dziwnie pokrzepiona widokiem drobnych, ładnych stóp Katherine stąpających żywo po grubym dywanie. Katherine spytała, czy zrobić jej kanapkę z serem.

— Precz ode mnie, szatanie — odparła Tara. — Napiję się tylko herbaty. Chociaż mogłabym zjeść tyłek zakonniczy przez bramę klasztoru, błagam cię uroczyście, nie dawaj mi nic do jedzenia.

Przy Katherine była bezpieczna. Właściwie nie istniało niebezpieczeństwo, że jej przyjaciółka planowała wysokokaloryczny, wysokotłuszczowy posiłek, do którego Tara musiałaby się przyłączyć. Przeważnie kiedy pytała Katherine, co planuje na kolację, słyszała: „Nie wiem, tosta czy coś”. A Tara знаła swoje menu od poprzedniej środy.

— Nastawię wodę — stwierdziła Katherine.

Torba chipsów hula hoops na półce w salonie leżała tam od wczorajszego wieczoru. Tara niejasno przypomniała sobie, że ją widziała. Jak Katherine mogła zostawić te pyszne hula hoops, nie jedząc ich? Ona nie zmrużyłaby oka. Musiała je zjeść. Pobyt sam na sam z chipsami złamał jej postanowienie. Poza tym przegapiła zajęcia, więc zło już się dokonało. Właśnie zaczynała penetrować opakowanie, kiedy wróciła Katherine.

— Nie. Odłóż! Hula hoops! — ryknęła Katherine z progu. Robiła z rąk megafon. — Powtarzam! Odłóż. Hula hoops.

Tara zamarła, zdumiona niespotykaną gwałtownością Katherine.

— Odłóż — ciągnęła Katherine. — Na podłogę. Powoli. Nie próbuj żadnych sztuczek.

Tara ostrożnie położyła czerwoną torbę na podłodze przed swoimi stopami. Katherine zazwyczaj się tak nie zachowuje, pomyślała skonfundowana.

— Dobrze. Połóż ręce na głowie. Tara posłuchała.

— Kopnij hula hoops do mnie.

Czerwona torba z celofanu poszybowała nad dywanem, a Katherine złapała ją i uśmiechnęła się szeroko.

— Dzięki — powiedziała Tara i obie się roześmiały, Tara nieco histerycznie, a Katherine z prawdziwą *joie de vivre*. — Mało brakowało.

— Nie powinnaś kupować tych rzeczy, skoro przejmujesz się tuszą — skarciła ją dobrodusznie Katherine.

— Nie kupowałam. To twoje. Jak to się dzieje, że tego nie widzisz? — jęknęła Tara. — W chwili, gdy weszłam, ta torba zaczęła świecić jak radiolatarnia. Domagała się mojej uwagi. Paradowała przede mną. Robiła rozpustne sztuczki. Gdyby miała ubranie, zaczęłaby je zdejmować...

Katherine wybuchnęła śmiechem, a Tara zauważyła, że przyjaciółka wygląda nadzwyczaj dobrze.

— Kupiłam wełnę na sweter dla Thomasa — oznajmiła.

— To ci nowina.

— Żebyś wiedziała. Przejmuję kontrolę nad swoim życiem. Robię na drutach, przechodzę na dietę i przestaję wydawać pieniądze. Nowa ja. — Tara zaciągnęła niewidzialną zasłonę nad kupionymi trzydzieści pięć minut wcześniej butami, niemal pulsującymi z niedozwoloności na tylnym siedzeniu jej auta. — Gdzie dzisiaj byłaś? Dzwoniłam o wpół do czwartej, ale jeszcze nie wróciłaś z lunchu.

Katherine nie odpowiedziała.

— Gdzie byłaś? — powtórzyła Tara.

— Hmm? Co? — odezwała się Katherine z rozmarzeniem.

Co się, do cholery, z nią działo? Coś się zmieniło. Błysk w oku, znacząca mina. Wibrowała tłumionym podnieceniem.

— Gdzie byłaś na tym swoim długim lunchu? — Tara przerwała i zapytała z wahaniem: — Czy ty mnie słuchasz?

— Tak — przytaknęła bez przekonania Katherine.

Tara ponownie na nią spojrzała. Twarz przyjaciółki była zarumieniona, a Katherine wyglądała jak ktoś, kto ma jakąś miłą tajemnicę.

— Czy ty... Czy ty... Czy uprawiałaś z kimś seks? — spytała Tara.

— Nie!

— Ale coś ci sprawia przyjemność. Czy ktoś ci się podoba?

— Nie.

— A ty się komuś podobasz?

— Nie — odparła Katherine, ale Tara wychwyciła w jej głosie delikatną nutkę wahania.

— Aha — zaśpiewała. — Ahaaa. Ktoś za tobą lata, co? Opowiadaj.

— Nie ma o czym opowiadać — oznajmiła sztywno Katherine.

Tara wpadła w entuzjazm. Cieszyła się, że choć jednej z nich się układa.

— Założę się, że jest boski — naciskała. — Twój faceci zawsze tacy są.

W tych rzadkich okazjach, gdy Katherine miała chłopaka, to zazwyczaj niewiarygodnie pięknego. Prawdziwego przystojniaka. Kawał chłopca. Z zupełnie innej ligi niż Tara. Nie trwało to długo, ale zawsze...

— To musi być ktoś z twojej pracy — domyśliła się. — Niby gdzie miałabyś go poznać?

— Zachowuj się — upomniała ją Katherine.

— O co chodzi? Co złego w tym, że ktoś ci się podoba?

— Nie podoba mi się.

— No dobrze, więc co złego w tym, że ty się komuś podobasz?

Katherine nie odpowiedziała. Jednak blask znikł, teraz jej mina potrafiłaby zatrzymać zegar.

— Katherine — odezwała się łagodnie Tara. — Wiem, że już się o to kiedyś kłóciłyśmy, ale zakochanie to coś dobrego. Wiem, że nie lubisz tracić swojej sławetnej kontroli i że nie chcesz czuć się bezbronna, ale czasami trzeba zaryzykować.

— Związki to nieszczęście od początku do końca — stwierdziła zimno Katherine.

— Wcale nie — sprzeciwiła się Tara i otworzyła usta, by powiedzieć: „Spójrz na mnie i na Thomasa, zobacz, jacy jesteśmy szczęśliwi”, lecz nagle odkryła, że nie może.

— Jestem idealnie szczęśliwa na własną rękę — poinformowała ją Katherine z kamienną twarzą. — To, że jestem sama, nie oznacza, że jestem samotna.

— Nie możesz się kryć i maskować do końca życia — powiedziała ze znużeniem Tara. — Zakochanie leży w naturze człowieka. Bez tego prowadzisz niepełne życie. Każdy potrzebuje partnera, to podstawowa ludzka potrzeba.

— To nie potrzeba — sprostowała Katherine. — To zachcianka. Ja zaś wolę brak bólu zamiast kłócenia się, kto kogo bardziej kocha. Zakochanie się otwiera człowieka, związki oznaczają ból.

— Związki nie polegają tylko na bólu — zaprotestowała Tara, zaniepokojona nieprzejednanym stanowiskiem Katherine. Wydawała się bardziej zacierzwiona niż ostatnio, gdy się o to kłóciły.

— Związki nie polegają tylko na bólu? — powtórzyła Katherine. — Akurat ty nie powinnaś się wypowiadać. Zobacz, jaka jesteś nieszczęśliwa z tym gówniarzem Thomasem.

— Nie jestem nieszczęśliwa — powiedziała z uporem Tara.

Mimo gniewu Katherine nie mogła nie zauważyć, że Tara nie zareagowała na wzmiankę o gówniarstwie Thomasa.

— Skoro ty jesteś szczęśliwa, to mnie także jest dobrze — stwierdziła.

Patrzyły na siebie z bliska, wymieniając pełne wściekłości spojrzenia.

— Spytam cię o to raz jeszcze — odezwała się groźnie Tara.

— O co? — syknęła Katherine.

— Czy to ktoś z pracy?

W oczach Katherine pojawił się gniew. Otworzyła usta, by zacząć tyradę pełną wyzwisk, a jej wargi poruszały się w milczeniu, gdy szukała właściwych słów.

— Tak — oznajmiła w końcu.

19

— Opowiadaj — zażądała Tara.

Katherine uznała jednak, że nie bardzo jest o czym opowiadać. Z samego rana Joe Roth przywłókł się do jej biurka, jak przez ostatnie dwanaście roboczych dni. Może to jasnozielona koszula, którą włożył na prezentację tamponów, albo wiszący na nim jak na wieszaku kobaltowy garnitur sprawiły, że Katherine musiała przyznać, iż wygląda wyjątkowo dobrze. Odruchowo przybrała bardziej nieprzystępną minę.

— Dzień dobry, Katie — powiedział Joe z szerokim uśmiechem na twarzy.

— Witam, panie Roth — odparła lodowato Katherine, z Groźnym Spojrzeniem, stopień trzeci. Uznała, że nie ma potrzeby stosować stopnia czwartego i piątego, gdyż ton jej głosu był bronią samą w sobie. — Mam na imię Katherine i nie reaguję na żadne zdrobnienia.

Czekała, aż się wycofa, przerażony i zdruzgotany. Kiedy jednak oparł się o jej biurko i wybuchnął śmiechem, poczuła, że zbliża się katastrofa. Popatrzyła na jego zęby wyglądające jak białe flagi na sznurze do prania i usłyszała dzwonek alarmowy w głowie. Uważaj, bardzo uważaj. Przestał się śmiać.

— Panie Roth — powtórzył, a w jego oczach pojawiło się coś, co przypominało czułość. Nieruchoma patrzyła na niego, usiłując okazywać cierpliwość bardzo zajętej, ale anielsko cierplivej kobiety. — Panie Roth — powtórzył raz jeszcze. — Uwielbiam to. Wiesz, Katherine, jesteś cudowna. Po prostu cudowna.

Kiedy wpatrywała się w niego ponuro, dodał:

— Przepraszam, jeśli cię obraziłem swoją poufałością. Od teraz będzie Katherine. Chyba że wolisz panią Casey.

Ułamek sekundy, który minął, zanim zdążyła zaprotestować, okazał się zbyt długi. Joe ponownie zaniósł się śmiechem.

— A więc niech będzie pani Casey. Zatem, pani Casey — stwierdził nagle oficjalnym tonem. — Musimy się spotkać w sprawie przekroczenia budżetu kampanii piwa Noritaki. Jednak kierownicy Geetexu mają pojawić się tuż po prezentacji, więc może omówimy to podczas lunchu?

— Lunchu? — powtórzyła zimno. — Na czyj koszt?

Katherine Casey nie można było kupić. Choć nieczęsto ją zapraszano na kosztowne, modne lunche w trakcie pracy — w reklamie księgowa była kimś w rodzaju kopcuszką — i tak nie zamierzała się podniecać myślą o darmowej sałatce z kozim serem. Wręcz przeciwnie. Mogła stracić dobre samopoczucie na samą myśl o przekroczeniu budżetu kampanii reklamowej.

— Skoro budżet został przekroczony, nie wypada, żebyśmy podczas dyskusji naruszali go jeszcze bardziej.

— Zapłacę z własnych pieniędzy — zaoferował Joe. Katherine się zaśmiała. Joe nie poczuł się tym zachęcony.

— Dobry strzał, Joe — powiedziała. — Ale widzę wszystkie podania o zwrot kosztów.

Kierownicy projektów nigdy za nic nie płacili. Trzymali rachunki za wszystko, co kiedykolwiek kupili, i próbowali żądać zwrotu kosztów. Nie tylko za restauracje i hotele, ale za wszystko — od pianki do golenia („Miałem prezentację, musiałem dobrze wyglądać”), przez krawaty (jak wyżej) do pocztówek urodzinowych i zakupów w Tesco. Ktoś kiedyś podrzucił rachunek za garnitur od Armaniego, innym razem za domowe jacuzzi. Katherine widziała już wszystko.

— Masz moje słowo — upierał się. — Zapłacę za lunch z własnej kieszeni.

— Nie.

— Daj spokój — nalegał. — Lunch. Z Joe Rothem. Nie zadowolaj się substytutami.

— Nie.

— To nie żarty. — Przybrał poważny wyraz twarzy. — Poważnie muszę z tobą porozmawiać o przekroczeniu budżetu.

— Przykro mi, jestem zawałona rozliczeniami na koniec roku — skłamała. Zdołała je prawie skończyć dzięki temu, że przyszła wczoraj, ale nie chciała mu tego mówić. — Może porozmawiasz z moją asystentką Bredą? — zaproponowała. — Może ci pomóc i na pewno ucieszy ją dobry lunch.

— W porządku — stwierdził smutno Joe i odszedł.

Pewnie w innych okolicznościach nie zrobiłby tego, ale był zrozpaczony trzema tygodniami odrzucenia, więc poszedł do Freda Franklina, by ten pociągnął za kilka sznurków. Fred siedział w swoim małym przeszklonym gabinecie razem z Mylesem, młodym niedoszłym kombinatorem, copywriterem.

— Fred, potrzebuję twojej przysługi — powiedział bez ogródek Joe.

Fred wiedział, czego pragnie Joe, bo widział, jak rozmawiał z Katherine. Rozumiał międzynarodowy język odrzucenia. Szczerze mówiąc, był w nim biegły, gdyż nie miał szczęścia do kobiet, dopóki w wieku trzydziestu pięciu lat nie dostał awansu. Z języka ciała Joe podczas rozmowy z Katherine — błagalnie wyciągnięte ręce, poważny wyraz twarzy — jasno wynikało, że Joe dostał kopa w tyłek.

— Jesteś zboczony — stwierdził Fred.

— Naprawdę? — natychmiast zapytał Myles. — Jak bardzo? Tu spełniamy większość zachcianek. Może Więzy w drukarni, jeśli szukasz czegoś perwersyjnego?

— Wendy?

— Nie Wendy. Więzy. Ona cię zadowoli.

— Jak naprawdę ma na imię? — spytał ze znużeniem Joe. Odkąd zaczął pracować w Breen Helmsford, nieumyślnie nazwał kilka kobiet przezwiskami. Większość nie miała nic przeciwko temu, ale on tak.

— Pauline — odparł Myles. — Mówimy na nią Więzy, bo... Cóż, jeśli powiem „pluszowe kajdanki”, chyba zrozumiesz, o co mi chodzi...

— Jemu podoba się oziębła Irlandka — oznajmił prosto z mostu Fred.

— Kto? Królowa Śniegu? — zdumiał się Myles. — Nie wiedziałem, że jesteś masochistą.

— Nie jestem.

— Jesteś, stary. Walisz głową w mur.

Myles lubił Joe Rotha, uważał go za porządnego faceta, z którym można się pośmiać. Uznał, że może powinien to jeszcze przemyśleć.

— Co powiesz na May w dziale pocztowym? — zaproponował, rozpaczliwie próbując ocalić Joe. — Znasz ją, sutki, że można powiesić płaszcz, dupa w sam raz do zaparkowania motoru. Kumasz? Na pewno. To, że niedawno wypuszczono ją z psychiatryka, nie powinno cię zniechęcać. Nie ma nic złego w lekko chorym umyśle. Zawsze to powtarzam. Niesamowita!

— Jak naprawdę ma na imię? — Joe czuł się przygnębiony.

— May — odparł po prostu Myles. — Ale nie wiem dlaczego. Nie ma w niej nic niezdecydowanego. Pewnie dlatego, że zachowuje się jak majowy chrabąszcz.

Obaj, Fred i Myles, wybuchnęli obleśnym, godnym macho śmiechem i Joe zaczął się zastanawiać nad zmianą zawodu. Czy mizoginizm był tu jeszcze dalej posunięty niż w poprzedniej pracy, czy też on zwyczajnie się starzał?

Przerwał ogólne rozbawienie, mówiąc:

— Poza wszystkim innym, muszę poważnie porozmawiać z Katherine o budzecie Noritaki.

Rehot natychmiast zamarł.

— Myślisz, że urodziłem się wczoraj, synu? — parsknął Fred. — Pogadaj o tym z Ciężką Bredą. No już — dodał, kiedy Joe milczał. — Przynajmniej ma cyce.

— Chcę rozmawiać z Katherine — upierał się Joe. — Będę ci winien przysługę.

Fred się zawahał. Joe był przystojnym facetem, odgrywał ważną rolę w rozmowach o żeńskim personelu. Gdyby coś wskórał z oziębłą Irlandką, natychmiast przestałby się nią interesować. A wtedy ona na pewno byłaby już bardzo do niego przywiązana. Warto by to zobaczyć.

— No dobrze — mruknął Fred i podniósł się ze skórzanego fotela.

Kiedy Katherine obserwowała, jak Fred wlecze się do jej biurka, wiedziała, co się święci. Właściwie głęboko potępiała Joe za skargę u szefa. Jednakże mimo nieomylnego instynktu samozachowawczego, na widok wysiłków Joe jej zainteresowanie wzrosło. Chociaż mężczyźni już wcześniej tak się o nią starali, a wszystko i tak kończyło się łzami...

— Posłuchaj mnie — warknął Fred do Katherine. Nienawidził z nią rozmawiać. Przy niej zawsze czuł się tak, jakby moment wcześniej wypelzł spod kamienia. I to od trzech lat, kiedy zaczęła pracować w Breen Helmsford, a on zaprosił ją na drinka, na co odpowiedziała: „Nie umawiam się z żonatymi”. Mimo że Fred prychnął i zaczął tłumaczyć: „Chciałem tylko być miły, poprawić ci samopoczucie”, rzuciła mu pogardliwe, wszystkowiedzące spojrzenie, a kiedy przestał sam siebie nienawidzić, jego nienawiść spłynęła na nią. — Masz iść na lunch z Joe Rothem i porozmawiać z nim o cholernym budżecie.

— Czy to polecenie służbowe?

— Tak, chyba tak.

— Nie jesteś moim przełożonym. — Uśmiechnęła się.

A potem dodała w duchu: „Nie jesteś nawet na tym samym poziomie rozwoju ewolucyjnego co ja”. Uśmiechnęła się jeszcze szerzej i jeszcze fałszywiej.

— Wiem, że nie jestem twoim bezpośrednim przełożonym... — Fred miał już dość tej rozmowy — ...ale facet martwi się o ten projekt. Breda to ekstra laska, ale Joe chce wszystko wiedzieć z pierwszej ręki.

— Dwurzędowy biały garnitur — powiedziała z zadumą Katherine. — Futro zarzucone na ramiona, kapelusz panama przekrzywiony i po dziwce w krótkiej, czerwonej sukience z obu stron.

— Co?

— Czy nie tak zazwyczaj wygląda alfons?

— Alfons! — Fred był przerażony. — Nie jestem alfensem! On tylko chce zjeść z tobą lunch.

Powietrze iskrzyło od wzajemnej wrogości i przez moment Katherine żałowała, że nie jest taka jak inni ludzie. Dlaczego nie potrafiła być towarzyską? Dlaczego nie umówiła się z Fredem Franklinem? Ani nie miała z nim przelotnego romansu? Romans z żonatym wcale by jej nie zabił, wiedziała o tym aż za dobrze. A z pewnością bardzo ułatwiłby jej życie w pracy. Czowała, że nie jest lubiana, i czasem to ją bolało. Na przykład dziś.

— To tylko lunch — powtórzył głośno Fred, a oczy aż mu wyszły z wściekłości. — Żeby porozmawiać o pracy.

To rzeczywiście tylko lunch, uświadomiła sobie Katherine.

— Dobrze — westchnęła.

Fred triumfalnie pomaszerował do przypominającego akwarium gabinetu.

— Załatwione, synu — oznajmił zaniepokojonemu Joe Rothowi. — Nie zapomnij potem przyjść i wszystkiego nam opowiedzieć.

Zadzwoił telefon na jego biurku.

— Przyszli faceci z Geetexu — powiedział.

Dzięki radosnemu nastrojowi Joe prezentacja była wyjątkowo udana. Jego oracja okazała się tak przekonująca, że niemal wszyscy uwierzyli w tampony.

— Chyba ich mamy — stwierdził Myles, obserwując wyjście oczarowanych gości z Geetexu.

Zazwyczaj po takim sukcesie zespół udawał się na długi, zakrapiany lunch. Tego dnia jednak Joe do nich nie dołączył. Kazał im jednak iść, dał swoje błogosławieństwo, wcześniej upewniwszy się, do której restauracji się wybiorą. Zamierzał zabrać Katherine gdzieś daleko od tego miejsca.

Katherine spędziła rano zanurzona po uszy w narosłych odsetkach. Całkowicie oderwała myśli od Joe Rotha. Nie dla niej fałszywe wymówki o koniecznej wizycie w banku/sklepie papierniczym/aptece, a następnie gorączkowy galop na Oxford Street po pastę i szczotkę do zębów, nową szminkę, dodatkowy podkład, spray do ciała, cienkie pończochy, wysokie obcasy i nową garsonkę z krótką spódnicą na cześć zaimprovizowanego posiłku.

Nie pozwoliła sobie na rozgorączkowanie. Lata praktyki sprawiły, że zwalczanie niecierpliwego oczekiwania nie było trudne.

Rzecz jasna, praca bardzo w tym pomagała. Nienagannie zorganizowany świat cyfr, gdzie nie było żadnych niedomówień. Jeśli wyliczenia się zgadzały, człowiek wiedział, że ma rację — zwyczajnie nie było miejsca na wątpliwości. Jeśli się nie zgadzały, należało się cofnąć i znaleźć błąd, a następnie go poprawić.

Katherine uważała księgowanie dwustronne za jedno z największych osiągnięć ludzkości, równie istotne jak wynalezienie koła. Żałowała, że światem nie rządzą takie same zasady. Bilans ujemny po lewej stronie, bilans dodatni po prawej, zawsze było wiadomo, na czym się stoi. Coś pięknego.

O pierwszej Joe nieśmiało zmaterializował się przy jej biurku, a jego wcześniejszą euforię zastąpiło zażenowanie.

— A tak, lunch i dyskusja o Noritaki — powiedziała nieuprzejmie, a on z zakłopotaniem przestępował z nogi na nogę, kiedy kończyła rozliczenia. To mogło poczekać, tylko po co?

Kiedy wyłączyła kalkulator, odkryła, że koniecznie musi iść do ubikacji, ale wstydziła się mu to powiedzieć. Uznała, że pójdzie do toalety w restauracji. Dlaczego jednak nie miała iść teraz? W końcu nic dla niej nie znaczył. W mglistej, odległej przeszłości, kiedy ktoś się jej podobał, zachowywała się inaczej. Funkcje cielesne były ukrywane i lekceważone, jakby nie istniały. Ale nie przy Joe Rocie.

— Muszę iść do ubikacji — oznajmiła zuchwale.

Celowo zostawiła torebkę na biurku, żeby sobie nie pochlebiał, że tak naprawdę poszła się uczesać i umalować dla niego usta szminką.

20

Restauracja, do której ją zabrał, znajdowała się niedaleko. Katherine podziękowała za to Opatrzności. Na myśl o tym, że miałyby ugrzęznąć z Joe w taksówce, zaczynała się dusić. Chociaż spacer także nie należał do przyjemności. Była zakłopotana i nie mogła spojrzeć na Joe. Oboje poruszali się w różnym tempie, próbując dostosować się do drugiej strony. Ponieważ Joe był bardzo wysoki, Katherine uznała, że pewnie szybko chodzi. Nie chciała opóźniać, więc biegła przed siebie. Następnie uświadomiła sobie, że zapewne za bardzo się śpieszy, więc drastycznie zwolniła. Tymczasem on zdążył zauważyć jej wolniejszy krok i zły na siebie za zmuszanie jej do pośpiechu właściwie niemal w ogóle przestał się ruszać. Wtedy Katherine zauważyła, że on celowo zwolnił i uznała to za nienaturalne, więc znowu przyspieszyła. On także, myśląc, że szedł dla niej za wolno. W ten żalosny, szybko-wolny, nierówny sposób pojawili się w Lemon Capsicum.

Była to kosztowna, modna, hałaśliwa restauracja, wykorzystująca swoje pięć minut sławy. Przez wzniesioną od strony ulicy zaokrągloną ścianę z luksferów i przesyt jasnego drewna bardzo przypominała miejsce, w którym w sobotę Katherine umówiła się z Tarą. Nie musiała nawet patrzeć do menu, żeby wiedzieć, co tu podają. Założyłyby się o własne życie, że znalazłaby tam mahi-mahi.

Joe na wszelki wypadek zarezerwował boks. Kiedy już usiedli, hałas ucichł i Katherine zaczęła się odprężyć — do tego stopnia, że zamówiła kieliszek wina.

— Nie patrz tak na mnie — powiedziała z wyższością. — Może i jestem bardzo pilna, ale nie przestałam być człowiekiem.

— Nie patrzę „tak” na ciebie — odparł z promiennym uśmiechem. — Jeśli chcesz kieliszek wina, to go dostaniesz. Dostaniesz tyle, ile zapragniesz.

Patrzył na nią z tak ciepłym uznaniem, że stwierdziła oschle:

— Przejdźmy do interesów. Jeśli chodzi o umowę dotyczącą przygotowania kampanii Noritaki, podstawowe obszary wydatków jak dotąd koncentrowały się...

— Katherine — przerwał łagodnie, a sposób, w jaki wypowiedział jej imię — niemal smutno — sprawił, że zapragnęła wstać i wyjść. — Może najpierw złożymy zamówienie.

Nagle postanowiła sobie odpuścić, zrelaksować się, tylko na godzinę. Trzy tygodnie go odrzucała i chwilowo zabrakło jej amunicji. W cholerę z tym, pomyślała. Jestem tylko człowiekiem. Dlaczego nie miałabym pozwolić, żeby ktoś był dla mnie miły? Przez godzinę? Uśmiech, którym obdarzyła Joe, po raz pierwszy był pozbawiony sarkazmu i pogardy.

— Co zjesz na przekąskę? — Pokazał głową jej zamknięte menu.

— Pewnie risotto z kurkami i wiórkami trufłowymi — odparła z błyskiem w oku. — A ty?

— Zupę z kolendry z trawą cytrynową. Zaraz! — Przyjrzał się uważnie menu. — Nie ma tu risotta z kurkami i wiórkami trufłowymi.

— Musi być. — Uśmiechnęła się. — Rozejrzyj się. —

Wskazała ręką pomalowane strukturalną żółtą farbą ściany, półmetrowe kwadratowe ogrody zen, okrągłe metalowe reflektory. Kiedy Joe się śmiał, czuła, jak rozkwita w jego oczach. Kiedy jednak otworzyła menu, wykrzyknęła: — Nie ma tu zupy z kolendry z trawą cytrynową!

— Musi być — powtórzył za nią Joe. — Rozejrzyj się. Tym razem, ku niezadowoleniu Katherine, to Joe triumfował.

Nie mogła wepchnąć go do żadnej szuflady. Większość mężczyzn, którzy do tego stopnia ją osaczali, miała ego wielkości kontynentu. Gdyby istniały jakieś szpary w ich zbroi wiary w siebie, dosięgłaby ich pogarda Katherine i odnieśliby śmiertelne rany. Jeśli jednak Joe nie był oszalałym egotystą, musiał być tępy jak piła albo naiwny jak Forrest Gump. Wątpiła, żeby tak było.

Pojawiła się kelnerka.

— Pozwolę sobie polecić państwu specjalność dnia — powiedziała. — Na przystawkę mamy risotto z kurkami...

Katherine nie słyszała reszty. Uśmiechnęła się szeroko do Joe, który — przez chwilę zdumiony jej ciepłem — natychmiast odwzajemnił uśmiech. Katherine właśnie sobie przypominała, jakie to bywa przyjemne. Gdy patrzyła na jego długie, wrażliwe palce bawiące się nóżką kieliszka, poczuła niemal zapomniane drgnienie w brzuchu. Jakby trzasnęła jakaś gumka. O nie!

Zamówiła tagliatelle. Nie zamierzała się poddać. Nie chciała jeść łatwego, randkowego dania, które nie pozostawiało miejsca na nieprzewidziane wypadki. No i co z tego, że tagliatelle zwisało w niechlujnych nitkach, gdy podnosiła je do ust? Co z tego, że dotykało jej brody, brudząc ją sosem z pleśniowego sera i porcini? To jedynie dowodziło, że jej nie zależy. Zamówiłaby szpinak, mając nadzieję, że utkwi jej między zębami, ale zabrakło go w menu.

Kiedy jedli przystawki, rozmowa naturalnie krążyła wokół jedyne go ważnego tematu, który ich łączył — wokół pracy. Joe jednak bez skrupowania zaczął opowiadać o sobie, co obudziło w Katherine podejrzenie, że tego samego oczekiwał od niej. Wspomniał coś o wyjeździe do „domu” kilka weekendów wcześniej. Potem powiedział:

— Skończyłem trzydziestkę w lipcu i moja mama uznała, że skoro jeszcze się nie ożeniłem, to z pewnością jestem gejem.

Kiedy jednak nie zamilkł wymownie i nie spojrział na nią głodnym wzrokiem, jak pies pozbawiony kolacji, odprężyła się. Może nie próbował w ten sposób dowiedzieć się, ile miała lat i czy jest już zaklepana.

— Gdzie jest dom? — spytała.

— W Devon. W głębi duszy jestem prowincjuszem. Jakbyś miał się czym chwalić, pomyślała z pogardą.

— Ja też jestem z małego miasteczka — stwierdziła jednak.

W odpowiedzi na jego pytania opisała mu Knockavoy. Krajobrazy. Wielkie fale Atlantyku, czasem tak wysokie, że wpadały ludziom do okien. Powietrze tak aromatyczne, że „moja przyjaciółka Tara twierdzi, że dałoby się je zjeść nożem i widelcem”. Biedna Tara, pomyślała. Ma rację, to rzeczywiście obsesja jedzenia.

— Zachowuję się jak reklama Irlandii. — Uśmiechnęła się.

— Musiało ci być ciężko stamtąd wyjeżdżać.

— Nie. Nie mogłam się już doczekać — przyznała. — Podoba mi się anonimowość Londynu.

— To miejska ziemia jałowa. Ludziom nie zależy na sobie.

— Może. Ale są tu świetne sklepy z butami — zażartowała. Roześmiał się i popatrzył na nią z wyraźnym podziwem. Pomyślała, że jest naprawdę przystojny. To ją zirytowało.

Pojawiły się dania główne. To zamówione przez Joe było budzącym respekt pionowym czymś.

— Jak oni to robią? — spytał z podziwem, rozbierając je wzrokiem. — Już widzę. Warstwa pomidorów z cebulą z grilla, warstwa kurczaka, warstwa bazylii, warstwa suszonych pomidorów i warstwa mozzarelli. Powtórzyć w razie konieczności. Nie próbujcie tego w domu, widzowie!

— Umiesz gotować? — Nie miała pojęcia, dlaczego o to zapytała. Co ją to obchodziło?

— O tak. — Rozpromienił się. — Robię świetne zielone tajskie curry. Chcesz wiedzieć, jak?

Nawijając tagliatelle, skinęła głową, a jej dobry humor nieco się popsuł. Teraz będzie usiłował jej zaimponować umiejętnością gotowania, niezbędną u nowoczesnego mężczyzny. Co za nuda.

— Najpierw trzeba kupić składniki. W byle którym Marksie i Spencerze. Idź do lady chłodniczej... To ważne, Katherine. — Pogroził jej palcem. — Mnóstwo ludzi popełnia błąd i od razu idzie do mrozonek. Następnie wybierz gotowe zielone tajskie curry. Kiedy przyjdiesz do domu, wyjmij je z opakowania i przekłuj plastik widelcem, cztery razy. Nie więcej. — Umilkł, a następnie dodał: — I nie mniej. Następnie — to mój dobrze strzeżony sekret — chociaż z tyłu napisano, żeby trzymać je w mikrofalówce cztery minuty, wyjmij je po trzech i pół. — Pokiwał mądrze głową. — Potem zdejmij plastikowe opakowanie i wsadź curry na kolejne trzydzieści sekund. Efekt będzie wspaniały, jak mawiamy, my, eksperci, karmelizowany.

Wyszczerzył zęby, a ona się roześmiała, czując rozbawienie i ulgę.

— To znaczy, robi się trochę twarde — przyznał — czyli niemal tak samo jak karmelizowane. Podawaj z ryżem, który może przynieść dostawca z hinduskiej restauracji. A teraz ty podziel się ze mną jakimś przepisem.

— Dobrze. — Zaczynało się jej to podobać. — Niech pomyślę. O, ten jest niezły. Najlepiej mieć do tego książkę kucharską, chociaż wystarczy kilka ulotek rozrzuconych koło skrzynki na listy. Podnosisz słuchawkę, wykręcasz numer, prosisz o trzydziestocentymetrową marinare na cienkim cieście, z podwójną porcją pomidorów, następnie zaś — to najważniejsze — podajesz im adres. I tyle: wspaniały posiłek w niespełna pół godziny! Jeśli dostawca się pojawi, ma się rozumieć.

— Dobrze wiedzieć — mruknął zamyślony. — Wypróbuję go pewnego wieczoru, kiedy zaproszę na kolację szefa męża.

— Czy kiedykolwiek gotujesz? — Wyczuwała w nim pokrewną duszę.

— Nie. — Jego brązowe oczy były szczerze. — Nigdy. A ty?

— Nienawidzisz ludzi, którzy robią wielkie halo z gotowania?

— Nie nienawidzę. Zwyczajnie nie rozumiem.

— Wiem, co masz na myśli.

— Gdyby Bóg chciał, żebyśmy piekli, po co wymyśliłby piekarnie?

— No właśnie.

Patrzyli na siebie w pełnej zadowolenia ciszy.

— Moglibyśmy wspólnie napisać książkę kucharską — zaproponował nagle Joe. — Dla ludzi, którzy nienawidzą gotowania.

— Moglibyśmy. Znam furę przepisów. — Twarz Katherine pojaśniała. — Genialny na humus. Idź do Safewaya, kup kubek, zerwij papierowe opakowanie i celofan, podawaj!

— Świetne. — Nagroził ją uśmiechem. — A ja znam przepis na niekłopotliwą pieczeń na kolację. Wskazówki: jedź na weekend do mamy.

— Moglibyśmy zamieścić fotografie na błyszczącym papierze — ciągnęła entuzjastycznie Katherine. — Mikrofalówka, dostawca pizzy i ludzie jedzący z plastikowych pojemników.

— To dopiero byłaby odmiana po zwyczajowej gastropornografii — zauważył z rozbawieniem. — Delio Smith, twoje dni są policzone.

Katherine musiała przyznać, że Joe jest miły. Przynajmniej wydawał się miły. A to oznaczało, że zapewne był oszalałym psychopata i mordercą. Oni zazwyczaj byli mili. Zapadła cisza i po raz pierwszy zauważyli, że na zewnątrz pada.

— Deszcz — westchnęła.

— Lubię deszcz.

— Najwyraźniej lubisz wszystko. — Nagle ogarnęło ją zniechęcenie. — Czy istnieje męski odpowiednik Pollyanny? Bo ty nim jesteś!

Roześmiał się.

— Tak się składa, że moim zdaniem większość rzeczy może się obrócić na twoją korzyść. Na przykład deszcz. Wyobraź sobie taką scenę: za oknem pada, deszcz bębni o parapety, ale ty jesteś w domu, płonie ogień w kominku, leżysz na sofie pod kołdrą, obok stoi butelka czerwonego wina...

— Masz na sobie grube skarpety i spodnie od dresu — przerwała Katherine, zdumiona własną gorliwością. Joe skinął głową.

— Dostawa od Chińczyka w drodze...

— Świetny film w telewizji...

— Czarno-biały... — Oczy Joe zaśmiały się entuzjazmem.

— Oczywiście...

— *Filadelfijska opowieść?*

— *Casablanka?*

— Nie — stwierdzili jednocześnie. — *Rzymskie wakacje!*

Popatrzyli na siebie. Oboje poczuli nagłą więź, tak intymną, że Katherine odniosła wrażenie, iż Joe przejrzał na wylot jej duszę. Niemal ją przenicował. Kelnerka wybrała sobie właśnie tę chwilę, żeby wetknąć pomiędzy nich twarz i zapytać, czy skończyli. Katherine mogłaby ją ucałować, Joe zaś najchętniej urwałby jej łeb.

Próbując jak najbardziej odwlec powrót do pracy, zaczął energicznie namawiać Katherine na deser.

— Może trój czekoladowa teryna? — zasugerował. — Albo pralinka krówkowo-karmelowa.

Katherine zacisnęła usta. Za kogo ją uważał? Za kobietę?

— Ty coś zjesz? — spytała.

— Nie, ale...

— No właśnie — odparła zimno.

Zastanawiał się, co zrobił nie tak. Przecież dobrze im szło. Katherine jednak spojrzała na zegarek i zauważyła, że godzina już minęła. A nawet więcej. Była zła na siebie i na niego.

Znowu nałożyła maskę. Zamówiła podwójne espresso i zaczęła warczeć o kosztach stałych i zmiennych kampanii Noritaki. Potem, żeby zademonstrować, że zabawa naprawdę się skończyła, wyjęła wydruk z torebki. Następnie — wyłącznie po to, aby okazać Joe okrucieństwo — położyła na stole kalkulator.

— Co powiesz na likier? — zaproponował Joe, kiedy skończyła. — Tylko jeden i wracamy.

Pokręciła przecząco głową z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

— Daj spokój. Jak powiedział kiedyś pewien bardzo mądry człowiek: „Może zostaniesz jeszcze chwilę?”

— Cytując jeden z największych umysłów dwudziestego wieku: „To by było na tyle, chłopaki” — odparła zimno, wrzucając kalkulator do torby.

Wstała.

Czekała, aż Joe zapłaci, i wdeptywała w ziemię swoje wyrzuty sumienia. W końcu wcale nie chciała tu przychodzić. Kiedy się podniósł, powiedziała z wyższością:

— Nie zapomnij rachunku, żeby zażądać zwrotu kosztów.

Spojrzenie, jakie jej rzucił — uraza i pogarda dla jej nieuzasadnionej nieuprzejmości — sprawiło, że niemal pożałowała tych słów.

Zbliżała się czwarta, kiedy wrócili do biura. Tak nie powinno być. Cóż, to się nie powtórzy, już ona tego dopilnuje. Zresztą Joe na pewno wyleci przed końcem miesiąca. Jak na standardy Breen Helmsford, i tak był tu już za długo. Pomyślała, że z rozkoszą obliczy wysokość jego odprawy.

Jedyny problem polegał na tym, że dobrze wykonywał swoją pracę i ludzie go lubili. To wzbudziło w niej lekki niepokój.

Kiedy jednak dotarła do domu tego wieczoru, zły humor został pokonany przez ciepły blask, z którego nawet nie zdawała sobie sprawy. Dopóki nie spostrzegła go Tara i jej o nim nie poinformowała. Wtedy zadowolenie Katherine bezpowrotnie przeminęło.

21

Kiedy Tara otworzyła drzwi mieszkania, usiłując ukryć zakupy, Thomas był w korytarzu, a Beryl kręciła się zazdrośnie między jego nogami.

— Jak twoje zajęcia stepu? — spytał natychmiast.

— Zajęcia stepu? Ciężko — zdołała skłamać. — Trudne.

— To dobrze. — Thomas cmoknął z zadowoleniem.

Może z powodu głodu, a może przez tłumiony gniew za to, co powiedział w sobotę, Tara odwróciła się do niego w nagłej, niewytłumaczalnej furii.

— Dobrze? Dobrze? Dasz mi złotą gwiazdkę? Może mnie ocenisz? Co dostałam? Osiem punktów na dziesięć? Cztery z minusem? Trzy z plusem? Boże drogi!

Thomas wybałuszył oczy ze zdumienia. Otwierał i zamykał usta, nic nie mówiąc.

— Wyglądasz jak złota rybka — warknęła. — Idę zadzwonić.

Wpadła do sypialni, rzuciła zakupy na podłogę, jedną ręką zapaliła papierosa, drugą zaś wystukała numer Fintana.

— Co powiedział lekarz?

— Nie poszedłem — uspokoił ją Fin tan. — Nie zgadniesz, co się wydarzyło po naszej dzisiejszej rozmowie.

— Co?

— Guz zniknął — roześmiał się. — Jakby uszło powietrze z balonu. W jednej chwili wyglądał jak kiwi, w następnej jak winogrono, a za moment jak rodzynek!

— Martwiłam się, wiesz. — Czuła się jak idiotka. — Może jednak powinieneś pójść do lekarza. Przynajmniej się dowiesz, co go spowodowało.

— Nie ma potrzeby — odparł. — Kryzys przezwyciężony. To był tylko chwilowy problem, teraz możemy o tym zapomnieć.

— Naprawdę był wielkości kiwi?

— Niemal.

— Ludziom nie wyskakują guzy na szyi dla rozrywki — drażyła temat, mocno zaciągając się papierosem. — Coś jest nie tak i powinieneś dowiedzieć się co. A jeśli to się powtórzy?

— Nie powtórzy się.

— Może się powtórzyć.

— Nie powtórzy się.

— Co myśli Sandro?

— Sandro nie myśli albo myśli jak najmniej, o czym doskonale wiesz.

— Fin tan, bądź poważny.

— Za nic.

Zapadła długa cisza. W końcu Tara zmusiła się do wyrażenia swoich obaw.

— Fin tan, muszę cię o coś zapytać. To nie moja sprawa, ale i tak zapytam. Czy robiłeś sobie ostatnio test na HIV?

— Tara, przesadzasz.

— Spójrz mi w oczy — przerwała mu. — Powiedz, czy robiłeś niedawno test na HIV?

— Nie mogę tego zrobić.

— Chcesz powiedzieć, że nie? — Niepokój sprawił, że głos Tary stał się cienki i wysoki.

— Nie spojrzę ci w oczy, bo rozmawiamy przez telefon.

— Wiesz, o co mi chodzi.

— A ty robiłaś test na HIV? — zaskoczył ją.

— Nie, ale...

— Ale co?

Umilkła. Jak miała to powiedzieć?

— Czy ty i Thomas zawsze używacie prezerwatywy?

W innych okolicznościach Tara pewnie by się roześmiała na wspomnienie podchodów, jakie wykonał Thomas podczas pierwszej wspólnej nocy, gdy Tara usiłowała go przekonać do nałożenia prezerwatywy. „To jak jedzenie cukierka w papierku”, jęczał. „Jak skakanie w kałuży w butach i skarpetkach”. Nigdy więcej tego nie proponowała. Na szczęście od czasów Alasdaira wciąż brała pigułki.

— Nie, nie zawsze, ale...

— A Thomas zrobił sobie test na HIV?

Taaa, jasne, pomyślała Tara. Thomas był ostatnim człowiekiem na świecie, który poddałby się takiemu badaniu.

— Nie, ale...

— Zatem się przymknij — przerwał Fintan, delikatnie, lecz stanowczo pokazując Tarze, gdzie jej miejsce. — Dziękuję ci za troskę, ale to zapewne łagodna postać miksomatozy. Albo cukrzycy. Jak tam twoje choroby?

Jednak Tara, czerwona po wysłuchaniu słów krytyki i zawstydzona, nie chciała się bawić.

— Może nawrót wścieklizny? — spytał.

Nic nie powiedziała, przeklinając swoją niestosowną, bezmyślną troskę. Pewnie istniało większe prawdopodobieństwo, że to ona ma HIV, a nie Fintan.

— Albo malarii? — dopytywał się uprzejmie. Nadal milczała.

— Słyszałem, że rozszalały się wągliki — stwierdził — więc ubieraj się ciepło.

— Skoro jesteś pewien, że nic ci nie jest — powiedziała pokornie — idę zająć się kolacją. Porozmawiamy jutro.

— Nie będzie mnie przez cały tydzień — odparł. — Pracuję w Brighton. Do zobaczenia w weekend.

Thomas nasłuchiwał przy drzwiach. Przepchnęła się obok niego i wpadła do kuchni. Była zła na siebie, urażona słowami Fintana, bardzo głodna i chwilowo nie zamierzała przestrzegać żadnej diety.

— Jest coś do jedzenia? — Otworzyła szafkę i popatrzyła z obrzydzeniem na zupę Strażników Wagi, pomidory w puszcze, makaron i żarcie dla kota. — To jak strefa głodu — mruknęła. — Kuchnia z Trzeciego Świata. Jeśli nie będziemy uważali, Światowa Organizacja Zdrowia zacznie nam zrzucać z powietrza skrzynie z kukurydzą i mąką. Gdybyśmy założyli sobie linię charytatywną, zbilibyśmy majątek.

Thomas obserwował ją ze zdumieniem. Dotąd nigdy się tak nie zachowywała. W szafce obok kryły się jego zapasy steków i nerek w puszkach.

— Możesz zjeść coś z tego — zaproponował, zdumiony nerwowym drżeniem swojego głosu.

— Wolałabym zjeść własną nerkę — odparła. — Która godzina? Safeway jest nadal otwarty. Idę kupić coś do jedzenia.

— Czekać chwilę, pójdę z tobą.

— Nie, nie pójdziesz. — Złapała kluczyki do samochodu.

— Kup dużo warzyw! — zawołał za nią.

Tara odwróciła się, cofnęła i zbliżyła twarz do jego twarzy.

— Może się zamkniesz? — zaproponowała, a następnie wyszła.

Patrzył zdumiony, jak wsiada do samochodu i odjeżdża z piskiem opon. Miarka się przebrała. Nic nie mogło jej powstrzymać.

Istniało kilka żelaznych zasad, według których żyła Tara. „Traktuj innych tak, jak oni ciebie”, brzmiała jedna. „Nie chodź do supermarketu, kiedy jesteś głodna”, głosiła inna.

Jednak dziś Tara była w nastroju sprzyjającym łamaniu reguł.

Wózek czy koszyk? Koszyk czy wózek? Jakie zniszczenia dziś planowała?

Wózek.

Przemknęła przez dział z warzywami i owocami, rozglądając się z pogardą na lewo i prawo. Postanowiła, że dziś żaden świeży produkt nie powróci z nią do domu. Następnie kątem oka dostrzegła marchewki. Marchewki to moi przyjaciele, przypomniała sobie. Ileż to razy surowe marchewki pomagały jej kontrolować głód. Jednak nie dzisiaj. Chyba że oblane czekoladą.

— Marchewki mogą się pieprzyć — mruknęła.

Przypadkiem usłyszał ją młody człowiek, który dwa dni wcześniej przyjechał do stolicy z Cardiff. Zatem jego mama miała rację — Londyn faktycznie był pełen wariatów. Super!

Tara dostrzegła zaciekawione spojrzenie chłopaka i uderzyła ją pewna myśl. W niektórych londyńskich supermarketach urządzano wieczory dla singli. Czyżby trafiła na coś w tym rodzaju? Zerknęła nieśmiało i zauważyła, że chłopak nadal jej się przygląda. Była zdumiona, ale nie niezadowolona. Przelotnie pomyślała, że mogłaby się do niego uśmiechnąć, ale postanowiła nie zawracać sobie tym głowy.

Po co komu mężczyzna, skoro można mieć jedzenie?

Ona będzie je miała.

Zazwyczaj wyprawa do supermarketu zajmowała Tarze bardzo, bardzo dużo czasu. Przypominała wędrowkę po polu minowym. Pokusy ze wszystkich stron. Każdy zakup rodził się w bólach. Każde opakowanie było starannie oglądane w poszukiwaniu liczby kalorii i ilości tłuszczu. Nic powyżej pięciu procent tłuszczu nie miało wstępu do wózka. „No pasaran!”, brzmiało jej motto.

Chyba że Thomas nie patrzył.

Czasem tęsknie przejeżdżała palcem po zakazanych hinduskich potrawach albo mrożonych pizzach, żałując, że nie ułożyło się inaczej. Dawno temu jednak przestała chodzić do działu ciast, tam poczucie straty było zbyt silne. Najlepiej zamknąć za tym drzwiami. To był namiętny romans, zbyt namiętny. Wiedziała, że ona i słodczyce nigdy nie zostaną przyjaciółmi. Zdarzały się jednak chwile, kiedy nie mogła się powstrzymać od wspomnienia dawnych dobrych czasów.

Wspomnienia bywają piękne, jednak... Różowy, zamazany obrazek przedstawiający roześmianą Tarę, wirującą w zwolnionym tempie, z rozwianym włosiem i paczką ciastek Jammy Dogders w ramionach. Albo Tara zbiegająca ze wzgórza, przez zboże, w piękny letni dzień, trzymająca się za ręce z viscounts o smaku pomarańczowym. Albo chichocząca szczęśliwie, z policzkiem wtulonym w czekoladowo-imbrowy nugat. Ach, tacy byliśmy...

Dziś wieczór jednak było inaczej. Tara parla przez działy niczym iracki czołg najeżdżający Kuwejt, nie ograniczana przez swoją zwyczajową powściągliwość. To była akcja na pełną skalę. Jednym zamaszystym gestem zmiotła do wózka sporą część półki z chipsami. Bez grama poczucia winy dorzuciła parę tłustych kanapek na drogę do domu.

Trudno jej jednak było nie napocząć tego, co wkładała do wózka. W końcu, mając nadzieję, że nikt nie patrzy, otworzyła paczkę monster munch. Potem jeszcze jedną. Potem wieprzowina w cieście. Następnie sięgnęła po herbatniki.

Niezdolna się opanować, podniosła paczkę boosters i popatrzyła na nią. Może nie powinnam, pomyślała. A kto ci zabroni?, szepnął cienki głosik w jej głowie.

Wahała się na krawędzi, drżąc z pożądania i możliwości. Następnie z rykiem przetoczyła się przez nią fala adrenaliny, pochłaniając wszystko na swojej drodze, i Tara drżącymi palcami rozdarła paczkę.

To było jak walka psów, jej dłoń świstała, wpychając do ust żywność. Okruszki, czekoladowe chrupki, orzeszki i podarte opakowania fruwały w powietrzu. Była podniecona, niemal w ekstazie, chociaż ledwie czuła smak tego, co wkładała do ust — nie gościło tam wystarczająco długo. W jej ustach obowiązywały takie same zasady ruchu jak na autostradach.

I, równie szybko, wszystko minęło. Wrócił zdrowy rozsądek, a wraz z nim wstyd. Chociaż jej niepokój i głód zostały zaspokojone, czuła się parszywie. Powlokła się do kasy, ogromnie zażenowana pustymi opakowaniami w wózku, przerażona, kiedy kasjerka skanowała kody kreskowe. Gdyby jednak próbowała się pozbyć dowodów, chowając papierki, oskarżyliby ją o kradzież. Takich jak ona natychmiast łapano.

Co ona sobie myślała? Czy zwariowała? Całodzienna głodówka zmarnowana przez dziesięciminutowy szal. Wystarczyło spojrzeć na ilość nasyconych tłuszczów, które właśnie skonsumowała. Co z dietą? Przecież niemal wybrała się dzisiaj na zajęcia stepu. Czy cały wysiłek poszedł na marne?

Znowu zauważyła, że wpatruje się w nią tamten młody człowiek, ale tym razem nie myślała, że mu się podoba. Następnie przypomniała sobie Thomasa. Wróciło przerażenie.

Wrzeszczała na Thomasa i przerwała dietę. Była nie tylko grubasem, ale i sekutnicą. Co wyprawiała? Atmosfera była zbyt napięta, żeby porównywać Thomasa do złotej rybki. Drżąc ze strachu, z przekroczonym poziomem cukru, Tara pojechała do domu. Miała we krwi tyle konserwantów, że gdyby zachciało się jej urządzić krwawą jatkę w miejscu publicznym, w całym kraju nie było ławy przysięgłych, która uznałaby ją za winną.

Thomas siedział przy kuchennym stole, palił kolejnego papierosa, a Beryl przycupnęła obok w koszyku. Kiedy Tara weszła, popatrzył na nią z niepokojem.

— Cześć — powiedział z miłym, nerwowym uśmiechem.

— Przepraszam, że na ciebie krzyczałam. — Niemal padła przed nim plackiem, tak przyzwyczajona, że to on dzierży władzę, że kiedy owa władza wpadła w jej ręce, Tara uznała to za pomyłkę i natychmiast zwróciła ją prawowitemu właścicielowi jak portfel znaleziony na ulicy. — Jeśli się na mnie wściekłeś, nie będę miała ci za złe. Ogromnie mi przykro i daję ci słowo honoru, że od jutra przechodzę na ścisłą dietę.

Przy każdym skruszonym słowie przygnębienie Thomasa malało i powracała jego dumna arogancja. Pierś mu się wyraźnie powiększyła, a jego potulna, nieco psia mina stała się jedynie wspomnieniem. Kiedy Tara doszła do kiwi na szyi Fintana, Thomas czuł się znowu na tyle pewny siebie, by stwierdzić:

— Przy jego trybie życia będzie miał szczęście, jeśli się skończy na szyi.

22

Lorcan Larkin był aktorem. Z tego się utrzymywał i ten zawód wykonywał również w życiu prywatnym.

Po dwudziestce i nieco po trzydziestce odnosił niezwykle sukcesy w Irlandii, miał tam status megagwiazdy. Powalił publiczność w *Playboyu z Zachodu* oraz w *Junonie i pawiu*, spychając na dalszy plan resztę obsady. Inni aktorzy i tak go nie lubili, a po tym wręcz go znienawidzono.

Przez kilka lat występował w irlandzkiej telenoweli, grał w niej rozflirtowanego hulakę. Było mu to bardzo na rękę, gdyż mógł usprawiedliwiać odrażające zachowanie poza ekranem stwierdzeniem, że jest wyznawcą Metody Stanisławskiego. Mimo kaprysów swojego telewizyjnego bohatera (nędznej kopii oryginału), Lorcan uchodził za prawdziwy symbol seksu, uwielbiany i kochany. Poznał premiera oraz prezydenta Irlandii i bez przerwy dostawał majtki w listach. Nie zaszkodził mu nawet wydrukowany przez brukowce gorzki wywiad z jego żoną, która utrzymywała go przez chude lata, a została porzucona, kiedy tylko zaczęło mu się wieść lepiej. Dla Lorcana było to jednak za mało. Wszystkiego mu było mało. Czuł się źle ze swoim sukcesem w Irlandii. Podejrzewał, że jego rodacy o niczym nie mają pojęcia. OK, może i są jednym z najbardziej elokwentnych i odczytanych narodów na świecie, ale on chciał być podziwiany przez ludzi, którzy się naprawdę liczyli.

Wobec tego, mniej więcej cztery lata później, podjął decyzję o wyjeździe z Irlandii.

— Nie robię się coraz młodszy — żartował do dziennikarzy. Wcale jednak tak nie myślał. Uważał się za nieśmiertelnego.

Następnie udał się do Hollywood, żeby pokazać wszystkim, jak to się robi. Wierzył, że już po paru dniach będzie się wylegiwał nad brzegiem własnego lazurowego basenu, tonąc pod scenariuszami i tłukąc reżyserów pałką.

Czekał go jednak bardzo nieprzyjemny szok związany z odkryciem, że Hollywood zaspokoilo już swoje zapotrzebowanie na seksownych Irlandczyków. Uznało, że trzech wystarczy. Pierce Brosnan, Liam Neeson i Gabriel Byrne ładnie się wywiązali ze swoich zobowiązań. Najwyraźniej ostatnim krzykiem mody stali się aktorzy szkoccy, Hollywood nie mogło się nimi nasycić. Przez moment Lorcan zastanawiał się, czy nie zmienić imienia na Ewan.

Niezrażony, przyjął rolę homoseksualnego cyberwampira rowerzysty w niezależnym filmie, gdzie ściany przewracały się za każdym razem, gdy ktoś zamknął drzwi. Nigdy mu za to nie zapłacono, gdyż pieniądze się skończyły, jeszcze zanim doszli do półmetka. Na fali tego sukcesu dostał rolę — i to główną — w filmie dla dorosłych, gdy reżyser zauważył w toalecie, że Lorcan ma odpowiednie kwalifikacje.

Potem jednak przestał być niezrażony. Właściwie stał się bardzo zrażony. Jedyne lazurowe baseny, do których się zbliżył, były tymi, które musiał czyścić, żeby jakoś przeżyć.

W końcu nadszedł dzień czternastego miesiąca „odpoczynku”, kiedy był zmuszony przyznać, że się nie ułożyło: nie mógł się zmusić do użycia słowa „nie udało”. Mieszkał w Małej Tihuanie, w rozgrzanym, dusznym, szesnastometrowym pokoju z „wrażeniem okna”: okna nie było, lecz zamiast niego wisiała plastikowa zasłona zakrywająca beton. W ostatnim tygodniu żywił się cheetos o smaku prawoślazowym. Odebrano mu wypożyczony samochód, więc przez trzy godziny musiał tłuc się przez miasto autobusem, jeśli chciał dotrzeć na casting. Te castingi miał rzadko. Lorcan był tak niepożądany w Hollywood, że pewnie nie zdołałby nawet skłonić policji, by go aresztowała.

Dotychczas przyciągał sukces jak magnes. Uświadomienie sobie, że teraz stracił tę umiejętność, kosztowało go niewyobrażalne męki strachu i niepewności. Jego ego było olbrzymie, ale tak kruche, że zawsze potrzebował więcej od innych, by normalnie funkcjonować. Większego sukcesu, większego uznania, więcej pieniędzy, więcej kobiet. Imperatyw nakazał mu opuścić miejsce, gdzie był nikim.

Pieniądzy wystarczyło mu akurat na powrót do Europy. Nie było jednak mowy o powrocie do Irlandii. Nie po tym, jak go okłamali, wmówili mu, że jest gwiazdą, chociaż najwyraźniej nią nie był. Zamiast do domu pojechał do Londynu, mając nadzieję ukryć upokorzenie w jego ogromie. Wprowadził się do małego, obskurnego pokoju w Camden, a jego współlokatorem został przyjazny, grubawy mężczyzna o imieniu Benjy, zarabiający na życie wlepianiem mandatów za złe parkowanie.

Następnie Lorcan rozpaczliwie próbował odzyskać straconą pozycję i zachwiane poczucie wartości za pomocą pogardliwych uwag o śmieciach kręconych w Hollywood. „Scena zawsze była moją pierwszą miłością”, upierał się w „Guardianie”. To był „Camden Guardian”, jedyna gazeta zainteresowana faktem, że Lorcan zamieszkał w Londynie. (Tylko dlatego, że jego mieszkanie znajdowało się obok redakcji). „Naprawdę”. Pewność siebie Lorcana została mocno nadszarpnięta w Hollywood, ale znalazł sobie agenta i zaczął chodzić na castingi w Londynie. Niestety, świat aktorski jest niezwykle wrażliwy i na kilometr wyczuwa najlżejszy przejaw frajerstwa. Zdumiewająco przystojnego, wręcz groźnie seksownego Lorcana otoczyła niezauważalna aura świadcząca o tym, że jego czas już minął. Niektórzy niemili ludzie posuwali się nawet dalej i twierdzili, że jego czas nigdy nie nastąpił.

Nikt nie chciał być kojarzony z czymś takim. To mogło być zaraźliwe. Choć dziewczyny od castingów z zachwytem szły do łóżka z Lorcanem, niechętnie dawały mu rolę w swoich produkcjach. Duma kazała mu to ciągnąć. Duma i fakt, że nie umiał nic innego. Nie miał wyjścia, musiał podnosić się po każdym kopie i próbować od początku.

Jak dotąd, przez dwa lata, które spędził w Londynie, próbował zagrać w *Hamlecie*, *Królu Learze*, *Makbecie* i *Otelli*. Po dziesięciu miesiącach odrzucania w końcu dostał szansę. W *The Bill*. Pomysłowo obsadzono go w roli terrorysty z IRA, a jedyne zdanie, które musiał wypowiedzieć, brzmiało: „Jezus, idą do nas. Wiej, Mickey!”

Ku jego rozczarowaniu to *tour de force* nie otworzyło żadnych drzwi i pod swoją beczelną, arogancką powłoką Lorcan naprawdę cierpiał. Nienawidził nie być najbardziej podziwianym, pożądanym, upragnionym. Nie wszystko jednak było stracone. Mogło mu brakować ról, pieniędzy oraz chwały, ale nadal miał dziewczyny. Tylko na tym polu wciąż się sprawdzał — w mikrokosmosie tego, jak wszystko powinno się układać.

Przy kobietach Lorcan śmiało mógł dzierżyć ukochaną władzę. Rzecz jasna, doprowadzanie dziewcząt do płaczu nie stanowiło specjalnego wyzwania, ale lepszy rydz niż nic. Było to bezpieczne i zawsze zwyciężał. Mijały miesiące bez następnej roli, z trudem wiązał koniec z końcem. Szczerze mówiąc, oba końce ledwo się już dostrzegały. Z goryczą, niechętnie, znalazł sobie pracę kelnera. On, wielki Lorcan Larkin, zredukowany do podawania spaghetti carbonara burakom! Tak upadają tytani. Na szczęście po kilku dniach zwolniono go za nieodpowiednie podejście do klientów. (Kierownik nie potrafił przekonać Lorcana, że jeśli ktoś prosi o drugą kawę, odpowiada się: „Oczywiście, proszę pana, już podaję”, a nie: „Na co ci zmarł ostatni niewolnik? Sam się obsłuż”).

Nie miał wyboru, musiał poszukać alternatywnego źródła dochodu.

Mógł zostać żigolakiem. W Londynie było wystarczająco wiele bogatych starszych kobiet, dzięki którym mógłby szybko przywyknąć do takiego stylu życia. On z kolei zapewniałby im usługi seksualne. Nie zdołałby jednak tego przelknąć.

Nie miał nic przeciwko sypaniu z nimi, ale na swoich warunkach. Jednakże pół roku wcześniej w ciągu jednego tygodnia przydarzyły mu się trzy dobre rzeczy. Po pierwsze, dostał pracę przy podkładaniu głosu do irlandzkich reklamówek turystycznych, co niewątpliwie niezupełnie odpowiadało jego wymarzonemu wizerunkowi gwiazdy, lecz z całą pewnością zbliżało go do celu. Następnego dnia udało mu się załatwić mieszkanie spółdzielcze w Chalk Farm — samodzielne. (Benjy był niepokieszony).

Potem poznał Amy.

Był na imprezie z Benjym, gdy ujrzał ją po raz pierwszy.

Benjy tylko zerknął na jej długie, smukłe kończyny, czystą, promienną twarz, loki w kolorze truskawkowego blondu i pomyślał, że to najpiękniejsza dziewczyna, jaką kiedykolwiek widział.

— Spójrz — jęknął i trącił łokciem Lorcana.

— Myślałem, że lecisz na cyce. — Lorcan wydawał się niewzruszony.

— Nie, lecę na wszystko — stwierdził ze smutkiem Benjy. — Na wszystko, co mogę dostać.

— Niech moc będzie z tobą. Pamiętaj, co ci mówiłem. Udawaj nieśmiałego. Bądź wstydlivy.

— Nie mogę do niej podejść i się odezwać. — Benjy był przerażony.

— Dlaczego? Podoba ci się.

— Właśnie dlatego.

— Ruszaj, mój synu — nalegał Lorcan i delikatnie popchnął Benjy'ego.

Zatem Benjy na drżących nogach przeszedł przez pokój i ruszył do ataku. Lorcan oparł się o ścianę i lustrował dziewczynę spod na wpół przymkniętych powiek. Co dobre dla jednego, dobre i dla drugiego.

Bardzo szybko Benjy powrócił, czerwony z zażenowania. Udawanie nieśmiałości sprawdza się tylko w wypadku wybitnie przystojnych mężczyzn. Brzydsi wychodzą na palantów.

— Jak sobie poradziłeś? — spytał protekcjonalnie Lorcan.

— Poklepała mnie po głowie i powiedziała, że jestem milutki.

— Chyba obaj się zgodzimy, że nie jest to pożądana reakcja — stwierdził Lorcan. — No dobrze, a teraz patrz, jak to się robi. Patrz i ucz się. Jestem zaklinaczem kobiet.

— Co to ma być, do cholery?! — warknął gniewnie Benjy, przerażony, że Lorcan porwie mu Amy sprzed zadartego nosa.

— Coś jak zaklinacz koni, ale to nie popieprzone konie jedzą mu z ręki, tylko popieprzone kobiety.

— Ona nie jest popieprzona — sprzeciwił się gorąco Benjy.

— Jasne, że jest. Ta słodka twarz, te dobre maniery, bardzo chce kogoś zadowolić — stwierdził zamyślony Lorcan.

— Nie mnie — zauważył z goryczą Benjy.

Najważniejsze było wycucie czasu. Lorcan czekał, aż wszyscy mężczyźni w pokoju wykonają swój ruch. Wiedział, że Amy go dostrzegła. Był tak wysoki, że nie dało się go nie zauważyć, i widział kątem oka, że raz czy dwa zerknęła na niego.

Nie podszedł do niej wprost, aby ściągnąć jej uwagę. Przystojny mężczyzna, który zachowuje się arogancko, często odstrasza dziewczęta. Ale przystojny mężczyzna, który jest jednocześnie bezbronny, bardzo je pociąga. Postarał się zatem, żeby ich kontakt wyglądał na przypadkowy: udawał, że pomaga gospodarzowi zbierać kieliszki i puste puszki.

— Przepraszam, że przeszkadzam. Nie wiesz, czy ta jest pusta? — spytał, a jego fiołkowe oczy aż lśniły od fałszywej bezbronności.

Kiedy kiwnęła głową, powiedział z wahaniem:

— Wiesz... To znaczy, pewnie słyszałaś to miliony razy... Nie, nic, przepraszam. Zapomnij, że się w ogóle odezwałem.

Udał, że zamierza odejść, ale już się zainteresowała.

— Nie, powiedz, co miałaś powiedzieć.

— Nie. — Zamaskował zadowolenie niezdarnym językiem ciała. — To nic.

— Nie możesz zaczynać, a potem nie kończyć. — Jej niebieskie oczy błęgały go.

Lorcan odwrócił wzrok, przełknął ślinę, a następnie wykrztusił:

— Pewnie aż ci niedobrze od ciągłego wysłuchiwania tego samego, ale chciałem powiedzieć, że masz najpiękniejsze włosy, jakie kiedykolwiek widziałem. — Dysponował przydatną umiejętnością czerwienienia się na zawołanie.

— Dziękuję. — Amy także się zaczerwieniła.

— Chyba lepiej... — Niezręcznie machał ręką z pustymi kieliszkami, a następnie uśmiechnął się nieśmiało. — No wiesz, odstawię je do kuchni.

Dziesięć minut później, kiedy Amy wsadziła papierosa do ust, Lorcan przedarł się przez tłum z demonstracyjnie niezręcznym pośpiechem. Zaczął szukać swojej wyjątkowej zapalniczki, żeby pstrykać nią pod nosem dziewczyny.

Kiedy — zgodnie z planem — zapalniczka nie zadziałała, na twarzy Lorcana pojawiło się przerażenie. Pochwycił spojrzenie Amy, wybuchnął śmiechem i smutnym głosem skłamał:

— Jeszcze pięć minut temu działała. — Nie działała od dwóch lat. — Dlaczego te rzeczy zawodzą właśnie wtedy, gdy człowiek stara się zrobić wrażenie? — Następnie wrzucił ramionami. — Przepraszam.

Odszedł, a Amy patrzyła za nim tęsknie. Jak można było przewidzieć, wkrótce poszła za nim. Osiągnął swój cel. Przepelniała go radość. Boże, uwielbiał to! Nikt nie mógł się z nim równać. Był mistrzem, prawdziwym mistrzem!

Następnego dnia Amy zwołała nadzwyczajne zebranie ogólne wszystkich przyjaciółek.

— Strasznie mu współczułam! — wykrzyknęła. — Ta jego mina! Naprawdę się zaczerwienił. Tak bardzo chciał przypalić mi papierosa. Jest tak boski, że to aż boli. Kiedy go zobaczycie, zwyczajnie nie uwierzycie, że można być aż tak przystojnym. Co wy na to? Przystojny facet, a jednocześnie troskliwy i bezbronny. Wiem, że jest jeszcze bardzo wcześnie i pewnie trochę ryzykuję, ale poważnie myślę, że może być... — urwała i niepewnie wypuściła powietrze — tym jedynym.

Kilka dni później, kiedy Benjy uświadomił sobie, że Amy zostanie dziewczyną Lorcana, popadł w przygnębienie.

— Myślałem, że to tylko studium przypadku. — Kręciło mu się w głowie ze zdumienia i zazdrości. — Myślałem, że przespałeś się z nią, żeby mi pokazać, jak to się robi.

— No wiesz, Benjy? — Lorcan cmoknął z dezaprobatą. — Jak możesz tak mówić. Tak się nie traktuje ludzi!

TLR

Pierwsze lato po tym, jak Fintan, Tara i Katherine zostali przyjaciółmi, było magiczne, choć Frank Butler rozpowiadał dookoła, że Fintan O'Grady ma bardzo zły wpływ na innych. Oświadczał to raz za razem każdemu, kto chciał słuchać w barze O'Connella. Nie zyskał jednak szczególnego poparcia.

— Zaraz, a co złego robi? — spytał Tadhg Breenan, przypominając sobie Fintana w koszuli z szerokimi rękawami i pantalonach. — Ożywia to miasto. Poza tym to tylko taka faza dorastania.

— Kiedy skończy z tą frazą, faza, moja córka całkiem się wykolei.

Koledzy Franka zamilkli. Zwalanie winy na Fintana nie było sprawiedliwe. Tara Butler i tak miała się prędzej czy później wykoleić. Było to po niej widać już w wieku lat czternastu.

Cieszyła się dużym powodzeniem wśród miejscowych łobuzów, niemal etatowo noszących dzwony i podpierających mury na Main Street i Smali Street — profesjonalnych uliczników, którzy pewnie umieszczali ten zawód w swoim CV.

— Idzie biust, reszta zaraz dojdzie. — Tręcali się łokciami na widok Tary.

— Kawał kobity z ciebie! — wrzeszczeli, kiedy przepływała obok nich, okrągła i seksowna, z zadartym nosem. — Nie wyrzucilibym cię z łóżka. Może pójdziemy posłuchać płyt?

— Romantyczny podryw w stylu Knockavoy — śmiała się Katherine.

Nikt nie zasugerował, że sztywna Katherine jest kawałem kobity. Szczerze mówiąc, uliczni chłopcy czasem krzyczeli za nią:

— Zjeżdżaj, ty miotło, wolałbym chodzić z kijem! Tara się tym przejmowała.

— Czy jesteś zła...?

— Zła za co?

— Że oni nie mówią... — Tara się zawahała — ...że nie wyrzuciliby cię z łóżka?

Spojrzenie, jakim obdarzyła ją Katherine, skłoniło Tarę do przemyślenia pojęcia pogardy.

— Nie? To dobrze — mruknęła nerwowo.

W wieku czternastu lat Tara bardzo interesowała się chłopcami, aczkolwiek nie miejscowymi. Żyła dla letnich miesięcy, kiedy swój głód zaspokajała jeśli nie ucztą, to przynajmniej porządnym posiłkiem, gdyż na polu namiotowym w każdym tygodniu pojawiała się świeża dostawa chłopców. Tara i — w mniejszym stopniu — Fintan mieli pełne ręce roboty.

— Nikt nie wróci do domu rozczarowany! — mawiał Fintan.

Wieczorami, które ciągnęły się w nieskończoność, Tara, Katherine i Fintan siadywali godzinami na falochronie, w różowawym świetle, aż słońce w końcu ukrywało się za horyzontem.

— Tam jest Ameryka — powtarzali radośnie. — Następny przystanek: Nowy Jork. — Potem wyteżali wzrok, na wypadek, gdyby na horyzoncie zdołali ujrzeć lśniący czubek Statuy Wolności. — Pewnego dnia... — wzdychali. — Pewnego dnia tam pojedziemy.

— Co oni robią? — pytał gniewnie Frank Butler Fidelmę. — Siedzą tam przez cały czas. Przejeżdżałem tamtędy o wpół do szóstej, a potem wracałem do domu o dziesiątej, a oni dalej siedzieli, jak skała.

Fidelma westchnęła. Wiedziała, jak łatwo jest spędzić cztery godziny na wilgotnym falochronie, nie myśląc o upływie czasu, budując zamki na lodzie i wprowadzając się do nich. Pamiętała, jak to jest być młodym i pewnym, że czeka cię świetlana przyszłość, być jak kwiat gotów do rozkwitu.

— Może podziwiają widoki — zasugerowała.

Frank prychnął i miał ku temu powody. Tara, Katherine i Fintan nawet nie zauważali olbrzymiej przestrzeni, chyba że jako ewentualną drogę ucieczki. Jedyne widoki, które ich interesowały, to tłumy chłopców wieczorami nadciągających na falochron. Czasem jednej nocy potrafiło się pojawić aż do dwudziestu gości z Limerick, Corku, Dublina i Belfastu.

Ku konsternacji Tary przychodziły też dziewczęta w wyrafinowanych, modnych miastowych sukienkach. Nawet gdy zdały sobie sprawę, że przy Fintanie tracą tylko czas, nadal przychodziły. Jednak nikt z miejscowych nie próbował się wepchnąć. Czasem gdzieś na obrzeżach płątały się dziewczyny ze szkoły, ale kiedy nikt nie zapraszał ich do uprzywilejowanego kręgu, odpływały rozczarowane.

Co noc powietrze gęstniało od nastoletniej tęsknoty. Żeby jej ulżyć, praktykowano rozmaite rytuały godowe. Dziewczyna wiedziała, że się podoba, jeśli chłopiec usiłował po niej przejść albo rzucał w nią meduzą. Młodzi ludzie wciąż zbiegali po schodkach, podnosząc meduzy patykami, a następnie rzucali nimi w obiekt swojego pożądania.

W Tarę rzucono więcej meduz niż w kogokolwiek, Katherine dostała kilkoma ciśniętymi przez dwunastolatka. Kiedy się dowiedział, że Katherine ma czternaście lat, bardzo ją przeproszał. W Fintana nikt nie rzucał.

Nie przed zmrokiem.

Jeśli osoba, w którą rzuciło się meduzą, wrzeszczała: „Au, ty chamie! Nienawidzę cię!”, oznaczało to, że rzucający się jej podoba. Jeśli jednak odbiegała, a pięć minut później wracała ze swoim ojcem, wskazywała chłopaka i mówiła: „To on, tato. Ten, który chciał mnie zabić”, młody człowiek miał świadomość, że bardzo źle ocenił sytuację.

Inną pewną metodą ujawnienia miłosnych zamiarów było wyciągnięcie wodorostów i tekst: „Zgadnij, co to? To twoje włosy”. Podobnie jeśli ktoś znalazł stare, zniszczone majtki, wyrzucone przez fale, i pytał: „To twoje?”, dziewczyna wiedziała, że ma wielbiciela.

Tara spędziła czerwiec i połowę lipca z wiecznym niepokojem burczącym jej w brzuchu. To był najlepszy okres w jej życiu. Wciąż deklarowała: „Zakochałam się”, a Katherine pytała pobłażliwie: „Znowu? W kim tym razem?”

W większość nocy, gdy słońce w końcu znikало za horyzontem, Tara oddalała się na wydmy na sesję zalotów z aktualnym obściskiwaczem. Katherine czekała na falochronie, rozmawiając nieśmiało ze zdobywcami drugiego miejsca. Nie miała ochoty chodzić na wydmy, żeby obcałowywać się chłopakami.

Oni też szczególnie się nią nie interesowali. Była zbyt chuda i zwyczajna, bez żadnych zadatków na elegancję, tajemniczą kobietę, którą się w końcu stała. Mówili o niej: „Ma dobry charakter”, co w języku młodzieżowym oznaczało: „Nie ma cycków”.

Tara spędzała większość piątków na łzawych pożegnaniach i obietnicach pisania listów, sobotnie popołudnia zaś wykorzystywała na obserwowanie nowo przybyłych i wpatrywanie się we wjeżdżające na pole namiotowe samochody, pełne ludzi i bagażników na dachu. Życie nie mogło być wspanialsze.

Fintan jednak pragnął dla nich trojga czegoś więcej niż falochrony i wydmy. Miał wizję. W połowie lipca wstrząsnął Tarą i Katherine, proponując im od niechcenia:

— Chodźmy na dyskotekę.

Od trzech sezonów w sobotnie wieczory i dodatkowo w środy w sierpniu, kiedy grupka turystów zamieniała się w nieco większą grupkę, w sali do nabożeństwa organizowano dyskoteki dla osób powyżej osiemnastego roku życia. Miejscowe duchowieństwo niechętnie je zaakceptowało w nadziei, że odciągną turystów od jaskiń rozpusty w Kilkee i Lahinch, dalej wzdłuż wybrzeża. Przynajmniej to musiało wystarczyć, gdyż próba zebrania pieniędzy na samochodziki w wesołym miasteczku zakończyła się fiaskiem.

Dyskoteka była okazją do grzechu. Mimo że ojciec Neylon nadzorował wolne kawałki za pomocą grubej laski, do konfesjonału tłoczyli się ludzie dotknięci nieczystymi myślami. Nie należało popierać deprawacji. Chyba że mogło to przynieść pieniądze.

— Dyskoteka! — Tara i Katherine przełknęły ślinę. — Przecież jesteśmy za młodzi.

— Kto tak powiedział?

— Wszyscy — zauważyła Katherine. — Na przykład nasze metryki.

— Zasady są po to, żeby je łamać — uśmiechnął się Fintan.

— Byłeś już tam? — spytała go Tara.

— Eee, no tak, pewnie — stwierdził nonszalancko. — Rok temu i jeszcze rok wcześniej.

— Wpuszczą nas? — Tara poczuła przypływ cudownego, podszytego strachem podniecenia. Nigdy nawet nie pomyślała o pójściu na dyskotekę. Założyła, że trzeba mieć co najmniej szesnaście lat. Nagle jednak wydało jej się to możliwe.

— Myślę, że tak — oświadczył pewnie Fintan. — Jeśli odpowiednio się ubierzesz i zrobisz makijaż. Zostaw to mnie.

— Mój ojciec ma rację — powiedziała z podziwem Tara. — Masz na nas zły wpływ. No i dobrze — zwróciła się do Katherine. — Gdybym czekała, aż ty sprowadzisz mnie na złą drogę, musiałabym czekać do dnia Sądu Ostatecznego.

Rozpoczęli gorączkowe przygotowania do wizyty w dyskotecę. Katherine podjęła pieniądze na poczęcie i pożyczyła je Tarze. Tara i Fintan pojechali autostopem do Ennis, gdzie Tara kupiła różowe spodnie ze streczu, najpiękniejszy ciuch, jaki kiedykolwiek miała. Zamówienie na tubę żelu do włosów złożyła w drogerii, której właścicielka obiecała zrobić co w jej mocy, by dostarczyć towar przed sobotą. Do akcji włączono gratisową szminkę Day-Glo, dołączoną do lipcowego numeru „Just 17”. Fintan powiedział, że może ona posłużyć również jako róż i cień do oczu.

— Nie mogę się przygotować w domu — oznajmiła lęklonie Tara. — Gdyby ojciec zobaczył, jak się odstawiłam, zabiłby mnie.

— Przygotuj się u nas — zaproponowała Katherine.

— Ale czy Delia nie będzie miała nic przeciwko temu? Nie wygada się?

— Na litość boską — westchnęła Katherine. — Całe lato mnie nęka, żebym poszła na dyskotekę. Boję się tylko, że zechce zabrać się z nami.

— Rany Boga! — wykrzyknęła Tara. — Masz cholerne szczęście.

— Wcale nie.

— A co myśli twoja mama? — zwróciła się do Fintana. — Rozzłości się, jeśli się dowie?

— Gdyby moja mama usłyszała, że poszedłem na tańce z dwiema dziewczynami, byłaby naprawdę szczęśliwa.

Tego wielkiego dnia Tara kupiła cztery cytryny. Jak kazano w „Just 17”, wycisnęła sok na włosy, a następnie postanowiła spędzić sześć godzin na słońcu, czekając, aż mysi kolor zmieni się w blond. Niestety, na niebie pojawiły się chmury, a potem zaczęło padać i tak skończyło się rozjaśnianie. Fintan przyszedł, gdy Tara miała właśnie wypłukać włosy piwem, aby lśniły (kolejna rada z „Just 17”)

— Co ty robisz? — Wydawał się wściekły. — Nie chcesz chyba powiedzieć, że płuczesz włosy piwem?

— Czy to im zaszkodzi? — zapytała z niepokojem. Fintan mógł być zniewieściały, ale nie aż do tego stopnia.

— A co za różnica, czy im zaszkodzi czy nie? Źle wpłynie na twój brak trzeźwości! — wykrzyknął. — Marnujesz dobre piwo!

— Chcę, żeby moje włosy ładnie wyglądały na dyskotecę — wyjaśniła.

— Wierz mi, wyglądałyby o wiele lepiej, gdybyś wypila to piwo — odparł Fintan. — Przynajmniej tobie by się tak wydawało.

Tara pojawiła się u Katherine z plastikową reklamówką pełną ubrań, kosmetyków do makijażu i z dwiema butelkami portera, które ukradła z zapasów ojca. Delia wyszła, pracowała w pubie. Agnes, pełna złych przeczuć, siwa i samotna, zerknęła podejrzliwie znad „Spare Rib”^{*} Delii na Tarę.

^{*} „Spare Rib” — feministyczne czasopismo brytyjskie, popularne zwłaszcza w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych.

Fintan wpełznął Tarę do pokoju Katherine.

— Muszę zostać sam na sam z klientką — oświadczył pompatycznie, zamykając drzwi przed nosem Katherine. — Geniusz przy pracy.

Kiedy Tara wyłoniła się jakiś czas później, Katherine zatkało z podziwu.

— Wyglądasz... — Pierwszy raz ją zamurowało. — ... strasznie staro. — Zamilkła, nie mogąc znaleźć słów. — Wyglądasz na siedemnaście lat. Jak ta dziewczyna z Bananaramy czy jakoś tak.

Tara miała na sobie różowe dżinsy, białą, rozchełstaną koszulę i błękitny T-shirt pod nią, niemożliwie opięty na bujnym biuście. Oczy otaczały niebieskie kreski, różowa szminka Day-Glo pokrywała większą część twarzy, a jej włosy były natapirowane i wyželowane w sterzące kosmyki.

— No dobrze — oświadczył Fintan. — Teraz ty.

— Ale ja już jestem gotowa.

Katherine włożyła workowate, czarne, nierozciągliwe dżinsy, obszerny biały T-shirt i nie zrobiła makijażu. Umalowałyby się, jeśli istniałby chociaż cień szansy, że ktoś każe jej się umyć. Brakowało jej ojca, który by wrzeszczał: „Zmyj to świństwo z twarzy! Moja córka nie będzie chodziła po Knockavoy wymalowana jak dziwka”, tak jak Frank mówił Tarze.

— Musimy wyglądać starzej, inaczej nas nie wpuszczą — stwierdził niespokojnie Fintan. — Nawet nie wypchałaś stanika?

— Wypchałam — odparła cienkim; głosikiem. Kiedy Tara weszła do kuchni, przeraziła Agnes.

— Święta matko słodkiego, boskiego cierpiącego Jezusa na krzyżu z piętnastocentymetrowymi gwoździami w dłoniach! — wykrzyknęła babka Katherine. — Uczesz włosy, dziecko! Skąd masz tyle kołtunów?

— Tak powinno być. To modne.

— Wygląda jak krzak kolcolistu.

— Dziękuję. — Fintan i Tara nieśmiało uśmiechnęli się do siebie.

— Zaczynam rozumieć. Takie włosy są teraz w modzie, tak?

— Tak.

— A dobrze wyglądałyby na mnie? Zapadła pełna konsternacji cisza.

— Pani Agnes, wyglądałyby cudownie. Odpowiedzialny za wybór kariery Bóg uśmiechnął się i pomyślał: „Ten młody człowiek powinien zająć się modą”.

— Być może będę musiał je przyciąć — ostrzegł ją Fintan.

— A tnij sobie!

Kiedy Agnes rozpuściła siwy koczek, sięgnęła po butelkę whisky i powiedziała:

— Wy możecie sobie pić portera Franka Butlera, ale ja mam ochotę na porządnego drinka.

Kiedy kilka godzin później Delia wróciła do domu, zastała matkę na krześle, na którym ją zostawiła, ale kompletnie pijaną, wysmarowaną jaskrawą różową szminką i z masą lepkich, tapirowanych, nastroszonych siwych włosów.

— Popatrz na mnie — wyskrzeczwała Agnes. — Jestem ostatnim krzykiem mody.

W ulicznych chłopcach transformacja Tary wzbudzała wątpliwości.

— Nie podobają mi się te barwy wojenne. — Bobby Lyons patrzył, jak przechodziła.

— Jej włosy wyglądają jak siano — narzekał Martin O'Driscoll.

— Beczka kiszonki powiedział Pauley Early.

— Ale różowe spodnie są ładne — przyznał Michael Kenny.

— O tak — zgodzili się pozostali. — Podobają się nam różowe spodnie.

Mimo portera Tara, Katherine i Fintan umierali ze zdenerwowania przed wejściem do dyskoteki.

— Pamiętacie — mruknął Fintan. — Obie urodziłyście się w sześćdziesiątym trzecim.

Nie musieli się jednak niczego obawiać. Ojca Evansa interesowało jedynie to, czy mają pieniądze na wstęp.

Byli w sali do nabożeństwa setki razy, ale tego wieczoru zakurzona drewniana podłoga, maleńka scena, pomarańczowe krzesła z plastiku, rozkład zajęć grupy Pomocy Maltańskiej, plakaty reklamujące nieudane zajęcia jogi Delii — lotos i Smirnoff — wydawały się magicznie odmienione.

Mimo że było dopiero wpół do ósmej i wciąż jeszcze świeciło słońce, atmosfera wydawała się naładowana. Dziwna maszyna wyświetlała ruchome obrazy kolorowych baniek na ścianach. Bańki się powiększały, następnie dzieliły na dwie, zmieniały kolor z niebieskiego na zielony, a potem na czerwony. Katherine miała skojarzenia z lekcjami biologii w szkole, na których obserwowali pod mikroskopem podział komórek.

Przyszli pierwsi. Nerwowo przysiedli na skraju plastikowych krzeseł, w napięciu oczekując na ludzi. I tak czekali. I czekali.

— Może powinniśmy zatańczyć? — spytała w końcu Katherine. Miała bardzo mocno wpojone poczucie obowiązku.

— Czekaj chwilę. — Fintan niespokojnie popatrzył na drzwi, marząc, by ktoś, ktokolwiek, się w nich pojawił. Dla Tary i Katherine stało się jasne, że mimo całego gadania Fintan także jest tutaj pierwszy raz.

Siedzieli w milczeniu, a cząsteczki kurzu krążyły w srebrzystym wieczornym blasku.

— Chyba pójdę do toalety, żeby zobaczyć, jak moje włosy — powiedziała Tara, kiedy minęło jeszcze trochę czasu.

— Dobrze — odparła Katherine.

Nadal siedzieli w milczeniu.

— Chyba i tak pójdę.

Koło wpół do dziewiątej, kiedy piosenki leciały już po raz trzeci z rzędu, przyszła jedna osoba, może dwie. Kiedy jednak zaszło słońce, pojawiło się więcej ludzi, a potem jeszcze więcej.

Niemi i zdenerwowani, Tara, Katherine i Fintan zdumiewali się tym, jak odprężeni i pewni siebie wydają się wszyscy inni, jak dobrze się czują w tym cudownym miejscu. Czy i oni mieli kiedyś stać się równie zblazowani?

Katherine zerkała na drzwi. Wiedziała, że teoretycznie jej matka jest w pracy, ale nie dałaby za to głowy...

Joe Roth patrzył, jak Katherine podchodzi do swojego biurka. Zrobiło mu się różniej na duchu. W biurze było co najmniej dwadzieścia innych kobiet, więc dlaczego właśnie ta tak na niego działała? Czy to twarz? Czy akcent? Jej opanowanie? Wyzwanie...?

Po umiarkowanym sukcesie na lunchu poprzedniego dnia przygotowywał się do zaproszenia jej na kolację. Tym razem miał zamiar zrobić to bez pomocy Freda Franklina i pretekstu o dyskusji na temat pracy. Podstęp i manipulacja nie należały do typowych metod, które stosował. Choć lunch rzeczywiście częściowo poświęcili pracy, wstyd mu było, że go na niej wymusił. Jednak zwyczajnie nie potrafił się powstrzymać.

Kiedy patrzył, jak ostrożnie wieszala żakiet na oparciu krzesła, usiłował się zdecydować, dokąd ją zaprosi. W miejsce tak nowe, że jeszcze nie obeschła w nim farba? Czy w miejsce stare, pokryte patyną wieków? Co by wołała?

Katherine usiadła, włączyła komputer i otworzyła plik. Następnie zamknęła go i otworzyła inny. Ten także zamknęła. Nie mogła się zdecydować, od czego zacząć. Na chwilę w ogóle ją to przestało obchodzić. Następnie, kiedy patrzyła, jak Joe podchodzi do jej biurka, uświadomiła sobie, że na niego czekała. Dziś wyglądał niesłychanie dobrze. Czyli już czwarty dzień z rzędu. Miał na sobie piękny granatowy garnitur z turkusowym splotem, a bardzo, bardzo jasna zieleń koszuli sprawiała, że jego ciemne oczy i włosy wydawały się jeszcze ciemniejsze. Jednak szata zdobi człowieka, powiedziała sobie stanowczo. To przez krój garnituru wyglądał tak elegancko i czarująco. To miękka tkanina marynarki sprawiała, że Katherine miała ochotę dotknąć jego ramienia.

Stał przed nią. Patrzyła na środkowy guzik jego koszuli i ku swojemu zdumieniu pomyślała, że mogłaby go rozpiąć i wsunąć tam dłoń. Przez ułamek sekundy wyobraziła sobie dotyk jego skóry — napiętej, jedwabistej pod włosami na klatce piersiowej — i poczuła, jak zalewa ją fala gorąca. Joe usiadł na krawędzi jej biurka. Odkryła, że wpatruje się w wybrzuszenie na jego spodniach. Co by się stało, gdyby rozpięła mu rozporek i wsunęła dłoń w...? Raz jeszcze zrobiło jej się gorąco. Zafascynowana przeniosła wzrok z jego rozporoka na oczy. Czowała się przestraszona. Potem zła. Uśmiechnął się do niej jak każdego ranka, ale dzisiaj ten uśmiech był nieco inny. Skupił się w oczach, nie w ustach. Mniej słodczy, więcej napięcia. Mniej radości, więcej zapierającego dech w piersiach niepokoju.

— Dzień dobry, Katherine.

— Dzień dobry — odparła krótko.

Umilkł i zdołał nawiązać z nią kontakt wzrokowy, zanim powiedział:

— Dziękuję, że przyszłaś dzisiaj do pracy. Uszczęśliwiłaś starego człowieka.

— Czyżby? — Katherine z wyższością uniosła brew.

— Tak. Jak powiedział pewien bardzo mądry człowiek... — Joe urwał, potarł z namysłem brodę i mruknął: — Jak to szło? No tak! „Jesteś słońcem mojego życia”.

— Bardzo interesujące — odparła powoli Katherine — bo inny bardzo mądry człowiek — sędzia, przy okazji — powiedział kiedyś: „Molestowanie seksualne w pracy jest przestępstwem”.

Przez ułamek sekundy nic się nie działo, następnie zaś Joe drgnął, jakby go uderzyła. Jego twarz zalała się purpurą, już schodził z jej biurka, zaszokowany, nagle nienawidząc samego siebie.

Molestowanie seksualne! Powiedziała, że ją molestował seksualnie. On! Joe Roth. Zawsze uważał, że molestowanie seksualne to specjalność starszych mężczyzn, którzy mieli władzę i korzystali z niej w zamian za seksualne przysługi. Jak Fred Franklin. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że jego entuzjastyczne zaloty można uznać za coś w tym rodzaju. Myślał, że z nią flirtuje. Czuł się nieprzyzwoity i odrażający. I odrażony.

— Przepraszam. — Wycofywał się z przerażoną miną. — Nie chciałem... Nie zamierzałem... Bardzo mi przykro.

Napawając się gorzkim triumfem, Katherine wróciła do cyfr na biurku. Szczerze mówiąc, wcale nie uważała jego zachowania za molestowanie. Nigdy rzekomo przypadkowo nie musnęła jej piersi pod pretekstem wręczania jej rachunku. Nie proponował, żeby się z nim przespalała, jeśli chce podwyżki. A kiedy robiła ksero w szerokim na dwa i pół metra korytarzu, nigdy się o nią nie otarł tak, by poczuła jego erekcję, i nie powiedział: „O kurczę, przepraszam, usiłowałem się tędy precyzyjnie. Cholerny dwuipółmetrowy korytarz”, tak jak robił to Fred Franklin wobec niektórych dziewczyn.

Zmusił ją jednak, żeby poszła z nim na lunch. Nawet jeśli był to lunch związany z pracą. Często się do niej uśmiechał, bardzo często, i nie było to związane z pracą. Nie mówiąc już o tych irytujących powiedzonkach mądrych ludzi. To dopiero ją denerwowało!

Stłumiła nieprzyjemne uczucie, że prawdziwe ofiary molestowania seksualnego raczej nie byłyby pod wrażeniem jej oskarżeń. Przynajmniej zdołała się go pozbyć. No dobrze. Bilanse!

Joe wrócił do swojego biurka, a Myles, który przyglądał się tej scenie — wraz z większością personelu Breen Helmsford — mruknął ze współczuciem:

— Dostałeś kopa?

— Tak — odparł bezbarwnie Joe.

Nastąpił masowy exodus. Mężczyźni omijali Joe jak najszerszym łukiem. Uznali, że człowiek czasem musi być sam.

Gdyby to kobieta spotkała się z taką odprawą, natychmiast obiegłyby ją inne kobiety, zasypały czekoladą i krzepiącymi frazesami: „Co za świnią!”, „Pewnie jest więcej takich tam, skąd pochodzi” i „Zakład, że ma małego”. «

Joe jednak był mężczyzną i w związku z tym jego biurko natychmiast stało się maleńką tratwą dryfującą po olbrzymim morzu. Przez cały ranek każdy facet z prawej strony biura, który chciał porozmawiać z kimkolwiek po lewej stronie, szedł na tyły biura, schodził pięć pięter po schodkach ewakuacyjnych, wychodził na tyły obok śmietnika, okrążał budynek, łapał windę, wchodził do biura i szedł do osoby, z którą chciał porozmawiać, zamiast przechodzić obok Joe.

Fred Franklin był jego jedynym źródłem ludzkiego kontaktu, a to tylko dlatego, że nie chciało mu się schodzić pięć pięter. Mijając Joe, z zakłopotaniem położył rękę na jego ramieniu i zasugerował tonem życzliwego mędrca, udzielającego rady nie opierzonemu wyrostkowi:

— Pieprz kogoś innego, synu.

Katherine to ignorowała, miała pracę do wykonania. Poza tym mógł wrócić. Gdyby to zrobił, będą wiedziała, że jest patologicznie aroganckim palantem, pomyślała. Jeśli nie, to mu nie zależało. Tak czy owak, nic nie tracę.

Wtedy poczuła nieoczekiwany i niechciany żal. Może Joe nie był taki zły. Nie, takie myślenie nie miało sensu. Wszyscy okazywali się źli. Wcześniej czy później.

Zazwyczaj po tym, jak się z nią przespali.

Joe przebrnął jakoś przez poranek, nie załamany, ale zdecydowanie nie w formie. Kiedy zastanawiał się nad swoim zachowaniem przez ostatnie trzy tygodnie, musiał przyznać, że bardzo narzucał się Katherine. Zawsze był rzutki i praktyczny. Jeśli czegoś — albo kogoś — chcesz, rób wszystko, by to lub go zdobyć. Ale nie chciał być nachalny.

Ani seksualnie molestować.

Był jednak niemal całkiem pewien, że nie można mu tego zarzucić. Co tylko pogarszało sytuację. Rzuciła mu w twarz to oskarżenie nie dlatego, że było prawdziwe, ale dlatego, że nienawiść do niego kazała jej pozbyć się go za wszelką cenę. Odrzucenie bolało. Zwłaszcza po tym, jak wydawało mu się, że zauważył maleńką odwilż.

Podczas lunchu Myles zajrzał w głąb siebie, by znaleźć słowa pociechy dla Joe. Coś głębokiego i uzdrawiającego. W końcu to znalazł.

Podszedł do Joe, położył mu rękę na ramieniu, popatrzył na niego z wielkim współczuciem i spytał:

— Skoczysz na piwo?

— Pewnie. — W zamglonych, martwych oczach Joe zamigotało nagle światełko.

Poszli na długi lunch, długi nawet jak na reklamowe standardy. Innymi słowy, nie wrócili przed trzecią. Następnego dnia.

Przy piątym kuflu wyczerpali już zwyczajowe tematy rozmowy — Arsenal, samochody, Arsenal, cycki, klienci-kutasy, Arsenal, szanse Anglii na organizację Mistrzostw Świata w 2006 — i upili się wystarczająco, żeby zbliżyć się do tematu uczuć. W trakcie dyskusji o systemie publicznego transportu w Manchesterze, Joe wykrztusił, że Katherine oskarżyła go o molestowanie.

— Nie powinienem był wczoraj zmuszać jej, żeby poszła ze mną na lunch — przyznał ze wstydem i żalem.

— Warto było spróbować, stary — stwierdził Myles, kombinator w każdych okolicznościach.

— Za mocno naciskałem, najwyraźniej jest bardzo delikatna.

Myles mruknął coś, co sprowadzało się do wniosku, że Katherine jest równie delikatna jak sherman.

— Nie widzisz tego, co ja. Jest taka... — Joe z rozmarzeniem zapatrzył się w przestrzeń. — Taka słodka. Czasem.

— Oskarżyła cię o molestowanie seksualne, a ty mówisz, że jest słodka? Urznąłeś się, stary.

— Skoro już o tym mowa, to rzeczywiście.

— Kiedy wytrzeźwiejesz, dasz sobie z nią spokój.

— Nie.

— Dasz. Ona cię nie chce, stary. Joe się skrzywił.

— Zamierzam ją przeprosić. Myles był zdegustowany.

— Kwiczysz jak odbiornik radiowy. Joe wydawał się zdumiony.

— Odbiornik radiowy, pacjent umysłowy! — wykrzyknął Myles. — To cockneyowska rymowanka.

— Wiem — odparł Joe. — Ale nie jesteś cockneyem.

— Nie. Pochodzę z Surrey. Ale z biednej części. Posłuchaj, stary, nie możesz jej przeprosić. To równoznaczne z przyznaniem się do winy. Chcesz wylecieć? Ciężko pracujesz, jesteś ambitny. Daj sobie spokój, stary!

— Ona tak chyba nie myślała. Chyba chciała, żebym się odczepił...

— No to się odczep! — powiedział trzeźwo Myles. — Posłuchaj wujka Mylesa. Potrzebujesz bliskich kontaktów z prawdziwą dziewczyną. To ci pomoże.

— Nie. Za wcześnie.

— W weekend?

— Nie.

— Przykro mi, stary, zapomniałem, że idziesz na mecz.

— Nie, chodzi mi to, że to też byłoby za wcześnie.

— Musisz tylko udawać, że to ona.

— Nie mogę. Wiedziałbym. To nie byłaby Katherine.

— Kto patrzy na gzyms, kiedy grzebie w kominku? — prychnął triumfalnie Myles. Miał odpowiedź na wszystko.

— Myles, przynębiasz mnie — powiedział znużony Joe.

— Rozchmurz się, stary. Nigdy dotąd nie dostałeś kosza, co?

— No cóż, przez trzy lata chodziłem z Lindsay, a potem wyprowadziła się do Nowego Jorku...

— I ciągle jesteś gotów spróbować z innymi dziewczynami, prawda? — przerwał Myles.

— Chyba tak. Trochę to zajęło czasu, w końcu zabrakło nam pary, ale nie było łatwo, i choć bywało przyjemnie...

— Cudownie — wtrącił się Myles. — Bardzo interesujące. Nie. Usiłuję powiedzieć, że coś się wygrywa, coś się traci. Przejdzie ci.

Pijacka nadzieja wypełniła Joe. W oparach alkoholu zapomnienie o Katherine wydawało się całkiem możliwe. A także poznanie innej dziewczyny. Od razu poczuł się lepiej.

— Masz rację! — przytaknął. — Życie jest zbyt krótkie.

— No właśnie. A kto chciałby pchać się tam, gdzie go nie chcą?

— Nie ja. Kiepski byłby ze mnie maniak — przyznał Joe.

— A to czemu?

— Nie wiem. Chyba za mało we mnie obsesji.

— No to w czym problem? Dobra, ta Kathy...

— Ma na imię Katherine — przerwał Joe. — Nie reaguje na zdrobnienia.

— Ooooh, najmocniej przepraszam — zarżał Myles, złapał torebkę kobiety przy sąsiednim stoliku i rzucił nią w Joe. — Nagroda torebki. — Popatrzył na niego ze złością. — Nie traktuj tego tak poważnie, dobra?

— Przepraszam. — Joe znowu pogрузzył się w rozpacz. — Po prostu myślałem, że w końcu mi się z nią uda.

— Całowałeś ją?

— Nie — prychnął Joe.

— Posłuchaj mojej rady, stary. Nigdzie nie zajdziesz, jeśli nawet jej nie pocałowałeś.

Joe westchnął. Na swój brutalny sposób Myles miał rację.

— Oddaj kobiecie torebkę — powiedział ze znużeniem.

25

Tara wpadła do biura obładowana torbami, które rzuciła na biurko.

— Nie wiem, dlaczego używa się zwrotu „zakazany owoc” — zaczęła narzekać. — Owoce to chyba jedyne rzeczy, które nie są zakazane.

Ravi otworzył kanapkę z serem i marynatą, z Marksa i Spencera, która miała trzydzieści sześć gramów tłuszczu, i obserwował z zainteresowaniem, jak Tara wyładowuje jabłka, satsumy, gruszki, nektaryny, śliwki i winogrona, po czym układa je jak amulety na biurku.

— Chcesz pół mojej kanapki? — spytał dziecinnym głosem, jak chłopiec w szkole.

Tara skrzyżowała dwa wskazujące palce.

— Z dodatkowym majonezem — kusił.

— Zła magia. Trzymaj to z dala ode mnie.

— Jesteś zupełnie nienormalna. — Ravi zerwał się z miejsca, położył ręce na głowie Tary i ryknął: — Won, won, demony, zostawcie to biedne dziecko!

— To fantastyczne uczucie — westchnęła Tara, gdy Ravi masował jej czaszkę. — Uwielbiam, kiedy mnie egzorcyzmujesz. Nie przestawaj — błagała, kiedy Ravi przerwał, by wrzucić osiemset kalorii kanapki w usta.

— Nie mam wyjścia — mruknął niewyraźnie. — Nie ma to jak dobry egzorcyzm na pobudzenie apetytu.

Do biura wpadł wykończony Vinnie. Przez bezsenne noce z trzymiesięcznym dzieckiem wyrwał sobie włosy z głowy, a gdy zobaczył biurko Tary, poczuł, że wyłysiał o kolejny centymetr. Jakie biuro prowadził?

— Co tu się dzieje? Czy to Albert Square? Zajęłaś się podkontraktami?

Pojawili się Teddy i Evelyn.

— Otwierasz stoisko z owocami? — dopytywał się Teddy.

— Znakomity pomysł — powiedziała Evelyn. — Mogę kupić banana?

— Banany nie są tu mile widziane — powiedziała szorstko Tara.

— Zbyt tuczące?

— Zbyt tuczące.

— Banany nie tuczają. — Vinnie wiedział, że powinien zachowywać się jak dyrektor, ale nie mógł się powstrzymać.

— Zgadza się. Nic nie tuczy — przytaknął Teddy. — Spójrzcie na mnie. Jem, co chcę, ile chcę, a wyglądam jak patyczak.

— Kobięce gadanie o kaloriach w jedzeniu: oto, co tuczy — oświadczył Vinnie. — Kobiety psują sobie jedzenie.

— Widzieliście wczorajszy dokument o tych facetach na Evereście? — zarzął Ravi. — Cholernie zimno. Jeden z nich całkiem zamarzl i odpadł mu kciuk. Nic do jedzenia oprócz śniegu.

— Może powinnam to wypróbować — zamyśliła się Tara. — Dieta everestowa. No dobrze, Ravi, Evelyn, chodźcie wszyscy, rozpoczynamy ceremonię cięcia kart kredytowych.

— Znowu? — krzyknął Vinnie. — Od ostatniego razu minęło zaledwie pół roku.

— Wiem, ale dziś dostałam wyciąg z Visy. Powstrzymajcie mnie, zanim znowu zacznę wydawać — stwierdziła ponuro. — Ravi, nożyczki!

Ravi posłusznie podał jej biurowe nożyczki.

— Kosz!

Ravi już trzymał kosz na papiery w dłoni — znał rytuał. Tara wyjęła portfel i wyciągnęła swoją kartę Visa, a następnie zademonstrowała zebrany.

— Każdy widział. — Tłumiąc poczucie straty, przecięła nożyczkami twarde plastik. Kiedy wszyscy oprócz Vinniego zaczęli bić brawo, mruknęła: — Jestem oczyszczona, jestem czysta. Teraz karta Access.

Wszyscy stali w pełnej szacunku ciszy, gdy karta Access została przecięta na dwie części, a następnie znów zaczęli bić brawo.

— Amex? — zasugerował Ravi, a po krótkim wahaniu Tara wyjęła kartę i rozcięła ją. — Sears?

— Coś muszę mieć — odparła z rozdrażnieniem. — A jeśli będzie nagła potrzeba?

— Wciąż masz kartę bankomatową i Switcha.

— No tak. — Tara rozcięła kartę Searsa i wrzuciła ją do kosza.

— Założę się, że za tydzień będziesz wydzwaniała do centrum kart i kłamała, że skradziono ci torebkę i potrzebujesz nowej karty — westchnął Vinnie. Pomyślał, że chyba powinien iść na kolejny kurs zarządzania pracownikami. — Moglibyście zacząć wreszcie pracować? — spytał, zbyt późno próbując zachowywać się jak szef, którym był.

Wieści o owocowym stoisku Tary rozeszły się, więc ludzie z innych działów zaglądali do niej i chichotali. Była zawstydzona, ale niewzruszona. Coś trzeba było zrobić, zwłaszcza po wczorajszych szaleńczych zakupach. Otaczały ją owoce, nie miała pretekstu, by sięgnąć po coś innego.

Owoce chyba nigdy nie docierały na swoje miejsce, niezależnie od ilości, którą pochłonęła. Zjadła jabłko, śliwkę, dwie satsumy, trzy nektarynki, jeszcze jedną satsumę, jeszcze cztery śliwki. Ugryzła gruszkę i niemal złamała sobie ząb. Westchnęła. Znała się na gruszkach. Można je było jeść tylko w okresie trwającym jakieś półtorej minuty. Wcześniej były twarde jak beton, potem zamieniały się w zgniłki. Jeśli udało się je zdybać w odpowiednim momencie, smakowały wspaniale, ale szansa na sukces była niewielka.

Tego ranka mieli burzę mózgów, podczas której stworzyli plan działania dla projektu MenChel, który właśnie im przydzielono.

Vinnie maszerował przed biurową tablicą, wyrysowując siatki, rozpiski czasowe i niespokojnie głaszcząc się po łysiejącej czaszce.

— No, młodzieży, tym razem mój kutas rządzi — mruknął Ravi do Tary, gdy Vinnie nawijał.

— Mówimy o projekcie obejmującym dwa tysiące ludzi dziennie i musimy się do niego zabrać od razu, gdyż typy z cholernej kontroli jakości siedzą nam na karku — nalegał Vinnie.

— Jak myślisz, co to za biała plama na rękawie Vinniego?

— wyszeptał Ravi do Tary.

— Niemowlęce rzygi.

— Mamy bardzo napięty termin — dopingował ich Vinnie.

— Zero marginesu na pomyłkę, więc musimy przy tym pracować jak zespół i... Co to za dziwny, chlupoczący dźwięk?

Dziesięć osób odwróciło się, żeby spojrzeć na Tarę.

— To Tara — oznajmił triumfalnie Teddy.

— To nie było działanie dla dobra grupy. — Tara poczuła się urażona. — Takie wytykanie palcem. Przepraszam, Vinnie, to mój żołądek. Mieszają się w nim rozmaite kwasy owocowe. Pewnie urządziły sobie imprezę.

Marzyła o węglowodanach. O czymś, co wypełni tę płynną pustkę. Czowała się tak, jakby jej żołądek był wielką salą bankietową, wysoką na piętnaście metrów. Albo olbrzymim centrum konferencyjnym, które mogłoby pomieścić trzy tysiące delegatów. Ogromne i pełne pogłosu, przestronne i puste, puste, puste. Zaparła się jednak i nie zamierzała się poddać. Nawet kiedy Śpiący Steve pobiegł po paczki, żeby naoliwić koła myślowego czołgu.

Pośpieszyła do palarni w chwili, gdy zebranie zostało odroczone.

— Niech Bóg was błogosławi. — Tara zamachała paczką papierosów do małej grupki zatwardziałych konserwatystów w maleńkiej zadymionej palarni. — Pomyślcie tylko, jak bym wyglądała, gdyby przez te wszystkie lata nikotyna nie pomagała mi hamować głodu. Straż pożarna musiałaby mnie wycinać z domu piłą łańcuchową.

Mniej więcej na godzinę przed lunchem każdy przechodzący obok biurka Tary odrywał kilka winogron z kiści i wrzucał je sobie do ust.

— Co się stało? — spytał Ravi na widok jej zmartwionej miny.

— Moje winogrona. Wszyscy myślą, że mogą się częstować — narzekała. — A nie mogą. To mój lunch. Ja nie podchodzę do ciebie i nie częstuję się jedną z twoich kanapek.

— Częstujesz — przypomniał jej łagodnie.

— Może i tak — przyznała. — Ale ja jestem inna. Normalni ludzie nie zjadają bez zaproszenia cudzych lunchów. O pierwszej Ravi podszedł do Tary.

— Może przeszlibyśmy się do Hammersmith? Połazimy bez celu po sklepach, kupimy zdrapkę albo dwie? — zaproponował grzecznie.

— Nie, dzięki. — Tara wyciągnęła wełnę i druty. — Zamierzam oszukać głód robótką ręczną.

— Co to takiego? — Ravi ze zdumieniem wpatrywał się w wełnę.

— Sweter dla Thomasa.

— Mam nadzieję, że Thomas wie, jakim jest szczęściarzem.

— Bez obaw. Przekona się.

Ravi krążył po biurze, nie mając ochoty wychodzić bez Tary.

— Może przynieść ci jeszcze trochę owoców ze sklepu?

— Nie zwracaj sobie głowy, Ravi. Przez te owoce jeszcze bardziej chce mi się jeść. Podejrzewam, że jedyne wyjście to głodować na całego, bo kiedy zjadam choć kawałek czegoś, tama pęka i chcę coraz więcej.

— Nie rozumiem, dlaczego tak się katujesz — powiedział Ravi.

Tara popatrzyła na niego z pogardą.

— Ślepy jesteś czy co?

— Moim zdaniem, piękna z ciebie dziewczyna.

— Nieprawda. A teraz odejdz, muszę zrobić sobie na drutach szczęśliwy związek.

— Tara, proszę. Chodzenie po sklepach bez ciebie nie ma sensu.

Pokazała mu druty.

— Moglibyśmy wstąpić do kiosku i poczytać czasopisma — kusił.

Pokręciła przecząco głową.

— Może w Bootsie mają nową szminkę, która się nie ściera — powiedział przewrotnie. — Może właśnie wprowadzili ją do sprzedaży.

Tara dała za wygraną.

— Pokaż Elvisa, to się zastanowię — westchnęła.

— Przyjmuję zamówienia.

— „Pies gończy”.

Ravi strząsnął lok na czoło, wydał usta, wyciągnął ręce i zaczął poważnie poruszać miednicą.

— Jesteś tylko gończym psem — zaczął.

— Widzisz? — zawyla Tara. — Wiedziałam, że ci się nie podobam.

Tara przetrwała wyprawę do Hammersmith i nie załamała się mimo wszystkich pokus. Najpierw poszli do Marksa i Spencera i rozglądali się bez przekonania, a Ravi sprawdził, czy od tego poranka wprowadzono jakieś nowe rodzaje ciastek albo bułek. Tara kupiła trzy pary spłaszczających brzuch rajstop, gdyż nie chciała wychodzić z pustymi rękami. Następnie udali się do Bootsa, gdzie Ravi przyjrzał się kanapkom, a Tara wszystkim szminkom, które podobno był nieścieralne, ale jak wiedziała z gorzkiego doświadczenia, ścierały się jak diabli. Bez entuzjazmu kupiła jakieś kapsułki do twarzy.

— Talidomid? — spytał zaniepokojony Ravi.

— Biomid — poprawiła go.

Następnie poszli do kiosku, gdzie Ravi przeglądał „Auto Moto”, a Tara czytała „Odehdzanie”. Na wielki finał kupili sobie po zdrapce. Ravi dał Tarze dwupensówkę i w zgodnej ciszy starli aluminium. Żadne niczego nie wygrało.

— Ile nas już nie ma? — spytała Tara.

— Czterdzieści pięć minut.

— No to lepiej wracajmy.

— Lepiej tak.

Po lunchu, kiedy dobiegały ją strzępy cudzych rozmów, miała wrażenie, że wszyscy mówią o jedzeniu.

Vinnie opisał Evelyn nowy projekt jako wyzwanie godne maratończyka i Tara natychmiast pomyślała o orzeszkach, karmelu i gęstej mlecznej czekoladzie.

— Kurczę blade — zareagowała Evelyn, a Tara niemal zemdląła na myśl o dużym wiadrze z KFC.

Ravi rozmawiał przez telefon z Danielle, swoją dziewczyną.

— Nie możesz zjeść ciastka i zostawić go na później — powiedział.

Jakiego ciastka?, zastanawiała się z rozmarzeniem Tara. Wilgotnego, lepkiego ciasta bananowego? Ciemnego, kalorycznego ciasta czekoladowego? Słodkiego, pysznego ciastka marchwiowego? Gęstego i ciężkiego ciasta Dundee?

— Witamy w klubie. — Ravi roześmiał się czule do słuchawki, a Tara wyobraziła sobie, jak rozrywa żółte opakowanie i zotko, a następnie wgrza się w czekoladę i herbatnik. Boże, co za tortura.

— ...rzuć chleb swój na wody płynące... — dobiegł ją fragment innej rozmowy. Jaki chleb? Ciabatta? Focaccia? Bagietka? Wiejski? Ale czy ktoś poza nawiedzonymi mówił o rzucaniu chleba na wody płynące? Czy miała omamy słuchowe? Czy to halucynacje z głodu?

Właśnie wtedy w drzwiach pojawiła się ciemnowłosa elegancka kobieta.

— Witam — powiedziała. — Jestem Pearl z działu technicznego. Słyszałam, że można tu kupić pomarańcze.

Wszyscy się odwrócili i spojrzeli na Tarę.

— Źle słyszałaś — odparła bez ogródek.

— Przepraszam — powiedziała Pearl z działu technicznego, wycofując się. Podejrzewała, że dała się wrobić.

— Z pomarańczami jest za dużo zachodu — wyjaśniła Tara. — Wszędzie sok, tylko nie w pomarańczy. Mogę dać ci satsumę. O wiele wygodniejsza.

Po pracy Tara poszła na zajęcia stepu i kiedy niemal zemdląca, poczuła przyływ entuzjazmu. Musiała siedzieć na ławce przez piętnaście minut, zanim przestały drżeć jej kolana. Kiedy dotarła do domu, Thomas klepnął ją w pupę i powiedział z czułością:

— Nie jesteś najgorsza jak na grubaszkę.

Tej nocy położyła się spać, drżąc z głodu i nadmiernego wysiłku. W sumie był to bardzo udany dzień.

26

Katherine z zainteresowaniem zauważyła, że w dniu, w którym oskarżyła Joe o molestowanie seksualne, nie wrócił z lunchu. Na pewno poszedł do pubu. Zadrżała radośnie na myśl, że zdołała go zranić.

Następnego ranka z zaciekawieniem czekała na niego. Joe miał czas, aby pozbierać się po jej oskarżeniach. Czy nadal będzie czarujący i poufały? Czy będzie ucinął sobie z nią poranne pogawędki? Czy będzie siadywał na jej biurku? Czy będzie flirtował i starał się namówić ją na randkę?

Czy nadal będzie dla niego okrutna?

Ku swojemu zdumieniu, w końcu była skłonna ustąpić. Okazał się taki wytrwały, należało mu się. Może nawet wybierze się z nim na drinka. Zachowując się tak, jakby jej przystawiono pistolet do głowy, rzecz jasna.

Obserwowała drzwi, nie niespokojna, ale i nie wyjątkowo opanowana. Joe jednak się nie pojawił. Zajęła się wstępnym bilansem, ale w porze lunchu zauważyła, że jakaś część niej przez cały ranek znajduje się w stanie gotowości.

W końcu, o trzeciej, pojawił się, w towarzystwie Mylesa i z butelką lucozade. Obaj wyglądali blado i wydawali się zawstydzeni.

— Panowie! Jak to miło, że do nas dołączyliście — powitał ich Fred.

Joe mruknął coś o tym, że był na zdjęciach do reklamy.

— Kręcili je w twojej sypialni, tak?! — ryknął Fred.

— Nie — odparł wrogo Joe. — W łazience — dodał ze smutnym, psim uśmiechem i ruszył przed siebie.

Katherine natychmiast zrobiła wyniosłą, enigmatyczną minę. Nadchodzi!

Joe szedł w jej kierunku, minął jej biurko i — poszedł dalej. Do ekspresu z kawą. Kilka sekund później, gdy wracał, Katherine raz jeszcze się upozowała. On jednak minął ją obojętnie. Nawet nie zerknął w jej kierunku.

Dała mu kilka minut na sprawdzenie wiadomości i e-maili i czekała. Nie przyszedł. Poczekała trochę dłużej, żeby uporał się z pilną pracą, ale jej biurko wciąż pozostawało puste. Może miał sporo zaległości po dwudziestoczterogodzinnym lunchu. Patrzyła na niego ukradkiem. Nie wyglądał jak człowiek zavalony robotą.

Po godzinie Katherine musiała przyjąć do wiadomości, że

Joe jej dzisiaj nie odwiedzi. Najwyraźniej z niej zrezygnował. Ulga mieszała się z rozczarowaniem. Co za mięczak, pomyślała. Czym jest oskarżenie o molestowanie seksualne dla prawdziwego mężczyzny?

Z wysiłkiem przeniosła uwagę na pracę, ale nie umiała się skoncentrować. Dla świata zewnętrznego mogła wyglądać jak kobieta pogrążona w kalkulacjach amortyzacji, ale głowę miała pełną wykrzykników. Nie wierzę, że mnie sobie odpuścił! Ot, tak! Wczoraj za mną szalał! Mówił, że jestem słońcem jego życia!

Wciąż rzucała na niego ukradkowe spojrzenia. Na wypadek, gdyby zmienił zdanie. Patrzyła akurat w chwili, gdy zdjął marynarkę, poluzował krawat i podwinął rękawy. Choć nie chciała, nie mogła przestać się w niego wpatrywać. We włosy na jego przedramionach, jedwabistą skórę, mięśnie pulsujące za każdym razem, gdy podnosił telefon albo klikał myszką. Chromowany zegarek zakrywał mu przegub. W Joe nie było nic mięczakowatego.

To ją naprawdę zirykowało. Zaprezentował się jako Pan Bezpieczny, Pan Zbyt Chudy Żeby Być Macho. Mimo szczupłej sylwetki nie brakowało mu jednak siły. Miał ręce seksownego mężczyzny... O nie! Do pudła, rozkazała swoim krnąbrnym uczuciom, z powrotem za kraty.

Kiedy kończyła, Joe i jego zespół przebąkiwali coś na temat wyprawy do pubu. Klin klinem i tak dalej.

— Hej! — zawołał Joe. Katherine uniosła wzrok. Nareszcie, cholera jasna, pomyślała. Postanowiła grać niedostępną. Nie ma po co zbyt łatwo z tego zrezygnować. Jednak wzrok Joe minął ją i powędrował dalej. — Hej, Angie! Wybierzesz się na drinka?

Katherine poczuła skurcz w żołądku. Angie była copywriterką. Filigranową, ciemnowłosą, ładną i tak nową, że jeszcze nie dorobiła się przezwiska określającego jej skłonności seksualne.

— Czemu nie? — uśmiechnęła się Angie.

Katherine czekała, aż Joe także ją zaprosi, ale panowała cisza.

Włożyła do komputera dyskietkę, żeby nagrać dzisiejszą pracę, i celowo, z zimną rozkoszą, utwardzała swoje serce. Joe Roth to dupek. A jej było przykro, że tak go odrzuciła, też coś! Szybko się pocieszył. Najwyraźniej lubił małe i chude, i zajął się nową małą i chudą kobietą.

Bawił się Katherine. W chwili, w której zaczęłoby jej zależeć, uciekłby i zostawił ją ze świeżo rozdrapanymi ranami. Chciał jej tylko dlatego, że była niedostępna. Mężczyźni to takie dzieci, muszą gonić króliczka.

Udało jej się w ostatniej chwili.

Skończyła zapisywanie danych i ze złością wrzuciła dyskietkę do szuflady. Kiedy weszła do windy, wszyscy byli już w środku, a Joe śmiał się z czegoś, co powiedziała Angie, z głową blisko jej głowy. Katherine chciała się odwrócić, ale to byłoby jeszcze straszniejsze. Z nieruchomą twarzą przeszła obok radosnego towarzystwa, które cały czas powtarzało, że musi się napić.

— Może pójdziesz z nami? — Myles zwrócił się z propozycją do Katherine, mając nadzieję, że pocieszy tym Joe. Natychmiast tego pożałował. Co, jeśli ona oskarży jego o molestowanie?

— Nie, raczej nie — mruknęła i czekała, aż Joe zacznie ją przekonywać. On jednak milczał, a w niej wezbrała wściekłość. Płytką świnią. Kiedy wyszła z windy, rzuciła przez ramię: — Bawcie się dobrze.

Zastanawiała się, dlaczego się tym nie udławiła.

W środowe wieczory Katherine zazwyczaj chodziła na stepowanie. Zatracała się, tańcząc do *Happy Feet* wraz z szóstką innych kobiet w rozszerzanych szortach, marzących o szczęśliwym dzieciństwie, podczas gdy wszyscy w drodze na normalne zajęcia aerobiku zaglądali i chichotali.

Po lekcji często wychodziła na miasto z Tara, Liv i czasem z Fintanem i Sandrem. Dziś jednak chciała iść prosto do domu. Zbyt przygnębiona, by mieć poczucie winy, zniknęła w tłumie urzędników zmierzających do stacji metra Oxford Circus. Tego też nie mogła znieść. Machnęła więc na taksówkę i modliła się, żeby kierowca nie okazał się zbyt elokwentny. Los jednak jej nie sprzyjał. Musiała wytrzymać czterdziestominutowe gędzenie ksenofobicznego faszysty o imieniu Wayne, który trzymał na tablicy rozdzielczej fotografię swoich trojga grubych i brzydkich dzieci i mówił o każdym narodzie na Ziemi: „Bo wiesz, złotko, to brudasy, nie?” Francuzi, Bośniacy, Jamajczycy, Algierczycy, Grecy, Pakistańczycy i rzecz jasna Irlandczycy byli, zdaniem Wayne'a, brudasami. Kiedy Katherine dzwoniła do przyjaciół z komórki i zostawiała wiadomości, że dziś nigdzie nie wychodzi, ledwie mogła zebrać myśli.

W końcu dotarła do domu, ale jej radość nie trwała długo. Czyste, lśniące mieszkanie wydawało się smutne i sterylne. Zbyt czyste. Neurotycznie czyste. Przelotnie pomyślała o jedzeniu, ale nie chciało jej się wysilać. Włączyła telewizor, ale nie mogła znaleźć niczego, co dałoby się oglądać. Jej życiu, które zazwyczaj uważała za wysoce satysfakcjonujące, z niewyjaśnionych przyczyn czegoś brakowało. Wszystko — od pracy do mieszkania — wydawało się nudne, nieodpowiednie i jedynie na wpół żywe. Zgniotła kilka pęcherzyków w plastiku pęcherzykowym, ale i to straciło swój urok.

Poza jednym olbrzymim zmartwieniem, które nad nią wisiało — tak wielkim, że czasem nawet go nie dostrzegała — jeszcze kilka dni wcześniej była idealnie zadowolona z siebie.

Nienawidziła Joe za to, że jej to zrobił. Popelniła błąd, patrząc na siebie jego oczyma. Spodobał się jej ten widok. Teraz, kiedy Joe zabrał swoje uwielbienie, musiała wrócić do oglądania siebie przez mniej różowe okulary, swoje własne. Przystosowanie się było bolesne.

Nie mogła zadzwonić do Tary, Fintana czy Liv, żeby się zwierzyć i szukać pociechy. Nigdy tak nie robiła. Zawsze radziła sobie sama. Wiedziała, że przygnębiłaby innych, gdyby zaczęła się nad sobą rozczulać. Wszyscy uważali ją za zorganizowaną i pozbawioną emocji.

W końcu uznała, że powinna coś zjeść, ale jak zwykle nic nie miała. Apatycznie powlokła się do sklepu na rogu i bez jakiegokolwiek zainteresowania wybrała kilka rzeczy. Kiedy szła zapłacić, popatrzyła na marne produkty na dnie koszyka. Mrożona lasagne. Porcja dla jednej osoby. Jedno jabłko. Najmniejszy z możliwych karton mleka. Jakie to żałosne. Wielka krzycząca reklama, że jest samotna. Kasjer będzie się nad nią litował.

Ze złością podniosła dwukilową torbę brudnych ziemniaków i wrzuciła ją do koszyka, niemal zwichnąwszy sobie ramię i wyciągnąwszy rękę na dwa razy większą długość. Proszę bardzo! To będzie nauczka dla tych, którzy myśleli, że nie ma chłopaka. Samotna osoba nie kupuje dwukilowej torby ziemniaków. Zwłaszcza takich brudnych od ziemi. To był przywilej matek: stanie przy zlewie, ze spierzchniętymi rękami, czyszczenie ziemniaków szczoteczką do paznokci, a następnie gotowanie ich w wielkim garnku dla wymagającej rodziny.

Zaczerwieniona Katherine uśmiechnęła się wyzywająco do kasjera. Widzisz, jestem normalną osobą. On jednak nawet nie nawiązał z nią kontaktu wzrokowego. Zawlokła ziemniaki do domu, zastanawiając się po drodze, co na Boga z nimi zrobi.

Zjadła lasagne, jabłko, wypila herbatę, ale wieczór był długi i niepokoiła ją jego pustka.

Przygotowała sobie kąpiel z płynem Philosophy. Wybrała butelkę „Wiem”, bo na etykietce napisano „Poczucie własnej wartości, pewność, władczość i poczucie celu”. Następnie poszła do łóżka i po raz pierwszy od lat zauważyła, że

jest sama. Nieważne, pomyślała. Zawsze zostaje telewizja. Wzięła do ręki ukochanego pilota, zdecydowana znaleźć coś, co ukołysze ją do snu. Po co komu facet, skoro istnieje Sky Movies?

Nie mogła jednak się nie zastanawiać, jaki Joe byłby w łóżku? Jak wyglądałby nago? Jak by to było otoczyć rękami jego perłowe, piękne ciało, poczuć mięśnie jego pleców? Mimo przyjaznej chłopięcości był seksowny, pomyślała ze smutkiem. Kiedy ją podrywał, nie mogła pozwolić sobie na zastanawianie się nad jego atrakcyjnością. Teraz, kiedy pewnie nie mogłaby go zdobyć, było to bezpieczne.

O czwartej rano obudziła się i odkryła, że ściska pilota. Ogarnęło ją złe przecucie i dopiero po kilku sekundach zorientowała się, o co chodzi. Przypomniała sobie. Wychodzi Joe. I Angie. Nagle uświadomiła sobie, że może właśnie teraz Joe jest z nią w łóżku. Właśnie teraz. Gdzieś w tym mieście Joe Roth mógł leżeć w łóżku i obejmować nagą kobietę. Katherine wpadła w pułapkę myślenia, że to ona powinna być tą kobietą. Że powinien interesować się wyłącznie nią.

Leżąc na plecach, wpatrywała się niespokojnie w sufit. Już od dawna nie budziła się w nocy i wcale nie podobało jej się to, o czym to świadczy. Ogarnęły ją dawno zapomniane uczucia, pastwiąc się nad nią i dręcząc ją.

Nagle znowu miała dziewiętnaście lat, ból serca po raz pierwszy tak boleśnie poranionego był całkiem świeży. Pracowała jako stażystka księgowy w Limerick, ale nie mogła tam zostać, gdyż kojarzyła tę pracę z utraconą miłością. Czuła, że oszaleje, jeśli nie ucieknie. Wręczyła zatem swoje wypowiedzenie w Good & Elder, co spowodowało konsternację, gdyż świetnie sobie radziła. Chociaż ostatnio wcale nie tak świetnie, doszedł do wniosku jej przełożony.

Wróciła do domu, do Knockavoy, mając nadzieję, że pokona ból. Pewnego sierpniowego popołudnia nieoczekiwanie przyjechała autobusem. Wszyscy się zdumieli na jej widok, bo przez całe lato rzadko zjawiała się w domu. Jeszcze bardziej się zdumieli, gdy okazało się, że już nie wyjedzie. Stała się legendą klasy maturalnej 1985, tą, która wyjechała. Teraz jednak powróciła i nie chciała powiedzieć dlaczego.

Początkowa radość Tary i Fintana z jej powrotu wkrótce zamieniła się w niepokój. Najwyraźniej bardzo się sparzyła na chłopaku, z którym chodziła w Limerick. Wnioskowali tak, słysząc jej złośliwe prychnięcia za każdym razem, kiedy mówili, że podoba im się jakiś facet.

— No i co z tego? — pytała gorzko. — Udają, że za tobą szaleją, a kiedy już cię omotają, odchodzą.

— Nie mam nic przeciwko omotaniu — roześmiał się Fintan, a Katherine spojrzała na niego z wściekłością.

— Będzie ci o wiele lepiej samemu — upierała się. Jej twarz zamieniła się w wykręconą, pełną bólu maskę.

Wcześniej zawsze była taka słodka i pogodna. Mimo że nie prowadziła się z chłopcami, nie miała nic przeciwko temu, że oni to robili. Co się stało?

— Proszę, powiedz nam — błagali bezskutecznie, z narastającą desperacją. — Mówienie pomaga. Przysięgamy, wiemy, jak to jest.

Ale ona nie chciała mówić. Nie mogła mówić.

Uwięziona w milczeniu tęsknota rozdzierała ją na dwie części. I nie mijała.

Katherine wychowała się w domu prowadzonym wyłącznie przez kobiety, bez żadnych wujów, nigdy nie miała prawdziwego chłopaka i zawsze była szczęśliwa. Teraz jednak, gdy doświadczyła obecności mężczyzny w życiu, wszystko się zmieniło i wpadła w bezdenną studnię pragnień. Chciała miłości i pociechy od mężczyzny. Chociaż nie miało to żadnego sensu, czuła, że tylko mężczyzna może złagodzić ból spowodowany przez innego mężczyznę.

Co jednak miała zrobić? Perspektywa ponownego zakochania się napęłniała ją przerażeniem. Poza tym uznała, że jej serce nigdy się nie zrośnie. Pewnej bezsennej nocy, dwa tygodnie po powrocie z Limerick, pomyślała o Geoffie Melodym, swoim ojcu. Wszystko ułożyło się w logiczną całość.

Natychmiast ogromnie zapragnęła go poznać. Chciała wyskoczyć z łóżka i z miejsca pojechać do Anglii, żeby go poszukać. Martwiło ją tylko, że dotychczas tego nie załatwiła. Jak mogła nie czuć tej pustki? Dlaczego zmarnowała tyle czasu?

Fala świeżej, słodkiej nadziei zmyła gorzki ból i nagle Katherine znalazła powód do życia. Myślała, że to już koniec, że nikt nigdy jej nie pokocha, ale dostała kolejną szansę. Nagle ojciec stał się obiektem jej snów i aspiracji. Rozumiałby ją, pewnie był taki jak ona. Byłby jej zbawieniem, w to nie wątpiła. Teraz wszystko się ułoży.

Jaki się okaże? Pytanie o to Delii nie miało sensu, Katherine wiedziała, że matka nic dobrego o nim nie powie. Dobra wiadomość natomiast brzmiała, że skoro Delia go nie lubiła, to Katherine musiała polubić.

Jej myśli wybiegały jedna przed drugą, kiedy widziała swoją pogodną, szczęśliwą przyszłość. Wyjedzie i zamieszka w Anglii z tatą. Po co komu mąż albo chłopak, kiedy ma się ojca? On nada inne znaczenie jej przeszłości i przyszłości, Katherine nigdy nie zblądzi, bo radą będzie jej służył mężczyzna.

Leżała bezsennie, fantazjując na temat tego, jaki jest. Mogłaby się założyć, że ma działkę. Anglicy w pewnym wieku mieli działki. Będzie dla niej uprawiał rabarbar. Będą sobie siedzieli, tylko we dwójkę. Kiedy on będzie przekopywał ziemię, Katherine opowie mu o swoim życiu, a on nie będzie wiele mówił, lecz jeśli już coś powie, to z pewnością mądrze. Po męsku.

A może będzie ożywiony i bezczelny, z cockneyowskim akcentem i dziwacznymi powiedzonkami: „Kopsnij szluga, Kafrin”? Będzie zarabiał na życie, kombinując, ale legalnie. Żadnych podejrzanych interesów. Jeden niezbyt szanowany filar społeczeństwa wystarczy.

A może będzie trochę snobem? Nazwie ją „moją drogą”. Ten chłodny zwrot nie ukryje ciepłych uczuć, jakie będzie do niej żywił. Może będzie miał inne dzieci, ale nie najlepiej będzie mu się z nimi układało i będzie potrzebował kogoś, kto się zajmie księgowością rodzinnej firmy, a ona pojawi się właśnie w najodpowiedniejszym momencie.

W jej głowie ojciec stał się mieszkanką Arthura Fowlera*, Dicka Van Dyke'a i bogatego Rumpole'a z serialu *Rumpole of the Bailey*.

* Arthur Fowler — bohater serialu *EastEnders*, życiowy nieudacznik.

Właściwie nie wzięła pod uwagę możliwości, że Geoff Melody mógłby nie być nią zainteresowany. Miała w sobie tyle zapału, że nawet nie przyszło jej do głowy, że Geoff niekoniecznie musi go podzielić.

Długo przygotowywała się do napisania listu. Nauczyła się, że mężczyźni nie lubią konfrontacji z nie zamaskowaną potrzebą, więc wyraziła pragnienie poznania Geoffa Melody'ego za pomocą niezobowiązujących, obojętnych zwrotów. Wiedziała, że jej pomoże, ale nie musiała go przerażać, mówiąc mu o tym wprost.

O nic cię nie proszę, brzmiało przesłanie jej listu.

Dziesięć dni po jego wysłaniu Katherine otrzymała kopertę z angielskim znaczkiem. Ojciec jej odpisał! Szttywność kosztownej kremowej koperty świadczyła o tym, że Geoff Melody był raczej Rumpole'em, a nie Arthurem Fowlerem.

Jednakże to nie jej ojciec napisał list. Wysłał go wykonawca jego testamentu, informując Katherine, że pół roku wcześniej Geoff Melody zmarł na raka płuc.

Koniec jej romansu był niczym utrata bliskiej osoby, utrata bliskiej osoby zaś była jak koniec romansu.

Rankiem Katherine nie mogła się doczekać wyjścia do pracy. Zamierzała dyskretnie przyglądać się Joe, żeby sprawdzić, czy coś wskazuje na to, że przez całą noc pieprzył Angie. Kiedy jednak dotarła do Breen Helmsford, zdążyła się uspokoić. Wcześniej naprawdę wydawał się nią oczarowany, nie wierzyła, że to wszystko się ulotniło. Poza tym był człowiekiem prawym i skromnym, nie takim, który zerznąłby kogoś, kogo ledwie znał.

Nie miała ochoty zastanawiać się, dlaczego, skoro był taki prawy i skromny, nie chciała się z nim umówić.

Niepokój minął, kiedy wśliznęła się do biura. Nie zdołała ukryć uśmiechu na widok Joe, opartego o ścianę przy ekspresie z kawą. Przy bliższej inspekcji okazało się, że jest nie ogolony, potargany i bardzo zmęczony. Wydawał się trochę nieświeży.

Zlustrowała go i zauważyła, w zwolnionym tempie rodem z koszmarów, że Joe ma na sobie to samo ubranie co wczoraj. Czyżby tylko to sobie wyobraziła? Zmusiła się do ponownego spojrzenia. O Boże! Ten sam garnitur. Marynarka, którą zdjął wczorajszego popołudnia. Krawat, który poluzował. Pewny znak, że nie wrócił do domu.

Opanował ją spokój. Miała wrażenie, że przestała w niej płynąć krew, jakby nagle zmroził ją szok.

Joe nie odwzajemnił szybko znikającego uśmiechu Katherine. Jego brązowe oczy, które na jej widok zazwyczaj rozświeślały się ciepłem i szczeniakowatym dobrym humorem, pozostały zimne. Ponuro skinął jej głową, wrzucił styropianowy kubek do śmieci i odwrócił się.

Katherine odruchowo zdjęła płaszcz. Może zatrzymał się u któregoś z chłopaków, pomyślała. Niekoniecznie u Angie, chociaż była mała i szczupła.

Po włączeniu komputera poczuła silną, nieoczekiwaną niechęć do swojego biurka. Co było nie tak? Zerknęła na nie z irytacją, usiłując zgadnąć, czego mu brakuje. W końcu zrozumiała — nie siedział na nim Joe.

Przez cały ranek, kiedy udawała zainteresowanie arkuszami kalkulacyjnymi, opanowała do perfekcji sztukę dyskretnego wyszukiwania oznak porozumienia między Joe a Angie. Nie podchodzili do siebie, ale Katherine wiedziała aż za dobrze, że to o niczym nie świadczy. Ludzie, którzy się ze sobą przespali, często ignorują się przy następnym spotkaniu. Właściwie im bardziej się ignorują, tym bardziej prawdopodobne, że uprawiali seks.

Zarówno Joe, jak i Angie siedzieli przy swoich biurkach, pracowicie stukając w klawiatury, ale dla Katherine nie stanowiło to żadnej pociechy. Pewnie wysyłali sobie erotyczne e-maile.

Zauważyła jeszcze coś niepokojącego. Jeśli zabrałoby się Joe jego chłopięcą, przyjacielską szczenięcność, co zostawało? Ponury, seksowny mężczyzna. Wymięty, zarośnięty, w nieświeżym ubraniu. Nigdy do tej pory nie wyglądał tak dobrze.

Przysłuchiwała się biurowym plotkom, przede wszystkim po to, żeby sprawdzić, czy ludzie nazywają Angie innym imieniem. Wulgarnym, co oznaczałoby, że ktoś z nią spał. Nic takiego jednak nie padło. Wciąż powtarzali, jakim niedobrze, jakiego mają kaca. Jak już nigdy się nie napiją. Jak nie pamiętają nic, co wydarzyło się po dziesiątej. Jak Darren wymiotował w progu. Jak ich wyrzucono z Burger Kinga.

Znów poczuła się ponura i dziwna, poza centrum wydarzeń, zawsze na obrzeżu.

— Przepraszam, Królowo Śniegu. — Katherine uniosła głowę i zobaczyła, że stoi nad nią Angie. Przez jedną zwariowaną sekundę myślała, że Angie chce jej powiedzieć, że nie spała z Joe Rothem. Chwileczkę...

— Jak mnie nazwałaś?

— Królową Śniegu — odparła grzecznie Angie. Na widok miny Katherine wyjąkała: — Nie wiedziałaś, że masz takie przezwisko? — Nie rozumiała, o co chodzi. — Przecież wszyscy cię tak nazywają. Myślałam, że to akceptujesz. Mam kuzyna, którego nazywają Królewiczem...

— Mam na imię Katherine, a twój i moi koledzy nazywają mnie Królową Śniegu, bo tak się składa, że szanuję siebie i nie sypiam ze współpracownikami — warknęła Katherine.

— O kur... — Angie była potwornie zakłopotana i trochę zawstydzona. Zawstydzona, bo nie szanowała się na tyle, by nie spać ze współpracownikiem? — Teraz rozumiem... Królowa Śniegu. Przepraszam. Chciałam ci tylko dać zaświadczenie o uldze podatkowej. — Położyła zaświadczenie na biurku. — Żeby nie trafiła do wyższej grupy podatkowej. — I uciekła.

Katherine popatrzyła na kartkę przed sobą. Tak łatwo było popełnić błąd i wpakować Angie po uszy w wyjątkowo paskudne kłopoty podatkowe, przez co jej wynagrodzenie zmalałoby o kilka tysięcy funtów. Rzecz jasna, w następnym miesiącu musiałaby to odkręcać, ale dobrze byłoby zobaczyć jej minę.

Jestem profesjonalistką, przypomniała sobie, i szaleństwo minęło. To była urocza fantazja, ale tylko fantazja. Z niesłyszalnym westchnieniem wróciła do pracy. Nic jej nie będzie. To potrwa jeszcze kilka dni, ale nic jej nie będzie.

28

Tara miała dobry tydzień. To znaczy wstrzemięźliwy. Tylko dwie wpadki. Ryba i frytki na lunch w środę oraz bułeczki w piątkowe popołudnie. (Jakże śmiałyby występować przeciwko tradycji?) Najważniejsze jednak, że drobne niepowodzenia pozostały pod kontrolą. Nie zakończyły się niekontrolowanym, trudnym do powstrzymania obżarstwem. Poza tym zdołała zrobić dwadzieścia osiem rzędów swetra Thomasa i cztery razy iść na siłownię.

Choć nie schudła jakoś zauważalnie, Thomas wydawał się zadowolony z jej starań i zachowywał się nietypowo czule.

— Chodź tu, ty stara torbo — powiedział w środę wieczorem i trzymał ją za rękę podczas telewizyjnego meczu Realu Madryt z Barceloną.

W czwartkową noc zarzucił na nią rękę we śnie. Rozkoszowała się jej ciężarem, leżąc zupełnie nieruchomo i obawiając się zrobić cokolwiek, co mogłoby go zaniepokoić i skłonić do zabrania ręki.

W piątkowy rano powiedział bez ogródek:

— Musisz coś zrobić z włosami. Najlepiej żółte pasemka.

Szła do pracy cała w skowronkach. Uważała bezkompromisowe zachowanie Thomasa za wyjątkowo seksowne i była wzruszona, że interesował się jej wyglądem. Choć raz nie wiązało się to z jej rozmiarami.

Dziękowała Bogu, że złowieszczy niepokój z zeszłego tygodnia najwyraźniej umarł śmiercią naturalną. Przez chwilę zastanawiała się, czy przypadkiem do niego nie przywykła.

Większość soboty spędziła na rozjaśnianiu włosów, w błędnym przekonaniu, że lepsza fryzura oznacza lepsze życie. Jak było do przewidzenia, po powrocie do domu zastała Thomasa w złym humorze z powodu przegranej Huddersfield z Bradford.

— Trzy zero! — ryczał, kiedy weszła. — Trzy do cholernego zera!

— Podobają ci się moje włosy? — zapytała głupio.

— Wyglądają jak cholerny stóg siana! — wrzasnął. — Ile na to wydałaś?

Tara była tak zła, że miała ochotę wybuchnąć płaczem. Chciał, żeby zrobiła pasemka, właściwie jej kazał. Rzuciła torby i wybiegła z pokoju. Nie pozwoliłaby sobie na płacz przy nim. Nie po tym, jak poskarżył się na swoją ostatnią dziewczynę, Bellę. „Ciągle cholernie pochlipywała”. Najwyraźniej Bella była czepialska, przewrażliwiona i wymagająca, a Claire, dziewczyna przed Bellą, też nie była lepsza. Na widok pogardy Thomasa dla nich Tara przysięgła

sobie, że ona będzie zupełnie inna. Postanowiła nigdy nie płakać i nie popadać w złe nastroje, być o wiele lepszą, mniej irytującą dziewczyną.

Kiedy dyszała z upokorzenia w sypialni, powtarzała sobie, że Thomas wcale nie chce być takim kutasem. Po prostu złości się na świat i musi się na kimś wyżyć. Nie powinna brać sobie tego do serca.

Tego wieczoru na rozkaz Thomasa miała iść na urodziny do jego przyjaciela Eddiego. Jako że nie przepadała za Eddiem, zadzwoniła do Fintana, by błagać go o towarzystwo i moralne wsparcie, ale włączyła się sekretarka. Zadzwoniła więc na jego komórkę i połączyła się z pocztą głosową. Nie rozmawiała z nim od poniedziałkowego wieczoru. Zazwyczaj kontaktowali się ze sobą codziennie, ale Fintan wyjechał na cały tydzień do Brighton, a ona była rozdrażniona przez niejedzenie, a także lekko urażona i przestraszona rozmową na temat HIV, więc w zasadzie się nad tym nie zastanawiała.

Następnie zadzwoniła do Katherine. Jej także nie widziała przez cały tydzień.

— Chodź ze mną na imprezę u Eddiego, proszę — błagała Tara.

— Nie — odparła uprzejmie Katherine. — Przykro mi, ale nienawidzę Eddiego. Udławiłabym się, gdybym miała mu życzyć wszystkiego najlepszego.

Katherine uważała Eddiego za lepiej opłacaną odmianę Thomasa.

— Ale nie widziałyśmy się od poniedziałku — powiedziała ze smutkiem Tara. — Wiem, że to przede wszystkim moja wina, ciągle chodzę na siłownię, ale jednak. Co robisz wieczorem? Spędzasz spokojny wieczór ze swoim pilotem od telewizora?

— Miałam się spotkać z Emmą, ale Leo ma krup.

— O rany. Koniecznie muszę wpaść do Emmy...

— Potem miałam iść na przyjęcie z Dolly, ale potknęła się w nowych dwunastocentymetrowych szpilkach i zwichnęła nogę w kostce.

— Kurde. Jeśli asystentka Fintana chodzi w szpilkach, to musiały wrócić do łask. Lepiej zacznę się przyzwyczajać.

— Tak czy owak, idę do kina.

— W sobotni wieczór? To trochę smutne.

— Nie tak smutne jak impreza u Eddiego.

— Z kim idziesz?

— Sama.

— Boże — westchnęła z zazdrością Tara. — Masz tyle luzu.

— Powiedz mi, co się dzieje z Fintanem. Nie mogę go złapać.

— Mnie nie pytaj. Ja też nie mogę go złapać. Następnie Tara zadzwoniła do Liv.

— Przykro mi — powiedziała Liv — ale Lars wraca do Szwecji, więc muszę stać na terminalu numer dwa i kompromitować nas oboje, płacząc i błagając go, żeby zostawił żonę i zamieszkał ze mną.

Mimo tygodniowej głódówki przebieranie się na imprezę było straszliwą torturą dla Tary. Przez otyłość czuła się o wiele mniej ludzka, zepchnięta na margines życia, bez szansy na zaspokojenie swojej kobiecości. Z rozkoszą kręciłyby się w krótkiej, obcisłej, flirciarskiej sukience, ale w najlepszym wypadku mogła liczyć na podpieranie ścian w obszernym, workowatym podkoszulku, który skrywał tysiące grzechów i prowokował Thomasa do okrutnych uwag.

Pozbawiona towarzystwa przyjaciół musiała spędzić trzy godziny w pubie, popijając colę light, lubieżnie wpatrując się w orzeszki i tęskniąc do czasów, w których wynajdą niskokaloryczne piwo. Potem wszyscy poszli do mieszkania Eddiego w Clapham na imprezę, która — jak uświadomiła sobie Tara, rozglądając się z rozczarowaniem —

wcale nie była imprezą. Przyszło jedynie około dwudziestu gości i każdy był zaproszony. Pojawiłoby się ich więcej, tyle że po pubie większość musiała wrócić do domu i zwolnić opiekunkę do dziecka.

Muzyka grała zbyt cicho, żeby komukolwiek chciało się tańczyć. Ludzie stali i siedzieli w małych grupkach, dyskutując o cudach z MDF, klamkach do drzwi ze sklepu Conrana, dobrych sklepach, gdzie sprzedają sofy. A przecież niektórzy byli heteroseksualnymi mężczyznami!

Tara przysłuchiwała się rozmowie Stephanie i Marcy, która — jak się zorientowała — usiłowała zająć w ciąży. Mnóstwo gadania o kwasie foliowym i o tym, jak dobrze urodzić pierwsze dziecko w wieku trzydziestu siedmiu lat.

— Czy twój partner to opiekuńczy typ? — spytała Stephanie.

— Jaki partner?

— No, mężczyzna, ojciec...?

— A. — Marcy roześmiała się nerwowo. — Nie wiem. Nie znam go.

— Ale wydawało mi się, że próbujesz zająć... w ciąży?

— Z dawcą spermy.

Tara pośpiesznie odeszła pod byle pretekstem i ruszyła do Miry, dziewczyny Paula, która miała na sobie krótką obcisłą spódniczkę z gumy. Na pewno nie rozmawiała o sofach ani kwasie foliowym.

— Jest malutki — westchnęła błogo — ale go kocham.

Tara zastanawiała się, o czym ona mówi. O swoim tatuażu? Kółku w nosie? Penisie Paula?

— Bardzo przyciąga słońce — entuzjasmowała się Mira. — Latem rododendrony na murze z tyłu są wspaniałe. Rosną jak szalone...

Jezu! Ogrodnictwo. Tara była zdegustowana. No nie, ogrodnictwo.

Zawędrowała do kuchni, gdzie Thomas i grupka jego kumpli popijali piwo i obrzucali się wyzwiskami, wydymając usta, żeby okazać, jakie to „dobroduszne”. Eddie nabijał się z kiepsko opłacanej pracy Thomasa, a Thomas odwdzięczał mu się, nazywając go wulgarnym skurwielem. Thomas szydził z Paula za kibicowanie trzecioliigowej drużynie piłkarskiej, a Paul oświadczył z dumą, że przynajmniej jest lojalny. Paul omal nie przewrócił się ze śmiechu, gdy usłyszał, że Michaela rzuciła dziewczyna. Michaela niemal odwieziono do szpitala, gdy się dowiedział, że Eddie rozwalił w tym tygodniu samochód.

Kiedy ściskali puszki i pękali ze śmiechu, Tara uśmiechała się uprzejmie. Upewniwszy się, że Thomas na nią nie patrzy, zerknęła na zegarek. Wpół do drugiej. Przy odrobinie szczęścia wkrótce wrócą do domu. Co za zawałony sobotni wieczór. Chyba lepiej by się bawiła w kinie z Katherine.

Ogólna radość trwała. Rycząc ze śmiechu, Eddie oznajmił, że mieszkanie Thomasa to beznadziejna inwestycja i że Thomas jest skazany na borykanie się z kredytem przez całe życie. Rozbawiony Thomas opowiedział wszystkim, że zdaniem byłej dziewczyny Paula, Paulowi przydałoby się trochę viagry. Demonstrując niezwykłą radość, Paul uśmiechnął się do Thomasa.

— Przynajmniej moja matka nie uciekła i mnie nie zostawiła — stwierdził.

Tara z niepokojem uświadomiła sobie, że sprawy lada chwila wymkną się spod kontroli, ale na szczęście ktoś nastawił *One Step Beyond*. Nagle salon zaroił się od trzydziestoparoletnich mężczyzn tańczących tylko ten jeden jedyny utwór.

W ciągu tygodnia Tara czerpała pewną przyjemność z lekkości i pustki, upajała się poczuciem kontroli i moralnej wyższości. Wkrótce jednak zaczęła się łamać. Kiedy nadeszła sobota, znów ogarnął ją dawny niepokój, była gotowa na wielki upadek. Miała świadomość, że jej przemiana materii może gwałtownie osłabnąć z powodu braku pożywienia. No i, rzecz jasna, przez pięć dni głodziła się i jadła owoce. Zasłużyła na nagrodę. Niejasno uświadamiała sobie, że zawsze następował taki koniec, ale nie czuła się na siłach, aby to przełamać. Gdzieś w głębi jej mózgu czaiła się perspektywa wspaniałego, długiego, zakrapianego, sześciodaniowego lunchu.

Miała szczęście, Thomas zniknął na prawie całą niedzielę, bo grał w piłkę.

Tara obdzwoniła wszystkich, ale niestety Katherine pracowała, robiła rozliczenie na początek roku podatkowego.

— Ale właśnie robiłaś rozliczenie na koniec roku podatkowego! — zauważyła rozczarowana Tara.

— Tak, z każdym końcem przychodzi jakiś początek — odparła Katherine.

— Bardzo głębokie — mruknęła Tara. — Przydałoby się, żebyś ty o tym pamiętała.

Raz jeszcze, bez powodzenia, Tara zadzwoniła do Fintana. Zastanawiała się, czy wyjechał z Sandrem na weekend. Zawsze jednak mówili jej i Katherine, dokąd się wybierają. Nieważne, czy był to Marakesz czy Margate, zawsze się chwalili. Gdzie się zatem podziwiali, do cholery?!

Zapaliła papierosa i zadzwoniła do Liv, która, tuż po wyjeździe Larsa, mogła mieć ochotę na wyjście. Jedyny problem polegał na tym, że była zapewne głęboko nieszczęśliwa. Liv jednak była głęboko nieszczęśliwa nawet wtedy, gdy jej życie układało się fantastycznie.

Thomas słyszał, że Tara umówiła się z Liv na zakupy. Nie wspomniała jednak, że zamierza skrócić je do minimum i jak najszybciej udać się do dostawcy frytek smażonych na głębokim oleju. Już się zdecydowała i miała w nosie, że zapewne za jednym zamachem zniweczy rezultaty pięciu dni odchudzania.

— Już jadę — obiecała jej Liv.

Usiłowała zgrać w czasie swoje przybycie z odjazdem Thomasa, ale ku jej niezadowoleniu nadal był w mieszkaniu. Skinął jej ponuro głową, kiedy przechodziła do kuchni. Choć podobały mu się jej długie blond włosy i jędrna, złocista skóra, irytowało go, że wszystko psuła swoim wzrostem: była wyższa od niego.

Liv nienawidziła mieszkania Thomasa. Było przygnębiająco mroczne i śmierdziało kotem. Korciło ją, żeby zedrzyć brązową tapetę i pomalować ściany na żółtozielono, żeby oderwać wykładzinę i polakierować klepki, żeby ściągnąć rolety i udrapować na oknach liliową organzę. Najgorsza jest kuchnia, pomyślała, wpatrując się w musztardowe szafki z formiki. Pragnęła... pragnęła... puścić to żałosne miejsce z dymem.

Tara powinna wziąć sprawy w swoje ręce. Czyżby nie wiedziała, że wystrój wnętrz był obecnie nowym rock and roilem?

Tara zamknęła teraz drzwi od kuchni.

— Czy Lars wrócił do domu? — spytała ostrożnie.

— Tak — skinęła głową Liv, z twarzą ściągniętą bólem. — Tym razem bardzo źle się czuję. Bardzo źle.

— Zawsze bardzo źle się czujesz — usiłowała pocieszyć ją Tara. — Nawet jeśli zostawi żonę i ożeni się z tobą, nadal będziesz się bardzo źle czuła.

— Chyba czuję się zbyt źle na zakupy — wyznała Liv. — A jeśli nie znajdę nic ładnego? Wątpię, żebym sobie poradziła w tym delikatnym stanie.

— Pomyśl o radości, jaką ci sprawi widok ładnej pary butów — kusiła ją Tara. Bała się, że Liv ją wystawi do wiatru, a wtedy musiałyby iść na mecz Thomasa.

— A jeśli nie znajdę swojego rozmiaru? — odparowała Liv. — To niebezpieczne. Jung twierdzi...

— Jung nie ma pojęcia o butach — ucięła stanowczo Tara. Nie zamierzała dać się pokonać rozległej wiedzy Liv na temat psychoterapii. — Ale gdyby Jung nie pozwolił ci iść na zakupy, co chciałabyś robić?

Liv wpatrywała się w nią, a jej błękitne oczy były jasne i szczerze.

— Mam ochotę się urządzić — powiedziała.

— Dlaczego od razu się nie przyznałaś?! — wykrzyknęła Tara, cała w uśmiechach. — Myślałam, że chcesz iść do domu. No to ruszajmy! Pójdziemy do któregoś z pubów, upijemy się i... — ściszyła głos, na wypadek, gdyby Thomas je słyszał: — zjemy pieczeń na lunch.

— Z podwójną porcją pieczonych ziemniaków... — wyszeptała w podnieceniu Liv.

— W mięsnym sosie...

— Potem szarlotka...

— Z wiadrem custardu... Poczekajmy tylko, aż Thomas sobie pójdzie.

Dziesięć minut później przyjechała winda po Thomasa. Tara i Liv odczekały jeszcze kilka minut, by upewnić się, że naprawdę poszedł, a następnie radośnie trąciły się łokciami.

— Idziemy!

— Weźmiemy taksówkę? — spytała Liv, kiedy stały na ulicy.

— Mam pewną propozycję. — Tara demonstracyjnie wpatrywała się w przestrzeń. — To ryzykowne, ale może się udać. Pójdziemy piechotą?

— Piechotą? Daleko to?

— Jakies pięćdziesiąt metrów.

— OK. Weźmiemy taksówkę? — spytała poważnie Liv. — Och! Powiedziałam dowcip. Słyszałaś, Tara? Powiedziałam dowcip!

— Dobra dziewczynka.

— Mówię dowcipy tylko od wielkiego dzwona.

— Dzwonu.

Kiedy doszły do Fox and Feather, Liv powiedziała:

— Nieczęsto to robię.

— Co? Zalewasz się w niedzielę?

— Nie. Chodzę.

Tuż obok pubu znajdował się salon piękności. W oknie nadal wisiał wielki napis: „STOŁY IZOMETRYCZNE! PIERWSZY SEANS GRATIS!” Tara poczuła przypływ nadziei, że poza ćwiczeniami i głodówką istnieją inne sposoby na schudnięcie. Postanowiła zadzwonić w następną sobotę i dowiedzieć się, ile to kosztuje.

W pubie było tłoczno i głośno, ludzie jedli, pili i grali w strzałki. Wszystkim dopisywał dobry humor.

— Czego chcesz się napić? — spytała Tara. — Wina? Ginu z tonikiem?

— Nie — odparła stanowczo Liv. — Piwa.

— Zuch dziewczyna. — Tara złapała Liv za ramiona, a następnie potrząsnęła nią z czułością. — Miałam nadzieję, że to powiesz.

— Zjemy teraz czy później? — spytała Liv.

Tara była rozdarta. Rzecz jasna, zawsze z radością jadła, ale alkohol lepiej działa na pusty żołądek, a chciała się urządzić...

— No właśnie! — zgodziła się Liv. — Zjemy, kiedy będziemy pijane.

Tara przecisnęła się przez tłum do baru i wróciła z dwoma wielkimi kufkami piwa, po czym powtórzyła manewr.

— Wzięłam od razu dwie kolejki — wyjaśniła. — Mamy misję.

Postawiła piwo i wyciągnęła chrupki.

— Nie możemy pić piwa bez chrupków do towarzystwa — wyjaśniła.

Stuknęły się kufkami.

— To ci zlasuje mózg — powiedziała Tara. — Nie, nie, nie dosłownie! — dodała na widok przerażenia Liv. Liv mówiła po angielsku lepiej od Tary, ale znajomość kolokwializmów czasem ją zawodziła.

Kiedy opowiadały sobie o tym, co się działo w tygodniu, ich rozmowa automatycznie i wygodnie zeszła na temat: „Moje życie jest gorsze niż twoje”, ich ulubioną grę dla dwóch i więcej graczy.

— Siedzimy i smędzimy, a ja jestem grubsza od ciebie — powiedziała Tara.

— Nie, ja jestem grubsza od ciebie — odparła Liv.

— Ale ja jestem biedniejsza od ciebie — upierała się Tara.

— Nie, ja jestem biedniejsza od ciebie — odpowiedziała Liv.

— Tak, ale ja mam więcej długów niż ty — uściśliła Tara.

— Nie, ja mam więcej długów niż ty — sprzeciwiła się Liv.

— Więcej palę niż ty.

— Nie, ja więcej palę niż ty.

— Liv, przecież ty nie palisz.

— Nie, ale gdybym paliła, paliłabym więcej od ciebie. Jestem bardzo autodestrukcyjna — dodała z dumą.

— Punkt dla ciebie. Na czym stanęliśmy? A tak. Moje mieszkanie jest bardziej zabałaganione niż twoje — nie rezygnowała Tara.

— Nie, moje mieszkanie jest bardziej zabałaganione niż twoje — broniła się żarliwie Liv.

— Ale mój chłopak to gorszy skurwiel niż twój — oznajmiła Tara.

— Nie, mój chłopak... Chwila, masz rację, twój chłopak to gorszy skurwiel niż mój — przytaknęła Liv. — Tę rundę wygrałaś.

— Och. — Tarze zrobiło się przykro. Powiedziała to tylko po to, żeby Liv zaprzeczyła.

— Czyżbym się myliła? — spytała Liv cienkim głosikiem.

— Och, Liv — westchnęła Tara, upiła wielki łyk piwa, a następnie zapaliła papierosa. — Coś złego się dzieje ze mną i Thomasem.

Powiedz mi coś, czego nie wiem, pomyślała Liv, ale taktownie milczała.

Choć Tara obawiała się o tym mówić, gdyż przez to problem wydawał się bardziej realny, wykrztusiła:

— Mieliśmy, eee... hm... rozmowę w zeszłą sobotę... Urwała, a Liv milczała współczująco.

— ... i powiedział, że gdybym zaszła w ciążę, nie wsparłby mnie. Nie planuję dziecka, ale to mnie śmiertelnie przstraszyło. Robiłam wszystko, żeby o tym nie myśleć, i wiem, że Thomas mnie kocha. Przez cały tydzień podświadomie oczekiwałam, że stanie się coś strasznego. — Drżącymi palcami ujęła papierosa i zaciągnęła się głęboko. — Nie chodzi o to, że był to szczególnie zły tydzień — szczerze mówiąc, parę razy było cudownie — ale to wciąż wisi nade mną. Jestem taka wkurzona! W poniedziałek straciłam cierpliwość i wczoraj po powrocie od fryzjera prawie też. Nie potrafię tego zrozumieć.

Liv mogła podać tysiące powodów, dla których Thomas budził wściekłość.

— Co ja mam robić? — spytała z rozpaczą Tara. — Proszę, wyłącz z tego swoje osobiste uczucia.

Liv nabrała powietrza w płuca i postanowiła zaryzykować.

— Myślę, że powinnaś od niego odejść.

— HAHHAHAHAHA! — ryknęła Tara, po czym szybko zapaliła następnego papierosa.

— Mówię poważnie — upierała się Liv. — Jaka przyszłość cię czeka? Skoro on twierdzi, że cię zostawi, jeśli zajdziesz w ciążę, to chyba nie masz co liczyć na długotrwały związek.

— Zrobię wszystko, żeby nie zająć w ciążę — stwierdziła ponuro Tara.

— Nie chcesz dzieci? W przyszłości?

— Przeżyję.

— W każdym razie nie o to chodzi. Ty oczekujesz od związku więcej, niż Thomas może ci dać. Ogranicz straty.

Zaraz, gdzie Tara już to słyszała?

— Jak, do cholery, mam go zostawić?! — spytała, nagle się rozklejając.

— Normalnie, trzask prask, zamieszkać u mnie albo u Katherine, albo u Fin...

— Mam trzydzieści jeden lat. — Mówiła wysokim, piskliwym głosem. — Nie mogę go zostawić, już nikogo nie poznam. Nie mam czasu...

— Nonsens.

— ...wyglądam coraz gorzej, ciało mi opada, czas na prokreację przecieka mi przez palce jak rtęć...

— Przed chwilą mówiłaś, że nie zależy ci na dziecku...

— Nie mam gdzie poznać mężczyzn. — Tara ją zignorowała. — Ta okropna impreza wczoraj była taka przygnębiająca. Co gorsza, już chyba nie lubię chodzić do klubów. — Urwała, gdy uświadomiła sobie ten straszny fakt. — To moja ostatnia szansa... a najbardziej chcę spokoju i ciszy!

Liv się załamała. Tak trudno było pomóc Tarze.

— Więc skoro uważasz, że nie znajdziesz nikogo innego, zostaniesz z trudnym, egoistycznym człowiekiem? — spytała.

— To nie jego wina, że taki jest — upierała się Tara. — Jeśli nie masz nic przeciwko temu, wolę o nim myśleć jako o poranionym i wrażliwym mężczyźnie.

Liv pomyślała, że nie zniesie kolejnego wnikliwego wykładu na temat dzieciństwa Thomasa, więc powiedziała szybko:

— Zatem zostaniesz z poranionym, wrażliwym mężczyzną? — I dodała pod nosem: — Który zachowuje się w trudny, egoistyczny sposób?

— Jasne że tak, skoro alternatywą jest brak faceta.

— Jesteśmy nowoczesnymi kobietami, kobietami millenium...

— Nawet tak nie mów! — ryknęła Tara i raz jeszcze sięgnęła po papierosa.

— Jak?

— Że nie potrzebujemy mężczyzny. Potrzeba nie ma z tym nic wspólnego.

— Co z szacunkiem dla samej siebie? — Liv nie mogła nie spytać o to.

— Szacunek dla samej siebie nie ogrzeje cię w nocy.

— Szacunek dla samej siebie nie wyniesie śmieci.

— Thomas też nie.

— Ani Lars. Zapadła cisza.

— Ja też mam ostatnią szansę. — Liv starczyło przyzwoitości, żeby to powiedzieć.

— Nieprawda. Lars twierdzi, że zostawi dla ciebie żonę.

— Kłamie — przyznała Liv.

— Fakt, ale przynajmniej ma choć tyle przyzwoitości, żeby tak mówić. Może pewnego dnia jednak ją zostawi.

— Piekło jest wybrukowane dobrymi chęciami — stwierdziła gorzko Liv.

— Dlaczego związki są takie trudne? — westchnęła Tara.

Było to pytanie retoryczne. Zdaniem Liv jednak wszystko dawało się wytłumaczyć.

— Musimy powrócić do dzieciństwa — wymądrzyła się. — Ile razy ci to powtarzałam? Katherine na przykład nie ma mężczyzny, gdyż w okresie dorastania w jej życiu zabrakło ojca.

— Gdyby Katherine tu była, pożałowałabyś tych słów. — Tara uznała, że należy to wyjaśnić.

Liv ją zignorowała.

— My, ludzie, mamy jakiś defekt, ciągnie nas do tego, co znamy, nawet jeśli nie jest to przyjemne. Ty związałaś się ze źle wychowanym mężczyzną takim jak Thomas, gdyż twój ojciec był... Jak to się mówi?

— Wściekłą swinią — odpowiedziała usłużnie Tara. — Ciągłe mi to powtarzasz. — Kończyła już drugi kufel i w cudowny sposób czuła się mniej zrozpaczona. — Ale świadomość, dlaczego rzekomo popełniam błędy, nie uchroniła mnie od ich popełniania — stwierdziła oschle. — Moim zdaniem, psychoterapia to jedno wielkie oszustwo.

Zanim Liv zaczęła swoją zwyczajową gadkę, że samoświadomość nic nie da, jeśli się nad nią nie pracuje. Tara dodała pośpiesznie:

— A ty? Wyjaśnij mi, dlaczego masz romans z żonatym.

— Moja matka miała długotrwały romans z żonatym mężczyzną — wyjaśniła Liv.

— Naprawdę? — Tara była zdumiona i pełna podziwu. — Wy, Szwedzi. Tacy otwarci. Nie wyobrażam sobie, żeby moja matka zrobiła coś podobnego. Szczerze mówiąc, w ogóle wątpię, czy kiedykolwiek uprawiała seks... — Tara zamilkła. — Nie, czekaj no — dodała wysokim głosem. — Zawsze mi powtarzałaś, że twoi rodzice byli najszcześniejszym małżeństwem w Szwecji! Jak twoja matka mogła mieć romans z żonatym?

— Miała — upierała się Liv.

— Przecież szczęśliwi małżonkowie nie miewają romansów. A jeśli mają, to się im zabiera odznakę szczęśliwych małżeństw.

— Miała. — Liv była niezłomna.

— No cóż, może to był tylko przelotny flirt na początku małżeństwa. — Tara postanowiła pójść na kompromis. — Jak długo to trwało?

— Sprawdźmy. — Liv zaczęła liczyć na palcach i mrużyć do siebie. — Skoro pobrali się w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym pierwszym, a teraz jest tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty dziewiąty, to są razem od trzydziestu ośmiu lat.

Nagle Tara załapała.

— Liv, nie można mówić o romansie z żonatym, jeśli żonaty to twój własny mąż — zauważyła.

— Oooo — stwierdziła ponuro Liv. — Lubię, kiedy wszystko się zgadza.

— Pijemy — zarządziła Tara.

Kiedy kończyły trzecią kolejkę, Tara stała się jeszcze spokojniejsza.

— Żaden związek nie jest idealny — pocieszyła się w kokonie przyjemnego samousprawiedliwiania się i pod wpływem sporej ilości alkoholu na pusty żołądek. — Wszystko opiera się na kompromisie. Mój związek z Thomasem jest świetny, a ja całkiem normalna. Wiesz, co to oznacza, kiedy całujesz żabę i narzekasz, że nie zamieniła się w księżkę? Oznacza, że jesteś niedojrzała! Jeśli jesteś dorosła, całujesz żabę i zmuszasz się, żeby ją polubić.

— Jesteś już pijana? — spytała Liv.

— Według wszelkiego prawdopodobieństwa przydałby się jeszcze jeden kufel.

— Co?

— Powiedziałam, według wszelkiego prawdopodobieństwa przydałby się jeszcze jeden kufel. Głucha jesteś?

Około trzeciej, kiedy uznały, że są dostatecznie pijane, jedzenie w pubie się skończyło.

— O nie. — Tara położyła rękę na ustach i zachichotała. — Co zrobimy?

— Teraz jestem bardzo, bardzo głodna — odezwała się Liv.

— OK, możemy wziąć coś na wynos, w okolicy jest mnóstwo budek.

— Frytki! — stwierdziła Liv. — Skoro nie możemy zjeść pieczonych ziemniaków, musimy zjeść frytki. Musimy zjeść frytki. Frytki! Frytki! Frytki! Frytki! — wrzeszczała, waląc pustym kuflem o stół.

Jakieś trzy metry dalej stał mężczyzna, który był o włos od wygranej w strzałki. Rzucił właśnie ostatnią w chwili, gdy Liv rozpoczęła frytkową mantrę, i miał szczęście, że nie przybił komuś ucha do ściany.

W poszukiwaniu frytek Tara i Liv wytoczyły się na Holloway Road, bardzo zaskoczone, że wciąż jest dzień. Następnie weszły do najbliższego fast foodu, pękającego w szwach od rozwiedzionych tatusiów korzystających z prawa do cotygodniowych spotkań z dzieckiem. Hałas był ogłuszający.

— Na miejscu czy na wynos? — zapytała Tara.

Liv przyjrzała się morzu dzieci w tekturowych kapeluszach.

— Na wynos — odparła. — Na bardzo daleki wynos. Bardzo, bardzo daleki wynos. Tara, powiedziałam kolejny dowcip! Jestem dowcipnisią!

— Tak zgłodniałam, że mogłabym zjeść srokatego konia w kanapce z dwóch ciężarówek chleba — oznajmiła Tara. —

Chodź, wracamy do mnie. Wszystko w porządku — dodała na widok przerażonej miny Liv. — Thomasa nie będzie jeszcze przez wiele godzin.

Kiedy jednak przechodziły obok salonu piękności, zauważyły, że jest otwarty. Nagle Tara pomyślała, że cudownie byłoby wejść i wypróbować stoły izometryczne, natychmiast. Kiedy to zaproponowała, Liv złapała ją za rękę i zawyla:

— To cudowny pomysł! Zawsze chciałam się na nich położyć.

Zataczając się, weszły do salonu. Deedee, kosmetyczka, kiedy tylko zerknęła na ich czerwone twarze i szalony wzrok, natychmiast poczuła przemożne pragnienie, by ukryć się za ladą i udawać, że jej nie ma.

— Nieczynne — spróbowała.

— Nieprawda. — Tara uśmiechnęła się chytrze, chuchając na nią oparami piwa. — Chcemy się położyć na stołach izometrycznych.

— Nie sądzę, by to był odpowiedni moment.

— Czy ktoś na nich leży?

— Nie, ale...

— Chce pani powiedzieć, że jesteśmy pijane? — domagała się wyjaśnień Liv, a jej oczy na tle szkarłatnej twarzy wydawały się bardzo niebieskie.

— Eee, nie.

— Jesteśmy dobrymi klientkami — wyjaśniła jej Tara. — Ja tu sobie robię nosk na wogi.

— Słucham?

— Robię tu sobie wosk na nogi. Ile razy mam to powtarzać?

Biedna Deedee nie miała wyboru. Niechętnie wpuściła je do małego pomieszczenia, w którym mieściło się sześć dużych różowych stołów z plastiku. Tara i Liv były oczarowane w sposób nieosiągalny dla ludzi trzeźwych. Wzdychając, cmokając i powtarzając: „Więc tak to wygląda”, wskoczyły na łóżka, z papierowymi torbami w rękach.

— Umieram z głodu — powiedziała Liv, kiedy jej nogi wylądowały w strzemionach. — Ile to zajmie?

Tara spojrzała na nią ze zdumieniem.

— Ale... ale zjedz to żarcie — powiedziała. — Czy nie taki był plan? Ja też to zrobię.

— Świetnie. — Liv zanurzyła rękę w torbie. — Bardzo głodna.

— Nie sądzę... — zaprotestowała bezradnie Deedee. — Weź sobie frytkę — zaproponowała jej Tara.

— Włączę teraz łóżka — odparła Deedee przez zaciśnięte zęby,

— Zaczynamy — stwierdziła Tara, kiedy koniec stołu się uniośł, pociągając za sobą jej nogi. — Juhu! To dopiero coś.

Nogi Tary unosiły się i opadały, unosiły się i opadały. Na zewnątrz i do środka, na zewnątrz i do środka wymachiwały nogi Liv, podczas gdy właścicielki nóg leżały na plecach, jedząc frytki i cheeseburgery.

— To cudowne — westchnęła Liv. — Czuję się taka zdrowa.

— Trzeba dbać o figurę. — Tara wepchnęła kolejną garść frytek do ust. Powiedziała coś jeszcze, ale kompletnie niezrozumiale.

— Słucham?

— Powiedziałam, że warto o siebie dbać. O, zatrzymuje się.

Deedee ponuro zaprowadziła je do następnych stołów i cała procedura zaczęła się od początku.

— Teraz ruszają się moje ręce — stwierdziła Tara. — Popatrz, macham do ciebie.

— A ja siadam. Nie, kładę się. Nie, czekaj, znowu siadam, i znów się kładę...

Kiedy wstały, strzepując z siebie frytki i wcierając w ubranie keczup, przyjrzały się sobie i oznajmiły, że obie widzą zdecydowaną poprawę sylwetki.

Wyszły całe w uśmiechach, zapewniając ponurą Deedee, że za dzień lub dwa wrócą na pełny program. Następnie chwiejnym krokiem ruszyły do Tary, gdzie wytrąbiły do ostatniej kropelki newcastle brown ale Thomasa.

30

W poniedziałkowy poranek, gdy w pracy rozlegał się dźwięk telefonu, Tara przygotowywała się, że być może Thomas zaraz każe jej spakować torby i spadać. Był wściekły poprzedniego wieczoru, a Tara tak się upiła, że właściwie nie wiedziała, o co się złościł. Czy chodziło o kradzież jego zapasów piwa i butelki brandy? Czy o to, że kiedy przyszedł do domu, zastał Tarę i Liv między pudełkami pizzy? Czy o papierki po hamburgerach, które znalazł w koszu na śmieci? Czy o to, że Tara i Liv ryczały ze śmiechu na widok jego zabłoconych, długich do kolan szortów z nylonu? A może o to, że zapomniały nakarmić Beryl?

Tarze było aż niedobrze z zażenowania. Kiedy obudziła się tego ranka, Thomas zdążył już wyjść do pracy. Ze spierzchniętymi ustami siedziała nieruchomo przez dziesięć minut, kryjąc głowę w dłoniach i jęcząc. Następnie zadzwoniła do Liv.

— Nie wierzę, że to zrobiliśmy — wyszeptwała. — Powiedz, że nie, powiedz, że nie. Powiedz, że tylko mi się śniło to jedzenie hamburgerów. Czy możesz uwierzyć, że naprawdę je zjadliśmy? Na stołach izometrycznych? Co za wstyd, co za wstyd...

— Byliśmy okropne — przyznała Liv z napięciem w głosie.

— Muszę znaleźć inny salon do woskowania nóg — z trudem wykrztusiła Tara. — Nigdy już tam nie pójde. Będę przechodziła na drugą stronę ulicy, żeby tamtędy nie chodzić.

— Zgadnij, co zrobiłam po powrocie do domu? — załkała Liv.

— O nie. Chyba nie...

— Zadzwoiłam do Larsa. Jasne, że zadzwoniłam, byłam pijana.

— Co powiedziałaś?

— Chyba to, co zwykle. Nie za bardzo pamiętam, ale pewnie nazwałam go skurwysynem i zagroziłam, że opowiem o nas jego żonie.

— Przynajmniej nie powiedziałaś mu, że go kochasz.

— O nie — Liv jęknęła, kiedy pod wpływem słów Tary przebudziło się to przerażające, pijackie wspomnienie.

— Powiedziałam. Powiedziałam mu, że go kocham. Teraz naprawdę będę musiała zadzwonić z przeprosinami. Jeśli pomyśli, że mówiłam poważnie, rzuci mnie.

Telefon na biurku Tary wciąż dzwonił. Bała się odebrać, ale koledzy kierowali ku niej zdumione spojrzenia spod zmarszczonych brwi, więc poczuła się zmuszona.

— Halo — wykrztusiła drżącym głosem, z beznadziejną nadzieją, że to jakiś rozzłoszczony klient.

— Tara? — To nie był Thomas, tylko Sandro.

— Cześć! — powitała go radośnie. — Gdzie byłeś razem ze swoim facetem? Myślałyśmy już, że porwali was kosmici.

Właśnie wtedy uświadomiła sobie, że choć bardzo lubiła Sandra, a on ją, nigdy do siebie nie dzwonili.

— Mam złe wieści — powiedział.

W ułamku sekundy umysł Tary stał się czysty jak kryształ. Chociaż siedziała, czuła, że grunt usuwa się jej spod nóg.

— Co się stało?

— Chodzi o Fintana.

— Co z nim?

— Jest chory.

— Chory? To grypa czy coś takiego? — Wiedziała jednak, że nie.

— Tak dokładnie nie wiemy, co mu jest. — Zabrakło słowa Jeszcze".

— Ale na co to wygląda? Jakie ma objawy? Wymioty? Temperatura? Ból żołądka? — Vinnie, Teddy, Evelyn i Śpiący Steve podnieśli głowy. Ravi nie. Od dawna przysłuchiwał się rozmowie.

— Słabość, gorączka i nocne poty — powiedział Sandro.

— Słabość, gorączka i nocne poty — powtórzyła niemal bezgłośnie i w tej samej chwili zrozumiała.

Natychmiast poczuła się tak, jakby wiedziała to od zawsze. Odkąd jeden z przyjaciół Fintana okazał się seropozytywny, koszmarnie przestawał jej prześladować. Teraz miała wrażenie, że to było nieuchronne. Jak kiedykolwiek mogła wątpić, że do tego dojdzie?

Pamiętała drwiny z guza na jego szyi i zaczęła szybciej oddychać.

— Poza tym stracił sporo na wadze — dodał Sandro.

— Przecież widziałam go zaledwie tydzień temu. — Tara poczuła się niezrozumiale wściekła. — Nie mógł tak dużo schudnąć.

— Przykro mi, Tara — powiedział Sandro.

— Dlaczego do mnie nie zadzwoniłeś? Przez cały tydzień zostawiałam wiadomości. Dzwoniłam i dzwoniłam. — Ogarnęło ją irracjonalne przeczucie, że gdyby wcześniej wiedziała o chorobie, zdołałaby jej zapobiec.

— Nie wiedziałem, jak bardzo jest chory — wyjaśnił Sandro. — Nie było mnie, do wczoraj pracowałem przy domu w Norwich.

— No to dlaczego on do mnie nie zadzwonił?

— Tara, przez większość czasu był w szpitalu.

— W SZPITALU!

Vinnie przewrócił kubek z kawą, a Smukła Cheryl, Sandra i Dave wystawili głowy znad przepierzenia, żeby sprawdzić, co to za zamieszanie. Tara wcale tego nie dostrzegła. Była zbyt oszołomiona faktem, że Fintan znalazł się w szpitalu. Zaczęła płakać, ale nie wiedziała, czy to łzy wściekłości, żalu, strachu czy współczucia.

— Myślałam, że jest w Brighton.

— Mnie też okłamał. Powiedział, że ma grypę.

— Jak mogłeś puścić go samego do szpitala? — Łzy spływały jej po policzkach. Ledwie zauważyła, że Ravi wciska jej do ręki serwetkę z Marksa i Spencera.

— Tara, nie wiedziałem, nie wiedziałem! — Sandro był bardzo zły. — Zadzwonił do mnie do Norwich i powiedział, że ma grypę i żebym się nie przejmował, gdyby nie odbierał telefonu, bo to będzie znaczyło, że śpi.

— A ty się nie przejmowałeś? — spytała oschle, niemal sarkastycznie.

— Jasne, że się przejmowałem — odparł. — Przejmowałem się od dłuższego czasu.

To był szok. Gniew Tary zniknął. Sandro nie zaniedbywał Fintana. Przejmował się. Było o wiele gorzej, niż myślała.

— Może faktycznie ma grypę — powiedziała w przyływie irracjonalnej nadziei. — Ludzie z grypą dostają wysokiej gorączki, czują się słabi i tracą na wadze. Oprócz mnie, rzecz jasna. Pewnie jestem jedyną osobą na świecie, która tyje podczas choroby.

— Fintan leży w szpitalu — przypomniał jej Sandro. — To nie grypa.

Rozpaczliwie zapragnęła zobaczyć Fintana. Dowiedzieć się dokładnie, jak źle się czuje, i wspomóc go swoją obecnością.

— Dzwonię ze szpitala, Fintan jest z lekarzem — dodał Sandro. — Wróci do domu później. Wtedy go zobaczysz.

— Nie sądzę... — Tara ścisnęła słuchawkę spoconą dłonią — ...żebyś już dzwonił do Katherine.

Nie dzwonił.

Tara wystukała numer Katherine. Złe wiadomości często przekazuje się z dziwaczną radością. Nawet jeśli ludzie komuś współczują, czasem nie umieją ukryć podszytego strachem rozkoszowania się tragedią. Podobnie zwiastun złych wieści często cieszy się jakimś makabrycznym prestiżem.

Tara tego nie czuła.

Zawiadomienie Katherine o chorobie Fintana było jedną z najgorszych rzeczy, jakie kiedykolwiek musiała zrobić. Ona, Tara, dostała przynajmniej ostrzeżenie, miała przeczucie, że nie wszystko jest dobrze, kiedy na szyi Fintana pojawił się guz. Dla Katherine miało to być wiadro zimnej wody.

— Katherine?

— Cześć!

— Mam złe wieści — wykrztusiła Tara, chcąc przeskoczyć normalną poniedziałkową rozmowę o tym, co robiły w sobotę i jak bardzo Tara chciałyby, żeby już był piątek.

Katherine czekała ze swoim słynnym spokojem. Żadnego zalewu spanikowanych pytań.

— Chodzi o Fintana — dodała Tara. — Jest chory.

— Jak bardzo chory? — Głos Katherine wydawał się chłodny, spokojny, wyważony.

— Jeszcze nie wiedzą na pewno. Poci się w nocy, traci na wadze, jest strasznie słaby...

Zapadła cisza, a następnie do Tary dotarł dziwny dźwięk. Ni to skowyt, ni to zawodzenie. Katherine płakała. Katherine nigdy nie płakała.

Po południu Sandro przekazał im prośbę Fintana. Czy Tara i Katherine wpadłyby do niego dziś po pracy?

— Oczywiście — wyjąkała Tara. — Przyjdę już teraz.

— Lepiej później — zastopował ją Sandro. — Będziemy więcej wiedzieli.

— Chodzi ci o...? — Tara umilkła. — Czy jest coś, co trzeba wiedzieć?

— Tak.

— Dobrze czy źle? — pytała.

— Och, Tara. — Westchnął, ale nic nie powiedział.

— Ale...

— Do zobaczenia później — zakończył stanowczo.

Mimo że Tara musiała nadłożyć szmat drogi, uparła się, że pojedzie pod pracę Katherine, skąd ją zabierze, aby razem mogły się pojawić w mieszkaniu Fintana w Notting Hill.

O wpół do siódmej, kiedy Katherine wyszła z Breen Helmsford, Tara pomachała, żeby zwrócić na siebie jej uwagę, a następnie znieruchomiała. Machanie nie było w porządku. Nie dzisiaj.

Katherine wsiadła do brudnego garbusa, usadowiła się na majtkach do wycierania szyb i nawet tego nie zauważyła. Jechały w milczeniu. Mimo chłodu październikowego wieczoru i zepsutego ogrzewania obie się pocily.

— W zeszłym tygodniu miał guza na szyi — zauważyła cicho Tara. Umierała ze wstydu, że nie potraktowała tego poważnie. — Myślę, że to się ciągnęło od pewnego czasu, Katherine. Przykro mi, że cię szokuję.

— Kogo szokujesz? — parsknęła Katherine.

— Jak to? — Tara była zdumiona. — Wiedziałaś?

— Oczywiście, że wiedziałam — odparła ze złością Katherine. — Stracił apetyt, chudł, bolała go szyja, brzuch i mnóstwo innych miejsc. Cała ta gadanina o wrzodach, beri-beri i węgliku...

Czyżbym tylko ja nie wiedziała, zastanawiała się przerażona Tara. Czy tylko ja?

Kiedy wjechały w ulicę Fintana, Tara zaparkowała jeszcze niedbalej niż zwykle i wyskoczyła z auta. Rozpaczliwie pragnęła zobaczyć Fintana.

— No, chodź — powiedziała, wbiegając na schodki. Zanim jednak nacisnęła dzwonek, poczuła dziwną niechęć. Wcale nie chciała go zobaczyć. Chciała uciec.

— Och, Tara. — Katherine ujęła jej rękę i przez kilka sekund ścisnęła mocno. Pod palcami dłoni czuły pulsowanie swojej krwi.

Jak ktoś mógł tak szybko schudnąć?

Przez ten tydzień twarz Fintana najwyraźniej się skurczyła. Coś jest nie tak, pomyślała Katherine, po czym uświadomiła sobie, co. Jego zęby. Wydawały się takie wielkie. Jak u starego człowieka, którego usta stały się zbyt małe na szczęki.

Za uchem Fintana tkwił wielki, groteskowy, przypominający trzęsące się jajko guz. Część zakrywał gruby biały bandaż, po obu stronach wystawała wata.

Tara patrzyła na niego z przerażeniem.

— Mówiłeś, że guz zniknął. — Nie mogła tego nie powiedzieć.

— Kłamałem — wyjaśnił Fintan z nieoczekiwaną beztróską.

Sandro milczał ponuro. Wydawał się zły. Fintan jednak był dziwnie radosny.

— Siadajcie, siadajcie — nalegał, a jego oczy lśniły. — Sandro przyniesie drinki. Mam dobrą i złą wiadomość.

Od której zacząć?

— Od dobrej — zdecydowała Tara. Złą już znali.

— Masz rację. Dobra wiadomość — oznajmił Fintan wesoło. — Przeszedłem kilka testów i zdecydowanie, bez wątplenia, na sto procent jestem seronegatywny.

Jego słowa spotkały się z ciszą.

— Seronegatywny? — w końcu wykrztusiła Tara. — Negatywny? To znaczy... że nie masz AIDS?

— Nie mam AIDS.

— I nie złapiesz AIDS?

— Nie, jeśli będę miał szczęście.

— Mój Boże. — Tara poczuła, jak zalewa ją fala radości. — Nie wierzę. Byłam pewna, że już po tobie. To wspaniała, wspaniała nowina. — Podskoczyła i uściskała Fintana. — Nie umrzesz!

— Powiedziałeś nam dobrą nowinę. — Głos Katherine był pełen napięcia. — A ta zła?

Wszyscy spojrzeli na Fintana.

— Zła wiadomość — zaczął — brzmi, że mam interesującą chorobkę zwaną chorobą Hodgkina.

Katherine zbladła jak płótno.

— Co to jest, do cholery?! — zażądała wyjaśnień Tara.

— Wiem, co to — powiedziała Katherine.

— Problem z układem limfatycznym — przerwał jej szybko Fintan.

— To rak — szepnęła Katherine.

31

Po tej informacji zapadła straszna cisza.

— Tak? — spytała Tara, wodząc wzrokiem od Katherine do Fintana i Sandra. — Naprawdę?

— Katherine ma rację — przytaknął Fintan.

Przez chwilę Tara nienawidziła Katherine. Dlaczego nie mogła się mylić, chociaż ten jeden jedyny raz?

— Skąd mogą to wiedzieć bez biopsji? — spytała z wymuszonym grymasem. Nie była pewna, czym jest biopsja, ale chwyciła się wszystkiego, co mogło podważyć słowa Katherine.

— Tara, miałem biopsję — zaśmiał się Fintan. — Myślisz, że czym się zajmowałem w zeszłym tygodniu? Jak sądzisz, skąd ten bandaż na mojej szyi?

— Myślałam, że znowu usiłowałeś poderżnąć sobie gardło — uśmiechnęła się blado. — To znaczy, że w zeszłym tygodniu byłeś w szpitalu na badaniach i przeszedłeś przez to wszystko całkiem sam? To najsmutniejsza wiadomość, jaką słyszałam.

— Wszystko potoczyło się tak szybko. — Wzruszył ramionami. — W jednej chwili rozmawiałem ze specjalistą od kiwi na mojej szyi, a w następnej byłem w drodze na biopsję. Zanim się zorientowałem, leżałem już na stole operacyjnym, całkowicie przytomny, a oni kroili mi węzeł chłonny. Następnie mnie zaszyli i wysłali próbkę do laboratorium. Prawdziwa trąba powietrzna, moi drodzy! Chyba byłem w szoku — dodał ze zdumieniem. — Potem

przeszedłem dziesięć tysięcy badań krwi, byłem kluty i szczypany na wszystkie sposoby. A dziś kazali mi wrócić i powiedzieli mi, że mam raka.

Katherine odezwała się po raz pierwszy od czasu, gdy wypowiedziała diagnozę.

— Jak jest źle? — Celowo mówiła rzeczowym głosem. — Jak jest zaawansowany?

— Nie wiem. — Fintan uniósł i opuścił ręce. — Są rozmaite postacie ziarnicy złośliwej...

— Ziarnicy złośliwej? — przerwała Tara.

— Choroby Hodgkina.

O Boże. Już mówił innym językiem, językiem chorego człowieka.

— ...wiedzą, że mam to w węzłach chłonnych szyi, ale muszą wykonać więcej badań, by się przekonać, czy jest w innych miejscach.

— Na przykład jakich?

— Klatce piersiowej. Szpiku kostnym. Organach wewnętrznych. Jeśli tylko w węzłach, to mam szczęście. Odrobina chemii i będę zdrowy jak byk.

— A jeśli masz to w innych miejscach? — dopytywała się, nie chcąc jednak usłyszeć odpowiedzi.

— To uleczalne — wtrącił się Sandro. — Gdziekolwiek by było, to uleczalne.

— A więc nie umrzesz? — zapytała bez ogródek Tara.

— Wszyscy umrzemy. — Fintan zniecka wyszczerzył zęby, a Katherine i Tara wzdrygnęły się na widok jego szalonego spojrzenia.

— Lekarz jest pełen optymizmu — powiedział cicho Sandro. Tara bardzo mu współczuła. Wszyscy pamiętali, że poprzedni chłopak Sandra zmarł. To musiała być dla niego tortura.

Kiedy minął pierwszy szok i pojawiła się dziwna, toksyczna normalność, przyszedł czas na pytania.

— Co to właściwie jest układ limfatyczny? — spytała z wahaniem Tara. — Wiem tylko, że drenaż limfatyczny pomaga na cellulit.

— To układ chłonny, prawda? — Katherine spojrzała na Fintana, szukając potwierdzenia. — Część układu immunologicznego.

— Czy dobrze zrozumiałam? — spytała Tara. — Jeśli masz go tylko w węzłach chłonnych, to nie jest tak źle?

Fintan skinął głową.

— A jeśli będzie w klatce piersiowej albo w szpiku kostnym? Gdzie były te inne miejsca?

— Organy wewnętrzne — odpowiedziała jej Katherine.

— Nie za dobrze, jeśli w klatce piersiowej, jeszcze gorzej, jeśli w szpiku — odparł. — A jeśli znalazł się w nerce albo wątrobie, już możecie zacząć się modlić.

— Czy ten guz boli? Fintan pokręcił głową.

— Więc co teraz? — spytała Katherine.

— Jutro wracam do szpitala na dwa dni. Będą mi robili rozmaite rzeczy.

— Jakie rzeczy?

— No wiesz, biopsję szpiku kostnego. Tomografię komputerową. Kupę prześwietleń. — Starał się, by brzmiało to lekceważąco. — My, ludzie od mody, wciąż w centrum zainteresowania!

— Boisz się? — spytała łagodnie Katherine.

— Nie. — odparł Fintan. — Jestem śmiertelnie przerażony — dodał i aż skreśliło go ze śmiechu. Nagle przestał wyć. — Idę do kibla.

Kiedy zamknęły się za nim drzwi, Sandro spytał:

— Wiecie, jak się robi biopsję szpiku kostnego?

Tara i Katherine bez słowa pokręciły głowami.

— Pobiera się szpik z biodra. Robią miejscowe znieczulenie, żeby znieczulić skórę i mięśnie, ale kości nie da się znieczulić — powiedział bezbarwnym tonem. — Kiedy wchodzi igła, to tak, jakby się złamała kość. Najprawdopodobniej to tortura.

Katherine zaschły wargi, a Tarze zakręciło się w głowie. Nie spodziewały się czegoś podobnego. Badań, owszem, ale nie miały pojęcia, że wiążą się one z bólem.

— Myślałam, że zrobią to pod narkozą — wyszeptała Tara. Sandro potrząsnął głową.

— Bardzo skąpią znieczulenia ogólnego.

— To okropne — wykrztusiła Katherine ze ściągniętą twarzą. Myśl, że Fintan będzie musiał znosić niewiarygodny ból, była niemal gorsza niż to, że dotknęła go zagrażająca życiu choroba. — Nie mogłybyśmy zrobić awantury? Uprzeć się na znieczulenie ogólne?

— Robiliśmy, co się da. — Fintan wrócił do pokoju. — Krzyczeliśmy. Nawet płakaliśmy. Mieliśmy nadzieję, że lekarz się zawstydzi i ustąpi. Uznał mnie jednak za mazgaja. Oczywiście słusznie.

— Za to słynnego — powiedziała Katherine.

— Masz coś przeciwko, Schiaparelli*? — spytał wyniośle.

— Kiedy będziesz znał wyniki? — spytała Tara.

— Mam nadzieję, że pod koniec tygodnia.

* Elsa Schiaparelli — włoska projektantka, znana ze skłonności do jaskrawych barw.

Nagle Katherine przyszło coś do głowy.

— Mówiłeś o tym swojej mamie? — spytała.

— Nie.

— A zamierzasz?

— W najbliższym czasie nie brałem tego pod uwagę.

— Fintan. — Podeszła do niego. — Musisz jej powiedzieć. Tak jest uczciwie.

— Tak, Fintan — poparła ją Tara. — Musisz.

— Cały czas mu to powtarzam. — Sandro spojrział na niego wilkiem.

— Nie mogę — stwierdził Fintan. — Zwyczajnie nie mogę. To by ją zabiło.

— Zabiłoby ją bardziej, gdyby się o tym dowiedziała za późno... — Tara uświadomiła sobie swój nietakt.

— Twoja matka jest twardsza, niż myślisz — wyratowała ją Katherine. — Musisz jej powiedzieć.

— Nie mogę. — Fintan ukrył twarz w dłoniach.

— A gdybyśmy tak my, to znaczy Tara i ja, jej powiedziały? — spytała ostrożnie Katherine. Pomyślała, że ofuknie ją za tę propozycję. Nie spodziewała się, że oderwie dłonie od twarzy, spojrzy na nią z nadzieją i spyta:

— Zrobiłybyście to?

— Pewnie. Zrobimy to zaraz, natychmiast — zapewniła go. Twarz Tary stężała z przerażenia.

— A mógłbym nie słuchać?

— Zadzwonimy z sypialni, niczego nie usłyszysz. Chodź, Tara.

Weszły do sypialni, a kiedy zamknęły za sobą drzwi, Katherine powiedziała:

— Wszystko w porządku, ty tchórzliwa galareto, ja się tym zajmę.

— Ja to zrobię, jeśli chcesz.

— Nie, ale trzymaj mnie za rękę. I przypomnij mi numer. Co się ze mną dzieje? Nie pamiętam kierunkowego do Irlandii.

Gdy z drugiej strony rozległo się podejrzliwe „Halo?” JaneAnn, Katherine drżała.

— Dzień dobry, pani O'Grady. Mówi Katherine Casey. Tara chwyciła ją za drugą dłoń i ścisnęła tak mocno, aż zatrzeszczały kości.

— Katherine Casey — powtórzyła JaneAnn powoli, akcentem z irlandzkiej prowincji. — To ty. Jak się miewasz?

— Świetnie, dziękuję. Mam coś... — A twoja matka? I wszyscy twoi?

— Też świetnie. Pani JaneAnn, muszę...

— Parę dni temu widziałam twoją babcię na wyprzedazy charytatywnej dla Rwandy. Kurczę, kwitnie.

— Pani O'Grady, przykro mi, ale mam złe nowiny. Fintan jest chory — wyrzuciła z siebie Katherine. Była zwolenniczką natychmiastowego przekazywania złych wieści. Nie potrafiła czekać, żeby złagodzić cios.

— Fintan jest chory? Chory? Czy to poważne?

— Tak, bardzo mi przykro, ma...

— AIDS — przerwała jej JaneAnn. — Czekałam na to. Pisali o tym w gazecie.

— Nie, pani O'Grady. — Katherine starała się być delikatna. — Nie ma AIDS.

— Wiem o tym wszystko — powiedziała z godnością matka Fintana. — To, że mieszkam na końcu świata, nie znaczy, że nie mam o niczym pojęcia.

— Pani O'Grady, Fintan ma coś w rodzaju raka. — Jestem jego matką. Prawda jest gorzka, ale i tak mi ją powiedz. Nie mydl mi oczu gadaniną o raku.

— Pani O'Grady, przysięgam, że Fintan naprawdę ma raka.

— Nie starasz się mnie mamić? — Głos JaneAnn brzmiał podejrzliwie. — Nie usiłujesz oszczędzić mi bólu?

— Raczej nie — odparła Katherine bliska łez.

Tego wieczoru Fintan strasznie się upił.

— Czemu nie? — zaśmiał się. — Może wkrótce nie będę miał okazji.

Tryskał dzikim i gorzkim humorem. Tara, Katherine i Sandro także sporo wypili, próbując uciec przed koszmarami, ale nie udało im się oderwać od rzeczywistości.

— Jezu, rozpogódcie się, dobra? — narzekał Fintan, kiedy trzy napięte, białe, zmartwione twarze wpatrywały się w niego. — Przecież to ja mam umrzeć.

Co pewien czas wieczór wydawał się niemal normalny. Niemal, ale nie całkiem, bo wszystko było odrobinę wypaczone, podszyte koszmarem. Mogli o tym myśleć tylko przez jakiś czas, potem przestawali. Jak światła na klatkach schodowych bloków, ich mózg nad tym pracował, a potem mechanizm się wyłączał.

Koło północy Fintan oznajmił, że idzie do łóżka.

— Jutro wielki dzień.

— Przyjdziemy — obiecała Tara.

— Przynies ładną piżamę — przypomniał jej Fintan. — Spróbuj u Calvina Kleina.

— Masz to u mnie.

— Jeśli nie dostaniesz Kleina, poszukaj Josepha. Przynies mi coś znośnego, muszę myśleć o swojej karierze. Jeśli mnie zobaczą w tym strasznym szpitalnym stroju, mogą wylecieć z roboty.

— Załatwione — zapewniła go raz jeszcze Katherine.

— Masz coś przeciwko temu? — Fintan nagle się zaniepokoił. — Czy zadasz sobie ten trud i zwolnisz się z pracy?

Obie na niego popatrzyły, nieme ze złości. Katherine rozważyła to w myślach.

— Chrzanić pracę — powiedziała po prostu.

— Mój Boże — mruknął Fintan. — Muszę być poważnie chory.

Tara i Katherine milczały w drodze do brudnego garbusa.

— Możesz prowadzić? — spytała niespokojnie Katherine, kiedy Tara z piskiem opon zjeżdżała z chodnika.

— Zawsze lepiej jeźdź po paru drinkach — oznajmiła Tara.

— Nieprawda, tylko tak ci się wydaje. Obie się roześmiały i jednocześnie umilkły.

— To dziwne — powiedziała Katherine, usiłując pozbiierać myśli. — To, że coś nas śmieszy w takiej chwili.

— Wiem — westchnęła Tara. — I to właśnie dziś się śmiałyśmy. Niemal wstyd mi się do tego przyznać, ale momentami czułam się prawie normalnie, tylko jakby w alternatywnej rzeczywistości.

— Może jesteśmy w szoku.

— Może. Z pewnością sporo dziś przeszłyśmy. Szkoda, że nie ma tu Liv. Ona potrafiłaby wytłumaczyć, co się z nami dzieje. O Boże!

Obie znieruchomiały na myśl o Liv.

— Kto jej powie? — jęknęła Tara. — Będzie zdruzgotana, tak go lubi. Zrobisz to? Jesteś w tym lepsza ode mnie.

Mniej uczuciowa.

Choć Katherine nie zgadzała się z tą opinią, powiedziała:

— Dziś do niej zadzwonię. Na pewno jeszcze nie śpi. Biedaczka cierpi na bezsenność.

Jechały w milczeniu.

— Nie mogę przestać myśleć o tym szpiku kostnym — szepnęła Katherine. — To barbarzyństwo. Jutrzejszy ranek będzie nie do zniesienia. Zwłaszcza dla Fintana — dodała szybko.

— Chciałabym, żeby była już pora jutrzejszego lunchu — stwierdziła Tara. — Byłoby już po wszystkim.

— Nie będzie po wszystkim — odparła Katherine. — To będzie dopiero początek.

— Nie. — Tara zacisnęła ręce na kierownicy, a jej twarz rozjaśniła się nadzieją. — Nie wolno nam tak myśleć.

Może nic mu nie będzie.

Katherine to przemyślała.

— Cóż, może i nie — przyznała.

— Zuch dziewczyna!

32

Następnego popołudnia JaneAnn, metr pięćdziesiąt w kapeluszu, przyleciała do Londynu z dwoma z czterech wysokich, małowównych braci Fintana.

Żadne z nich nie leciało dotąd samolotem. Właściwie to rzadko opuszczali hrabstwo Clare. W prostych, niemodnych, „porządnych” strojach wyglądali wśród tłumu, zamieszania i blichtru lotniska na przybyszów z innej planety.

Choć Tara i Katherine pojawiły się w pracy dopiero w porze lunchu, wyszły koło czwartej, żeby zdążyć na lot z Shannon.

— Tam są. — Tara pokazała JaneAnn, Mila i Timothy'ego zbitych w grupkę wokół walizek niczym uchodźcy wojenni.

JaneAnn wystroiła się w stary czarny płaszcz z kołnierzem z owczej wełny. Milo, najstarszy brat, miał na sobie pożyczony brązowy blezer i ogrodniczki, a Timothy garnitur — granatowy, w prążki, o szerokich klapach i rozszerzanych nogawkach, w którym brał ślub ponad dwadzieścia lat wcześniej. Garnitur był tak stary, że niemal znowu modny. Timothy trochę utył od ostatniego razu, kiedy go wkładał, a może to marynarka wybrzuszała się na grubym swetrze, który włożył pod spód.

Mimo tego nieszczególnie wyrefinowanego wyglądu rodzinę O'Gradych niezbyt wzruszał rozgardiasz na Heathrow. Krocząc powoli jak po Knockavoy, rozbawili się, kiedy młody biznesmen cmoknął i przepchnął się przed nich, mamrocząc: „Co za ludzie!”

— Pewnie to kwestia życia lub śmierci — zauważyła JaneAnn.

— E, nie — uśmiechnął się Milo. — Sądząc z jego miny, to coś o wiele ważniejszego.

Garbusem Tary pojechali prosto do szpitala. Milo i Timothy musieli się tłoczyć na tylnym siedzeniu wraz z Katherine, bo choć obaj byli gigantyczni, a JaneAnn drobniutka, tradycja nakazywała, by irlandzka mama siedziała z przodu.

Wszyscy byli w nastroju na pogaduszki. Podzielili się plotkami, nawet od czasu do czasu zachichotali. Nagle jednak Katherine przypomniała sobie, że gnieździ się w maleńkim samochodzie z krewnymi Fintana, i uderzyło ją, jak nieodpowiedni jest ten śmiech.

Tara też nie zdawała sobie sprawy z powagi sytuacji. Zachowywała się tak, jakby rodzina O'Gradych przyjechała do Londynu na wakacje.

— To jest pałac Kensington — pokazała im, kiedy tkwili w korku na Kensington High Street.

— Co tam się dzieje? — spytał uprzejmie Milo.

— Tam mieszkała księżna Diana — stwierdziła niepewnie Tara.

— Boże, musiała płacić potworne rachunki za ogrzewanie — mruknął Milo i aż się wychylił, żeby dobrze przyjrzeć się pałacowi.

Chociaż szpital bardziej przypominał hotel niż miejsce, gdzie chorują i umierają ludzie, żadne z O'Gradych tego nie skomentowało. Nie tracili też czasu na kupowanie słodyczy i czasopism dla Fintana. Dobry nastrój prysł, teraz byli przestraszeni. Napięcie rosło, gdy jechali windą, a potem szli szerokim, wyłożonym linoleum korytarzem ku sali, w której leżał Fintan wraz z pięcioma innymi pacjentami. Na progu JaneAnn złapała za rękę Katherine.

— Jak on wygląda?

— Dobrze — odparła i poczuła skurcz w żołądku. — Chudziej niż zwykle i ma troszkę spuchniętą szyję, ale tak w ogóle to dobrze.

Nie było potrzeby wspominać, że nie wyglądał zbyt ciekawie, kiedy przywieziono go po biopsji. Katherine poczuła skurcz mięśni w stopach, gdy przypomniała sobie jego szarą twarz i zamknięte oczy.

— Ból był okropny, naprawdę widziałem gwiazdy — wyszeptał.

Tara i Katherine trzymały się z tyłu, gdy trójka O'Gradych maszerowała ku zasłonom wokół białego, metalowego łóżka Fintana. Sandro siedział pokornie na krześle obok.

— Szczęść Boże — powiedział Milo, prowadząc klan.

— Piękny blezer, Milo — stwierdził cicho Fintan. Leżał płasko na plecach, w nowej niebiesko-zielonej pizamie z jedwabiu.

— Jasne. Jestem śliczny — zaśmiał się drwiąco Milo.

— Cześć, mamó — Fintan powitał JaneAnn.

— Czy ty masz serce z kamienia? — narzekała z czułością i łzami w oczach. — Żeby tak nas martwić?

— Trzeba ci jednak przyznać, że wybrałeś odpowiedni moment — przyznał Timothy.

— Poczekaj, aż się skończą sianokosy, ale zanim zaczniemy strzyc owce — dodał Milo. — Ja to nazywam przyzwoitością.

Podczas tego rodzinnego spotkania Sandro krążył wokół z przesadną potulnością. Był ogromnie zdenerwowany. Tego ranka czekał przy łóżku na powrót Fintana z biopsji, a kiedy uznał, że Fintan ma wszystko, czego potrzebuje, wybuchnął niespokojnie:

— A jeśli mnie nie polubią?

— Kto? — wyskrzecztał obolały Fintan.

— Twoja rodzina. Jak powinienem się przy nich zachowywać? — Położył błagalnie rękę na biodrze Fintana.

— O Jezu Wszchemogący, au! — Fintan przekreślił się na łóżku. — Mógłbyś uważać na moje cholerne biodro?!

— Wybacz, wybacz, wybacz! Bardzo przepraszam, nie gniewaj się. Tak w ogóle powinienem włożyć garnitur czy coś bardziej niezobowiązującego?

Przed zmęczonymi oczyma Fintana pojawiła się wizja Sandra wbijającego się w marynarkę.

— A co za różnica? — spytał. — Czy nie mamy ważniejszych problemów na głowie?

— Czyszcze popielniczki na *Titanicu* — odparł Sandro. Teraz Fintan wyciągnął go z cienia.

— Sandro — odezwał się z powagą — to moja mama, JaneAnn, mój brat Milo i mój drugi brat Timothy.

Zdenerwowany Sandro podniósł dłoń.

— *Ciao*, witam, miło mi państwa poznać, eee...

— Sandro jest moim... — znacząca pauza — przyjacielem.

— Grzejecie razem? — zrozumiała JaneAnn. Sandro przeraził się.

— Nigdy nie bierzemy narkotyków — skłamał pośpiesznie.

— Nie, nie — uspokoił go Fintan. — Chyba chodzi jej o to, czy jesteś moim chłopakiem.

— A! O, rozumiem. Tak, pani O'Grady, razem grzejemy.

— A skąd jesteś? — dopytywała się grzecznie JaneAnn.

— Z Włoch. Z Rzymu.

— Z Rzymu! Poznałeś papieża?

— Mamó! — Fintan machnął ręką na JaneAnn.

— Ależ poznałem papieża — zdumiał go Sandro. — Co prawda, było tam mnóstwo innych ludzi, ale byłem razem z mamą na mszy na placu Świętego Piotra.

— Masz szczęście. — JaneAnn wpatrywała się w niego. — Było pięknie?

— Pięknie — potwierdził Sandro, zastanawiając się, czy powinien opisać cudowną fioletową szatę Jego Świątobliwości, ale po chwili namysłu uznał, że raczej nie. Wszystko szło dobrze, o wiele lepiej niż się spodziewał, więc nie było sensu tego psuć.

W gabinecie lekarskim Milo dopadł lekarza dyżurnego. Mówił tak cicho, że doktor Singh ledwie go słyszał.

— Jestem najstarszym bratem Fintana — wyjaśnił Milo, spoglądając na jego krocze. — Zastępowałem mu ojca, słyszałem o AIDS. To, że jesteśmy bandą Irlandczyków ze wsi, nie znaczy, że nic nie wiemy. Co więcej, potrafimy sobie z tym poradzić.

Doktor Singh był zajęтым człowiekiem, od trzydziestu dwóch godzin na dyżurze. Nie charakteryzował się przesadną cierpliwością. Milo wrócił na oddział z całkowitą pewnością, że Fintan nie zachorował na AIDS.

Około siódmej trzydzieści, kiedy cała szóstka zbierała się do wyjścia, by Fintan mógł się zdrzemnąć, nagle na korytarzu rozległo się tupanie. Była to Liv z długimi, rozwianymi włosami, zaróżowioną twarzą i intensywnie niebieskimi oczyma. Wyglądała jak królowa Amazonek. Na widok tłumu wokół łóżka Fintana zatrzymała się raptownie.

— Liv! — zawołał Fintan z łóżka. — Wejdz, wejdz. To moja mama, to Timothy, mój brat, i Milo, mój drugi brat.

— Witam. — Głos Liv brzmiał bardzo rzeczowo, bardzo szwedzko. — Co słyhać? — Wymieniła uściski dłoni z całą trójką i zapatrzyła się na Milo. — Przepraszam — wykrztusiła. — Zdumiałam się. Wyglądasz zupełnie tak samo jak Fintan.

— E, nie. Fintan to przystojniak. — Milo wzruszył ramionami i uśmiechnął się łagodnie. — Ja jestem jedynie kiepską kopią. Jak to się mówi? Piracką podróbką.

— Wcale nie — zaskrzeczał kurtuazyjnie Fintan. — Ja się na tobie wzorowałem.

Z pewnością istniało rodzinne podobieństwo: obaj mieli ciemnoniebieskie oczy i czarne włosy, chociaż fryzura Mila wyglądała jak prosto spod kosiarki.

— Udało się? — Fintan zwrócił się do Liv.

— Mam je. — Wręczyła torbę Fintanowi, a on wyjął z niej dwa piękne kielichy z jaskrawozielonego turkusowego szkła.

— Co to jest? — spytała Tara.

— Byłam tu dwie godziny temu, a on narzekał na brzydkie szklanki — wyjaśniła Liv.

— Te widziałem w „Elle Decoration” — dokończył Fintan.

— Tak więc Liv, rozsądna kobieta, poszła do sklepu Conrana.

— Daleko musiałaś iść? — spytał Milo. Liv zaczerwieniła się.

— Nie mieli ich w biurowcu Michelina, więc wzięłam taksówkę na Marylebone High Street, ale tam też ich zabrakło. Na szczęście — skąd wiedziałeś? — były w Heal's.

Milo, człowiek, który właściwie nigdy nie wyjeżdżał z Shannon, pokiwał ze zrozumieniem głową. Tak, mówiło to kiwnięcie. Ależ naturalnie. Heal's to oczywisty wybór, bardzo dobrze zrobiłaś.

— Lepiej już pójdziemy. — Tara wstała i popatrzyła na pozostałych.

— Dokąd ci tak spieszo? — zażartował Milo i nie ruszył się z miejsca.

— Ale przecież mieliśmy... — Wtedy Tara zrozumiała. Rodzina O'Gradych uważała, że wychodzenie tuż po czymś przybyciu należy do złego tonu. Usiadła i popatrzyła na Fintana.

— O której cię jutro wypuszczą?

— Nie wypuszczą — oznajmił wprost Fintan.

— Cooo? Co się znowu stało, do cholery?

— To nic takiego — powiedział. — Tam, skąd usunęli mi węzeł, wdała się infekcja. Chcą mieć na mnie oko, dopóki nie wydobrzeję. Będę bardzo zły, jeśli nie wydobrzeję — narzekał.

— Amputują mi szyję. A bez szyi będę wyglądał jak rugbista.

— Jak długo zostaniesz w szpitalu? — wychrypiała Katherine. Kiepsko to wyglądało. Łóżka w państwowej służbie zdrowia były niczym efemerydy. Tylko jeśli stan zdrowia pacjenta bardzo niepokoił lekarzy, zatrzymywali go w szpitalu.

— Pięć albo sześć dni. — Fintan wzruszył ramionami, pozornie spokojny. — Zobaczymy.

Pół godziny później powiedzieli Fintanowi dobranoc i ruszyli ku drzwiom.

— Katherine, Tara syknął, przywołując je z powrotem. — Miejcie oko na Sandra, dobrze? — mruknął. — Wiem, że to nie to samo, ale po tym, co się przydarzyło jego poprzedniemu chłopakowi... Martwię się o niego, a leżąc tu, niewiele mogę zrobić.

Na dole, na parkingu, Sandro odciągnął na bok Katherine i Tarę.

— Musimy uszczęśliwić Fintana — oznajmił. — Musimy go zabawić i nie dopuszczać do tego, żeby zaczął się martwić.

Rodzina O'Gradych postanowiła zatrzymać się u Katherine. Wybór był oczywisty — miała mały pokój gościnny, w którym mogli się zmieścić bracia Fintana, i nieskazitelną wielką sypialnię w sam raz dla irlandzkiej mamy, a także przyzwoitą rozkładaną sofę na własne skromne potrzeby. Jak powiedziała Tara: „Nie mogą zamieszkać u mnie. Żyję w grzechu”. Nie mówiąc już o tym, że Thomas się nie zgodził.

JaneAnn w nagłym paroksyzmie zachwytu zaczęła chwalać mieszkanie Katherine.

— Jest prześliczne! Jakby należało do gwiazdy filmowej.

— Nie, wcale nie — wruszyła ramionami Katherine. — Powinniście zobaczyć mieszkanie Liv. To dopiero mieszkanie gwiazdy filmowej.

— Miła, przystojna dziewczyna — stwierdziła JaneAnn. — I przyjechała ze Szwajcarii.

— Ze Szwecji — sprostował Milo.

— Może być Szwecja — potaknęła. — Czy to nie wspinała dziewczyna?

— Ma ładne zęby i świetne maniery. Gdzie to położyć?

Katherine uniosła wzrok i ku swojemu zdumieniu zobaczyła jedzenie na kuchennym stole — gotowaną szynkę, żytni chleb zawinięty w ściereczkę, plastry bekonu, kaszanke, masło, herbatę, babeczki i coś, co wyglądało jak pieczony kurczak w folii.

— Nie powinniście byli tego przywozić — jęknęła. Tego ranka kupiła tony jedzenia na cześć gości. Pomyślała, że nigdy sobie z tym wszystkim nie poradzą. Jej lodówka od dawna nie widziała tylu produktów spożywczych.

— Nie możemy zwać ci się na głowę i oczekiwać, że będziesz nas karmiła — powiedział Milo.

— Ma rację. Nie możemy — odezwał się Timothy. Rzadkie zjawisko.

— Zjesz kanapkę? — spytała JaneAnn.

— Nie, dziękuję — odparła Katherine.

— Musisz jeść. Sama skóra i kości. Prawda, Timothy?

— Prawda.

— Prawda, Milo?

— Dajcie spokój biednej Katherine.

Kilka kilometrów dalej Tara właśnie wchodziła do mieszkania.

— Biedactwo! — usłyszała okrzyk Thomasa z kuchni. — Chodź tu, niech cię przytulę.

Ciężar spadł jej z serca, zakręciło się jej w głowie z ulgi. Thomas był dla niej miły. Bogu dzięki. Teraz, kiedy wszystko się układało, mogła przyznać, że żyli w dziwnym napięciu od... od tej strasznej rozmowy o ciąży. Co za wstyd, że trzeba było kryzysu do naprawy sytuacji.

Wpadła do kuchni akurat w chwili, gdy Beryl ocierała się o pierś Thomasa.

— Gdzie byłaś? — spytał szorstko Tarę.

— W szpitalu. — Zdumiała się. Co z przytulaniem?

— Prosiłem cię rano, żebyś nakarmiła Beryl, a ty zapomniałaś — oskarżył ją. — Biedactwo. — Przytulił policzek do kociej sierści. — Głodne biedactwo.

Z zimnym, twardym łomotem serca Tara uświadomiła sobie, że wcześniej też mówił do cholernego kota.

— Przepraszam — stwierdziła zmęczona. — Miałam inne sprawy na głowie.

Thomas westchnął.

— Co myślimy o dziewczynach, które bardziej dbają o swoich przyjaciół niż o nakarmienie Beryl? — spytał kotkę. — Nie jesteś pod wrażeniem, co? Nie. — Potrząsnął głową i jak się wydawało Tarze, to samo zrobiła Beryl.

— Na litość boską! wybuchnęła Tara. Pod nieprzyjemnym zachowaniem Thomasa w stosunku do jej przyjaciół zawsze kryła się niepewność, ale tego było już za wiele. — Fin tan ma raka!

— Doprawdy? — spytał z niedowierzaniem Thomas.

— Tak, doprawdy.

— Pomyśl, Tara, jego układ chłonny to część układu immunologicznego. A on cierpi na brak odporności układu immunologicznego. Może to nabyty zespół braku odporności...

— Thomas, Fin tan nie ma AIDS. Jest seronegatywny. Thomas prychnął z pogardą.

— Ma raka — upierała się Tara.

— A czego się spodziewał? — zapytał Thomas. — To, co wyprawiają, jest cholernie nienaturalne.

— Thomas, raka nie dostaje się od seksu analnego. Thomas skrzywił się i zakrył rękami uszy Beryl. — Musisz być taka obcesowa?

Tara w milczeniu patrzyła na niego przez długą znaczącą chwilę.

— A ty musisz być taki obcesowy? — w końcu usłyszała swoją odpowiedź.

33

Kiedy czekali na wyniki biopsji szpiku kostnego, a Fintan niemal utonął w morzu gości i kartek z życzeniami powrotu do zdrowia, życie biegło swoim trybem.

Tak zwane życie zawodowe Lorcana bardzo go niepokoiło. Rano, tuż po tym, jak Amy nasłała na niego policję, miał casting do roli dublera Hamleta. Nie takiego wystawianego w kościele, ale do prawdziwej sztuki, z prawdziwymi aktorami, z prawdziwą widownią, płacącą — co najważniejsze — prawdziwymi pieniędzmi.

Kiedy przez cały tydzień czekał na wiadomość, czy dostał rolę, intonował monotonię: „Jeśli jej nie dostanę, umrę. Po prostu umrę”.

Wyglądało jednak na to, że na razie może wstrzymać się z umieraniem. W poniedziałkowy rano zadzwonił jego agent i powiedział, że Lorcan proszony jest na drugi casting. Dodał jeszcze, że tym razem będzie zaledwie trzech innych kandydatów.

Lorcan nadal nie rozmawiał z Amy, mimo że zostawiła ponad sto rozmaitych wiadomości na jego sekretarce. Na niektórych jej głos brzmiał wesoło i dziarsko, ćwierkała: „Cześć, dzwoni Amy. Liczyłam na to, że cię zastanę. No dobra, nieważne. Mam nadzieję, że wszystko OK, musimy kiedyś wybrać się na drinka. Cześć”. Takie wiadomości nagrywała zazwyczaj późnym popołudniem.

Około dziewiątej wieczorem ogarniał ją ponury nastrój. „Tu Amy. Muszę z tobą porozmawiać. Jest kilka spraw, które powinniśmy sobie wyjaśnić. Nie możemy tak tego zostawić. To nieodpowiedzialne. Masz obowiązek ze mną porozmawiać. Zadzwoń”.

Jeszcze później, po północy, robiła się nieprzyjemna. Jej głos był zazwyczaj pijany i łzawy. „To ja”, mówiła niewyraźnie. „Dzwonie powiedzecz, że wincej nie zadzwonie. Mam kupe prpozycji od inych menszczyzn, i wieszco? Ciesz się, że jusz z tobo nie chodze. Cay czas okrpnie się człam. Jestś kompletnym sadysto, a ja poznałam w pracy

suprfaseta, uważa, że jestem fantasmagoryczna i wiesz, że nie musisz się o mnie martwić, bo mam się dopsze. Dopsze. Rozmisz? Dopsze. D-O-P-S-Z-E. Nigdy nie byłam sześli..." Biiip — kiedy kończył się czas nagrania.

Kilka sekund później dzwoniła raz jeszcze. „To ja”, powtarzała. „Bardzo, bardzo przepraszam. Nie jesteś sadystą i nie ma superfaceta w pracy. Zadzwoń do mnie kiedyś, bo jest strasznie”. Potem już tylko szlochała. Nie oddzwonił.

*

We wtorkowy poranek, kiedy Lorcan wsiadł do metra do Angel, czuł, że wszyscy w wagonie wiedzą, jak ważna to podróż. Że powietrze wokół niego aż brzęczy od doniosłości. Popatrzył na nich i pomyślał z politowaniem: „Jadą do swoich żalonych zajęć. Właściwie im zazdroszczę, dobrze jest nie musieć się niczym przejmować. Ciężko dźwigać brzemię zapoznanego geniusza. Ale co poradzić?”

Kiedy wysiadł z metra, założył się sam ze sobą, że jeśli dojdzie od stacji do King's Head bez stawania na szparach między płytami chodnikowymi, dostanie rolę. A jeśli nie dostanie?

— To umrę — wyszeptał z przerażeniem. — Czyżbym nie miał wyjścia i musiał umrzeć?

Lorcan był ostatnim z czterech kandydatów do roli i w chwili, w której zaczął obserwować przesłuchanie, niemal zszedł z niepewności. Nękały go zazdrość i przerażenie, bo inni wydawali się młodszy, wyższy, lepiej zbudowani, bogatsi, lepiej wyuczeni, bardziej doświadczeni i z lepszymi znajomościami niż on. Nienawidził się tak czuć. Jak zawsze jednak krył nieprzystosowanie pod maską arogancji.

W końcu nadeszła jego kolej. Wyrecytował monolog Hamleta, stojąc samotnie na scenie, w blasku jednego reflektora. Jego duże, szczupłe ciało przeżyło się od niezdecydowania, na pięknej twarzy pojawiło się zmieszanie.

— Dobrze mu wychodzi pełne bólu zwleknięcie — mruknęła Heidi, kierowniczką sceny.

— Dobrze — zgodził się reżyser.

Kiedy Lorcan skończył, musiał zacisnąć szczękę, żeby nie dodać:

— Błagam, powiedzcie, że byłem dobry. Błagam, pozwólcie mi w tym wystąpić.

Nie miał się dowiedzieć, że osoba, którą wcześniej chcieli zatrudnić jako dublera Hamleta, przyjęła główną rolę w *The Iceman Cometh* w teatrze Almeida. Kiedy zatem Heidi powiedziała Lorcanowi, że dostał rolę, najpierw przeżył moment radosnego niedowierzania, a potem wahadło jego samooceny gwałtownie wychyliło się w drugą stronę. Natychmiast pomyślał, że to mu się zwyczajnie należało. Jasne, że go wybrali. A niby kogo? Jego niedawne przerażenie rozpuściło się jak śnieg na słońcu.

— Gratulacje — promieniała Heidi.

Lorcan obdarzył ją uśmiechem, który mówił: „To pestka”.

— Wiem, że to tylko dublowanie Frasiera Tippetta — dodała — ale grałeś świetnie.

— Cóż, może Frasier Tippettt będzie miał okropny wypadek. Nigdy nie wiadomo, zawsze pozostaje nadzieja. — Lorcan ścisnął kciuki, uśmiechnął się szeroko do Heidi i odszedł.

Zadowolenie Heidi zachwiało się, zatrzęsło i znikło. Frasier Tippettt był jej chłopakiem.

Następnego dnia Lorcan miał kręcić telewizyjną reklamówkę masła. Sześć tygodni wcześniej odbyły się zdjęcia próbne i kiedy dostał zlecenie, był niewymownie uradowany. Telewizyjne reklamy bardzo się opłacały. Można było za nie przeżyć nawet rok. Teraz jednak, kiedy Lorcan miał wrócić na swoje miejsce — w światła reflektorów prawdziwego teatru — jego niebotyczne ego znowu przejęło dowodzenie. Dlaczego miałby być wdzięczny za reklamówkę masła? Co z tego, że można na niej zarobić tysiące funtów? Mieli szczęście, że go dostali, i zamierzał dać im to do zrozumienia.

O wyznaczonej godzinie — spóźniony jedynie o czterdzieści minut — pojawił się w przeraźliwie zimnym, pozbawionym okien, wyremontowanym magazynie w Chalk Farm. Powitał go tłum rozhisteryzowanych osób: producentów, reżyserów, agentów od castingu, pomocników oświetleniowców, kierowników reklamy, przedstawicieli Rady Masła,

makijażystek, stylistów, fryzjerek i niezliczonych ludzi, którzy kręcą się po każdym planie i popijają herbatę, z kluczami i brzęczykami u pasków.

Wszystko zależy ode mnie, myślał Lorcan, rozkoszując się poczuciem władzy. Wróciłem. Coś cudownego.

— Gdzie byłeś? Chcieliśmy zadzwonić do ciebie na komórkę, ale twój agent twierdzi, że jej nie masz — jęknął Ffyon, producent. — To chyba jakaś pomyłka?

— Nie — odparł łagodnie Lorcan i uśmiechnął się. — Nie mam komórki.

— Dlaczego?

— Bo z komórką nie ma spokoju — skłamał. Brakowało mu pieniędzy na jej kupno.

Po przejściu oceanu pomarańczowych kabli i uściśnięciu dłoni grubym rybom z agencji reklamowej i Rady Ma-sła, Lorcan został odesłany do makijażystki. Potem podeszła do niego młoda dziewczyna z grzebieniem i lakierem do włosów, ale złapał ją za rękę i unieruchomił.

— Proszę nie dotykać włosów — powiedział uprzejmie.

— Ale...

— Nikt nie dotyka moich włosów, dopóki mu nie pozwolę.

Lorcan traktował swoje włosy jak rasowe zwierzątko. Spełniał ich zachcianki, rozpieszczał je, dawał im smaczne kąski, kiedy się ładnie zachowywały, i bardzo niechętnie powierzał je nieznanym.

Nadszedł czas na garderobę. Po niezliczonych zmianach obie stylistki musiały przyznać, że mimo ton strojów, które przyniosły, Lorcan najlepiej prezentował się we własnym ubraniu — spranych džinsach i turkusowej koszuli z je-dwabiu, na której tle jego oczy wydawały się fiołkowe.

— No dobrze, może je włożyć — stwierdziła Mandii.

— Ale trzeba je wyprasować — dodała szybko Vanessa, Chciała jeszcze raz zobaczyć go w białym. Nigdy nie widziała tak niewypowiedzianie pięknego mężczyzny. Miał długie, muskularne nogi, wąską talię, szerokie plecy, twardą klatkę piersiową. A jego gładka, napięta, złocista skóra aż się prosiła o dotyk.

W końcu, dwie godziny po przybyciu, Lorcan był niemal gotowy. Odsunął lok z pięknego czoła. Ręka, która trzymała grzebień fryzjerski, niechętnie drgnęła.

— Masło Worth, ujęcie pierwsze! — wrzasnął reżyser. Deska trzasnęła i operator wkroczył do akcji.

Falszywy salon usytuowano pośrodku bezkresu betonowej podłogi niczym pokrytą dywanami, mocno oświetloną wyspę. Reklama zaczynała się od Lorcana leżącego na fioletowej sofie, ze stopą opartą na drugim kolanie i talerzem to-stów na udach. Kamera krążyła nad nim. Chodziło o to, żeby spojrzeć w górę, uniósł brew, uśmiechnął się i powiedział:

— Prawdziwe masło?

Potem miał ugryźć kawałek tosta i znacząco, seksownie zamilknąć, a następnie powiedzieć z poufałym uśmiechem:

— Bo jestem tego wart.

Na castingu był fantastyczny. Porażający. Gdyby przyznawano Oscara za docenianie masła, Lorcan by go dostał. Ludzie od castingu nie wiedzieli, że od poprzedniego dnia nic nie jadł i głód dodał jego występowi autentyczności.

Teraz jednak wszystko wyglądało inaczej. Lorcan dostał rolę w porządnej sztuce, był poważnym aktorem i nie chciał, aby ktokolwiek miał co do tego wątpliwości. Zagrywał się zatem niemiłosiernie na pompatyczną, donośną, szek-spirowską modłę, podobnie jak dzień wcześniej.

— Akcja. I, Lorcan...

Z przepony, by mogły go usłyszeć ostatnie rzędy, Lorcan zawył:

— PRAWDZIWE MASŁO? — Zupełnie jakby deklamował początek monologu Hamleta. Ludzie w odległych kątach pomieszczenia skrzywili się, a operator prawie ogłuchł. Nikt nie byłby zdumiony, gdyby Lorcan ciągnął: „Prawdziwe masło? Oto jest pytanie, czy szlachetniejszym jest znosić świadomie Flory wścieklej pociski i strzały...”

— Cięcie, cięcie! — wrzasnął Mikhail, reżyser. — OK, ujęcie drugie, troszkę ciszej tym razem, dobrze?

Kiedy kamery ruszyły do ujęcia drugiego, Lorcan krzyknął:

— Chwileczkę, czy na toście jest masło?

— Tak — odparła Melissa, odpowiedzialna za przygotowanie tostów.

— Fuj — stwierdził dramatycznie Lorcan, rzucając tacę na sofę. — Fuj, fuj, fuj. Chcecie mnie zabić? To zatyka arterie.

Pan Jackson z Rady Masła wydawał się bardzo dotknięty.

— Przynieście mi coś niskokalorycznego — zażądał Lorcan. Kiedy Melissa pobiegła do najbliższego sklepu, agent od castingu przemawiał uspokajająco do pana Jacksona, zapewniając go ciepło, że nikt się nie dowie o braku prawdziwego masła na toście i że Lorcan odwali kawał dobrej roboty, nawet jeśli nie wierzy w produkt. Jednak nawet przy wielonienasyconym tłuszczu Szekspir nadal trwał.

— Ujęcie dziesiąte. Lorcan...

— PRAWDZIWE MASŁO? — wyrecytował raz jeszcze, tym razem jakby gotów do mowy Makbeta. Wszyscy czekali, aż powie: „Czy to PRAWDZIWE MASŁO, co przed sobą widzę, na nożu z usmarowaną masłem ręką? Pójdź, niech cię ujmę. Nie mam cię, a jednak ciągle cię widzę”.

— Cięcie, cięcie, cięcie! — zawołał Mikhail. — Proszę, Lorcan...

— Co to za clown? — Pan Jackson rozglądał się w poszukiwaniu młodego człowieka z agencji reklamowej, żeby to wyjaśnić. — Porozmawiaj z nim — nalegał. — Mikhail i Jeremy zmierzają donikąd.

Lorcan świetnie się bawił i z radością patrzył, jak zbliża się do niego pan Drogi Garnitur z agencji. Kolejna okazja do grymasów.

— Może powiedziałbyś to trochę swobodniej? — zaproponował Lorcanowi młody człowiek. — Bardziej radośnie?

— Jak ci na imię? — spytał władczo Lorcan, mimo że już zostali sobie przedstawieni.

— Joe. Joe Roth.

— OK, Joe Joe Roth, pozwól, że coś ci powiem. Nakręciłem więcej reklam, niż ty miałeś gorących kobiet. Mówienie mi, co mam robić, przypomina uczenie twojej babci, jak ssać fiuta.

Joe westchnął w duchu. Miał mnóstwo spraw na głowie, w tym ważną prezentację dla firmy produkującej wielorzechowe muesli, i to następnego dnia. Bawienie się w niańkę rozwydrzonych aktorów nie należało do jego obowiązków. Zresztą to nie on wybierał obsadę do reklamy, odziedziczył ją po wywalonym z Breen Helmsford poprzedniku. Teraz jednak odpowiedzialność spoczywała na nim.

Lorcan rzucił mu buntownicze i prowokacyjne spojrzenie, jak gdyby aż się rwał do walki. Radośnie zastanawiał się, czy zdoła doprowadzić Joe Joe Rotha do płaczu — już od dłuższego czasu nie trafiła mu się taka okazja. Jednakże ku jego konsternacji Joe uprzejmie powtórzył swoją sugestię, że Lorcan powinien wypowiedzieć kwestię przyjaźnie i bez patosu. To wstrząsnęło Lorcanem. Kim był ten kutafon z wysoką pensją, chłopięcym wyglądem i nieoczekiwanym opanowaniem?

Joe Roth okazał się twardszy, niż założył Lorcan. Trzeba było użyć mocniejszych środków. Żeby wyrównać rachunki, Lorcan zaczął jeszcze bardziej przesadzać w kolejnych ujęciach. W końcu przy ujęciu dwudziestym drugim, z czystej złośliwości — dlatego, że mógł sobie na to pozwolić — pisnął:

— Jaką mam motywację?

— Pieniądze? — odparł śmiertelnie poważnie Joe, opierając się o ścianę skrzyżowanymi rękami. Już nie był miły.

— Jestem artystą — oznajmił wyniośle Lorcan.

— Może w tym tkwi błąd — stwierdził sucho Joe. — Prosiłiśmy o aktora.

Lorcan zmrużył oczy.

Mandii i Vanessa trąciły się łokciami i popatrzyły na Joe. Seksowny, pomyślały.

— No dobrze. Zaczynamy jeszcze raz — powiedział reżyser. — Więcej tostów, Melissa! Ujęcie dwudzieste trzecie i Lorcan...

— Prawdziwe masło? — powiedział Lorcan dokładnie tak, jak trzeba.

Nareszcie, pomyśleli wszyscy, oddychając z ulgą. Lorcan ugryzł tosta, uśmiechnął się wilczo do kamery i tym samym pięknym, aksamitnym głosem dodał:

— Jest przyczyną ataków serca.

34

— No dobrze, Lorcan. — Joe wystąpił naprzód z miłym uśmiechem na twarzy. — To jasne, że nie chcesz nakręcić tej reklamy. Połóżmy temu kres. Jesteś oficjalnie zwolniony.

Lorcan otworzył usta, by powiedzieć coś zjadliwego, ale Joe kontynuował z ożywieniem:

— Oczywiście nie dostaniesz wynagrodzenia i być może będziesz musiał nam zwrócić koszty poniesione tego ranka.

Gdy Lorcan gapił się na niego, Joe odwrócił się do pozostałych.

— Przepraszam was za tę stratę czasu. Poczekajcie, aż spróbujemy zatrudnić innego aktora. Jeremy, kogo weźmiemy? Może Frasiera Tippetta? — Joe znowu odwrócił się do Lorcana, który zamarł na sofie. Na jego twarzy malowało się zdumienie. — Ciągłe tu jesteś? — spytał. — Mógłbyś już sobie pójść? Nasze ubezpieczenie nie obejmuje ludzi nie zatrudnionych na planie.

Lorcan był w szoku. Najwyraźniej nie docenił Joe Joe Rotha. Uznał, że pora zakończyć ten blef.

— Hej. — Machnął niezręcznie ręką. Jego głos wydawał się skrzekliwy. — Rozchmurz się, stary.

Joe go zignorował, gdyż Jeremy wręczył mu komórkę, mówiąc:

— To Alicia, agentka Frasiera Tippetta.

Joe rozmawiał cicho przez telefon, po czym oznajmił z szerokim uśmiechem:

— Mam dobre wieści dla wszystkich, Frasier Tippettt pojawi się tu za godzinę. Zabawcie się do tego czasu. Idźcie coś zjeść albo się przewietrzyć.

Następnie odwrócił się i odszedł. Lorcana zatkało ze zdumienia. Dotąd nikt mu czegoś takiego nie zrobił. Jasne, że Joe żartował z przybyciem Frasiera Tippetta, ale mimo wszystko był to bardzo wyrafinowany blef.

Lorcan nadal siedział na fioletowej sofie, czekając na powrót Joe i wznowienie zdjęć. Ku jego zaniepokojeniu jednak wszyscy zaczęli zbierać się do wyjścia. Brali torebki i marynarki, szli parami lub we troje, wspominali o wyskoczeniu do pubu na jednego albo na kanapkę. Operator wyszedł z Mandii i Vanessą, zniknął też pomocnik oświetleniowca z fryzjerką, potem Melissa i Ffyon.

— Chodźmy na tosta — zaproponował Ffyon. Melissa zbladła.

— Tylko nie na tosta — wykrztusiła.

Wkrótce zrobiło się prawie pusto. Rzecz jasna, nie wyszli naprawdę, powtarzał sobie Lorcan. Za chwilę pojawią się w drzwiach i krzykną: „A kuku!”

Nie pojawili się jednak.

Wciąż siedział na sofie. Czuł się wystrychnięty na dudka i zignorowany.

Z przerażeniem musiał wziąć pod uwagę coś niewyobrażalnego — może to się działo naprawdę. Następnie ku swojej nieopisanej uldze ujrzał, jak z małego biura wylania się Joe wraz z panem Jacksonem. Może wreszcie da się to wyjaśnić! Przeszli jednak obok, nawet na niego nie spojrzawszy, pogrążeni w rozmowie o dzieciach pana Jacksona.

Lorcan zerwał się z sofy. Przeskakując przez kable i płacząc się w nich, pobiegł za mężczyznami.

— Co się dzieje? — zapytał.

Joe odwrócił się do Lorcana, a jego zaskoczenie wydawało się autentyczne.

— Ciągłe tu jesteś? Po co?

— Dobra, udowodniłeś swoje racje, stary — powiedział Lorcan z zaciętą twarzą. Wykrzywił usta w uśmiechu. — Jestem gotów do pracy. Mamy reklamę do nakręcenia!

— Zostałeś zwolniony — stwierdził Joe.

— Byłem niegrzecznym chłopczykiem — Lorcan uśmiechnął się szyderczo, wyciągnął rękę i klepnął się po dłoni. — W porządku? Zostałem ukarany. Teraz wracajmy do pracy i przestańmy marnować czas.

— Mamy już innego aktora.

— Po co wam inny aktor? — Lorcan zaśmiał się sztucznie.

— Lorcan, rozumiem, że ludzi — zwłaszcza aktorów — trzeba czasem namawiać, zanim dadzą z siebie wszystko, ale twoje obrzydliwe zachowanie nie pozostawiało wątpliwości, że nie chcesz uczestniczyć w tym przedsięwzięciu — wyjaśnił Joe.

— Nie wierzę w zmuszanie ludzi do czegoś, czego nie chcą robić. O wiele lepiej dla mnie — i dla ciebie — jeśli będę miał do czynienia z kimś, kto ma w sobie prawdziwy entuzjazm.

Lorcan nagle uświadomił sobie, że nie wyczuwa żadnej niegodziwości w Joe. Wielka, ziejąca dziura w psychice Lorcana nieco się ścieśniła, gdy natrafiła na całkowite przeciwieństwo w Joe Rocie, kimś o silnych zasadach moralnych. Z szokującą jasnością Lorcan zrozumiał, że ten skurwiel nie zwalnia go z pracy ze złości, ale dlatego, że jego zdaniem tak będzie najlepiej dla nich obu. Jakie to dziwne.

— Chyba powinienes już iść — powiedział Joe.

Lorcan spojrział na niego z wściekłością. Teraz nie miał już wątpliwości, że to się dzieje naprawdę.

— Popelniasz największy błąd w swojej żalosznej karierze — warknął. — Nie pracowałbym z takim amatorem, nawet gdybyś mi zapłacił. Spadam stąd.

Minął kable i ruszył do drzwi, wciąż mając resztki nadziei, że Joe powie: „No dobra, wracaj, dostałeś za swoje”. Tak się jednak nie stało. Zatrzymując się jedynie po to, by wykrzyknąć: „Nigdy już nie będziesz pracował w tym mieście!”, Lorcan wypadł na ulicę. Nic takiego dotąd mu się nie przydarzyło. Był tak zaszokowany, że nie potrafił się nawet porządnie rozzłościć.

Za reklamę masła płacili tysiące funtów. Tysiące. Poza tą stawką w grę wchodziły tantiemy. Joe Roth odebrał mu je. Joe Roth zwyczajnie ukradł mu te pieniądze. Lorcan poprzysiągł mu zemstę: — dupa Joe była dupą trupa — i to wyjątkowo wyrafinowaną.

Jak coś takiego mogło mu się przytrafić? Jak mógł do tego stopnia nie wyczuć sytuacji? Zgadza się, zachował się obrzydliwie, ale ludzie zawsze spełniali jego zachcianki. W 1992 roku w Irlandii nakręcił reklamę proszku do prania,

podczas której zmusił reżysera do sześćdziesięciu dziewięciu powtórek, zanim zdecydował się zagrać jak trzeba. Ani przez moment nie pojawiła się sugestia, żeby go zastąpić. Tego właśnie oczekiwali od gwiazdy. Wręcz go za to kochali!

Myślał, że cała ta megagwiazdorska maszyna raz jeszcze ruszyła, że teraz zaczął się kolejny etap jego kariery. Był tak pewien nastania lepszych czasów, że wrócił do gwiazdorskich zachowań w przewidywaniu gwiazdorstwa. Ale to nie był Dublin na początku lat dziewięćdziesiątych, to był Londyn u progu nowego millenium. Inny świat, o innych zasadach. Nikt nie ostrzegł Lorcana, aż zrobiło się za późno.

To, że odebrano mu prestiż i uznanie, zanim zdołał ich posmakować, było niewyobrażalne. To, że sam za to odpowiadał, było nie do zniesienia. Nie miał wyjścia, musiał iść do domu i nie odbierać telefonów od wściekłego agenta. Kiedy dotarł na miejsce, nie pozostało mu nic poza zmyciem makijażu i siedzeniem na futonie w oparach depresji. Długo, mroczne popołudnie duszy.

Miał trzydzieści osiem lat. Rzecz jasna, wyglądał o wiele młodziej, a oficjalnie miał tylko trzydzieści trzy, ale on znał przecież prawdę. Dobiegam czterdziestki, uświadomił sobie, i nie mam się czym popisać. Nieudane małżeństwo. Brak pieniędzy, brak przyjaciół, brak sławy poza Irlandią. Brak amerykańskiej i brytyjskiej chwały. Nawet brak przyzwyczajenia do łóżka. Przecież w moim wieku nie powinienem już sypiać na parszywym futonie, pomyślał.

Przede wszystkim nie miał pieniędzy. Nie mógł pozwolić sobie na zastanawianie się nad fortuną, która dzisiaj przeciekła mu przez palce. Zagubiony i przerażony gorączkowo szukał jakiegoś potwierdzenia, przypomnienia, że nadal jest ważny, jednak miał lukę w pamięci. Czas nie był już jego przyjacielem. Lorcan nie miał co robić, nie miał z kim się bawić. Nagle, znienacka, pomyślał o Amy i zaniepokojony uświadomił sobie, że nie dzwoniła do niego od — policzył — czterech dni. Cztery dni bez radosnej, poważnej albo pijanej wiadomości na sekretarce. Wcześniej nawet tego nie zauważał. Polował na grubszą zwierzynę. Myślał o karierze. Teraz jednak, gdy nie zostało mu nic innego, nagle wydało się to niesłychanie istotne.

Boże broń, żeby z niego zrezygnowała albo przestała go kochać. Wpadł w panikę.

Nadszedł czas, aby ją odzyskać.

I znowu podle ją traktować.

Spojrzał na zegarek. Gdyby teraz wyszedł, mógłby zjawić się w Hammersmith i powitać ją, gdy będzie wychodziła z pracy. Czując przyływ adrenaliny, zerknął na włosy — wciąż fantastyczne, dostaną jakiś ładny żel, jeśli nadal będą się tak dobrze zachowywać — i wypadł z mieszkania. W drodze do metra uśmiechnął się do obcej kobiety i ujrzał, jak zbladła. Może mu się tylko wydawało? Czyżby nie było tak jak kiedyś? Czy z coraz większym trudem wzbudzał emocje?

Minęło jedenaście dni, odkąd Amy nasłała policję na Lorcana. Jedenaście najdłuższych dni w jej życiu. Totalne piekło. Zupełnie oszalała, wiedziała, że jej życie dobiega końca. Lecz gdzieś w trakcie tych mąk pojawiła się nagroda pocieszenia — dziwna ulga. Lorcan wymagał najwyższych obrotów. Jego gierki zamieniły Amy w dziwną, wiedźmowatą wariatkę, a teraz przynajmniej odzyskała duszę.

Tak czy owak, musiała zmusić swoją siostrę Cindy, by do niej przyjechała i zamieszkała z nią na posadzie strażniczki telefonu.

— Obiecuj mi — błagała ją Amy — że nawet jeśli ci powiem, że noga mi odpadła i to nagły wypadek, nie, powtarzam, nie dopuszczaj mnie do telefonu!

Choć odbyło się kilka nocnych walk zapaśniczych, Cindy zdołała dotrzymać obietnicy.

Amy wychodziła z pracy, przygotowując się na kolejny wieczór niedzwonienia do Lorcana, kiedy ujrzała w holu coś, na widok czego się potknęła. Lorcana. Wielki i imponujący, opierał się łokciem o ścianę, z ręką nad głową i rozpiętą

marynarką, która ukazywała jego płaski brzuch oraz szeroką pierś. Amy poczuła przyływ radości, gdy sobie uświadomiła, że nie wszystko stracone.

Lorcan utrzymał tę pozę, licząc do pięciu, gdyż wyobrażał sobie, że skupia się na nim niewidzialna kamera. Następnie, kiedy jego twarz wypełniła nie istniejący ekran, oszołomił Amy śmiechem. Przejście do kamery numer dwa, ukazującej szczupłe plecy Amy i nagrywającej jej niepewny, zahipnotyzowany krok. Bez wątpienia nie mogła się oprzeć. Cięcie na oczy Lorcana, pełne miłości, wpatrzone w rozjaśnioną twarz Amy. Prawie czas na jego kwestię... ale, chwileczkę, chwileczkę, ostrzegł nie istniejący reżyser. Uwaga... teraz!

— Maleńka, tęskniłaś za mną? — spytał Lorcan z idealną dozą delikatnego rozbawienia.

Milczenie Amy, następnie jego czuły chichot. Teraz kamera się odsuwa, by pokazać, jak Lorcan ujmuje głowę dziewczyny w swoje ręce i przyciąga ją do siebie. Zbliżenie na twarz Amy, jej zamknięte oczy, nieobecny wyraz twarzy, gdy wdycha zapach jego zamszowej marynarki, czuła twardość jego uda manewrującego między jej nogami.

Następnie Lorcan się odsunął, by przejechać palcem po ustach Amy, powoli, niemal ze zdumieniem. Piękne, pomyślał. Piękne gesty. Raz jeszcze przytulił ją mocno, gdy w jego głowie rozległa się radosna, sentymentalna muzyka i pojawiły się napisy.

Biegąca do Fintana Tara była jednocześnie wzruszona i zazdrosna. Uznała, że to jedna z najbardziej wzruszających scen, jakie kiedykolwiek widziała. Ogromny, przystojny mężczyzna ściskający kruchą piękność w pozie pełnej bolesnej czułości.

Później wykrzyknęła do tłumu wokół łóżka Fintana:

— Zupełnie jak w filmie!

35

W piątkowe popołudnie Fintan miał poznać wyniki biopsji szpiku kostnego, rentgena klatki piersiowej i tomografii komputerowej. Do tego czasu Tara, Katherine, Sandro, Liv i rodzina O'Gradych byli skazani na życie w zawieszeniu, nie mogli myśleć. Dla nich świat trwał jedynie do piątkowego popołudnia. Po tym nic już nie miało być ważne.

Jakoś zdołali sobie wmówić, że rak węzłów chłonnych to nic poważnego. Że jeśli choroba nie pojawi się w klatce piersiowej, szpiku kostnym ani w organach wewnętrznych, Fintan będzie niemal zdrowy.

Całą energię skierowali na zabijanie czasu oczekiwania na wyniki. Niepokój i nadzieja bawiły się w przeciąganie liny, zakłócały im sen, apetyt, zdolność koncentracji, cierpliwość i umiejętność wyboru między kanapkami z serem a kanapkami z kurczakiem. Jednocześnie czytali, co się tylko dało, o chorobie Hodgkina i kupowali każdą książkę o medycynie alternatywnej, jaka wpadła im w ręce.

W godzinach odwiedzin pojawiało się tak wielu kolegów i przyjaciół Fintana, że w chwilach gorszego samopoczucia mawiał: „Przychodzą, żeby sprawdzić, czy mam AIDS”. Kiedy jednak stało się jasne, że nie ma AIDS, tłum rozbawionych gości wcale nie przestał się pojawiać. Krąg przyjaciół: Tara, Katherine, Liv, rodzina i chłopaki, przez cały czas pełnił dyżur u jego boku. JaneAnn i Sandro z godnością na zmianę trzymali Fintana za rękę.

W środę, pierwszy poranek O'Gradych w Londynie, Tara zawiozła ich i Katherine do szpitala, gdzie spotkali się z Sandrem i Liv.

— Dzień dobry — zaśpiewała Tara do Fintana, sztucznie ożywiona.

— Co w nim dobrego? — spytał ponuro, rozwalony na łóżku.

Zbiorowy dobry nastrój gwałtownie się pogorszył, wszyscy nerwowo skakali na palcach wokół Fintana, zadając standardowe pytania.

— Dobrze spałeś? — odezwała się z wahaniem Katherine.

— Śniadanie było smaczne? — chciała wiedzieć Tara.

— Masz ochotę na winogrono? — zaproponował Sandro.

— Co się dzieje z twoim chłopakiem tu, w łóżku? — spytał Milo.

— Nie spałem dobrze, kurwa, po śniadaniu rzygałem, możesz sobie wsadzić winogrona w dupę, a jeśli koniecznie chcesz wiedzieć, co się dzieje z moim chłopakiem, to może sam go spytasz? — odparł gorzko Fintan.

W odpowiedzi pojawiły się fałszywe uśmiechy i seria wymuszonych pytań: jak się dziś miewa Sandro, czy JaneAnn dobrze spała w obcym łóżku, czy przełożeni Tary i Katherine mają im za złe nieobecność w pracy, jak wcześniej wstają w domu Milo i Timothy, czy w Szwecji są krowy?

— No tak, zaczyna się — uskarżał się głośno Fintan, kiedy zobaczył pielęgniarkę zmierzającą ku niemu, by pobrać pierwszą próbkę krwi. — Jestem jak pieprzona poduszka na igły. Co chwilę ktoś przychodzi i wbija mi igłę.

Wystawił rękę do zastrzyku, a wszyscy obecni zamilkli na widok wewnętrznej strony jego przedramienia — czarnej, fioletowej, zielonej i żółtej barwy. Siniak na siniaku, i jeszcze trochę miejsca na nowe.

Tarze ścisnęło się serce. Chciała dzielić z nim ten ból, choć jednocześnie z namiętną, gwałtowną ulgą dziękowała Bogu, że to nie ona leży na szpitalnym łóżku w charakterze ludzkiej poduszki na igły. Zanim jeszcze ta myśl zrodziła się w jej głowie, zrobiło się jej niedobrze ze wstydu. Co się z nią działo?

— Sprawdzimy, czy uda się nam znaleźć żyłę w ciągu pierwszych dziesięciu wkłuć, dobrze? — spytał sarkastycznie Fintan.

— Zachowuj się! — syknęła JaneAnn. Niegrzecznie mógł się odzywać do niej, biednej, starzejącej się matki, która rodziła go przez osiemnaście godzin w czasach, gdy myśl o znieczuleniu nawet nie powstała w umysłach naukowców, ale ta pielęgniarka była obcą osobą. Co gorsza, była obcą Angielką.

— Bardzo dziś jesteśmy pogodni — zaświergotała pielęgniarka.

— Niech pani mówi za siebie.

— Martwi pana ból biodra?

— Nie. Martwi mnie wynik badania — odparł.

Tara wychyliła się i ścisnęła jego rękę. Nic dziwnego, że zachowywał się tak zgryźliwie.

Jego nastrój w trakcie wizyty był nieprzewidywalny i szybko się zmieniał. Mniej niż pół godziny po tym ponurym i niewdzięcznym powitaniu poprawił mu się humor, a co za tym szło

— pozostałym także. Atmosfera wokół łóżka zaczęła przypominać imprezę. W pewnej chwili ich rozmowy i śmiech stały się tak głośne, że pielęgniarka poprosiła o ciszę.

Co pewien czas któryś z gości uświadamiał sobie, jak nieodpowiednia jest jego wesołość. Następnie czuł się winny za brak smutku. A potem, o dziwo, bardzo szybko znowu pojawiała się radość. Lecz choć poszczególne osoby miały chwilę wytchnienia, strach nie opuścił całego towarzystwa. Katherine obserwowała przerażenie krążące między nimi niczym meksykańska fala. Podczas gdy wszyscy rozmawiali z ożywieniem, jedna osoba siedziała bez ruchu, ze zdumionym wyrazem twarzy. Po co tu jestem? Bo Fintan jest chory? Bo Fintan może umrzeć? Ależ to bzdura!

Wtedy spływała na nich nadzieja — wszystko będzie dobrze — a przerażenie przenosiło się na osobę obok.

O jedenastej Fintan włączył mały telewizor obok łóżka.

— Zaraz będą powtórki *Supermarket Sweep*. Mogę?

— Oczywiście — mruknęli, gotowi poprawić mu humor. Kilka minut później jednak, przez dziwne wydarzenia ostatniego tygodnia, czuli się, jakby siedzieli w salonie i oglądali telewizję.

Zwłaszcza JaneAnn bardzo się wciągnęła.

— Tam jest, tam jest! — wrzeszczała z zaciśniętymi pięściami, kiedy szczęśliwy gracz już trzeci raz przebiegał obok Lenora. — Ślepy jesteś? Patrz, tam jest. — Zerwała się na równe nogi i pacnęła telewizor, kiedy nagle przypomniała sobie, gdzie się znajduje, i z zawstydzoną miną usiadła. — Tam, skąd jestem, nie puszczają tego teleturnieju — mruknęła do pielęgniarki, która spoglądała na nią z ukosa.

Przed południem wszyscy poszli do pracy, Milo i Timothy wyszli na papierosa, a JaneAnn została sama ze śpiącym Fintanem. Wpatrywała się w niego, swojego najmłodszego syna, swoje dziecko, a łzy ściekały po jej pomarszczonych policzkach. Ścisnęła w dłoniach paciorki różańca, bezgłośnie szeptała modlitwy i zastanawiała się, z jakiego powodu Bóg uderzył w tego młodego człowieka w pełni sił witalnych.

Kiedy Milo i Timothy wrócili, usiłowali zjeść kanapkę z szynką z zapasów przyrządzonych o szóstej rano przez JaneAnn, ale nie mieli apetytu.

— Wyjdźmy się trochę przewietrzyć — zaproponował Milo. — Może jest tu gdzieś jakaś trawa.

Było jednak zimno i nie mogli znaleźć parku, więc chodzili po Fulham Road i bulwersowali sprzedawców w stylowych sklepikach, do których zaglądali.

— Patrzcie! — wykrzyknęła JaneAnn, podnosząc maleńkie, misternie zdobione emaliowane pudełko. — Piętnaście funtów za coś takiego.

— Obawiam się, że nie piętnaście, a tysiąc pięćset funtów — powiedziała z pogardą ekspedientka, zręcznie wyjmując pudełko z rąk JaneAnn.

Jej pogarda nie odniosła spodziewanego rezultatu: Milo, Timothy i JaneAnn wybuchnęli śmiechem.

— Tysiąc pięćset! Za takie maleństwo. Można by za to kupić pół hektara ziemi.

— To był dobry pomysł — stwierdziła JaneAnn, gdy z powrotem znaleźli się na ulicy. — Już mi lżej na sercu.

W następnym centrum jubilerskim drzwi były zamknięte. Mimo że dzwoniли i uśmiechali się przymilnie przez kraty, nikt im nie otworzył.

— Może sklep jest zamknięty — zauważył Timothy.

— Nie, ktoś tam jest — powiedziała JaneAnn, zastukała w szybę i pomachała do szykownej kobiety za złotym rokokowym biurkiem. — Halo! Chcielibyśmy wejść.

Yasmin Al-Shari z przerażeniem patrzyła na dwóch olbrzymich, rozczochranych mężczyzn i maleńką siwowłosą panią, usiłujących wdrzeć się do jej ślicznego sklepiku.

— Sio! — krzyknęła, bezsensownie wymachując ręką.

— Na zdrowie — automatycznie odpowiedzieli Milo, Timothy i ich matka.

Yasmin spojrzała na nich z pogardą, a wtedy Milo nagle dostrzegł siebie, brata i JaneAnn jej oczyma. Byli niepożądanymi gośćmi. Poczul się przygnębiony, niechciany. Nie pasowali do tego miasta, ale nie mogli stąd wyjechać.

— Chyba nas tu nie chcą. — Starał się, żeby zabrzmiało to pogodnie.

— Nas? — JaneAnn była zdumiona. Nie знаła nikogo równie godnego szacunku jak ona!

— Jesteśmy ekscentrycznymi milionerami! — krzyknął Milo i zrobił trąbkę z dłoni. — Obraziła nas pani, więc zabieramy swoje pieniądze. — Z wymuszonym, szerokim uśmiechem odwrócił się do pozostałych. — Idziemy. Chodźmy tam, popatrzmy sobie na kwiaty w kwaciarni i będziemy udawali, że jesteśmy w domu.

Yasmin Al-Shari z niepokojem obserwowała ich odejście. Starsza pani rzeczywiście wyglądała jak ta babcia z *The Beverly Hillbillies*. Czyżby właśnie straciła okazję stulecia?

— Możemy zabrać Fintana do domu? — JaneAnn powiedziała na głos to, o czym wszyscy myśleli. — Do Clare?

Późnym popołudniem, kiedy Tara i Katherine ponownie pojawiły się w szpitalu, Fintan znowu był w kłótniowym nastroju.

Tara desperacko zaczęła opowiadać o pogodzeniu się Amy z jej cudownie pięknym chłopakiem.

— To było piękne! — wykrzyknęła, niespokojnie obserwując, czy historia spodobała się Fintanowi. — Zupełnie jak w filmie.

Katherine i Liv wkroczyły z własnymi pogodnymi opowiastkami. Przechowywały w pamięci wszystko, co było choć odrobinę interesujące bądź zabawne, na wypadek zgorzknienia lub depresji Fintana. Rozjaśnił się jednak dopiero na widok Sandra wymachującego stosikiem wakacyjnych ulotek.

— Dłgie łowy — oznajmił Sandro. — Właśnie skończyłem. Czternaście nowych miejsc w Azji i na Karaibach.

Tego wieczoru, gdy wszyscy musieli wyjść ze szpitala, by zrobić miejsce batalionowi innych gości, nie mieli ochoty się rozstawać, więc razem pojechali do Katherine, gdzie zamówili pizzę i pocieszali się nieprzerwanie, że wszystko będzie dobrze.

— Jak dziś waszym zdaniem wyglądał? — spytała niespokojnie JaneAnn. — Bo wiecie, gdyby się udało i miał to tylko w węzłach, to wygraliśmy. Czytałam, że to się łatwo leczy, mnóstwo chorych zdrowieje. No to jak waszym zdaniem wyglądał?

— Na trochę zmęczonego — odparł Sandro.

— Na trochę zmęczonego? Tak, mnie też wydawał się zmęczony, ale wszyscy się męczymy. To nie świadczy o niczym strasznym. Czy to nie dobrze, że wciąż zasypia? Sen leczy.

— Zjadł lunch — dodał Timothy.

— Nic się nie stało, że nie chciał kolacji — stwierdził Milo.

— Każdy czasem ma taki dzień, że nie chce jeść kolacji — przytaknęła JaneAnn.

— Poza tym koło szóstej zjadł smartie — mężnie zauważyła Liv.

— Dwie sztuki — sprecyzował Sandro. — Niebieską i pomarańczową.

— Przez cały dzień był w doskonałej formie — powiedziała Tara.

— Oprócz tego momentu, kiedy się zezłościł i kazał nam sobie iść, używając słowa na „s”. — JaneAnn wyglądała na przygnębioną.

— I był zły na pracownicę socjalną — oznajmił Timothy.

— Nic dziwnego. Zadawała mu bardzo wścibskie pytania, a dopiero co go poznała. Jak się czuje? Czy jest zły? Czy się boi? Gdyby on jej nie wyrzucił, ja bym to zrobił.

Timothy nigdy dotąd nie przemawiał tak długo.

— To dobrze, że Fintan jest porywczy — stwierdził Milo.

— Nie martwilibycie się, gdyby przez cały czas był słodki jak miód? To by nie było normalne.

— Może inni goście poprawią mu humor. — JaneAnn była wzruszona do łez, kiedy Frederick, Geraint, Javier, Butch, Harry, Didier, Neville i Geoff pojawiali się, jeden po drugim, około siódmej, przynosząc ze sobą dwa kilogramy winogron, trzy książki, dwanaście czasopism, dwa lizaki Barbie, dwie torebki hula hoops, cztery małe ciastka brzoskwińowe z Maison Bertaux, pięć litrów wody mineralnej, butelkę napoju z Marksa i Spencera i jedno jajko z niespodzianką. — To cudownie, że przychodzi tylu gości. Nie każdy ma tyle szczęścia, żeby ośmiu młodych ludzi siedziało wokół jego łóżka — oznajmiła z dumą. — I wszyscy tak dobrze ubrani.

— Bardzo dobrze ubrani — zgodził się Milo.

— Za to strasznie hałaśliwi — westchnęła JaneAnn. — Głowa mi pękała. Nie macie wrażenia, że ten guz jakby się zmniejszył?

— Teraz jak pani o tym wspomniała, to faktycznie — skłamała Tara.

— Na pewno nie wyglądał na umierającego, prawda? — spytała JaneAnn jowialnie.

— Na umierającego? Skąd — rozległy się zewsząd oburzone okrzyki. — Czy umierający miałby tak zły humor? Wszystko w Fintanie — dobre, złe i obojętne — zamieniali w coś pozytywnego, żeby potwierdzić własne, niczym nie uzasadnione podejrzenia, że Fintan zdrowieje.

JaneAnn jednak nie wytrzymała. W trakcie tego seansu pozytywnego myślenia zalała się łzami i wykrztusiła:

— Szkoda, że to nie ja zamiast niego. Leży tam w łóżku, chory i słaby. Jest na to za młody. To ja jedną nogą jestem już w grobie, a drugą stoję na skórce od banana. Wiecie co? — prychnęła ze złością. — To moja wina. Nigdy nie powinnam była pozwolić mu na wyjazd do Anglii. Czterej pozostali siedzieli w domu i żaden nie zachorował na raka.

Wszyscy zaczęli ją pocieszać, a w tym samym czasie pojawiły się pizze. Kiedy JaneAnn odkryła, że serwuje się je bez ziemniaków i sałatki, przygębowała się jeszcze bardziej.

— Spiesz się wam gdzie? — spytała. — To nie jest żadna kolacja. Nic dziwnego, że Fintan się pochorował, skoro tylko tyle jadał wieczorami. Kuchnia matki by temu zapobiegła.

Później JaneAnn zwróciła się rzeczowo do Katherine i Tary:

— Dziewczęta, musimy porozmawiać. Obie macie ważną pracę i nie chcę, żebyście ją straciły, bo cały czas się nami zajmujecie. Nie musicie nas wszędzie wozić, możemy pojechać metrem.

Tara i Katherine zaczęły entuzjastycznie protestować. Tym energiczniej, że Timothy oznajmił:

— Te windy w szpitalu są świetne, nie?

— Hm, tak — odparła z wahaniem Katherine.

— Do wczoraj nigdy nie jeździłem windą — wyjaśnił.

— Ani ja — dodała JaneAnn. — Fajna zabawa, nie?

— Można by tak jeździć przez cały dzień — zgodził się Milo. — Zupełnie jak na jarmarku w Kilkee.

— Nie możemy ich puścić samopas do londyńskiego metra — syknęła cicho Katherine do Tary. — Nie bez wcześniejszych lekcji. Będą biegać po ruchomych schodach i psuć automaty z biletami, nie zachowają odstępu, utkwia w drzwiach i nie wiem co jeszcze. Już to widzę! Pewnie trafią do gazet.

36

Ktoś spał z Angie.

W ciągu tygodnia Katherine rzadko bywała w biurze — wbiegała tam tylko między wizytami w szpitalu, żeby popracować przez kilka godzin, ale i tak myślami przebywała w innym miejscu — więc później niż zwykle zorientowała się, że po biurze krąży nowa ksywa. Gillette.

Mimo okropnych rzeczy, które działy się z Fintanem, Katherine ze zdumieniem odkryła, że nadal czuje coś do Joe Rotha. Gdy wpadała do pracy w tygodniu, była bardzo wyczulona w jego towarzystwie i z uwagą szukała jakichkolwiek oznak seksualnej chemii pomiędzy nim i Angie. Bardzo się tego wstydziła, ale nie aż tak, by przestać. Z napięciem przysłuchiwała się męskim rozmowom na temat tego, kim jest Gillette, a kiedy ziścił się jej koszmar i stało się jasne, że mówią o Angie, poczuła tępy, silny ucisk w żołądku, jakby zjadła surowy chleb.

Gillette? Dlaczego Gillette? Jakie wyszukane seksualne sztuczki znała Angie, że nazwano ją na cześć maszynki do golenia? Wyobraźnia Katherine szalała. Przypomniała sobie historyjkę zasłyszaną od kogoś, kto widział striptiz w Tajlandii i rzekomo był świadkiem, jak dziewczęta wyciągały sznur żyłek ze swoich pochw. Czy Angie tak potrafiła? Gdzie się tego nauczyła? Czy Joe to polubił? Katherine była kłębką emocji: zazdrości, niepokoju, ale przede wszystkim nienawiści do samej siebie za bycie taką nudziarą w łóżku. Nie wiedziała, co robić z żyłkami, bałaby się pokale-

czyć. I, szczerze mówiąc, wcale nie uważała tego za seksowne. Co złego jest w podwiązkach, skąpych figach i ewentualnym krępowaniu kończyn?

Może nazywali Angie Gillette, bo goliła sobie włosy łonowe. Może. Katherine zaczęła się zastanawiać, czy Angie robi to z własnej inicjatywy. Może Joe ją o to poprosił? Czy pomógł jej przy tym? Czy Joe ją związał i nalegał, że to zrobi? Zazdrosna i dziwnie podniecona tą perspektywą, Katherine nie zauważyła, że wśród żądań zwrotu kosztów podzuconych jej przez Darrena znalazły się trzy kopie tego samego rachunku z restauracji.

Podszuchując, nagle uświadomiła sobie, że od dziesięciu minut nie pomyślała o Fintanie, i poczuła się zaszokowana oraz zawstydzona. Jak w takim momencie mogła się przejmować Joe Rothem i Angie? Co z niej za przyjaciółka?

Nic jednak nie potrafiła na to poradzić. Na wzmiankę o Gillette jeszcze bardziej nadstawiła uszu. Przestała stukać w kalkulator i zdążyła jeszcze usłyszeć, jak Myles śpiewa:

— Gillette — najlepsze dla męż-czyz-ny!

Aaaa. Katherine nagle zrozumiała. Gillette nie miała nic wspólnego z goleniem włosów przez Angie ani z wyskakującymi z pochwy żyłkami. Nazwano ją tak, gdyż — wedle słów z reklamy — była najlepsza dla mężczyzny. W przeciwieństwie do zwykłych ksywek wymyślanych przez kolegów Katherine, Gillette było miłym imieniem, komplemtem. Zazdrość Katherine jeszcze się nasiliła. Angie była najlepsza dla mężczyzny. Który mężczyzna ją dostał? Nie miała żadnego dowodu, że Joe. Mimo wnikliwego dochodzenia Katherine nie znalazła żadnej wskazówki, że coś zaszło między Angie i Joe. Ani razu nie nazwał Angie Gillette. Nie był to jednak powód, żeby przestać się martwić. Katherine zawsze spodziewała się najgorszego, starała się wyjść naprzeciw rozczarowaniu. Wolałaby umrzeć, niż dać się zaskoczyć.

Kiedy w czwartkowy poranek Katherine poszła do pracy, wyglądała, jakby spędziła noc w ubraniu. Miała za sobą kilka ciężkich dni. Podczas oczekiwania na wyniki biopsji brakowało jej energii i koncentracji, z jaką zazwyczaj podchodziła do kwestii swojego wyglądu. Choć rodzina O'Gradych wprowadziła się do niej dopiero we wtorek wieczorem, Katherine już zaczynała czuć się tak, jakby mieszkali z nią od zawsze. Bracia przyzwyczaili się do wstawania z kurami, w związku z czym o wpół do szóstej budziły ją dźwięki telewizora. Kiedy nadchodził czas na prasowanie, okazywało się, że dostęp do deski blokują Milo i Timothy, którzy smażą sobie bekon w kuchni.

Zgubiła też swoje czarne buty do pracy. Zniknęły w strefie mroku utworzonej przez dodatkowe osoby i sprzęty w mieszkaniu, więc musiała chodzić do pracy w szarym kostiumie i brązowym obuwiu. Mimo zmęczenia była potwornie zażenowana.

Kiedy otworzyła drzwi biura, uderzyła ją atmosfera napięcia i zmęczenia. W powietrzu fruwał popiół z papierosów, kubki po kawie i torby z jedzeniem na wynos zaśmiecały obszar „kreatywnych”, cztery czy pięć osób z zespołu Joe pochylało się nad projektem graficznym filmu reklamowego. Wszyscy byli potargani, szarzy — chyba nie spali.

— Wyglądacie, jakbyście siedzieli tu przez całą noc — powiedziała ze zdumieniem. Zazwyczaj nie pozwalała sobie na takie komentarze, ale jej mechanizmy obronne zawodziły i zwyczajowe zachowanie poszło w odstawkę.

— Bo siedzieliśmy — odparł ze znużeniem Darren. — Dziś rano mamy prezentację wieloorzechowego muesli. Skurwiele nawet nie pisnęli, że dodali chrupki czekoladowe. Musieliśmy wszystko zmienić.

Katherine nie mogła przestać wpatrywać się w Joe. Teraz, kiedy już do niej nie podchodził, ciągle była świadoma jego obecności. Nie ogolił się i wyglądał na zirytowanego. Przez jedną chwilę patrzył na nią chłodno, następnie wstał i się przeciągnął. Katherine widziała, jak koszula wyszła mu ze spodni, i przez krótką, zatykającą dech w piersiach chwilę dostrzegła perłową skórę jego płaskiego brzucha i linię włosów biegnącą od pępka. Następnie Joe opuścił ręce i piękny widok zniknął. Katherine była zawiedziona.

— Idę pod prysznic — oznajmił i wyszedł z biura.

Prysznic znajdował się w męskiej łazience, rzekomo na takie właśnie okazje jak ta, chociaż biurowa plotka głosiła, że tak naprawdę uparł się na niego główny szef „Mów mi Johnny” Denning, żeby zmywać z siebie ślady po seksie z pracownikami, zanim wróci do domu, do żony.

Katherine usiadła i usiłowała sporządzić dla Bredy listę spraw do załatwienia. Od czasu, kiedy w poniedziałek zadzwoniła do niej Tara z tą straszną wiadomością, nie mogła się jednak skoncentrować na pracy. Tym razem jednak zamiast dręczyć się Fintanem, Katherine zajęła się czymś innym: wyobrażała sobie, co by się stało, gdyby... gdyby... poszła za Joe pod prysznic. Para, śliskość mydła, gdy ocierałaby się o jego uda, brzuch, lędźwia. Jego penis, dźwigający się sztywno, ciężko. Dotyk jego wielkich dłoni na jej talii, jej pośladkach, dotyk dłoni namydających ją, nawilżających ją między... Chryste Panie! Z drżeniem wypuściła z płuc powietrze i nakazała sobie przestać. Praca. Przyszła tu pracować.

Uderzyła ją straszna myśl. Gdzie, do cholery, była Angie?! Bez tchu rozejrzała się po biurze i ku swojej uldze ujrzała ją przy biurku. I dobrze. Skoro ona nie mogła brać prysznica z Joe Rothem, to prędzej szlag by ją trafił, niż pozwoliłaby na to Angie Hiller.

Joe powrócił do biura w chmurze ostrej świeżości. Jego ciemne włosy były mokre i zaczesane do tyłu, włożył na siebie garnitur. Krawat jednak zwisał luźno na jego szyi, a guziki koszuli były rozpięte. Katherine zapatrzyła się na włosy na jego piersi. Była zaszokowana i bardzo poruszona niestosownością takiego nagiego seksapilu w miejscu tak nieodpowiednim jak biuro. Zaniepokojona intensywnością swojej reakcji.

Nie mogła oderwać od niego wzroku, gdy zapinał koszulę, a następnie złapał za oba końce krawata.

— Muszę mieć lusterko — uświadomił sobie nagle i kiedy wracał do łazienki, przy jego biurku pojawiła się Angie z niewielkim lusterkiem.

— Masz. Potrzymam ci — zaproponowała.

Przez moment Joe wydawał się zmieszany, ale po chwili się uśmiechnął.

— Dziękuję. — Zaczął wiązać krawat, tworząc misterny węzeł i z wielką uwagą wpatrując się w lusterko.

Wilgotny strach oblepił ciało Katherine. Jak na jej gust, Angie trzymała lusterko o wiele zbyt poufale. Osłabiona pożądaniem Katherine obserwowała, jak Joe wpatruje się w swoje odbicie z lewa i prawa, z góry i z dołu, wiążąc wielki i gruby węzeł. Dlaczego tak ją to podniecało? Czy to jego skupienie, kiedy próbował zrobić to jak należy? Bo to była taka męska czynność? Dalekie echo masturbacji?

Joe przesunął węzeł po węższym końcu krawata, dociskając go pod szyją. Katherine raz jeszcze poczuła przypływ pożądania. Potem poprawił go pod grdyką, jego wielka dłoń wygładziła materiał, a usta Katherine zaschły. Wyglądał świetnie. Kołnierzyk jego koszuli wydawał się śnieżnobiały na tle ogolonej szczęki, węzeł krawata był symetryczny i gładki.

— Dzięki — uśmiechnął się do Angie.

— Nie ma za co. — Odwzajemniła jego uśmiech i zabrała lusterko. Głupkowato uśmiechnięta nadal kręciła się obok biurka Joe. Katherine poczuła metaliczny smak w ustach. Nie wątpiła w intymny charakter związku między tą parą. Joe Roth musiał być tym tajemniczym mężczyzną, panem Gillette. Katherine czuła się okropnie. Ale kogo miała winić? Tylko siebie. Wszystko schrzaniła. Mogła go mieć, lecz odrzuciła tę szansę.

Następnie pomyślała o Fintanie na szpitalnym łóżku, o Fintanie niepewnym, czy umrze, czy będzie żył, i czekała, aż powrócą właściwie proporcje. Ku jej okropnemu zawstydzeniu, tak się nie stało. Joe i Angie nadal wydawali się ważni.

Czwartek wyglądał mniej więcej podobnie jak środa. Tara spędziła rano w szpitalu, a Katherine miała popołudniową zmianę.

Kiedy Tara i rodzina O'Gradych pojawili się o dziewiątej rano, Sandro był już na miejscu. Pochylał się nad Fintanem i rozmawiali o czymś poufale. Wydawali się tacy sobie bliscy, że wszyscy poczuli się niezręcznie.

— Przepraszamy, że przerywamy — powiedziała JaneAnn, zastanawiając się, dlaczego nie jest zazdrosna.

— Nic się nie stało — uśmiechnął się Sandro. — Jestem tu od wielu godzin.

— Nie mógł spać — wyjaśnił Fintan.

— Łóżko bez niego jest za duże — stwierdził Sandro, lecz po chwili na jego twarzy pojawiło się przerażenie.

Czyżby obraził JaneAnn?

Chociaż była lekko zaszokowana, nie potrafiła znaleźć w sercu niechęci do niego. Do żadnego z nich. Jakoś nie wydawało się to ważne, niezależnie od poglądów Kościoła na tę kwestię.

Następnie pojawiła się Liv, która posiedziała tylko przez chwilę, gdyż musiała jechać do pracy w Hampshire.

— Przegapisz *Supermarket Sweep* — drażnił się z nią Milo.

— Obejrzyj za mnie, a potem mi opowiesz, co było — uśmiechnęła się nieśmiało.

Supermarket Sweep stał się żelaznym punktem programu rankami, a *Jeden z dziesięciu* popołudniami. Pół godziny, dwukrotnie w ciągu dnia, na które czas się zatrzymywał, a ich jednoczyło coś innego niż podszyte strachem przerażenie.

— Normalizujemy anormalne — wyjaśniła Liv, ekspertka od behawioryzmu. — To technika przetrwania.

— A nie dlatego, że lubię Dale'a Wintona*?

— Nie bądź głupi! — ofuknęła go Liv. — Tak odreagowujesz straszliwą traumę.

* Dale Winton — prezenter telewizyjny.

W przeciwieństwie do poprzedniego dnia dziś Fintan leżał w apatycznym letargu.

Nagle jego oschły język wydał się czymś wielce pożądanym. Fintan jednak poruszył się dopiero na widok pielęgniarki — automatycznie zaczął podciągać rękaw. Już przyzwyczyił się do obcego świata chorych ludzi, pomyślała Tara, przejęta olbrzymią przepaścią między nimi, którzy zawsze byli sobie tak bliscy. Nie mogła dzielić tego, przez co przechodził, ani być częścią związku, jaki stworzył ze swoją pielęgniarką. Teraz należał do innych.

O wpół do drugiej, gdy Katherine siedziała przy biurku, zupełnie nie mogąc się zdecydować, czy zjeść na lunch kanapkę z serem czy z kurczakiem, zadzwonił jej telefon, przerywając martwą ciszę. Ser! Ser, rzecz jasna. Ser, bez wątplenia. No, chyba że kurczak.

Dzwonił Desmond, portier, twierdząc, że w recepcji czeka na nią „dżentelmen”. Z tonu, którym wypowiedział to słowo, Katherine wywnioskowała, że raczej nie powinna się spodziewać dżentelmena. Zdumiona zjechała na dół i natknęła się na Mila, uśmiechniętego szeroko i z przewodnikiem po Londynie w kieszeni.

— Jak się tu dostałeś? — spytała ze zdziwieniem.

— Linią Piccadilly do Piccadilly Circus — odparł, a słowa te, wypowiedziane jego miękkim akcentem z Clare, zabrzmiały dość dziwnie. — Potem linią Bakerloo do Oxford Circus. Fintan śpi, matka nieustannie się modli, Timothy czyta, więc pomyślałem, że zafunduję sobie przygodę.

— Znasz tego człowieka? — spytał Desmond, patrząc z niesmakiem na szaloną fryzurę Mila, jego zniszczone ogrodniczki i wielkie buciory.

— Tak, Desmond, dziękuję bardzo.

Kiedy Desmond z niedowierzaniem kiwał głową, z miną pod tytułem: „Cicha woda brzegi rwie”, Katherine odwróciła się do Mila.

— I wcale się nie zgubiłeś. Świetnie.

— Zgubiłem się. Pojechałem w złą stronę z South Kensington, ale wysiadłem na Earl's Court i poprosiłem jedną panią o wskazówki.

— Pomogła ci? — westchnęła z ulgą Katherine.

— Nie, nie pomogła. Powiedziała... Czekaj, muszę się upewnić, że dobrze pamiętam. Powiedziała: „Czy wyglądam na pieprzoną gadającą mapę?”

— Och, Milo. — Katherine czule dotknęła jego ramienia i ledwie zauważyła, że Joe Roth i Bruce mijają recepcję. — Tak mi przykro.

— Ale nie ma powodu! — stwierdził Milo. — Uznałem, że to okropnie zabawne. Powoli się przyzwyczajam do tego Londynu. Ludzie tu mówią, co myślą. To dla mnie coś nowego. Czy wyglądam na pieprzoną gadającą mapę? — zachichotał do siebie. — Gadająca mapa? Jak ci się to podoba? W życiu czegoś takiego nie słyszałem. No dobrze, jadę do Hammersmith odwiedzić Tarę. Linia Piccadilly albo District. Eee, odwiedziłbym Liv, gdybym wiedział, gdzie pracuje.

Katherine spojrzała na niego z pobłażliwym rozbawieniem.

— Jest w Hampshire — wyjaśniła.

— Która to linia?

JaneAnn przez cały czas się modliła. Ciągle miała w dłoniach różaniec i nieustannie odwiedzała kaplicę szpitalną, często w towarzystwie Sandra. Próbując wkupić się w jej łaski, opowiadał rozmaite kłamstwa o swoich doświadczeniach religijnych i wizytach w katolickich świątyniach. Kiedy jednak zrobił wyraźną aluzję do tego, że miewa wizje, zrozumiał, że posunął się nieco za daleko.

— Dziecko! — jęknęła JaneAnn i chwyciła go za kołnierzyk. — Musisz opowiedzieć o tym swojemu proboszczowi. To twój obowiązek. Nie możesz tego trzymać dla siebie.

Sandro zaczął się pośpiesznie wycofywać i wyjaśniać JaneAnn, że wizje miał po spożyciu zbyt dużej ilości alkoholu. Była tak rozczarowana, że aby jej to wynagrodzić, spędzał z nią więcej czasu w kaplicy.

— Tyle się modlicie za Fintana, że na pewno mamy szansę — stwierdziła Katherine.

— Wcale nie — prychnęła JaneAnn. — Nie sądzę, żeby nasze modlitwy były równie skuteczne jak zwykle, gdyż kaplica w szpitalu jest dla wszystkich wyznań.

— Czyż nie ma jednego Boga? — Tara popełniła błąd, zadając to pytanie.

JaneAnn rzuciła jej pełne niesmaku spojrzenie i mruknęła:

— Poczytaj sobie katechizm, dziecko. Wytłumacz jej, Sandro.

W piątkowy ranek, kiedy wyszli z mieszkania Katherine, JaneAnn wytoczyła najcięższą artylerię.

— Nie mogę się doczekać niedzieli — stwierdziła. — Dobrej mszy. Może nawet dwóch.

Katherine i Tara wymieniły przerażone spojrzenia. Msza? Żadna z nich nie wiedziała, gdzie się znajduje parafia Katherine. Po raz pierwszy od wielu dni zaczęły się martwić czymś poza wynikami biopsji. Jak najszybciej wyszły porozmawiać przed salę Fintana.

— Dlaczego jej po prostu nie powiedzić, że nie wiem? — zasugerowała Katherine.

— Nie. — Tara była niezłomna. — Szok mógłby ją zabić. Teraz potrzebuje stałych punktów oparcia w życiu. Jeśli się dowie, że nie jesteś pobożną katoliczką, to będzie dla niej zbyt dużo.

Korytarzem nadciągnęła Liv z rozwianym włosom. Popatrzyła na niespokojne dziewczyny i zawahała się.

— Pojawiły się rezultaty biopsji?

— Nie, nie jest aż tak źle. Ale jest źle. JaneAnn musi mieć kościół katolicki na niedzielną mszę. Liv wyglądała na zdumioną.

— A co złego w kościele Świętego Dominika? Na Maiden Road, bardzo blisko Katherine?

Tara i Katherine zgłupiały. Skąd Liv to wiedziała?

— Ty dziwaczko — westchnęła Tara. — Zaraz mi powiesz, że czasem tam chodzisz.

— Bo chodzę.

— Przecież nie jesteś katoliczką.

— No i co z tego? W poszukiwaniu szczęścia chodzę też do synagog, meczetów, kwaków, świątyń hinduistycznych, biur samarytan, na kozetki psychoanalityków i do Harveya Nicholasa. Zawsze przyjmują mnie z otwartymi ramionami. Z wyjątkiem Harveya Nicholasa — dodała.

— Nie znasz przypadkiem jakichś księży? — zaryzykowała Katherine.

— Pewnie, że znam. Ojca Gilligana. Pozdrówcie go ode mnie. Muszę iść do ubikacji. Do zobaczenia za chwilę.

Kiedy Liv wróciła, wszystkie krzesła wokół łóżka były zajęte. Milo wstał.

— Usiądź na moim miejscu — zaproponował.

— Nie, nie mogłabym.

Kiedy Milo nalegał, JaneAnn zasugerowała:

— No to usiądź mu na kolanach.

Liv zrobiła się purpurowa z zakłopotania.

— Jestem za duża — bąknęła.

Milo wydawał się tym wszystkim rozbawiony.

— Ja też jestem duży. Masz tu mnóstwo miejsca. — Poklepał kolano w ogrodniczkach.

— Naprawdę nie mogę.

— Siadaj — nakazał jej zmęczonym głosem Fintan.

— Siadaj — przyłączyły się Tara i Katherine. — Siadaj, Liv, siadaj.

I tak, z rozpaloną twarzą, Liv ostrożnie usadowiła się na kolanach Mila, a pozostali zaczęli się trącać łokciami. Później JaneAnn miała podobno powiedzieć:

— Kiedy Bóg zamyka jedne drzwi, otwiera inne. Przekonam się, czy z tej wizyty wyniknie coś dobrego, choćby to miała być ostatnia rzecz, jaką zobaczę.

Nawet najzagorzalsi ateści wśród nich — a było paru pretendentów do tego tytułu — modlili się w piątek, a więc w dzień, w którym mieli poznać wyniki.

Spodziewano się ich około czwartej po południu. Od drugiej wszyscy wpatrywali się w drzwi. Kiedy wchodziła jakaś osoba w białym fartuchu, dawało się zauważyć nieznaczące, lecz zauważalne podskoki. Rozmowa się nie kleiła.

W końcu, za dziesięć czwarta, kiedy ich cierpliwość była już na wyczerpaniu, doktor Singh podszedł do łóżka Fintana. Wzdrygnął się lekko na widok tłumu o pobladłych twarzach.

— Mógłbym zamienić słowo z pacjentem? — spytał.

— Chcę, żeby zostali — uparł się Fintan. Doktor Singh przytaknął.

— Obawiam się, że mam złe wieści — powiedział.

Serce Katherine ścisnęło się w piersi. Nie mogła patrzeć na innych.

— Dziś nie będzie wyników. W laboratorium mieli zbyt dużo roboty — ciągnął doktor Singh. — Będzie pan musiał poczekać do poniedziałku.

38

— Zakład, że szuka nowej pracy — stwierdził Bruce.

— Nie, stary — sprzeciwił się Myles. — Pewnie jest chora.

— Nie wygląda na chorą — zauważył Bruce.

— Na szczególnie zdrową też nie — prychnął Jason.

Trwały gorączkowe spekulacje na temat nieobecności Katherine w pracy, gdyż przez trzy lata pracy w Breen Helmsford nigdy nie wzięła ani jednego dnia zwolnienia. Darren podobno widział, jak w poniedziałkowy poranek płakała w słuchawkę telefonu, ale zlekceważono tę informację ze względu na jej nieprawdopodobieństwo. Poza tym nie pierwszy raz Darren opowiadałby niewydarzone brednie.

Następnie Fred Franklin napomknął, że we wtorkowy poranek powiedziała „Mów mi Johnny'emu”, że weźmie wolne ze względu na „sprawę osobistą”. Kiedy ta informacja dotarła do wszystkich, zapanowało wielkie poruszenie.

— Co? Sprawa osobista? Dajcie spokój — wybuchnął śmiechem Myles. — Ta dziewczyna to automat.

— Może zepsuła się jej zmywarka do naczyń — zasugerował Bruce. — Dla Królowej Śniegu zapewne byłaby to tragedia.

Podczas piątkowej przerwy na lunch we Frog and Fawn zespół Joe omawiał rozmaite możliwości.

— Może wychodzi za mąż — teoretyzował Bruce. — Dziewczyny potrzebują kupy czasu, żeby to zorganizować.

— Może powiększyła sobie biust — dodał z nadzieją Jason. — Po tym trzeba dużo odpoczywać.

— Może się rozwodzi — powiedział Myles. — Wydaje się trochę zmęczona, jakby źle jej się układało w życiu.

— Właśnie — przytaknął Bruce. — Zazwyczaj wygląda jak mieszkanka cholernej pralni, a w tym tygodniu miała koszmarnie pogniecione ciuchy.

— Ciężko się prasuje z nowymi cyckami — przypomniał im Jason. — Przez pewien czas swędzą.

— Chyba nie za dużo sypia — zauważył Bruce.

— Dlatego, że musi spać na plecach, dopóki się jej nowe cycki nie wygoją — dodał Jason.

— O co ci chodzi? — Myles spojrzał na niego z irytacją. — Czy ma większe cycki? Ma?

— Chyba nie — przyznał ponuro Jason.

— Jak myślisz, co jej jest? — Myles zwrócił się do Joe, który cały czas milczał ponuro.

Joe wzruszył ramionami.

— Nie mam pojęcia — odparł lakonicznie.

Myles wymienił z Bruce'em i Jasonem spojrzenie: „Co się z nim dzieje, do cholery?” Joe Roth nie był w zwyczajowym radosnym nastroju.

— Podczas wczorajszej przerwy na lunch ja i Joe widzieliśmy ją z facetem — zaskoczył wszystkich Bruce. — Z jakimś alfonsiastym gwiazdorem pop.

— Co? Opowiadaj. — Myles i Jason bardzo się przejęli. — To wszystko zmienia. Kto to?

— Nie znam jego nazwiska — przyznał Bruce. — Ale to chyba jeden z Dexy's Midnight Runners. Wielki facet, w kretyńskich ogrodniczkach, oczywiście markowych. Wyglądał, jakby go przeciągnęli przez żywopłat.

— To na pewno muzyk — przytaknął Myles. — Gdzie się podziały czasy, kiedy nasi piosenkarze dbali o wygląd?

— Właśnie. Tak czy owak, Królowa Śniegu i Dexy wyglądali na bardzo zaprzyjaźnionych — powiedział Bruce. — Co pasuje do mojej teorii, że ona wychodzi za mąż.

— Jezu! — Myles był zdumiony. — To może być prawda. Co za brak gustu. — Zerknął nerwowo na Joe.

Do Frog and Fawn wpadł Darren, z podnieceniem machając jakimś papierkiem.

— Spójrzcie na to — zażądał. — Królowa Śniegu zwróciła mi koszty.

— No i co z tego? To jej praca.

— Ale włożyłem tu trzy kopie rachunku z Oxo Tower. Dwa z nich to nędzne ksero, dołożyłem je, żeby ją wkurzyć. A ona zatwierdziła całość.

— Ty kłamco — ofuknął go Myles. — I pewnie płakała, kiedy to robiła, tak?

— Na życie Alana Shearera, płakała w poniedziałek rano i zatwierdziła ksero. — Darren był urażony. — Przyznaję, że nie miałem *menage a trois* z Martini i Florą, ale tym razem mówię prawdę.

— Ale jej nie da się oszukać — powiedział Jason.

— Też tak myślałem — przyznał Darren. — Ale, daję słowo, źle z nią. Patrzcie tylko.

Przed oczy niewiernych Tomaszów trafił dowód. Był niezaprzeczalny.

— Może przeżywa załamanie nerwowe — stwierdził ze zdumieniem Myles.

— To przez silikon — wywnioskował Jason. — Mózg jej mięknie jak nowe piersi. Mniem, kociak idealny!

— Cholernie dobra wiadomość dla nas! — zauważył Bruce.

Wszyscy natychmiast przystąpili do przeglądania portfeli w poszukiwaniu rachunków, którymi dałoby się oszukać Katherine. Wszyscy z wyjątkiem Joe.

39

— Jak to: nie możesz?! — zawył Thomas do Tary.

— Po prostu nie mogę — wyjaśniła. — Trzeba się nimi zająć, a nie można obarczać Katherine całą odpowiedzialnością.

— Mieli cię przez cały tydzień. Jest sobotni wieczór, wychodzisz ze mną, Eddiem i jego nową laską i kończymy ten temat.

— Thomas, nie mogę zostawić O'Gradych.

— A ja? — Thomas wysunął dolną wargę w grymasie niczym nadąsany chłopczyk. — Kiedy ja mam cię widywać?

Tara się zawahała. Ostatnio układało im się tak kiepsko, że nalegania Thomasa sprawiły jej przyjemność.

— Naprawdę czuję, że moim obowiązkiem jest opieka nad rodziną O'Gradych — spróbowała raz jeszcze. Kiedy jednak twarz Thomasa spochmurniała od gniewu, Tara poddała się. — No dobrze. Ale wstydź się za siebie — narzekła pobłaźliwie.

Podszedł do niej pewnym krokiem i uśmiechnął się z dumą.

— Jestem, jaki jestem. Bierz mnie albo odejdz. — Znowu był bardzo pewny siebie. Choć nie potrafiła tego wytłumaczyć, uznała jego zachowanie za wyjątkowo seksowne.

Thomas wybrał strój dla Tary, mając nadzieję, że nie przegra w konkurencji z Eddiem i jego nową seksowną dziewczyną.

— Włóż krótką czarną spódnicę, tak, tę krótką, buty na najwyższym obcasie i tę bluzkę w serek — rozkazał. — I wciągaj brzuch.

Szczególnie starannie zajęła się włosami, makijażem i dodatkami, ale nawet wiadro niebieskiej maskary do włosów nie odwróciłoby uwagi Thomasa od rozmiarów Tary. Kiedy zawiedziony obserwował skończone dzieło, narzekał:

— Utyłaś od ostatniego weekendu. Tak to jest, kiedy się nie chodzi na siłownię. — Przez cały tydzień nie ćwiczyła, bo bez przerwy tkwiła w szpitalu. — Założę się, że nie przestrzegałaś diety.

Miał rację. Wokół łóżka Fintana było zbyt dużo jedzenia, a jej brakowało silnej woli. Wszyscy przynosili mu czekoladki, bułeczki, chipsy, prażoną kukurydzę, słodycze i winogrona, jakby tucząc go, mogli odpędzić chorobę. Jane-Ann bardziej wierzyła w codzienną dawkę kanapek z szynką niż w codzienną dawkę lekarstw. Fintan jednak ledwo zerkał na otaczające go pyszności, inni też raczej nie mieli apetytu. Tylko Tara nie mogła przestać się opychać. Niespokojnie, nieustannie jej ręka wędrowała do ust, usiłując wypełnić dziurę wypaloną przez destrukcyjny niepokój.

Sądziła jednak, że Thomas jej odpuści, że udzieli jej specjalnej dyspensy od diety, dopóki życie nie powróci do normalności. Grubo — bo niby jak? — się jednak myliła.

— Miałam kiepski tydzień, Thomas — spróbowała.

— Gdzie się to wszystko skończy, Tara? — zapytał ze znużeniem. — Trafisz do talk show. Usiłuję ci pomóc i, szczerze mówiąc, jesteś bardzo niewdzięczna.

— Przepraszam i jestem wdzięczna.

— Myślisz, że lubię tak cię nadzorować? — spytał Thomas.

Tak, szczerze mówiąc, pomyślała Tara. Natychmiast tego pożałowała. Bywał trudny — czasem nawet brutalny — ale musiała sobie przypominać, że to dla jej własnego dobra.

Do pokoju wkroczyła Beryl, a Thomas odwrócił się do niej.

— Kto jest dobrą dziewczynką? — zagadał. — Kto jest śliczną dziewczynką?

Gdyby to dla mnie był taki miły, pomyślała ze smutkiem Tara. Pewnego dnia tak się stanie. Gdybym tylko mogła przestać jeść.

— Zamówić taksówkę? — zapytała ze znużeniem.

— Nie zawiesz nas?

— Nie, Thomas. Jeśli będę chciała wypić parę drinków?

— Parę drinków? A to? — Thomas położył rękę na brzuchu Tary i uszczypnął o wiele więcej niż kilka centymetrów.

— Tylko ten jeden jedyny raz, Thomas — prosiła go smutno. — Miałam taki straszny tydzień...

— No dobrze — ustąpił i dodał: — Skoro twój kolega umiera.

Zdumiona jego okrucieństwem, nagle zdała sobie sprawę, że ma dość, dość, dość Thomasa i jego chamskich, prostackich odzywek. Jego nieustępliwej, niczym nie uzasadnionej brutalności. Wiecznie przegranych sprzeczek. Obrządzenia i ranienia. A wszystko to w imię rzekomej uczciwości.

— Czy to cię nie przygnębia? — Jej głos drżał z wściekłości i żalu. — Młody człowiek, w twoim wieku, taki chory, pewnie umrze.

Ze zdumioną, nieco bezmyślną miną Thomas odparł:

— Nie, nic mi to nie robi.

Tara nie spuszczała z niego wzroku, mając nadzieję, że go zawstydzi.

— Nie znałem go dobrze — przyznał z zakłopotaniem, zaniepokojony intensywnością jej spojrzenia. — Może gdyby był moim kumplem, myślałbym inaczej.

Nadal na niego patrzyła. Czekala.

— To nie mój kumpel — zaprotestował, ale bez typowej dla siebie szorstkości.

— Rozumiesz, przez co przechodzę?

Coś pojawiło się w jego oczach. Może niezupełnie współczucie, ale niechętnie zrozumienie, że jest jej ciężko. Od dawna czegoś takiego nie widziała, musiało jej to wystarczyć. Niezręcznie wzruszył ramionami.

— Przykro mi, nie potrafię udawać, że mnie to załamało. Jestem po prostu...

— Wiem — przerwała mu Tara pogardliwym tonem. — Szczery.

Rzucił jej niepewne spojrzenie. Była w dziwnym nastroju! Tylko dlatego, że jej kumpel zachorował. Może chciałaby się przekonać, jak to jest, kiedy opuszcza cię mężczyzna!

Zanim wyszli, Tara patrzyła, jak Thomas wkłada do kieszeni brązową portmonetkę, i była zaszokowana, jaka jej się nagle wydała obrzydliwa.

— Pożycz nam dwadzieścia funtów, Tara — powiedział.

Nowa dziewczyna Eddiego, Dawn, była chudą, seksowną młodą kobietą o długich, opalonych, muskularnych nogach i ciemnych, przenikliwych oczach. Tara czuła się przy niej jak stukilogramowy miś żelek. Niespokojnie patrzyła, jak Thomas przenosi spojrzenie z Dawn na nią i z powrotem: patrzy, robi porównania, znajduje braki w Tarze. Widziała, jak wpatrywał się w jej pupę rozlewającą się po obu stronach jak galareta. Serce ścisnęło się jej w piersi i wzrosła temperatura. Jej wcześniejsza pogarda zniknęła, teraz była naprawdę przerażona, że straci Thomasa.

Upiła się tego wieczoru tak strasznie, że poczuła się lepiej. W klubie, w którym wylądowali, tańczyła po pijaku z Dawn i miała nerwowo, przesadny ubaw. Uznała, że lubi Dawn.

Później, gdy Tara i Thomas wracali do domu taksówką, Thomas był pijany i czuły, trzymał ją za rękę i głaskał po włosach.

— Dlaczego mnie kochasz? — zapytała żartobliwie Tara.

— A kto powiedział, że cię kocham? — odparł, ale z krzywym uśmiechem i zmrużonymi oczyma, a Tara w swoim pijackim, pełnym nadziei stanie uznała, że z pewnością ją kocha.

— No to dlaczego ze mną jesteś?

— Bo dajesz mi pieniądze, rzecz jasna.

Roześmiał się, a ona zlekceważyła ukłucie. Było miło, przekomarzali się, żartowali ze sobą, jak to kochankowie.

— No dobrze — postanowiła pociągnąć tę grę. — Jesteś ze mną, bo daję ci pieniądze, więc kim jesteś? Utrzymankiem. — Otworzyła szeroko oczy w udawanym przerażeniu. — Wręcz prostytutką! No to ja muszę być alfonsem.

On jednak nie odpowiedział jej uśmiechem ani żartobliwą uwagą. Na jego twarzy pojawiła się zaduma. Koniec żartów. O Boże, pomyślała, dlaczego to zawsze się psuje, dlaczego zawsze robi się nieprzyjemne. Ciepły, poufały nastrój bliskości zniknął.

Mam już tego wszystkiego dosyć, pomyślała ze znużeniem. Po tym strasznym tygodniu nie dawała sobie rady z tą sytuacją. Zabrakło jej wytrwałości, usprawiedliwień i nadziei.

— Jakie są msze ojca Gilligana? — spytała JaneAnn.

Katherine znieruchomiała. Jak mogła brzmieć prawidłowa odpowiedź?

— Sympatyczne — zaryzykowała.

— Długie?

Czy długie to dobrze? Pewnie tak.

— Bardzo. Wyjątkowo.

— To dobrze. — JaneAnn poważnie skinęła małą głową.

Zadzwoił dzwonek u drzwi. To był Sandro, w najlepszym garniturze.

— Co ty tu robisz? — spytała ze zdumieniem Katherine.

— O jedenastej idę na mszę z JaneAnn.

Katherine wybuchnęła śmiechem, a następnie umilkła raptownie na widok JaneAnn.

— Jestem zdumiona, Katherine Casey, że robisz sobie śmichy-chichy z wiary tego młodego człowieka.

— Przepraszam — powiedziała pokornie Katherine.

Sandro aż się wzdrygnął na widok zazwyczaj nieskazitelnego, gustownego mieszkania Katherine, które wyglądało jeszcze gorzej niż poprzedniego wieczoru, jakby eksplodowała w nim bomba. Wszędzie walały się ubrania, buty, walizki i pościel. Na telewizorze leżały udrapowane skarpetki, w doniczce tkwiła odwrócona filiżanka, wczorajsze butelki po winie i whisky zdobiły podłogę, a choć sofa została złożona, wystawał z niej kawał prześcieradła niczym język z nie domkniętych ust. Z kuchni dobiegało szczekanie, skwierczenie i zapach czegoś smażonego.

— Zupełnie, jakby mieszkało tu dwudziestu studentów — sapnął, przyglądając się chaosowi i podświadomie szukając pomarańczowych słupków drogowych.

— Prawda? — roześmiała się ponuro.

— Zawsze tak dbałaś o porządek.

— Po co? — Uniosła ręce, a następnie opuściła je bezradnie. — Jeśli posprzątam, pięć minut później znowu będzie bałagan.

— Dobrze się czujesz? — Przyjrzał się jej uważnie.

— Jasne! — odparła przenikliwym głosem. — Świetnie. Tylko wiesz — mówiła coraz wyżej i ostrzej — byłoby miło czasem wejść do łazienki. Ciągle ktoś w niej siedzi. Nic nie szkodzi, że JaneAnn użyła mojej gąbki z naturalnego włosia do wyszorowania kuchennej podłogi ani że Timothy wyczyścił moją teflonową patelnię i zdarł teflon. Zmartwiło mnie jednak, że kiedy dziś w końcu dostałam się do łazienki, okazało się, że ktoś — chyba Milo — zużył całą odżywkę do włosów Kerastase.

— Dlaczego myślisz, że to on?

— Spójrz na jego włosy — zaskrzeczała. — Patrz, jak cholernie lśnią. — Była purpurowa i patrzyła na Sandra wyzywająco, jakby chciała go sprowokować. — Przepraszam — pisnęła po chwili i wybuchnęła płaczem. — Przepraszam, przepraszam! — Wstrząsnął nią szloch. — Jestem taka samolubna. Jak mogę o tym myśleć, kiedy Fintan jest taki chory?

Dzwonek rozległ się ponownie. Tym razem pojawiła się Liv w odświętnym stroju.

— Tylko mi nie mów, że idziesz na mszę z JaneAnn — roześmiała się przez łzy Katherine.

Ona nie mogła się na to zdobyć, choć wiedziała, że tego właśnie się od niej oczekuje. Była zbyt przygnębiona.

— Skoro jesteś przygnębiona, to msza na pewno ci pomoże — strapiła się JaneAnn.

Milo także nie poszedł, co zmartwiło JaneAnn. Kiedy jednak wrócili dwie godziny później, była w świetnym humorze, a jej podziw dla Liv jeszcze wzrósł, gdyż dziewczyna osobiście знаła ojca Gilligana.

— Opuściliście świetną mszę — trajkotała. — Kazanie było przepiękne. O synu marnotrawnym. Nieważne, na jak długo odejdziesz od Boga, on zawsze przyjmie cię z powrotem, bez zadawania pytań. — Popatrzyła znacząco na Milo.

Następnie pojawiła się Tara i nadszedł czas na wizytę u Fintana.

Kiedy tylko Tara przekroczyła próg szpitala, poczuła się zupełnie wyczerpana. Była wykończona, zmęczona tymi emocjami, miała dość szpitalnego zapachu na swoich ubraniach i włosach, dobijało ją siedzenie na twardych krzesłach dla gości i ledwie dawała sobie radę bez palenia. Przez cały tydzień nie udało jej się zrobić swetra dla Thomasa ani pójść na siłownię, zawałala pracę i nie mogła przestać jeść. Marzyła o wieczorze w domu, w samotności, o oglądaniu telenowel i milczeniu. Wymieniła spojrzenia z Katherine i ujrzała na twarzy przyjaciółki podobne emocje.

— To dziwaczne — wyraziła JaneAnn myśli wszystkich zebranych. — Zupełnie jakby od naszej ostatniej wizyty minęło pięć minut. Równie dobrze mogło nie być dzisiejszej nocy.

— Dzień Świstaka — roześmiała się z przymusem Tara.

— To dopiero... — Liv policzyła na palcach — piąty dzień.

— Wiem — wpadł jej w słowo Milo. — A wydaje się, że milionowy.

— Może jutro wyjdzie do domu — powiedziała z nadzieją JaneAnn.

— Może — zgodzili się pozostali i tym razem nie próbowali się oszukiwać. Gdyby badania Fintana wypadły pomyślnie, mógłby leczyć węzły chłonne ambulatoryjnie.

Jakby szczęście im sprzyjało, tego dnia wyglądał lepiej niż zazwyczaj. Mimo że guz na szyi nie znikł, Fintan nie był już taki apatyczny ani żółty, a w dodatku jadł i nie wymiotował. Nastroje obecnych poprawiły się. Wszystko musiało się ułożyć.

— Kiedy Thomas mnie odwiedzi? — spytał złośliwie Fintan.

— Nie wiem. — Tara zarumieniła się. — Wiesz, jest bardzo zajęty, pracą i futbolem...

— Powiedz mu, że chciałbym się z nim zobaczyć — uśmiechnął się Fintan. — Myślę, że dzięki temu poczułbym się lepiej.

— Spróbuję.

— Poproś, żeby zrobił to dla ciebie — nalegał. — Dla kobiety, którą kocha.

— Dobrze — obiecała Tara, zażenowana i zdumiona. Rzecz jasna, prosiła Thomasa, żeby poszedł z nią do szpitala i poznał rodzinę O'Gradych, ale on uparcie odmawiał.

— Nie jestem hipokrytą — oznajmił i uznał temat za zamknięty.

O co chodziło Fintanowi? Przecież nienawidził Thomasa.

W myśli Tary wdarł się głośny okrzyk: „Cześć!” Uniosła wzrok i zobaczyła, jak przyjaciele Fintana — Frederick, Claude i Geraint, objuczeni darami, pchają się w podnieceniu do sali. Wszyscy się odsunęli, żeby zrobić im miejsce. Wkrótce pojawili się Harry i Didier. A potem Butch i Javier.

Fintana bez przerwy odwiedzało tak wielu gości, że często tłoczyli się na korytarzu przed salą, gdzie prowadzono ożywione rozmowy, nastroje były pogodne i zawierano nowe znajomości. Ktoś o imieniu Davy, przyjaciel Javiera, zdążył się już przespać z przyjacielem Harry'ego, Jimbobem, którego poznał w drzwiach sali Fintana.

— Sala siedemnasta, gdzie zaczynają się historie miłosne — mawiał rozbawiony Fintan. Żartował, że niektórzy z jego przyjaciół przychodzą do szpitala i nawet nie zadają sobie trudu, by go odwiedzić, tak atrakcyjna jest atmosfera przyjęcia na korytarzu. Posunął się nawet do sugestii, jakoby niektórzy goście wcale go nie znali.

W końcu, żeby zrobić trochę miejsca, Liv, Tara i Katherine oddaliły się do poczekalni, gdzie Liv zainicjowała rozmowę na nurtujący ją od pewnego czasu temat.

— Timothy jest żonaty, prawda? — zapytała niezobowiązującym tonem.

— Tak.

— A Ambrose? A Jerome?

— Też.

— To dlaczego Milo się nie ożenił? Też jest gejem?

— Nie — odparła Tara. — Za to kiedyś zawiodła go dziewczyna.

— Zawiodła?! — wykrzyknęła Liv. — Co masz na myśli, na litość boską? Czy to jeszcze jeden z waszych dziwacznych irlandzkich eufemizmów?

— To znaczy, że go wystawiła — wyjaśniła Katherine. — Był zaręczony z Eleanor Devine, „dogadali się”, jak to u nas mówią, a ona zwiła.

— Dlaczego?

— Nie chciała być żoną farmera. Pojechała do San Francisco i została artystką konceptualną.

— Jak wyglądała? — Liv wydawała się nieco zaskoczona. — Była brzydka? Gruba?

— Całkiem do rzeczy — powiedziała Katherine.

— Jak bardzo do rzeczy? — dopytywała się Liv. — W skali od jednego do dziesięciu?

— Pięć.

— Cztery, może nawet trzy. — Tara trąciła łokciem Katherine. — Powiedz, Liv, dlaczego tak cię to interesuje?

— Milo ma metr osiemdziesiąt siedem — stwierdziła rozmarzona Liv. — Jest zbudowany jak stodoła, ma długie, czarne, lśniące włosy...

Katherine zeszytniała na wzmiankę o lśniących włosach. — ...granatowe oczy i piękny uśmiech. — Liv nagle się ocknęła. — Właściwie bez powodu... Wszystkie się roześmiały.

— Chyba nie mówisz poważnie? — spytała Tara.

— Jasne, że mówię.

— Ale... — odezwała się z zakłopotaniem Tara — ale jesteś Szwedką, jesteś stylowa, jesteś projektantką wnętrz, a on... To Milo O'Grady.

— Nosi ogrodniczki — dorzuciła swoje trzy grosze Katherine.

— Nigdy nie słyszałam o Tricii Guild.

— A ty nigdy nie słyszałaś o motylicy wątrobowej. Nie mogłoby się wam udać.

— To człowiek ziemi. — Oczy Liv lśniły. — Tworzy nowe życie, własnymi rękoma sieje i zbiera. Czy jest coś wartościowszego?

— Neurochirurg — zasugerowała Katherine.

— Pracownik opieki społecznej — powiedziała Tara. — Księgowy.

— Projektant obuwia.

— Pracuje rękoma. Wielkimi, silnymi, seksownymi rękoma. Nie widzicie, jaki jest piękny?

— Nie — odparła zwięźle Tara.

— Liv, jesteś przygnębiona — powiedziała pojednawczo Katherine. — W tej chwili żadna z nas nie jest sobą. Chyba nie zapomniawsz o swoim ukochanym Larsie?

— Kutafon — mruknęła niewyraźnie Liv. Następnie zreflektowała się i jęknęła ze wstydem: — Jak mogę? Jak w takich chwilach mogę myśleć o mężczyźnie? Nienawidzę siebie za to.

— Przestań — uspokoiła ją Tara. — Proszę, przestań. To bardzo dziwny okres. Jeśli to dla ciebie będzie jakąś pociechą, to ja martwię się o siebie i Thomasa, i potwornie się wstydzę. To wydaje się takie niegodne!

Katherine poczuła, jak ciężar spadł jej z serca.

— Dzięki Bogu, że to powiedziałaś, Tara. W tym tygodniu przyłapałam się na tym, że przejmuję się czymś poza Fintanem, i uznałam, że coś jest ze mną nie tak, skoro zachowuję się tak bardzo samolubnie. Znienawidziłam się.

— Naprawdę? To ja się znienawidziłam! — wykrzyknęła Tara.

— Tak się cieszę, że to mówicie. Ja też się znienawidziłam — przyznała się Liv.

Uśmiechnęły się do siebie z głupkowatą ulgą, że wstydlive tajemnice wyszły na jaw, i dzięki temu poczuły się bardzo lekko.

— Albo jesteśmy trójką niegodziwych suk — oznajmiła Tara — albo całkiem normalnych kobiet.

— Biedny Fintan — westchnęła Katherine. — Jak on się musi czuć? Jak wy byście się czuły, gdybyście myślały, że zostało wam tak niewiele czasu? Usiłuję się wczuć.

— Ja też — powiedziała Tara.

— Ja też — dodała Liv.

— Wyobraźcie sobie tylko, że zostało wam pół roku życia. Że umrzecie przed majem. No już — nalegała Tara, gdy Katherine i Liv, nieco zaszokowane, wpatrywały się w nią.

Zakłopotana Katherine zamknęła oczy. Jak bym się czuła?, zapytała samą siebie. To byłaby ostatnia gwiazdka. Nie doczekałaby już lata. Sto osiemdziesiąt dni zamiast wielu tysięcy, które — jak zawsze zakładała — ma przed sobą i które tworzą łańcuch lat ciągnący ją ku starości.

Ku jej zdumieniu coś się jednak zmieniło. Jeden dzień, nie ekscytujący ze względu na jego oczywistość, nie cenny, gdyż tyle było innych, stanął jej przed oczyma i rozkwitł tak, że każdy jego fragment wydawał się piękny i cenny. Wręcz bezcenny niczym brylant, od pobudki w porannym oczekiwaniu do zmierzchu skąpanego w wieczornym świetle. Poczwała gwałtowną potrzebę, by wypełnić ten dzień, by mądrze go spożytkować, zrobić wszystkie pożądane rzeczy, naprawdę ważne rzeczy.

Odrzucić odpowiedzialność — nie będzie jej tu, by zbierać żniwo. Co ważniejsze, odrzucić ostrożność — nie będzie jej tu, by ponieść konsekwencje. Niemal poczuła panikę na myśl o wszystkim, co chciałyby zrobić przez pół roku. Potrzebny byłby cud z bochnami chleba i rybami, żeby wszystko zmieścić.

Nagle jej zasady i barykady wydały się dławiące. Chciała po uszy zanurzyć się w życiu. Doświadczyć wszystkiego. Bawić się. Ciągle się bawić. Uprawiać seks. Z Joe Rothem. Chryste Panie! Przerazona otworzyła oczy. Tara i Liv spoglądały na nią.

— Straszne, prawda? — Tara zadrzała. — Coś wam powiem. Gdybym miała przed sobą pół roku życia, nie martwiłabym się tym, czy Thomas mnie poślubi, żeby nie została sama na starość. Bo nie miałabym żadnej starości, na którą mogłabym zostać sama.

— A co ty byś zrobiła? — spytała pośpiesznie Katherine, chcąc jak najprędzej przestać myśleć o sobie.

— Rzuciłabym Larsa i zaczęła kręcić z Milem — odparła Liv.

— Przecież i tak to zrobisz — zauważyła Tara. — Nie musisz po to umierać. Ja miałabym romans.

— Z kim?

— Nie wiem. Z kimś, kogo uważałabym za wspaniałego, kto by mnie uważał za wspaniałą. Miałabym jeden z tych szalonych, zapierających dech w piersiach, seksownych romansów, kiedy nie wychodzicie z łóżka, kiedy budzicie się w środku nocy, bo tak się sobie podobacie. — Zadrzała, tym razem z rozkoszy.

— Czyżbyś nie przeżywała tego z Thomasem? — spytała cierpko Katherine.

— Doskonale wiesz, że po trzech miesiącach już prawie nie uprawia się seksu — odparła Tara. — Nie patrz tak na mnie. Kocham Thomasa, to taka zabawa.

— Równie dobrze mogłaś powiedzieć, że wcale ci się nie podoba.

— Ależ nie! Powiedziałam tylko, że gdyby... Słuchaj, to nieprawda, tylko tak sobie wyobrażam.

— Masz rację — przypomniała im Katherine. — Nie zostało nam pół roku życia, nie umrzemy, a ta rozmowa jest głupia i cikliwa.

— Cieszę się, że to słyszę! — krzyknęła Tara. — Właśnie sobie pomyślałam, co by się stało, gdybym go zostawiła, miała ten szalony romans z kimś innym, a potem nie umarła? Czułabym się jak idiotka!

41

Tuż po dziesiątej w poniedziałkowy rano, kiedy wszyscy jak zwykle zebrali się wokół łóżka Fintana, wszedł doktor Singh. Jego nieznaczne poruszenie wskazywało na to, że ma dla nich informację. Napięcie jeszcze narosło, a nerwy wszystkich, już i tak nadaktywne, napięły się w pełnej gotowości. Boże, niech to będzie dobra nowina.

— Mam wyniki biopsji szpiku kostnego. — Lekarz popatrzył na Fintana.

Mów, mów.

— Chce pan wysłuchać tego w samotności?

— Nie. — Fintan drżał. — Może pan powiedzieć nam wszystkim. Przynajmniej nie będę musiał powtarzać.

Doktor Singh nabrał powietrza w płuca, a następnie znieruchomiał. Nie było mu łatwo.

— Obawiam się, że to zła wiadomość.

Wszyscy milczeli. Osiem bladych jak płótno twarzy wpatrywało się w niego błagalnie, marząc, by się mylił.

— Choroba ujawniła się w szpiku — ciągnął nerwowo lekarz.

Jestem tylko posłańcem, pomyślał.

— W jakim stopniu? — wychrypiła Katherine.

— Obawiam się, że w zaawansowanym.

Katherine spojrzała na Fintana. Jego oczy były olbrzymie i pociemniałe jak oczy przerażonego dziecka.

— Mam też wyniki tomografii komputerowej — dodał nieśmiało doktor Singh.

Osiem ściągniętych bólem twarzy zwróciło się ku niemu.

— Wskazuje na aktywność choroby w trzustce. I... — Doktor Singh był przerażony. — Mam wyniki rentgena.

Jego mina powiedziała im wszystko.

— W klatce piersiowej też jest? — spytał Milo. Lekarz skinął głową.

— Nic nie wskazuje na obecność raka w najważniejszych organach, jak wątroba, nerki czy płuca — dodał. —

Wtedy sytuacja byłaby bardzo poważna.

Po raz pierwszy przemówił Fintan.

— Czy umrę? — odezwał się zachrypniętym głosem.

— Natychmiast rozpoczniemy leczenie. — Doktor Singh zignorował pytanie. — Teraz, kiedy już wiemy, z czym mamy do czynienia, wiemy też, jak pana leczyć.

— W samą porę — stwierdziła gorzko Tara, zaskakując wszystkich. Nie tak należy odzywać się do lekarzy. — Każdego dnia było coraz gorzej. Nic pan nie zrobił. Zostawił go pan tak, bo pieprzone laboratorium nie miało czasu sprawdzić, jak bardzo jest chory. A jeśli te dni zdecydowały o życiu lub... lub... — Zaczęła płakać, urywany szloch

wstrząsał całym jej ciałem. Odwróciła się do Fintana. — Musiałeś mieć te symptomy od długiego czasu — wyrzuciła z siebie, a łzy spływały jej po policzkach. — Od wielu miesięcy.

— Miałem.

— To dlaczego nie poszedłeś z tym do lekarza? Zabrakło jej tchu, dyszała ze złości i żalu. — Dlaczego Sandro cię nie zmusił?

— Bo myśleliśmy, że wiemy, co mi dolega. Nocne poty, tak obfite, że czasem zmienialiśmy pościel. Ciągłe traćcie na wadze. Bez przerwy bolał mnie żołądek. Widzisz, Sandro już raz przez to przechodził.

Wyobraziła sobie tę znowę milczenia. Fintan czuł się coraz gorzej i nie zrobili nic, bo myśleli, że nic nie da się zrobić.

— Para kretynów. — Zadrzała. — Debilne gówniarze.

JaneAnn boleśnie ścisnęła ramię Tary i odciągnęła ją od łóżka.

— Skończ z tymi bzdurami, Taro Butler — rozkazała jej. — On jeszcze nie umarł.

Leczenie Fintana rozpoczęło się tego ranka. Miał pozostać w szpitalu na pięć dni intensywnej chemioterapii. Wszystkim kazano wyjść.

— Ale ja jestem jego matką. — Upór JaneAnn osłabł. — Powinam zostać.

— Chodź, mamo. — Milo pociągnął ją za sobą. — Zobaczysz się z nim wieczorem.

Rozeszli się: JaneAnn, Milo, Timothy, Liv, Tara, Katherine i Sandro. Byli nierozłączni w okresie oczekiwania, teraz szokujące wieści oderwały ich od siebie.

Stali się dziwnie zakłopotani, czuli niechęć do samych siebie i pozostałych. Co dobrego przyniosła ich dziarska, pełna nadziei czujność? Po co pocieszali siebie wzajemnie i Fintana, niezłomnie wierząc, że wszystko dobrze się skończy? Było to — zapewne od początku — zupełnie bezużyteczne.

Teraz siedzenie u jego łóżka w roli ludzkich amuletów strzegących przed nieszczęściem nie miało już sensu. Los Fintana zależał od silnych lekarstw. Chemikaliów toksycznych do tego stopnia, że pielęgniarki, które je aplikowały, nosiły ubrania ochronne. Leczenie pociągało za sobą tak poważne skutki uboczne, że momentami Fintan wołał nawet umrzeć, niż przez to przechodzić.

Każde z nich na swój sposób radziło sobie z olbrzymią dawką emocji. JaneAnn niemal bez przerwy siedziała w kościele Świętego Dominika, negocjując z Bogiem i proponując, że zajmie miejsce Fintana, skoro ktoś musi umrzeć. Timothy powrócił do mieszkania Katherine, gdzie całymi dniami oglądał telewizję, dużo palił i rozrzucał buty po podłodze. Milo chodził na długie spacery, odwiedził Harveya Nicholasa, Muzeum Ludzkości, Muzeum Wiktorii i Alberta i rozmaite zabytki oraz turystyczne atrakcje. Inni wrócili do pracy. Zaniedbywanie jej, gdy strzegli Fintana, wydawało się niemal imperatywem. Najgorsze jednak już się stało. Zamiast tym bardziej osłabić znaczenie pracy, uznali, że najwyższy czas odzyskać nad nią kontrolę.

Był jasny, pogodny, rześki październikowy ranek. Gdy Katherine wyszła ze szpitala i jechała taksówką po Fulham Road, ujrzała kobietę mniej więcej w swoim wieku, wymachującą plastikową reklamówką, z której wystawał karton soku pomarańczowego i plastikowa butelka z mlekiem.

Odwróciła się i patrzyła na nią zafascynowana. Kobieta nie była szczególnie beztroska, wyglądała, jakby nie myślała o niczym. Katherine bardzo pragnęła nią być. Czasem też tak spacerowała, wymachując torbę z zakupami. Pewnie robiła to setki razy i nigdy nie doceniała tej rozkoszy, czystej radości życia wolnego od smrodu koszmaru.

Kiedy weszła do biura, zdumiał ją zamęt. Wszyscy byli tacy zajęci. Wyglądali jak kosmici uganiający się za własnymi ogonami. Ją katapultowano na skraj życia, gdzie wszystko wydawało się wykrzywione, wypaczone i dziwaczne. Jakie to wszystko miało znaczenie?

Ludzie kiwali jej głowami na powitanie, a ona szła niczym lunatyczka. Gdy dotarła do biurka, musiała się zatrzymać, by sprawdzić, czy to naprawdę jej biurko. Wszystkie jej myśli i reakcje były jakby owinięte celofanem, przez co wydawały się stłumione i zamazane.

Zanim usiadła, poszukała oczami Joe Rotha. Wiedziała, że powinna przestać, ale nie znalazła w sobie zwyczajowej siły woli, by z tym walczyć.

Rozmawiał przez telefon, odchylony na krześle, i bawił się długopisem. Przyciskał słuchawkę do twarzy, do kości policzkowej, przypominającej jedną z podłużnych muszli, które zaśmiecały plażę w Knockavoy.

Pragnęła go. To była jedyna, czysta jak kryształ myśl w zamazanym, niedostępnym świecie. Świecąca jak latarnia we mgle. Pragnęła Joe Rotha dziko i namiętnie. Niewłaściwie. Raz jeszcze pomyślała z niedowierzaniem — jak mogę?

Okazało się, że tę gorączkową aktywność wywołała nowina, która właśnie dotarła do biura, a mianowicie, że projekt wieloorzechowego muesli przejęła konkurencyjna firma. To była pierwsza porażka Joe Rotha w Breen Helmsford.

— Raz się wygrywa, raz się przegrywa — wzruszył ramionami Joe, usiłując podtrzymać swój zespół na duchu.

— Nie w tym fachu, synu — stwierdził brutalnie Fred Franklin. — Raz się wygrywa, raz się wygrywa. Raz się przegrywa, raz się traci pracę.

Katherine powinna być zachwycona, bo Joe mógł wylecieć za utratę klienta, ale chciała podejść i go pocieszyć, położyć sobie jego piękną głowę na kolanach i pogłaskać go po włosach.

— Nie najlepszy tydzień, co? — zarechotał Fred. — Do tego twój ukochany Arsenal przegrał w sobotę.

Katherine postanowiła zająć się pracą. Popatrzyła na liczby na swoim biurku, ale równie dobrze mogłyby być zapisane w urdu. Odwróciła arkusz kalkulacyjny do góry nogami, żeby sprawdzić, czy dzięki temu nabierze sensu, i zauważyła, że Breda wpatruje się w nią z niepokojem.

— Zaraz do ciebie przyjdę, Breda. — Usiłowała mówić jak kobieta opanowana. — Już nadrabiam zaległości.

Zbierz się do kupy, przykazała sobie. Jeśli nie będziesz uważała, to nie tylko Joe Roth stąd wyleci.

— Czy to odpowiednia chwila? — usłyszała. Uniosła wzrok i zobaczyła nad sobą Joe.

— Na co? — wyjąkała z szalejącym sercem.

— Na wydatki.

— Znowu?

— Znowu? — uśmiechnął się do niej krzywo. — Lepiej zajmę się tym teraz. Na wypadek, gdybym jeszcze dziś musiał pakować rzeczy.

— Żartujesz, prawda? — spytała z przerażeniem.

— Reklama. To pieski świat — uśmiechnął się.

— Ale to twoja pierwsza porażka — zaprotestowała. — To byłoby niesprawiedliwe.

Położył dłoń na jej biurku i pochylił się.

— Katherine — powiedział cicho, z uśmiechem w oczach. — Uspokój się.

Poczuła jego zapach, ostry, świeży aromat czystego mężczyzny. Mydło, jakiś cytrus i leciutka woń czegoś nieco bardziej dzikiego. Cofnął się, a ona poczuła się zakłopotana i opuszczona.

— Spocznij — wykrztusiła. Cieszyła się, że powiedziała „Spocznij”. Uznała, że zabrzmiało to dowcipnie i nonszalancko.

Joe usiadł przed nią w wykrochmalonej białej koszuli. Rozpraszał ją, kiedy przeglądała stosik rachunków. Wciąż uderzała w klawisz procentów albo pierwiastków kwadratowych zamiast w znak plusa.

— Przykro mi z powodu twojego projektu — powiedziała.

Jeśli zdumiała go jej bezprecedensowa bezpośredniość, to nie okazał tego. Wzruszył jedynie ramionami.

— Takie jest życie, prawda? — Dobrze udawał, że to nie ma znaczenia, ale wyczuwała, jak ważna jest dla niego praca. — Nie zawsze ma się to, czego się pragnie. — Spojrzał jej w oczy. Czy tylko sobie wyobraziła, czy rzeczywiście znacząco? — A może ty to masz? — dodał.

Czy zawsze miała to, czego pragnęła?

Kiedy Joe wpatrywał się w Katherine, jej oczy wypełniły się łzami, które potem spłynęły schludnie, ładnie po gładkiej twarzy. Zdumiały ich oboje.

— Przepraszam — wyszeptała Katherine. Opuściła głowę i wierzchem dłoni otarła łzy. — Dziś rano usłyszałam złą wiadomość.

— Przykro mi. — Wyglądało na to, że mówi szczerze.

I wtedy zaczęła płakać jeszcze rozpaczliwiej. Chciała się do niego przytulić, poczuć jego twarde ręce na plecach, położyć policzek na klapie jego marynarki, wtulić twarz w wykrochmaloną bawełnę jego koszuli i wdychać jego zapach.

— Czy chciałabyś...? — Miał zapytać, czy poszłaby z nim na kawę, ale natychmiast umilkł. Jasne, że nie.

Katherine drgnęła na widok przechodzącej obok Angie, z szyją wykręconą pod nieprawdopodobnym kątem. Uświadomiła sobie, że dziewczyna próbuje patrzeć na Joe. Podczas ich rozmowy Angie już chyba ze dwa razy tędy przeszła. Co to oznaczało?

— Wszystko w porządku. — Z ławym uśmiechem wskazała rachunki. — Załatwię to za dzień lub dwa.

Gdy Joe wracał do biurka, delegacja pod kierownictwem Mylesa wyszła mu na powitanie.

— Czy Królowa Śniegu płakała? — zapytał ciekawie Myles.

— Nie — odparł krótko Joe i odwrócił się.

42

Fintan zwariował. Nie dało się inaczej wytłumaczyć jego zachowania. Wezwał Tarę i Katherine, gdyż miał do nich prośbę, a kiedy ją usłyszały, uznały, że najprawdopodobniej rak zaatakował mu mózg.

Minęło pięć dni od diagnozy. Fintan miał dziś wolne od chemioterapii, gdyż była bardzo uciążliwa. Koktajl z lekarstw powodował u niego mdłości, porobiły mu się gigantyczne afty i wypadały włosy.

— Jezu — mamrotał, kiedy tylko starczało mu sił, by w ogóle się odezwać. — Chyba już wolę raka.

Jego reakcja na konwencjonalne leczenie sprawiła, że wszyscy z zapalem zabrali się do czytania wszystkich dostępnych książek o medycynie alternatywnej, jakie tylko wpadły im w ręce.

— Zazwyczaj śmieję się z takich rzeczy — przyznała Katherine, zerkając znad strony sugerującej, że Fintan wyzdrowieje, jeśli sobie wyobrazi, że pławi się w żółtym świetle — ale może warto spróbować.

— Spieprzajcie, strasznie mi niedobrze — mamrotał Fintan w odpowiedzi na sugestie, by wyobraził sobie oddychanie czystym, uzdrawiającym, srebrzystym światłem albo w myślach eliminował komórki rakowe niczym przeciwników w grze Space Invaders.

Dziś jednak, gdy tylko podano mu roztwór fizjologiczny — mimo że był słaby jak kociak, chudy jak szkielet i zielonożółty — czuł się lepiej.

— Podejdźcie — zaskrzeczał, parodiując swoją dawną krzykliwość. — Wciąż powtarzacie, że gdybyście tylko mogły coś dla mnie zrobić...

Tara i Katherine gorliwie pokiwały głowami.

— Dobrze. Obiecujecie?

— Obiecujemy.

— Słowo honoru?

Jak mogłyby nie spełnić jego prośby? Pytanie to wyraziły, przewracając oczyma.

— Słowo honoru. .

— No dobrze, zacznę od ciebie, Tara. Przybrała pytający wyraz twarzy.

— Masz zostawić Thomasa.

Uśmiech pozostał na jej obliczu, ale radość znikła, a w oczach pojawił się niepokój. Spodziewała się, że poprosi ją o nową pizamę albo — Boże broń — każe jej iść do przedsiębiorstwa pogrzebowego po ulotki, albo każe jej opiekować się Sandrem, gdyby doszło do najgorszego. Ale nie tego.

— Chcę, żebyś zostawiła Thomasa — powtórzył. Trąciła łokciem Katherine.

— Potem każe mi wspiąć się na Mount Everest — zaśmiała się niepewnie. — Skoro już o tym mowa, następnie będę musiała wyprostować krzywą wieżę w Pizie i...

— To niezbyt śmieszne, Tara — uciszył ją. — Nie żartuję.

Poruszona poważnym tonem Fintana spojrzała na jego wychudzoną twarz w poszukiwaniu wyjaśnienia. Serce waliło jej jak młotem, kiedy zrozumiała, że mówił poważnie.

— Dlaczego? — jęknęła.

— Bo chcę, żebyś była szczęśliwa. — Jego głos był słaby, lecz zaskakująco stanowczy.

— Jestem szczęśliwa. — Niekonsekwentne, niewytłumaczalne niezadowolenie z Thomasa natychmiast zniknęło. — Bez niego byłabym bardzo nieszczęśliwa. Prawda? — Odwróciła się do Katherine po wsparcie.

— Nie masz jej po co pytać — stwierdził szorstko Fintan. — Ona się ze mną zgadza.

— Właściwie co ma z tobą wspólnego mój związek z Thomasem? — Postanowiła się bronić.

Fintan nabrał powietrza, by odpowiedzieć, ale się rozmyślił. Spojrzał na koldrę, chyba w poszukiwaniu inspiracji, a następnie oznajmił:

— Jeśli umrę, będę potępiony, jeśli zmarnujesz sobie życie.

Tara była zaszokowana, zawstydzona i zła. Jak śmiał bawić się w Boga tylko dlatego, że mógł umrzeć?

— Tak, sukinsyn ze mnie — przyznał radośnie, czytając w jej myślach i zawstydzając ją. — Bezwstydnie wykorzystuję swoją pozycję. Niech na tym skorzystam. To jedyny plus tej choroby.

— Przykro mi, że nie lubisz Thomasa.

— Nie lubię go wyłącznie dlatego, że ciebie źle traktuje. — Fintan spojrzał na nią, a jego oczy lśniły. — Ani razu nie przyszedł mnie odwiedzić, a jestem tu już od prawie dwóch tygodni. Nawet Ravi się pofatygował.

Tara podejrzewała, że Ravi przyszedł do szpitala z tego samego powodu, dla którego ludzie zwalniają przy mijaniu wypadku samochodowego, ale powiedziała tylko:

— Wobec tego Thomas traktuje źle ciebie, nie mnie. Jeśli tak bardzo chcesz się z nim spotkać, zorganizuję to.

— Wcale nie chcę go widzieć. Jezu, na sam jego widok mi się pogorszy. Chodzi mi o to, że on nie podtrzymuje cię na duchu.

— Fintan, zrobię dla ciebie coś innego, cokolwiek. — Wpadła w panikę. — Ale mowy nie ma, żebym zostawiła Thomasa.

— Obiecałaś. — Wydał spieczoną dolną wargę, żartobliwie się dając. — Patrz. — Wystawił język. — Chcesz zobaczyć moje afy? Są niesamowite.

— Fintan...

— Spójrz na te na języku. Nie są olbrzymie? Patrz — kazał jej. — Patrz!

— Są olbrzymie — powtórzyła bezbarwnie. — Fintan, nie prosź mnie, żebym zostawiła Thomasa. Nie traktuje mnie tak źle.

— Nie! — Fintan usiłował usiąść, ale zabrakło mu energii. — Katherine i ja nie chcemy już słuchać, że Thomas obraża cię dla twojego własnego dobra, że to świadczy o jego przywiązaniu. Nie chcemy słuchać, że nie ze swojej winy jest takim obrzydliwym kutasem. Jeśli swoją matkę traktował tak samo jak ciebie, jak można ją winić za to, że związała? Powiedziałaś, że zrobisz dla mnie wszystko. Zrób to.

— Wszystko poza tym.

— To proste — odezwał się słabo, kiedy minął pierwszy atak wrogości i Fintan opadł z powrotem na poduszki. — Powiedz jej, Katherine. Wrzuć wszystkie swoje rzeczy do samochodu i odjedź!

Po raz pierwszy Tara wyobraziła sobie tę sytuację i jej gardło ścisnęło się strachem. Czwała się tak, jakby kazali jej rzucić się ze skały.

Fintan przesunął głowę na poduszce i zostawił na niej pasmo gęstych, czarnych włosów. Nie zauważył tego, co było jeszcze gorsze.

— Co stałoby się ze mną bez Thomasa? — wykrztusiła Tara, której zrobiło się niedobrze na widok wypadających włosów. — Nigdy nie znajdę nikogo innego, a nie cierpię być sama. Nie jestem z tego dumna — dodała szybko.

— Będę rzygał — przerwał nagle Fintan. — Katherine, podaj mi miskę.

Miał suche torsje, a potem, spocony i wyczerpany, opadł na poduszki. Wszyscy milczeli. Tara i Katherine zaczęły się zbierać do odejścia, kiedy przemówił ponownie.

— Skąd wiesz, że nie cierpisz być sama, Tara? Odkąd dwanaście lat temu przeprowadziliśmy się do Londynu, nie miałaś mężczyzny tylko przez jakiś tydzień. W chwili, gdy kończysz z jednym, zaczynasz umawiać się z innym. No już — nalegał słabo. — Przełam barierę strachu.

Tara rzucała się niczym ryba na haczyku, usiłując się uwolnić.

— Nie, Fintan, mam trzydzieści jeden lat. Starego konia nie nauczysz nowych sztuczek. To moja ostatnia szansa i...

— Ty i ta twoja ostatnia szansa — roześmiał się gorzko Fintan. — Jeśli ktoś tutaj ma ostatnią szansę, to ja.

Tara nie mogła mówić. Złość, poczucie winy i strach walczyły w niej o palmę pierwszeństwa. To był szantaż.

— Chcesz skończyć jak swoja matka? — spytał Fintan. Tara uniosła głowę. — Mieszkać ze zgryźliwym starym pierdzielem? — rozwinął myśl. — Stawać na głowie i nigdy go nawet nie zadowolić? Pewnie, już taka jesteś!

Tara była wzburzona. Uskarżała się na ojca, ale przykro było słyszeć innego człowieka, zwłaszcza tak bliskiego jak Fintan, mówiącego w ten sposób o jej rodzinie. Poza tym wcale nie przypominała swojej matki, która była słodka, ale dawała sobą pomiatać. Choć Thomas bywał trudny, Tara nie dawała mu sobą pomiatać. Była nowoczesną, niezależną kobietą z możliwościami i siłą. Prawda?

— Nie możesz mi niczego odmówić. Mam raka. — W końcu wytoczył najcięższą artylerię. — Jeśli nie zostawisz Thomasa, umrę, żeby zrobić ci na złość.

Tara chciała go zabić. Była równie wściekła jak rozżalona. Nad rozpaloną głową znowu usłyszała głos Fintana:

— No dobra, pójdę na kompromis. Oświadczyć się Thomasowi. Jeśli się zgodzi, masz moje błogosławieństwo. Ale jeśli odmówi, każ mu spadać. Co ty na to?

— Może — wymamrotała Tara, myśląc, mowy nie ma. Za nic. Nawet za milion lat.

— No dobra. — Zmęczony, wymiotujący Fintan był na swój sposób zadowolony. Dopóki nie uświadomił sobie, że istnieje niewielka szansa, że Thomas zgodzi się na ślub. O nie! — Teraz kolej na ciebie, Katherine — oświadczył. — Tak, panienko, wyjdź wreszcie z lodówki.

Katherine zrobiła minę świadcząca o uprzejmym zainteresowaniu, jakby nie miała pojęcia, o co chodzi Fintanowi.

— Znajdź sobie faceta — wyjaśnił.

— Dlaczego ona ma miłe zadanie, a ja okropne? — przerwała ze złością Tara.

— Wątpię, żeby Katherine traktowała to w ten sposób.

Katherine zmusiła się do uśmiechu. Wyglądało na to, że sprawa jest załatwiona.

— Nie zauważyłaś pewnego schematu? Bo ja tak, do cholery — mruknął Fintan. Znowu miał zamknięte oczy, wydawało się, że mówi sam do siebie. — Mniej więcej raz na rok pokazujesz się z szalenie przystojnym facetem u boku. Kręci się koło ciebie jakieś dwa tygodnie, a potem łup! Znika, a ty twierdzisz, że nie chcesz o tym mówić. Nie możesz wybrać sobie kogoś, kto jest, że tak powiem, umiarkowanie przystojny? Przestań skazywać na porażkę każdy związek, jaki ci się trafia. Nie myśl, że nie wiem, czemu to robisz. — Mówił tak cicho, że obie musiały się ku niemu pochylić. — Jesteś taka sama jak twoja matka. Jedno złe doświadczenie z mężczyzną i tchórzysz. Jak struś zakopujesz głowę w piasek. — Nie otwierając oczu, machnął niemrawo rękami. — Jak struś — powtórzył znacząco i otworzył oczy, żeby spojrzeć wprost na Katherine.

— W niczym nie przypominam matki. — Przełknęła ślinę.

— Jesteś taka sama jak ona! Odstraszasz od siebie mężczyzn.

— Moja mama to wariatka.

— Ty też nią będziesz, jeśli nie przestaniesz się tak zachowywać.

— Fintan, nie każdej ludzkiej istocie potrzebny jest do szczęścia partner — starała się mówić opanowanym głosem.

— O Boże, dawać miskę, błagam.

Żałując, że nie mogą uciec, raz jeszcze przyglądały się, jak Fintan bez powodzenia usiłuje zwymiotować.

— Wiem, że gdybym się wyrzygał, poczułbym się lepiej — wymamrotał, kiedy dał sobie z tym spokój.

Katherine i Tara popatrzyły na swoje buty i zaczęły marzyć o tym, żeby być kimś innym.

— Katherine? — Fintan przerwał ciszę. — Zgadzam się z tobą, że niektórym pisane jest życie w samotności. Ale ty do nich nie należysz. Tara mówiła mi o jakimś facecie z pracy.

Katherine spojrzała na Tarę z całą złością, której nie mogła okazać Fintanowi.

— Już nie — odparła z gorzką satysfakcją.

— Odszedł z pracy?

— Nie, zrezygnował ze mnie.

— Dlaczego?

Katherine nie odpowiedziała.

— Musisz mi powiedzieć — zażądał. — Mam raka. Mogę umrzeć!

— Chyba dlatego, że oskarżyłam go o molestowanie seksualne, kiedy chciał się ze mną umówić.

— Dlaczego to zrobiłaś?

— Bo nie chciałam się z nim umówić.

— Czemu nie? Czy to zły człowiek?

— Nie! Jest taki miły, że aż działa mi na nerwy.

— Aha! — Fintan najwyraźniej się ożywił. — Umówiłabyś się z nim, gdyby był wałem? Potem by cię rzucił i znowu byłabyś bezpieczna, samotna, znowu ze złą opinią o mężczyznach. Katherine, wszystko sobie opracowałaś!

Wzruszyła ramionami. Fatalnie się czuła.

— Jest żonaty?

— Nic o tym nie wiem.

— Przystojny?

— Bardzo.

— Niebezpiecznie? Szaleńczo?

— Nie, tylko bardzo.

— Czy pracuje na pół etatu jako model?

— Nie.

— I dobrze, już go lubię. Podoba ci się? Katherine milczała, a potem kiwnęła głową.

— Jak się nazywa?

— Joe Roth.

— Twoją misją, Katherine Casey, jeśli ją przyjmiesz — wierz mi, lepiej się zgódź, jeśli chcesz widzieć Fintana O'Grady'ego wśród żywych — jest randka z Joe Rothem.

— Myślę, że znalazł inną dziewczynę — zaprotestowała.

— Uwielbiasz wyzwania! Nie odpowiedziała.

— Obiecuj mi — nalegał słabo Fintan. — Obiecuj, że spróbujesz.

— Przemyślę to.

— Wiem, że obie mnie nienawidzicie. — Wyszczerył do nich zęby. — Ale gdybyście widziały to, co ja widzę, czułybyście niesmak na widok tego, jak marnujecie sobie życie. Wegetujecie niczym rośliny, gdyż uważacie, że kiedyś w przyszłości wszystko nagle zrobi się doskonałe. Idźcie już do domu, zmęczyłem się wami. Tara, pamiętaj, pakuj torby, a ty, Katherine, w poniedziałek włóż do pracy najlepsze majtki. A przede wszystkim wyjdźcie stąd i żyćcie, żyćcie, żyćcie!

Szttywno pokiwały mu głowami na do widzenia. Kiedy wychodziły, pojawili się Neville i Geoff.

— Przepraszam, dziewczyny — jęknął Fintan — ale czuję się zbyt parszywie na wizyty.

W trakcie jazdy windą Tara i Katherine milczały, a po wyjściu ze szpitala pomachały Harry'emu, Didierowi i Willowi, którzy hałaśliwie zmierzali do Fintana, obarczeni kwiatami, czasopismami i piwem. Kwiaty i czasopisma były dla Fintana, piwo dla nich.

Kiedy Tara wyjeżdżała garbusem z parkingu, nadjechał inny samochód. Katherine pomachała jego pasażerom, Javierowi i Butchowi.

— Zastanawiam się, czy Didier będzie chodził z Butchem?

— odezwała się bez zainteresowania.

— Ja też.

Przez niemal dwadzieścia minut jechały w zupełnej ciszy. W końcu przerwała ją Tara.

— Fintan to dowcipniś, co? — roześmiała się nieszczercze.

— Absolutny wariat.

Katherine znieruchomiała. Czyżby niepotrzebnie się gryzła?

— Myślisz, że żartował?

— Pewnie, a niby co? — Tara popatrzyła na nią z lekką drwiną. — Kto brałby to poważnie? Ale z niego jajcarz!

Katherine spojrzała z niepokojem. Wcale nie była taka pewna, czy Fintan je nabierał. Jeśli jednak...

— Jajcarz! — przytaknęła gorliwie. — Zwariował zupełnie. Tym razem roześmiały się szczerze.

— Na samą myśl...

— Odbiło mu.

— Te jego dziwaczne pomysły!

— My też jesteśmy nie lepsze. Przez chwilę myślałam, że mówi poważnie — przyznała się Katherine.

— Widziałam — odparła Tara. — Ja od razu wiedziałam, oczywiście.

Raz jeszcze zachichotały na myśl o znakomitym żarcie Fintana.

43

Lorcan leżał w łóżku z uosobieniem heroinowego szyku — jasnowłosą, dwudziestotrzyletnią, „pauzującą” aktorką o imieniu Adrienne, zaawansowaną anorektyczką. Adrienne wyznawała filozofię przewagi umysłu nad materią. Tylko tak potrafiła żyć z nie opuszczającym jej głodem. W ten sposób usidliła Lorcana. Wciąż wpadała na niego na castingach i raimo świadomości, że miał dziewczynę, nieustępliwie go podrywała. Nieustannie powtarzała sobie, że w wyobraźni musi widzieć ich razem — tak, jak wyobrażała sobie jedzenie trzech solidnych posiłków dziennie oraz nie istniejących słodyczy o jedenastej i czwartej — a wkrótce stanie się to rzeczywistością. Musiała tylko odpowiednio mocno go pragnąć, a będzie jej.

Zadziała! Co było przyjemnym zaskoczeniem, gdyż za pomocą tej samej techniki usiłowała dostać jakąkolwiek rolę i poniosła tak spektakularną klęskę, że zmuszona była dorabiać na boku jako kosmetyczka, by odpędzić widmo głodu.

Po stosunku, jeszcze spleceni ze sobą, leżeli na jej futonie z wyprzedzący. Nie dałoby się wcisnąć między nich szpilki.

Adrienne promieniała. Teraz, gdy przeleciała Lorcana, nie mogła uwierzyć, że kiedykolwiek w to wątpiła. Nie zamierzała tolerować żadnych wysoków z jego strony. Zaczynij tak, jak chcesz kontynuować.

Podparła się na kościstym łokciu, a zagłodzone mięśnie jej ramienia lekko zdrząły, gdy oparła na dłoni zbyt dużą w stosunku do ciała głowę.

— Mam nadzieję, że to nie przygoda na jedną noc — powiedziała żartobliwie, patrząc na Lorcana rozciągniętego w swej nagiej wspaniałości.

Lorcan założył ręce za głowę, eksponując jedwabiste kępki złocistych włosów pod pachami.

— Przygoda na jedną noc? — powtórzył zdumionym głosem. — Żartujesz sobie?

Adrienne pławiła się w zadowoleniu z samej siebie. Była niemal pewna, że jest wyjątkowo ważna dla tego mężczyzny, ale nigdy nie wiadomo...

— Nawet nie przyszłoby mi do głowy przygoda na jedną noc — ciągnął Lorcan. — Nie wierzę w nie.

Jej ego jeszcze bardziej spuchło. Adrienne poczuła przypływ pogardy dla wszystkich kobiet, które pozwalały, żeby mężczyźni źle je traktowali. Jej nie mogłoby się to przydarzyć. O nie.

— Chodzi mi o to — dodał z promiennym uśmiechem — że cała noc to przesada. Zwariowałaś? Kto by chciał takich zobowiązań?

Zanim jeszcze nieproporcjonalnie wielka głowa Adrienne miała szansę się nad tym zastanowić, Lorcan z wdziękiem zerwał się z futonu.

— Co robisz?! — Adrienne była przerażona.

— Ubieram się.

— Dlaczego? — Nie mogła uwierzyć w tę nagłą porażkę.

— Trudno, żeby tak poszedł do domu — zaśmiał się i pokazał ręką swoje wielkie, nagie ciało.

Kiedy szukał na podłodze zaginionych majtek, Adrienne wyjąkała:

— Przecież jest pierwsza w nocy. Nie możesz iść.

Była zbyt młoda i piękna, by umieć ukryć rozczarowanie. Nie miała praktyki. Nieważne, wszystko w swoim czasie.

— Muszę iść — zaprotestował Lorcan z udawaną niewinnością.

— Dlaczego?

— Dlatego — ryknął, jakby nigdy w życiu nie słyszał równie głupiego pytania — że moja dziewczyna będzie się zastanawiała, gdzie jestem!

— Przecież z nią nie mieszkasz.

— Obiecałem, że do niej wpadnę.

Adrienne miała resztki nadziei, że żartował, ale kiedy z przyprawiającą o zawrót głowy gorliwością wciągnął dzinsy i buty, uświadomiła sobie, że mówił śmiertelnie poważnie i że zrobił ją w trąbę. Z różnych powodów. Zaszlochala w duszy.

— Żal mi ciebie — rzuciła do jego pleców, gdy już całkiem ubrany przeglądał się w lustrze.

— Dlaczego? — Wydawał się szczerze zaniepokojony. — Ze względu na moje włosy?

Wybałuszyła oczy zbita z tropu, gdyż miała właśnie wygłosić mowę typu: „Pewnie bardzo cierpisz, skoro musisz być taki okrutny”.

— Nie — wykrztusiła. — Nie ze względu na twoje włosy. Żal mi ciebie, bo musisz być bardzo popieprzony, skoro... — Urwała. Ciekawość przeważyla. — O co chodzi z twoimi włosami?

— No cóż. — Lorcan zaśmiał się pobłaźliwie i narysował aureolę nad swoją głową. — Patrz, w jakim są stanie. Co za bałagan!

Po seksualnych igraszkach rzeczywiście tak było. Upokorzonej, oszołomionej Adrienne jego sterczące loczki skojarzyły się z różkami. Radosny Lorcan dostrzegł słoiczek wosku fryzjerskiego na toalecie. Nie tego, którego zwykle używał, i zdecydowanie nie ekskluzywnego — o ile pamiętał, ta marka dostała tylko dwie na pięć możliwych gwiazdek w dobrze mu znanym numerze „Modnych fryzur” — ale musiał się tym zadowolić.

— Co o nim sądzisz? — Wyciągnął lśniący karmazynowy słoik ku Adrienne. — Słyszałem, że dobrze trzyma, ale włosy są nieco lepkie.

— Jak możesz mówić o włosach? Ja chcę porozmawiać o naszym związku.

— Naszym czym? — Lorcan skrzywił się z rozbawieniem.

Nie odpowiedziała. To była pomyłka.

— Nigdy nie będziesz szczęśliwy — wymamrotała w końcu, powtarzając słowa niektórych ofiar Lorcana.

Wzruszył ramionami i roztarł między palcami odrobinę różowego wosku, jak nakazano w instrukcji.

— Dlaczego mi to robisz? — zapytała.

Właśnie, dlaczego? Z uczuciem pogłaskał się po włosach. Moje piękne, moje śliczne.

— Powiedz coś do mnie! — krzyknęła z rozpaczą. — Czego chcesz od życia? Czego szukasz? Chodzi mi o to, czego PRAGNIESZ?

Przez długą, pełną ciszy chwilę Lorcan patrzył na jej odbicie w lustrze.

— Pokoju dla świata.

Kiedy Lorcan wyszedł z mieszkania Adrienne, był dziwnie ponury.

Trzy tygodnie po fiasku z prawdziwym masłem nadal nie miał pracy. Nie trafiła mu się także okazja, by powalić świat na kolana swoją interpretacją Hamleta. Jego rozliczne modły, by Frasier Tippet skreślił kark albo zachorował na

zapalenie opon mózgowych, spęłży na niczym. Jaki Bóg siedzi w niebie?, często wściekał się Lorcan. Jakim chorym światem rządzi? Nie ma żadnej sprawiedliwości?

Żeby wypełnić luki w wierze w siebie, ciągle sobie przypominał, że żadna mu się nie oprze, grał z kobietami w rozmaite gry, gdyż nikt nie chciał grać z nim. Kiedy jednak oddalał się od mieszkania Adrienne, nie czuł się ani zwycięski, ani podbudowany. Zamiast tego ogarnął go lekki niesmak. Do Adrienne? A do kogóż by? Uświadomił sobie jednak, że jego pogarda do niej ma coś wspólnego z Amy.

Przedzierał się przez nie znane sobie uczucia, usiłując to zrozumieć. W końcu uspokoił się — uznał, że Adrienne powinna była okazać Amy więcej szacunku. Zachowała się niezbyt elegancko, kiedy położyła mu rękę na udzie i powiedziała znacząco:

— Codziennie robię sto brzuszków.

Tak, cmoknął świętoszkowato Lorcan, tak nie wolno traktować Amy.

44

W sobotni wieczór Liv i Milo oficjalnie zostali parą. Ogłosili wiadomość o swoim związku, napomykając wstydliwie, że idą do kina na nocny seans, na co Timothy zareagował radośnie:

— Świetnie! Chodźmy na western. Będzie grał Clint Eastwood?

Zapadła niezręczna cisza, a następnie Liv zaczerwieniła się i wymamrotała:

— Widzisz, tylko ja i Milo idziemy. JaneAnn była wyraźnie podekscytowana.

— Każda potwora znajdzie swego amatora — oznajmiła. — Wiedziałam, że i on kiedyś w końcu kogoś znajdzie. Milo to porządny chłopak, ale w Knockavoy nie ma nikogo, z kim mógłby się związać. To prawda, że podróże kształcą. Zasłużył na dobrą kobietę. Zwłaszcza po tym, jak... — urwała, walcząc ze łzami — ...jak rozczarowała go Eleanor Devine. Ostrzegalam go. Mówiłam, żeby nie wierzył tym z Quinard. Znam ich od pokoleń. Mogliby ukraść ci krowę i zwalić wszystko na Bogu ducha winnych Cyganów. Ale każdy popełnia błędy — uśmiechnęła się z rozmarzeniem. — Liv pokocha Knockavoy.

Tara i Katherine wymieniły zdumione spojrzenia. JaneAnn już pożeniła Liv i Mila.

— A najważniejsze, że dobra z niej katoliczka — dodała JaneAnn.

Liv była także dobrą buddystką, hinduistką, sikhijką, scjentolożką, żydówką i ateistką, jeśli akurat jej to pasowało. Nikt jednak nie wyprowadzał JaneAnn z błędu.

— Nie sądzi pani, że ciężko jej będzie w Knockavoy, tak daleko od domu? — Tara poczuła się w obowiązku postawić to pytanie.

— Ale ona i tak jest daleko od domu — słusznie zauważyła JaneAnn.

— A jej praca?

— Mila stać na to, by o nią zadbać. Przy nim niczego jej nie zabraknie.

— Może Milo przeprowadzi się do Londynu — zasugerowała ostrożnie Katherine.

JaneAnn wybuchnęła serdecznym śmiechem. Nie mogła się uspokoić.

— Trochę rozumu, dziecko — powiedziała wreszcie, ocierając oczy. — Gdzie twój zdrowy rozsądek? Właściciel takiej pięknej ziemi miałby żyć w Londynie?

— Dlaczego on mi to robi, o najędrsza? — Tara zwróciła się do Liv. — Szwedzka Anno Raeburn, dlaczego chce zrujnować mi życie? Podobno jest moim przyjacielem.

Było niedzielne popołudnie. Tara, Katherine i Liv na chwilę wymknęły się ze szpitala do pobliskiego pubu.

Problem w tym, że Fintan ponowił swoje niekonwencjonalne żądania. Żeby jeszcze pogorszyć sprawę, poinformował Sandra i rodzinę, czego sobie życzy.

JaneAnn przenosiła zdumiony wzrok z Tary na Katherine.

— Dziewczęta — wyjąkała. — Musicie zrobić to, o co was prosi. Nie możecie mieć go na sumieniu.

Tara i Katherine rozglądały się w poszukiwaniu sojusznika, ale ujrzały, że Milo, Timothy, Sandro, Liv i, rzecz jasna, JaneAnn, patrzą na nie jak na morderczynie.

— Fintan zdał sobie sprawę z własnej śmiertelności — wyjaśniła Liv Tarze, cytując *Dobroczynny żal*, aktualnie czytana książkę. — Ponieważ czas zaczął się kurczyć, stał się nagle bardzo cenny. Nie tylko jego czas, czas pozostałych także.

Wszystkie trzy poczuły nagły przypływ empatii, który minął równie szybko, jak się pojawił.

— Rzecz w tym — zaczęła z nadzieją Tara — że to wszystko nie ma żadnego sensu, bo on nie umrze. Leczą go bardzo silnymi dawkami chemii, a wiele osób z tą chorobą zdrowieje.

Liv nie zamierzała odpuścić.

— Guz na jego szyi nie zmalał, a badania kontrolne nie wykazują żadnej poprawy po chemioterapii. Znalazłaś się w fazie zaprzeczeń, nie umiesz stawić czoła rzeczywistości.

— Może za kilka dni mu przejdzie — pocieszyła je Katherine. — Ma teraz trudny okres. Nic dziwnego, że trochę wariuje.

Oblicze Liv zachmurzyło się.

— Nie wariuje. Myślę, że ma rację. Powinnaś zostawić Thomasa. — Wskazała głową Tarę. — A tobie potrzeba dobrego chłopca! — wrzasnęła do Katherine.

Większość gości w pubie odwróciła się i na nie spojrzała. Zanim wściekła Tara i przerażona Katherine miały szansę kazać jej spieprzać i pilnować własnego nosa, Liv wypadła z pubu.

— Co się z nią dzieje, na litość boską?! — wykrzyknęła Tara.

— Skąd mam wiedzieć? — odburknęła Katherine.

Siedziały w pełnej niechęci ciszy. Tara paliła, a Katherine bawiła się kluczykami od garbusa.

— Mogłabyś, kurwa, przestać?! — wybuchnęła Tara i mocno uderzyła Katherine w rękę. — Doprowadzasz mnie do szaleństwa.

Katherine zrobiła krnąbrną minę, ale odłożyła kluczyki.

— Powinnyśmy wracać do szpitala — powiedziała w końcu Tara.

— Jeszcze nie.

— Dobrze, ja też nie chcę wracać. Boję się, że zaraz znowu na nas wsiądą.

— Mogą to sobie wsadzić — parsknęła Katherine.

— A może ty zostawisz Thomasa, a ja się prześpię z Joe Rothem? — zaproponowała Tara.

Roześmiały się nerwowo, chwilowo sprzymierzone.

— Nie sądzisz chyba... — Tara umilkła. Musiała powiedzieć to delikatnie. — Nie sądzisz chyba, że Fintan kazał nam to zrobić, bo się wścieka, że on jest bardzo chory, a my nie? Nie sądzisz, że to jakaś zemsta? Że chce nam zniszczyć życie, bo jego jest zrujnowane?

Tego już było dla Katherine za wiele.

— Powiedziałabym raczej, że to taki jego kaprys — odparła ostro. — Ta terapia szokowa wyprowadziła go trochę z równowagi.

— Mam nadzieję — stwierdziła Tara. — Bo jeśli się nie odczepi, przestanę go odwiedzać.

— Jak możesz tak mówić?! — wykrzyknęła Katherine, która sama też zabawiała się tą myślą.

— Tobie to łatwo — broniła się Tara. — Dostałaś lepsze zadanie. Masz iść do łóżka ze wspaniałym facetem, a ja mam odejść od mężczyzny, którego kocham.

— To nie tak — odezwała się zirytowana Katherine. — Paraliżuje mnie sama myśl o tym.

— Akurat!

— Naprawdę! Wiesz, że nie mogę.

— Czego nie możesz? Spójrzec łaskawie na jakiegoś ślicznego faceta, któremu się podobasz? Pomyśl o zakończeniu dwuletniego związku i o samotności w wieku trzydziestu jeden lat. To dopiero paraliżujące. Właściwie dlaczego nie chcesz spotkać się z tym Joe?

Zanim Katherine zdążyła odmówić odpowiedzi, Tara westchnęła z nieoczekiwaną wściekłością. Nagle dokładnie wiedziała, co powinna powiedzieć.

— Będę szczerą, Katherine — usłyszała swój głos i przygwoździła Katherine gorącym spojrzeniem. — Nie chciałam tego mówić, ale widzę, że trzeba. Fintan ma rację co do ciebie. Chcesz się zaangażować. Chcesz związku z mężczyzną. — Już nie mogła się powstrzymać. Wylało się zbyt dużo emocji. Odetchnęła głęboko, ze złością. — Twoje życie jest po prostu śmieszne, z tymi majtkami, kontrolą, czystym mieszkaniem i bez chłopaka. Fintan wcale nie zwariował, z tobą trafił w sedno. Kocha cię i chce, żebyś była szczęśliwa. — Na widok groźnej miny Katherine jeszcze podniosła głos. — Niezależnie od tego, co się wtedy stało w Limerick, nie możesz zasłaniać się tym do końca życia, chociaż nie wiem, co to było. Jestem twoją najlepszą przyjaciółką, a nie mam pojęcia.

Katherine w końcu odzyskała głos.

— Ze mną?! — zawyła z wściekłością. — Trafił ze mną w sedno? Ty krowo. Miałam nic nie mówić, ale teraz powiem. Fintan ma na celu wyłącznie twoje dobro. Ty też wiesz, że powinnaś odejść od Thomasa, dlatego tak się wkurzasz na Fintana...

— Nie dlatego się na niego wkurzam...

— I mówisz, że to moje życie jest śmieszne! A twoje? — zapytała z zaczerwienionymi policzkami. — Wolisz być z kimś tak strasznym niż bez mężczyzny. To żalosne. Patrz, jaka stałaś się gruba. — Tara wzdrygnęła się, podobnie jak w głębi duszy Katherine, która jednak parła przed siebie jak pociąg bez maszynisty: — Jesz za dużo, bo on cię unieszczęśliwia. Masz tupet, twierdząc, że Fintan próbuje zniszczyć nam życie, kiedy wszyscy widzą, że on stara się ci pomóc, bo cię kocha.

— Jak może mnie kochać? — Wściekłość z ostatnich trudnych tygodni wreszcie wydostała się na powierzchnię. — Przecież każe mi opuścić człowieka, którego kocham.

— Nie mogę wyobrazić sobie nic przyjemniejszego od opuszczenia Thomasa. — Z Katherine aż wylewała się gorąca, gorzka żołąć. — Mówię ci, zapłaciłabym, żeby zobaczyć jego gębę.

— Dlaczego tak go nie cierpisz? — syknęła Tara przez zaciśnięte zęby.

— Nadal ma tę małą brązową portmonetkę? — spytała z pogardą Katherine.

— Dlaczego miałby nie mieć?

— To jeden z powodów.

— Idę stąd. — Tara złapała kluczyki od samochodu. — Nie zostanę z kimś, kto mnie wyzywa i obraża mojego chłopaka.

— Kiedy cię wyzywałam?

— Nazwałaś mnie krową. — Głos Tary zadrżał. — I powiedziałaś, że jestem gruba.

— Ty zaczęłaś! — krzyknęła za nią Katherine. — Przyczepiłaś się do moich majtek.

Tara jednak już znikła, wyszła z pubu pełna nienawiści do Katherine, a drżąca Katherine została w lokalu. Co się stało? Powinny się wspierać w tych strasznych chwilach. Dlaczego zwróciły się przeciwko sobie? Przecież zawsze były najlepszymi przyjaciółkami?

45

Joe Roth pomyślał, że ma halucynacje. W czwartkowy poranek jak zawsze przyszedł do pracy i Katherine „Mo-lestowanie Seksualne” Casey uśmiechnęła się do niego. Uśmiechnęła się. Do niego. Chyba nie kierowała nią złośliwość. Nie był to wstęp do wyznania, że zgubiła jego rachunki albo że dostała odgórne polecenie obliczenia mu odprawy. Błysnęła drobnymi ząbkami, uśmiechnęła się zazwyczaj poważnymi szarymi oczyma, patrzyła na niego odrobinę za długo i powiedziała... miłym tonem:

— Dzień dobry, Joe.

Co się działo? Minęło dziesięć dni, odkąd rozplakała się przy nim i powiedziała, że otrzymała złe wieści, ale natychmiast po tym odzyskała zwyczajową chłodną rezerwę. Ta dzisiejsza życzliwość była jak grom z jasnego nieba.

Kiedy podpłynęła do biurka, zauważył, że coś się zmieniło w jej stroju. Był krótszy? Bardziej obcisły? Cokolwiek to było, spodobało mu się. Gdyby nie wiedział, że jest inaczej — a wiedział — pomyślałby, że z nim flirtuje.

Kiedy Katherine dotarła do biurka, drżała. A jeśli się nie uda? A jeśli podobała mu się w niej jedynie jej niedostępność? Wtedy marnowałyaby czas, będąc miła i poufała.

Nie chciała tego robić, ale musiała. Miała o sobie bardzo wysokie mniemanie. Nie chciała na nikim polegać. Zawsze musiała sama opłacać rachunki, pożyczać ludziom pieniądze, pamiętać o urodzinach, prowadzić, gdy wszyscy inni upijali się do nieprzytomności. Teraz musiała ocalić życie Fintanowi. Nie mogła liczyć na to, że ten nieodpowiedzialny, samolubny tchórz Tara Butler ruszy palcem, żeby pomóc.

Na myśl o Tarze Katherine poczuła przypływ wyrzutów sumienia — złamała najgorsze tabu i powiedziała przyjaciółce, że jest gruba. Tylko stwierdziłam fakt, pocieszała się. Mówiłam prawdę. Boże, zamieniam się w Thomasa, pomyślała. Mówię, jak jest. Minęły cztery dni od straszliwej kłótni Katherine i Tary i choć obie pogodziły się z Liv, to ze sobą nie. Były dla siebie lodowato uprzejme jedynie ze względu na O'Gradych.

Choć Katherine doskonale wiedziała, że sugestia, że styl życia może mieć wpływ na czyjegoś raka, jest idiotyczna, nie dawało jej to spokoju. Prześladowała ją myśl, że O'Grady, Sandro i Liv patrzą na nią oskarżycielsko. Z każdym mijającym dniem jej paranoja się pogłębiała. Podejrzewała, że pielęgniarki, a także inni pacjenci, inni goście, nieznajomi na ulicy, lustrują ją pogardliwie.

Najgorsze było to, że czuła przemożną miłość do Fintana. Wciąż wspominała, jaki był, nim zachorował: zdrowy i krzepki niczym rasowe zwierzę, z pięknymi, gęstymi, błyszczącymi włosami i lśnjącymi oczyma. Następnie spoglądała na skurczone, apatyczne stworzenie o nieruchomym wzroku, na jego wypadające włosy i spuchniętą szyję, i nie mogła pozbyć się myśli, że Fintan już nie wydobrzeje. W tych chwilach skręcającego wnętrzości strachu i nieznośnego smutku zrobiłaby dla niego wszystko. Wszystko.

W innych przypadkach rzadziej wracało poczucie, że zostało jej pół roku, starała się patrzeć na życie oczyma Fintana i zgadzała się, że koniecznie należy wykorzystać każdy dzień. Dawała się wtedy porwać radosnej miłości do życia, wszystko wydawało się takie piękne, radośnie proste. Jasne, że spróbuje szczęścia z Joe Rothem!

Te chwile jednak mijały i Katherine z hukiem wracała na ziemię. Obarczona brzemieniem, które jeszcze pięć minut wcześniej wydawało się najłatwiejszą rzeczą na świecie.

Potem jej nastrój znów się zmieniał i rozpatrywała żądanie Fintana pod innym kątem. Fintan ją kochał. Chciał dla niej jak najlepiej, a ona z pewnością powinna mu zaufać.

Z pewnością?

Przez chwilę to jej się udawało, a potem pewność znowu zniknęła.

Wszystkie głosy w głowie Katherine nabierały siły i krzyczały coraz donośniej. Wszyscy, czasem nawet ona sama, popychali ją ku Joe Rothowi. Uświadomiła sobie, że nie zazna spokoju, jeśli przynajmniej nie spróbuje.

Rzecz jasna, jako ostrożna dziewczyna męczyła się przez wiele dni, zanim w końcu podjęła decyzję, a jej przekonanie zmieniło się z „wykluczone” na „możliwe”, na „ze wszech miar pożądane”, a następnie znowu na „wykluczone”.

W końcu uznała, że łatwiej będzie spróbować, niż nie próbować, ze względu na poczucie winy, naciski, strach i sumienie. Był też jeszcze jeden czynnik. Pod tym wszystkim czuła coś, do czego nie przyznałaby się nawet na mękach: pragnęła Joe Rotha. W głębi domyślała się, że żądanie Fintana było jedynie pretekstem.

W czwartkowy poranek, mając wrażenie, że przygotowuje się do bitwy, zebrała się na odwagę i zmusiła do włożenia krótkiej, czarnej „pociągającej” — choć Katherine nigdy by jej tak nie nazwała — spódnicy. Czuła się tak niepewnie, jakby była naga — nawet osłonięta obszernym płaszczem. Ledwie zdołała wyjść z mieszkania. Była pewna, że każdy mężczyzna w Breen Helmsford domyśli się, co knuła.

Rzecz jasna, wiedziała, że to, co ona uważa za krótkie i obcisłe, wygląda jak szata zakonna w porównaniu z obcisłymi lambrekinami ledwie zakrywającymi tyłki niektórych jej koleżanek, choć to wszystko jest względne.

W drodze do pracy modliła się, żeby Joe nie przyszedł. Znienacka albo z powodu choroby, albo śmierci. Kiedy jednak przekroczyła próg, okazał się pierwszą osobą, którą dostrzegła. Widziała i jego skórę, i wystające kości policzkowe, i długą, szczupłą sylwetkę. Ogarnęło ją paraliżujące przerażenie. Jak mogłaby flirtować z tym mężczyzną? Za bardzo się jej podobał. Momentalnie zrezygnowała ze swoich planów. Uznała, że nic nie robi, będzie się normalnie zachowywała i go zignoruje.

Następnie przypomniała sobie Fintana na szpitalnym łóżku i poczuła się jak John Malkovich w *Niebezpiecznych związkach*. „To nie zależy ode mnie”, powiedziała w myślach. „To nie zależy ode mnie”. Musiała to zrobić.

Najpierw musiała wszem wobec zaprezentować krótką spódniczkę. O Boże! Gorączkowo zastanawiała się, czy nie pracować w płaszczu, ale uświadomiła sobie, że to wzbudziłoby jeszcze więcej podejrzeń. Niemal umarła podczas rozbierania się: wyjęła z płaszcza jedną rękę, potem drugą. Rzucając dookoła paranoiczne spojrzenia, żeby sprawdzić, czy mężczyźni trącają się i komentują, przygotowywała się do przejścia do biurka.

Godność przede wszystkim, powiedziała sobie. Pomyśl o Padraigu Pearsie przed plutonem egzekucyjnym, pomyśl o Joannie d'Arc na stosie. Tak pokrzepiona, uniosła wysoko głowę, zwalczyła pragnienie obciągnięcia spódnicy i ruszyła w stronę Joe.

Nawiąż kontakt wzrokowy, nakazała sobie głosem kaprała.

Nawiązała.

Przygotuj się do uśmiechu!

Uśmiechnęła się.

Z uczuciem!

Z uczuciem.

Wytrzymaj.

Wytrzymała.

Odezwij się do niego! I to właściwie!

Czując, że język jej spuchł, zdołała wykrztusić:

— Dzień dobry, Joe.

Tylko na tyle cię stać? Szokujące! Nie masz wyjścia, musisz kręcić tyłkiem.

Sztywno, jakby była z drewna, spróbowała pokręcić biodrami na odchodnym. Z gorączkową ulgą dotarła do swojego krzesła, gdzie wreszcie mogła spocząć.

Usiadła, drżąc, i czekała na owoce swoich wysiłków. Musiał potraktować jej rozwiązłe zachowanie jako zachętę. Czy podejdzie i gdzieś ją zaprosi? Pewnie nie, jeśli podobała mu się w niej jedynie niedostępność.

W grę wchodziła jeszcze Angie. Katherine nadal nie miała dowodu, że Joe i Angie się spotykają, ale jeśli tak, raczej by jej to nie ucieszyło. Ani Fintana.

Spędziła niespokojny poranek, pełen nerwowego oczekiwania, na dyskretnej obserwacji Joe. Patrzyła na jego długie, wrażliwe palce i marzyła, by ich dotknąć. Bardzo chciała objąć go w pasie.

Przed lunchem nie podszedł, więc zebrała się na odwagę, uśmiechnęła się do niego raz jeszcze i powiedziała: „Miłego lunchu”. Nikt nie będzie mógł zarzucić, że Katherine Casey zaniedbuje obowiązki!

Całe popołudnie czekała na jego powrót. Obserwowała go ukradkowo, jak chodził i jak siedział. Zdumiewało ją, że tak bardzo się jej podoba. Odchyłał się na krzesło, rozmawiał przez telefon, śmiał się z czyichś słów. Albo rozmawiał z kimś ze swojego zespołu, a na jego twarzy odbijały się emocje. Albo w zadumie stukał długopisem o zęby. Czowała ciepło, nerwowe, pełne oczekiwania skurcze w żołądku.

Nadal jednak nie podchodził. Około piątej uśmiechnęła się do niego raz jeszcze, aby zasugerować, że chętnie wybierze się na drinka po pracy. Kiedy ostrożnie odpowiedział jej śmiechem, ukazując kilka — niewiele — białych zębów i nic nie powiedział, Katherine lekko się zniechęciła. Trudno było powiedzieć, żeby się przykładał. Albo wychodził jej naprzeciw.

Kiedy długi dzień dobiegł końca i Katherine spakowała rzeczy, usiłowała posłużyć się językiem ciała. Idę już. Idę, wiesz. Ostatnia szansa dla Joe Rotha na zaproszenie Katherine Casey na drinka. Nic się jednak nie wydarzyło.

Co jeszcze mogę zrobić?, zapytała się w duchu. Poza fizycznym atakiem? Pokazać mu biust z tej odległości?

I to był koniec całej sprawy. Czowała się rozczarowana, ale trochę jej ulżyło. Nie całkiem się zdumiała. Domyślała się już, że Joe Roth jest silny i uparty. Raz stanowczo odrzucony, postanowił więcej nie próbować.

Przynajmniej dała mu szansę. Może gdyby była całkiem szczerą, przyznałaby się, że robiła to trochę bez przekonania. Oczywiście, nie osiągnęła zamierzonych rezultatów. Teraz jednak mogła iść do Fintana i zupełnie szczerze powiedzieć mu, że próbowała.

Miała nadzieję, że nie odbierze nagrody w postaci swojego wyzdrowienia, jak ci, którzy nie płacą, gdy adwokat przegra sprawę. Nie ma wygranej, nie ma zapłaty. Nie ma bzykania, nie ma wyzdrowienia.

Kiedy Katherine pojawiła się w szpitalu, chwilowo nie było falangi krewnych i znajomych, więc Sandro i Fintan mieli rzadką okazję побыć sam na sam. Siedzieli blisko siebie, trzymając się za ręce, a łączyło ich intymne porozumienie, którego nie chciała zakłócać. Sandro coś mruczał, Fintan się uśmiechał. Kiedy podeszła bliżej, usłyszała, o czym rozmawiają.

— ...basen ze świeżą wodą, opieka rezydenta, renomowany kucharz, nocne rozrywki i dzienne wycieczki do pobliskiej dżungli, gdzie można pojeździć na koniu.

— Cześć — wyszeptała Katherine i cicho przysunęła sobie krzesło.

— Tajlandia. — Fintan wykrzywił usta w uśmiechu. — Pałac orchidei w Chiang Mai.

— Brzmi świetnie.

— Będziemy podróżować po Tajlandii — wyjaśnił Sandro.

— Potem pojedziemy do Phuket.

— Zatrzymamy się w pięciogwiazdkowym hotelu.

— Będziemy jeździć na nartach wodnych, i nie tylko.

— Kiedy Fintan wyzdrowieje, naprawdę to zrobimy.

— Po safari w Kenii. I dwóch tygodniach w La Source na Grenadzie. Pokaż Katherine prospekt La Source, Sandro.

Sandro przejrzał stosik ulotek reklamowych na podłodze i w końcu znalazł La Source, a Katherine uprzejmie wyraziła podziw. Następnie Sandro poszedł po napoje i zostawił Katherine sam na sam z Fintanem.

— Mam dla ciebie dobrą wiadomość — oznajmiła. — Ruszyłam do ataku na Joe Rotha.

Może „ruszyłam do ataku” było przesadnym określeniem trzech uśmiechów i pięciu słów, ale Fintan nie musiał o tym wiedzieć.

— Cudownie! — Zachwycony usiłował usiąść, ale nie zdołał.

— Nic ci nie jest? — zapytała z niepokojem Katherine. — Dlaczego jesteś taki słaby? Już od trzech dni nie masz chemioterapii.

— Mój układ immunologiczny jest rozpieprzony, białe krwinki kompletnie zniknęły. — Wzniósł oczy do nieba. — Skutek uboczny chemioterapii. Chociaż mówią, że wszystko to skutek uboczny chemioterapii. Gdybym spadł z drabiny i złamał sobie nogę, to też byłby skutek uboczny chemioterapii.

— O Boże, dlaczego to się nie skończy?

— Nieważne. — Zainteresował się weselszymi rzeczami.

— Opowiedz mi o Joe Rocie. Umówiliście się czy co? Kiedy? Dokąd cię zabiera?

— Donikąd. — Czują się okropnie, tak go rozczarowując.

— Nigdzie mnie nie zaprosił.

— Mówiłaś, że masz dla mnie dobrą wiadomość.

— Bo miałam. — Katherine zmusiła się do uśmiechu. — Zrobiłam, co mi kazałeś. Uśmiechałam się i z nim rozmawiałam. Wiem, że to nic nie dało, ale trudno mnie o to oskarżać.

Fintan siedział w milczeniu.

— Zrobiłam, co mi kazałeś — powtórzyła słabo.

— Nie, to nie wystarczy — oświadczył władczo Fintan. — Po prostu nie.

Serce ścisnęło się jej w piersi i raz jeszcze pomyślała o zakończeniu przyjaźni z Fintanem.

— Przeprosiłaś go za oskarżenie o molestowanie seksualne? — zapytał.

— Cóż, nie...

— Jak możesz czegokolwiek oczekiwać, skoro to wciąż wisi między wami? — zbeształ ją Fintan. — Daj spokój, Katherine Casey!

— Co mam z tym zrobić? — odparła krnąbrnie. — Co się stało, to się nie odstanie.

— Przepróż go!

— Nie mogę. — Na samą myśl o podejściu do Joe, z pokorą i poczuciem winy, skuliła się i zadrżała.

— Nie możesz tak traktować ludzi — powiedział z naciskiem Fintan. — To, co mu zrobiłaś, było bardzo niewłaściwe.

— Nie było cię tam — stwierdziła ze złością. — Tak się rządził, nie chciał mnie zostawić w spokoju...

— Czy to było molestowanie? — spytał Fintan. — Czy twoja praca byłaby zagrożona, gdybyś nie zrobiła tego, czego chciał?

— Nie, ale...

— Dotykał cię? Robił aluzje seksualne?

— Tak! — oznajmiła pewnie i opowiedziała mu, jak Joe powtarzał, że uwielbia jej akcent i że jest cudowna.

— Komplementy to nie to samo. — Fintan bywał bardzo skrupulatny. — Czy nie odchodził, kiedy mu kazałaś?

— Tak, ale wcześniej bardzo się rządził — upierała się Katherine. — Ciągle, ciągle... mówił do mnie.

— Posłuchaj, co ty wygadujesz, wariatko.

— Co najmniej cztery razy zaprosił mnie na lunch.

— Tylko się pograżasz. Niedługo będziesz równie walnięta jak twoja matka. To bardzo proste: przepróż, a potem zaprosz go na drinka. Najwyżej odmówi. To jeszcze nikogo nie zabiło. — Mrugnął do niej łobuzersko.

— Nie — odmówiła.

— Owszem, tak. Wiem, że jesteś okropnie uparta. Nie uśmiechnęłabyś się do niego, gdybyś naprawdę tego nie chciała. Ja byłem tylko katalizatorem. Mimo że tak na mnie narzekasz, moja choroba jest ci bardzo na rękę, Katherine Casey.

Zakłopotana Katherine zastanawiała się, czy żartował.

— Zesłana przez Boga dla ratowania ciebie i twojego życia miłosnego — roześmiał się.

— Jak możesz mówić takie rzeczy?! — wybuchnęła. — Nie mógłbyś się bardziej mylić. Uśmiechałam się do Joe Rotha tylko po to, żebyś się ode mnie odczepił.

— No dobrze — oznajmił radośnie Fintan. — Skoro tak to chcesz rozgrywać, wiedz, że się od ciebie nie odczepiłem.

Czy jest z tego jakieś wyjście?, zastanawiała się.

— Proszę, Katherine — nalegał Fintan. — Jesteś moją jedyną nadzieją. Nie ma szans, żeby ten tchórz o miękkim sercu, Tara Butler, zostawiła okropnego Thomasa. Jeśli chcesz, żeby coś było załatwione, poprosz Katherine „Niezawodną” Casey: ona cię nie zawiedzie.

Katherine poczuła przypływ dumy, zanim uświadomiła sobie, że tylko zacieśniał pętlę.

— Zmieniłeś się — westchnęła. — Zrobił się z ciebie manipulant.

— Postarasz się?

— Postaram się. — Co mogła odpowiedzieć?

— A teraz zacznij paść oczy moim widokiem, Katherine — oznajmił Fintan. — Patrzysz na próżniaka.

„Próżniak” natychmiast przywołał na myśl wytworne, światowe obrazy: wąsy Davida Nivena. Cygarniczki, szklanki z martini, łodzie motorowe, coupé. Popatrzyła na kościstą twarz Fintana, przekrwione oczy, rzadkie, coraz rzadsze włosy. Chryste.

— Jak to?

— Wywalili mnie!

— Kto?

— Moja szefowa, a niby kto? Doktor Singh? Dale Winton? Richard i Judy? Rikki Lake? Rany — zadumał się nagle. — Mój świat tak bardzo się skurczył.

— Chodziło mi o to...

— Cannella. Ona sama. W swojej własnej ubranej jak z żurnala, naszprycowanej koką osobie.

— Chcesz powiedzieć, że przyszła do szpitala i zwolniła cię, kiedy leżałeś w łóżku? Dlaczego? Można zwolnić człowieka za chorobę?

— Była zaniepokojona — uważaj — że psują wizerunek firmy.

Nagle Katherine zrozumiała.

— Myśli, że jesteś seropozytywny. Fintan skinął głową.

— To niesprawiedliwe — zaprotestowała. — Myślałam, że środowiska związane z modą są bardzo życzliwe dla ludzi z HIV.

— Może zwolniła mnie, bo nie mam HIV — powiedział cierpko. — Sam nie wiem. — Zacisnął mocno usta. Po chwili ta zbuntowana mina zniknęła, gdy dolna warga Fintana zadrżała, a łzy wypełniły przekrwione oczy. — Co się teraz ze mną stanie? — załkał. — Nie chodzi tylko o pieniądze. — Katherine oniemiała z bezsilności. — Pracowałem dla niej przez osiem lat — powiedział ze smutkiem. — Uważałem ją za swoją przyjaciółkę. Mówiła, że jestem jej niezbędny, a teraz mnie wyrzuciła jak ludzki śmieć. Nigdy się nie prosiłem o tę straszną chorobę i kocham swoją pracę. Czuję się taki samotny. Gdybym miał AIDS, jechałbym z innymi na tym samym wózku, moglibyśmy rozmawiać o limfocytach T i robić te wszystkie wzruszające, krzepiące rzeczy. I... uszyć koldrę!

— Istnieją grupy wsparcia dla ludzi z chorobą Hodgkina — powiedziała Katherine. Odkąd Fintan zachorował, Liv powtarzała, że powinien poszukać innych chorych. Właściwie sugerowała głośno, że oni wszyscy powinni trafić do grup wsparcia dla matek chorych na raka i partnerów chorych na raka. Rodzeństwa chorych na raka. Przyjaciół chorych na raka.

— Katherine, wiem, że oczekuje się ode mnie siły, i nikt nie lubi patrzeć, jak inni rozczulają się nad sobą, ale muszę coś powiedzieć — oznajmił Fintan.

— Co?

— Boję się bólu. Boję się, że umrę w okropnym bólu, bo dostanę za mało morfiny.

— Nigdy się tak nie stanie — powiedziała cicho. — O, Sandro wrócił.

Sandro tylko zerknął na Fintana, po czym odstawił drinki, złapał ulotkę i zaczął szybko czytać:

— Sans Souci Lido na Jamajce. Luksusowy hotel z wszelkimi udogodnieniami i prywatną plażą, szeroki wybór sportów wodnych, refleksjologia, aromaterapia, karaibskie i europejskie restauracje...

— Thomas, ożenisz się ze mną?

Thomas spojrział na Tarę błyszczącymi oczyma.

— Taro. — Jego głos był schrypnięty od emocji. — Nie bardzo wiem, co powiedzieć.

— Powiedz tak — zasugerowała niskim głosem.

— Wobec tego tak! Będę zachwycony. Zaszczycony. Poczula niezwykłą ulgę, a Beryl uśmiechnęła się do niej życzliwie, kiedy wkładała miskę whiskas do zmywarki. Chwileczkę — nie mieli zmywarki. A Beryl nigdy się do niej nie uśmiechała, przecież jej nienawidziła. Kiedy Thomas wykrzyknął: „Przepraszam, pytałaś, czy się z tobą ożenię? Zrozumiałem, że pytasz, czy chcę twoich pieniędzy. Tak mi się pokręciło”, Tara się przebudziła.

Miewała koszmary, często nawet nie śpiąc. Wszystko się kręciło wokół oświadczyn.

Zwaliała winę na Fintana. I na Katherine „blaszany świerszczyk zamiast serca” Casey. Przede wszystkim jednak na ludzi z pracy. Zwłaszcza na Ravięgo. Podczas śródowej przerwy na lunch, w niemal pustym biurze, ryknął:

— Rozchmurz się! Chcesz oblizać wieczko po musie czekoladowym?

— Dzięki. — Tara ze znużeniem wzięła do ręki okrągłą folię i polizała ją bez entuzjazmu, podczas gdy Ravi odchylił głowę i wrzucił całą zawartość do ust, zręcznie wychwytyjąc zbłąkane resztki, które usiłowały spaść mu na brode.

Następnie rozdarł opakowanie kanapki z pieczoną szynką i miodem.

— Chcesz powąchać papierek? — zaproponował pełnym szacunku głosem.

W milczeniu przyjęła propozycję.

Pośpiesznie uporawszy się z kanapką, wyjął baton crunchie i zawołał:

— Crunchie! Zdrowe odżywianie.

Tara zazdrośnie patrzyła, jak pożarł go dwoma kęsami.

— Co u Fintana? — wymamrotał z ustami pełnymi miodu i mlecznej czekolady.

Tara milczała. Dobre pytanie. Co u Fintana? Guzowata narośl na jego szyi nie zmniejszyła się ani na jotę. Ani guzki na trzustce, które mogli wyczuć, chociaż wcale nie chcieli, mocno uciskając jego lewy bok. Czy powinna powiedzieć, w jakie popadł przygnębienie, gdy się okazało, że chemioterapia uczyniła go bezpłodnym? A onkolog stwierdził, że skoro Fintan jest gejem, nie ma to żadnego znaczenia?

— Wychodzi ze szpitala w sobotę — spróbowała. Zabrzmiało optymistycznie.

— Czyli zdrowieje. Bardzo dobrze.

— Wcale nie zdrowieje!

Vinnie uniósł głowę znad komputera i spojrział na Ravięgo.

— Nie nastawiono mu złamanej ręki ani nie usunięto wrastającego paznokcia. Facet ma raka, to nie przechodzi po paru tygodniach w szpitalu. To trwa miesiącami!

Podrapał się po łysiejacej czaszce i wbił wzrok w ekran. Kontynuowali więc ciszej, z głowami blisko siebie.

— Nacisk ze strony MenChel daje się Vinniemu we znaki — zauważył Ravi. — Tym razem jego kutas rządzi i to go przerosło. Nie daje sobie rady.

— Wszystko jedno — stwierdziła radośnie Tara. — Zawsze istnieje szansa, że Fintan zdrowieje. Po prostu jeszcze tego nie wiemy. Czasem trzeba czekać nawet dziewięć miesięcy, zanim leczenie przyniesie rezultaty.

— To dlaczego wychodzi ze szpitala?

— Nie ma potrzeby, żeby tam leżał. Teraz dwa razy w miesiącu będzie przychodził na chemioterapię.

— Dwa razy w miesiącu? — Ravi był sceptyczny. — To chyba za mało. Trzeba to zwiększyć. Podwoić. To może.

Tara czuła ciężar w piersi. Gdyby to było takie proste. Fintan tylko tyle chemioterapii mógł przeżyć.

— Czy jego matka i bracia będą tu przez całe dziewięć miesięcy?

— Nie, jadą do domu w niedzielę. Przynajmniej JaneAnn i Timothy.

Ravi w podnieceniu złapał ją za ramiona.

— Chcesz powiedzieć...? Chcesz powiedzieć, że Milo zostaje?

— Nie tylko zostaje. — Znacząco pokiwała głową. — Zgadnij z kim.

Ravi ledwie mógł mówić.

— Chyba nie z Liv? — pisnął. — To wspaniale.

— Na kilka tygodni — dodała Tara.

— Co z Larsem? Skontaktowała się z nim?

— Tak. Wczoraj wieczorem.

— Oooo, żałuję, że tego nie słyszałem.

— Właściwie mogłeś usłyszeć. Włączyła tryb głośnomówiący, kiedy przekazała mu nowinę.

Ravi niemal zaniemówił z rozczarowania.

— Dlaczego mi nie powiedziałaś? Przyszedłbym.

— Wybacz, wybacz, wybacz! Miałam zbyt dużo spraw na głowie. Mogłeś zauważyć. Ale to wcale nie było takie ciekawe, bo rozmawiali po szwedzku.

— Buuu.

— Przykro mi, Ravi, naprawdę.

— Płakał?

Zawahała się, a następnie skinęła głową.

— Buuu. Zaproponował, że zostawi żonę, a Liv powiedziała mu, że jest za późno?

Tara odwróciła wzrok na widok oskarżycielskiego spojrzenia Ravięgo.

— Nie mówię po szwedzku, ale myślę, że tak — przyznała.

— Powiedział, że zrobi wszystko, a ona, że już nie ma co robić?

Tara ze wstydem spuściła wzrok.

— I pomyśleć, że w niedzielę nic mnie nie trzyma w domu, nawet teleturniej — stwierdził gorzko Ravi.

Siedzieli w milczeniu.

— Pokłóciłaś się z Katherine? — spytał zniecierpliwiony Ravi.

— Czemu pytasz?

— Bo od ostatniego piątku liczba twoich telefonów spadła o siedemnaście przecinek cztery procent. Teddy obliczył to na komputerze. Co się dzieje?

— Nic.

— Powiedz. Nie rozumiem.

Przebywanie w towarzystwie kogoś równie nieskomplikowanego jak Ravi było takie odprężające! Tara poczuła, że koniecznie musi porozmawiać. Otworzyła usta i wszystko wylało się z niej jak przez pękniętą tamę. Ścisłym, ale podekscytowanym głosem typu „Nigdy nie uwierzysz, co się wydarzyło” opowiedziała mu o dziwacznej groźbie Fintana, o tym, że jeśli ona nie zostawi Thomasa ani nie poprosi go o rękę, Fintan umrze jej na złość. O koszarnej kłótni z

Katherine, choć nie wspomniała, jak Katherine skomentowała jej tuszę. O rodzinie O'Gradych spoglądających na nią, jakby przychodziła do Fintana z tasakiem. O własnych podejrzeniach.

— Wierzę mu, kiedy mówi, że umrze i będzie mnie straszyl, jeśli nie zrobię tego, co chce — przyznała. Na zakończenie dodała: — Czy nie jest wariatem?

Ravi milczał. Jedna myśl za drugą przelatywały przez jego oblicze niczym chmury zasłaniające słońce w górach.

— Wystarczy, że skiniesz głową, Ravi — powiedziała niespokojnie.

Na gładkiej, chłopięcej twarzy Raviego pojawiło się zakłopotanie.

— Ale Fintan to twój kumpel — wykrztusił. — Raczej nie chciałby ci robić krzywdy. Znasz go od czternastego roku życia, prawda?

Tara niechętnie pokiwała głową.

— A teraz masz ile? Dwadzieścia osiem?

— Trzydzieści jeden, tępolu.

— Co ty, poważnie? Aż tyle?

— Tak, aż tyle.

— No dobra. Kiedy ktoś przyjaźni się z tobą tak długo, oznacza, że jest po twojej stronie. — Ravi uśmiechnął się triumfalnie. Wszystko wytłumaczył Tarze. Dziwne, że wydawała się niezadowolona.

— Ravi, chyba mnie nie słuchałeś — westchnęła. — On chce, żebym odeszła od Thomasa. Jest chory. Nie wie, o czym mówi.

— Nie jestem taki pewny — powiedział z namysłem. — Kiedyś widziałem dokument o facecie, który płynął w czasie burzy, zaginął na morzu na siedem tygodni, odmroził sobie uszy, musiał zjadać fragmenty łodzi, niemal umarł! Uratował go trawler, ujrzał światło, zmienił swoje życie. Był dla wszystkich miły, pozbył się swojej firmy, żył pełnią życia. Mówił, że wszyscy tak powinni robić. Chyba masz taki sam problem z Fintanem. Inny facet w porwanym samolocie...

— Nie, Ravi, nie! — Tara była gorzko rozczarowana. — Myślałam, że jesteś jak chłopiec. Analfabeta emocjonalny. Nie chcę, żebyś miał chwilę oświecenia. Byłeś moim jedynym mrocznym punktem w irytująco bystrym, współczującym i troskliwym świecie.

— Wybacz!

— Miałeś powiedzieć, że Fintan to wariat i żeby go olać.

— Już się robi, Tara. Fintan to wariat. Olej go.

— Za późno.

— Już wiem. — Coś mu przyszło do głowy. — Możesz okłamać Fintana. Powiedz mu, że zostawiłaś Thomasa, ale nie zostawiaj go.

— Myślałam o tym. On też. Powiedział, że się domyśli, jeśli będę kłamała. Powiedział, że po badaniach wpadnie do Thomasa nieoczekiwanie, jak ci z radiopelengatorami. Powiedział, że wypożyczy sobie furgonetkę ze sprzętem podsłuchowym.

— Cholera. — Ravi w zamyśleniu przygryzł wargę. — Może zostawisz Thomasa, powiesz Fintanowi, poczekasz, aż mu się polepszy, a potem wrócisz do Thomasa?

— A jeśli Thomas na mnie nie zaczeka?

— No to trzeba zacząć od tego, że najwyraźniej nie była to wielka miłość — oznajmił radośnie Ravi. Chryste, przecież nawet on to widział!

Tara poczuła tępy, złowieszczy ból w brzuchu. Nikt jej nie chciał wesprzeć?

— Gdyby to był film, na pewno zostawiłabym Thomasa — powiedziała ze znużeniem. — Wszystko byłoby jasne. Ale nie jest jasne. Kocham Fintana i bardzo, bardzo pragnę, żeby wyzdrowiał, a jeśli nie wyzdrowieje... Ale, widzisz, Thomasa też kocham.

— Może nie musisz zostawiać Thomasa — zasugerował Ravi.

— Masz rację — odparła ze złością. — Wcale nie muszę.

— Chodzi mi o to, że jest jeszcze inne wyjście. Dlaczego nie poprosisz go o rękę, jak sugerował Fintan? Jeśli Thomas się zgodzi, będziesz bezpieczna.

Tara nonszalancko wzruszyła ramionami.

— Tylko spytaj Thomasa, jakie ma wobec ciebie zamiary.

Nie chciała. Podejrzewała, że zna jego zamiary. Czuła, że nie miał wobec niej zamiarów. Od tamtego wieczoru po swoich urodzinach raczej nie wątpiła, że tak właśnie jest. Dopóki jednak nie wiedziała tego na pewno, nie było to prawdą.

Nie mogła się jednak oprzeć wrażeniu, że kryzys nadciąga wielkimi krokami. Że trzymała się tego związku zupełnie jak ktoś wczepiający paznokcie w skałę. Tak łatwo byłoby polecieć, rozluźnić uścisk, spaść. W rozpaczycy ukryła twarz w dłoniach.

— Nie mogę go zostawić, Ravi — wyszeptała. — To się musi udać.

— Dlaczego? — spanikował Ravi. Płaczące dziewczęta bardzo go niepokoiły. Rozpaczliwie usiłował ją pocieszyć. — No i co, jeśli się nie uda? Przez niego jesteś cholernie nieszczęśliwa, Tara.

Kiedy spojrzała na niego z przerażeniem, nagle zrozumiała, co należy powiedzieć.

— Przypomnij sobie, jaka byłaś szczęśliwa z Alasdaiem — odezwał się łagodnie.

— Z Alasdaiem!

Alasdair. Gdy Ravi puchł z dumy, że tak szybko myśli, Tarę dopadły wspomnienia. Ona i Alasdair. Chryste Panie!

— Alasdair był cholernie miłym facetem — powiedział ciepło Ravi.

— A potem uciekł i ożenił się z jakąś zdzirą. — Tara zacisnęła zęby.

— Mówił ci, że jesteś wspaniała. Mnie też mówił, że jesteś wspaniała. Musiałem go unikać, kiedy przychodził na nasze imprezy z ludźmi z pracy.

— A potem uciekł i ożenił się z jakąś zdzirą — powtórzyła bezbarwnie Tara.

— Przynajmniej przychodził na te nasze imprezy. W przeciwieństwie do niektórych.

— A potem uciekł i ożenił się z jakąś zdzirą.

— W ogóle nie przejmowałaś się dietami, kiedy byłaś z Alasdaiem.

— Owszem, przejmowałam się.

— Nieprawda. Cały czas chodziliście do lokali. Zapomniałaś? W każdy poniedziałkowy poranek próbowałaś doprowadzić mnie do płaczu, mówiąc mi, do której słynnej restauracji poszłaś z Alasdaiem w niedzielę.

— A potem uciekł i ożenił się z jakąś zdzirą — poinformowała go Tara.

Wróciła jednak do przeszłości. Migotliwej, złocistej przeszłości. Czas spędzony z Alasdaiem wydawał się odległym polem skąpanym w pięknym słonecznym blasku, podczas gdy miejsce, w którym stała teraz, spowijały sine chmury. No dobrze, potem uciekł i ożenił się z jakąś zdzirą, ale czy nie łączyła ich namiętność? Teraz wiecznie musiała walczyć, Alasdair zaś dałby jej wszystko, czego zapragnęła, wszystko. Zanim uciekł i ożenił się z jakąś zdzirą. Ale to było wtedy, a teraz jest teraz. Lepszy wróbel w garści niż kanarek, który uciekł i ożenił się z jakąś zdzirą. Alasdair odszedł dawno temu, a Thomas wciąż był obecny.

— Ravi, jeśli próbujesz mi pomóc, obawiam się, że nic z tego.

— Jestem chłopcem — stwierdził ze smutkiem. — Nigdy mi nie wychodzi.

— Przecież to oczywiste, co powinnaś zrobić — przerwał im ostry głos.

Tara i Ravi unieśli ze zdumieniem wzrok. To był Vinnie, który zerwał się na równe nogi, podwinął rękawy pogniecionej koszuli i zaczął spacerować po biurze. Podszedł do tablicy magnetycznej i skrzypiącym mazakiem zaczął rysować diagram.

— Tu mamy punkt startowy. — Narysował krzywy czerwony okrąg, a z niego strzałkę. — Dopóki Thomas cię nie odrzuci — a może nie odrzuci — nie ma problemu. Musisz mu się oświadczyć.

— Dlaczego? Zwolnisz mnie, jeśli tego nie zrobię? Vinnie wydawał się zaniepokojony.

— Czemu nie? — parsknęła do siebie. — Przyjaciół grozi, że umrze, jeśli tego nie zrobię. Dlaczego miałabym się zdumieć groźbą wylania?

— Przepraszam. — Vinnie nagle uświadomił sobie niestosowność swojego zachowania. — Dałem się ponieść emocjom. Nie powinienem był podsłuchiwać. Ale to było takie interesujące... Co za wyzwanie. Wiecie, mało ostatnio sypiam, moje czternastomiesięczne dziecko ząbkuje...

— On ma rację — mruknął Ravi, gdy Vinnie poczłapał do biurka, drapiąc się po głowie. — Przykro mi to mówić, ale on ma rację. Poproś Thomasa o rękę. Wiesz, że to ma sens!

— Ale... — Jak mogła ubrać w słowa ten okropny strach, że jeśli zacznie działać, cały domek z kart się zawali?

— Czas zacząć znowu pracować — oznajmił Ravi, patrząc na zegarek. — idę umyć ręce.

Gdy wyszedł, Tara złapała za słuchawkę i wystukała numer.

— Dzień dobry — powiedziała. — Zastanawiam się, czy może mi pani pomóc. Obawiam się, że skradziono mi torebkę z kartą Visa. Chciałabym nową kartę.

48

W koktajlu emocji przelewających się przez Katherine znalazło się też uczucie, że nie ma nic do stracenia. Okropne wydarzenia ostatnich tygodni wytrąciły ją z równowagi, a stałe punkty odniesienia w jej świecie gdzieś się zapodziały.

Liv, Sandro i wszyscy O'Grady byli na nią wkurzeni. Tara z nią nie rozmawiała. Ona nie rozmawiała z Tarą. Do pewnego stopnia już odpuściła sobie Fintana. Nie miała teraz nikogo. Co jej szkodziło przeprosić Joe Rotha? Nawet jeśli będzie to okropne, czy jedna osoba więcej ma jakieś znaczenie?

Ogarnęła ją dziwna beztroska. Duch przygody, którego zawsze tłamsiła, tłumiała, ukrywała. W końcu była córką swojej matki, wcześniej czy później to musiało dojść do głosu.

Mimo to w piątkowy poranek drżała z niepokoju w drodze do pracy. Czyżby uważała, że przejmowała się poprzedniego dnia? Wolne żarty! Swoimi dwuznacznymi uśmiechami i paroma słówkami zaprezentowała jedynie próbę kostiumową. To miała być premiera. Tym razem celowała z ostrej amunicji. Komuś mogła stać się krzywda.

Ze strachu kręciło się jej w głowie.

Dziś Joe miał na sobie jednorzędowy garnitur koloru ciemnej oberżyny i olśniewająco białą koszulę. Promieniał urodą.

Mimo zdenerwowania Katherine chciała jak najszybciej mieć to z głowy. Czekanie było najgorsze. Zatem od chwili, w której — w końcu — zdjęła płaszcz, usiłowała wyczekać, aż Joe będzie sam, żeby pól Breen Helmsford nie usłyszało, co miała do powiedzenia. To jednak okazało się niemożliwe. Joe był zajęтым, lubianym facetem, chodził na

bardzo wiele spotkań, przyjmował setki telefonów i sam bardzo dużo dzwonił, a mnóstwo ludzi zatrzymywało się obok jego biurka na pogawędkę. Gdy tylko ktoś odchodził, Katherine nadludzkim wysiłkiem dźwigała się z krzesła. Zanim jednak zdążyła choćby wyprostować nogi, albo dzwonił jego telefon, albo znowu ktoś do niego podchodził. Jej wysiłek spełzał na niczym i znów musiała siadać. Przez cały pozbawiony pracy ranek miała ochotę wrzeszczeć z frustracji, a jej adrenalina znajdowała się na maksymalnie wysokim poziomie.

Podczas lunchu Joe wyszedł na spotkanie z klientami, więc przez kilka pełnych napięcia godzin pracowała nad tym, by nie stracić zapału. Kiedy jednak wrócił o trzeciej, znowu zaczęła się przyprawiająca o zawrót głowy parada gości i telefonów.

Miała ochotę się rozplakać. Zaczynało brakować jej chęci do spełnienia prośby Fintana. Cała ta nie zużyta adrenalina obracała się przeciwko niej. Katherine czuła się beznadziejna i przygnębiona.

Jednak za dwadzieścia czwarta, po powrocie z damskiej toalety, ujrzała go w małym przeszklonym pomieszczeniu, w którym stała bindownica. Był sam. Teraz! Teraz! Bez tchu popędziła korytarzem, który wydawał się przepastny jak równina Serengeti. Marzyła, by nikt nie dołączył do Joe. Całą energię skierowała na niedopuszczenie do niego osób trzecich. Jak dotąd, dobrze. Nikt, tylko on. Jednak nie! Słyszała jakąś osobę za swoimi plecami. Kobieta, sądząc po krokach. Też w pośpiechu. Kiedy Katherine dotarła do drzwi pomieszczenia, obejrzała się, żeby sprawdzić, kto to. Cholerna Angie, a jakże, ze stertą papierów w ręku. Joe spojrział na Katherine bez zainteresowania.

— Już skończyłem. — Wskazał na urządzenie. — Jest twoja.

Dokładnie w tym momencie Katherine zdała sobie sprawę, że nie ma żadnych kartek uzasadniających użycie bindownicy. A w tym pomieszczeniu można było jedynie bindować.

Oboje patrzyli na jej puste dłonie. Katherine poczuła, jak rosła jej ręce, coraz bardziej, aż osiągają rozmiar talerzy.

— Zapomniałam... — zaczęła słabo — zapomniałam raportu.

— Jasne — skinęła głową Angie, patrząc na nią bardzo podejrzliwie.

— Ty skorzystaj — powiedziała Katherine i ruszyła ku drzwiom.

— Nie martw się o mnie, skorzystam — odparła znacząco Angie. — Joe, pokażesz mi, jak to się robi?

Kiedy Joe powrócił do biurka, o dziwo, skończyły się wizyty i telefony. Katherine nie chciała się już jednak wysilać. I po co?, pytała samą siebie. Zadam sobie tyle trudu ze zbieraniem się na odwagę, a i tak ktoś przyjdzie i wszystko się zmarnuje.

Jednak kilka minut później rzuciła mu ukradkowe spojrzenie, a on nadal był sam i leniwie przeglądał jakieś dokumenty.

Zanim zdążyła się powstrzymać, wstała, i czując się jak w złym koszmarze sennym, ruszyła ku niemu w swojej krótkiej spódnicy. Za chwilę stała już przy jego biurku. Trzęsąc się i drżąc, otworzyła usta.

— Mogę z tobą porozmawiać? — usłyszała swój głos.

Machnął ręką, wskazując jej krzesło. Miał zdziwiony wyraz twarzy. Niemal podejrzliwy. Oszołomiona usiadła, oparła łokcie o jego biurko, a następnie uświadomiła sobie, że przyszła chwila na wyznanie. Chryste!

— Może pamiętasz — zaczęła z wahaniem — jak pewien czas temu, hm...

Miał nieprzyjazną minę. Żadnego białozębego uśmiechu, żadnego zachęcającego skinienia, żadnego ciepła w oczach. Zmieniła taktykę.

— Kilka tygodni temu podszedłeś do mojego biurka, a ja coś powiedziałam. Coś, przez co mogłeś pomyśleć, że ja... — Urwała nagle. Sama sobie działała na nerwy. — Oskarżyłam cię o molestowanie seksualne — wypaliła.

— Nie tyle oskarżyłaś, co zasugerowałaś. — Joe skinął głową. — Tak, pamiętam.

Nie roześmiał się, nie zażartował, a wtedy uświadomiła sobie, że liczyła na coś takiego. Wydawał się ponury, poważny i nagle ujrzała całą sytuację jego oczyma. Ludzie wylatywali z pracy za mniejsze przewinienia.

— Chciałabym przeprosić. — Po raz pierwszy było jej naprawdę wstyd. — Przykro mi. To nieprawda i nie powinienam była tego mówić.

Jego twarz była bez wyrazu.

— Przeprosiny przyjęte. I... — ciągnął, patrząc chłodno — ja także jestem ci winien przeprosiny. Za bardzo naciskałem. Powiniennem był zrozumieć, kiedy mówisz nie.

Tego właśnie nie chciała usłyszeć.

— Nie, nie! — zaprotestowała. Na widok jego zdumionej miny niemal straciła panowanie nad sobą i wybuchnęła. Jej głos brzmiał jak pisk, gdy zaczęła go pośpiesznie zapewniać: — Jeśli ta propozycja pójścia na drinka jest nadal aktualna, z przyjemnością ją przyjmę.

Skręciło ją od upokorzenia. Nienawidzę cię, Fintanie O'Grady.

Joe patrzył na nią, na jej zaczerwienioną twarz. Odwzajemniła spojrzenie, usiłując wyczytać, co kryje się w jego twardym wzroku, i nienawidząc się za swoją słabość. Nienawidziła być na czyjejs łasce. Zwłaszcza na łasce mężczyzny. Zwłaszcza na łasce mężczyzny, który się jej podobał.

W końcu przemówił.

— Przemyślę to.

Nie odrywał od niej uważnego spojrzenia.

Pomyślała, że kogoś zabije. Zaczerwieniona skinęła głową, zmusiła się do uśmiechu i wstała z drżącymi kolanami. Niezręczna z wściekłości, potknęła się po drodze do biurka.

Musiała stąd wyjść. Przeszła Hanover Square do Oxford Street, powtarzając raz za razem słabym głosem: „Przemyślę to, przemyślę to”.

Kiedy emocje dopadły ją niczym wirus, przysięgła sobie, że Fintan O'Grady za to zapłaci.

Wróciła do biura, wzięła strój do stepowania, nie używany, odkąd Fintan trafił do szpitala, i poszła na siłownię. Dotąd nigdy się tam nie wybrała, ale czuła potrzebę, aby powalić trochę w worek bokserski, skoro nie mogła przyłożyć Joe Rothowi. Ani Fintanowi O'Grady'emu, skoro już o tym mowa.

Instruktor usiłował jej wytłumaczyć, że ma nieodpowiednie buty, ale jej wściekłość była najwyraźniej bardzo przekonująca. Kiedy zaczęła boksować, prawie nie było widać jej przedramion, gdy niezmordowanie uderzała pięściami w worek. Zaczerwieniona od furii, stała w krótkich, rozszerzanych spodenkach i lakierkach z wielką kokardą i wyładowywała swój straszliwy gniew na Joe, Fintana i Tarę, i osobę, która ją taką stworzyła.

Ludzie, głównie mężczyźni, przyszli na nią popatrzeć. Taka drobna dziewczyna o takiej sile!

— Mogłaby boksować dla Anglii — skomentował z podziwem jakiś olbrzymi mięśniak.

Katherine na chwilę znieruchomiała. W innej sytuacji wystarczyłby stopień trzeci (głęboka pogarda łamana przez dziki antagonizm) albo stopień czwarty (głębsza pogarda łamana przez jeszcze dzikszy antagonizm, często z niemym prychnięciem), ale, cholera, to nie był zwykły dzień! Rzuciła mu więc spojrzenie stopnia piątego (mrożąca krew w żyłach zapowiedź obrażeń fizycznych) i pozwoliła sobie na uśmiech wyższości, kiedy cofnął się zaszokowany. Następnie znów zaczęła boksować, pozbywając się swojej bezbronności, przekonania o własnej słabości. Chciała wyrzucić to z siebie w nadziei, że znów poczuje się jak dawniej.

Gwałtownie przestała boksować, ku rozczarowaniu grupki, która zebrała się nieopodal. Nagle zrozumiała, co musi zrobić. Musiała wyjść i kogoś znaleźć. Kogoś, dzięki komu poczuje się lepiej. Kogoś, kto wszystko naprawi. Kogoś, kto zawsze wszystko naprawiał, tak czy inaczej. Tarę.

Kiedy Tara otworzyła drzwi, Katherine niemal się przewróciła z powodu koszmarnego fetoru, ale nie mogła zapomnieć, po co tu przyszła.

— Przepraszam — powiedziała szybko, zanim Tara zdążyła zatrzaskać jej drzwi przed nosem. — Przepraszam za kłótnię. Przepraszam za te straszne słowa, które ci powiedziałam. Naprawdę bardzo, bardzo przepraszam. — Przelknęła wielką gulę w gardle. — Kupiłam je dla ciebie. — Wepchnęła bukiet z całodobowej kwiaciarni w ramiona Tary. Twarz Tary się pofałdowała. — Przepraszam, że są takie tandetne i brzydkie, ale inne kwiaciarnie były już zamknięte. — Głos jej się załamał.

— Są śliczne. — Oczy Tary wypełniły się łzami. — Ja też przepraszam za wszystko, co ci powiedziałam, Katherine. Nie miałam prawa.

— Jak najbardziej miałaś! — wykrzyknęła Katherine.

W przyływie czułości rzuciły się na siebie i uściśniły się mocno.

— Przepraszam, przepraszam — szlochały obie.

— Tara, bądź dla mnie miła! — wymamrotała Katherine w szyję Tary.

— Jasne, że będę. Co się stało?

— Joe Roth był straszny. Tak mnie upokorzył. Jak w ogóle mam iść do pracy?

— O mój Boże, chcesz powiedzieć, że zrobiłaś to i... Biedna Katherine.

Tara przytuliła ją i kołysała w ramionach, aż Katherine poczuła, że dłużej tego nie wytrzyma.

— Taro? — spytała cienkim głosikiem. — Co to za straszliwy smród?

Tara westchnęła ciężko, a jej spojrzenie pobiegło gdzieś w przestrzeń.

— Chodź, wszystko ci opowiem. Katherine weszła do brązowej pieczary.

— Zrobiłam coś, czego nie powinnam była robić — przyznała Tara. — Ale byłam zrozpaczona.

— Chyba nie... — Katherine się przeraziła. — Chyba nie...? Chyba nie zamordowałaś Thomasa?

— Jeszcze nie — roześmiała się Tara. — Nie, chodzi o mój odwieczny problem. Szukam magicznego lekarstwa na swoje rozmiary.

Katherine myślała, że spali się ze wstydu.

— Tak mi strasznie, strasznie przykro za to, co mówiłam o tym, że... hm, nie jesteś szczupła.

— Ale to prawda — przyznała ze smutkiem Tara.

Tak bardzo przytyła przez te trzy tygodnie od hospitalizowania Fintana, że kiedy w piątkowy poranek przejrzała się w lustrze, wróciła znajoma panika. Musiała coś zrobić. Ciągłe czuła się źle, wszystko było za ciasne, bluzki się opinały, marynarki były tak obcisłe, że nie mogła podnieść rąk, paski wpijały się w jej talię tak głęboko, że aż bolało, bez przerwy się pociła. Ubrania stały się jej wrogiem.

Mnóstwo ludzi traciło tony zbędnych kilogramów, pocieszała się. Spójrz tylko na Oprah Winfrey. Da się zrobić, ale trzeba działać szybko. Po fiasku ze stołami izometrycznymi na pewien czas przeszła jej chęć poszukiwania panaceum. Jednak teraz potrzebne były drastyczne środki. Znowu.

— Gdyby istniała taka osoba jak pokątna odsysaczka tłuszczu, poszłabym do niej — przyznała.

Nagle przypomniała sobie salon kosmetyczny niedaleko pracy, którego sztyld głosił: „Wypoć zbędne centymetry za pomocą okładów błotnych”. Omal nie rozplakała się z ulgi. Słyszała o okładach błotnych i spodobało jej się to. Pokrywają cię od góry do dołu ciepłą, luksusową, przypominającą czekoladę substancją, tak że stajesz się ludzkim

bounty, a tłuszcze wypacają się bez wysiłku, przeskakują z tłustego ciała w gęste, kremowe błoto. Brzmiało to bosko. Utrata wagi i relaks w jednym. Czy mogło istnieć coś przyjemniejszego?

Gdy tylko dotarła do pracy, zadzwoniła do salonu, a tam usłyszała, że gwarantują utratę co najmniej dwudziestu centymetrów. Dwudziestu centymetrów! Z roziskrzonym wzrokiem, myśląc o utracie dziesięciu centymetrów z brzucha i po pięć z ud, umówiła się na seans w trakcie przerwy na lunch. Gdyby wszystko poszło jak trzeba, mogłaby wrócić w poniedziałek i stracić następne dwadzieścia centymetrów, a pojutrze kolejne. I chodzić tam, dopóki nie zacznie przypominać swojej nowej koleżanki Amy.

— Przychodzi mi do głowy stare chińskie przysłowie — stwierdził poważnie Ravi, gdy odłożyła słuchawkę. — Bez pracy nie ma kołaczy.

— Pilnij swojego nosa. To biuro przypomina naczynie ze złotą rybką!

— Miałem cię zapytać, czy chcesz powąchać papierek po moim batoniku, ale zmieniłem zdanie. Czy rzuciłaś się na kolana i poprosiłaś Thomasa o rękę?

— Miałam nadzieję, że do tego stopnia się odtłuszczę, że to on mnie poprosi. — Roześmiała się, żeby Ravi nie uznał jej za żalostną.

O wpół do pierwszej Tara żwawym krokiem udała się do salonu. Tam przywitała ją chuda jak koń wyścigowy, ubrana na biało kosmetyczka o imieniu Adrienne, która miała tak mocny makijaż, że gdyby ktoś uderzył ją znienacka w potylicę, podkład zleciałby z niej jak maska z papier *mâché*.

— Jaki jest pani zawód? — spytała szorstko Adrienne, gdy wprowadziła Tarę do pustego, chłodnego pomieszczenia.

— Analityk komputerowy — odparła Tara.

— A ja nie jestem kosmetyczką. — Adrienne zadrżała. — Tak naprawdę jestem aktorką. Gdyby istniała jakaś sprawiedliwość — a proszę mi wierzyć, nie istnieje — nie musiałabym pracować jako kosmetyczka.

Gorycz w jej głosie sprawiła, że nastrój Tary nieco się pogorszył. Pogorszył się jeszcze bardziej, kiedy Adrienne kazała jej rozebrać się do bielizny. Co za wstyd.

— Jak przy rewizji — zauważyła Tara ze słabym, nerwowym uśmiechem, usiłując oderwać uwagę kosmetyczki od swojego wielkiego, trzęsącego się brzucha.

Adrienne zignorowała ją i mocno rozciągnęła taśmę do mierzenia, ledwie skrywając niechęć. Trzy lata Królewskiej Akademii Teatralnej po to, żeby robić coś takiego!

Rozpoczęło się mierzenie.

— Czy to konieczne? — spytała z niepokojem Tara. Wstyd jej było, że ktoś pozna jej wymiary.

— A jak inaczej się dowiemy, ile centymetrów pani straciła? — spytała Adrienne. Ca za głupia baba.

— Dobrze, ale proszę mi nie mówić, ile mam w biodrach. Ani w talii — dodała gorączkowo Tara. — Ani w udach. Ani w ramionach. Ani...

— Nic pani nie powiem — wtrąciła Adrienne, zastanawiając się, czy wystarczy jej taśmy. Co było nie tak z tymi grubymi dziewczynami? Wystarczyłaby im odrobina silnej woli. Tygodniowa głodówka nikomu jeszcze nie zaszkodziła.

W niezręcznej ciszy Tara została zmierzona jakieś czterdzieści razy, a samą rękę obmierzono po cztery razy. Z narastającym strachem uświadomiła sobie, że jeśli straci pół centymetra z każdego miejsca, to z łatwością osiągnie wymagane dwadzieścia centymetrów, ale to nieszczególnie zmieni jej wygląd. O rany.

Kiedy wszystkie wymiary zostały zapisane — to też zajęło trochę czasu — Adrienne podeszła do Tary z plastikową butelką, taką, jakiej Katherine używała przy opryskiwaniu roślin, i polała ją wodą. Tara podskoczyła i krzyknęła. Trzęsła się jeszcze długo po tym, jak przestała się ruszać.

— Wysiadł termostat — stwierdziła Adrienne z irytacją, obserwując dreszcze Tary. Boże, pomyślała z obrzydzeniem, nawet kiedy na ciele tej kobiety wyskakiwała gęsia skórka, jej ciało trzęsło się jak głowa Steviego Wondera! — Teraz błoto.

W każdej fantazji dotyczącej błota Tara myślała, że zostanie wysmarowana tłustym, lśniącem kremem i pozostawiona samej sobie, żeby się w nim pławic niczym hipopotam znad Nilu. Zamiast tego stała, t drząc, a Adrienne podeszła do niej z miską i drewnianą łyżką.

— Robi pani ciasto? — zażartowała Tara.

Adrienne popatrzyła na nią z pogardliwą litością, nabrała na łyżkę trochę ciepłej, śmierdzącej papki, a następnie pacnęła nią na udo Tary i roztarła. Mażąc nierówno trochę śmierdzącego błota tu, trochę tam, opróżniła miskę.

Tara popatrzyła na siebie, na swoje białe ciało upačkane w niektórych miejscach brązowymi pasmami. Wyglądam jak uczestniczka manifestacji ekologicznej, pomyślała.

— Teraz okład — powiedziała Adrienne.

— Przecież nie jestem pokryta błotem — pisnęła Tara.

— Nie musi pani być.

„Okład” okazał się sześcioma brudnymi, starymi bandażami w kolorze łososiowym, podobnymi do tych, które matka Tary wykorzystywała, pracując charytatywnie w szpitalu w ramach Pomocy Maltańskiej. Zostały owinięte wokół brzucha, ud i ramion Tary, a następnie przypięte agrafkami dla niemowląt. Tara nawet nie próbowała sobie wyobrazić, jak wygląda.

— Teraz wsadzimy panią w specjalny gumowy kostium, który rozgrzewa błoto i przyspiesza utratę toksyn.

Serce Tary drgnęło z nadzieją, gdyż to brzmiało naukowo i wiarygodnie — o wiele bardziej niż plastikowy spryskiwacz i bandaże Pomocy Maltańskiej. Ku jej wielkiemu rozczarowaniu jednak specjalny gumowy kostium okazał się niespecjalny. Był to tani plastikowy dres, jaki dwunastolatka mogłaby włożyć na złodziejski wyskok do miasta. Omal się nie popłakała.

Zdaniem Adrienne, proces wyszczuplający trwał jakąś godzinę. Kosmetyczka wyszła, zostawiając Tarę na łóżku w ponurym pomieszczeniu, żeby przysłuchiwała się przez kartonowe ścianki rytmicznym wrzaskom innych osób, które wskowały sobie nogi. Nie miała nawet „OK”, żeby nie myśleć o swojej hańbie. W pewnym momencie przysnęła, a obudził ją straszliwy smród własnego ciała.

Robiło się coraz gorzej. Po pewnym czasie bandaże wystygły, były wilgotne i zimne pod dressem. Mokra, oblepiająca ją bielizna przypomniała jej czasy przedszkola, gdy w wieku czterech lat zasiusiała majtki i wełniane rajstopy, ale zachowywała się, jak gdyby nic się nie stało.

Po godzinie Adrienne wróciła, zdjęła dres, odwinęła bandaże i ponownie zmierzyła Tarę, tym razem o wiele mocniej ściskając taśmę.

— Tak — powtarzała, niemal blokując krążenie krwi. — O wiele mniej. — Kiedy wszystko pododawała, oznajmiła: — Dwadzieścia siedem centymetrów, straciła pani dwadzieścia siedem centymetrów.

— Jasne — szepnęła Tara. Mogła być gruba, ale nie była głupia. — Gdzie prysznic?

— Nie ma — odparła pośpiesznie Adrienne.

— Ale ja jestem brudna! — Mikstura wyschła i stwardniała na jej skórze, łuszcząc się przy każdym ruchu.

— Eee, błoto będzie panią detoksykowało przez kolejną dobę — upierała się Adrienne.

Czyżby?, mówiła mina Tary. I nie ma to nic wspólnego z zepsutym termostatem?

Jednak po zapłaceniu czterdziestu funtów za to doświadczenie chciała wyciągnąć z niego wszelkie możliwe korzyści. Tak więc błoto pozostało pod ubraniem. Rzecz jasna, zostawiła hojny napiwek, bo czuła się dużo gorsza od szczupłej Adrienne. Następnie wyszła, a jej morale i nadzieje znalazły się na samym dnie.

Kiedy tylko wróciła do pracy, ludzie zaczęli z niepokojem pociągać nosem.

— Co to za straszny smród? — spytał Ravi.

Tara siedziała nieruchomo przy biurku, usiłując się nie ruszać, gdyż przy każdym geście rozsiewała wokół wysuszone błoto.

— Ktoś musiał wdepnąć w psią kupę — oznajmił Vinnie. — Wszyscy sprawdzają.

Ludzie w pośpiechu odepchnęli się od biurek i dokładnie obejrzelili podeszwy swoich butów.

— Ty też, Tara — zmarszczył brwi Ravi.

Ostrożnie, powoli, Tara uniosła stopę, ale najwyraźniej za mało ostrożnie i powoli, bo uniosła się nad nią chmura pyłu, przez co współpracownicy przestali ją widzieć.

— Co się dzieje? — zdumiał się Ravi. — Ekshumowali cię? — Podeszedł i stanął obok niej. — Oho. — Demonstracyjnie złapał się za nos. — Alarm odwołany — oznajmił. — To odsysanie tłuszczu Tary.

— To nie było odsysanie tłuszczu! — Tara wyprostowała się, a wtedy jeszcze więcej wysuszonego błota wzbilo się w powietrze. — To był tylko okład z błota. Na skórę.

Broń Boże, żeby się dowiedzieli, do czego się posuwała, żeby stracić na wadze.

Ravi demonstracyjnie przesunął biurko.

— Muszę. Przez ten fetor nie mogę się skupić — stwierdził. W końcu na żądanie większości Tara wcześniej wyszła z pracy w chmurze brązowego pyłu, zupełnie jakby gniła.

— Nie wracaj, dopóki się dobrze nie wyszorujesz — nakazał jej ze znużeniem Vinnie. Wystarczało mu czworo własnych dzieci...

Tara poszła do domu. Powinna pojechać do Katherine po O'Gradych, żeby zabrać ich do szpitala. Była jednak zbyt przygnębiona, i co tu dużo mówić, śmierząca. Wydzielając obrzydliwy fetor, siadła w ponurym mieszkaniu Thomasa i usiłowała czytać *Możesz uzdrowić swoje ciało* Louise L. Hay, jedną z wielu książek na temat medycyny alternatywnej, które nakupowali. Nie mogła się jednak na niej skoncentrować. Zamiast wyobrazić sobie komórki rakowe Fintana zamieniające się w nicość, zaczęła sobie wyobrażać zostawienie Thomasa. Zbyt wielu ludzi zasiało w niej zbyt wiele myśli, aby cały czas mogła wsadzać głowę w piasek.

Kochała Fintana. Naprawdę. Teraz był chory, pewnie umierał, i chciał, żeby zostawiła Thomasa.

Tara niechętnie przyznała, że wie, jak to wygląda z jego punktu widzenia. Gdy się porównało jej dwa związki z mężczyznami, ten z Thomasem mógł się wydawać zmudną emocjonalną wędrówką. Przynajmniej komuś z zewnątrz.

Rozejrzała się po pokoju, wyobraziła sobie pakowanie swoich obrazów, książek i (czterech) płyt kompaktowych, zamknięcie za sobą drzwi i samotne wyjście w ten wielki, zły świat. Wzdrygnęła się i strach znowu wziął górę. Nie mogła tego zrobić. Chwyając się brzytwy, pomyślała, że być może Thomas się z nią ożeni. Musi go tylko zapytać. Ale jeszcze nie teraz.

Tęskniła za Katherine. Brakowało jej Katherine i z jakiegoś powodu gniew na przyjaciółkę minął. Wtedy rozległ się dzwonek u drzwi i zupełnie jakby niesiona myślą, stała za nimi Katherine z bukietem okropnych kwiatów i wyglądała na bardziej przygnębianą niż ostatnimi czasami.

W sobotnie popołudnie Tara i Sandro przywieźli Fintana do domu. Spędził w szpitalu niemal trzy tygodnie.

Wyglądał okropnie i był tak słaby, że w drodze na parking musiał opierać się na pielęgniarzu i Sandrze. Szczerze mówiąc, Sandro ze swoim metrem sześćdziesiąt pięć wzrostu bardziej przeszkadzał, niż pomagał, ale się uparł. W grę wchodziły zbyt silne emocje, by odrzucić tę propozycję.

Fintan w otoczeniu świata zewnętrznego wstrząsnął Tarą. Uświadomiła sobie, że można wyglądać na umierającego na szpitalnym łóżku — człowiek się wtapia w otoczenie. Świat to jednak zupełnie co innego, tam ludzie są w większości zdrowi.

Zauważyła jedną pocrzepiającą rzecz. Fintan miał na sobie pistacjowozieloną skórę z owcy, którą „pożyczył” z magazynu w pracy.

— To już chyba nie wróci do właściciela. — Mrugnęła do niego.

— To moja odprawa — stwierdził ponuro.

Tara i Sandro wymienili spojrzenia.

Gdy pojawili się w pustym mieszkaniu w Notting Hill, odkryli, że podczas ich nieobecności JaneAnn wpadła w szal porządków. Na gumowanej terakocie w kuchni można by serwować podwieczorek. JaneAnn niemal zrobiła dziury w dywanach Purves and Purves podczas entuzjastycznego odkurzania i prawie zdarła laminat starannie pomalowanych betonowych podłóg. Lustra w alabastrowych ramach miały szczęście, że nie popękały przy radosnym polerowaniu.

Wielki, różowy, pełen optymizmu transparent z napisem „Witaj w domu” wisiał nad zrobionymi z nierdzewnej stali drzwiami do salonu. Balony i serpentyny przymocowano taśmą klejącą do oryginalnych obrazów, japońskich lamp i wysokiej komody w stylu techno. Pocztówki z życzeniami stały na półkach Philippe'a Starcka. W każdym pokoju były świeże kwiaty.

Oszołomiony Fintan usiadł na zrobionej na zamówienie i sprowadzonej z Nowego Jorku sofie z beżowej skóry, Sandro zaś skakał dokoła niczym starsza pani, poprawiał kwiaty, układał poduszki, strzepywał pyłki z blatu oryginalnego, pochodzącego z lat siedemdziesiątych stolika z formiki. Następnie podszedł z kraciastym pledem, którym usiłował owinać kolana Fintana.

— Kupiłem go specjalnie dla ciebie — pochwalił się. — Twoja mama powiedziała mi, że kraciaste pledy są dobre dla chorych.

— Zabieraj to. — Nadąsany Fintan zdarł pled i odrzucił go.

— Hm. JaneAnn mówiła, że będzie ci się podobał.

— Mam trzydzieści dwa lata. Nie osiemdziesiąt dwa. I pewnie nigdy nie będę miał — dodał gorzko.

— Może odsłucham automatyczną sekretarkę. — Sandro wycofał się z pokoju.

— Czy to nie wspaniałe, że wróciłeś do domu? — spytała nerwowo Tara.

— Czyżby? A co za różnica, do cholery?! Możesz zabrać te cholerne kwiaty? Czuję się tu jak w szpitalu.

— Katherine ma dla ciebie ważną informację. — To była sprawa Katherine, ale Tara za wszelką cenę chciała poprawić atmosferę. — Wczoraj przeprosiła tego Joe Rotha!

Lekceważące prychnięcie. Wrócił Sandro i oznajmił dumnie:

— Masz wiadomości od Ethana, Fredericka, Claude'a, Didiera, Neville'a, Julii i Stephanie. Wszyscy chcą cię odwiedzić, ale powiedziałem, że muszą poczekać. Fintan zadzwoni, kiedy będzie zdrowy i gotowy.

— Żadnego telefonu od Cannelli Garcii proponującej mi na powrót pracę?

Sandro wydawał się przerażony.

— To jedyny telefon, który mnie interesuje. Wiesz, czego chcę?

— Czego? — Sandro już gotował się do biegu.

— Chcę się urząnąć.

— Nie możesz! — oniemiała Tara. — Jesteś chory. Musisz wyzdrowieć.

— Nie wyzdrowieję.

— Jasne, że wyzdrowiejesz. Musisz myśleć pozytywnie — upierała się Tara. To zdanie bezustannie powtarzały pielęgniarki. Ludzie o pozytywnym nastawieniu mieli większe szanse na wyleczenie.

— Myśleć pozytywnie? — Fintan zaniósł się pozbawionym radości śmiechem. — Brakuje mi energii.

— Mam rozmaite rzeczy do jedzenia — kusił go Sandro. — Twoje ulubione. Truskawki? Pasztet wieprzowy? Ciasteczka? Płatki kukurydziane? Popcorn o smaku toffi?

— Nic nie chcę.

— *Bambino*, musisz coś jeść.

— Nic nie chcę! — nagle ryknął Fintan. — Powtarzam wam, wszystko smakuje okropnie. Zresztą wiesz, że mogę jeść tylko surową, nie przetworzoną żywność!

Załamany dramatycznie, Sandro wypadł do kuchni. Rozdarta Tara podążyła za nim i znalazła go nad wyspą z islandzkiej lawy, wyplakującego oczy obok (nie używanego) seledynowego dzbanka Alessi.

— Wszystko, co robię, jest nie tak.

— Nie czuje się dobrze. Nie potrafi nic na to poradzić. Gdybyś nic nie robił, też byś go denerwował.

— To inna osoba, taka zła i nieprzyjemna. Nie mój Fintan.

— Jest mu tak ciężko — pocieszyła go Tara.

— Mnie też jest ciężko.

— Daj spokój. — Tara zaprowadziła go do salonu, gdzie siedzieli w niezręcznej ciszy, oczekując powrotu Katherine, JaneAnn i Timothy'ego.

— Zamierzam wziąć prysznic. Od tygodni nie brałem — oznajmił Fintan.

— Przecież ledwie stoisz.

— Dam sobie radę. — Spiorunował ich spojrzeniem. Sandro i Tara siedzieli ze ściśniętymi żołądkami i zastanawiali się, gdzie się podziała cała radość z powrotu Fintana do domu.

Nagle od strony łazienki dobiegło ich dziwne, wysokie łkanie. Przez sekundę patrzyli na siebie z zakłopotaniem, a następnie zerwali się na równe nogi i wypadli z pokoju.

Fintan wyszedł już spod prysznica i kuczał na kafelkach, a woda spływała po jego wychudzonym jak z obozu koncentracyjnego, nagim ciele. Drżał, a twarz miał ściągniętą odrazą.

Coś się zmieniło, pomyślała Tara. Nie wyglądał jak Fintan.

I nagle zdała sobie sprawę z tego, co.

Był łysy.

Miał włosy na rękach i torsie. Nie miał ich jednak na głowie.

Popatrzyli w kierunku, w którym wystawił palec. Podążyli wzrokiem za trzema spienionymi, nierównymi strawkami żelu pod prysznic, spływającymi do kratki odpływowej. Która była zablokowana.

Włosami.

Tyle ich było. Czarnych, ciężkich i lśniących od wody. Opalizowały po szamponie, którego Fintan nie zdążył zmyć, zanim włosy wyszły z jego czaszki.

— Moje włosy — wykrztusił.

Tara miała ochotę wybuchnąć płaczem.

— Twoje włosy — przytaknęła.

— Jestem łysy.

— Odrośną, kiedy wydobrejesz. — Głos Sandra drżał.

— Chyba ci mówili, że tak będzie, prawda? — spytała łagodnie Tara.

— Tak, ale nie sądziłem, że mnie się to przytrafi... To znaczy, nie wiedziałem, że tak... Moje włosy — wydukał.
— Popatrz. To jak w horrorze.

— Chodźmy stąd. — Sandro zdjął wielki ręcznik z wieszaka i zaczął delikatnie wycierać Fintana, tak jak matka wyciera dziecko. Ręce, ramiona, pachy, klatkę piersiową. — Podnieś nogę. — Uklęknął i wytarł palce Fintana, który zachwiał się i przytrzymał ściany. — Drugą.

Ze ściśniętym sercem Tara zebrała włosy w dłonie. To było okropne. Naprawdę okropne.

Fintan zawiązał sobie turban na głowie, przeszedł do sypialni, rzucił się na łóżko i wybuchnął płaczem. Przez pół godziny szlochał jak dziecko, a Tara i Sandro dusili się w poczuciu bezradności.

— Wyglądam potwornie — wykrztusił Fintan. — Po-twor-nie.

— Wcale nie, wcale nie.

— Właśnie, że tak, właśnie, że tak. — Znowu dopadła go fala żalu. — Po-twor-nie. Po-twor-nie.

— Odrośną, kiedy wydobrejesz.

— Nigdy nie wydobreje.

Po pewnym czasie usiadł i podszedł do lustra. Powoli, z ogromnym bólem odwinął ręcznik i zmusił się do spojrzenia na swój nowy wizerunek. Najpierw obejrzał jedynie profil.

— Jezu Chryste. — Skrzywił się, gdy w końcu popatrzył na siebie *en face*. — Nie będę mógł w nocy spać. — Przejechał ręką po nagiej czaszce z gorzkim, nieutulonym żalem. — Moja chluba. Zniknęły. Wszystkie zniknęły. Bez nich jestem obrzydliwy.

— Nie jesteś, nie jesteś!

— Jezu Chryste. — Fintan nagle coś zauważył, a następnie ukrył twarz w dłoniach. — Jedno moje ucho jest wyższe niż drugie.

— Nieprawda.

— Prawda. Spójrz. Było.

— Nie miałem pojęcia, że moja głowa jest taka guzowata. Boże, co za okropność. A to dopiero początek. Potem pójdą rzęsy. I brwi. I wiecie co.

— Możesz kupić perukę. — Tara czuła się bardzo przygnębiona. — Niekoniecznie tam, ale na głowę. Zaraz. — Zmusiła się do fałszywego entuzjazmu. — Jesteś gejem. Wstyd, że nie masz co najmniej kilku peruk!

— Skoro już o tym wspominasz, mam perukę à la Pamela Anderson — ożywił się Fintan.

— Może nie powinieneś być brać prysznic — lamentował Sandro. — Może nie wypadłyby ci włosy.

— Wisiały na samych koniuszkach — przyznał Fintan. — Chociaż wydawało się, że nadal je mam, tak naprawdę już wypadły. To była tylko kwestia czasu. Po prostu nie chciałem stawić temu czoła.

Co to przypominało Tarze?

Katherine też miała ciężkie popołudnie. Wcześniej postanowili nie przemęczać Fintana tuż po powrocie do domu, więc uzgodnili, że ona przez jakiś czas zajmie JaneAnn i Timothy'ego. Milo chętnie by pomógł, ale niestety miał związane ręce.

Dosłownie.

Liv była okropną kobietą.

Ponieważ następnego dnia JaneAnn i Timothy odlatywali do domu i chcieli kupić prezenty dla Ambrose'a i Jerome'a oraz wszystkich sąsiadów, którzy zajmowali się farmą pod ich nieobecność, Katherine zabrała ich na zakupy. Wybrała Harrodsa, bo zazwyczaj ten dom towarowy chcieli zwiedzać turyści, ale popełniła błąd.

JaneAnn bez przerwy trajkotała, jakie wszystko jest drogie i jakie to niemoralne żądać takich pieniędzy, a Katherine nie bardzo potrafiła ją pocieszyć, gdyż myślała tylko tym, że w poniedziałek będzie musiała iść do pracy i stać czoło Joe Rothowi. Co za wstyd! Kiedy JaneAnn zastanawiała się głośno, jak można chcieć dwudziestu pięciu funtów za nóż do chleba, skoro wiedziała na pewno, że dobry nóż można kupić w sklepie żelaznym Tully'ego na Main Street w Knockavoy za cztery pięćdziesiąt, Katherine myślała o koszmarnej wizji, że kiedy Joe Roth już „to przemyśli”, uzna, że nie chce iść z nią na drinka.

— A jak się stępi, to Tully naostrzy go gratis. — JaneAnn raz jeszcze ściągnęła na siebie jej uwagę. — Nie mogą tak postępować, Katherine. Zaraz jej to powiem. — Wskazała młodą dziewczynę przy kasie. — Niech powtórzy to ojcu.

— Proszę tego nie robić — westchnęła znużona Katherine. — Ona tu tylko pracuje. Wątpię, żeby należała do rodziny Harrodsów.

Timothy zamierzał kupić swojej żonie Esther prezent.

— Zajmij matkę — mruknął do Katherine — i pokaż, gdzie jest bielizna.

Piętnaście minut później wrócił, usiłując ukryć torbę z czerwoną i czarną bielizną, którą Esther włożyła tylko raz, żeby mu zrobić przyjemność, a następnie upozorowała jej kradzież.

Kiedy wyszli z Harrodsa, JaneAnn podeszła do stoiska ulicznego i kupiła dwa podkoszulki z napisem: „Moja matka pojechała do Londynu i dostałam tylko ten chałowy podkoszulek”, trzy: „Moja teściowa pojechała do Londynu i dostałam tylko ten chałowy podkoszulek” i siedem: „Moja sąsiadka pojechała do Londynu i dostałam tylko ten chałowy podkoszulek”, wytargowawszy zniżkę z siedmiu i pół funta za sztukę do sześćdziesięciu funtów za cały tuzin. Oszołomiony sprzedawca zastanawiał się, czy nie sprzedał towaru poniżej kosztów, a wszyscy wsiedli do taksówki i pojechali do mieszkania Fintana i Sandra.

Przywitało ich dziwne stworzenie o twarzy Fintana, ale z długimi do pasa blond włosami.

W niedzielę po południu pojechali na Heathrow, żeby wsadzić JaneAnn i Timothy'ego do samolotu. JaneAnn zgodziła się zostawić Fintana tylko ze względu na wysokiej klasy opiekę medyczną.

Kiedyś odrzuciłaby lekarstwa i zawierzyła jedynie sile modlitwy, zwłaszcza gdyby chodziło o cudzych krewnych. Często przecież stawała na Main Street w Knockavoy i mamrotała świętoszkowato: „Lekarze mogą trochę pomóc, ale prawdziwe uzdrowienie leży w modlitwie. Siła modlitwy działa cuda!” Teraz znalazła się w kropce. Chciała porozmawiać z Sandrem o zawiezieniu Fintana do Lourdes (albo do Knockavoy, gdyby nie starczyło funduszy), ale zależało jej, żeby Fintan leczył się wszystkimi dostępnymi lekarstwami.

Wylewnie podziękowała Katherine za opiekę.

— Mam coś dla ciebie. — Dyskretnie wręczyła jej małe, ciężkie zawiniątko. — To figurka Dzieciątka z Pragi. Nie przejmuj się, jeśli odpadnie mu głowa. To na szczęście. — Popatrzyła uważnie na Katherine. — Będiesz dbała o Fintana, prawda? Będiesz do mnie regularnie dzwoniła, prawda? Zobaczymy się na gwiazdkę. — Przynęła się jeszcze bliżej. — Zrobisz wszystko, żeby umówić się z tym chłopcem z pracy? Miłość kręci światem, sama wiesz. Patrz, jak szczęśliwi są Liv i Milo.

— Staram się — wymamrotała Katherine.

JaneAnn podeszła do Tary i wyciągnęła z niej obietnicę, że będzie strzegła Fintana.

— Powtórzysz swojemu chłopcu, że szkoda, że go nie poznaliśmy?

Tarę przeszła nagle, ostra wściekłość. Głęboko wstydziła się za Thomasa.

— Był bardzo zajęty — szepnęła.

— Jasne, rozumiem, to nauczyciel. Bardzo odpowiedzialna praca. Może przyjedzie do nas na gwiazdkę? Chyba że — dodała łagodnie — zrobisz to, o co cię prosi Fintan. Wtedy go raczej nie poznamy.

Tara poruszyła się niespokojnie. Wątpiła, czy JaneAnn kiedykolwiek będzie miała okazję poznać Thomasa.

51

W poniedziałkowy poranek Katherine powlokła się do pracy bardzo zdenerwowana i przygotowana na upokorzenie. Jak mogła spojrzeć w twarz Joe Rotha? A jeśli nie odpowie na jej nachalne zaproszenie? Wtedy ona umrze.

Zastanawiała się, czy w ogóle tam iść. Decyzja, czy zrobić mocny makijaż, aby nałożyć na twarz maskę odważnej obojętności, czy nie robić go w ogóle, z nadzieją, że jej blade, drobne oblicze stanie się niewidzialne, była dla niej niemal zbyt trudna. Usiłowała myśleć pozytywnie. Po powrocie z lotniska doszło do emocjonalnego pojednania między nią a pilotem od telewizora. Fintan wrócił do domu ze szpitala. To chyba dobra wiadomość, prawda? Tylko że był zgorzkniały i niegrzeczny — kiedy opowiedziała mu o swoich upokarzających przeprosinach, zaledwie mruknął w odpowiedzi.

Mimo wysiłków, by nie patrzeć wprost na Joe, kiedy zdejmowała płaszcz, ich spojrzenia przelotnie się spotkały. Niemał skręciła sobie kark, pośpiesznie odwracając głowę. Nie mogła jednak nie zauważyć, że uśmiechał się do niej. Uśmiechał?, spytał jej paranoiczny rozum. A może się wyśmiewał?

Modliła się przez cały weekend, a także teraz, by zabrał od niej upokorzenie, gdzieś ją zapraszając. Marzyła, żeby podszedł do niej z tym niewymuszonym wdziękiem, usadowił się na rogu biurka i powiedział z naciskiem, który tylko oni dwoje by rozumieli: „Co do projektu, o którym wspominałaś mi w piątek, może pogadamy o tym przy lunchu?”

Nie zrobił tego jednak, siedział przy biurku, a kiedy minął ranek, ograniczyła swoje wymagania. To nie musi być lunch. Drink wystarczy. Następnie uznała, że to nie musi być drink. Wystarczy spacer bez żadnych napojów. Nie musi prosić jej osobiście. Może przez telefon. Albo może wysłać e-mail. Albo może przesłać jej kartkę. O pierwszej zachwyciłoby ją cokolwiek. Powitałaby z radością papierowy samolocik z napisem: „Chcesz się pieprzyć?”

Jednak nic. Nie podszedł do niej także po południu, kiedy usiłowała to sobie wytłumaczyć. Może chodził z Angie, chociaż prawie przestała brać to pod uwagę. Chyba powiedziała: „Mam dziewczynę”, zamiast mówić, że to prze-myśli? Skoro jednak nie chodziło o Angie, najwyraźniej zwyczajnie nie chciał Katherine, co było bardzo nieprzyjemne. Zatem zaczęła się zastanawiać, czy to przez Angie. Ale przecież powiedziała: „Mam dziewczynę”? I tak kręciła się w koło jak szczur na obręczy, aż nadszedł czas na powrót do domu. Powtarzając sobie: „Mam własne życie, zawsze miałam”, wyszła i poszła do Fintana.

We wtorek wstała i przerobiła to raz jeszcze, podczas gdy Tara dzwoniła niemal co godzinę, by monitorować nie istniejący postęp.

— Czy jest nieprzyjemny? — pytała.

— Nie. Wydaje się przyjazny, kiedy napotkam jego spojrzenie. Czyli rzadko — przyznała Katherine. — Mam wzrok wbity w podłogę.

— To miło, że jest przyjazny — pocieszyła ją Tara.

— Nie chcę od niego przyjaźni. Mam wystarczająco wielu przyjaciół.

W środę Katherine w końcu przyznała, że nic się nie zmieni. Dała Joe wystarczająco dużo czasu, jej tolerancja też miała swoje granice. Resztką nadziei wyparowała. Odrzucił ją, oficjalnie. „Przemyślał to” i uznał, że nie jest zainteresowany.

Czekała na kryzys. Rozczarowanie mężczyzną zazwyczaj popychało ją o krok ku śmierci. Jeszcze bardziej tłumilo jej radość życia. O dziwo, tym razem jednak dół nie nastąpił. Zastanawiała się, dlaczego. Bo miała inne sprawy na głowie, a konkretnie Fintana? Przecież troska o Fintana nie przeszkadzała jej wcześniej podniecać się myślami o Joe Roście.

Niezależnie od przyczyny, miała dziwną pewność, że życie potoczy się dalej, a ona przeżyje.

Tego wieczoru po raz pierwszy od sześciu tygodni poszła na lekcje stepowania, a potem do Ali Bar One z Tarą, Liv i Milem; Sandro domagał się wieczornego tête-à-tête z Fintanem.

Usiedli przy stoliku, a Katherine była zdumiona swoim dobrym samopoczuciem. Miała ochotę wyjść, poszukać sobie rozrywek. Minał nie tylko nerwowy niepokój w związku z Joe Rothem, ale także troska o Fintana, którą dźwigała za sobą jak worek kamieni.

Milo wyglądał zupełnie inaczej niż szorstki kmiotek, który pojawił się w Londynie niecały miesiąc wcześniej. Miał dobrze obcięte włosy — nie wyglądały już na skrócone piłą łańcuchową — i nowy strój, w którego doborze wyczuwało się rękę znającej się na rzeczy Liv. Milo był niesłychanie przystojnym i dobrze zbudowanym mężczyzną o czarnych lokach i granatowych oczach.

— Spójrzcie na to. — Roześmiał się i wskazał dziwne, asymetryczne buty. — Czy to nie najfajniejsza rzecz, jaką widziałyście? Są z jakiegoś dziwnego miejsca. Red under Bed, jakoś tak. — Spojrzał pytająco na Liv.

— Red or Dead — mruknęła. Zamieniła się w osobę, która poprawiała, a nie była poprawiana. Podobało jej się to.

Milo i Liv byli na pierwszym, antytowarzyskim etapie miłości i choć bez przekonania starali się uczestniczyć w rozmowie z Tarą i Katherine, cały czas chichotali i szeptali coś do siebie, muskali się palcami, całowali. Milo wymruczał coś do ucha Liv, a ona opuściła powieki, uśmiechnęła się szeroko, trąciła go w przykryte koszulką dębla żebra i mruknęła z udawaną niechęcią:

— Przestań.

Milo znowu coś wymruczał. Najwyraźniej było to jeszcze bardziej sugestywne, bo Liv uśmiechnęła się szerzej, zachichotała i znowu szepnęła:

— Noooo przestań.

Dotknął ustami ucha Liv, która uściśniła jego kolano w spodniach z Carhartt, a Tara i Katherine spojrzały na siebie ponuro.

— Na litość boską — zachnęła się Tara.

— Czego się napijesz? — spytała Katherine Milo. Zignorował ją i cały czas coś szeptał do ucha Liv. — Czego się napijesz? — powtórzyła, tym razem głośniej.

Przy czwartej próbie Milo spojrzał na nią nieprzytomnie i powiedział:

— Przepraszam, mówiłaś coś?

— Wygląda na to, że same musimy dziś dostarczać sobie rozrywki — oznajmiła Tara.

Kiedy pojawiły się kieliszki z winem, Tara zaczęła przesłuchanie.

— Załamałaś się w związku z tym Joe?

— Właściwie to nie czuję się najgorzej — odparła Katherine.

— I tak byś nie powiedziała — stwierdziła smutno Tara. — Nigdy nie mówisz.

— Nie, słowo daję — upierała się Katherine. — Naprawdę. Przykro mi, że mnie nie chciał, ale zrobiłam coś dobrego. Byłam dzielna i podjęłam ryzyko.

— Mówisz tak tylko po to, żebym zostawiła Thomasa. — Tara przyssała się do papierosa tak, jakby próbowała wyssać truciznę z rany. — Rażąca niesprawiedliwość. Robisz, o co poprosił cię Fintan, i pokazujesz mi, jaka jestem tchórzliwa.

— Nieprawda, nieprawda. — Katherine poklepała ją po ręce. — Poczekaj, spróbuję ci to wytłumaczyć. Pamiętasz, jak usiłowałyśmy sobie wyobrazić, że mamy przed sobą tylko pół roku życia?

Tara skrzywiła się.

— To uczucie, że życie jest po to, żeby żyć? — przypomniała jej Katherine. — Że to twój jedyny raz? Pamiętasz?

— Życie to nie próba kostiumowa. Jeszcze zdążysz nie pożyć. Masz tylko jedno życie. — Sarkazm Tary był niemal namacalny.

— No właśnie! To...

— Nie zauważyłaś mojej ironii? — spytała niespokojnie Tara.

— O, byłaś sarkastyczna? Jakoś nie załapałam. Tak czy owak, teraz czuję, że żyję. I cieszę się — powiedziała zwyczajnie Katherine.

— Zawsze byłaś taka cyniczna — stwierdziła bezradnie Tara. — Odrzucił cię uroczy mężczyzna. Każda normalna kobieta pragnęłaby umrzeć.

— Nigdy nie wiadomo. — Katherine spojrzała na nią chytrze. — Może poznam innego.

— Ale... — Tara pogubiła się. Katherine nigdy nie mówiła takich rzeczy.

— Takiego jak ten. — Katherine trąciła Tarę i wskazała jej przystojnego blondyna opartego o bar.

Gdy Tara na niego patrzyła, zaczął się uśmiechać, a ten uśmiech przeznaczony był dla Katherine. Tara odwróciła się i spojrzała na przyjaciółkę, która zamiast rzucić mężczyźnie stopień pierwszy (lodowaty chłód) albo stopień drugi (lodowaty chłód i ukryta nuta stalowej wrogości), uśmiechała się do niego. Nie jakimś szerokim uśmiechem, ale jednak uśmiechem.

Nagle Tara domyśliła się czegoś zdumiewającego. Katherine nie odpowiadała facetowi uśmiechem. To ona uśmiechnęła się pierwsza.

Co się działo? Dziś Katherine otaczała jakaś niezwykła, beztroska aura. Wyglądała inaczej, przypominała kogoś Tarze. Kogo? Kogoś znajomego, a jednak nie. Och. Nagle wszystko zawirowało i ułożyło się na swoim miejscu. Jakie to dziwne. Przypominała swoją matkę, Delię.

W czwartek Katherine poszła do pracy z lekkim kacem i z niezłomnym przekonaniem, że odtąd będzie wiodła życie wolne od Joe Rotha. Nieco rozczarowana, lecz dziwnie pewna, że wszystko się ułoży.

Praca bardzo jej pomagała. Jednak podczas wprowadzania danych o środkach trwałych nagle pojawiło się pragnienie, by spojrzeć na Joe. Wpatrywała się w ekran i powstrzymywała się. I powstrzymywała się. Pragnienie jednak ją nękało, aż nie mogła już z nim walczyć. Nieco przekrzywiła głowę i pozwoliła sobie na najkrótsze spojrzenie kącikiem oka.

Jej policzki się zaczerwieniły, gdy dostrzegła, że Joe ją obserwuje. Ukradkiem, nieśmiało, ale bardzo intensywnie. Kiedy napotkał jej spojrzenie, uśmiechnął się. Szeroko, poufale, znacząco.

Z czego się tak cieszył?

Znowu popatrzyła na ekran. W lewym górnym rogu błyskała maleńka koperta. „Masz wiadomość”. Kliknęła myszką i otworzyła ją. To był e-mail. Od Joe.

W dniu przeprosin Joe Roth powiedział Katherine, że to przemyśli. Joe Roth dotrzymywał słowa. Przemyślał to.

Kiedy Katherine go odrzuciła i usłyszał aluzje do molestowania seksualnego, jako człowiek pragmatyczny słu-
mił swoje uczucia. Nie skaził ich jednak goryczą, nie zamieniły się w coś brzydkiego i wynaturzonego. Zatem choć zna-
cząco zbladły, znajdowały się w doskonałym stanie, gotowe na powrót odżyć.

Nie tylko chciał pójść gdzieś z Katherine, ale zamierzał zabrać ją w jakieś wyjątkowe, niesamowite miejsce.

Jakieś magiczne miejsce. Znaczące. To musiało być coś, co da jej do zrozumienia, jak bardzo jest nią zaintereso-
wany. Dokąd? Na wystawną kolację? Na lot balonem? Weekend za miastem? W wiejskim hoteliku? W Reykjaviku? W
Barcelonie?

W grę wchodziło coś absolutnie idealnego.

Przez cały weekend gorączkowo myślał. Poniedziałek i wtorek były torturą.

Nagle, w środę, już wiedział. W jednej chwili wszystko było jasne. Tylko to wchodziło w grę w wypadku kobiety
takiej jak Katherine.

Jak miał to jednak rozegrać? Do następnej soboty? Zazwyczaj coś takiego trwało miesiące — nawet dla człon-
ków czas oczekiwania wynosił osiem tygodni. Uświadomił sobie, że potrzebuje pomocy swojego kumpla Roba, nie miał
innego wyjścia. Nie mógł tego zrobić na własną rękę. Wieczorem wpadł do Roba, gdyż tak istotna sprawa wymagała
osobistej interwencji.

— Poznałem dziewczynę — zaczął.

— Wiem.

— Nie, inną.

— Gratuluję.

— Ma na imię Katherine i jest zupełnie wyjątkowa. — No to masz szczęście, stary.

— Musisz się dla mnie poświęcić.

— O co ci chodzi? — W oczach Roba pojawiła się niepewność.

— O sobotę...

— O sobotę! — krzyknął Rob. — Chyba nie chcesz powiedzieć...

— O sobotę — powtórzył znacząco Joe.

— Nie, stary — powiedział błagalnie Rob i cofnął się o krok. — Mowy nie ma, stary. To wykluczone. Nawet
mnie o to nie proś. Odmowa może wywołać w tobie urazę.

— Podobnie jak w tobie trzaśnięcie w pysk.

— A więc to tak.

— Tylko dlatego, że jestem zdesperowany.

— Przyjaźnimy się od bardzo dawna. Nie wiedziałem, że kiedyś zrobisz mi coś takiego.

— Cóż, przykro mi. Naprawdę. Ale nie mam wyboru.

— Kim jest ta kobieta? To Pamela Anderson?

— Lepiej. Co ty na to? Tak? Czy tak?

— Nie możesz jej zabrać gdzieś indziej?

— Nie. Nic nie jest wystarczająco dobre dla Katherine. Daj spokój, Rob. Wynagrodzę ci to. Zapłacę, ile zechcesz.

— Pieniądze nie mają znaczenia, wiesz o tym. Obraziłeś mnie.

— Czy się zgadzasz?

— Pomyślę o tym.

— Nie, muszę wiedzieć teraz.

Rob popatrzył na niego ze zdumieniem.

— Cholera, nieźle cię przypiliło.

— Może i tak.

— Mnie też. — Rob spojrział na niego agresywnie.

— Masz rację. Błagam cię. Dwieście funtów. Rob westchnął. Był skazany na porażkę.

— No dobrze. Dwieście pięćdziesiąt i umowa stoi.

W czwartkowe popołudnie zadzwonił telefon na biurku Tary. To była Katherine, mówiła przygnębionym głosem.

— Co się stało? — Tara jak zwykle obawiała się złych wieści o Fintanie.

— Dostałam e-maila od podejrzanego.

— I?

— Zaprosił mnie na sobotę. Tara omal nie dostała ataku serca.

— Nie wierzę! Myślałam, że twoim zdaniem był okropny i ignorował cię przez cały tydzień. A teraz opowiadasz, że wychodzisz z nim w sobotę wieczór. Bardzo ładnie z twojej strony.

— Nie w sobotę wieczór. W sobotę.

— Jedziecie do Paryża Eurostarem? Śmiech Katherine wydawał się dziwnie gorzki.

— Och. Lunch? W jakimś wspaniałym miejscu?

— Nie.

— No to co? Chyba nie cholerne zoo? Nie w listopadzie?

— Nie, eee. — Katherine nie mogła tego powiedzieć, tak jej było wstyd.

— Gdzie? Co?

— On, hm... on, eee... on...

— Co?

— Zabiera mnie na mecz piłki nożnej — wykrztusiła w końcu, drżąc ze wstydu.

— Futbol to nowy rock and roll — oznajmiła ostrożnie Tara. — Nie musisz być miła.

— Kto gra? — Wiele od tego zależało. Czy Katherine miała spędzić sobotnie popołudnie z trzema innymi kobietami na błotnistym boisku na rogatkach, oglądając dwie drużyny z ligi okręgowej, zanudzające wszystkich na śmierć? Czy też na wielkim, seksownym stadionie z numerowanymi miejscami, hamburgerami, programami i pamiątkowymi figami, na pierwszoligowym meczu, gdzie bilety kosztują więcej niż na przedstawienia na West Endzie?

— Sama nie wiem. Arsenal kontra ktoś tam.

— Arsenal!

— Wiem, Tara. Żałuję, że się w to wpakowałam. Mogłabym umrzeć ze wstydu. Za bezczelność. Gdyby nie Fintan...

— Ale bilety Arsenalu są na wagę złota.

— Naprawdę? — Nagle wszystko zaczęło wyglądać nieco lepiej.

— Prędzej wbiję się w dzinsy rozmiar ósmy, niż ty zdobędziesz bilety na mecz Arsenalu.

— Skąd wiesz?

— Ravi kibicuje Kanonierom.

— Kto to są Kanonierzy?

— To Arsenal. Boże, musisz się sporo nauczyć. Wyślemy cię na przyśpieszony kurs do Ravięgo.

Ravi zaczął wykonywać gesty podrzynania sobie gardła i przewrócił oczyma. Bał się Katherine. Jej enigmatyczność na niego nie działała, uważał ją za dziwaczkę.

— Skąd tyle wiesz o futbolu? — spytała Katherine.

— Ravi prowadzi dla nas lotka piłkarskiego. Powiedz mi, co Joe napisał w e-mailu. — Tara z ożywieniem ścisnęła słuchawkę. — Przeczytaj dokładnie, co napisał.

Katherine rozejrzała się ukradkowo po biurze i jeszcze ściszyła głos.

— Napisał: „Sobotnie popołudnie, Highbury. Kufel piwa, Arsenal kontra Everton i Ty? Co Ty na to? Obiecuję wyjaśnić Ci zasady, a po meczu nakarmić”.

Tara nie mogła mówić, była bliska łez.

— To piękne — wyskrzeczwała. — Zabiera cię na kolację. Nic o tym nie wspomniałaś.

— No cóż. — Katherine ogarnęła przyjemna duma.

— Faktycznie: „No, cóż!”

— Wobec tego czy mogłabyś zostawić Thomasa dopiero po sobocie? — spytała figlarnie Katherine. — Mogę potrzebować mieszkania dla siebie.

— Cholera — zachnęła się Tara. — A miałam go zostawić tego wieczoru.

— Oby!

— Co włożysz? — zapytała radośnie Tara. — Włóż dzinsy! Chciałabym móc nosić dzinsy. Nakazuję ci nosić dzinsy. No już.

Biodrówki na suwak. Po dwakroć nakazuję ci nosić dzinsy. Po trzykroć ci nakazuję.

— A jeśli...?

— Jeśli co?

— Powiedzmy, jeśli... eee, nam wyjdzie?

— Katherine Casey. Na pierwszej randce? Jestem zaszokowana.

— Mogą mi zostać ślady na nogach i brzuchu. To niezbyt seksowne. Co z bielizną? — spytała z wahaniem.

Tara była zdumiona tą otwartością.

— Chodzi ci o podwiązki i całą resztę?

— Uhm.

— Jestem zachwycona. Najwyższy czas, żeby obejrzał je jakiś mężczyzna. Ale masz rację, nie można tego nosić do dzinsów. Może włożysz majtki z napisem: „Strzeliłam gola na Highbury”? Spodoba mu się. Albo wcale nie wkładaj majtek. Jak sobie ogolisz włosy łonowe, będzie zachwycony! Ha, ha, ha, ha.

Katherine gorzko żałowała, że zwierzyła się Tarze ze swoich podejrzeń co do Gillette.

— Fintan będzie zachwycony — zaczęła uradowana Tara. Im bardziej prawdopodobne, że Katherine i Joe się zejdą, tym bardziej prawdopodobne, że Fintan da spokój Tarze. Minęło już kilka dni od czasu, gdy Fintan ostatni raz poruszył temat zostawienia Thomasa. Właściwie niemal tydzień. Co nie oznaczało, że może się odprężyć.

— Nieźle! — stwierdził Ravi, kiedy Tara odłożyła słuchawkę.

— Faktycznie — przytaknęła.

— A więc idzie na randkę z tym facetem z pracy.

— Najwyraźniej.

— A on kibicuje Arsenalowi. To pewnie miły facet. Chociaż ma dziwny gust co do kobiet.

— Ravi! — Tara już miała go ofuknąć, kiedy nagle złapała się za brzuch. — Och, Ravi...

— Co tym razem?

— Migdały. Ciastka Bakewell.

Tara znowu głodowała. Nie tylko wszystko, co widziała i słyszała, kojarzyło się jej z jedzeniem, teraz dręczyły ją nawet smaki.

Zaczęło się tego ranka, kiedy truskawkowy odświeżacz w samochodzie skojarzył się jej z cukierkowym zapachem żelków. Opętało ją pragnienie nagłego zatrzymania się przed kioskiem i wykupienia całego zapasu. Gdy tylko wy dostała się na Westway, skupiła uwagę na czymś innym i poczuła niemal nieopanowaną chęć, by się polizać. Pachniała słodkimi, pysznymi batonikami Bounty albo kokosowymi lodami. Doprowadzało ją to do szaleństwa, dopóki nie przypomniała sobie, że rano wysmarowała się kokosowym mleczkiem do ciała. Kiedy pojawiła się w biurze, ogarnęła ją przemożna ochota na sernik cytrynowy. Cały budynek zdawał się nim przesiąknięty. Zastanawiała się, czy w końcu zwa-riowała, dopóki Ravi nie zauważył, że środek używany przez sprzątaczkę do mycia korytarza ma cytrynowy zapach.

— Skąd zapach ciastek Bakewell? — spytał Ravi.

Tara wskazała na Evelyn i Teddy'ego, a Ravi podniósł się i zaczął węszyć wokół nich.

— Co ty wyprawiasz? — zażądał wyjaśnień Teddy.

— Prowadzę śledztwo dla Tary. Czy któreś z was ma migdałowe perfumy? Albo migdałowe mydło?

— Szczerze mówiąc, dziś rano umyłam włosy migdałowym szamponem. — Evelyn wydawała się zdumiona.

— Może mogłabyś używać jakiegoś innego, dopóki Tara znowu się nie złamie? — poprosił Ravi. — Czegoś niejadalnego.

— Jasne. — Evelyn ze współczuciem popatrzyła na Tarę. — Może być eukaliptus?

— Przepraszam — mruknęła zawstydzona Tara. — Nie zwracaj na niego uwagi...

Wciąż prześladowało ją jedzenie. Podczas przerwy na lunch snuli się bez celu po Hammersmith, a ona zajęła się nową nieścieralną szminką Clinique. Na tyle się zajęła, że kupiła dwa kolory. Kiedy jednak wyszli na ulicę, okrągłe zielone, pomarańczowe i czerwone światła uliczne wyglądały jak gigantyczne gumy owocowe i Ravi musiał niemal siłą powstrzymać Tarę przed wspięciem się po słupie i polizaniem ich.

— Kupię ci rurkę — zaproponował.

Tara potrząsnęła głową.

— Wczoraj wieczorem zużyłam tygodniowy przydział kalorii. To przez Mila O'Grady'ego. Zmusił nas wszystkich, żebyśmy po pubie poszli do Wietnamczyków. Za wszelką cenę chce spróbować wszystkiego, co Londyn ma do zaoferowania.

— Musisz jeść. — Ravi wykazał się nietypowym zdrowym rozsądkiem. — Fintan jest chory, to kiepski okres w twoim życiu.

— Życie musi toczyć się dalej.

— Twarda jesteś.

— Wcale nie. Jestem w rozsypce. Rozdarta między Thomasem a Fintanem.

— Jak ci się układa z Thomasem?

— Okropnie! Nie rozumiem, dlaczego ledwie się tolerujemy. Ciągle mam wrażenie, że zdarzy się coś strasznego.

— Może tak naprawdę myślisz o Fintanie.

— Raczej nie — przyznała. — Przynajmniej nie tylko. Przez co czuję się jeszcze gorzej. Jak mogę przejmować się swoim chłopakiem, kiedy jeden z moich najlepszych przyjaciół ciężko choruje? Chodzi o to — dodała prędko — że chociaż Fintan wygląda okropnie, czeka go osiem miesięcy terapii, więc ma mnóstwo czasu na wyzdrowienie. A ponieważ nie robi mu się gorzej, wszystko układa się... no, może niezupełnie normalnie, ale już przywykłam. Katherine uważa tak samo. Liv mówi, że to mechanizm obronny, że człowiek nie potrafiłby żyć w ciągłym szoku albo przerażeniu. Trzeba znormalizować nienormalne.

— Wy, dziewczyny. Dlaczego wszystko jest takie skomplikowane?

— O Boże, właśnie mnie to dopadło! — Tara stanęła jak wryta na ulicy, a zapobiegliwi gwiazdkowi klienci wpadali na nią, gotowi obsypać ją zwyczajowymi gwiazdkowymi przekleństwami, dopóki nie ujrzeli przerażonego grymasu na jej twarzy. — Myśl o tym, że mógłby nie wydobrzeć. To jak patrzeć na piekło. To... złe.

— Musisz się napić. — Ravi wziął ją za ramię, zaprowadził do najbliższego pubu, gdzie ją posadził, a następnie kupił jej gin z tonikiem. — Czy poprawił mu się humor, odkąd wyszedł ze szpitala?

— O nie. — Tara łyknęła drinka i zadrzała z ulgą. — Dzięki, Ravi, to mi uratuje życie. Nie, jest okropny. Znasz opowieści o ludziach, którzy żyją pełnią życia, gdy staną w obliczu śmierci? W wypadku Fintana to się nie sprawdza. Odkąd pojawił się w domu, zmienił się w okropnego bachora: złośliwego, wymagającego, niegrzecznego. Trudno go winić, niemal umarł, kiedy wypadły mu włosy. — Skrzywiła się. — Złe słowo. Czuje się okropnie, gdyż od chemioterapii ma zupełnie rozpieprzoną liczbę białych ciałek krwi. Jest zły i przestraszony. Ale trudno przez cały czas odnosić się do niego uprzejmie.

Odwróciła się do Raviego ze łzami w oczach.

— Czasem mam ochotę go trzepnąć, bo też jestem zła i przestraszona. I czuję się winna!

Ravi niezręcznie poklepał ją po ręce.

— Myślę, że to, co przeżywasz, jest całkiem normalne. — Tak naprawdę zupełnie nie miał o tym pojęcia, ale bardzo chciał pomóc. — Jeszcze drinka? — spytał z nadzieją, chociaż ledwie rozpoczęła pierwszego. — Jestem pewien, że wiadomość o randce Katherine z facetem z pracy go pocieszy.

— Będzie musiała. Bo ja nigdy nie zrobię tego, czego on chce, i częściowo dlatego jestem zła i przestraszona.

— Nigdy się nie dowiesz, dopóki nie spróbujesz.

— Ja już wiem. Nigdy nie byłam niczego bardziej pewna. Nie mogę odejść od Thomasa i tyle.

— Mówiłaś, że się wam nie układa.

— Tak, ale... To przejściowe. Jest zazdrosny o Fintana, ja przez to wszystko się przejadam i... Nie przejmuj się, wszystko się ułoży. Niedługo.

— Jak chcesz — powiedział szczerze Ravi. — Masz twardy orzech do zgryzienia.

— Orzech — powiedziała ze smutkiem Tara. — Jedzenie. Mam obsesję.

— Pofolguj sobie.

— Jesteś taki słodki. — Tara z wdzięcznością położyła głowę na barku Raviego, a on nerwowo objął ją za ramiona. Mmmm — powąchała. — Cudownie pach... — Odsunęła się z męką na twarzy. — Crème brûlée! Strąki wanilii, palony cukier. Co to za woda po goleniu?

— Jean Paul Gaultier. Danielle mi kupiła. Skoro już o tym mowa, pamiętam, że wspominała coś o waniliowej nucie głowy, cokolwiek to znaczy.

Po pracy Tara wpadła do Fintana i przyniosła ze sobą artykuł o chińskich ziołach, który podarował jej Vinnie. Sandro zatrzymał ją przy drzwiach.

— Fintan oszalał przy telewizyjnych zakupach — wyszeptał. — Kupił abdominizer, album country niedostępny w sklepach, obrzydliwy złoty łańcuch i bransoletę do kompletu oraz maszynę do ćwiczenia biegów narciarskich. Bez przerwy siedzi przy telefonie i dyktuje numer naszej karty kredytowej!

Fintan królował na sofie. Owinął sobie głowę turbanem od Diany Vreeland i miał cierpką minę. Od wyjścia ze szpitala był kwaśny i nieprzyjemny jak zepsute mleko. Zerknął na artykuł Vinniego, po czym rzucił go na podłogę.

— Tara, za każdy razem kiedy przychodzisz, odkrywasz dla mnie kolejną bzdurę do wypróbowania. Homeopatia, akupunktura, surowe owoce, masaże, terapia kolorami, medytacja, a teraz chińskie ziółka.

— Ale, Fintan, przecież warto spróbować — powiedziała z rozpaczą. — Nie zaszkodzi ci.

— Włącz pudło — przerwał jej nieuprzejmie. — Zajmiemy się rozrywkowym nonsensem. W odróżnieniu od nierozrywkowego.

— Fintan — powiedział płaczliwym głosem Sandro, załamując ręce. — Nie wolno ci. Nie zostali ci już żadni przyjaciele, byłeś tak nieuprzejmy dla wszystkich.

— Nie martw się o Tarę — stwierdził Fintan. — Im gorzej traktują ją mężczyźni, tym bardziej się dla nich poświęca.

Tara wzdrygnęła się, jakby ją spoliczkował, ale Fintan, obojętny na jej cierpienie, wcisnął przycisk pilota. Kiedy załąły ich światła z ekranu, Tara siedziała w milczeniu, z twarzą płonąłą wstydem. Nie cierpiała być obiektem litości i drwin. Co miała zrobić?

Pojawiła się Katherine — o dziwo, dopiero o dziewiątej wieczorem — i przyniosła ze sobą kalkulator, rzekomo po to, aby z Fintanem i Sandrem wypracować plan finansowy, dopóki Fintan nie otrzyma pieniędzy z odprawy albo renty.

— Musisz przestać wydawać — błagał Sandro, a Fintan piorunował go wzrokiem.

— Przy okazji... — Katherine sięgnęła do torebki i wyjęła kartkę wydartą z gazety. — W dzisiejszym „Independent” był artykuł o czakrach. Może warto by spróbować...

Fintan miał dość przyzwoitości, żeby się uśmiechnąć, choć z goryczą.

Mając nadzieję, że informacja o e-mailu od Joe wyciągnie Fintana z pieczary zgorzknienia, Tara uciekła do domu, do Thomasa.

Kiedy dojechała do Holloway Road i okrążyła budynek w poszukiwaniu miejsca do zaparkowania, nie była przygotowana na myśl, która zaświtała jej w głowie — gdybym nie mieszkała przy tej ulicy, wybrałabym osiedle z parkingiem dla mieszkańców.

Zdumiała się. Kiedy Fintan po raz pierwszy zasugerował, żeby zostawiła Thomasa, zaprzeczyła automatycznie. Najwyraźniej coś pozostało w jej umyśle.

Następnie pomyślała o tym, jak byłoby jej samej, i zamarła.

Weszła do mieszkania. Kiedy wracała, zawsze najpierw zastanawiała się, w jakim humorze będzie Thomas. Dziś garbił się nad stosikiem esejów, a jego czerwony długopis zamieniał każdą stronę w jatkę.

— Gdzie byłeś?

— U Fintana.

— Uhm.

— Jak ma się Fintan, Tara? — Sama siebie zdumiała tym sarkazmem. — Ma się kiepsko, Thomas, ale dziękuję, że pytasz.

— A co ze mną? — spytał Thomas. — Kiedy ja mam cię widywać?

Niechęć Thomasa do czasu i uwagi, które Tara poświęcała Fintanowi, pogłębiała się. Był niepewny. Tara jednak miała dosyć wymyślania wymówek i tego, że były to — z czego nagle zdała sobie sprawę — właśnie wymówki.

— Myślałem, że dziś wieczorem gdzieś pójdziemy — powiedział Thomas. — Za róg na curry.

— Nie jem.

Thomasa rozdzierał dylemat.

— Bardzo dobrze, Tara. — Nie chciał jednak samotnie iść na curry. — Nie przeszkadza mi, że zrobisz sobie przerwę.

Stanowczo pokręciła głową.

— Jak chodziłaś do cholernego Fintana do szpitala, to się opychałaś!

Musiałabym wynająć furgonetkę, pomyślała. Wszystkie moje rzeczy nie zmieszczą się w samochodzie. Ale zaraz pomyślała o życiu w pojedynkę i szczelina znowu się zamknęła.

Włączyła telewizor i o dziwo natrafiła na dokument o kobietach, które pewnego dnia nie wytrzymują i mordują swoich partnerów po latach cierpień.

— Ja tak zrobię — roześmiała się Tara i czekała, jak zareaguje Thomas.

— Raczej ja — stwierdził butnie.

Kiedy patrzyła, jak wykreśla całe linijki esejów, nagle uświadomiła sobie z bezprecedensową jasnością, że bardzo nie lubi Thomasa od czasu choroby Fintana. Jej zwyczajowa trwoga tajemniczo znikła, dzięki czemu stała się nieostrożna i śmiała.

Nieostrożna i śmiała na tyle by — o ironio — teraz mu zadać to pytanie.

Otworzyła usta i natychmiast jej serce zaczęło walić jak młotem. Zastanawiała się, jak to ująć.

— Thomas? — zaczęła. Słyszała zdenerwowanie w swoim głosie i wcale jej się to nie podobało.

— Co? — Nawet nie podniósł wzroku znad stosu zeszytów.

— Nic.

Znowu wycofali się w milczenie. Następnie uczucia raz jeszcze ją z niego wyrwały.

— Thomas?

— Co?

— Dlaczego się nie pobierzemy?

Ze spuszczonego wzrokiem zachichotał.

— Nie gadaj głupot.

— Och. OK.

— Dobrze. — Zaśmiał się do siebie. — My i ślub!

W brązowym salonie zapadła cisza, atmosfera była ciężka i ponura. Tara doświadczała dziwnej nieobecności uczuć: żadnej straty, żadnego rozczarowania, żadnego zdumienia, niczego. Myślała, że będzie miała pęknięte serce.

— Dlaczego? — spytał po chwili Thomas. — Zaciążyłaś?

— Wątpię. — Nie uprawiali seksu od jej urodzin, już ponad miesiąc.

Minęło jeszcze dziesięć milczących minut.

— Wyglądasz, jakbyś zaciążyła — zauważył.

— Sam nie jesteś pieprzoną Kate Moss — warknęła Tara. Podniósł wzrok. W jego oczach dostrzegła osłupienie i dziecięcą urazę.

— To było bardzo niemiłe. — Zaskoczyła go.

— Teraz wiesz, jak ja się czuję.

— Mówię tak tylko dla twojego dobra.

— A ja dla twojego.

Thomas spojrział na nią i w jednej ze swoich szybkich, zdumiewających zmian nastroju uśmiechnął się znacząco.

— Trzeba dużego młotka, żeby wbić duży gwóźdź. — Wypiął ku niej krocze, a lubieżny wyraz jego twarzy mówił sam za siebie.

Spojrzała na niego ze zdumieniem i zmarszczyła czoło, jak gdyby usiłowała odczytać bardzo drobne pismo. Dlaczego Thomas wyglądał jak gnom?

Nie chciała z nim spać. Tego jednego była pewna.

— Śmiejesz się na wzmiankę o ślubie, a następnie oczekujesz, że pójde z tobą do łóżka. Coś tu jest nie tak.

Thomas był autentycznie zdumiony.

— Daj spokój, Tara — pisała. — Strasznie mnie podniecasz. Nie wyglupiaj się.

— Sam sobie poradź. — Wstała i wyszła z pokoju.

Nie była przygnębiona. Ale nie potrafiła powiedzieć, jak się czuje. Nie była głodna.

Chociaż myśl o jedzeniu ją niepokoiła.

W przeszłości, gdy była zbyt głodna, by zasnąć, brała dwie tabletki nytolu. Pomagał wtedy, pomógł i teraz. Ostatnią myślą, zanim zapadła we wspomagany lekarstwami sen, nie była, o dziwo: „Zjadłabym kanapkę z bekonem”, ale „Ciekawe, co u Alasdaira?”

54

W piątek Tara obudziła się pełna złych przeczuc. Szczęka bolała ją od zgrzytania zębami we śnie.

Rozbawienie Thomasa upokorzyło ją. Co było zabawnego w chęci zamążpójścia? Przecież chodzili ze sobą od dwóch lat. Ludzie się czasem pobierają, to wcale nie jest takie cholernie śmieszne. Dręczyła się odrzuceniem, nawet jeśli Thomas nie miał pojęcia, jaką krzywdę wyrządziły jej te nieostrożne słowa.

Choć bez przekonania upierała się, że nawet nie jest pewna, czy chce wyjść za mąż — w końcu przed dwudziestką wciąż krzyczała, jaką burżuazyjną instytucją jest małżeństwo — pragnęła dowodu, że Thomas poważnie traktuje ich związek.

W drodze do pracy rozdzierała ją niepewność, co będzie dalej. Chyba nie mogli już żyć tak jak dotąd. Ogarnęło ją straszne przekonanie, że ma obowiązek, z szacunku dla samej siebie, coś zrobić, wykonać jakiś ruch. Właściwie powinna to zrobić miesiąc wcześniej.

Nie chciała tego. Woląла raczej przejść przez życie na czubkach palców, jak przez dom przeznaczony do rozbiórkę. W obawie, że wszystko się zawali, gdy źle postawi nogę, stanie na zgniłej desce, oprze się o rozpadający się dźwigar.

Pomyślała, że kiedyś było jej dobrze z Thomasem. Było cudownie. Może wcale nie trzeba się martwić, pocieszała się w przypływie desperackiej nadziei. Ich związek się nie rozleciał. Właściwie nic się nie zmieniło, a cała konstrukcja nadal wydawała się zdrowa.

Może „zdrowa” to nie jest najodpowiedniejsze słowo. Wydawała się taka jak wcześniej. Jakkolwiek by to nazywać.

— Jak tam nowa szminka? — wrzasnął Ravi, gdy Tara weszła do biura. — Pocałunkoodporną?

— Skąd mam wiedzieć?

— Chcesz sprawdzić, czy jest pączkoodporną? — Pomachał przed nią ciastkiem w cukrze. — Przepraszam — powiedział, kiedy się skrzywiła i odwróciła wzrok. — Co powiesz na kawę?

Przyniósł jej kubek kawy, a Vinnie, Teddy, Evelyn, Smukła Cheryl i Śpiący Steve nie mogli nie oderwać się od pracy i nie sprawdzić, co się stanie, kiedy usta Tary wejdą w kontakt z kubkiem. Uniosła kawę, upiła maleńki łyżeczek, po czym odsunęła kubek, tak, by wszyscy mogli zobaczyć.

— Ooo — oznajmili z rozczarowaniem na widok brązowoszarej smugi w kształcie ust na żółtym kubku.

— Napisali, że to trwała szminka — pocieszył ją Ravi. — Nie pisali, że nieścieralna.

— Chyba dam sobie spokój — westchnęła Tara. — Nigdy jej nie znajdę.

Po pracy poszła na drinka z Ravim i paroma innymi osobami. Nie mówiła tam o Thomasie, Fintanie ani o niczym nieprzyjemnym. Dziwnie się jednak czuła, nie mogła pozbyć się nieuchwytnego, lecz złowrogiego strachu.

Poszła zatem do domu, gdzie na widok Thomasa upokorzenie powróciło. Wymuszonym, pogodnym tonem powiedziała:

— Zgadnij, co się stało? Katherine idzie jutro na randkę.

— Czyżby zamierzała zdjąć kłódkę z majtek? — prychnął.

Tara przymknęła się. Nie mogła sobie pozwolić na wybuch złości. Mimo to patrzyła na siebie i na niego z jakiegoś odległego miejsca i myślała, jak dziwnie zachowują się te dwie osoby, które się podobno kochają.

Jak dziwnie żyją. Co za strata czasu.

Choć nie umiała powiedzieć, kiedy minęli tę granicę, pamiętała, że nie zawsze tak było.

Czuła się bardzo zmęczona. Chwilowo miała dosyć dziwactw.

— Daj mi drinka — zażądała. — Kieliszek białego wina. Zaskoczony, posłusznie podał jej wino.

W Tarze zaczynało się dziać coś bardzo ważnego. Nie wiedziała jeszcze co. Wcale nie była pewna, czy poradzi sobie z tą wiedzą.

55

Już kilka lat wcześniej Tara nauczyła się rozdzielać swoje życie, gdyż Thomas nie chciał mieć nic wspólnego z jej przyjaciółmi. Zatem w sobotni poranek, kiedy jechała do Katherine, by pomóc jej w przygotowaniach do randki z Joe Rothem, z łatwością mogła zapomnieć o upokorzeniu i strachu. Z olbrzymią łatwością. Jej życie stało się nieprzyjemnym miejscem, nie wiedziała, co myśleć i co robić.

Niemal eksplodując z podniecenia, pojawiła się u Katherine.

Katherine miała na sobie stanik i obcisłe dzinsy, wyraźnie eksponujące jej płaski brzuch i wystające kości miednicy.

— To dlatego, że wiesz, jak bardzo chciałabym je włożyć, co? — spytała Tara radośnie. — Dlatego, że bardzo mnie lubisz?

— To dlatego, że mała czarna niespecjalnie się nadaje na mecz piłki nożnej — odparła Katherine.

— Wcale nie, po prostu jesteś miła dla tłustej koleżanki i pozwalasz jej pośrednio włożyć dzinsy. Chciałabym być tobą — westchnęła ze smutkiem. — Z twoją małą pupą i chudymi nogami. Masz szczęście, że jesteś moją przyjaciółką, inaczej musiałabym cię zamordować.

Tara rozejrzała się po mieszkaniu. Coś się zmieniło. Wciąż panował tu bałagan, mimo że rodzina O'Gradych wyjechała już niemal tydzień wcześniej. Dywanowi w salonie przydałoby się odkurzenie, wszystko wydawało się brudne, w nieładzie, a przez otwarte drzwi do kuchni widziała zlew pełen brudnych naczyń.

— Och. — Katherine z zakłopotaniem machnęła ręką. — Tak, wiem. Planowałam wielkie sprzątanie po ich wyjeździe, ale... — Jej głos odpłynął. — Nie jest tak źle. Trochę bałaganu, ale przynajmniej jest czysto.

Nie było czysto, jednak Tara tylko nerwowo przełknęła ślinę i nic nie powiedziała.

— Wiesz, brakuje mi ich — wyznała Katherine. — Przyzwyczałam się.

— Przecież doprowadzali cię do szału! — wykrzyknęła Tara. — A Milo zużył twoje mleczko do ciała Coco Chanel.

— Nie mamy dowodu, że to Milo — odparła Katherine. — To mogła być JaneAnn albo Timothy.

— Miałymy dowód organoleptyczny, że to Milo. Poza tym on ma dobry gust.

— W nowym życiu z Liv odnalazł się jak ryba w wodzie — przytaknęła Katherine.

Tara pociągnęła nosem.

— Co to za smród? — spytała. — Spalone włosy?

Katherine wydawała się zakłopotana.

— Może przesadziłam z prostownicą do włosów — przyznała.

— Rany boskie, rzeczywiście pod każdym względem skoncentrowałaś się na projekcie Joe Roth. Co się stanie, jeśli zechcesz się z nim przespać? Nie obawiasz się, że mieszkanie jest trochę... — zawahała się — ...nieporządne?

— Kupiłam nową drogą bieliznę — wyznała Katherine. — Już wystarczająco kusiłam los.

— Znowu bielizna?! — wykrzyknęła Tara. — Gdybyś do końca życia miała nosić codziennie inne majtki, to i tak zostałyby ci kilka par.

— Znowu zakładasz, że będziemy żyły wiecznie — stwierdziła pogodnie Katherine.

Tara natychmiast zbladła.

— Ilekroć o tym myślę, czuję się równie kiepsko jak na początku. On wyzdrowieje, prawda?

— Może. Mam nadzieję.

Śmierć wisiała w powietrzu, dopóki Katherine nie powiedziała:

— No już, rób to, po co tu przyszedłaś, i pomóż mi się ubrać. Tara natychmiast poczuła przypływ entuzjazmu.

— Co powinnam włożyć do dzinsów? — spytała Katherine.

Tara postanowiła przejrzeć zawartość jej szafy.

— Ty i te twoje zestawy — mruknęła belferskim tonem. — Kupuj neutralne kolory, upewnij się, że wszystko do siebie pasuje, na początku każdego sezonu wybierz parę podstawowych ubrań — szare spodnie, granatowy kostium, wąskie czarne spodnie i czarną spódnicę — i dokupuj do nich resztę. — Dotarła do końca wieszaków. — Przykro mi, Katherine, nie widzę tu nic seksownego, a trudno nosić bluzkę do pracy z tymi dzinsami. — Bezradnie oparła ręce na biodrach. — Chyba nie pójdziesz w samym staniku?

— Właściwie to wybrałam się na zakupy... — Katherine wyciągnęła spod łóżka torbę. — I kupiłam to. Ale to do mnie nie pasuje — dodała ze skrucą. — To bumerang.

Tara nie miała pojęcia, o co chodzi.

— To znaczy, że ją oddam — wyjaśniła Katherine.

— Obejrzyjmy. — Tara wyciągnęła malinowy sweterek. — Wkładaj! — zażądała. — Natychmiast.

— Ale...

— Wkładaj!

Zakłopotana Katherine stanęła przed Tara. Wyglądała prześlicznie. Ciemnoróżowy kolor rozświetlił jej twarz, jakby pod skórą znajdowały się reflektory. Jedwabista tkanina oblepiała jej ręce i piersi. Krótki sweterek odsłonił fragment płaskiego brzucha. Tara żałowała, że nie pomyślała o przekłuciu pępka Katherine. Sama by to sobie zrobiła, gdyby nie obawa, że musiałyby się wystarać o sprzęt do drążenia tunelu pod kanałem La Manche, by przedrzeć się przez tłuszcz na brzuchu, i że kolczyk musiałby mieć obwód talerza.

— Musisz go włożyć! — stwierdziła pewnie.

— Nie mogę — zaprotestowała Katherine. — Wyglądam tak mało subtelnie. Nadaje się dla nastolatki.

— Proszę — błagała ją Tara. — Wyglądasz seksownie i chudo. On przywykł do tych zapiętych pod szyję kostiumików. Zobaczysz, jak to na niego podziała.

— Ale jest listopad. Złapię grypę.

— Grypę powodują wirusy. Poza tym masz płaszcz. Co chcesz włożyć?

Nastąpiła nieoczekiwana przerwa, a na twarzy Katherine pojawił się ból.

— Kiedy robiłam zakupy, zobaczyłam to. — Wyciągnęła spod łóżka następną torbę. — Nie powinnam była tego kupować. Odniosę w poniedziałek. To przyjechało tylko na weekend na Gospel Oak. Nie wiem, co ja sobie myślałam...

Tara wyrwała jej torbę i wyciągnęła z niej sięgającą do kolan, ciemnoniebieską kurtkę z mięciutkiej skóry, nadal zawiniętą w bibułę.

— Jezu Chryste! Co ty tam jeszcze masz? — Tara rzuciła się na podłogę niczym zakładnik podczas napadu na bank.

— Nic — odparła pośpiesznie Katherine. — Tylko buty. Trochę biżuterii i kosmetyków. I kilka sztuk bielizny. Ale nie chciałam, naprawdę, to wszystko olbrzymia pomyłka.

— Uty dyyyy! — Tara leżała pod łóżkiem, jej głos był niewyraźny, ale pełen ekstazy.

Katherine domyśliła się, że Tara znalazła buty Prady.

— Błagam, wyjdź.

Tara wychyliła się spod łóżka.

— Dlatego w czwartek przyszedłeś do Fintana dopiero o dziewiątej. Poszedłeś na zakupy!

Z szacunkiem zaczęła odpakowywać kurtkę.

— O Boże, nie wierzę! — krzyknęła na widok metki. — Dolce i Gab...

— Nie rozmawiajmy o tym — przerwała jej Katherine. — Niewiarygodne poczucie winy, rozumiesz.

Tara poczuła ulgę. Katherine zachowała się nieracjonalnie, wydała majątek na niepraktyczne, kosztowne ubrania, ale przynajmniej starczyło jej przyzwoitości, żeby odczuwać z tego powodu wyrzuty sumienia.

W końcu Katherine była gotowa: miała na sobie nowy sweter, kurtkę, buty, obróżkę, kolczyki, stringi, koronkowy stanik, zrobiła sobie kreski na powiekach i spryskała szyję, dekolt i przeguby rąk perfumami *Boudoir Vivienne Westwood*. Zgodziła się nawet, żeby Tara uczesała ją w kucyki.

— Wyglądasz na czternaście lat — powiedziała Tara. — Idź i grzesz, moje dziecko.

— Możesz na mnie liczyć.

— Chyba nie mówisz poważnie? Na pierwszej randce?

— Życie jest po to, by żyć — zażartowała Katherine. — Jutro możemy być martwe.

Wydawało się, że faktycznie w to wierzy, i Tara znowu się zaniepokoiła. Mogłaby się obejść bez tych dziwactw Katherine. Gdy wyszły z domu, Tara rozejrzała się ukradkiem po okolicy.

— Kogo szukasz?

— Raviego. Nie zdziwiłabym się, gdyby rąbnął cię w głowę, ukradł twoje ciuchy i przebrał się za ciebie, żeby wejść na twój bilet.

— Czyli to nie takie byle co, nie? — Katherine była bardzo zadowolona.

Fintan został zaproszony do Katherine na wielkie przygotowania, ale nieuprzejmie je zlekceważył. W nadziei, że wpłynie to na poprawę jego humoru, postanowiły pokazać mu owoc swoich wysiłków, zanim Katherine spotka się z Joe.

Otworzył im Sandro, blady i zmartwiony. Wydawał się smutny. W milczeniu, z zaciśniętymi ustami wskazał im salon.

Fintan leżał na sofie w wysokiej peruce à la Diana Ross and the Supremes. Przy pierwszym kontakcie jego szarość zawsze nimi wstrząsała. Choć można było to zwalić na karb skutków ubocznych chemioterapii i niskiego poziomu leukocytów, i tak miały wrażenie, że spoglądają w twarz śmierci. Szok jednak szybko mijał. Mówiono im, że musi być gorzej, zanim zrobi się lepiej.

— Jak się masz? — spytała go Tara.

— Do dupy — odparł.

— Ale nie gorzej? — dodała Katherine.

— Nie.

Jeszcze kilka tygodni temu poświęciłyby pół godziny na dyskusje o stanie jego zdrowia, ale po zapewnieniu, że nie ma nowych guzów, opuchlizny albo niewytłumaczalnych bólów, uznały, że wszystko jest niemal normalnie.

— Siedzisz wygodnie? — Tara postanowiła zbudować dramatyczne napięcie.

— Nie. Już prawie nie mam tyłka.

— Patrz, jak się przechwala. Gotowa, Katherine? — Gdy Katherine skinęła głową, Tara oznajmiła. — Ta dam! Oto Katherine Casey, überkociak, seksowna laska i miłośniczka Joe Rotha. Ta dziewczyna to ucieleśnienie męskich marzeń.

Katherine stanęła na środku pokoju i zatańczyła, rozchylając kurtkę i wypinając sterczące biodra.

— Zawsze beznadziejnie tańczyłaś — stwierdził Fintan, a zdumiona Katherine znieruchomiała.

Właśnie wtedy Tara zauważyła otwartą puszkę piwa Sapporo na stoliku. Strach zmroził jej krew w żyłach. Wymieniła spojrzenia z Katherine — ona też zauważyła puszkę.

— Katherine idzie dziś na randkę z Joe Rothem. — Tara powiedziała to powoli i zbyt wyraźnie, tak jak się mówi do szaleńców albo upośledzonych.

— Nie wysilaj się dla mnie, moja droga — powiedział perfidnie Fintan.

— Nie cieszysz się? — zapytała Tara, kiedy Katherine nawet nie drgnęła. — Nie jesteś zachwycony? Przecież to dzięki tobie. W pewnym sensie...

— Chyba mylisz mnie z chorym na raka pacjentem, który nie ma tego w dupie.

— Przecież zrobiła to dla ciebie. — Nagle dałaby się pokroić za papierosa.

— Nieprawda — odparł. — Zrobiła to dla siebie.

— Zrobiłam to dla ciebie — przytaknęła skrzekliwym głosem Katherine.

— No to daruj sobie.

— Trochę za późno.

— Wcale nie. Lepiej późno niż wcale. Zwalniam cię z tego obowiązku. Właściwie to nie chcę, żebyś się z nim spotkała. Proszę, żebyś tego nie robiła — rzucił zjadliwie.

— Nie możesz tak mówić — jęknęła Tara. — Kupiła kurtkę Dolce i Gabbana. Bieliznę Agent Provocateur. I buty Prady. Pokaż mu buty, Katherine, podciągnij spodnie, spójrz na obcasy, Fintan. I chociaż sweter jest tylko z French Connection...

Katherine z błagalną miną posłusznie podciągnęła dzinsy. Myśl o tym, że mogłaby nie pójść na randkę z Joe, była nieprawdopodobnie rozczarowująca.

— Widzisz — zaczął Fintan z ustami rozciągniętymi w gorzkim uśmiechu — chciałaś się z nim spotkać. To nie ma ze mną nic wspólnego. Byłem tylko katalizatorem.

W Katherine szalał konflikt. Przecież nie chciała mieć nic wspólnego z Joe. No cóż, właściwie chciała, ale nic w tej sprawie nie zrobiła. I naprawdę się bała, że Fintanowi się pogorszy, jeśli ona nie spełni jego żądania. Musiała jednak przyznać, że jakaś jej część z zadowoleniem powitała pretekst do zaczepienia Joe. Nie chciała się teraz wycofywać. Czuliła, że to nie ma już nic wspólnego z Fintanem.

Może to nigdy nie miało z nim nic wspólnego poza tym, że jego choroba zapoczątkowała całą historię.

Bardzo ją ta myśl niepokoiła i nagle zrozumiała, jak się czuła Tara, gdy Fintan zażądał, by zostawiła Thomasa.

— Dlaczego mnie o to prosiłeś, skoro nagle zmieniasz zdanie? — wymamrotała.

— Mam raka, moja droga. Mogę robić, co mi się podoba. — W jego tonie pojawiło się znużenie. — Wtedy wydawało mi się to dobrym pomysłem, Katherine. Naprawdę. Myślałem, że jeśli ty i Tara będziecie żyły pełnią życia, ja wyzdrowieję. Liv mówi, że przechodziłem przez trzecią fazę reakcji na złe wieści: negocjacje.

— Jaka jest pierwsza i druga faza? — spytała Tara.

— Zaprzeczenie i depresja.

— A gdzie jesteś teraz?

— Ugrzęzłem w fazie czwartej.

— Czyli?

— Rozczulanie się nad sobą. Czy to nie oczywiste?

— To chyba nie jest rozczulanie się nad sobą. — Katherine też rozmawiała z Liv. — To gniew.

— Wszystko jedno.

— Czy istnieje faza piąta? — spytała ze znużeniem Tara. Czego powinni się spodziewać?

— Tak. To akceptacja. Tyle że do tego czasu umrę.

Tara otworzyła usta, by natychmiast zacząć zaprzeczać, ale Fintan ją uprzedził.

— Przestań, proszę. Protekcyjnalne traktowanie ze strony innych jest takie irytujące. Wystarczy, że na mnie spojrzysz. Wciąż mam guza na szyi mimo końskich dawek chemioterapii, od których wypadły mi wszystkie włosy. Jestem chodzącym guzem, więc co mam myśleć? — Odwrócił się do Katherine i powiedział z lekką skruchą: — Idź. Idź z nim, baw się dobrze.

Zawahała się. Nie chciała otwarcie przyznać, że idzie na spotkanie z Joe Rothem, bo tego chce. Rozpaczliwie pragnęła wmieszać w to Fintana, więc oznajmiła:

— Jeśli mi wyjdzie z Joe, przyprowadzę go do ciebie.

— Nie trudź się.

— Cóż, eee, lepiej już pójde — powiedziała. — Nie chcę się spóźnić.

Ruszyła do metra, energicznie maszerując na swoich dziesięciocentymetrowych obcasach i usiłując iść na tyle szybko, by strząsnąć z siebie złość i zamęt, które do niej przyłgnęły.

Tara została sam na sam z Fintanem. Czuliła się w jego towarzystwie wyjątkowo niezręcznie, podobnie jak Sandro, który uparcie trzymał się z dala od pokoju. Niegdyś życie Fintana było naczyniem wypełnionym słodką radością.

Teraz stało się czymś małym, kwaśnym, bezwartościowym. Bała się, że Fintan wspomni o Thomasie. Choć rozgrzeszył Katherine — tak nieprzyjemnie, że nie wyglądało to na rozgrzeszenie — Tara nie wiedziała, czy jej także odpuścił. Może teraz wszystko skrupi się na niej? Bała się zapytać.

— Będiesz to pił? — Wskazała piwo na stoliku.

— Czemu? Chcesz? Nie za wcześnie?

— Mogłabym ci zadać to samo pytanie.

— Ale ja mam raka. Tara westchnęła w duchu.

— Tym bardziej. — Zebrała się na odwagę i spytała: — Chcesz, żebyśmy razem zajęli się wizualizacją?

— Czym?

— Wizualizacją. Z książki. Będziemy sobie wyobrażali, że wypełniłeś się... — zająknęła się na widok jego robawienia — ...dobrocią i czystością, i światłem, i... no wiesz.

— Jak tam Thomas? — rzucił w odpowiedzi. Tego się obawiała.

— Hm. Ucięłam sobie z nim pogawędkę i podejrzewam, że nici z małżeństwa, ale nie zapomniałam, co mówiłeś o zostawieniu go, i... eee... wciąż o tym pamiętam, myślę o tym, co powiedziałeś, wiesz...

— Nie fatyguj się, moja droga. — Ku jej zdumieniu powtórzył to, co wcześniej mówił Katherine.

— Co masz na myśli?

— Mam w dupie, co zrobisz. Jeśli chcesz, możesz z nim spędzić resztę życia.

— Nie chcesz, żebym go zostawiła?

— Nie, Tara. Mam to gdzieś. Wyjdź za niego albo nie. Zostań z nim, bądź wycieraczką, tak jak teraz. To twoje życie, nie moje, rób z nim, co zechcesz. Marnuj je, postępuj tak, jak wszyscy.

— No dobrze.

— Życie marnuje się na życie — oznajmił ciężko Fintan.

— Odpuszczasz mi? — zapytała z wahaniem.

— Tak, odejdz w pokoju i tak dalej.

— No dobrze — uśmiechnęła się z wysiłkiem. — Nie wiedziałam, czy przypadkiem nie zmieniłeś zdania tylko w kwestii Katherine. Ale... no to dzięki.

Czekała, aż ciężar spadnie jej z serca. Czekała, aż poczuje się wolna, radosna, wyzwolona. Wszystko było dobrze. Mogła zostać z Thomasem. Fintan dał jej swoje błogosławieństwo i mogła zostać z Thomasem tak długo, jak jej się podoba.

Hura!, krzyknęła w duchu. Mogła zostać z Thomasem na zawsze. Mogła zostać z Thomasem na zawsze.

Tylko dlaczego brzmiało to raczej jak groźba niż jak ziszczone marzenie?

Joe czekał przed kasami na stacji metra Finsbury Park, jak się umówili. Kręciło się tu tyle osób w barwach Arsenalu, że trwało to chwilę, zanim go dostrzegła. W końcu ujrzała, że opierał się o ścianę, z rękami w kieszeniach. Miał na sobie spłowiałe dzinsy, traperki i obszerną skórzaną kurtkę. Kosmyk ciemnych włosów opadał mu na czoło, brązowe oczy miały nieobecny wyraz. Kiedy nerwowo szła ku niemu, jego twarz wciąż była ściągnięta, niemal nieprzyjazna. Katherine zaczęła żałować, że przyszła.

Prawie się z nim zderzyła i dopiero wtedy jego niezyczliwa mina zniknęła.

— Katherine! — Joe oderwał się od ściany i wyprostował. — Nie poznałem cię. Nie poznałem cię — powtórzył, bezwstydnie przyglądając się jej fryzurze, kurtce, dzinsom i butom. Kręcąc z niedowierzaniem głową, nabrał w usta powietrza i odgarnął włosy z czoła. — O rany!

— Nie wyglądam aż tak inaczej. — Zakłopotana przestępowała z nogi na nogę.

— Nie, ale... — Uśmiechnął się jeszcze szerzej, nawet nie próbował ukryć aprobaty.

Odpowiedziała mu uśmiechem, po czym uciekła spojrzeniem w bok, zawstydzona i szczęśliwa.

— Przepraszam za spóźnienie — powiedziała.

Zerknął na zegarek i ze świstem nabrał powietrza w płuca.

— Trzy i pół minuty, Katherine. Naprawdę mnie zaniepokoiłaś. — Rzeczywiście tak było. — Przynajmniej przyszłaś. Tędy.

Wyprowadził ją na ulicę. Kiedy szli na stadion, nie dotykał jej. Nie trzymał jej za rękę ani nawet pod łokieć. Szedł jednak blisko, tworzył wokół niej bezpieczne pole siłowe. Był równie miły jak kiedyś, w najlepszym okresie, ale nie uważała za swój obowiązek traktować go okrutnie lub lekceważąco.

Stadion wydawał się gigantyczny. Po okazaniu biletów poszli na szybkiego drinka do baru. Potem przez niemal dziesięć minut wraz z setkami innych podążali korytarzami i wspinali się po schodach, aż wreszcie wyszli na chłodne powietrze, wypełnione skandowaniem dobiegającym z daleka i z bliska.

Miejsca były ponumerowane, nad krzesłami wznosiło się zadaszenie chroniące przed kaprysmi aury. Wszystko sprawiało niezwykle korzystne wrażenie. Nie sprawdziły się początkowe wizje Katherine zaniepokojonej, że będzie musiała przepychać się po ławkach skąpanych w strugach deszczu i stawać na palcach, aby cokolwiek dojrzeć ponad głowami kibiców.

Poza tym na stadionie pojawiły się kobiety, i to wcale niemało. Katherine nie była jedyna! Przeszli między długimi rzędami plastikowych krzesełek, schodząc coraz niżej. Kiedy znaleźli miejsca, usiedli obok siebie. Ich uda znalazły się blisko, lecz się nie stykały, w przeciwieństwie do rąk. Potężne, okryte czarną skórą ramię Joe górowało nad kruchym, schowanym w błękitie ramieniem Katherine. Zdumiała się na widok tyłu ludzi w jednym miejscu. Otaczały ją tysiące kibiców. Niżej rozpościerały się długie i liczne rzędy ludzkich głów, docierające niemal do murawy boiska. Obróciła się, aby spojrzeć za siebie, i ujrzała las postaci tworzących prawie pionowy wzór aż do blaszanego zadaszenia. Następnie pochylała się i przyjrzała wielometrowym rzędom kolan. Trzy pozostałe trybuny również były wypełnione ludźmi, oddalonymi tak bardzo, że przypominali wodorosty podczas przyływu. Ten widok zrobił na Katherine duże wrażenie. Klaskanie i tupanie odbijało się głośnym echem od metalowego dachu stadionu, ogłuszając zebranych. Katherine uznała, że efekt jest wstrząsający. Jej krew pulsowała w rytm uderzających o ziemię stóp. Wyraźnie czuła ten łomot w żołądku.

Joe odwrócił się i mruknął:

— Wszystko w porządku?

— W porządku. — Skinęła głową i uśmiechnęła się lekko.

— Ciepło ci?

Ponownie skinęła głową.

— Dobrze widzisz? Następne kiwnięcie.

— Chociaż na razie nie ma czego oglądać — dodał. Przez chwilę milczeli.

— Chcesz hamburgera? — zapytał. — Albo zajrzeć do programu?

Joe zaczynał łagodnie panikować, że może Katherine nie jest aż tak podniecona tą randką jak on.

Pokrzepiona jego niepokojem powiedziała:

— Nie wiedziałam, że to będzie takie...

— Jakie? — Patrzył na nią zdenerwowany.

— Podniecające — przyznała.

Poczuł wdzięczność i ulgę. Miał rację, nigdy się co do niej nie mylił! Pod tą zimną powłoką krył się ogień i namiętność.

— Jeśli to jest podniecające — uśmiechnął się do niej — to poczekaj, co będzie dalej.

Poruszona otworzyła szerzej oczy. Co za arogancja.

— To znaczy po rozpoczęciu meczu — wyjąkał. Rozpoczęły się śpiewy:

Ojciec mój Mówił: Evertonowi kibicuj Pieprz się stary, straszny z ciebie... Na szczęście Joe nie śpiewał. Nie była pewna, jak by się z tym czuła. Jednak pierwotna energia tłumu stawała się coraz potężniejsza, wyjątkowo męska i seksowna. Było zimno, ale nie miało to znaczenia.

— Od dawna jesteś fanem piłki nożnej? — spytała nieśmiało.

— O tak. Byłem kibicem, zanim jeszcze Nick Hornby zrobił z futbolu modę dla klasy średniej. Od czwartego roku życia wiernie kibicuję Torquay United.

Katherine pomyślała o czteroletnim Joe i jej serce ścisnęło się tęsknotą.

— Czy Torquay United są dobrzy?

— Chryste, nie. — Gwałtownie potrząsnął głową i wyszczerzył zęby. — Są... Jakby to ująć? Zorientowani na sukces. Może na sukces inaczej. To trzecia liga.

— Dlaczego im kibicujesz? Litość dla przegranych?

— Nie. — Ponownie potrząsnął głową. — To kwestia urodzenia i wychowania. Jestem z Torquay, nie mam żadnego wyboru.

— Kismet.

— Zgadza się. — Co za dziewczyna. — Przeznaczenie. Los.

Wszystkie inne znane mu kobiety, niezależnie od miejsca urodzenia, kibicowały Manchester United i tego właśnie oczekiwały od niego. Uśmiechnął się do Katherine. Ilekroć nawiązywali kontakt wzrokowy, jej żołądek ścisnął się przyjemnie ze zdenerwowania.

— To dlaczego jesteśmy na meczu Arsenalu? — spytała.

— Kiedy przeniosłem się do Londynu, cotygodniowe wyjazdy do Devon okazały się niemożliwe. Okazało się, że mieszkam sto metrów od stadionu Arsenalu, więc oglądanie jakiegokolwiek meczu było lepsze niż nic.

— Rozumiem. — Spojrzała na niego surowo. — Nie dlatego, że kochasz Arsenal jako taki?

— Teraz kocham — zapewnił ją pośpiesznie. — Ale wtedy nikogo nie kochałem. — Uśmiechnął się raz jeszcze. — Kurczę, byłem młody, byłem jeszcze chłopcem. Nie miałem pojęcia, co to lojalność.

— A teraz jesteś dojrzały?

— Bardzo.

— Miło mi to słyszeć — powiedziała szczerze.

— Choć to narastało powoli, w końcu się zakochałem. W Arsenalu, rzecz jasna — dodał pośpiesznie.

Przed nimi rozpościerało się ogromne, szmaragdowozielone boisko z białymi pasami. Jak dotąd nikt się na nim nie pojawił.

— Powinniśmy zaczynać — stwierdził Joe. Odwrócił się, od niechcienia ujął rękę Katherine i spojrzał na zegarek. To był zwyczajny gest, każdy mógł zrobić coś takiego. Ale jednocześnie było to poufale i niezwykle intymne. Wstrzymała oddech, gdy jego chłodne palce trzymały ją za przegub. — Dzięki. — Puścił ją i było po wszystkim. Jej oddech uspokoił się dopiero po dłuższej chwili.

Na trybunach wyczuwało się napięcie.

— Zaczynamy — szepnęła Joe, a cały stadion powstał, klaszcząc, gwizdząc i wiwatując. Najwyraźniej na murawę wybiegł Arsenal, lecz Katherine widziała tylko plecy i głowy ludzi przed sobą. Po chwili rozległo się buczenie i wrzaski, z czego wywnioskowała, że zjawiała się drużyna Evertonu.

Wszyscy usiedli. Po rozpoczęciu gry atmosfera wśród kibiców stała się napięta od oczekiwania i zdenerwowania. Wszędzie wokół narastała przyczajona agresja, a Katherine poczuła, że przyjemny dreszczyk emocji pod skórą usadowił się na granicy strachu, lecz jej nie przekraczał.

— Drużyna w czerwono-białych strojach to nasi.

— Wiem! — Tara zapoznała ją z podstawami.

— To dobrze — pochwalił Joe. Szło coraz lepiej.

Mężczyzna po drugiej stronie Katherine przybrał zaciętą minę i najwyraźniej miał osobiście na pieńku z Evertonem. Bez przerwy zrywał się na nogi i ryczał: „Dalej, pokażcie, co umiecie, jeśli myślicie, że jesteście tacy twardzi!”

Kiedy Everton przepuścił pierwszorzędną okazję, mężczyzna wrzasnął oblesnie i wyryczał pieśń triumfu: „Nie wcelowalibyście nawet kurwie! Nawet kuuu-rwieee! Nie wcelowalibyście nawet kurwie!”

Ku konsternacji Katherine trącił ją łokciem i powiedział:

— No już, dziewczyno, śpiewaj. Z Evertonu chuje, nie wcelowalibyście nawet kurwie!

— Mam chore gardło — mruknęła. — Nie mogę.

Joe nie śpiewał, ale był bardzo skoncentrowany i szczerze przejęty sytuacją na boisku. Katherine czuła, że nie powinno się jej to podobać — w końcu po co ją tu przyprowadzał, skoro zamierzał ją ignorować? — ale nie mogła się rozźłościć. Zmrużonymi oczyma przyglądał się sytuacji na boisku, wodził wzrokiem za piłką. Joe obserwował mecz, a Katherine obserwowała jego, jego wystające kości policzkowe, gładką skórę, potargane włosy. Co pewien czas sprawdzał, czy nic jej nie jest. Martwił się, czy nie zmarła, ale choć policzki poróżwiały jej z zimna, nie zwracała na to uwagi.

Dwadzieścia minut po rozpoczęciu meczu przysunął się do niej. W skórzanej kurtce wydawał się bardzo masywny.

— Nic ci nie jest? — spytał po raz tysięczny.

— Nic. — Pokazała w uśmiechu drobne zęby.

— Nic nie słyszę — powiedział cicho i pochylił głowę. — Przybliź się.

Myśląc, że to z powodu śpiewów, pochyliła się i powtórzyła:

— Powiedziałam, że nic...

— Nadal cię nie słyszę — odparł cicho. — Bliżej.

Zakłopotana naruszeniem jego przestrzeni osobistej, przysunęła się nieco bliżej i raz jeszcze powiedziała:

— Nic mi nie jest.

Była tak blisko, że widziała cień zarostu na jego szczęce.

— Nadal cię nie słyszę — powtórzył.

Tym razem niemal musiała czytać mu z ust.

Zdumiona przysunęła się jeszcze o centymetr, tak że teraz niemal się dotykali, i powtórzyła:

— Nic.

— Nadal cię nie słyszę — wyszeptał.

Dzieliło ich jakieś dziesięć centymetrów, czuła jego oddech na swojej szyi. Nie mogła przysunąć się bliżej. Ich oczy się spotkały. W jego wzroku było napięcie, w jej zakłopotanie. I wtedy zrozumiała...

Gdzieś, w innym wymiarze, Everton przepuścił kolejnego pewniaka, i kiedy uszy Katherine wypełniły się fałszywym śpiewem kibiców Arsenalu: „Jesteście gównem warci i dobrze o tym wiecie”, Joe Roth przysunął się bardzo blisko i zasłonił wszystko w polu jej widzenia. I pocałował ją.

57

Rob zalałby się łzami, gdyby wiedział, że jego cenny bilet się zmarnował, gdyż osoba zajmująca jego miejsce przez cały mecz się całowała. Na szczęście zrobili to tylko raz.

Ale co to był za pocałunek, pomyślała Katherine!

Miała zamknięte oczy, a rękami dotykała jego lekko zarośniętej szczęki. Jej nozdrza wypełniła wyjątkowa, cytrusowa woń czystego mężczyzny, a gdzieś w podświadomości zarejestrowała, jakie miał jędrne i suche usta. Przyciągnął ją do siebie, a dłonią pieścił jej jedwabiste włosy. Żar ich warg kontrastował z chłodem skóry.

Pocałunek jednak za szybko dobiegł końca. Niechętnie otworzyli oczy i odsunęli się od siebie, na granicy zbyt silnego pragnienia. Znowu wróciła rzeczywistość.

— Przepraszam, nie powinienem... To nieodpowiednie miejsce — wymamrotał Joe, patrząc na nią nie całkiem przytomnie.

— Masz rację — zgodziła się oszołomiona. Zdumiona odkryciem, że nie są jedynymi ludźmi na świecie.

W męczarni oczekiwania oglądali resztę meczu. Chyba wygrał Arsenal.

Następnie wsiedli do taksówki i pojechali do niej.

Na miejscu Katherine wpadła w panikę. Było dopiero wpół do szóstej, za wcześnie na figle. Popelniła błąd.

Jego obecność wypełniała jej mieszkanie. Katherine chciała, żeby sobie poszedł. Nie cierpiała czuć się tak, jakby trzymała tygrysa za ogon. Jakby ugryzła więcej, niż mogła przeżuć.

— To salon — trajkotała nerwowo. — Usiądź, a ja nastawię czajnik.

Urwała nagle, gdy Joe włożył ręce w szlufki jej spodni.

— Chodź tu — powiedział łagodnie i przyciągnął ją do siebie. Jej stopy ruszyły ku niemu, ciało przytuliło się do niego. W milczeniu obserwowała jego znaczące spojrzenie, gdy pochylał się nad nią. Jego świeży oddech ogrzał jej skórę, a chwilę później ich usta się spotkały.

Kiedy zamknęła oczy, poczuła, że jej ciało rozkwita jak kwiat. Za wcześnie, powtarzała sobie, usiłując się powstrzymać. Za wcześnie, masz natychmiast przestać.

Ale to Joe ich rozdzielił. Próbując uspokoić galopujące serce, uśmiechnął się ze smutkiem.

— Musisz wiedzieć, że nigdy nie chodzę do łóżka na pierwszej randce.

— Ani ja — oznajmiła wyniośle.
— Na szczęście jeszcze dziś idziemy na drugą randkę.
— Nie waż się myśleć...
— Nie — przerwał jej szybko. — Wierz mi, to był żart.
— Aha. Czyli chodzisz do łóżka na pierwszej randce?
— Nie, ja... Rozumiem, to też żart. Uśmiechnęli się do siebie.
— Co z tą drugą randką? — spytała.
— Obiecałem, że cię nakarmię.
— I?
— Pomyślałem, że gdzieś pójdziemy. Zgadzasz się?
— Gdzie?
— Eee, do Ivy. — Zawstydziała go własna rozrzutność.

— Dobrze — odparła krótko. — Możemy się spotkać na miejscu?
Nie była jeszcze gotowa na to, by czekał, aż ona się przebierze. Joe wydawał się rozczarowany, ale powiedział tylko:

— Stolik jest zarezerwowany na ósmą. Do zobaczenia.

Pocałował ją w policzek, a gdy tylko zamknęły się za nim drzwi, Katherine odtańczyła w przedpokoju taniec, który zupełnie do niej nie pasował. Dobrze wiedziała, jak trudno jest dostać stolik w Ivy.

Następnie wbiegła do sypialni i wyciągnęła spod łóżka czarną, obcisłą sukienkę z wąskimi rękawami. Trudno było nazwać ją krótką, ale dla Katherine była krótka. W końcu Joe zabierał ją do Ivy.

Poleciało jej oczko w czarnej pończosze. Na szczęście należała do tych kobiet, które mają w szufladach po kilka par. Następnie, w przypływie niezdecydowania, przez kilka sekund wahała się między czarnymi atlasowymi botkami na wysokim obcasie a czarnymi skórzanymi sandałami. W końcu zdecydowała się na botki, gdyż w sandałach czuła się zbyt bezbronna. Do tego fantastyczny płaszcz od Jil Sander, który kupiła na styczniowej wyprzedaży, i już była gotowa.

Nie mogła nie zadzwonić do Tary. Wiedziała, że przyjaciółka umiera z ciekawości, jak poszło. Kiedy jednak usłyszała, że ktoś podniósł słuchawkę, pomyślała, że zapewne wykręciła zły numer. Nie rozpoznała szorstkiego, niewyraźnego głosu, który powiedział:

— Halo?

— Tara? — spytała z wahaniem.

— O, Katherine. — Głos się załamał.

Wtedy Katherine uświadomiła sobie, że Tara ledwie może powstrzymać rozpaczliwy płacz.

— Co się stało? Chodzi o Fintana?

— Nie, to nic poważnego.

— To na pewno coś poważnego.

— Chodzi o Thomasa. Co za kutas.

— Co zrobił? — Katherine była przerażona. Nie zdziwiłaby się, gdyby okazało się, że Thomas ma kochankę.

— To po prostu złamany kutas.

— Ale... — Katherine nie wiedziała, co powiedzieć. Jasne, że Thomas był kutasem. Nic nowego. Musiało wydarzyć się coś jeszcze. — Chyba nie ma romansu?

— Dlaczego? Myślisz, że na świecie może być jakaś kobieta równie głupia jak ja? Oj, właśnie sobie przypomniałam — powiedziała płaczliwie. — Jesteś na randce. Powiedz, że to wesoły telefon. Wszystko dobrze?

— Nieważne. Opowiedz mi, co się stało.

— Jutro. Błagam, Katherine, naprawdę chcę wiedzieć, jak ci idzie.

— Pocałował mnie dwa razy i zabiera mnie na kolację do Ivy.

— Do Ivy! Tak się cieszę, to znaczy, że ma poważne zamiary. — Z wysiłkiem usiłowała okazać radość. — Kiedy będziesz jadła podwójny mus czekoladowy, pomyśl o mnie przez chwilę.

— Nie chcesz, żebym do ciebie przysłała? — Ścisnęła kciuki i spróbowała ścisnąć palce u stóp, po czym zacisnęła oczy i zaczęła się modlić.

— Oszalałaś? — Nawet Tara zaśmiała się cicho.

— Nic ci nie będzie?

— Na pewno nie. Przykro mi, że cię zaniepokoiłam. Baw się dziś cudownie i wygzekwuj obowiązek małżeński.

— Jeśli jesteś pewna...

— Przysięgam na życie mojej babci, że jestem pewna.

Kiedy taksówka wyrzuciła ją przed restauracją, minęła właśnie ósma, więc Katherine zmusiła się do spaceru. Nie miała nic przeciwko oczekiwaniu w samotności na Tarę, to jednak było coś innego. Z wielkim wysiłkiem zdołała się spóźnić dziesięć minut. Nie był to może kaprys godny supermodelki, ale i tak przełom w jej wypadku.

— Przyszłam na spotkanie z panem Rothem — powiedziała kierownikowi sali.

Sprawdził listę, a następnie raz jeszcze.

— Przykro mi, żaden stolik nie został zarezerwowany na nazwisko pana Rotha.

Katherine poczuła skurcz strachu. W panice rozejrzała się po sali i ku swojej nieopisanej uldze ujrzała Joe przy stoliku za przepierzeniem. On też ją dostrzegł i podniósł się pośpiesznie.

— Jest tam, wszystko w porządku.

— To pan Stallone — wyjaśnił jej kierownik sali z nieprzenikniętym wyrazem twarzy.

— Czy...?

Joe już stał przy nich.

— Przyszedł pański gość, panie Stallone — oznajmił uprzejmie kierownik.

— Eee, dziękuję. Tędy, Katherine.

— Pan Stallone? — wyszeptała Katherine, gdy Joe podsuwał jej krzesło.

— Tylko w ten sposób mogłem zdobyć stolik w tak krótkim czasie.

Zapadła krótka, pełna oszołomienia cisza, a następnie Katherine ogarnęło straszne rozbawienie.

— Pan Stallone — wykrztusiła, wybuchnęła śmiechem i nie mogła przestać. Pokładała się na stoliku i płakała ze śmiechu. Joe patrzył na nią pobłaźliwie. — O Boże. — Wytarła oczy. — Od lat się tak nie uśmiełam.

— Miałem nadzieję, że się nie dowiesz. Rozglądałem się, ale to cholerne przepierzenie wszystko zasłania.

— Bardzo się cieszę, że się dowiedziałam. — Pochyliła się ku niemu, a z jej twarzy promieniowała szczerość. —

Przysięgam na Boga.

Pojawiło się menu, więc zamówili jedzenie i wino.

Chociaż tak niewiele wiedzieli o sobie, rozmawiali przede wszystkim o potrawach. On opisał jej swój smażony ser brie, a ona opowiedziała mu wszystko o sałatce z bekonem na ciepło. Pomyślała ze zdumieniem, że czuje się jak podczas rozmowy z Tarą albo z Fintanem. Zwłaszcza z Tarą.

To chyba nie było źle.

— Smaczna sola? — zapytała, kiedy pojawiło się główne danie, autentycznie zainteresowana.

— Tak. Chcesz spróbować? — Już celował w nią swoim widelcem.

— Eee, nie. — Poruszyła się na krześle i zarumieniła.

— No już — nalegał cicho. — Jest fantastyczna.

— To jeden z najbanalniejszych tekstów, jakie słyszałam — powiedziała. Zażenowanie sprawiło, że chciała go zakłopotać. Nie udało się.

— No już — powtórzył.

Poruszona jego głosem i intymnością gestu, wychyliła się i pozwoliła mu włożyć widelec do ust.

— Smaczna? — spytał znacząco.

— Smaczna — przytaknęła nieśmiało.

Wpatrywał się w każdy kęs, który jadła, koncentrował się na jej ustach, gdy wkładała do nich jedzenie. Była zawstydzona i podniecona, a po głównym daniu musiała uciec do toalety, by odetchnąć od atmosfery seksualnego napięcia.

W trakcie deseru zamówiła na cześć Tary podwójny mus czekoladowy. Kiedy wkładała łyżeczkę białej i ciemnej czekolady do ust, uniosła wzrok i ujrzała, że Joe intensywnie się w nią wpatruje. Połączenie czekolady na języku i obietnicy w jego spojrzeniu sprawiło, że zadrżała, zupełnie jakby przed chwilą przeżyła miniorgazm.

Jej ciało napełniło się takim oczekiwaniem, że prawie zaczęła się bać. To mogło zdarzyć się dzisiaj. Naprawdę mogło.

58

Później stali w chłodzie ulicy.

— Co teraz?

— Może wypijemy u mnie kawę?

— W Battersea? — spytała, a jej ton sugerował, że to idiotyczny pomysł. Znowu zachowywała się jak belferka.

— Czemu nie? — Najwyraźniej jej wyższość go nie zaniepokoiła.

Niech czeka, błagała się w duchu. Niech czeka. Nie poddawaj się zbyt łatwo.

— Nie — oznajmiła.

Obserwowanie, jak znika jego niecierpliwy uśmiech, sprawiło jej dziką radość.

— Pojedziemy do mnie — powiedziała.

W taksówce w milczeniu trzymali się za ręce. Bez słowa weszli do jej mieszkania, a następnie Katherine starannie zamknęła drzwi. Właśnie wtedy uświadomiła sobie, że od ponad dwóch lat nie miała mężczyzny.

Było tak, jakby wystrzelono ich ku sobie. Błyskawicznie, jeszcze w płaszczach, pod drzwiami, znaleźli się w swoich ramionach, całowali się gwałtownie, rozpaczliwie. Ledwie zdawała sobie sprawę, że Joe zdjął jej płaszcz, który upadł na podłogę w przedpokoju, a następnie zaprowadził ją do salonu, na sofę. Nie przestając całować Katherine, zmusił ją, żeby się położyła na plecach. A potem całowali się przez, jak jej się wydawało, kilka godzin. Ilekroć usiłowała usiąść, żeby coś do niego powiedzieć, popychał ją na sofę i zaczynał od nowa. Całkowicie się temu poświęcił. Całowanie to sztuka sama w sobie, pomyślała oszołomiona. Nie tylko wstęp do atrakcji wieczoru.

Miała zamknięte oczy i czuła się jak w transie. Gdzieś w swojej głowie fruwała nad gwiazdami. Po co komu narkotyki?

Już od dawna nikt jej tak nie całował. Szczerze mówiąc, już od dawna nikt jej nie całował. Jak mogła bez tego żyć?

Ledwie zdawała sobie sprawę z tego, gdzie jest, i kiedy otworzyła oczy, zdumiał ją widok znajomych mebli.

Joe przez cały czas dotykał jej i doprowadzał do szaleństwa. Jego delikatne palce muskały jej skórę, twarz, szyję, ręce. Następnie pieścił jej brzuch przez sukienkę, potem powoli dotarł do piersi. Pod koronkowym stanikiem sutki Katherine sterczały jak dwa namioty. Błagały o jego dotyk, ale on dotykał jej skóry tuż pod nimi, a potem jej boku. Omiął piersi i powędrował do rowka między nimi. Powolnymi ruchami palców zataczał koła, przesuając się coraz niżej, aż wreszcie dotknął wzgórka prawej piersi. Wolno, stanowczo zbyt wolno, przesuwał się do sutka. Katherine wydawało się, że minęły godziny, zanim dotarł do brodawki i delikatnie pogłaskał ją palcem wskazującym. Poczuli się bliska orgazmu.

Leżał częściowo na niej, częściowo obok, a jego erekcja wbijała się w jej biodro. Katherine doznawała bolesnej rozkoszy.

Kiedy położył dłoń na jej nodze i wsunął ją pod spódnicę, przekonał się o tym, o czym chciał się przekonać. Zgodnie z oczekiwaniami, miała na sobie pończochy zamiast rajstop.

Jego dłoń podążyła w górę, zataczając kręgi na udach. Najpierw głaskał ich przód, potem bok, a wreszcie wdarł się w dziewiczą gładkość ich wewnętrznej strony.

— Nie — sprzeciwił się, gdy Katherine uniosła biodra. Popchnął ją na sofę, a środkiem dłoni przycisnął jej kość łonową. Jej ciało ponownie przeszło dreszcz rozkoszy.

Tak bardzo pragnęła go dotknąć, że aż czuła swędzenie w rękach. Chciała rozpostrzeć palce na jego żebrach, głaskać kciukiem jego brzuch, poczuć mięśnie jego ud. Niezdarnymi palcami rozpięła guziki jego koszuli, uniosła się, usiadła i położyła dłonie na szorstkich włosach klatki piersiowej Joe. Ku jego zdumieniu pchnęła go tak, że położył się na wznak na sofie. Przyjrzała mu się z góry.

Uśmiechnęli się do siebie z zakłopotaniem.

Jego koszula była już rozpięta, a Katherine po prostu musiała wsunąć rękę między płaski brzuch mężczyzny i pasek dżinsów. Położyła środek dłoni na kosmatej linii włosów pod jego pępkiem, a następnie, zataczając kółka, przesunęła rękę nieco niżej. Potem jeszcze niżej. I jeszcze, aż wreszcie dotknęła jego włosów łonowych.

— Katherine... — wymruczał.

Wpatrując się w jej oczy, ledwie rozpoznawał nieprzystępną dziewczynę z pracy. Widział przed sobą drapieżną kobietę.

Ponownie ją pocałował i obrócił w taki sposób, aby znalazła się pod nim. Nie mogła już dłużej czekać.

— Błagam... — jęknęła, szarpiąc sukienkę i usiłując unieść ją wyżej, nad biodra. Joe wstał i pośpiesznie rozpiął pasek oraz guziki spodni i wyskoczył z nich, jednocześnie ściągając bieliznę i skarpety. Miał półprzezroczystą skórę o barwie białawego kamienia księżycowego. Na jej tle wyraźnie odznaczały się ciemne włosy łonowe. Jego talia okazała się wąska, brzuch wklęsły i umięśniony. Katherine z przyjemnością przyjrzała się jego długim i zgrabnym udom, wąskim biodrom, twardej erekcji. Był piękny.

Pomógł Katherine wydostać się z sukienki, lecz oboje zgodzili się bez słowa, aby pozostała w bieliźnie. Joe ukląkł, wsuwając nogę między jej uda, i nasunął prezerwatywę. Gdy to uczynił, odsunął koronkowe majtki Katherine i zanurzył się w niej, opadając na nią całym ciężarem. Katherine pomyślała, że umarła i trafiła do nieba.

Po wszystkim był zdumiony.

— Nie sądziłem, że to się kiedykolwiek stanie — powiedział, przyglądając się jej.

— Naprawdę? — spytała neutralnym tonem.

— Szalałem za tobą przez tyle czasu i nie mogę uwierzyć...

W milczeniu leżeli w swoich objęciach, aż Katherine poczuła na sobie jego ręce. Delikatnie rozpiął jej stanik, odpiął pończochy, zdjął pas i majtki, a następnie, zostawiając rozrzucone ubrania w i tak zabałaganionym pokoju, poszli do sypialni, gdzie kochali się po raz drugi.

Po akcie Joe nie wykazywał oznak senności, co bardzo przypadło jej do gustu.

— Chodź. — Trąciła go łokciem.

— Dokąd?

— Do łazienki, weźmiemy prysznic.

— Dlaczego? Musisz wracać do domu, do żony?

— No chodź.

Chichocząc, wpadli do łazienki, gdzie weszli do wanny. Katherine wręczyła mu gąbkę i tubę z żelem do kąpieli.

— Umyj mnie.

— Dobrze. — Popatrzył na jej szczupłe ciało, a następnie na gąbkę. — Najpierw musimy cię zmoczyć.

Odkręcił gorącą wodę i wciągnął Katherine pod parujący strumień. Uważnie i w ciszy przyglądał się jej ciału. Zastanowił się, zanim wycisnął żel na gąbkę, a Katherine poczuła, jak ogarnia ją pożądanie.

— Brudna jesteś — oświadczył surowo.

— Wiem. — Ledwie mogła mówić.

Powoli przesunął gąbką po jej błyszczącym od wilgoci ciele, zatoczył koło na brzuchu, powędrował na ręce i nogi. Potem zajął się jej piersiami. Mydlił je, aż stały się śliskie i pokryła je piana.

— W tym miejscu wyjątkowo się wypaprałaś — skomentował.

— Wiem — szepnęła.

Przesunął gąbkę między nogami Katherine, wzbudzając w niej dreszcze pożądania.

— Nie ruszaj się — rozkazał.

Starła się, lecz nie mogła się przeciwstawić jego silnym, zdecydowanym ruchom. Gorąca woda, jego mokre ciało i jej śliska skóra okazały się mieszanką wybuchową.

Oparła się plecami o ścianę pokrytą chłodnymi kafelkami, otoczyła go nogami w pasie i pozwoliła mu ponownie się w nią wdrzeć. Przez kilka cudownych chwil trwali złączeni w jedność, zaciskając zęby z pożądania, a Joe rytmicznie się w niej poruszał.

W końcu pośliznął się jednak w mokrej wannie i wylądowali na podłodze, gdzie, wciąż objęci, zaśmiewali się do rozpuku.

Rankiem następnego dnia Katherine obudziła się bardzo wcześnie. Odwróciła głowę, a on leżał obok. Joe. Joe Roth. Joe Roth z pracy. Bez garnituru. W jej łóżku. Piękny i śpiący, z długimi rzęsami i delikatnym zarostem. Jej pokój wypełnił się zapachem inności.

Czuła się jak w poranek Bożego Narodzenia, gdy chce się jak najszybciej sprawdzić, co przyniósł Święty Mikołaj.

Nie schrzanię tego, nie schrzanię tego, nie..., powtarzała bezgłośnie.

Wiedziała, że to najtrudniejszy moment. Tara zapewniła ją, że jest trudny dla każdego. Katherine czuła, że jest szczególnie trudny dla niej, gdyż to jej rezerwa najbardziej pociągała mężczyzn. Rezerwa, która zniknęła natychmiast po tym, jak się z nimi przespała — trudno było uprawiać z kimś seks i pozostać nietykającą i lodowatą. W każdym razie nie dało się wtedy dobrze bawić. Często, bardzo często mężczyźni, którzy tygodniami lub miesiącami uganiali się za Katherine, wściekli na nią za nieprzystępność, przekonywali się, że po przeleceniu jej tracą zainteresowanie. Jej tajemniczość zniknęła, nagle Katherine stała się zwyczajną kobietą. Spadała z piedestału i walczyła o mężczyznę tak samo jak inne.

Co gorsza, ten kontakt przypomniawszy jej dawne problemy. Bez wątplenia był to trudny moment.

Joe otworzył oczy. Był śpiący, ale miał zadumaną minę.

— Cześć — powiedział zaspanym głosem.

— Cześć — wyszeptała.

— Jaki piękny widok z samego rana. — Wyciągnął rękę i przyciągnął ją do siebie pod wygniecioną kołdrą. Jej serce załomotało, kiedy poczuła żar jego ciała. Przytulona do niego, pocierała nogą włosy na jego łydce. Zamknęła oczy, by napawać się delikatną pieszczotą. Tym razem kochali się wolniej, leniwiej i bardziej zmysłowo niż nocą.

Po wszystkim Joe poszedł do łazienki. Katherine gorączkowo przeczesła rękami włosy, a następnie usunęła palcami resztki maskary. Kiedy Joe wrócił, miał niepewną minę. Z zamyśleniem potarł ręką usta, niemożliwie rozciągając skórę.

— Chyba powinienem pójść — powiedział z wahaniem.

— Chyba tak — zgodziła się Katherine z zagadkowym uśmiechem. Była gorzko rozczarowana. Co z rogalikami, świeżo wyciśniętym sokiem pomarańczowym i białymi płóciennymi serwetkami na pozłacanej tacy, jak pokazywano w reklamach? Czy nie powinna mieć na sobie góry od pizamy, a Joe dołu? Czy nie powinna leżeć na poduszkach z gęsiego puchu, podczas gdy Joe pochylałby się nad nią i karmił ją jogurtem? Następnie pobrudziłby jej nos i oboje mrużyliby oczy ze śmiechu?

Czy nie powinni iść na spacer? Trzymaliby się za ręce, karmili kaczkę, a ich rozkochany śmiech rozlegałby się w parku. Czy Katherine nie powinna zanurzyć palca w wodzie i mieć na sobie głupiego kapelusza, który musiałaby przytrzymywać ręką?

Joe wyszedł z sypialni i wrócił ubrany. Poczowała się całkiem pusta.

— Zadzwoń — obiecał.

— Czyżby? — parsknęła znacząco Katherine. Dawała mu do zrozumienia, że wie, iż nie ma takiego zamiaru, więc jej godność pozostała nienaruszona. Jeśli jednak faktycznie zamierzał do niej zadzwonić, to pokazywała się jako tajemnicza Katherine, która tak mu się podobała. Boże, jakie to było męczące!

— No i zobaczymy się w pracy — dodał.

— Bez wątplenia — zgodziła się pogodnie.

— Dziękuję za cudowny wieczór. I dzień.

— Nie ma za co. — Z gracją skinęła głową.

Gdy zamykała za nim drzwi, w jej sercu też rozległ się łomot kamienia, który nie chciał spaść. To tyle?

Przynajmniej teraz trzymała emocje na wodzy. Lepiej. Lepiej niż ostatnio. Może w końcu dorosła. Jeśli tak, to zajęło jej to dwanaście lat, pomyślała ze smutkiem.

59

Pierwsza rana jest najgłębsza. Rana Katherine była bardzo głęboka. Kiedy po raz pierwszy złamano jej serce, miała dziewiętnaście lat — całkiem sporo, może w tym tkwił problem. Niecały miesiąc później napisała do ojca i dowiedziała się, że zmarł. Ból się skryształizował.

W następnym tygodniu, gdy Tara powiedziała: „Mamy z Fintanem wystarczająco dużo pieniędzy, żeby wyjechać z Knockavoy. Uważamy, że powinnaś się z nami zabrać”, Katherine pomyślała, że ktoś jej rzucił linę ratunkową. Czowała, że życie już za nią, więc nie miało znaczenia, gdzie będzie wiązała koniec z końcem. Perspektywa ucieczki wydała jej się jednak bardzo kusząca.

— Dokąd jedziecie? — spytała.

— Do dalekiego miasta — odparła Tara.

— Nie do Limerick? — Głos Katherine zadrżał.

— Jezu, nie. Dużo dalej.

— Do Dublina?

— Jeszcze dalej — oświadczyła dumnie Tara.

— Chyba nie... nie do Nowego Jorku? — Katherine nie mogła ukryć podniecenia.

— E... nie... nie do Nowego Jorku. — Tara trochę się zawstydziała. — Ale czy Londyn by ci odpowiadał?

Katherine wolałaby jechać gdzieś dalej. Do Los Angeles. Albo do Wellington. Albo na Księżyc. Londyn jednak musiał wystarczyć.

Wczesnym rankiem 3 października 1986 roku cała trójka pojawiła się na stacji Euston, kupiła „Evening Standard” i wynajęła mieszkanie na Willesden Green.

W następnym tygodniu Tara dostała pracę w firmie komputerowej, Fintan znalazł zajęcie w zakładzie szycym ubrania dla ekskluzywnego męskiego imperium mody, Katherine objęła posadę księgowej stażystki i rozpoczęło się nowe życie.

W Londynie było mnóstwo mężczyzn. Całe mnóstwo. Tara i Fintan zakasali rękawy i zabrali się do roboty, ale Katherine trzymała się na dystans. Nie przychodziło jej to z trudem. Jednak nie wszyscy podzielali ten brak zainteresowania. Choć nie musiała opędzać się od adoratorów, co pewien czas zapraszano ją na randki. Bez zastanowienia odmawiała, w najbardziej nieprzyjemny sposób, jak tylko potrafiła. Nikt nie zapraszał jej ponownie.

Aż do piątkowego wieczoru, czternaście miesięcy po przeprowadzce do Londynu, kiedy to poszła do pubu z kolegami z pracy Tary. Przedstawiono ją mężczyźnie o nazwisku Simon Armstrong, czołowemu amantowi biura. Pewny siebie, czarujący, dobrze zbudowany i przystojny blondyn cieszył się wielkim powodzeniem u kobiet. Katherine jednak ledwie go zauważała. Zupełnie jakby oślepla. Wyczulony na te sprawy Simon widział autentyczny brak zainteresowania — tego nie da się udawać. Mógł mieć każdą z obecnych kobiet, ale oczywiście zapragnął Katherine, zaintrygowany i rozwścieczony jej niedostępnością. Próżność kazała mu sprawdzić, co się kryje pod jej maską, po prostu musiał to zrobić.

Katherine nie była tak elegancka i piękna jak kobiety, z którymi zazwyczaj się umawiał, ale tym bardziej zapragnął ją zdobyć. Poszedł za nią, zablokował jej drogę, uśmiechnął się.

— Opór jest bezcelowy — powiedział.

Inne dziewczęta patrzyły na to ze zdumieniem, z pogardą oceniając gładkie włosy Katherine i jej schludny, przeciętny wygląd.

— Może przypomina mu matkę — wydedukowały.

Simon dostał od Tary numer do pracy Katherine, zadzwonił i zaprosił ją na randkę. Odmówiła. Zadzwonił jeszcze raz. Znowu odmówiła. Powiedział, że nie przyjmuje tego do wiadomości.

Początkowo niepokoilo ją jego zainteresowanie. Następnie jej pochlebiło. Następnie ją podnieciło. W końcu Simon zdołał przedrzeć się przez jej mury obronne, uśpione pragnienia wydostały się na powierzchnię. Chciała być kochana. Gdyby udało się jej z Simonem Armstrongiem, życie wróciłoby na właściwie tory. Wszystko dobre, co się dobrze kończy.

Zatem poszła z nim na randkę. Potem na jeszcze jedną. I jeszcze jedną. Po trzech tygodniach się z nim przespała. Kiedy wyszła z jego łóżka, powiedział, że zadzwoni wieczorem, ale nie zadzwonił. Więc zadzwoniła do niego rano — zbyt rano — następnego dnia. Starając się mówić spokojnym głosem, zaproponowała, żeby się umówili na wieczór. Kiedy Simon zaczął się wykręcać, błagała go z zamkniętymi oczyma: „Nie rób mi tego, proszę”. Co, rzecz jasna, ostatecznie go wystraszyło.

Zresztą i tak przestał się nią interesować. Była zbyt młoda i niedoświadczona, a jemu chodziło wyłącznie o kolejną zdobycz. Tak naprawdę podobała mu się w niej jej nieprzystępność, a kiedy Katherine się z nim przespała, zainteresowanie natychmiast zniknęło. Choć szczupła i ładna, nie była ślicznotką, a Simon Armstrong lubił ślicznotki. Nie mówiąc już o tym, że odbierał od niej bardzo wyraźne sygnały, przez co czuł się źle i niezręcznie.

Potrafił rozpoznać obsesję.

Przez następne tygodnie i miesiące Katherine zachowywała się niczym ofiara nerwicy frontowej. Nie mogła uwierzyć, że znów ją porzucono. Wyglądało na to, że jej zdolność do radzenia sobie z mężczyznami ponownie osłabła i Katherine poczuła, że jeszcze mniej nad sobą panuje.

Przysięgła sobie, że po raz ostatni umówiła się z mężczyzną. Dostała nauczkę.

Przez następne dwa lata życie toczyło się spokojnie. Ciężko pracowała, zdawała egzaminy, mieszkała z Fintanem i Tarą, obserwowała z drwiącym uśmiechem ich romantyczne przygody, ale sama trzymała się z dala od osobistych związków. Nie było jednak po niej widać, że nie szuka miłości: nadal kupowała modne — chociaż nie nazbyt modne — stroje, wydawała mnóstwo pieniędzy na fryzjera, rozmawiała z mężczyznami lekkim, zdystansowanym tonem i chodziła na imprezy razem ze swoimi współlokatorami. Różnica była taka, że do domu zawsze wracała sama.

Dopóki nie poznała Alexa Holsta.

Minęły niemal cztery lata, odkąd przeprowadziła się do Londynu. Fintan zaczął właśnie pracować dla Cannelli Garcii, a Alex był jednym z modeli. Miał trzydniowy zarost, idealne zęby, czarne jak skrzydło kruka włosy i łobuzerski uśmiech. Jednak ku jego zaniepokojeniu, kiedy przedstawiono mu Katherine, jej oczy nie zabłysły lubieżnym blaskiem. Była uprzejma, ale właściwie nieobecna, i bardzo go denerwowała. Jego drapieżne ego potrzebowało jej podziwu.

Był niewiarygodnie niepewny siebie, gdyż w dzieciństwie miał nadwagę. Dzięki podnoszeniu ciężarów i bulimii stał się szczupły i piękny, ale emocjonalnie się nie zmienił. W głębi duszy pozostał górą tłuszczu, ostracyzowaną i wyśmiewaną. Kiedy Katherine odsunęła się od niego, natychmiast usłyszał w głowie piosenkę: „Ale z ciebie góra sadła”.

Był mniej nachalny niż Simon, ale równie uparty. Ciągle dzwonił, wysyłał jej kwiaty do pracy i napisał wiersz. Powtarzał jej, że jest najbardziej interesującą i intrygującą kobietą, jaką kiedykolwiek znał.

Katherine opierała się o wiele bardziej stanowczo niż przy Simonie. Kiedy Alex powiedział jej, że nigdy tak się nie starał o kobietę, parsknęła:

— Założę się, że mówisz to wszystkim dziewczynom.

Kiedy przysiągł jej, że nie jest kobieciarzem, roześmiała się nieprzyjemnie.

— Chyba bierzesz mnie za idiotkę — stwierdziła.

Pewnego wieczoru zaskoczył ją, czekając na nią przed biurem.

Oznajmiła mu wtedy lodowato, że łażenie za kimś to przestępstwo.

Nie rezygnował jednak, więc zaczęła mięknąć. Nic nie mogła na to poradzić. Jego zainteresowanie było takie pociągające. Katherine zaczęła wierzyć w deklaracje Alexa. Bardzo pragnęła, by były prawdziwe. Pewnego wieczoru przyznał się jej do swojej wstydlivej, grubej przeszłości, a wtedy ostatnie bariery runęły pod wpływem współczucia.

Podobnie jak Simon, Alex też stał się okazją, by naprawić wszystko, co poszło nie tak. W końcu, błagając siebie, przygotowując się, zgrzytając zębami i przysięgając na Boga, że za żadne skarby nie będzie zachowywała się jak desperatka, umówiła się z Alexem.

Trwało to trochę dłużej niż z Simonem, ale dosyć wcześnie wyczuła, że traci jego zainteresowanie. Kiedy wypytała go o to, zaprzeczył, że interesuje się nią mniej gorliwie niż zwykle, ale mu nie uwierzyła. Obserwowała, jak z dzariskiej, opanowanej młodej kobiety zamienia się w zrozpaczoną, paranoiczną, niepewną wariatkę. Nie mogła się powstrzymać. Oskarżyła Alexa, że patrzy na inne dziewczyny i nie zależy mu na niej. Zaprotestował, niezbyt przekonująco,

i twierdził, że mu zależy, po czym nie dzwonił przez trzy dni. Kiedy w końcu zadzwonił, oznajmił jej, że spotyka się z inną.

Odnowiły się wszystkie stare rany. Wróciło przerażające uczucie, że nie jest wystarczająco dobra, powrócił olbrzymi, jątrzący ból po stracie. Znowu schroniła się w pieczarze nienawiści do samej siebie. Cierpienie było niewiarygodne, czuła się jak idiotka i straszliwa frajerka.

W końcu jakoś doszła do siebie. Choć przysięgła, że nigdy, przenigdy, do końca życia nie będzie miała do czynienia z mężczyzną, wcale nie była tego pewna. Już dwukrotnie sabotowała swoje postanowienia. Żyła w strachu, że zrobi to ponownie.

Pomiędzy mężczyznami jej życie było przyjemne i poukładane. Stała się wykwalifikowaną księgową, kupiła wymarzony samochód; w końcu mogła sobie pozwolić na własne mieszkanie. Kiedy coraz pewniej radziła sobie w życiu zawodowym, zmieniała się z dziewczyny o świeżej buzi w elegancką kobietę-dziecko.

Pragnienie miłości jednak nie ustąpiło. Wracało do niej niczym bumerang, zazwyczaj gdy oczarowywał ją urodziwy mężczyzna.

— Może nie powinnaś się umawiać z takimi przystojniakami — zasugerowała łagodnie Tara. — Zazwyczaj tak bardzo kochają siebie, że nie ma już miejsca dla nikogo innego.

— Nie chcę o tym mówić — warknęła Katherine.

— Wiem — westchnęła Tara.

Katherine nie mogła się umawiać ze zwykłymi facetami. Nie mogła. W ogóle jej nie interesowali.

Przed Joe spała z sześcioma mężczyznami. Najdłuższy „romans” trwał siedem tygodni. Wszyscy ją porzucili. Ani razu nie miała tego, czego tak pragnęła — kontroli.

W końcu strach przed porzuceniem doprowadził do tego, że rozpaczliwie próbowała uprzedzić partnera. Nie potrafiła znieść czekania, aż mężczyzna odejdzie od niej, gdy tylko sobie uświadomi, że jest zwykłą kobietą, a nie enigmą, jak się spodziewał. Zaczynała zachowywać się jak wariatka z piekła rodem. Przyspieszała nieuniknione. Szarpała się, długie okresy celibatu przerywała krótkimi romansami, a potem następował okres lizania ran. Za każdym razem, gdy mężczyzna przestawał się nią interesować i sugerował, że nie jest wystarczająco dobra, powracał stary ból.

W przytomniejszych momentach docierało do niej, że utkwiała w przeszłości i że nie jest to normalne. Dopiero cztery lata temu, w wieku dwudziestu siedmiu lat, zaczęła się zastanawiać, czy wiadomość o śmierci ojca, którą otrzymała tak szybko po pierwszym zawodzie miłosnym, odmieniła jej życie na gorsze. W końcu każdy kiedyś zostaje porzucony. Tylko prawdziwi dziwacy nie potrafią się z tym pogodzić. Podwójna rana jednak sprawiła, że Katherine odgradziła się od świata grubym murem, zamknęła się w sobie. Minęło dwanaście lat, a kiedy o tym myślała, jakoś nie mogła ustalić, gdzie się podział ten czas.

I oto przyszedł moment, dwa miesiące temu, kiedy przedstawiono ją nowemu kierownikowi projektu, Joe Rothowi, a on zaczął o nią zabiegać z zatrważająco znaną jej gorliwością.

Tym razem zachowałam się jak trzeba, pomyślała Katherine z dumą, wpatrując się w pogniecioną pościel. Pustka spowodowana odejściem Joe zniknęła, Katherine czuła się radosna i podniecona po wspólnie spędzonej nocy.

Uniosła poduszkę, przycisnęła ją do twarzy i wyczuła słaby zapach mężczyzny, z którym się kochała. Poruszyło ją to i wypełniło radością. Umierała z chęci opowiedzenia innym o tej nocy. Było dopiero wczesne popołudnie. Za wcześnie, by zadzwonić do Tary?

O Jezu, Tara! Co się z nią wczoraj działo? Katherine chwyciła słuchawkę, ale połączyła się z automatyczną sekretarką. Zadzwoiła na komórkę, ale odezwała się poczta głosowa. Potem wystukała numer Liv i też trafiła na sekretarkę. Zostawiła wiadomość i zadzwoniła do Fintana.

— Halo — warknął.

— To ja. Przyjść?

— Nie teraz. Wieczorem.

— Och. Dobrze. Mam ze sobą komórkę, gdybyś zmienił zdanie.

Poczuła się dziwnie zagubiona. Była to pierwsza niedziela bez O'Gradych. Katherine odwykła od wolnego czasu, zwłaszcza że najlepszą część dnia miała już za sobą.

Mogła gruntownie wysprzątać mieszkanie, ale czuła się zbyt nabuzowana, żeby robić coś nudnego. Mogła też spędzić cały dzień na oglądaniu telewizyjnych teleturniejów. Wyobraziła sobie jednak, że pilot spogląda na nią oskarżycielsko. Co gorsza, czuła, że powinna go przeprosić i zapewnić o swojej miłości. Pojechała więc do miasta i poszła do Selfridges, ale zamiast skierować się do ubrań, zaczęła spacerować po dziale z męskimi kosmetykami. Leniwie podniosła jakąś wodę po goleniu, powąchała, a potem odstawiła. Potem jeszcze jedną. I jeszcze jedną. Powoli chodziła od lady do lady, aż w końcu wzięła kolejną butelkę, powąchała i niemal zemdłała. Gwałtownie powróciło pożądanie i pragnienie dzisiejszej nocy. Znowu powąchała, tym razem mocniej, i zamknęła oczy. Cudowne! I jeszcze raz. Czuła zapach jego skóry, podniecenie trzepotało w niej niczym ptak w klatce. Otworzyła oczy i spojrzała na butelkę. Davidoff For Men. Więc tego używał Joe Roth. Zastanawiała się nad kupnem wody, ale zdołała to sobie wyperswadować. Takie zachowanie było dobre dla szaleńców. Można wahać, ale kupowanie jest już zbyt smutne.

— Patrzycie na kobietę upadłą — oświadczyła Katherine. Promieniowała seksapilem.

— Nie chcę tego słuchać — stwierdził wyniośle Fintan.

— Ale ja chcę — sprzeciwiła się Tara. Wydawała się blada i zmęczona.

— My też — oznajmili chórem Liv i Milo.

— I ja — wyznał biedny, uciemieżony Sandro.

Był wieczór tego samego dnia, zebrali się u Fintana i czekali na pizzę.

Mimo niewyspania i obawy, że Joe może nie zadzwonić, Katherine nie posiadała się z radości. Marzyła o tym, by wszystko im opowiedzieć.

Kiedy streszczała przebieg wydarzeń — mecz, pocałunek, kolację w Ivy, incydent z panem Stallone'em — ciągle jej przerywali.

— Jak pachniał? — zapytała Tara.

— Jak się czułaś? — przerwał jej Milo.

— Kto zrobił pierwszy ruch? — zastanawiał się Sandro.

— Wiedziałaś, że on chce cię pocałować? — Liv.

— Zjadłaś czekoladowy mus? — musiała wiedzieć Tara.

— Zapłacił rachunek, kiedy byłeś w toalecie? — zadała następne pytanie Liv.

— Denerwowałaś się? — Sandro.

— Widział twoje majtki? — Tara.

— Dasz mi adres Agent Provocateur? — Milo.

Przy każdym szczególe jęczyli i podskakiwali, a Katherine wrzeszczała z zachwytem.

— To tak fajne jak seks! — krzyknęła Tara, po czym ogarnęło ją przelotne, ciche przygnębienie. Nie powiedziała Katherine, co ją zmartwiło poprzedniego dnia. — Nie chcę o tym mówić. Boże — dodała ze zdumieniem. — Zamieniam się w ciebie.

Przez całą opowieść Katherine Fintan leżał na sofie w penice od Mary Quant, z kwaśną i ponurą miną. Jednak z biegiem czasu nadstawił ucha (tego niżej). Potem usiadł, potem się wychylił, potem mimowolnie gwizdał i wzdychał „ooo”, a potem nie mógł nie zapytać:

— Zostawiłaś swoje przepiękne palto od Jil Sander na podłodze?

Katherine kiwnęła głową, dumna i zawstydzona.

— Na całą noc?

Następne zadowolone skinienie.

— Między jednym a drugim dymankiem nie powiesiłaś go na specjalnym wieszaku?

Triumfalnie zaprzeczyła.

— No cóż, niby było z zeszłego sezonu — stwierdził Fintan. — Ale mimo wszystko.

Nie mogli uwierzyć, ile im powiedziała. Kiedy dotarła do momentu, w którym Joe stał na środku pokoju i ściągał z siebie ubranie, złapali się za ramiona i wrzeszczeli:

— O Boże!

— Przepieprznie! — skrzeknęła Tara.

— Cudowitość! — zawyła Liv.

Rozległ się dźwięk dzwonka oznajmiający przybycie pizzy. Sandro niemal pękł z frustracji.

— Ale moment sobie wybrali — narzekał. — Nie wolno ci nic powiedzieć, ani słóweczka, dopóki nie wrócę — nakazał Katherine, a następnie pobiegł, sapiąc i prychając, do drzwi. Kiedy wrócił, niemal zasłonięty przez pudła z jedzeniem, zapytał z niepokojem: — Przegapiłem coś?

— Nie, ale już czas na *Ballykissangel* — uznała za stosowne oznajmić Liv.

— W cholere z tym! — rozległ się chóralny protest. — To o wiele bardziej interesujące. Mów, Katherine. Dochodzi do ciebie, całkiem nagi, w twoim salonie...

— Dochodzi to właściwe słowo — roześmiała się. — O rany!

Nawet wspomniała o prysznicu w nocy.

— Prysznic! Panie Jezu — jęknęli.

Milo i Liv wymienili znaczące spojrzenia.

— Nie powinnam mówić tego wszystkiego — westchnęła Katherine. — Być może nigdy już do mnie nie zadzwoni. Zdarzało się.

— Jeśli nie zadzwoni, to ty zadzwoń — powiedziała Tara.

— Nie, wątpię...

Z niemal nieprzyzwoitym pośpiechem Milo i Liv pozbierali swoje rzeczy, po czym wyszli, przepaszając i dziękując.

— Siedzieli ponad godzinę, zanim poszli uprawiać seks — zauważyła Tara.

— Całą godzinę? — uśmiechnął się Fintan. — Powiedziałbym, że najlepsze już za nimi.

Wszyscy to zauważyli, ale starali się nie okazywać po sobie podniecenia — Fintan się uśmiechnął!

— Są ze sobą ze względu na dobro dzieci — roześmiała się Katherine.

— Chyba na dobro pościeli — mruknęła Tara. — Wczoraj kupili sobie nową powłoczkę na koldrę. Są do niej bardzo przywiązani.

— I co, nie cieszysz się, że byłem taki upierdliwy? — spytał Fintan. — Czy ta noc namiętności to nie moje dzieło?

— Myślałam, że już cię nie obchodzi, co robię.

— Nie obchodzi. To znaczy, nie obchodziło, ale w obliczu tak spektakularnego sukcesu jeszcze się zastanowię.

— Skąd wiesz, że to sukces? Równie dobrze mogła to być jednoczna przygoda. Co gorsza, ja z nim pracuję.

— Kiedy wrócisz dziś do domu, być może zastaniesz wiadomość na automatycznej sekretarce — stwierdził Fintan. — Może on dzwoni właśnie w tej chwili. Ma numer twojej komórki?

Pokręciła przecząco głową, ale była podekscytowana. Może faktycznie Joe zadzwonił. Jednak po wejściu do mieszkania, ku swojemu rozczarowaniu, stwierdziła, że liczba wiadomości na sekretarce równa się zeru.

61

— Ravi? — odezwała się Tara. — Skąd wziąć furgonetkę?

— Furgonetkę? Taką do przeprowadzek?

— Niedużą, ale właśnie taką.

— Nie wiem, zapytajmy dorosłych. — Wskazał Vinniego, Teddy'ego i Evelyn. Nagle zdał sobie sprawę z powagi tego pytania i spojrzał zaskoczony na Tarę. — Po co? Co się stało?

— Najpierw muszę zapalić.

— Do palarni!

Tara usiadła w małym pomieszczeniu o żółtych ścianach i mocno zaciągnęła się papierosem. Ravi, zagorzały przeciwnik palenia (chyba że paliła Tara), obserwował ją uważnie.

— Zamierzasz zostawić Thomasa? — Nie mógł w to uwierzyć.

— Chyba tak.

— Dlaczego?

Tara uśmiechnęła się cierpko.

— Ravi, nawet ty usiłowałeś mi pokazać, że między Thomasem a mną beznadziejnie się układa, a przecież jesteś dziecinny.

— Tak, ale ty zawsze umiałaś podać wytłumaczenie tej beznadziei.

— Boże, te wszystkie usprawiedliwienia... — Skrzywiła się.

— Zostawiasz go tylko dlatego, że Fintan tego chce?

— Nie, dlatego, że Fintan tego nie chce. Zmienił zdanie i ma to gdzieś. Myślałam, że będę zachwycona, ale nie byłam. Poczułam się przygnębiona i osaczona.

Ravi westchnął cicho. Kobiety były tak cholernie skomplikowane.

— Kiedy wróciłam w sobotę do domu, wszystko się rozpieprzyło.

Tara znowu się zaciągnęła i zaczęła rozpamiętywać tę scenę. Gdy tylko weszła do mieszkania, Thomas ryknął:

— Jakiś cholerny pedryl złapał wstydliwą chorobę, ale to nie powód, żebyś nie przestrzegała diety, Tara!

Machał do niej papierkiem po chałwie, który znalazł w jej torbie. Tara poczuła nagły przyływ nieopanowanej wściekłości. Co ona robiła z tym okropnym facetem?

— Słucham? — syknęła.

— Powiedziałem: jakiś cholerny pedryl... — I brnął tak dalej, coraz bardziej nieprzyjaźnie, aż poczuła, że ma tego dość.

— Nie waż się tak mówić o moim przyjacielu! — powiedziała cicho.

— Ale...

— Nie waż się!

— Mam prawo do swojej opinii — stwierdził wojowniczo. — Nie mam?

— Nie, to okrutne, a poza tym to nie jest żadna wstydliva choroba! Mówisz tak, jakby to była jego wina.

— Mam prawo do swojej opinii?

— Ale...

— MAM PRAWO do swojej opinii?! — ryknął. — Mam czy nie?!

— To nie jest kwestia opinii! — Ona również podniosła głos.

— Posłuchaj mnie. To cholerny pedryl. Mówię prawdę.

— Jesteś odrażającym bigotem — powiedziała złowieszczo spokojnym głosem. — Jaskiniowcem z obrzydliwymi, neandertalskimi manierami macho.

— No pewnie. — Ku jej zdumieniu roześmiał się ciepło. — Spodobało mi się, powtórz.

Zaskoczona Tara przełknęła ślinę. Przy takim chłopaku nie potrzebowała nawet wrogów.

— No już, powtórz — nalegał.

— To nie był komplement. — Zaciśnęła zęby.

— Nie? A mnie się wydawało, że tak. Jaskiniowiec z obrzydliwymi, neandertalskimi manierami macho. — Znowu się zaśmiał, autentycznie ubawiony i oznajmił: — Przecież za to mnie kochasz.

Z tym wylądowałaś.

Ilekoć przychodziło jej do głowy, że coś jest nie tak z nią i Thomasem, robiła wszystko, żeby o tym zapomnieć, żeby to zepchnąć do podświadomości. Teraz jednak całe zamroczenie zniknęło pod falą wściekłości — nie miała wyboru, musiała zobaczyć. To, co zobaczyła, sprawiło, że znenawidziła nie tylko Thomasa, ale także siebie. Nie znosiła homofobów, a mieszkała z jednym z nich! Gdzie się podziały jej zasady? Poszły w odstawkę, gdyż pragnienie bycia z chłopakiem okazało się ważniejsze.

Kostki domina runęły i Tara nagle ujrzała — jasno i wyraźnie — jak niewybaczalna była jego odmowa spotkania się z rodziną O'Gradych. Uparte nieodwiedzanie Fintana, obrzydliwe aluzje do charakteru jego choroby, pogarda dla przyszłości z Tarą, ciągle monitorowanie jej wagi, zjadliwe krytykowanie jej wyglądu, bezustanne podkopywanie jej pewności siebie, wieczne pożyczanie pieniędzy, nastawianie Beryl przeciwko niej. Najgorsze ze wszystkiego jednak były jej usprawiedliwienia.

Zawsze starała się bronić Fintana, kiedy Thomas zaczynał się go czepiać. Nigdy nie broniła siebie. Usiłowała sobie wmówić, że to wszystko dla jej dobra. Myliła się jednak i teraz dyszała nie tylko gniewem, ale i nienawiścią do samej siebie.

Uświadomiła sobie, że płacze. Były to łzy wstydu, wściekłości i żalu.

— Czego ryczysz? — spytał Thomas. — Masz wodogrzmoty?

— Co?

— Masz okres?

— Nie. — Szlochała, jakby miało jej pęknąć serce.

— Tara, nie rycz, do cholery! Chcesz herbaty?

— Nie. Zostaw mnie samą.

Spojrzał na nią. Jak śmiała? Czyżby nie wiedziała, jaki jest wrażliwy?

— Proszę bardzo — wycedził. — Zostawiam cię samą. Wypadł z mieszkania, a ona nie mogła przestać płakać.

Oplakiwała zmarnowane lata, utratę nadziei, okrucieństwo wobec Fintana, godne potępienia samooszukiwanie się, szczęśliwe życie, którego nigdy nie miała, puste życie, które ją czekało.

W pewnym momencie zadzwoniła Katherine, ale szlochająca i dławiąca się łzami Tara ledwie mogła mówić.

Pałac papierosa, wpatrywała się w przestrzeń i zastanawiała, dlaczego nic jej nigdy nie wychodzi. Dlaczego ja?, myślała. Dlaczego nie mogę mieć udanego związku? Dlaczego zawsze zostaję sama?

Dotąd udawało jej się nie dopuszczać myśli, że to wszystko powoli się kumuluje, zwłaszcza odkąd zachorował Fintan. Teraz jednak nie mogła dłużej udawać, że niczego nie dostrzega.

Czy Thomas był taki od początku? Czy mu się pogorszyło? Może tylko ona tego nie zauważyła? Nie chciała zauważyć?

Była w szoku. Nie potrafiła sobie z tym poradzić. To jej ciało się broniło, starało się nie dopuścić, by wszystko spadło na nią jednocześnie. Powtarzała sobie, że nie ma się czym przejmować. W końcu zaproponował jej herbatę, może nie był taki zły. Nie mogła jednak nic nie zrobić z tym, co już dostrzegła, choć najchętniej by o tym zapomniała. Ta świadomość była olbrzymim ciężarem i Tara musiała sobie z nią poradzić, nawet jeśli miało to oznaczać, że jej życie się skończyło.

Thomas wrócił kilka godzin później i zachowując się tak, jakby nic się nie stało, chciał, aby wyszli.

— Nie — odparła stanowczo. — Ty idź.

Siedziała w mieszkaniu w sobotni wieczór i przygotowywała się do opuszczenia Thomasa. Usiłowała zbudować pomost między świadomością, że powinna to zrobić, a samym czynem.

Niedzielę spędziła z Fintanem i słowem nie wspomniała o swoich rozterkach. Nie dlatego, że nie chciała, po prostu nie była w stanie. Nie umiała ubrać w słowa gigantycznego problemu, który zawisł nad nią niczym miecz.

Za to przyglądała się Milowi i Liv, słuchała opowieści Katherine i myślała: „Tak właśnie powinno być”.

— Już wiesz, dlaczego pytałam o furgonetkę, Ravi. — Zmusiła się do uśmiechu.

— Zaraz sprawdzę w książce telefonicznej — obiecał.

— Uważasz, że powinnam go zostawić, prawda? — zapytała z niepokojem.

— Tak, ale przed chwilą powiedziałaś...

— Miałam nadzieję, że twoim zdaniem bardzo przesadzam.

— Nie przesadzasz — odparł ze smutkiem.

— Tak się boję. — Wetknęła w usta papierosa, którego Ravi jej przypalił. — Boję się zostać sama. Boję się, że się zestarzeję jako stara panna. Nigdy nikogo nie znajdę.

— Pewnie, że znajdziesz...

— Skąd wiesz? Jestem tłustą krową. Ravi, powinieneś był widzieć w sobotę Katherine. To podniecenie, to oczekiwanie. Cudownie, czułam się jak nastolatka.

— Tak, ale takie szaleństwo długo nie potrwa — zapewnił ją pośpiesznie. — Nawet Danielle i ja...

— Wszystko jedno — przerwała. — Czy kiedy dwoje ludzi chodzi ze sobą, nie powinni się przynajmniej lubić?

— Nie lubisz Thomasa?

— Nie. Ani on mnie. Gdyby mnie lubił, nie powtarzałby mi tak często, jaka ze mnie tłusta krowa. Czy z nim jest coś nie tak, skoro bez przerwy usiłuje mnie zmienić?

— Tak. Zgadza się. Usiłowałem ci to powiedzieć. Na twarzy Tary pojawiła się zaduma.

— Wiedziałam, ale nie wiedziałam, wiesz, co mam na myśli?

— Wiedziałaś, ale nie chciałaś wiedzieć. Nieme, czarno-białe i puszczone w zwolnionym tempie życie nagle odzyskało kolory, dźwięk i szybkość. Szok mijał, odszedł żal i został tylko gniew. Wielki gniew.

62

Kiedy Katherine pojawiła się w poniedziałek rano w pracy, Joe już siedział za biurkiem, ale nawet nie podniósł wzroku. Więc to tak, pomyślała z niewypowiedzianym żalem. Schrząniłam to. Znowu.

Ze znużeniem odwiesiła płaszcz i powędrowała do biurka. Na środku blatu leżała przesyłka owinięta złotoniebieskim papierem z Designers Guild. Zdecydowanie nie były to nowe wykazy podatkowe z drukarni rządowej.

— Co to? — spytała Katherine.

— Nie wiem — odparła Charmaine. — Leżała tu, kiedy przyszedłam.

Katherine podniosła paczkę i potrząsnęła nią. Zawartość była miękka i dawała się zginać.

— Otwórz — zażądała Charmaine.

— Dobrze. — Katherine nie wiedziała, czy powinna się cieszyć. Kto poza Joe mógł jej coś wysłać?

Ostrożnie, żeby nie podrzeć ozdobnego papieru, usiłowała oderwać taśmę.

— Zedrzyj to! — ponaglała ją Charmaine. — No już, dziewczyno. Zaszalej.

Zaszalała, a z paczki wypadło coś białego, plastikowego, po czym się rozwinęło.

— Co, do...? — zaczęła Charmaine.

Katherine patrzyła na przedmiot, a na jej twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

— Co to jest? — wściekła się Charmaine.

— To mata, którą się rozkłada w wannie — wyjaśniła jej Katherine. — Antypoślizgowa.

Zerknęła spod rzęs na Joe, ale był bardzo, bardzo skoncentrowany na ekranie komputera. Okropnie skoncentrowany. Katherine niemal widziała, jak mięśnie jego szyi drżą z wysiłku, tak bardzo nie chciał na nią spojrzeć.

— Od kogo to? — spytała podejrzliwie Charmaine.

— Nie mam pojęcia.

— Nie było kartki?

— Nie.

— Dziwaczne.

Kiedy Katherine włączyła komputer, zobaczyła, że dostała list. O treści: „Żebyśmy się już nie ślizgali”.

Błyskawicznie odpisała: „Kiedy chciałbyś się nie ślizgać?” i wysłała list. Zastanawiała się, czy nie była zbyt śmiała. No już, błagała w myślach Joe. Odpowiedz.

Po jakichś trzech minuta dostrzegła, że kliknął myszką. Tak, otwierał wiadomość, czytał ją. Następnie, z absolutnie nieprzeniknionym wyrazem twarzy, coś napisał.

Katherine niecierpliwie przebierała palcami w oczekiwaniu na nową wiadomość. Kiedy przyszła, jej serce waliło jak młotem.

„Chciałbym nie ślizgać się jak najszybciej. Daj znać, kiedy ci odpowiada”, głosiła wiadomość.

Gorączkowo zaczęła liczyć w duchu i odpisała: „W środę wieczorem?” Uznała, że to uprzejmie i niezobowiązująco.

Kilka sekund później pojawiła się nowa poczta.

„Obawiam się, że mogę się pośliznąć. Do środy jest mnóstwo czasu”.

„Zrozumiała obawa. Jutro?”

„Obawiam się, że mogę się pośliznąć. Do jutra jest mnóstwo czasu”.

Drżącymi palcami Katherine wystukała. „Zrozumiała obawa. Dziś będzie najbezpieczniej”. Ani razu nie spojrzeli na siebie.

Przez cały dzień byli dla siebie wyjątkowo uprzejmi. W pewnej chwili Joe wchodził do biura, kiedy Katherine z niego wychodziła. Odsunął się, żeby ją przepuścić. Bardzo uważali, żeby się nie dotknąć.

— Przepraszam — mruknęła Katherine.

— Ależ proszę bardzo.

— Dziękuję.

— Nie ma za co.

Momentami Katherine czuła, że ledwie skrywa emocje. Miała wrażenie, że lada chwilę pęknie. Wierciła się na krześle, żeby ukryć nagłe przyływy radości. Czasem, gdy zerknęła na Joe w garniturze, miała szaleńczą ochotę wstać i wrzasnąć: „Widziałam Joe Rotha na golasa, mogę wam opisać każdy centymetr jego ciała! Jest fantastyczny”.

Po południu zadzwonił telefon. Była to Tara.

— Muszę cię prosić o przysługę.

— Ależ prosz — stwierdziła radośnie Katherine. Nic nie było w stanie jej zaniepokoić.

— Mogę się do ciebie wprowadzić?

— Och. O Boże.

— Tak mi przykro — powiedziała z udręką w głosie Tara. — Wybrałam sobie świetny moment, wiem. Masz nowego faceta i chcecie to robić w każdym miejscu mieszkania, i nie miałaś mężczyzny od dwóch lat, i mogłam zostawić Thomasa kiedykolwiek, ale czekałam aż do teraz.

— Zostawiłaś... Thomasa?

— Niezupełnie. Zamierzam go zostawić po pracy. Dziś przywiozę najpotrzebniejsze rzeczy samochodem, a Ravi załatwi mi w tygodniu furgonetkę.

— Ledwie mogę w to uwierzyć. Jestem zachwycona — wyjąkała Katherine. Jasne, że była zachwycona, tylko ze wszystkich niedogodnych chwil...

Godzinę później Joe przesłał Katherine e-mail o treści: „Co do naszego nieślizgania się: chciałabyś iść do restauracji, baru, kina, teatru, fast foodu, wypożyczalni wideo, nocnego klubu, na kręgle, jacuzzi albo mojego do mieszkania? Właściwe zakreślić”.

Katherine musiała jednak odpowiedzieć: „Obawiam się, że nastąpiła zmiana planów. Moja przyjaciółka Tara ma pewien problem...”.

Katherine uparła się, żeby nikt w pracy się o nich nie dowiedział, więc Joe pojawił się w jej mieszkaniu pół godziny po niej. Kiedy otworzyła drzwi, jego olbrzymi, intymny uśmiech pozostawał w niezwykłym kontraście do chłodnej rezerwy, jaką okazywali sobie w ciągu dnia.

Przytulił ją do siebie i gwałtownie pocałował.

— Mam nadzieję, że cię nie śledzono — powiedziała surowo.

— Śledzono, ale wpadłem do chińskiej pralni i wybiegłem tylnymi drzwiami.

— W alejkę pełną pustych kartonów?

— I kur. Następnie wspiałem się po schodkach ewakuacyjnych i wszedłem przez okno.

— Do mieszkania, gdzie w łóżku leżeli kobieta i mężczyzna?

— Chyba dwaj mężczyźni. Uchyliłem więc kapelusza i powiedziałem: „Najmocniej przepraszam”.

— A jeden z nich na to: „Widziałeś to?”, drugi zaś: „Co?”

— Ale mnie już tam nie było. Roześmiali się oboje.

— Dziękuję za matę — powiedziała wstydliwie.

— Kiedy możemy ją wypróbować? Katherine potrząsnęła głową.

— Dziś musimy się odpowiednio zachowywać, gdyż lada chwila może się pojawić Tara ze swoim dobytkiem.

Przykro mi. Nie tego się spodziewałeś.

— Ale możemy iść na frytki i do wypożyczalni wideo — zaryzykował. — Nie wszystko stracone.

— Tak, ale... — Było o wiele za wcześnie na wieczory z wideo i daniami na wynos. Trzeba ze sobą chodzić co najmniej trzy tygodnie, zanim będzie można wziąć to pod uwagę. — Może coś ugotuję — powiedziała z powątpiewaniem.

— Wolałbym, żebyś tego nie robiła.

— Co?

— Katherine, wieki temu przyznałaś się, że nie umiesz gotować.

— A zaryzykujesz herbatę?

— Mam coś lepszego. — Wyciągnął butelkę wina z kieszeni płaszcza. — Ta dam! Najlepsze wino z supermarketu!

— Jak się wczoraj bawiłeś? — zawołała z kuchni, szukając korkociągu.

— Zaczęło się przyjemnie. — Zastanowił się przez chwilę. — Ale o jedenastej się popsulo. Potem jedynym jaśniejszym punktem była wyprawa po matę.

— Powinieneś być zostać ze mną — zaryzykowała.

— Naprawdę? — Wydawał się zdumiony. — Miałem ochotę, ale nie chciałem nadużywać twojej gościnności.

Kiedy wracała do salonu, miała nadzieję, że na jej twarzy nie widać ulgi. Potem poszli do najbliższej smażalni frytek, a w tym czasie na dobre się rozpadało.

— W dwa dni z Ivy tutaj — zauważyła ironicznie, otwierając drzwi.

— Co zjesz? — Joe popatrzył na plastikowe menu. — Kiełbaskę w panierce? Skrzydełka kurczaka? Cheeseburgera?

— A ty?

— Dwie kiełbaski i frytki. Może zjedlibyśmy na spółkę krążki cebulowe?

— Jeśli podzielę się z tobą wędzonym dorszem, będę mogła zjeść kawałek kiełbaski? — zapytała.

Nagle smażalnia zniknęła i zostało tylko ich dwoje. Wpatrywali się w siebie, złączeni niemą więzią. Emo, za ladą z formiki i szkła, przestał hałasować sztućcami i zastanawiał się, czy wybuchnąć płaczem. Młoda miłość. Niczego nie da się z tym porównać.

Kupili dwie puszkę tizera do popicia, a Erno dorzucił im cztery darmowe saszetki keczupu i marynowane jajko. W taki sposób wznosił toast za ich miłość.

Następnie wybrali się do wypożyczalni wideo, gdzie Joe natychmiast schwycił *Rzymskie wakacje*.

— Pamiętasz? Dzień, w którym jedliśmy lunch? — Umilkł i skrzywił się. — Dzień, w którym zmusiłem cię do lunchu.

Tym razem to ona się skrzywiła.

— Wcale mnie nie zmusiłeś.

— Tak czy owak, rozmawialiśmy o deszczowym wieczorze i oglądaniu czarno-białego filmu w telewizji, i oboje postawiliśmy na *Rzymskie wakacje*. Pamiętasz?

Jasne, że pamiętała, ale powiedziała jedynie:

— Naprawdę? Możliwe.

O wpół do dziesiątej skończyli oglądać film, Tara wciąż nie przychodziła, a im było coraz trudniej utrzymać ręce z dala od siebie.

— Nie możemy. — Katherine niechętnie przerwała namiętny pocałunek. — Tara pojawi się w kluczowym momencie.

— No dobrze — zaskrzeczał. Kiedy jego głos odzyskał normalne brzmienie, zapytał: — Dlaczego zostawia swojego chłopaka?

Katherine w końcu opowiedziała mu wszystko o Thomasie i o tym, jaki z niego palant. Potem Joe opowiedział Katherine o Lindsay, dziewczynie, z którą chodził przez trzy lata.

— Kto to skończył? — Starła się mówić od niechcenia.

— Saatchi and Saatchi — roześmiał się Joe. — Dostała wspaniałą pracę w Nowym Jorku — wyjaśnił. — Chociaż i tak się nam nie układało.

— Czy czułeś się... — zawahała się — zraniony?

— Tak. Ale znasz przysłowie.

— Jakie przysłowie?

— Czas leczy rany.

Wtedy Katherine opowiedziała mu o Fintanie i jego raku.

— Pewnego dnia w pracy troszkę płakałaś — zauważył niezręcznie. — Obliczałaś moje wydatki i powiedziałaś, że miałaś złe wieści. Czy chodziło o Fintana?

— Pewnie tak — odparła wymijająco.

Nie zamierzała informować go o tym, że katalogowała wszystkie ich rozmowy.

Następnie opowiedziała mu o Milu, JaneAnn i Timothy, o tym, jak dziwacznie zachowywali się w Londynie. O tym, jak Milo i Liv się zakochali, mimo że Liv była boginią stylu, a Milo do niedawna paradował w zniszczonych ogrodniczkach.

— Ogrodniczkach?! — wykrzyknął Joe. Może facet, z którym kiedyś widział Katherine, był bratem Fintana.

— Tak, ogrodniczkach — przytaknęła zdumiona Katherine.

— Nie wiedziałam, że to irlandzka specjalność. To takie spodnie z szelkami i...

— Wiem, jak wyglądają ogrodniczki — uśmiechnął się Joe.

— Jak Milo zarabia na życie?

— To farmer. — Co za dziwne pytanie.

— Nie gra w żadnym zespole?

— Kto, Milo? Chyba żartujesz.

O jedenastej zadzwonił telefon. Ku zdumieniu Katherine, była to Tara.

— Gdzie jesteś?

— Nadal w domu. Straciłam odwagę — powiedziała ze smutkiem. — Przykro mi, że zepsułam ci wieczór.

— Nie zepsułaś, Tara. Świetnie się bawiliśmy. Nie przejmuj się.

— Może starczy mi odwagi, żeby zrobić to jutro.

— Na przykład.

Katherine odłożyła słuchawkę. Alarm odwołany.

— Nie przyjdzie. Biegiem do łazienki!

63

O siódmej we wtorkowy wieczór Tara stała w salonie w otoczeniu pudeł i toreb.

Zwolniła się wcześniej z pracy. Chciała mieć wszystko spakowane, żeby powiedzieć, co miała do powiedzenia, i wyjść.

Wczoraj wieczorem padła na ostatniej przeszkodzie — nie mogła się zmusić do opuszczenia chłopaka i domu ani skazać się na życie w staropanieństwie. Łatwiej było pogodzić się z sytuacją i siedzieć cicho. Czym dla prawdziwych kochanków jest odrobina braku szacunku dla siebie?

Naturalnie, Thomas był dla niej bardzo miły, jak gdyby podejrzewał, że coś się święci. Powiedział jej, że chyba trochę schudła. Zaproponował, że przygotuje kolację. Ilekroć otwierała usta, chcąc powiedzieć mu, że odchodzi, kręciło się jej w głowie z niedowierzania i cały pomysł wydawał się wariactwem.

Jednak cały czas postępując dwa kroczki w przód i jeden do tyłu, Tara w końcu była gotowa. Od dłuższego czasu zamiatała brudy pod dywan, dłużej już nie chciała tego robić. Uzbrojona w pamięć o chwilach, w których czuła się jak śmieć, była gotowa do bitwy. Co pewien czas pojawiała się nowe wspomnienie, wypełniając ją świeżą, wściekłą stanowczością. Chciała go zranić, upokorzyć tak, jak on upokarzał ją. Jak pozwalała się upokarzać.

Usłyszała chrobot klucza w drzwiach i zaschło jej w gardle. Zmęczony po ciężkim dniu wymyślania nastolatkom, Thomas nawet na nią nie spojrział, gdy rzucił (brązową) torbę na (brązową) sofę.

Wtedy zdał sobie sprawę, że dzieje się coś dziwnego. W mieszkaniu panowała niezwykła atmosfera. Dlaczego Tara stała na środku pokoju? Dlaczego nie siedziała? Gdzie zniknęły książki? Czy do mieszkania się włamano?

— Thomas?

— Co?

— Muszę ci coś powiedzieć.

— No to mów.

— Zostawiam cię.

— Tara, co się z tobą dzieje, do cholery?! — jęknął. — Miałem ciężki dzień, nie chcę się wdawać w jakieś przedmiesiączkowe babskie dyskusje.

— Chyba nie zrozumiałeś. Nie ma o czym dyskutować. Zostawiam cię. Teraz.

Zrobił karpia minę i wybałuszył oczy.

— Dlaczego? — zdołał w końcu wykrztusić.

— Zastanówmy się — odparła powoli. — Może dlatego, że jesteś niepotrzebnie okrutny? Patologicznie skąpy? Masz obsesję na punkcie kontroli? A może dlatego, że jesteś okropnym człowiekiem i naprawdę cię nie lubię? Trudno powiedzieć na sto procent, Thomas. Wiem tylko, że musiałam zwariować, skoro byłam z tobą przez dwa lata.

Z każdym zdaniem jego twarz coraz bardziej bladła.

— Ale... — zaprotestował, drżąc po nie sprowokowanym ataku. — Taki jestem. Mówię, jak jest, ale kocham cię i w ogóle, a poza tym mówiłem to dla twojego dobra.

— Wiesz, odnoszę wrażenie, że potrzebujesz czegoś w rodzaju psychoterapii. Masz pochrzaniony stosunek do kobiet.

— Bzdura — odparł wrogo. O dziwo, nie pierwszy raz słyszał to od dziewczyny.

— Nawet mnie nie lubisz — powiedziała Tara.

— Jasne, że cię lubię.

— Nieprawda. Gdybyś mnie lubił, byłbyś dla mnie o wiele miłszy.

Wtedy, po raz pierwszy, zauważył torby i pudła u stóp Tary, co skojarzył z pustymi półkami. Zniknęły książki, kasety wideo, płyty CD. Poruszyło go to do głębi.

— Czy... — Wskazał na bagaże. — Czy to twoje rzeczy?

— Niektóre. Po resztę wrócę w tygodniu.

— Nie wierzę.

Tara musiała przyznać, że był satysfakcjonująco ogłupiały.

— Dokąd byś poszła?

— Idę — podkreśliła — do Katherine.

— Do Katherine?

— Na jakiś czas — odparła. — Potem rozejrzę się za własnym mieszkaniem.

— Własnym mieszkaniem?

— Czy tu jest echo? — Rozejrzała się.

— Możemy o tym pogadać — spróbował bohatersko. Teraz, kiedy wyglądało na to, że Tara faktycznie odchodzi, nagle desperacko jej zapragnął. Znowu był siedmiolatkiem.

— Już rozmawialiśmy.

— Kiedy?

— Na przykład w moje urodziny. Kiedy powiedziałeś, że zostawiłbyś mnie, gdybym zaszła w ciążę.

— A, wtedy.

— I w ostatni piątek, kiedy zasugerowałam, że moglibyśmy się pobrać.

— Nie sądziłem, że mówisz poważnie — mruknął.

— No właśnie!

— Tara, nie odchodź. — Umilkł. — Kochanie — spróbował niepewnie.

Jej stanowczość zachwiała się w posadach. Dotąd nigdy nie nazwał jej kochaniem.

— Przyznaję, że nie zawsze byłem dla ciebie dobry — powiedział błagalnie.

— Mógłbyś to powtórzyć?

— Przyznaję, że nie zawsze byłem dla ciebie dobry — powtórzył nieco ponuro.

— A to dopiero. — Zaśmiała się cierpko. — Nie zawsze byłeś dla mnie dobry. Można to tak ująć.

— Ej, nikt cię nie zmuszał, żebyś ze mną żyła.

— Wiem. — Znowu się uśmiechnęła. — Przeróżające, prawda? Wierz lub nie, na siebie jestem o wiele bardziej wściekła niż na ciebie.

— Jak możesz mi to robić? — Twarz mu się zapadła.

— Ile razy mam ci to powtarzać? Bo jesteś okropny.

— Przecież wiesz dlaczego. Mówiłem ci, dlaczego. Mama mnie zostawiła i trudno mi zaufać kobietom. Jest tak jak w tamtą niedzielę. Przychodzę i widzę spakowane torby. To było straszne, Tara.

— Zmień wreszcie płytę!

Thomas nie mógł w to uwierzyć. Jego rana, którą tak starannie chronił i pielęgnował, została straszliwie zlekceważona. To był jego najcenniejszy towar, dzięki niemu ludzie zachowywali się tak, jak chciał. Jak ta tłusta krowa śmiała...!

— Rozumiem — wycedził z wściekłością. — Poznałaś innego. O to chodzi.

— Nie poznałam. Nie ma nikogo innego. Chodzi o ciebie. I o mnie, niestety.

— Ten Ravi. Zakład, że się z nim bzykasz.

— Z nikim się nie bzykam.

— Fakt. — Popatrzył na nią pogardliwie. — Pewnie, że nie. Kto by cię chciał?

— Kochany Thomas. Cóż, do widzenia. — Włożyła płaszcz. — To było naprawdę. Naprawdę straszne, to miałam na myśli.

Oszołomiony patrzył, jak Tara podnosi torby i pudła i zanosí je do samochodu. Kiedy wróciła po resztę rzeczy, jego oczy rozszerzyły się w szoku.

— Hej, zostaw mój cholerny stolik do kawy — zaprotestował.

— Czyj stolik?

— Mój.

— Kto za niego zapłacił? Nie odpowiedział.

— Ja. Zatem, Thomas — powiedziała triumfalnie — to mój cholerny stolik.

64

— Juhu! — Fintan zdarł z głowy perukę z fryzurą Marilyn Monroe i zaczął nią wymachiwać w powietrzu. — Nie wierzę, że to zrobiła. Uwierzyłabyś, Katherine?

Katherine pomyślała o Tarze, która płakała od czterdziestu ośmiu godzin.

— Hm, właściwie tak — mruknęła.

— Powiedz mi, czego się dowiedziałas. Był załamany?

— Chyba dosyć przygnębiony.

— Ooooch. — Fintan zacisnął pięści. — Szkoda, że tego nie widziałem. Powinna była nagrać wszystko ukrytą kamerą. Co z nią?

— Szczerze mówiąc, ma złamane serce.

— Roy Orbison?

— Nie. — Katherine uśmiechnęła się tajemniczo. Roy Orbison urzędował obecnie na szafie, w pudełku po butach, pod czterema albumami zdjęć. Od tego zaczęła, kiedy Tara pojawiła się w jej mieszkaniu, gdyż nie zdołałaby znieść kolejnych dwóch miesięcy „To kooooooniec!”

— Czy powtarza, że zostanie lesbijką, bo nigdy nie pozna żadnego mężczyzny?

— Tak, zupełnie jak poprzednio.

— Zajęcia wieczorowe?

— Mówi o układaniu mozaiki, nauce portugalskiego i grze na banjo. Ostrzegam, chce cię ze sobą ciągać.

— Chryste Panie, gra na banjo! Co za szczęście, że od jutra znów mam chemioterapię i będę zbyt chory, żeby choćby spojrzeć na banjo.

— Udało ci się.

— Chyba nie zejdzie się z Thomasem, prawda?

— Już dzwonił, żeby spytać, czy nadal mogą być przyjaciółmi.

— Rozumiem. Chciał się bzykać. I co?

— Powiedziała... Szczerze mówiąc, to było świetne, Fintan. Powiedziała: „Nadal? Jak możemy nadal być przyjaciółmi, skoro nigdy nimi nie byliśmy?”

— Urocze. Da sobie radę. Za żadne skarby świata nie wolno nam jednak mówić, żeby kogoś poszukała. Patrz, co się zdarzyło po Alasdairze.

— Słusznie. Co to za pudło?

— Mój abdominizer. Nie martw się, zwrócę go. A co u ciebie?

— Wszystko w porządku. — Uśmiechnęła się jak kot z Cheshire. — Nawet bardzo w porządku.

— Nadal sypiasz po trzy godziny na dobę?

— Nawet mniej.

— A tak dobrze wyglądasz. Promieniejesz. Kiedy go poznam?

— A kiedy chcesz?

— Najlepiej poczekać do końca chemioterapii. Nie chcę przy pierwszym spotkaniu obrzygać twojego przyjaciela. Byłoby to nieuprzejme. — Zadzwoił telefon i Fintan spytał: — Odbierzesz? Masz bliżej. Kto to? Co za urwanie głowy, moja droga!

— Halo — powiedziała Katherine. — O, dzień dobry, pani O'Grady. Naprawdę? Jest pani pewna? Nie, nic o tym nie wiedziałam. Naprawdę. Przysięgam na Boga. Rozumiem, tak, rozu... oczywiście, rozu... Chwileczkę. Może zanim zacnie pani grozić wszystkim śmiercią, sprawdzi pani, czy to prawda.

Katherine wręczyła słuchawkę Fintanowi. — To twoja matka — wyjaśniła. — Wiedziałeś, że Milo sprzedaje farmę i na dobre przeprowadza się do Londynu?

Tara zwlokła się z łóżka i od razu odhaczyła dzień na kalendarzu podarowanym jej przez Katherine. Dziesięć. Dziesiąty dzień z rzędu trzymała się z dala od Thomasa. Dziesięć nie kończących się, bezsennych nocy. Jej rytm dobowy zupełnie się rozwalił przez obce miejsce oraz wielkie ilości alkoholu, które spożywała, by zagłuszyć ból i strach przed przerażająco pustą przyszłością.

Jej brawura towarzysząca opuszczaniu Thomasa zupełnie zniknęła, gdy Tara pojawiła się pod domem Katherine. Omal nie zawróciła i nie pojechała z powrotem do domu. Wiedziała jednak, że po tym potężnym upokorzeniu Thomasa spaliła za sobą wszystkie mosty. Wszyscy powtarzali, że jej przejdzie, ale czuła, że życie się skończyło. Wróciła myślami do tych podniecających, beztroskich dni przed trzydziestką, kiedy wciąż jeszcze miała czas. Rzecz jasna, po odejściu Alasdaira także myślała, że życie dobiegło końca. Teraz jednak, ponad dwa lata później, naprawdę tak było.

Nie miała już w sobie elastyczności, która pozwalała jej odbić się od dna. Straciła ostatnią szansę.

Myśl o powrocie do Thomasa była niebezpiecznie kusząca. Teraz, po rozstaniu, nie wydawał się taki zły. Jego zgryźliwość nie była aż tak wysoką ceną za towarzystwo. Może i pojawiały się między nimi problemy, ale dobrze się znali. Taka kłótniwa intymność miała olbrzymie zalety. Lepiej się z kimś nie zgadzać, niż w ogóle nikogo nie mieć. Kiedy stać ją było na szczerłość, przyznawała sama przed sobą że choć tęskni za Thomasem, tęskni także za byciem połówką pary. Sama czuła się naga i niepełnowartościowa.

Mimo tej samotności miała jednak głębokie przekonanie, że powrót do Thomasa byłby niewłaściwy. W każdym razie dopóki Thomas się całkowicie nie zmieni. Rozpaczliwie chciała oszczędzić sobie upokorzenia, którego doświadczyła z Alasdaiem. Błagam, Boże, nie pozwól mi zadzwonić do Thomasa, modliła się tysiąc razy dziennie. Błagam, Boże, daj mi siłę. Błagam, Boże, niech to on do mnie zadzwoni. Niech powie, że jest zupełnie innym człowiekiem.

Katherine szykowała w kuchni kawę dla siebie i Joe.

— Cześć — rozpromieniła się. Prawie wcale nie sypiała, ale była bardzo przytomna. Superczujna, chyba że wpadała w marzycielski nastrój.

Wyglądała inaczej. Wszyscy to zauważyli. Przedwczoraj w pracy, kiedy przed przeszklonym gabinetem Freda mignęła zgrabna pupa, Fred trącił Mylesa i powiedział:

— Ładna dupa. Jeśli uda się ją dopaść. — Nagle zamarł. — Czyja to dupa? Nie mów mi, że Królowej Śniegu. Cholera jasna, tak! Jak mogłem powiedzieć o niej coś miłego?

W kuchni Tara uśmiechnęła się z wysiłkiem do Katherine.

— Tara? — powiedziała powoli Katherine.

— Co?

— To. — Katherine włożyła palec za pasek Tary i pociągnęła. Pojawiła się wielka luka.

— O. — Tara zerknęła na pasek ze zdumieniem.

— Czy ty w ogóle coś jesz?

— Tak jest zawsze. Rozstajesz się z facetem, nie możesz nic jeść, robisz się śliczna i szczupła, poznajesz innego mężczyznę. To nagroda pocieszenia Matki Natury. — Tara uśmiechnęła się markotnie.

— Musisz jeść.

— Nie będę zwracać sobie głowy.

— Przestań — nakazała jej surowo Katherine. — On nie jest tego wart.

— Nie był taki zły — odparła Tara. — Bywał miły.

— Podaj mi choć jeden przykład. Myślała przez chwilę.

— Zawsze wypełniał za mnie formularze. Ubezpieczeniowe i podatkowe. Wiedział, że tego nienawidzę.

— Byłby wstyd, gdyby tego nie robił, w końcu wszędzie go wozilaś. Podaj inny przykład.

— Był dżentelmenem. Otwierał mi drzwi, odsuwał krzesło.

— Staroświecki seksista.

Tara westchnęła ciężko.

— Miał zręczne ręce. Kiedy zaplątał mi się srebrny łańcuszek, godzinami go rozplątywał i nie rozerwał. Mnie nie starczyłoby cierpliwości.

Katherine odchrząknęła, niepewna, jak wyśmiać umiejętności Thomasa.

— Razem paliliśmy, razem próbowaliśmy rzucić, razem się nam nie udawało. — Tara westchnęła ze smutkiem. — Przypalał mi papierosy. Ja jemu. To było bardzo miłe i nigdy nie brakowało mi fajek, bo on miał, kiedy moje się kończyły.

— Chcesz powiedzieć, że dawał ci je za darmo?

— Oczywiście musiałam płacić. — Spróbowała się blado uśmiechnąć. — Ale nigdy mi ich nie brakowało.

— Rozchmurz się, będzie ci lepiej bez niego. Umówmy się, że nie był to najpłomienniejszy romans świata — oznajmiła Katherine.

Miała rację. Nie był ani tragiczny, ani romantyczny. Ale to był jej romans.

— Posłuchaj. — Tara opuściła głowę. — Wiem, że był tyranem, skąpiradłem i zgadzam się z tobą, że pewnie będzie mi lepiej bez niego. Tylko nawet kiedy ludziom amputuje się nogę z gangreną, nadal im jej brakuje.

Katherine była zadowolona, że Tara porównała Thomasa do nogi z gangreną. Rzecz jasna, była to okropna zniewaga dla nogi z gangreną, niemniej jednak postęp.

— Przy okazji, dziękuję za wczorajszy wieczór — wymamrotała Tara.

— W porządku. Przepraszam, że sprułam sweter.

— Miałaś prawo. Tylko się oszukiwałam. Poprzedniego wieczoru, ku przerażeniu Katherine, Tara wyjęła sweter, który wcześniej zaczęła robić dla Thomasa, i oznajmiła:

— Równie dobrze mogę go skończyć i podarować Thomasowi. Szkoda go zmarnować.

— Nie! — Katherine zerwała się na równe nogi, złapała druty, ściągnęła z nich wełnę i gorączkowo zaczęła ją pruć. — To tylko pretekst, żeby się z nim spotkać. Jak pieniądze, które jest ci winien, jak zasłona prysznicowa, której zapomniałaś, i fakt, że przed odejściem nie zdążyłaś kopnąć Beryl. Nie, Tara, nie!

Oblicze Tary promieniało zdumieniem.

— Dobrze — wyszeptała.

Katherine cofnęła się, usiadła obok Joe i wymamrotała:

— Przepraszam, że musiałeś to oglądać.

— Boję się! — pisnął. Roześmiali się, a napięcie opadło.

Boże, pomyślała Tara, jest uroczy! I taki uczynny. Tara podejrzewała, że oboje spędzają tak dużo czasu u Katherine zamiast u Joe, gdyż chcą mieć na nią oko. Katherine nawet przeniosła telefon do sypialni i odebrała Tarze komórkę.

— Nie powstrzymam cię przed dzwonieniem do niego w dzień — powiedziała — ale przynajmniej nie zrobisz tego, kiedy zalana wrócisz do domu.

Raz Joe i Katherine uniemożliwili Tarze nocną przejażdżkę po pijaku.

— Nie chcę jechać do Thomasa — wyjaśniła ze złością. — Chcę przejechać obok.

— Mogłabym ci pozwolić przejeżdżać obok Thomasa, gdybyś chciała go zastrzelić z samochodu — odparła Katherine. — Marsz do łóżka!

Tara zwlokła się z łóżka i odhaczyła kolejny dzień w kalendarzu. Dwadzieścia dni. Niemal trzy tygodnie. Po trzech tygodniach będzie prawie miesiąc.

Jak dotąd, udało się jej do niego nie dzwonić. Było to jednak nadludzkie osiągnięcie, związane z heroiczną walką. Każdy dzień przypominał tysiąckilometrowy marsz, najeżony ciągłymi okazjami, by złapać za słuchawkę. Czasem dosłownie pocila się od wysiłku związanego z niedzwonieniem.

W weekendy, bez pracy, czuła, że tortura jest tysiąckrotnie większa.

Kiedy minęła początkowa agonია, Tara zaczęła rozumieć, że wcale nie tęskni za Thomasem, tylko za wszystkim, co reprezentował sobą partner: — chodziło o akceptację, poparcie, kogoś, z kim mogła konsultować plany, komu mogła się zwierzać. Była bardzo wdzięczna swoim przyjaciółom, ale bez niekwestionowanego przymierza codziennej rutyny między kochankami objęła się jak wolny rodnik.

Nigdy jej specjalnie nie podniecało mówienie Thomasowi, że się spóźni. Dopiero teraz, gdy nikogo nie obchodziło, czy w ogóle wróci do domu, uznała to za pożądane. Choć nie wyjechała z nim na żadne prawdziwe wakacje, teraz mogła liczyć tylko na to, że niektóre pary — na przykład Milo i Liv albo Katherine i Joe — zlitują się nad nią i pozwolą się jej doczepić. Świadomość, jak niskie są te uczucia, nie pomagała się ich pozbyć. Tara nie tylko miała wyrzuty sumienia, była też samotna.

Ogarniała ją taka nostalgia za starym życiem, że tęskniła nawet za okropnym, brązowym, przypominającym norę mieszkaniem. Mimo że formalnie należało do Thomasa, było jej domem. Teraz gnieździła się jak jakiś uchodźca w małej sypialni w cudzym mieszkaniu, przerażona, że przeszkadza, i niezdolna do odpoczynku. Przejmowała się, że spędza za dużo czasu w łazience; uważała, że nie ma prawa mówić, co chciałaby obejrzeć w telewizji; czuła się winna, że zużywa za dużo prądu, i miała nieprzyjemną świadomość, że najmniejszy bałagan musi zostać natychmiast uprzątnięty.

Prześladowały ją ciągle fantazje o pojawieniu się Thomasa błagającego namiętnie, by wróciła. Ale poza jednym telefonem, gdy zapytał, czy nadal mogą być przyjaciółmi, nie kontaktował się z nią. W chwilach szczerości doskonale wiedziała, że nie zadzwoni. Był przekonany, że jako typowy samiec powinien zamknąć się w sobie. Przyznanie się do słabości czy potrzeby traktował jak ułomność. Nawet jeśli bez niej umierał, nie dałby tego poznać po sobie.

Równoległe ze znoszeniem życia bez Thomasa nie opuszczała jej troska o Fintana. Miał już trzy serie chemii i nadal nie reagował. Badania krwi nie wykazały żadnych zmian i wystarczyło na niego spojrzeć, żeby dostrzec, że guz na szyi w ogóle się nie zmniejszył.

Onkolodzy twierdzili, że takie leczenie trwa długo, że musi się pogorszyć, zanim się polepszy, ale Tara nie potrafiła się uspokoić i nadal niezmiernie interesowała się wszystkimi rodzajami alternatywnych terapii, o jakich tylko usłyszała.

*

— Minęło dwadzieścia dni! — Katherine i Joe powitali Tarę oklaskami.

— Jest poniedziałek rano — skrzywiła się Tara. — Skąd ta radość?

— Czas na poranne biadolenie — uśmiechnęła się do niej Katherine.

— Dziękuję. Dziś martwię się tym, że nie mam z kim iść na *Zaklinacza koni*.

— Przecież Thomas i tak by z tobą nie poszedł.

— Pozwól, że będę wspominała przeszłość w różowych barwach — stwierdziła z godnością Tara.

— Nie chcemy iść na *Zaklinacza koni* — powiedziała Katherine.

— A kiedy nie chcemy na niego iść? — spytał Joe. Przez chwilę uśmiechali się głupkowato do siebie, a potem Katherine odparła:

— W przyszły wtorek.

— Nie musicie tego oglądać — zauważyła Tara. — Macie wystarczająco dużo romantyzmu w życiu. No dobrze, idę do pracy.

— Miłego dwudziestego pierwszego dnia bez Thomasa!

— Późno wrócę. — Umilkła w nadziei, że zaczną nalegać, aby wróciła wcześniej, skoro jednak milczeli, dodała:

— Idę na siłownię, a potem w miasto.

— Z kim?

— Z kimkolwiek, z Ravim, sprzedawcą „Big Issue”, kto się trafi. Wiem, książkowy przykład to balowanie i upijanie się do nieprzytomności.

— Przynajmniej zerwałaś z tradycją i nie miałaś żadnej jednonocnej przygody.

— Z osobą, której nie dotknęłabyś nawet trzymetrowym kijem, gdyby nie to, że właśnie z kimś zerwałaś — dodał z uśmiechem Joe.

— Spokojnie. Jeszcze nie pokazałam, na co mnie stać. Kiedy Tara zamknęła za sobą drzwi, uderzyło ją — nie pierwszy raz — jak wszystko jest nie tak. Dlaczego otwierała i zamykała cudze drzwi, skoro kilka kilometrów stąd miała doskonale własne drzwi?

Były niedaleko. Stała na ulicy, świadoma wszystkich domów, mieszkań, sklepów i biur, które oddzielały ją od jej prawdziwego domu, prawdziwego życia.

Chcę do domu.

Nie możesz, powiedziała sobie. Wzięła się w garść i podreptała do samochodu.

— Witaj, Tara — zarżał Ravi, gdy weszła do biura. — Mam dobrą wiadomość. Czytałem w „ES”, że Max Factor wypuścił nową szminkę. Nie twierdzą, że jest niezjadalna, ale podobno jest samoodnawialna, co... Nie wiem, co ty na to, ale dla mnie to prawie to samo. Czuję, że zbliża się wyprawa do Bootsa.

— Naprawdę? — ucieszyła się. — Powiedz mi, co napisali, Ravi.

— Podobno nakładasz szminkę, a kiedy się martwisz, że zbladła czy jak to tam się mówi, zwyczajnie zaciskasz usta... — zademonstrował — i gotowe! Jakbyś nałożyła nową warstwę.

Zadzwoił telefon Tary. Była to Liv.

— Co się stało? — spytała Tara. — Chodzi o JaneAnn?

— Ta kobieta jest jak anioł zemsty — westchnęła Liv. — Nie, tym razem nie dzwonię w jej sprawie. Masz jakieś narkotyki?

— Słucham?

— Haszysz.

— Chwilowo nie mam go pod ręką. Co się dzieje?

— To dla Fintana. Ciągłe okropnie się czuje po przedwczorajszej chemioterapii, a ktoś mu powiedział, że haszysz likwiduje mdłości. Nie mam pojęcia, jak go zdobyć, przecież jestem projektantką wnętrz! Proponują mi tylko kokainę.

65

— Mam dla ciebie czerwony libański hasz, człowieku. — Tara pomachała maleńką tabliczką, starając się mówić jak dealer. — A może to czarny marokański. I tak nie odróżnię. Ale mieliśmy z tym problem! Przyjaciela przyjaciela przyjaciela Ravięgo ma siostrę, która ma chłopaka, który ma kolegę, który spotkał się z nami przed salą bilardową w Hammersmith i nam to sprzedał. Człowieku — dodała. — Co to za fantastyczny zapach? Ciasto?

Fintan zaprowadził ją do kuchni, gdzie na blacie leżała forma do pieczenia z jedną bułeczką.

— Bułeczki z haszem — wyjaśnił. — Przepraszam, Tara. Sandro po południu zdobył działkę na dwadzieścia porcji. Mogłem oszczędzić wam fatygi. Człowieku — dodał.

— Nie przejmuj się nami, dobrze się bawiłam. Od lat nie robiłam czegoś takiego. Bułeczki pomogły na rzyganie?

— Dopiero je zjadłem. Mam jednak nadzieję, że pomogą. Denerwują mnie te ciągle nudności.

— Trzymam kciuki! Co robimy dziś wieczorem? — spytała. — Fajnie by było upalić się do nieprzytomności, następnie iść na całodobową stację i wykupić cały zapas maltisersów.

— I nie móc mówić, tylko śmiać się histerycznie nie wiadomo z czego.

— Nie wolno nam zapominać, że ten hasz ma mieć działanie lecznicze, nie należy go nadużywać. Mimo to fajnie byłoby się trochę upalić. Tyle lat minęło.

— Problem w tym, że wychodzę — oznajmił Fintan.

— Wychodzisz? Dokąd?

— Na przyjęcie gwiazdkowe Sandra.

— Już? Pierwszego grudnia?

— Tylko dziś mogli zarezerwować stół w Nobu. Uwierzyłybyś, że nie ma miejsc aż do czwartego stycznia?

— Jesteś na tyle silny, żeby iść?

— Jak się chce, to można. — Zaśmiał się. — Chcę się bawić. Jeść, pić i radować.

— Na pewno? W końcu nie czujesz się najlepiej.

— O, klakson, to pewnie moja taksówka. — Fintan zaczął się zbierać, a Tara zauważyła coś, od czego ścisnęło jej się serce.

— To bal przebierańców?

— Nie.

— To na co ci laska?

— A, laska. Przez to zamieszanie z narkotykami i rzyganiem zapomniałem ci powiedzieć.

— O czym zapomniałeś mi powiedzieć?

— Ostatnia seria chemioterapii strasznie namieszała w zakończeniach nerwowych w moich stopach.

— Jak to namieszała? — Czują strach, i to coraz większy.

— Czuję mrowienie, bołą mnie, kiedy dźwigają zbyt duży ciężar, więc laska pomaga. — Roześmiał się jej w twarz. — Nie bądź taka przygnębiona, to przejściowe. Kiedy skończę chemioterapię, poprawi się. Dobrze nałożyłem perukę?

Przyglądała się chudemu stworzeniu w peruce z fryzurą Tiny Turner, niezdarnie sunącemu ku drzwiom, i pomyślała: „On jest tylko o rok starszy ode mnie”.

— Mam wpaść jutro wieczorem? — spytała, idąc za nim, gdy wyłączał światła.

— Nie. Idę do klubu z dwudziestką siódmką najbliższych przyjaciół, ale możesz do nas dołączyć.

— Idziesz do klubu?

— Zgadza się, Tara. — W głosie Fintana pojawiło się zniecierpliwienie. — Złość, złość na umieranie światła i tak dalej. Robię, jak facet kazał.

Serce Tary waliło jak młotem, gdy uświadomiła sobie, że Fintan nie jest tak pogodzony z losem, jak sądziła.

— Zły jesteś?

— Niezupełnie zły. Nie w tej chwili. Ale skoro to moja ostatnia szansa, muszę ją wykorzystać jak najlepiej.

Nie mogła nic powiedzieć, oszołomiona dziwną mieszanką wstydu i podziwu.

— Idę walczyć — obiecał jej. — Albo przynajmniej tańczyć. Dopóki w moim ciele jest płomień, a na talerzu obrotowym Sister Sledge, życie toczy się dalej.

66

— Praca — westchnęła Tara, zataczając się i śmierzdząc tytoniem i alkoholem. — Jestem wykończona.

— Macie dużo roboty? — spytała współczująco Katherine.

— Lepiej nic nie mów! Wczoraj mieliśmy kolację z okazji projektu, zespołowy lunch, dziś nasze piętro oblewa gwiazdkę, jutro jest lunch wydziału, przyjęcie z grzonym winem w dziale marketingu zajmie jutrzejsze popołudnie, następnego dnia firmowa impreza. Te cholerne święta całkiem mnie wykończą! Moja wątroba błaga o litość.

— Wiem, co czujesz — przytaknęła Katherine.

Prawdą jest, że w Breen Helmsford różnica między szalonym imprezowaniem świątecznym a szalonym imprezowaniem przez resztę roku była ledwie widoczna gołym okiem.

Okres świątecznych przyjęć nie mógł się pojawić w lepszej chwili dla Tary. Alkohol i radosna atmosfera pomagały jej odegnąć demony.

— Chociaż muszę przyznać, że przez to wszystko zamieniłam się w kraj Trzeciego Świata — narzekała. — Jestem biedna.

— Zawsze jesteś biedna — przypomniała jej Katherine.

— Teraz jest gorzej niż zwykle. Alkohol, taksówki i... alkohol, taksówki. No i, rzecz jasna, ubrania. Chyba znowu będę musiała pociąć karty. — Tara nie mogła przestać kupować nowych strojów. Choć była to słaba pociecha, mieściła się teraz w rzeczy, o których sześć tygodni wcześniej nawet nie miała co marzyć. — Jeszcze dwa tygodnie tej męki — skrzywiła się, a następnie zmusiła do uśmiechu — i wbiję się w dzinsy. Zobacz, jaką piękną spódnice kupiłam na jutrzejszy lunch.

— Cudowna — zachwyciła się Katherine. — Dokąd idziecie? W jakieś miłe miejsce?

— Właściwie nie.

Zdecydowano, że zjedzą lunch w pracy, gdyż nie mogli zarezerwować stolików w żadnej z lokalnych restauracji. Albo byli już chętni, albo właściciele słyszeli o zeszłorocznych popisach działu rozwoju GK Software, kiedy lunch przeciągnął się do wieczora, i kilka osób nie chciało opuścić zarezerwowanych przez innych ludzi stolików.

Nawet teraz, niemal rok później, jeden z miejscowych polskich restauratorów przeżegnał się i przeszedł na drugą stronę jezdni, by nie mijać biur GK Software.

Lunch zaczął się bardzo przyzwoicie. Wszystkie panie odeszły od biurków o wpół do jedenastej, mimo że zostały jeszcze dwie i pół godziny. Przez cały ranek nikt nie pracował pod pretekstem świątecznej gorączki. Oczywiście, nikt się nie gorączkował, ale trudno było nie wykorzystać okazji.

— Co ty na to, Ravi? — spytała Tara, poprawiając nową spódnice.

— Na co patrzę? Na ubrania czy nieścieralną szminkę?

— Nieścieralną sralną! Obawiam się, że ta samoodnawialna to niezupełnie to, o co chodzi. Znowu zrobili mnie w konia.

— Tara, mam coś dla ciebie. — Ravi poszperał w szufladzie biurka. — To może być odpowiedź na wszystkie twoje problemy. Proszę bardzo. — Wyciągnął kartkę wyrwaną z jakiegoś czasopisma. — Tatuaż! Na wargach. Gdzieś w Kalifornii wykonują permanentny tatuaż na ustach. Brzmi okropnie, ale przynajmniej nie musiałabyś się przejmować szminką.

— Dzięki, Ravi, ale nie. — Tara była głęboko wzruszona.

— To bardzo miłe z twojej strony, ale co, jeśli chciałabym wypróbować nowy kolor?

— Przepraszam. Myślałem, że się zainteresujesz.

— Bo się zainteresowałam!

Z wybiciem godziny pierwszej trzydzieści osób zgromadziło się w sali konferencyjnej na sherry, odgrzewanego indyka i kiepskie herbatniki. Wszyscy pili z entuzjazmem. Jak zwykle Tara i Ravi siedzieli obok siebie i wymieniali dowcipne uwagi.

— Spójrz na Vinniego — zaśmiała się Tara. — Urznął się. Nawet glaca mu się zaczerwieniła.

— Rzadko wychodzi, to i oduczyl się pić.

— Nalej nam jeszcze sherry, Ravi, dobry człowieku.

— Jeszcze tylko jedno — powiedział piskliwie i stuknęli się kieliszkami.

W pewnym momencie odpowiedzialni ludzie pokroju Vinniego powrócili do pracy, ale kilka osób pozostało na miejscu, wśród nich Ravi i Tara.

Mniej więcej o wpół do piątej mieszanka wielotygodniowego niejedzenia i alkoholu, który zastąpił krew w jej ciele, spowodowała, że Tara zaczęła płakać nad Fintanem, potem nad Thomasem, a potem znowu nad Fintanem.

— Sssrasznie — szlochała. — Pszeraszaające. A jak umsz? Nie mów, że nie, bo pefnie umsz. Czuje sietak, jakby ktoś wbił mi nóż f serce. Goszej niż po sracie Thomasa, snasznie goszej. — Popatrzyła błagalnie na Ravięgo i powiedziała: — Rafi, bede szygać.

— Rozejść się! — ryknął Ravi, na w pół niosąc, na w pół wlokąc Tarę do toalety dla pań. — Przepraszam — powiedział do zaniepokojonej trójki dziewczyn z działu płac, które przed lustrem poprawiały makijaż w przygotowaniu do biurowej kolacji. — Nagły wypadek.

— Widzimy — odparły, odskakując od Tary.

— To my za parę godzin — powiedziała z nadzieją jedna z nich, patrząc, jak Ravi odgarnia włosy z twarzy Tary, gdy nad zlewem rozstawała się ze swoim sherry.

— Pójdzimyddmu, tak, Rafi? — zapytała, kiedy skończyła. — Odfieszisz raie?

— Jasne. Zostań, zamówię taksówkę. Miejcie na nią oko — nakazał dziewczynom z działu płac.

Gdy tylko zniknęła, jedna z dziewczyn wyciągnęła z torebki tubę pasty do zębów i nalegała, żeby Tara oczyściła nią zęby.

— Precz! — zamachała ręką Tara.

— Jest słodki — powiedziała dziewczyna.

— Nie jest. To Rafi.

Plukanie ust nie miało jednak sensu, gdyż chwilę później Tara zwymiotowała ponownie. I jeszcze raz.

Kiedy pojawiła się taksówka, Śpiący Steve zastukał w drzwi toalety dla pań.

— Zanim pójdziemy, czy chciałabyś... znowu... no wiesz? — spytał dyskretnie Ravi. Ale nie, Tara już zwróciła to, co miała do zwrócenia, przynajmniej na teraz. Tyle że znowu zalała się łzami.

Drzwi się otworzyły i do środka wpłynęła Amy, smukła i boska.

— Tara — jęknęła. — Co się stało? Dlaczego płaczesz?

Chociaż nie widziały się od wieków, nie zapomniała, jak sympatycznie potraktowała ją Tara po incydencie z Lorcanem i policją.

— Mój pszyjaciel umiera i koniec z moim facetem. Amy skoncentrowała się na gorszej z dwóch wiadomości.

— O nie. To straszne. Zerwałaś z chłopakiem. Moja ty biedna! — Nagle przyszedł jej do głowy cudowny pomysł. — Już wiem! Mój chłopak ma wspaniałego przyjaciela. Jesteście dla siebie stworzeni. Ma na imię Benjy i umówimy się w styczniu na podwójną randkę.

— To miło — powiedziała Tara przez łzy. — Prawda, Rafi? — Świetnie.

— O ile nie zakochasz się w Lorcanie — zachichotała nerwowo Amy.

— O ile.

Ravi towarzyszył szlochającej i roztrzęsionej Tarze w recepcji, gdzie gromadka elegancko ubranych mężczyzn z działu płac wychodziła właśnie na kolację. Z otwartymi ustami wpatrywali się w pobladłą Tarę.

— Coś jej zaszkodziło — wyjaśnił Ravi.

Kiedy jednak pomagał jej zejść po schodkach, które prowadziły z recepcji do wyjścia, Tara znowu się zachwiała.

— Chwileczkę — jęknął, rozglądając się w panice w poszukiwaniu czegoś, do czego mogłaby zwymiotować. — Spróbuj nie...

Było jednak za późno, Tara nie mogła się powstrzymać od zwrócenia resztek sherry na metalową poręcz.

— Pszpszm, Rafi — powiedziała niskim głosem. — Jesm opszdliva.

— Nieprawda, skarbie. — Miał nadzieję, że taksówkarz zgodzi się ich zabrać. — Niech ktoś to posprząta! — zawołał przez ramię.

Rzecz jasna, nikt nie posprzątał. Personel działu płac nie zamierzał brudzić sobie najlepszych ubrań cudzymi rzygami. Jeśli już, to tylko własnymi.

Chwilę później Alvin Honeycomb, dyrektor zarządzający GK Software, wyszedł z windy do recepcji. Wysoki, siwiejący na skroniach i przystojny, z miną bardzo ważnego biznesmena sunął w granatowym płaszczu z kaszmiru, ze stalową aktówką w ręce. On także wybierał się na spotkanie.

— Dobranoc wszystkim — zawołał głębokim, melodyjnym głosem, pędząc ku wyjściu. Szczycił się swoją uprzejmością wobec pracowników i poczekał na chór: „Dobranoc, panie Honeycomb”. Zawsze tanecznym krokiem zbiegał po schodkach do wyjścia. Drobne kroczyki w miękkich włoskich mokasynach zazwyczaj prowadziły go na ulicę, w samą porę, by zatrzymać nadjeżdżającą taksówkę. Tym razem jednak, kiedy położył rękę na poręczy, by rozpocząć taniec, dotknął zwróconej przed chwilą sherry Tary. Ku konsternacji pana Honeycomba jego ręka zjechała do końca poręczy, razem z wymiocinami, a reszta ciała podążyła za nią, zupełnie jak podczas skoku do wody. Jego stopy bez powodzenia próbowały odzyskać kontakt z podłożem i zanim się zorientował, spadł ze wszystkich siedmiu schodków, po czym runął jak długi na ulicę, z posiniaczoną ręką i rozciętą brodą. Jego aktówka podskoczyła na lodzie. Przez kilka minut leżał tak, balansując na brodzie, z wypiętym tyłkiem, zbyt oszołomiony, by wstać. Dobrze ubrana para w drodze do pracy westchnęła, przeszła nad nim i powiedziała:

— Naprawdę, niektórzy przesadzają z tymi świętami. Nie powinni tyle pić, skoro mają słabą głowę.

Następnego ranka, tuż po przebudzeniu, Tara nie czuła się tak źle. Słyszała lekkie brzęczenie w głowie i nie stąpała zbyt pewnie, ale mogła wstać, wykapać się, ubrać i przygotować nową obcisłą czarną sukienkę i czarne sandały na koturnie na wieczorne przyjęcie.

Następnie pojechała do pracy, dziwnie zdystansowana do otoczenia. Kiedy weszła, minęła na schodach pana Honeycomba. Zastanawiała się, skąd mu się wzięła ta wielka szrama na brodzie. Pewnie się urznął i runął na pysk. Ładny przykład dla personelu.

Wzruszeniem ramion i uśmiechem zbywała lawinę pytań współpracowników.

— Dzięki — wyszeptła do Ravięgo, zadowolona, że z jakiegoś powodu poczucie winy i wstydu nie wydawało się jej problemem. Na szczęście była zupełnie znieczulona.

Dopóki nie dowiedziała się, że ktoś — zapewne Vinnie — umówił ją na dziesiątą z dwoma rozwścieczonymi klientami. Byli już na miejscu, kręcili się wokół i wyglądali na rozwścieczonych, jak się rzekło. Uznała, że lepiej będzie wejść, zamiast zawrócić i spędzić dzień w łóżku, błagając o miskę.

Kiedy jednak zaprosiła ich do sali konferencyjnej, nagle ją oświeciło, że nadal jest bardzo pijana. Na dodatek bełkotała.

— Panie Forde, panie Ransome, psze zajoncz miesca.

Język spuchł jej gigantycznie i ledwie mogła odkleić go od podniebienia. Zaczęła się pocić ze strachu.

— Tak, rozumie panów skargi w sprawie swiatszonych pszez nasz usug — powiedziała rozpaczliwie. Zastanawiała się, czy to sen.

Nie mogła się bronić. Nie miała pojęcia, co powiedzieć. Jej centralny układ nerwowy był uszkodzony; sygnały, które normalnie mknęły od jednej komórki do drugiej, zalała jakaś przypominająca melasę substancja.

W pomieszczeniu było zdecydowanie za gorąco.

Wtedy to wyczuła. Odór, który nie pasował do sali konferencyjnej, a już z pewnością nie o dziesiątej piętnaście rano.

Alkohol. Czuła alkohol. Ciepły i stęchły. Parujący z jej powiększonych od strachu porów.

Dość, zdecydowała stanowczo. Już dość. Przeszła przez obowiązkową, porozstaniową, pijąco-imprezującą, auto-destrukcyjną fazę. Pora z tym skończyć.

Kiedy Frank Butler odbierał Tarę z lotniska w Shannon, zawsze witał ją pytaniem: „Kiedy wracasz?” Jednak w środę przed gwiazdką, gdy pojechał po Tarę i Katherine, zerwał z tradycją. Było to dopiero drugie pytanie, które zadał. Pierwsze brzmiało: „Podobno Fintan O'Grady ma AIDS”.

— Nie, tato. Ma raka.

— Ha! Raka, pewnie. Muszą nas mieć za bandę ciołków. Tędy, tam jest wóz. — Przepychając się wśród tłumów w holu, ciągnął: — Myślą, że nigdy nie czytamy gazet ani nie włączamy telewizorów?

— Nie, panie Butler, to prawda — wtrąciła się Katherine z odpowiednią mieszanką pokory i autorytetu. — Nie ma AIDS.

Franka zatkało. Katherine Casey by nie kłamała. Była dobrą dziewczyną. Mimo że wyczuwał w niej coś innego. Gdyby nie myślał, że to zupełnie nieprawdopodobne, użyłby słowa: „bezwstydna”.

— Kiedy wracasz? — warknął do Tary.

— W Nowy Rok.

— Przypuszczam, że mam cię podrzucić?

— Słusznie przypuszczasz.

Frank pomyślał o czymś i natychmiast się rozpogodził. Tego akurat był pewien.

— Słyszałem, że Milo O'Grady wpadł po uszy z jakąś szwajcarską rozwódką, która zmusiła go do sprzedaży farmy.

— Nie jest Szwajcarką!

— I nie jest rozwódką, panie Butler.

— Nie zmusiła go do sprzedaży farmy. Robi to z własnej nieprzymuszonej woli.

— Ale rzeczywiście wpadł po uszy, panie Butler, jeśli to dla pana jakaś pociecha.

Frank szedł przed siebie w przygnębionym milczeniu. Ponuro wrzucił ich walizki do bagażnika cortiny, następnie popatrzył uważnie na Tarę.

— Strasznie jesteś chuda.

— Dzięki, tato!

— Wcześniej był z ciebie okropny pulpet. Twarz jak księżyc w pełni, ha, ha, ha.

Déjà vu, pomyślała ze zdumieniem Tara. Właśnie takie rozmowy prowadziłam z Thomasem. Musiałam być nie-normalna, skoro na to pozwalałam. Po raz pierwszy zrozumiała, że to prawda — wolałaby być samotna do końca życia, niż żyć tak raz jeszcze.

Katherine i Tara przyleciały do domu na dziesięć dni. Ponieważ w okresie świątecznym było mnóstwo chętnych na lot z Londynu do Irlandii, zarezerwowały bilety jeszcze w marcu. Wtedy Katherine gratulowała sobie refleksu, teraz gorzko tego żałowała. Perspektywa dziesięciu dni bez Joe była okropna.

Fintan został w Londynie na kolejną serię zabiegów. Uparł się jednak, żeby Tara i Katherine poleciały.

— Będę miał wokół siebie tłum ludzi — tłumaczył im. — Sandro, Milo i Liv zostają w Londynie. Harry, Didier, Neville, Geoff, Will, Andrew, Claude, Geraint i Stephanie uparli się, że odwiedzą mnie w pierwszy dzień świąt. A z Irlandii przylatuje mama z Ambrose'em.

— O rany! — pisnęła Tara. — JaneAnn i Liv. Czy JaneAnn wybaczyła jej kradzież Mila?

— Nieszczególnie. Będzie się jednak musiała pilnować.

— Gdzie mama? — zapytała Tara ojca, kiedy dotarli do domu.

— Tutaj! — krzyknęła promieniejąca radością Fidelma. Była pokryta piórami i miała na sobie podkoszulek z napisem: „Moja sąsiadka pojechała do Londynu i dostałam tylko ten chałowy podkoszulek”. — Nie mogę zostać — wyjaśniła. — Wpadłam się tylko przywitać. Po uszy ugrzęzłam w skubaniu indyków za szopą. Tyle tam piór, że mogłabym latać! O rany, ale z ciebie chudziak — zauważyła. — To z powodu tego chłopaka?

Tara skinęła głową, a w jej oczach pojawiły się łzy. Mogła jednak płakać. Była razem z matką.

— I pewnie z powodu biednego Fintana. — Fidelma sama miała ochotę zalać się łzami, ale to nie był odpowiedni moment. — Zapomnij o wszystkich troskach. — Przytuliła do siebie Tarę. — Zadbamy o ciebie. Nie będziesz chciała wracać.

Tara utonęła w miękkim, ciepłym uścisku matki, oddychając z ulgą pod wpływem uzdrawiającej mocy matczynej miłości. Mogła przestać walczyć, na chwilę mama zamierzała zdjąć ciężar z jej ramion. Po raz pierwszy do bardzo długiego czasu czuła się bezpieczna.

Tara miała wspaniałe święta. Była zachwycona, że znalazła się w domu i że spotkała się z trzema młodszymi braćmi: Michaeliem, Gerardem i Kieranem, którzy wciąż zachowywali się radośnie jak opryskliwi nastolatki, mimo że mieli odpowiednio dwadzieścia trzy, dwadzieścia cztery i dwadzieścia osiem lat.

Katherine z kolei liczyła dni dzielące ją od powrotu do Londynu. Godzinami rozmawiała przez telefon z Joe w Devon, żadne z nich nie mogło odłożyć słuchawki.

— Ty pierwszy.

— Nie, ty pierwsza.

— Nie, ty pierwszy.

— Dobra, policzymy do trzech i oboje odłożymy.

— Dobrze.

— Raz...

— ...dwa...

— ...trzy!

— Joe?

— Tak?

— Nie odłożyłeś słuchawki.

— Wiem. Przepraszam. Ty też nie.

Rankiem pierwszego dnia świąt Agnes zapytała wnuczkę:

— Czy ten twój młody człowiek dał ci gwiazdkowy prezent?

— Tak, babciu — wymruczała Katherine. — Podarował mi gwiazdkę.

— Co to ma znaczyć?

— Kupił nową gwiazdę i nazwał ją moim nazwiskiem. Gdzieś tam — wskazała głową sufit — świeci gwiazda Katherine Casey. Bo wiesz, powiedział, że ja jestem gwiazdą — wyznała wstydliwie. — Więc nazwanie tak gwiazdy jest jak najbardziej w porządku.

— W moich czasach cieszył nas breloczek do bransoletki — mruknęła Agnes. Młoda Katherine wykazywała późne, lecz niepokojące oznaki, że zamienia się w drugą Delię.

Frank Butler i Agnes nie byli jedynymi ludźmi, którzy zauważyli zmiany w Katherine.

— Nie wiem, jak to się stało, ale strasznie przypomina matkę — zdumiewano się w sklepach i pubach w Knockavoy.

— Nie to, żeby się ubierała w namioty czy coś.

— Nie! Ma bardzo eleganckie kostiumy. Patrzcie tylko na nią.

Wszyscy mężczyźni przy barze u Formana odwrócili się, żeby popatrzeć na Katherine, która miała na sobie obcisłą czarną sukienkę ze skóry i krótki rozpinany sweterek.

— Wszyscy w pijackim kącie się na ciebie gapią — mruknęła Tara.

Katherine uniosła wzrok i ujrzała mnóstwo wpatrzonych w nią twarzy o bulwiastych nosach. Tara czekała, aż przyjaciółka pośle im ostre spojrzenie i śmiertelnie ich przerazi. Katherine jednak uśmiechnęła się ładnie, a Tara westchnęła. Ciągle zapominała o tej nowej, ulepszonej Katherine Casey.

— To przez ten błysk w oku — zgodzili się mężczyźni przy barze.

— ...siedem, sześć, pięć, cztery, trzy, dwa, jeden. SZCZĘŚLIWEGO NOWEGO ROKU!

Tara popatrzyła na nie dopalony papieros, który trzymała w ręce.

— Skoro zaczęłam, to skończę.

Potem bardzo uroczyście zgniotła i połamała ostatnie szesnaste papierosów w popielnicze u Formana.

— Au — skrzywił się Timothy O'Grady. — Zakład, że to bolało.

— Nie — skłamała beztrząsowo Tara. — Teraz zaczyna się mój osobisty ramadan. Żadnego jedzenia, żadnego picia i przede wszystkim żadnego palenia!

Czternaście godzin później Katherine i Tara siedziały na lotnisku w poczekalni dla niepalących.

— Minęło czternaście godzin, odkąd paliłam ostatniego papierosa — oznajmiła dumnie Tara. — Czternaście godzin.

— Jedenaście przespałaś — zauważyła cierpko Katherine.

— Patrz na tego faceta. — Tara wskazała mężczyznę w części dla palących, który zaciągał się tak, jakby zależało od tego jego życie. — Czy to nie jest odrażające? Jak może to sobie robić? Tak zatruwać swoje ciało?

Dziesięć minut później otworzyła paczkę gumy Nicorette.

— O to chodzi — powiedziała, żując gorączkowo. — Komu potrzebne fajki?

Dwadzieścia minut później siedziała w części dla palących, nadal żując Nicorette i głęboko zaciągając się papierosem, którego wyłudziła od palącego mężczyzny.

— Jestem palaczką — wyznała mu ze smutkiem. — Chyba będę musiała się z tym pogodzić.

68

Tara zaczęła chodzić na zajęcia wieczorowe. Teraz, kiedy nie upijała się każdego wieczoru — tylko co drugi, czasem co trzeci — musiała czymś zapełnić czas, a chodzenie na siłownię i odwiedzanie Fintana nie zapewniały jej dostatecznej rozrywki. Lekcje gry na banjo skończyły się po pierwszym razie.

— Były za trudne — narzekała. — Macie pojęcie, ile kosztuje banjo? Zbankrutowałabym.

Układanie mozaiki też się nie sprawdziło.

— Za dużo roboty. I te wszystkie maleńkie kafelki, można się wściec.

Co do lekcji portugalskiego:

— Kupa dziwaków. Zresztą nieważne — dodała radośnie. — Wciąż mają miejsca na medytacji, batikach i kajakarstwie. Na pewno coś się nada.

Nie nadało się.

— Medytacja. Co za nuda! Nerwy miałam w strzępach przez tę ciszę, to przypominało wyjątkowo kłopotliwą kolację.

— Czy wyglądam na hippiskę? — zapytała po lekcji batiku. Niewiele mówiła o kajakarstwie. Dowlokła się do domu z potarganymi i zmierzwionymi włosami.

— Jak było? — spytał Joe.

— Nie za fajnie. Przewrócili mnie w wodzie i myślałam, że utonę. Uderzyłam się w kolano i popsuła mi się fryzura.

Tego wieczoru była w okropnym humorze, boleśnie świadoma swojego statusu singla. Brakowało jej komfortu i uczucia, kogoś, kto by ją objął i złagodził szok związany z nieoczekiwanym zanurzeniem w zimnej wodzie, kogoś, kto pocałowałby jej biedne kolano, żeby mniej bolało.

Postanowiła dać sobie spokój z zajęciami wieczorowymi. Uwielbiała przyływ nadziei na początku każdych nowych zajęć, podniecenie wywołane oczekiwaniem na coś, co da jej satysfakcję. To jednak się nie sprawdzało. Nie dało się uciec od samotności dzięki nowemu konikowi.

Teraz jej jedynym hobby było niedzwonienie do Thomasa, a to nadal wiązało się z olbrzymim wysiłkiem. Nie było dnia, żeby nie pomyślała o nim zaraz po przebudzeniu. Katherine jednak zmusiła ją, aby sobie przypomniła, jaką to było męką jeszcze dziesięć tygodni wcześniej.

— Pamiętasz, ledwie spałaś i nic nie jadłaś — mówiła jej. — Wiem, że nadal czujesz się parszywie, ale poczyniłaś pewne postępy. Już od Wigilii nie musiałam powstrzymać cię od jeżdżenia do niego w nocy.

— Chyba tak — odparła powoli Tara. — Dobrze sobie poradziłam, skoro nadal nie dzwonię. Bo wiesz, jestem bardzo słaba. Mam siłę woli komara.

— Poradziłaś sobie wspaniale. Szybciej o nim zapomnisz ze względu na brak kontaktu. Powolne zrywanie tylko przedłuża cierpienie. To jak odrywanie plastra. Im bardziej jesteś brutalna, tym bardziej boli na początku, ale tym lepiej jest na dłuższą metę.

Słowa Katherine jednocześnie pocieszyły i zdenerwowały Tarę. Chciała zapomnieć o Thomasie, ale w idiotyczny, paradoksalny sposób myśl o tym, że miałby stać się wspomnieniem, zasmucała ją.

Brnęła przez życie. Czasem udawało się jej dostrzec siebie, trzydziestokilkuletnią kobietę z dobrą posadą — to, że była biedna jak mysz kościelna nie miało nic wspólnego z pracą — która ciężko pracowała, codziennie chodziła na siłownię, kupowała ładne stroje, nie widziała nawet cienia mężczyzny na horyzoncie i wypełniała pustkę w życiu dobrymi przyjaciółmi i białym winem. Czuła się jak kalka i nieudacznik.

Tęskniła za dniami, kiedy była taka gruba, że musiała przestać kupować „Vogue”, gdyż patrzeć na piękne ubrania, w które się nie mieściła, łamało jej serce. Wtedy przynajmniej miała chłopaka.

Odwiedziny u Fintana stały się dla Tary, Katherine, Liv i Mila rutyną, odruchem, zupełnie jak poranne mycie zębów. Codzienne wizyty były normą, czuli się dziwnie, kiedy go nie widzieli.

Skrajne emocje, które targały nimi tuż po zdiagnozowaniu jego choroby, zdołały się wyrównać. Mimo życia w strasznej, szarpiącej niepewności, gdy każdy skurcz czy ból Fintana wywoływał ogromny niepokój, byli mniej przerażeni. Silny szok złagodził, pogodzili się z dziwną sytuacją. Liv wyjaśniła im, że nie mieli wyjścia.

— Kiedy dźwiga się jakiś ciężar, w końcu trzeba się do niego przyzwyczaić. Wciąż jest nieporęczny i ciężki, ale nagły szok związany z tym, że spadł nam na barki, znika.

Nie mieli już tej nadziei, co na początku — po czterech seriach chemii stan Fintana się nie poprawił.

Nawet wściekłość, rozpacz i nadzieja Fintana nie wychyliły się poza granice normy. Na swój sposób wszystko było takie jak zawsze.

Tylko raz na jakiś czas w ich życie wdzierał się absurd sytuacji. Jak tego wieczoru, kiedy Katherine, Joe i Fintan poszli do teatru, a po przedstawieniu Fintan nie mógł złapać taksówki do domu.

— Jaka szkoda, że nie mogę cię podwieźć — lamentowała Katherine, gdy stali na ulicy i mijała ich taksówka za taksówką. — To właśnie problem z dwuosobowymi autami.

— Mógłbym mu usiąść na kolanach — zaproponował Fintan.

Ze śmiechem zaczęła gromić Fintana za bezustanne flirtowanie z Joe, a następnie zrozumiała, że mówił poważnie. Szok jeszcze się zwiększył, gdy uświadomiła sobie, że to możliwe. Fintan był wystarczająco chudy i wyniszczony.

Nie mogła nic powiedzieć, gdy go odwoziła, niegdyś silnego, zdrowego Fintana, który siedział na kolanach Joe niczym kukielka brzuchomówcy, a Joe opiekuńczo obejmował go ramieniem.

Milo wystawił farmę na sprzedaż i oznajmił, że zajmie się projektowaniem i zakładaniem ogrodów.

— Uwielbiam Londyn, ale brak mi ziemi — powiedział. — Lubię czuć ją między palcami. Każdy żyje na swój sposób.

Liv wyglądała tak, jakby się miała przewrócić z zachwytu.

— Jesteś szczęśliwa, Liv? — zapytała cicho Tara.

— Szczęśliwa? — powtórzyła. — Nie potrafię być szczęśliwa. Ale nie łykam już prozacu, dziurawca, oleju z wiesiołka, witaminy B complex, nie lecę się kolorami i od dawna nie miałam myśli samobójczych.

— Ale czy jesteś szczęśliwa z Milem?

— Och, jest cudowny — ożywiła się Liv. — Nie wierzę w swoje szczęście. Zmienił mój sposób widzenia świata. Kiedy zaczyna padać, on zamiast się martwić, że włosy mu się skręca, albo tego nie zauważa, albo mówi coś w rodzaju: „Jaka piękna ulewa, dobra dla zbiorów”. Chociaż — dodała pośpiesznie, jako że nigdy nie mogła być bezgranicznie zadowolona — musisz pamiętać, że spotkaliśmy się przez chorobę Fintana. Z jednej strony to nas zbliżyło, z drugiej... Te wyrzuty sumienia. No i JaneAnn się na mnie wścieka. Nic nie jest doskonałe.

— Rzeczywiście. — Tara ukryła uśmiech.

— Ale nie jest źle. — Przynajmniej miała na tyle przyzwoitości, by to przyznać.

W połowie lutego doszły ich słuchy, że Thomas ma nową dziewczynę. Była nią Marcy, kobieta, która na urodzinowym przyjęciu Eddiego twierdziła, że chce zająć w ciąży z anonimowym dawcą spermy.

— Wszystko pasuje — powiedziała dzielnie Tara. — Musi być naprawdę zdesperowana. — Mimo że wszyscy przytaknęli, poczuła się gorzej. — Zazdrość mnie skręca — przyznała z napięciem. — Myślę tylko o tym, jaki kiedyś był dla mnie miły.

— Nigdy nie był dla ciebie miły — usiłowała pocieszyć ją Katherine.

— Był, Katherine. Na początku był cudowny. Szalał za mną i zachowywał się, jakbym była ósmym cudem świata. Niby dlaczego miałabym z nim chodzić? I dlaczego byłabym z nim tak długo?

— Ty mi to powiedz.

— Bo robiłam wszystko, żeby było tak jak na początku. Wiem, że już się od tego uwolniłam, ale ciągle czuję, że on należy do mnie. A teraz jest kochany dla niej, a nie dla mnie.

— Zamieni jej życie w piekło.

— To mnie nie pociesza. To moje życie powinien zamieniać w piekło. — Tara ukryła twarz w dłoniach i jęknęła. — Jestem zmęczona tymi uczuciami. A najgorsze jest to, że jest taka cholernie chuda.

— Spoglądałaś ostatnio w lustro? — Katherine przyjrzała się wychudzonej i wysportowanej sylwetce Tary.

— Ona jest wiecznie chuda — wyszeptala Tara. — To po prostu chuda osoba. Ja jestem zwykłą oszustką i wkrótce znowu przytyję. — Następnie oznajmiła dziarsko: — To kolejna przeszkoda. Kiedy mi przejdzie, poczuję się lepiej. To oznacza tylko tyle, że nie ma powrotu — dodała ze smutkiem.

— Przecież nie chciałaś do niego wracać. — Sandro był zaszokowany.

— Nie, ale... Kiedy twój były poznał inną, koniec związku wkracza w nową fazę. — Uśmiechnęła się słabo. — To szok. Myśl, że on radzi sobie w życiu beze mnie, nie jest zbyt przyjemna.

— A ty radzisz sobie w życiu bez niego — pocieszyła ją Liv.

— Niezupełnie. Nikogo nie poznałam. Strasznie mnie wkurza, że mężczyźni błyskawicznie poznają kogoś nowego. Jemu zajęło to trzy miesiące. To bardzo niesprawiedliwe.

— Mogłabyś kogoś poznać, gdybyś była zdesperowana — zauważył Fintan. — W zeszłym miesiącu spałaś z dwoma facetami.

Tara zadrżała.

— Pijackie jednonocne przygody z dwoma najbrzydliwszymi mężczyznami na półkuli północnej. Człowiek-Słoń i brzydki brat Człowieka-Słonia. Spałam z nimi tylko po to, by dostać trochę czułości.

— O to właśnie chodzi. — Fintan był rozbawiony. — Kobiety śpią z mężczyznami dla czułości, mężczyźni są czuli dla kobiet, żeby się z nimi przespać.

— Przez jednonocne przygody czuję się jeszcze gorzej. Nie są tego warte — upierała się.

— Jak tam słodki Ravi? — spytał niewinnie Fintan.

— Ravi? Ravi z pracy? Ravi, który jest trzy lata młodszy ode mnie? Ravi, który całymi nocami gra w Nintendo? Ravi, który uważa, że *Szklana pułapka* to dokument? Ten Ravi? Ma się dobrze, Fintan, czemu pytasz?

— Po prostu jestem uprzejmy — burknął. — Nadal chodzi z Danielle?

— Nie, zerwali na gwiazdkę.

— Czyżby? — Fintan i Sandro tręcili się łokciami. — Czyżby? No więc jest wolny. Mogłabyś wziąć go pod uwagę.

Tara popatrzyła na niego ponuro.

— Jeśli kiedykolwiek o tym pomyślę, niech ktoś mnie zastrzeli.

*

Następnego dnia Tara wpadła na Amy w drzwiach do biura.

— Cześć — rozpromieniła się Amy. — Jak się masz? Sto lat cię nie widziałam. Od gwiazdki.

— O kurczę. — Tara ukryła twarz w dłoniach. — Właśnie sobie przypomniałam. Spotkałam cię tego straszego dnia, kiedy się urzęnęłam i rzygałam. Co za wstyd.

— Nie przejmuj się. Ja wtedy zatrułam się alkoholem, musieli mi zrobić zastrzyk w tyłek, żebym przestała wymiotować.

Tara roześmiała się z ulgą. Bardzo zazdrościła Amy prerafaelickiej urody i miło było przekonać się, że ta piękność jest człowiekiem.

— Naprawdę musimy się kiedyś umówić — ciągnęła Amy. — Chyba że zeszałaś się ze swoim facetem?

Tara przecząco pokręciła głową.

— Nie wiem, czy pamiętasz, ale mówiłam ci, że mój chłopak ma świetnego kumpla o imieniu Benjy. Założę się, że przypadlibyście sobie do gustu. Może się razem umówimy?

— OK. — Tara poczuła, jak ogarnia ją podniecenie. Może ten będzie w miarę przyzwoity. — Kiedy?

— Sobotni wieczór?

— Nie mogę. W następną sobotę?

— Zgoda.

— Miły jest ten Barney?

— Benjy. Kochany.

— Jeśli choć trochę przypomina twojego przyjaciela, musi być boski — stwierdziła Tara.
Odwróciła się zbyt szybko, żeby dostrzec niepokój na porcelanowym obliczu Amy.

69

— Po raz trzydziesty pierwszy coroczna nagroda za najlepszy zestaw molekuł wędruje do Katherine Casey. —
Joe uśmiechnął się do Katherine leżącej nago na jego łóżku. — Nie tylko na Ziemi — dodał. — W całym kosmosie.

— Musimy iść do pracy — powiedziała bez przekonania.

— Nigdzie nie pójdziesz, moja panno — oznajmił surowo. — Nie przed badaniem lekarskim.

Katherine zachichotała, a jej serce zabiło mocniej. Ta gra była ciekawsza, jeśli miało się na sobie ubranie, ale właściwie co za różnica?

— Jaki ma pani problem? — spytał ją z surowym wyrazem twarzy.

— Boli.

— Gdzie?

Machnęła ręką, a następnie wskazała brzuch.

— Tu.

— Proszę pokazać. Jestem zajęty, proszę pokazać dokładnie, gdzie.

— Tu. — Dotknęła się lekko i skrzywiła z zakłopotania i podniecenia.

Joe położył chłodną dłoń na jej wzgórku łonowym i dotknął go kciukiem.

— Tu?

— Niżej.

— Panno Casey, musi pani pokazać dokładnie.

Z zamkniętymi oczyma wzięła go za rękę i poprowadziła ją.

— Tu? — spytał.

— Jeszcze — jęknęła.

— Tu?

— Tak.

Jakiś czas później powiedziała stłumionym głosem:

— Teraz naprawdę musimy iść do pracy.

W drodze pod prysznic niemal potknęła się na ulotkach zalegających pod drzwiami. Poszła do łazienki, gdzie na parapecie stała uschła roślina, a jedynym szamponem był Head and Shoulders, a poza tym brakowało odżywkii.

Mieszkanie Joe okazało się na szczęście mieszkaniem samotnego mężczyzny. Katherine miała szczerzy zamiar je odmienić.

Wpadła do sypialni owinięta beżowym, wyleniałym ręcznikiem.

— Spóźnię się. Muszę wyprasować bluzkę. Joe usiłował zedrzeć z niej ręcznik.

— Nie — ofuknęła go. — Zostaw mnie i bierz prysznic, albo i ty się spóźnisz.

— Tak jest, proszę pani. Odtrącony podreptał do łazienki.

Była już ubrana, gdy wrócił i przyjrzał się jej jasnoniebieskiemu kostiumowi.

— Najpiękniejsza dziewczyna na świecie — powiedział cicho.

— Zakład, że piłeś carling black label — odparła, wpatrując się w jego krocze. — Ubierz się.

— OK — westchnął.

Wysuszyła włosy, zrobiła makijaż i zaczęła szperać w torebce.

— Joe, potrzebuję drobnych na metro.

— Proszę bardzo. — Odsunął połą marynarki i wystawił biodro.

— Nie — zachichotała. — Nie włożę ręki do kieszeni twoich spodni.

— Jeśli chcesz drobnych, będziesz musiała — uśmiechnął się.

Zawahała się przez jedną niezręczną chwilę, a następnie włożyła dłoń do jego kieszeni i skierowała ją do obciążonego monetami kącika. Straciła jednak zainteresowanie pieniędzmi, bo odnalazła coś innego. Natrafiła na podłużne, elastyczne zgrubienie, które nabrzmięwało, poruszało się, rozwijało i twardniało, pod wpływem jej dotyku budząc się do życia. Jej ręka zaczęła szukać i badać, poruszać się i...

— Nie! — wykrzyknęła. — W takim tempie nigdy nie dotrzemy do pracy.

Wyciągnęła garść drobnych, wybrała to, czego potrzebowała, i zwróciła mu resztę.

— Przepraszam — uśmiechnęła się niemądrze. — Później cię dopadnę.

— No i dobrze. Co powiesz na numerkę w męskiej toalecie?

— Nie.

— Ooo.

— Oszczędzałam to na twoje urodziny. Popsułeś mi niespodziankę.

— Naprawdę? — spytał ze zdumieniem. Nigdy nie wiedział, czy mówi poważnie, była taką dziwną mieszanką pruderii i rozwiązłości.

— Musisz poczekać do lipca, żeby się przekonać, prawda? — Zebrała swoje rzeczy. — Boże, ten telefon waży tonę.

Katherine odłączyła domowy aparat i zabrała go do Joe, na wypadek, gdyby pod jej nieobecność Tarze przyszło do głowy zadzwonić do Thomasa.

— Do zobaczenia w pracy. — Pocałowała go. — Daj mi dziesięć minut.

— Nie musisz mi tego powtarzać każdego ranka, Katherine — powiedział łagodnie. — Wiem. Wolałbym jednak, żebyśmy nie robili z tego tajemnicy. Czy ty się mnie wstydzisz? — Roześmiał się, ale w tym pytaniu krył się żal.

— Nie — zaprzeczyła gorąco. — Jasne, że się ciebie nie wstydzę. Po prostu nie lubię, kiedy ludzie znają moje sprawy. Muszę utrzymywać autorytet w pracy, a gdyby wiedzieli, że się z tobą bzykam, pomyśleliby, że jestem człowiekiem. I natychmiast zaczęliby mi podsuwać fikcyjne rachunki, przekraczać limity wydatków... — Zastanowiła się przez chwilę. Może była nieco zbyt spięta. A co, do cholery! — Dobrze, ale nie wchodźmy razem.

Spotykali się już od niemal pięciu miesięcy i jeśli chodzi o Katherine, każdy dzień przynosił kolejny cud. Gdyby tylko w listopadzie wiedziała, że w kwietniu wciąż będą razem! Mniej wartościowy mężczyzna uciekłyby z krzykiem od wszystkich dramatów w jej życiu, ale Joe tylko zakasał rękawy i zabrał się do roboty. Był naocznym świadkiem rozpaczyny Tary po Thomasie, wysłuchiwał jej rozpaczliwych opowieści i sędziował przy wieczornych szamotaninach, gdy Tara usiłowała wyrwać Katherine telefon.

Co ważniejsze, bardzo wspierał Katherine podczas wizyt u Fintana. Nigdy nie narzekał, że spędzała u niego tak dużo czasu, i sam chętnie tam chodził. Nawet nie narzekał, gdy przy pierwszym spotkaniu Fintana otwarcie z nim flirtował.

— Dziękuję — powiedziała, gdy odjechali.

— Za co?

— Za to, że się nie speszyłeś, kiedy cię uwodził.

— Za co tu dziękować? — zdziwił się. — Flirtuje ze mną przystojny facet. Pochlebia mi to.

— No to lepiej przywyknij. Chyba mu wpadłeś w oko.

Intensywność emocji i wydarzeń zadziałała jak szybkowar, więc Katherine oraz Joe w krótkim czasie bardzo się do siebie zbliżyli. Nigdy dotąd nie była w tak długim związku. Wiele czasu upłynęło, odkąd zaufała mężczyźnie tak bardzo jak jemu. Co nie znaczy, że szczególnie mu ufała.

— Ufam ci na tyle, by ci powiedzieć, że ci nie ufam — śmiała się.

— Dziękuję. — Mówił bardzo poważnie. — Nie śpiesz się. Ja mam czas, mnóstwo osób mi ufa.

Mimo że strzegła swojej przeszłości niczym drogocennego klejnotu, uznała w końcu, że nie musi aż tak bardzo kryć się ze swoim pochodzeniem. Wiedziała wszystko o jego rodzinie i jej milczenie, gdy tylko pojawiał się temat rodziców, wydawało się przesadą. Pewnego dnia posadziła Joe i opowiedziała mu o swojej szalonej matce i nieobecnym ojcu.

— Myślałam, że kogoś zamordowałaś! — wykrzyknął, kiedy po dramatycznej przerwie wyrzuciła to z siebie. — Dlaczego zachowujesz się tak, jakby to było coś wstydliviego?

— A nie jest?

— Jasne, że nie.

— Przecież jestem bękartem.

— Jesteś Katherine Casey — powiedział.

Mimo że po tej rewelacji ze zmęczenia musiała na dwie godziny położyć się do łóżka, zrobiła krok w kierunku życia wolnego od strachu. A Joe zaczął lepiej rozumieć, dlaczego jest, jaka jest.

70

— Zdarzyło się coś dziwnego — powiedziała Tara do Katherine.

— Co?

— Chyba przeszło mi z Thomasem.

— Świetnie. Tak musiało być. Jak mawia Joe: „Czas leczy rany”.

— Nie. Nie chodzi mi o to, że jest łatwiej — upierała się Tara. — Chodzi o to, że kiedy się obudziłam, nic nie poczułam.

Było inaczej niż w te poranki, kiedy się budziła i ból był nieobecny przez kilka sekund, lecz szybko się pojawiał niczym wywoływana fotografia, aż stawał się bardzo wyraźny.

— Minał jak podmuch wiatru — ciągnęła. — Mam wrażenie, że moje życie z nim należy do kogoś innego. To bardzo sensowne, że mi przeszło, bo na mnie nie zasługiwał.

— Przekonujesz przekonaną.

— Teraz mi go żal.

— Daj spokój.

— Ale, Katherine, on nigdy nie będzie szczęśliwy.

— No i dobrze. Niech szczęście idzie do miłszego faceta.

— Cokolwiek bym zrobiła i tak nie czułby się zadowolony. Gdybym schudła do czterdziestu kilo, nie podobałoby mu się we mnie coś innego. Nie chodziło o mnie. Chodziło o niego.

— Nie gadasz tak tylko, żeby gadać? — spytała ją podejrzliwie Katherine.

— Nie! Czy to nie wspaniałe? Chciałam paradować przed nim, żeby zobaczył, jaka jestem szczupła, a teraz mam gdzieś, czy kiedykolwiek się dowie. I mam gdzieś Marcy. Miałas absolutną rację, zamieni jej życie w piekło. Na pewno powtarza jej, że ciągle byłam niezadowolona — tak jak mnie mówił o swoich poprzednich dziewczynach — by czuła, że

nie może okazywać żadnych negatywnych emocji jak ja. Co mnie to obchodzi? Moje życie już nie jest piekłem i bardzo mi się to podoba!

Złapały się za ręce i odtańczyły radosny taniec.

— Nie mówię, że koniecznie chcę mieć dzieci, ale teraz przynajmniej mogę decydować, w przeciwieństwie do biednej Marcy. Lepiej by jej było z rożnem do drobiu — zamyśliła się Tara. — Dziękuję za wszystko, Katherine. Za goszczenie mnie — w weekend zacznę szukać mieszkania — i za to, że mnie znosiłaś. Przede wszystkim jednak dziękuję, że nie pozwoliłaś mi do niego zadzwonić ani go odwiedzić.

— O wiele lepiej, że nie miałaś z nim kontaktu — zgodziła się Katherine. — Inaczej tylko dłużej byś cierpiała i miała nadzieję.

— Mimo wszystko nie mogę w to uwierzyć — stwierdziła ze zdumieniem Tara. — Zostawiłam go zaledwie pięć miesięcy temu, a zawsze myślałam, że taka rozpacz ciągnie się latami, właściwie do momentu, w którym spotyka się innego. Tak było dotychczas — dodała.

— Wiem. — Katherine obserwowała niemal nie przerwany od dziesięciu lat łańcuch chłopaków Tary. — To nie cud. Wcześniej to przypominało sztafetę. Ledwie skończyłaś z jednym, już byłaś z drugim.

— Byłam aż tak okropna?

— O tak.

— Odkąd go zostawiłam, brakuje mi chłopaka — wyznała Tara. — Samotność jest okropna. No i, szczerze mówiąc, miałam dwie jednonocne przygody. — Zadrżała na samą myśl.

— Ale przynajmniej takie zostały. Nie zaczęłaś chodzić z żadnym z tych facetów.

— Bo byli gnojkami, a ja zmarnowałam dość czasu na gnojków. Nie chcę mieć z nimi nic wspólnego.

— Nie widzisz?! — wykrzyknęła z przejęciem Katherine.

— Dotąd nigdy się tak nie zachowywałaś. Wolałabyś umówić się z gnojkiem niż z nikim. Zmieniłaś się.

— Ty też.

— Wszystkie się zmieniłyśmy. Liv się zmieniła. Ty się zmieniłaś. Nawet ja się chyba zmieniłam. Dlaczego?

— Chyba z powodu Fintana, prawda? Katherine usiłowała znaleźć właściwe słowa.

— To ma coś wspólnego z jego chorobą. Wiem, że trudno ciągle pamiętać o chwytaniu dnia i życiu pełnią życia — przyznała ze skruchą. — Czasem jednak łatwo się zapomnieć i traktować wszystko jak oczywistość.

— Czasem patrzę na Fintana — przerwała jej Tara. — Jest taki młody, a tak dużo bliższy śmierci niż ja. Wtedy myślę, że przecież to mogłam być ja, i czuję... przez to... — Zawahała się, a potem uśmiechnęła z ulgą. — Chcę żyć lepszym życiem.

— No właśnie — rozpromieniła się Katherine i powtórzyła:

— Chcę żyć lepszym życiem.

— Powrót do Thomasa nie byłby lepszym życiem — dodała Tara. — Ani umawianie się z jakimś gówniarzem. Ale zakochanie się w Joe Rocie jest.

— Przepra...

— Wybacz, to nie moja sprawa. Nie całkiem się zmieniłaś — stwierdziła ze smutkiem Tara. — Chcesz coś wiedzieć?

— Co?

— Nie jestem pewna, czy kiedykolwiek kochałam Thomasa.

— To ma sens.

— A wiesz, dlaczego go nie kochałam?

— Dlaczego?

— Bo chyba nigdy nie pogodziłam się z odejściem Alasdaira. Zastanawiałam się i wiesz co?

— Co?

— Zadzwoń do Alasdaira.

Katherine ścisnęło się serce. Wiedziała, że to wszystko było zbyt piękne, by mogło być prawdziwe. A już miała oddać Tarze jej komórkę. Na szczęście do tego nie doszło.

— Jest żonaty — zauważyła. — Już od lat nie mieliście kontaktu.

— Och, nie sądzę, żebyśmy się zeszli — powiedziała lekko Tara. — Po prostu chcę postawić kropkę nad i. Kiedy mam to zrobić, jeśli nie teraz, gdy noszę rozmiar dziesiąty?

Katherine wydawała się bardzo zaniepokojona.

— Nie przejmuj się — uspokajała ją Tara. — Nawet gdybym rozpaczliwie potrzebowała mężczyzny — a tak nie jest — w sobotni wieczór idę na randkę. Mówiłam ci o tej dziewczynie z pracy, jej chłopak ma przyjaciela.

— Nie miałaś iść na tę randkę wieki temu?

— Tak, ale ona zachorowała na grypę, potem ja byłam zajęta, ale w tę sobotę naprawdę już idziemy.

Katherine modliła się, żeby Tara zapomniała o spotkaniu z Alasdaiem albo żeby go nie odnalazła. Ku jej konsternacji Tara jednak oznajmiła, że już z nim rozmawiała, że nadal pracował w tym samym miejscu i że umówili się w czwartek po pracy na drinka.

O wpół do dziesiątej w czwartek Joe i Katherine oglądali telewizję i popijali wino, kiedy weszła Tara.

— No i?

— Jest gruby, łysiejący i absolutnie szczęśliwy. Mają małego synka, a żona spodziewa się drugiego dziecka w sierpniu.

— Rozumiem.

— Skłamałabym ci, Katherine, gdybym powiedziała, że gdzieś w głębi duszy nie miałam odrobiny nadziei.

— Niemożliwe.

— Nawet nie wiedziałam, dopóki go nie zobaczyłam.

— No właśnie.

— Chciałam też poznać kilka odpowiedzi. Jak mógł ze mną chodzić tak długo, a następnie odwrócić się na pięcie i błyskawicznie poślubić kogoś innego. Odparł, że nie potrafi tego wytłumaczyć. Powiedział, że kiedy poznał tę jak jej tam, czuł, że to jest to. Po prostu to wiedział.

Katherine i Joe nie patrzyli na siebie.

— Szkoda, że go nie widzieliście! — wykrzyknęła Tara. — Ledwie go poznałam. Wygląda jak czyjś ojciec. Alasdair pulchny! Pamiętacie, jaki był wiotki? Przepraszam, Joe, zapomniałam, że go nie znałeś, ale wierz mi na słowo, był chudy jak szczapa. A teraz ma oponkę na brzuchu. To pewnie ze szczęścia. Wy też trochę utyliście.

Oboje drgnęli zakłopotani.

— Powiedział, że świetnie wyglądam.

— Bo wyglądasz.

— Ale widziałam, że ma to gdzieś.

— No cóż.

— No więc znowu muszę iść przed siebie.

— Wspaniale.

— W najgorszym razie udawaj, że jesteś gejem — mądrzył się Lorcan. — Albo że nie jesteś pewien swojej orientacji seksualnej.

— Dlaczego? — spytał Benjy. Chyba nie tak powinien postępować człowiek, który chce zaciągnąć kobietę do łóżka.

— Dlatego — Lorcan westchnął nad głupotą Benjy'ego — że kobieta niczego bardziej nie pragnie, niż wierzyć w to, że to właśnie ona wyleczyła mężczyznę z homoseksualizmu. To prawdziwe wyzwanie i łechce próżność. Zaciągnie cię do łóżka i będzie się dopytywała: „Dobrze ci, dobrze ci?“, a kiedy ją przedmuchaś, zamiast się zadręczać, uzna to za swoje zwycięstwo.

— Skoro tak twierdzisz. — Benjy miał wątpliwości. W jego wypadku rady Lorcana nigdy się nie sprawdzały. Ciągle drżał na wspomnienie imprezy sprzed tygodnia, kiedy Lorcan pożyczył mu swoją wyjątkową, popsutą zapalniczkę. Zamiast zachwycić się bezbronnością Benjy'ego i jego wystudiowanym przerażeniem, gdy zapalniczka nie zadziałała, dziewczyna parsknęła tylko: „Frajer“ i natychmiast się odwróciła.

Lorcan wychylił się i wrzasnął do Amy, która przygotowywała się w sypialni:

— Opowiedz nam więcej o tej Tarze! Jest, eee, pulchna, tak?

— Tak. Chociaż nie tak pulchna jak kiedyś. Właściwie, skoro już o tym mowa, to chyba w ogóle nie. I jest naprawdę ładna...

— Wszystko jedno — mruknął niecierpliwie i zamknął drzwi od salonu. Nie chciał, żeby Amy go słyszała. — No więc to grubaska.

— Amy właśnie powiedziała, że nie.

— Stara się być miła i zaprezentować ją w dobrym świetle. Tak czy owak, masz szczęście, Benjy, mój stary.

— Mam szczęście? — Benjy nie czuł się zbyt uszczęśliwiony swataniem z grubaską.

— Tak. Mam pewną technikę, usłyszysz ją wprost z ust mistrza. Słuchaj, Benjy, oto co zrobisz. Nie ma potrzeby mówić tej Tarze: „Ej, gruba jesteś! Wypieprzę cię z litości!“ Ona wie, że jest gruba, ty też to wiesz, prawda? Zamiast jednak poradzić jej, żeby zrzuciła kilkadziesiąt kilo, narzekaj na kobiety, które chcą być chude. Rozumiesz?

Benjy ostrożnie pokiwał głową.

— Powiesz jej jakby od niechcenia, jakby to nie miało nic wspólnego z jej opiętymi ciuchami, powiesz, że to nieprawda, że mężczyźni lubią szczupłe kobiety. Powiesz, że nigdy nie słyszałeś, aby mężczyźni mówili między sobą: „Była cudowna, taka chuda, wszystkie zebra jej wystawały jak szkieletowi albo zagłodzonemu psu, niemal pokaleczyłem się o jej kości miednicy, dostałem erekcji od samego patrzenia“. *Compris?*

Benjy potwierdził.

— A potem — znowu w niezobowiązującej rozmowie — zaczniesz uskarżać się na modelki. Powiesz, że żaden prawdziwy mężczyzna nie chciałby kobiety o wyglądzie nastoletniej anorektyczki. Wspomnij o Jody Kidd. Rzecz jasna, obaj wiemy, że noc z Jody Kidd byłaby szczytem marzeń, ale nie ma potrzeby mówić o tym grubasowi Tarze. Bo zanim się zorientujesz, grubas Tara pomyśli, że umarła i trafiła do nieba, i chętnie obdarzy cię swoimi wdziękami.

— Jezu, jesteś niewiarygodny. W ogóle nie masz zasad.

— Dzięki. — Lorcan wzruszył ramionami i powiedział skromnie: — Nie przesadzaj. Od czego są przyjaciele?

— Jest tylko jeden problem — wyznał zakłopotany Benjy. — Nie wiem, czy chciałbym grubą dziewczynę.

— Grube dziewczyny mają swoje dobre strony. Co ci zawsze powtarzam?

— Żeby pytać kobiety, jakiego szamponu używają?

— A poza tym?

Benjy nie wiedział i Lorcan wybuchnął:

— Czy nie powtarzam ci do znudzenia, że grubaski bardziej się starają?

— No tak, oczywiście.

— Czuję, że tylko tracę z tobą czas, Benjy.

— Przepraszam.

— Czy ty w ogóle słuchasz, co do ciebie mówię?

— Słucham. Słucham. Przepraszam.

— Dobrze, jesteś w porządku. Starasz się. Teraz przekażę ci jeszcze jedną perełkę — a niewiele osób to wie — grubaski są bardzo przyjemne w dotyku.

— Przespałbyś się z grubaską? — spytał z nadzieją Benjy. Jeśli Lorcan, jego bohater i mentor, zrobiłby to, może nie było to takie okropne.

— No pewnie — odparł Lorcan wspaniałomyślnie. — Pewnie, że tak. Ale nie pokazałbym się z nią publicznie — dodał. — Jednak w zaciszu domowym nie miałbym problemu z zabawą w nurzanie kielbacy.

— Jasne. Może ta Tara będzie ładna. — Benjy poczuł przyływ dzikiej nadziei.

— Tak. — Lorcan z zadumą zmrużył oczy. — Może będzie ładna.

Lorcan poszedł do łazienki, aby się przygotować. Czuł dziwne przygnębienie. Co się z nim działo? Od pół roku miał nietypowe i zatrważające myśli, a pomaganie Benjy'emu nie sprawiało mu już takiej frajdy jak kiedyś. Brakowało mu chęci i zapału. Nadal fatalnie traktował Amy, doprowadzał ją do szaleństwa lekceważeniem lub demonstracyjnymi flirtami z innymi. Jednak nie było to już tak przyjemne jak dawniej. Zawsze wybuchał śmiechem na myśl o ponownym ustatkowaniu się albo, co gorsza, dzieciach, ostatnio jednak czasem w jego głowie pojawiała się nagła myśl o malutkim Lorcaniátku. I może malutkiej córeczce. Kto wie?

Zbliżał się do czterdziestki. Westchnął. Kryzys wieku średniego.

Z rozmachem przeciągnął szczotką Amy po żywotnych, jedwabistych włosach i od razu mu się poprawiło. Włosy nigdy go nie zawiodły. Przez chwilę bawił się w jedną ze swoich ulubionych gier, mianowicie przejeżdżał szczotką do samych końcówek włosów, wyciągając je jak najmocniej, a następnie odrywał szczotkę i patrzył, jak rude pasma zwijają się z radosną elastycznością do pozycji wyjściowej. Nigdy go to nie nudziło.

Zabawił się jeszcze trochę w napuszanie, głaskanie, pieszczenie i poklepywanie, lecz nagle ujrzał coś, od czego krew ścięła mu się w żyłach. Na szczotce zostały włosy. Mnóstwo włosów. Rudych włosów. Jego włosów.

Szczotka wypadła z jego nieruchomej ręki, kiedy gorączkowo badał swoją chlubę. Wszyscy gubili włosy, ale czy włosy na szczotce nie sygnalizowały poważniejszych problemów? Wyjątkowo skrupulatnie zbadał palcami czaszkę i ku swemu przerażeniu stwierdził, że na jej szczycie było ich mniej niż kiedyś. Tracił włosy! Przed oczyma ujrzał czarne plamy. Nie mógł — zakrztusił się na samą myśl — wyłysieć. Potrzebował włosów. Zwłaszcza do celów zawodowych. Wyglądało jednak na to, że wszystko dobiega końca — i to jeszcze zanim się zaczęło.

Wkroczył na wyższy poziom strachu i przypomniał sobie swojego ojca. Wcześniej wyłysiał, co nie miało znaczenia, gdyż był listonoszem. Lorcan jednak był aktorem o międzynarodowej renomie. Jego wygląd równał się jego zarobkom. Zastanawiał się, co zrobi, kiedy wyłysieje na czubku głowy. Zostawi długie włosy à la Michael Bolton? A może ogoli głowę i będzie całkiem łysy jak Grant Mitchell?

Oszalały, niemal we łzach, zerknął do lustra. Od razu zaczął się zastanawiać, czym się tak przejmował. Wciąż miał mnóstwo włosów. Tony. Pięknych i puszystych, pociągających i podniecających. Szampon zwiększający objętość.

Tego mu było trzeba. Fala nad czołem. No i był jeszcze włos w płynie Welli. Lorcan tylko czekał na pretekst, by go użyć. Właśnie miał okazję.

Wycelował palec w lustro, mrugnął, strzelił językiem i z ciepłym, przychylnym uśmiechem nakazał sobie:

— Nie zmieniaj się.

— Jak wyglądam? — Tara, smukła i seksy w obcisłym kombinezonie, przemaszerowała przed Katherine i Joe.

— Świetnie, Tara...

— Może ten Benjy jest miły? — zastanawiała się.

— Tara, coś się stało. Kiedy byłaś pod prysznicem, dzwonił Sandro w sprawie Fintana.

— O Boże. — Tara opadła na fotel.

— Nie, to dobra wiadomość. Tara znieruchomiała.

— Naprawdę dobra wiadomość. Powiedział, że wczoraj nastąpiła znacząca redukcja guzów.

Tara zamarła, nie odrywając palców od twarzy.

— Mówi, że ten na szyi zmniejszył się o połowę, a te w trzustce trudno wyczuć.

— Dzięki Bogu — zaśmiała się Tara przez łyży. — Najwyższy czas, cholerne pół roku chemioterapii. Co ze szpi-kiem kostnym i klatką piersiową?

— Trzeba zrobić więcej badań, ale jeśli poprawił się stan węzłów chłonnych, możemy zakładać, że gdzie indziej też jest lepiej.

— Nie wierzę — oddychała ciężko przez łyży. — Nie wierzę. Nie wierzę. Tak dawno nie zdarzyło się nic dobrego, byłam już całkiem pewna, że... no wiecie, nie ma na co... no wiecie, liczyć.

— Wiem.

— Prawie się pogodziłam... Nie, nie pogodziłam — poprawiła się pośpiesznie. — Gdyby jednak mu się nie poprawiło, to nie byłby taki szok, rozumiesz.

Katherine skinęła głową.

— To cudownie! — Oczy Tary lśniły od łez.

— Chyba nie powinniśmy się za bardzo cieszyć — powiedziała ostrożnie Katherine. — To taka nieprzewidywalna choroba.

— Daj spokój, trochę możemy się cieszyć. Pójdziemy teraz do niego?

— Nie. — Katherine ledwie skrywała zniecierpliwienie. — Jutro go zobaczymy. Idź na randkę i baw się dobrze.

Chciała jak najszybciej pozbyć się Tary, gdyż już od wczoraj pragnęła porozmawiać o czymś z Joe.

— OK, do zobaczenia później.

— Baw się dobrze. Pa.

Trzasnęły drzwi.

— Joe?

— Hm?

— Czy-coś-się-wydarzyło-między-tobą-a-Angie? Angie z pracy?

Katherine poczuła, jak znieruchomiał, jakby krew zatrzymała się w jego żyłach, następnie poruszył się i wyprostował. Patrzył na nią ze smutną miną.

— Nie musisz mi mówić — skłamała pośpiesznie. — To nie moja sprawa, ale wczoraj widziała, jak weszliśmy razem, i zapytała, czy się z tobą spotykam. Zaprzeczyłam, ale wydawała się przygnębiona. Więc... Zastanawiałam się, czy coś was łączyło? A łączyło?

Patrzył na nią z niewypowiedzianą czułością, a następnie zamarł, jakby z bólu. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, a ona modliła się, żeby zaprzeczył.

— Tak.

Poczuła, jak na jej piersi osiada coś bardzo ciężkiego. Nie przesadzaj, błagała samą siebie. Nie zamieniaj się w histeryczkę.

— Jak długo? — Jej serce waliło jak młotem. — To znaczy, co się... Chciałam zapytać, czy długo się spotykaliście? Byłeś zakochany?

— Nie — odparł ze znużeniem. — Nic podobnego. To była jedna noc.

Jedna noc wystarczy, pomyślała i poczuła szarpiącą zazdrość. Przypomniała się jej wspaniała figura Angie. Miała ochotę zabić Joe. Najgorsze, że przeczuwała, która to była noc. Dzień po tym, jak oskarżyła go o molestowanie, poszedł na drinka z Angie, a następnego ranka pojawił się w pracy w tym samym garniturze. Wtedy miała złe przecucia, teraz jeszcze gorsze. Przez pięć miesięcy wielokrotnie myślała o tym, żeby spytać Joe, co się stało, ale nie odważyła się z obawy, że usłyszy coś, co jej się nie spodoba. Widząc przygnębienie Angie, nie miała jednak wyboru.

— Nie powinienem — powiedział bezradnie Joe. — Zazwyczaj nie robię takich rzeczy. Jestem człowiekiem i zdarzają mi się pomyłki.

— Z pewnością Angie Hiller nie ucieszyłaby się na wieść, że nazywasz ją pomyłką — odparła z wyższością.

— Nie, nie o to mi chodziło. Jednak związek z nią był pomyłką.

— Związek? Myślałam, że to tylko jedna noc.

— Bo tak było.

— Musiała być bardzo gorąca, skoro mówisz o... — nabrała powietrza, zanim wypluła jadownicę — związku.

— To tylko słowo. Najwyraźniej niewłaściwe.

Katherine wstrzymała oddech, czekając, aż powie, że tylko pocałował Angie i spał na kanapie albo że był zbyt pijany na seks. Nie zrobił tego jednak, więc spytała:

— Spałeś z nią?

— Tak.

— Chodzi mi o to, czy uprawiałeś z nią seks? — Pomyślała, że zaraz zwymiotuje.

Skinął głową.

Zrobiło się jej jeszcze bardziej niedobrze.

— A potem łączyłeś i kazałeś wszystkim nazywać ją Gillette. Bardzo dojrzałe, Joe.

— Nieprawda. — Wydawał się zaniepokojony i zdegustowany. — Nie wiem, kto to zaczął, pewnie Myles, ale to nie ma ze mną nic wspólnego.

— No to łąziłeś i opowiadałeś wszystkim, że ją wypieprzyłeś. Bardzo miło, Joe!

— Nikomu nie mówiłem. To Angie powiedziała Mylesowi, skoro musisz wiedzieć.

— Widziałeś się z nią później?

— Nie w taki sposób. Następnego ranka rozmawialiśmy o tym, wyjaśniłem, że mi przykro i że to się więcej nie powtórzy.

— Myślisz, że jak się wtedy poczuła?! — Zalała ją fala wściekłości. — Zaciągnąłeś ją do łóżka, przeleciałeś, a potem stwierdziłeś, że raz wystarczy. Dżentelmen.

— Przykro mi — powiedział.

— Niby czemu? — spytała lodowato. — Jesteś wolny,

— Nie zachowuj się tak — poprosił cicho.

— Jak?

— Dlaczego jesteś taka wściekła? Wtedy się nie spotykaliśmy. To było tuż po tym, jak oskarżyłaś mnie o molestowanie seksualne...

Wiem, chciała krzyknąć.

— ...myślałem, że ci na mnie w ogóle nie zależy. Szczerze mówiąc, Katherine, byłem naprawdę zły...

— I żeby sobie z tym poradzić, przespałeś się z inną kobietą. Typowy mężczyzna.

— To nie powinno było się zdarzyć — powtórzył. — Żałuję, że to zrobiłem. To kiepskie usprawiedliwienie, ale byłem pijany i zły. Źle funkcjonowałem, pomyliłem się, popełniłem błąd. To się zdarza.

Zacisnęła usta.

— Każdy ma jakąś przeszłość — dodał łagodnie. — Nikt nie wchodzi w związek z czystą kartą.

Nadal milczała. Nagle przerwała ciszę.

— Dlaczego mi nie powiedziałaś? — warknęła.

— Usiłowałem. Ale ty mówiłaś, że nie chcesz rozmawiać o poprzednich romansach, pamiętasz?

— Tak, ale... Chodziło mi o to, że nie chciałam opowiadać o swoich. Chciałam wiedzieć wszystko o twoich.

— To nie fair, prawda, Katherine?

— Opowiedziałeś mi o Lindsay. — Postanowiła zmienić taktykę. — Skoro opowiedziałeś mi o Lindsay, dlaczego nie wspomniałeś o Angie?

— Usiłowałem! — krzyknął. — Mówiłaś, że potrzebujesz czasu i że trudno ci komuś zaufać. Uszanowałem to. Nie chciałem niczego forsować ani wystraszyć cię tempem...

— Wiesz, jak się czuję? — przerwała. — Dzień za dniem chodziłam do pracy, a teraz dowiaduję się, że Angie Hiller miała niezły ubaw, bo przespała się z moim chłopakiem.

— Przecież ona o nas nie wie. Niby z czego miałyby się śmiać? To ty jesteś moją dziewczyną, nie Angie.

— Och, mnie się trafiło ziarno, tak? — prychnęła.

Zdawała sobie sprawę, że straciła nad sobą kontrolę, że za chwilę wszystko może zepsuć, ale nie potrafiła się powstrzymać. Słyszała gorzkie, ostre słowa, które wylewały się z jej ust, ale nie potrafiła ich zatrzymać.

— Katherine — westchnął Joe. — Jeśli masz obawy, że to się kiedykolwiek powtórzy albo że będę ci niewierny, bardzo się mylisz. Nie mówię tak dlatego, że jesteś na mnie zła, ale czuję do ciebie... — Urwał. Wydawało mu się, że usłyszał chrobot klucza w zamku. Chwilę później do pokoju wpadła Tara z małą armią ludzi. Ścisnęło mu się serce. Pomyślał, że im szybciej Tara znajdzie własne mieszkanie, tym lepiej.

Kiedy Joe usiłował przybrać niefrasobliwą minę dla gości, Tara paplała entuzjastycznie, wskazując trzy osoby za sobą:

— Właśnie wtedy przechodziliśmy i pomyślałam, że może miło będzie poznać się osobiście. To Amy z mojej pracy, a to Benjy... — Umilkła i wyszeptwała bezgłośnie: „Mój facet”, a następnie dyskretnie złapała się za brzuch i przewróciła oczyma, udając, że wymiotuje. — A to...

Nagle Joe przeżył szok. Rozpoznał trzecią osobę. Nie można jej było nie rozpoznać. Niemał wypełniała cały pokój szerokimi ramionami, wzrostem i długimi rudymi włosami. To był ten rozwydrzony aktor z reklamy masła, jakiś tam Lorcan.

Lorcan także najwyraźniej rozpoznał Joe, gdyż przerwał to przedstawianie zdumionym okrzykiem:

— Ja cię znam!

Joe westchnął i przygotował się na nieprzyjemności. W tej samej chwili poczuł niewytłumaczalny strach. Podążył wzrokiem za spojrzeniem gościa i uświadomił sobie, że Lorcan nie mówił do niego. Mówił do Katherine.

73

Katherine była blada jak ściana.

— Witaj — powiedziała słabo.

— Cześć — uśmiechnął się Lorcan i pstryknął palcami, próbując przywołać w pamięci jej imię. Nie mógł sobie przypomnieć, skąd ją znał, ale podejrzewał, że kiedyś w przeszłości musieli uprawiać seks. Ależ był z niego ogier!

Tara urwała radosną przemowę, gdy się zorientowała, że dzieje się coś dziwnego, że to nie ona jest w centrum zainteresowania.

— Znacie się? — zapytała ze zdumieniem, przenosząc wzrok z Katherine na Lorcana i z powrotem.

— Najwyraźniej tak. — Lorcan uśmiechnął się poufale do Katherine. — Znamy się?

Kiwnęła głową.

Właśnie wtedy, bez określonego powodu, nastrój w mieszkaniu się zmienił. Przestraszony Joe siedział nieruchomo na sofie. Na środku pokoju stali Benjy, Amy i Tara, milcząc i bez uśmiechu. Z Katherine emanowało coś zupełnie nieznanego.

— Nie rozpoznałem cię w ubraniu — odezwała się radośnie Tara, rozpaczliwie pragnąc pozbyć się ciężkiej, złowrogiej atmosfery. Najwyraźniej jednak trafiła kulą w płot, wszyscy spoważnieli jeszcze bardziej. Za sobą Tara wyczuwała strach Amy. Był niemal namacalny.

— Jesteś... ach... hm... — Lorcan usiłował przypomnieć sobie imię dziewczyny. Jessica? Inez? Mary? Chryste, to mogło być jakiegokolwiek imię. Nieśmiertelne „kochanie” wiele razy ocaliło mu skórę, zwłaszcza rankami, gdy się budził i nie pamiętał imienia leżącej obok kobiety, ale teraz nie mógł się tym posłużyć. Skąd właściwie ją znał, do cholery?! — Mam beznadziejną pamięć do imion. — Uśmiechnął się przepaszająco, patrząc na oszołomioną Katherine. Właściwie nawet mu się podobała, chętnie odświeżyłby sobie pamięć.

Mimo szoku Katherine była wściekła na siebie. Ile razy modliła się o chwilę, w której spotka go ponownie i uda, że nie ma pojęcia, kim jest? Ile lat ćwiczyła sprowadzanie dorosłych mężczyzn do poziomu przestraszonych dzieci tylko po to, by w odpowiednim czasie potraktować tak jego? Teraz nie potrafiła nawet unieść głowy z oparcia sofy.

Jeszcze gorsze od fizycznej słabości było pragnienie, by ją pamiętał. Drżąc, czekała, chciała, żeby przynajmniej pamiętał jej imię. Jednak to było tak dawno temu...

— Katherine — wyszeptwała.

Z olśniewającym uśmiechem piasnął dłonią o czoło.

— Oczywiście, Katherine, teraz sobie przypominam.

— Katherine przez K — dodała cicho.

— Zgadza się, Katherine przez... — Nagle urwał, a cała krew odpłynęła z jego twarzy. Właśnie sobie przypomniał, kim była. Chryste! Natychmiast pożałował, że mówił, że ją sobie przypomina. — Inaczej wyglądasz — wykrztusił.

— To było dawno temu.

— Właśnie, prawda? Co najmniej, niech sobie przypomnę, siedem lat.

— Dwanaście i pół — powiedziała, zanim zdołała pomyśleć i natychmiast się za to znenawidziła. Jak mogła być tak przeźroczyta?

— Widzę, że liczyłaś. — Lorcan roześmiał się nerwowo. Bardzo, bardzo pragnął stąd wyjść, więc ruszył ku drzwiom. Nagle jednak zauważył mężczyznę siedzącego obok Katherine przez K. Chryste Panie, co się tutaj działo? To był ten śliczny dyrektor, który wyrzucił go z planu reklamy masła. W nagłym przypływie paranoi Lorcan zaczął się zastanawiać, czy to jakaś pułapka. Jakiś sąd albo przedstawienie? W końcu dopadła go przeszłość? Czy w sypialni kryło się jeszcze kilka wkurzonych kobiet i niezadowolonych byłych współpracowników? Ostro nakazał sobie przestać wymyślać głupoty. Przypadek. Nic poza tym.

— Ejże. — Usiłował ukryć niepokój pod głośnym, pogardliwym śmiechem. — To Joe, Joe Roth.

— Lowelas Gnidorkan? — Joe skinął mu głową wrogo, chociaż uprzejmie. — Co za niespodzianka.

— Mam na imię Lorcan.

— A jak powiedziałem? — Jego niewinny ton nikogo nie zwiódł.

W oku Lorcana pojawił się błysk. Nie zapomniał upokorzenia w dniu kręcenia reklamy, biedy, w której żył, i kariery pozostającej w uśpieniu.

— Czy wy dwoje...? — Lorcan powoli poruszał palcem między Katherine i Joem.

— My dwoje co? — spytał Joe.

— Chodźcie ze sobą?

— A co cię to obchodzi? — zapytał uprzejmie Joe.

— Nie mów, że jesteście małżeństwem — roześmiał się Lorcan.

— Nie jesteśmy — powiedziała Katherine cienkim, roztargnionym głosem.

— Świetnie! — stwierdził radośnie Lorcan. Ku ogólnej konsternacji usiadł po drugiej stronie Katherine i bardzo powoli pocałował ją w policzek. — Czyli wciąż mogę mieć nadzieję.

Amy wydała z siebie cienki, pełen bólu pisk.

— Słuchaj no... — zaczął ze złością Joe.

Wtedy jednak, na oczach wszystkich pełnych niedowierzania osób, Katherine odwróciła się plecami do Joe i jak kwiat do słońca wystawiła twarz do Lorcana.

Nigdy nie potrafiła mu się oprzeć i nie zamierzała uczyć się tego teraz.

Miała niemal dziewiętnaście lat, stała przy barze w Limerick i rozmawiała z ożywieniem z kobietą z pracy, kiedy Lorcan dostrzegł ją po raz pierwszy. Czuł się znudzony i zirytowany, jak kot bez ptaszka, ale nagle nuda minęła.

— Spójrz na tę małą ślicznotkę. — Trącił łokciem swojego przyjaciela, Jacka.

— Nie jest w twoim typie — stwierdził ze zdumieniem Jack.

— To dziewczyna — zauważył Lorcan. — Czyli jest w moim typie. Kryj mnie, wkraczam do akcji.

Kiedy Delores, kobieta, z którą przyszła, poszła po papierosy, Katherine ze zdumieniem usłyszała aksamitny, czekoladowy głos, który pytał intymnie:

— Bolało?

Zdumiona odwróciła się. I spojrzała w twarz najpiękniejszemu mężczyźnie, jakiego widziała w swoim — dość skrytym — życiu. Opierał się łokciem o bar, uśmiechał się do niej i peszył ją czystym podziwem.

— Co bolało?

Milcząc, wpatrywał się w nią oczyma koloru sherry.

— Kiedy spadłaś tu z nieba.

Zarumieniła się i zaczęła zastanawiać, czy jest „czarowana”. Jeśli tak, zdarzyło się to pierwszy raz.

— Nie jestem z nieba. Jestem z Knockavoy. — Zawsze wiedziała, że nie jest szczególnie bystra, ale i tak była gorzko rozczarowana swoją odpowiedzią.

— Fantastyczne — roześmiał się Lorcan. — Nie jestem z nieba, jestem z Knockavoy. Niezły tekst.

Katherine czuła, że rozgrzewa ją nie znane dotąd uczucie. — Jak masz na imię? — spytał cicho Lorcan.

— Katherine. Katherine przez K — dodała z powagą, która go oczarowała.

— A ja jestem Lorcan. Lorcan przez L. Zachichotała rozbawiona tą odpowiedzią.

— Trudno, żebyś był Lorcanem przez K. Chyba że — dodała z zadumą — chyba że to nieme K.

Znowu zachichotała, a Lorcan popatrzył na jej drobne, białe ząbki, świetlistą, nie umalowaną twarz, proste, lśniące włosy, poważną minę małej dziewczynki i poczuł przypływ dawnych emocji. Wiedział, że będzie musiał delikatnie poprowadzić sprawę, gdyż była w niej pewna czystość, pewna nieskazitelność. Nie tylko w wyglądzie, ale i w zachowaniu: żadnego kokietyjnego opuszczania powiek, żadnych dwuznaczności, żadnego wydymania warg. Bardzo go pociągała ta cnotliwa otoczka. Bardzo chciał ją skalać.

— Powiedz mi, Katherine przez K, co cię sprowadza do Limerick?

— Chcę zostać księgową — oznajmiła z dumą.

Udało mu się utrzymać pełen zainteresowania wyraz twarzy, gdy ją wypytywał, i dowiedział się o niej wszystkiego. Że dostała dobre stopnie na maturze, że była w Limerick od dziewięciu miesięcy, ile miała szczęścia, że dostała się do Good and Elder, że mieszkała w ładnej kawalerce z własnym czajnikiem, że tęskniła za swoimi przyjaciółmi w Knockavoy, Tarą i Fintanem, i czasem dzwoniła do nich z pracy, i że jeździła do domu co drugi weekend.

— Dlaczego nie przyjadą do pracy w Limerick? — spytał bardzo przejęty Lorcan.

— Mają pracę w hotelu. Oszczędzają na wyjazd za granicę.

— Mam nadzieję, że przynajmniej przyjeżdżają do ciebie z wizytą.

— Raczej nie — wyjaśniła z zakłopotaniem. — Oni muszą pracować w większość sobotnich wieczorów, ja pracuję w tygodniu, a uczyć się wieczorami, więc to nie miałyby sensu.

— A ludzie, z którymi pracujesz? Są mili?

— O tak. — Katherine rozejrzała się wokół i konspiracyjnie zniżyła głos. — Tyle że trochę starzy.

— Więc nie masz tu zbyt wielu przyjaciół?

— Chyba nie.

To nie powstrzymało jej od przedstawienia Lorcana gromadzie starych pierdzieli, z którymi przyszła, i przez całe wieki musiał z nimi rozmawiać. Kiedy nie mógł już tego wytrzymać, pochylił się do jej ucha:

— Może uciekniemy — wyszeptał — i pójdziemy gdzieś, gdzie będziemy mogli normalnie pogadać? — Już na ulicy zaproponował od niechcienia: — Chodźmy do ciebie.

Katherine przystanąła. Czy brał ją za jakąś tępą wieśniaczkę?

— Nie — odparła stanowczo. — Pójdziemy do innego baru. Lorcan wybuchnął śmiechem.

— Nie dasz sobie w kaszę dmuchać, Katherine przez K. Ostrożność jest ze wszech miar wskazana, ale możesz mi zaufać.

— To ty tak twierdzisz.

— Wyglądam na gwałciciela? — zapytał głosem pełnym urażonej niewinności, rozkładając szeroko ręce.

— A skąd mam wiedzieć, jak wygląda gwałciciel? — odburknęła.

Lorcan przystanął, położył duże dłonie na jej drobnych ramionach i przysunął się do niej.

— Nie skrzywdziłbym cię — wyznał żarliwie niskim, melodyjnym głosem. — Mówię poważnie.

Katherine była tak poruszona jego szczerością, że aż ją zatkało. Wierzyła mu. Obecność jego silnej męskości wydawała się taka naturalna, jakby towarzyszył jej od zawsze. Ostatni kawałek życiowej układanki znalazł się na swoim miejscu.

— No dobrze — pisnęła. — Możesz przyjść do mnie na herbatę, ale bez żadnych numerów.

Surowo pogroziła mu palcem, a Lorcan żartobliwie próbował go ugryźć. Katherine wybuchnęła śmiechem.

— No chodź. — Lorcan objął ją w talii i częściowo popychał, a częściowo ciągnął po chodniku.

— Poważnie. — Spojrzała mu twarz. — Żadnych numerów.

— Żadnych — zgodził się z uczuciem. Oczywiście numery były.

Gdy tylko podała mu filiżankę z herbatą, odstawił ją pośpiesznie na stosik podręczników do księgowości. Potem wziął filiżankę Katherine i także odstawił.

— Co robisz? — Jej głos drżał.

— Nie chciałem, żebyś rozlała herbatę.

— Nie rozleję.

— Mogłabyś. Trudno pić i całować się w tym samym czasie.

Przeraziła się. Więc jednak był gwałcicielem! Otworzyła usta, żeby zaprotestować, ale przyciągnął ją do siebie i otoczył silnymi rękoma. Następnie pochylił nad nią przystojną twarz, położył piękne usta na jej wargach i pocałował ją.

Przez pół sekundy czuła wstęt, ale zanim go odepchnęła, pojawiła się magia. Całowano ją już wcześniej, ale nigdy tak, a kiedy Lorcan się od niej oderwał, żałowała, że to się skończyło. Niechętnie otworzyła oczy, a całe jej ciało wychylało się ku niemu.

— Spotkamy się jutro, Katherine przez K?

— Dobrze — odparła bez tchu.

Kiedy zakonnice powtarzały, żeby nigdy nie nosiły lakierów do spódnicy, gdyż mężczyzna ujrzy odbicie ich majtek, nawet Katherine się ubawiła. Mimo to niektóre nauki Kościoła katolickiego mocno zapadły jej w pamięć. Nie przeszkadzało jej to, jak się prowadzili Tara i Fintan, ale ona zamierzała pozostać dziewicą aż do ślubu. Postanowiła, że nigdy nie pójdzie na całość z Lorcanem, była tego absolutnie pewna. Cieszyła się jednak, gdy ją całował. A całował.

Wszystkie wieczory spędzali razem, czasem chodzili do niego, ale głównie do niej. Tam leżeli na wąskim łóżku, całowali się godzinami, a podręczniki do księgowości pokrywały się kurzem. Były to długie, gorące, sondujące pocałunki, on leżał częściowo na niej. Jego ciężar jednocześnie budził w niej radość i trwogę, jego dłonie pieściły jej talię, a ciało zlewało się z ciałem.

Intensywny, dojrzały, męski zapach marynarki Lorcana, jedwabiste włosy pod jej rękami, jęki, kiedy dotykała jego karku, gorący, słodki nacisk ust — to wszystko bardzo na nią działało. Kiedy jednak usiłował rozpiąć jej stanik, przeraziła się: jego za bezczelność, a siebie, bo tego chciała. Zmusiła go, żeby przestał, odepchnęła go, usiadła, powiedziała, że nie jest taką dziewczyną i że ma się tak więcej nie zachowywać. Bardzo ją przeproszał.

Następnym razem jednak spróbował tego samego i Katherine zachowała się niczym anioł zemsty.

— Idź do domu — rozkazała mu.

Był zrozpaczony. Nawet się popłakał i przysiągł, że więcej tego nie zrobi.

— Chcę, żebyś poszedł — powtarzała nieugięcie. Poszedł zatem, a ona ryczała i myślała, że to już koniec.

Mimo że chodziła z nim tylko dwa tygodnie, nigdy nie czuła się równie opuszczona i samotna.

Jednak o siódmej rano następnego ranka rozległo się walenie do drzwi, a kiedy je otworzyła, blada i słaba po nieprzespanej nocy, ujrzała Lorcana, ucieleśnienie skruszonego cierpienia. Bez słowa rzucili się sobie w ramiona, a następnie Katherine zaprowadziła Lorcana do swojego łóżka. Kiedy rozpiął jej koszulę nocną, dotknął piersi i za pomocą zębów zamienił jej sutki w twarde, rozgrzane guzki, nie protestowała.

Choć wiedziała, że źle postępuje, uwielbiała to, co robił. Wstyd mieszał się z nieprzyzwoitym pożądaniem i za każdym razem chciała — ale nie mogła — powiedzieć Lorcanowi, by przestał jej dotykać. W końcu uspokoiła sumienie, decydując, że wszystko do pasa jest dozwolone. Wszyscy to robili. Tara pozwalała chłopcom macać się po piersiach, odkąd skończyła czternaście lat. Katherine uznała, że dopóki nie robili niczego na dole, była bezpieczna. Poza tym Lorcan za nią szalał. Uwielbiał w niej dosłownie wszystko.

Podczas jednej z intymnych rozmów, które odbywali między sesjami pocałunków, zapewnił ją, że jest wyjątkowa. Patrząc na nią znacząco spod przymkniętych powiek, powiedział:

— Zakładam się, że miałaś miliony chłopaków.

— Nie. — Była zbyt niedoświadczona, żeby kłamać. — Niewielu. Tylko dwóch.

— Teraz jestem zazdrosny — stwierdził ze wzburzeniem. Nie grał.

— Nie, nie bądź! — krzyknęła. — To tylko chłopcy, którzy przyjechali do Knockavoy na wakacje. Żaden z nich nie był... jak ty.

— Warto było na mnie poczekać? — zachichotał.

— Tak. — Właśnie tak uważała: Lorcan był jej nagrodą za dobre zachowanie. Cierpliwi biorą wszystko. — A ty miałaś dużo dziewczyn przede mną? — zapytała nieśmiało. Zesztywniała, bo domyślała się, że z pewnością miał ich wiele. Zwłaszcza że był siedem lat starszy od niej. I taki przystojny.

— Jedną czy dwie — wzruszył ramionami. — Nic ważnego.

W szeptanych rozmowach z biura Katherine powiedziała Tarze i Fintanowi, że ma chłopaka. Po paru tygodniach wyznała, że jest „fantastyczny”, że „szaleje za nim” i że on „szaleje za nią”. Kiedy przyjadą do Limerick, żeby mogła go im pokazać?

Żadne z nich nie mogło jednak pojawić się w ciągu najbliższego miesiąca, gdyż pracowali na nocne zmiany.

— Och. — Katherine była rozczarowana.

— Przepraszam. Bardzo nam przykro — powiedziała Tara.

— Strasznie chcemy go zobaczyć. Opowiedz nam raz jeszcze, jaki jest przystojny. Tak jak Danny Hartigan?

Katherine roześmiała się pogardliwie. Danny Hartigan był dwutygodniowym wakacyjnym chłopakiem Tary sprzed dwóch lat i służył jako wzorzec do porównań. Jednak w porównaniu z Lorcanem był wypierdkiem.

— O wiele przystojniejszy. Wygląda jak gwiazdor filmowy. Właściwie to jest aktorem.

— Trele morele. — Tara ledwie skrywała zazdrość. Aktor!

— Opowiadasz. To aktor! — wrzasnęła do Fintana. Gdy znowu się odezwała, mówiła już normalnie. — Znamy go? Widzieliśmy go w czymś?

— Może. — Katherine przepełniała duma. — Znasz tę reklamę płynu do zmiękczenia tkanin?

— Nie... mogę... uwierzyć — wykrztusiła Tara. — To chyba nie ten sędzia, który każe im zdjąć koszulki do prania? Jest BOSKI!

— Boski! — usłyszała z dala krzyk Fintana.

— Nie, to nie sędzia — przyznała Katherine. — To jeden z graczy, w prawym rogu na końcu boiska.

— Opanuj się, to nie sędzia — wyjaśniła Tara Fintanowi.

— Nie mogliście go nie zauważyć — powiedziała Katherine. — Biegnie i jest wielkie zbliżenie pleców... pamiętasz?

— Może — powiedziała z powątpiewaniem Tara.

— Ma rude włosy i jest naprawdę wysoki.

— Rudy! Nigdy o tym nie wspominałaś. Naprawdę wysoki? Jesteś pewna, że jest przystojny? Mnie się raczej kojarzy z Beakerem z *Muppet Show!*

— Nieprawda — prychnęła z oburzeniem Katherine.

— Przepraszam, nie chciałam mącić ci radości. Powiedz mi, to coś poważnego?

— O tak, tak mi się wydaje — odparła z przekonaniem.

— Rany boskie! Spróbuj wyciągnąć od niego zdjęcie i w piątek przyjdź do nas do hotelu, jak tylko wysiądziesz z autobusu.

— Nie mogę — wyjaśniła pośpiesznie Katherine. — Myślałam, że na ten weekend zostanę. Żeby być z nim, rozumiesz?

— Znowu?

Dzięki Lorcanowi czuła się nieprawdopodobnie. Kiedy ją całował, była rozgorączkowana, kiedy brał jej sutek w usta, myślała, że eksploduje. Czasem gdy zostawała sama, dotykała się przez majtki i zdumiewała tym dziwnym, podniecającym uczuciem. Choć od dość dawna nie była u spowiedzi, zastanawiała się, jak zdobędzie się na to, aby tam jeszcze pójść.

Przyszedł dzień, w którym jak zwykle leżeli na łóżku i całowali się namiętnie, kiedy nagle usłyszała dźwięk rozsuwanego zamka. Potem coś zaszeleściło, a Katherine ujrzała, że Lorcan ściąga dżinsy.

— Co robisz? — zapytała z niepokojem.

— Nic nie musisz robić — zapewnił ją ochryłym głosem, głaszcząc się. — Tylko go dotknij. Raz.

— Nie!

— Proszę. Spodoba ci się.

— To złe.

— Jak może być złe? Przecież się kochamy.

Pierwszy raz to usłyszała, ale była zachwycona. Chociaż wcale nie zamierzała ustąpić.

— Naprawdę nie powinniśmy...

— Powinniśmy. Kochamy się.

Drżąc, pozwoliła mu wziąć się za rękę i poprowadzić ją do penisa w erekcji. Zamknęła oczy i pisnęła, gdy jej palce dotknęły zdumiewająco gładkiej skóry. Nie dopuszczała do siebie myśli o twardości czy rozmiarze.

— Proszę bardzo — powiedziała i wyszarpnęła dłoń. — Mam nadzieję, że jesteś szczęśliwy, bo więcej tego nie zrobię.

Naprawdę tak sądziła, ale następnym razem znowu rozpiął rozporek. Zamiast dotknąć penisa jej dłonią, zacisnął jej palce wokół erekcji i przytrzymał je swoją ręką. Potem zaczął poruszać jej dłonią, w górę i w dół, w górę i w dół.

— Nie — błagała.

— Mocniej — jęknął. — Szybciej. Kocham cię. Szybciej. Wąskie łóżko skrzypiało. Lorcan dyszał ciężko, a jego wykrzywiona, czerwona z pożądania twarz była jej zupełnie obca. Katherine czuła się zbrukana i znieważona, a kiedy coś gorącego wytrysnęło jej w rękę, ogarnęło ją przemożne obrzydzenie.

Jednak po wyjściu Lorcana przyłapała się na wspomnianiu tych czynności i przez to poczuła w brzuchu — oraz niżej — podniecenie. Pomyśleć, że to dzięki niej tak się zachowywał. Wydała się sobie silna i seksowna, niebezpieczna i dorosła, chciała to powtórzyć. Z nagłym strachem zaczęła się zastanawiać, czy oficjalnie popełniła śmiertelny grzech. Czy gdyby teraz umarła, musiałaby przez całą wieczność smażyć się w piekle? Choć logika podpowiadała jej, że ognie piekielne to nonsensowny zabobon, na poziomie emocji odczuwała niepokój i strach. Nigdy nie wiadomo. A jeśli to prawda?

Mogła iść do spowiedzi, dostać rozgrzeszenie i być kryta, gdyby nagle padła trupem. Wiedziała jednak, że ksiądz każe jej przerwać te rzeczy z Lorcanem, a może nawet przestać się z nim widywać.

Na to nie miała siły. Całkowicie uzależniła się od tego, co robili w łóżku, i nie wyobrażała sobie, że nie mogłaby się z nim widywać. Zatem starając się nie dostrzegać, jak zmieniły się jej zasady, uznała, że skoro łączy ich miłość, neutralizuje ona kwestię grzechu śmiertelnego. Zawsze powtarzała, że niezależnie od wszystkiego, nigdy nie-pójdzie-na-całość. W końcu nawet Tara nie-poszła-na-całość! Jednak przez te tygodnie Lorcan sprowadził opór Katherine do poziomu, na którym za każdym razem, gdy leżeli w łóżku — on z dżinsami opuszczonymi do kolan, ona z majtkami do ud — wolno mu było kłaść czubek penisa na jej pochwie.

— Ale dalej się nie posuniemy, prawda? — szeptała.

— Nigdy — odszeptywał.

Czasem jednak dźgał ją penisem, a oni oboje przepełnieni byli tak słodkim uczuciem, że dźgał ją raz jeszcze.

— Ale go nie wsadzisz? — szeptała.

— Nie wsadzę — odszeptywał. — Tylko nim poruszę, o tak. Czy to przyjemne?

Kiwała głową. To było wspaniałe. No i skoro nie posuwali się dalej, nie robiła nic złego.

— Czy mogę go trochę przesunąć? — mruknął Lorcan.

— Dobrze, ale go nie wkładaj.

— Nie włożę.

Po chwili Katherine powiedziała z niepokojem:

— Myślę, że chyba go wkładasz.

— Nie wkładam — odparł chrypliwie, a jego biodra poruszały się szybko i gwałtownie. — Jestem na zewnątrz, tylko tak się poruszam...

Jednak jego ruchy stały się bardziej zamaszyste, mocniejsze i szybsze, i ku swojemu przerażeniu Katherine poczuła coś między nogami i usłyszała triumfalny okrzyk Lorcana:

— Jestem w środku!

Potem płakała, a on trzymał ją w ramionach, głaskał po włosach i powtarzał:

— Wszystko będzie dobrze, skarbie, wszystko będzie dobrze.

Obróciła ku niemu zalaną łzami twarz.

— Nigdy więcej tego nie zrobimy — powiedziała ponuro. — Nie myśl, że mnie przekonasz, bo to ci się nie uda. To najgorsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłam. Gdybym teraz umarła, poszłabym prosto do piekła.

Zrobili to jednak, I jeszcze raz. A potem ponownie. Kiedy jednak Lorcan zaczął przebąkiwać, żeby się zabezpieczyła, odparła, że nie ma potrzeby, bo więcej tego nie zrobią.

Zrobili, rzecz jasna. Nie dlatego, że Lorcan groził odejściem. Nie musiał. Najbardziej przekonujące było jej własne zdradliwe ciało: po prostu nie potrafiła oprzeć się Lorcanowi.

W chwilach wstydu i nienawiści do samej siebie pocieszała się tylko tym, że ją kochał. Kiedy się pobiorą, wszystko będzie dobrze, ślub usprawiedliwi przeszłość.

Choć nie rozmawiali o małżeństwie, czaiło się w tle. Widziała je w jego spojrzeniu za każdym razem, gdy na nią patrzył, w ciepłym jego głosie, gdy mówił jej, że ją kocha.

75

Pierwszy przemówił Benjy, przerywając przerażającą ciszę w salonie Katherine.

— Hm — powiedział niezręcznie, zastanawiając się, dlaczego to zawsze on sprząta brudy po Lorcanie. — To udowadnia, że na świecie jest tylko trzynaścioro ludzi, a reszta to lustrzane odbicia. Chyba powinniśmy już iść. Amy? Tara? Lorcan?

— Tak, powinniśmy — odezwała się Amy zdławionym głosem.

Lorcan zachowywał się tak, jakby ogłuchł.

— Lorcan? — zapytał Benjy znaczącym tonem.

— Przecież tu jest tak miło — stwierdził Lorcan, łagodnie i okrutnie. Następnie uśmiechnął się do Katherine, która nieruchomo tkwiła między nim i Joe. Wróć tutaj, mówił ten uśmiech.

Z leniwą gracją Lorcan powoli podniósł się z miejsca obok Katherine.

— Na razie — powiedział, przeciągając samogłoski, i ruszył ku drzwiom.

— Cześć — wyskrzeczeli Tara i Benjy. Nie mogli się doczekać wyjścia.

Amy otworzyła usta, by powiedzieć coś na pożegnanie, ale wydobyło się z nich jedynie: „Aaaaaa”.

Drzwi trzasnęły, zapadła cisza, a pokój, choć niemal pusty, był pełen wrogości.

— Skąd znasz Lorcana? — Katherine martwym głosem spytała Joe. Wpatrywała się w przestrzeń.

— Pracowałem z nim przy jednej reklamie. Czy też raczej nie pracowałem.

— Jak to?

— Tak się zachowywał, że musieliśmy zatrudnić innego aktora.

— Zgadza się. Cały Lorcan. Wielki gwiazdor. — Nie wiedział, czy mówiła poważnie.

— A ty skąd go znasz?

— Straciłam z nim dziewictwo. I o wiele więcej — powiedziała głucho.

Jej chłód napełnił go prawdziwym strachem. Usiłował ją objąć, ale się odsunęła.

— Nie.

— Nie?

— Chcę, żebyś sobie poszedł — oznajmiła zimno.

— Nie rób tego — poprosił.

— Chcę, żebyś poszedł.

Joe nic nie rozumiał. Wiedział, że coś się nieuchronnie zmieniło, że stracił Katherine. Czy to dlatego, że była zła za Angie? Czy też może miało to coś wspólnego z Lorcanem? Podejrzewał, że raczej chodzi o Lorcana niż Angie. Kiedy Lorcan siedział w pokoju, Joe czuł się tak, jakby w ogóle nie istniał.

— Idź już — nakazała mu.

W desperacji próbował z nią porozmawiać, ale była nieprzejednana.

— Jutro zadzwonię — obiecał, po czym niechętnie wyszedł. Gdy Tara powróciła godzinę później, była przerażona.

— Katherine, tak strasznie mi przykro. Co za okropny zbieg okoliczności. Gdybym miała choć cień podejrzeń, jakieś przeczucie, że znasz Lorcana, nigdy bym go tu nie przyprowadziła.

— Wcześniej wróciłaś — zauważyła ponuro Katherine.

— Tak... — Wieczór się kompletnie nie udał, gdyż napięcie między Lorcanem i Amy było wręcz toksyczne. — Dobrze zrozumiałam? — zapytała Tara. — Lorcan to Beaker z *Muppet Show*? To ten twój chłopak z Limerick?

Katherine powoli skinęła głową.

— Rzucił cię?

— Tak. Rzucił mnie.

— Fintan i ja podejrzewaliśmy, że masz złamane serce.

— Nie chciałam o tym mówić.

— Zauważyliśmy — stwierdziła sucho Tara.

— Przykro mi.

— Jest bardzo przystojny — oznajmiła Tara. — Nic dziwnego, że byłaś taka przygnębiona po powrocie do Knockavoy. Ale to straszny kutafon. Myśli, że jest nie wiadomo kim. Przypomnij sobie, że flirtował z tobą w obecności swojej dziewczyny.

— Tak, to cały Lorcan.

To, że ledwie wydobywała z siebie głos, zamiast normalnie mówić, zaniepokoiło Tarę. Przyjrzała się uważnie Katherine. Wyglądała tak, jakby była pod wpływem narkotyków.

— Paliałaś trawę?

— Nie.

— Jesteś pijana?

— Nie.

— Dobrze się czujesz?

— W porządku.

— Wydajesz się... nie bardzo zadowolona. Jesteś smutna? Czy spotkanie z Lorcanem było aż takim szokiem?

— Niby dlaczego?

— Ty mi to powiedz. — Tara obserwowała ją uważnie, po czym nagle coś zauważyła. — Gdzie Joe?

— Pieprzyć Joe.

— Co? — jęknęła Tara.

— Spał z dziewczyną z pracy.

— O nie. O nie. Powiedz mi, że to żart.

— To nie jest żart.

— Nie wyglądał na takiego. Myślałam, że za tobą szaleje. Mężczyźni to sukinsyny, wszyscy co do jednego. Spał z nią od początku waszego chodzenia?

Katherine otworzyła oczy, ale nic nie powiedziała. Cholera, nie miała jak tego obejść, musiała wyznać prawdę.

— Właściwie to spał z nią, zanim zaczęliśmy się spotykać. Ale co z tego? Nic mi nie mówił, a pracujemy przecież w tym samym biurze...

— Nie, zaraz. Czy to się dzieje naprawdę? Katherine, zgłupiałaś? Wkurzasz się, bo spał z kimś, zanim zaczął z nim chodzić? Spodziewałaś się, że będzie prawiczkim? Że będzie się oszczędzał dla ciebie?

— Nie, ale...

— Ty też sypiałaś z innymi, na przykład z Beakerem z *Muppet Show*. Nie masz prawa narzekać, że Joe także to robił. Daj spokój. Pokaż mi człowieka bez przeszłości, a pokażę ci nudnego pierdziela.

Katherine podniosła i bezmyślnie opuściła ramiona.

— Czy to ma coś wspólnego z Lorcanem? — Tara zaniepokoiła się na dobre. — Chyba nie myślisz o tym, żeby... hm... zacząć z nim raz jeszcze? Bo to byłoby czyste szaleństwo, Katherine.

— Wiem.

— Minęło dwanaście i pół roku. Całe życie. On ma dziewczynę, ty masz Joe.

— Jeśli Joe zadzwoni — powiedziała zimno Katherine — nie będę z nim rozmawiała, rozumiesz?

— Do kiedy?

— Sama zadecyduję.

— Ale...

— To moje mieszkanie. I to był koniec dyskusji.

Następnego ranka Joe dzwonił kilka razy i zostawiał wiadomości na sekretarce.

— Proszę, porozmawiaj ze mną — błagał, a jego pozornie spokojny głos nie krył desperacji.

Tara nie mogła tego słuchać.

— Chodź — powiedziała o drugiej po południu. — Idziemy do Fintana.

— Idziemy? — zaniepokoiła się Katherine. — Nigdzie nie idę.

— Ale... Dlaczego nie? Nie chcesz zobaczyć jego guzów? Czy też raczej ich nie zobaczyć?

— Nie dzisiaj.

— Katherine, pół roku czekałyśmy na poprawę. W końcu nadeszła. Nic cię to nie obchodzi?

— Obchodzi, ale nie chcę tam dzisiaj iść. Przykro mi. Przykro mi — powtórzyła z pozorną szczerością.

— Katherine, pozwól mi sobie pomóc — błagała ją Tara. — Tak dziwnie się zachowujesz. Porozmawiaj ze mną, dobrze?

— Idź sama. Ucałuj ode mnie Fintana. Wkrótce się zobaczymy.

Z ciężkim sercem Tara w końcu wyszła, a Katherine westchnęła z ulgą.

Była zadowolona z samotności. Wiedziała jednak, że dziwnie się zachowuje, czuła się tak, jakby obserwowała się z oddali i nie mogła interweniować, jakby patrzyła na nakręcaną lalkę, która miota się bez sensu, wpada na drzwi i ściany, niepomna na swoje bezpieczeństwo. Tak długo fantazjowała o Lorcanie, że nie mogła uwierzyć, że rzeczywiście do niej trafił. Szok był piorunujący. Mimo że minęło ponad dziesięć lat, nigdy nie czuła, że już jest po wszystkim. Nie dokończyli tego, a ponieważ przeszłość kształtowała teraźniejszość, była od niej ważniejsza.

Przez lata Katherine odgrywała bardzo wiele scenariuszy w swojej głowie. W większości Lorcan padał na kolana i przeproszał, ona kazała mu przez pewien czas cierpieć, a potem wybaczała. W innej wersji chępliwie zakładał, że za-

chowa się, jak gdyby nigdy nic, a ona, za pomocą dobrze wyćwiczonych spojrzeń i lapidarnych komentarzy, wręcz go unicestwi.

Założyła, że kiedy Lorcan wróci — a była pewna, że wróci następnego dnia albo dzień później — ona wykaże się opanowaniem. Zakończenie zostanie napisane od nowa, tym razem po jej myśli. Nawet jeśli nie była pewna, czy go załatwi, czy też odjedzie z nim ku zachodowi słońca. Może jedno i drugie.

Wiedziała jedno — obecne zakończenie się nie nadawało. Dręczyło ją wyobrażenie tamtej straszliwej sceny i nawet teraz krzywiła się na to wspomnienie.

— Musimy się pobrać. — Katherine wbiła wzrok w Lorcana.

— Dlaczego?

Umilkła i rozejrzała się po pubie. Uznała, że publiczny lokal lepiej się nada na obwieszczenie mu tej nowiny, ale teraz nie była już taka pewna.

— Bo... — przełknęła ślinę i ledwie dokończyła — ...bo będę miała dziecko.

Chociaż wiedziała, że Lorcan jej nie zostawi, czuła się zdenerwowana ze względu na popularny mit, że mężczyźni często dezerterują w tym nerwowym okresie. Uspokoila się jednak myślą, że uciekinierzy przytrafiali się jedynie głupim, nieostrożnym dziewczynom, które w przeciwieństwie do niej nie uważały.

— Jesteś zły? Jeśli tak, masz prawo, do tanga trzeba dwojga... Nie wyglądał na rozzłoszczonego, tylko zmęczonego.

— Nie mogę się z tobą ożenić — powiedział z litością i znużeniem.

— Dlaczego nie? — Mówiła wysokim głosem, a jej oczy w białej twarzy wydawały się zapadnięte niczym studnie.

— Bo jestem żonaty — odparł z irytacją.

Omał nie zemdląca. Pub z hukiem zakołysał się i zniknął, zamienił się w wizję piekła. Gdy patrzyła na Lorcana, jego dobrze znana i przystojna twarz zaczęła jej przypominać oblicze diabła. Ładne wargi zacisnęły się w okrutną kreskę, nos się wydłużył, a fioletowobrazowe oczy żarzyły się jak dwa ogniki.

— Nie rozumiem — powiedziała. Naprawdę nie rozumiała.

— Mam już żonę — warknął. Wyrzuty sumienia zepsuły mu humor. — Nie mogę się z tobą ożenić, bo mam już żonę.

— Nie możesz być żonaty — upierała się, usiłując odpędzić koszmar. — Nigdy nie mówiłeś.

— Daj spokój. Musiałaś wiedzieć.

— Nie wiedziałam. Nigdy bym... nie...

— Rozumiem, chciałaś mnie złapać na dziecko — oskarżył ją Lorcan, rozpaczliwie próbując odwrócić rolę.

— Nieprawda — broniła się. Oddychała płytko i urywanie. — Myślałam, że jeśli poszliśmy... hm... jeśli poszliśmy — zmusiła się, by mówić dalej — jeśli poszliśmy do łóżka, to chcesz się ze mną ożenić.

— Nie chciałem i nie chcę. Nie mogę — dodał łagodniej.

— Nie wierzę, nie wierzę — mamrotała Katherine z twarzą ukrytą w dłoniach. Katherine Casey nie została zapłodniona przez mężczyznę, który nie chciał się z nią ożenić. Tak się nie mogło stać.

Popatrzyła na niego.

— Musimy razem zamieszkać. Od razu. — Było to dalekie od ideału, okropnie nieprzyzwoite, ale musiała się tym zadowolić. — Rozumiem, że jesteś w separacji z żoną — wykrztusiła.

— Źle rozumiesz — westchnął ciężko.

Znowu pomyślała, że zemdleje.

— Nie chodzi mi o separację prawną. — Łapała się brzytwy. — Ale nie jesteście razem, prawda?

— Mieszkamy razem, jeśli o to ci chodzi. — Lorcan wpatrywał się w drzwi i zastanawiał, kiedy zdoła stąd uciec.

— Jak to? — wyskrzeczwała. — Byłam u ciebie. Nie było tam żadnej żony.

— Wyjeżdżała.

— Wyjeżdżała? — spytała z osłupieniem. Przypomniała sobie rośliny, półkę na przyprawy, misy z potpourri w mieszkaniu. Myślała, że Lorcan to wszystko poustawiał.

— Tak, wyjeżdżała, a wtedy ty przychodziłaś — potwierdził znużony Lorcan.

Katherine nie mogła mówić, ledwie oddychała przytłoczona powagą informacji. Jesteś kochanką, pomyślała. Kochanką! Jak do tego doszło, na Boga?

Właśnie w takich chwilach Lorcan żałował, że nie potrafi utrzymać fiutka w spodniach. Dobrze się bawił z Katherine, była słodka. No i rozkoszował się swoim mistrzostwem, gdy ją czarował, teraz jednak nie był pewien, czy to warte było tego zachodu. I do tego ta ciąża. Boże, co za kłopot! Chciał od tego uciec jak najdalej.

Katherine ujrzała pewne wyjście z tego przerażającego koszmaru.

— Musisz natychmiast zostawić żonę. Chodź — powiedziała rzeczowo, nabierając pewności siebie. — Pójdę z tobą do niej, żeby jej powiedzieć. Pójdziemy teraz.

Brała już torbę i zakiet, a Lorcana ogarniała panika. Czasem Katherine potrafiła być bardzo zdecydowana, niemal natarczywa, gdy zmieniała świat według swojego upodobania. Lorcan jednak nie chciał opuszczać żony, jeszcze nie. Mimo okazjonalnych zrad, był bardzo przywiązany do Fiony. Pasowali do siebie. Nie mówiąc już o tym, że go utrzymywała.

Przerażała go perspektywa życia z Katherine i — Chryste Panie — z dzieckiem. Katherine wciągnęłyby go w przedmieścia, chodzenie do kościoła, zmianę pieluch, przebudowę garażu, malowanie sypialni i tym podobne nudy, podczas gdy sama chodziłaby na poranne kawy, przyglądała się ulotkom firm remontowych i sprzeciwiała się sąsiedzkim planom rozbudowy domów. To, co go w niej początkowo zachwycało, nagle zaczęło go dławić.

Poza tym dostał już od niej to, co chciał. Dreszcz związany z pogonią minął, teraz Lorcan się bał.

— Nie — powiedział stanowczo. — Odczep się od Fiony. Gdy usłyszała, jak broni innej kobiety, poczuła nieprawdopodobny ból. Nie wiedziała, że można tak cierpieć.

— Chyba mi nie powiesz, że ją kochasz? — wykrztusiła.

Nie zamierzał, ale nagle przyszło mu do głowy, że to niezły pomysł.

— Oczywiście, że ją kocham, to moja żona.

— Nie możesz jej kochać, kochasz mnie.

Kiedy nic nie odpowiedział, powtórzyła:

— Kochasz mnie, prawda? Mówiłeś, że tak.

— Wiem, że mówiłem, ale... Przepraszam. Słuchaj, bardzo cię lubię, jesteś bardzo atrakcyjna... — Skrzywił się. Wszystko psuła. — Przepraszam — powtórzył. — Znowu byłem niegrzecznym chłopcem.

— Znowu? Chcesz powiedzieć, że robiłeś to już wcześniej? Nie jestem pierwsza?

Lekko przechylił głowę. Nie była pierwsza.

— Ale jestem wyjątkowa, prawda? — Uchyliła mu furtkę. Jednak powiedział tylko:

— Jesteś miłą dziewczyną i bardzo mi przykro.

Zanim wyciągnęła nieprzyjemne wnioski z tej nieprzyjemnej odpowiedzi, jej mózg zajął się innym koszmarem. Zdarzyło się tak wiele strasznych rzeczy, że nie wiedziała, od czego zacząć.

— Ale będę miała dziecko. — W jej głosie pojawiła się histeria.

Boże, co za szambo, pomyślał Lorcan. Nie mógł jej nawet poradzić, żeby poddała się aborcji, bo brakowało mu pieniędzy na jej sfinansowanie.

— Co zrobimy? — dopytywała się Katherine, patrząc na niego błagalnie.

— To nie ja jestem w ciąży. — Na twarzy Lorcana widniał wyraz niesmaku, bo przez nią czuł się bardzo źle.

— Jak to?

— To ty masz problem. Ja tego nie chciałem. Mówiłem, żebyś się zabezpieczyła, ale odmówiłaś. Rób, co chcesz. Miej to dziecko. Nie miej. To twoja sprawa.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — Domyślała się, ale rozpaczliwie liczyła na to, że się myli.

— Myślę, że nie powinienem się wtrącać. — Pogratiulował sobie, że tak łagodnie to ujął.

— Ale musisz się wtrącać! — zapłakała. — To nieuniknione. Musisz zostawić żonę i...

— Doprawdy, Katherine, sądzę...

— Nie tak mam na imię — powiedziała z przerażeniem. Na widok jego zdumionego spojrzenia ciągnęła: — Jestem Katherine przez K. To twoje specjalne imię dla mnie. Powiedz je.

— Katherine — oznajmił głośno i wyraźnie. — Myślę, że będzie najlepiej, jeśli się rozstaniemy.

— NIE! Nie zostawiaj mnie.

— Tak będzie najlepiej.

— Może najlepiej dla ciebie, ale jak ja dam sobie radę?

— Nic ci się nie stanie — zapewnił ją pośpiesznie i odwrócił się. — Dasz sobie radę, zapomnisz.

— Proszę — wykrztusiła. — Proszę. — A następnie usłyszała swój głos: — Błagam cię.

Ale — zupełnie jak w rozgrywającym się w zwolnionym tempie koszmarze — Lorcan już wstawał. Chciał od niej odejść. Wiedziała, że jeśli teraz wyjdzie, wszystko się skończy, nigdy więcej go nie zobaczy.

Odchodził od stolika, ale ona trzymała go za rękę i dawała się wlec. Stolek się przewrócił, a Lorcan usiłował rozewrzeć jej palce. Uderzyła się biodrem o stół i nie poczuła bólu. Ludzie spoglądali na nich znad drinków, a on coś mówił. Przykre słowa. Okrutne słowa. Odejdź. Daj mi spokój. Brzęk, gdy spadły kufle, a ich zawartość rozlała się cicho po lśniącym drewnie. Barman ruszył w ich kierunku.

— Nie kochasz mnie? — usłyszała swój głos.

— Nie. Nie.

76

Tara uparła się, żeby obmacać Fintana niczym członkini brygady antynarkotykowej. Przejeżdżała po nim dłońmi zdumiona, jak zmały guzy.

— Wiesz, co czuję? — spytała, głaszcząc go po boku.

— Co?

— NIC! — wrzasnęła z radością. — Nic.

Wstała i pociągnęła go za sobą: tysego, wychudzonego, opartego na lasce. Za to guz na szyi miał wielkość winogrona.

— Wyglądasz wspaniale — oznajmiła. — Mogłabym cię zjeść. Jak się czujesz?

— Naprawdę nieźle. Mam mnóstwo energii i apetyt. Przyszłość rysuje się różowo. Ale gdzie Katherine i mój Joe?

— Czekaj no. Muszę ci coś powiedzieć. — I tak Fintan oraz Sandro usłyszeli streszczenie dramatycznych wydarzeń wczorajszego dnia.

— Beaker z *Muppet Show*. — Fintan z niedowierzaniem potrząsał głową. — Po tych wszystkich latach, kto się zjawia? Beaker z *Muppet Show*!

Kiedy jednak opowiedziała im o sprawie z Joe, przerażili się.

— Nie może tego zrobić — jęczęli, patrząc na siebie. — Co się z nią dzieje?

— Bardzo się o nią martwię — przyznała Tara. — Nie chciałam jej zostawiać. Zachowuje się jak po wstrząsie mózgu.

— Chyba nie myślisz, że splawiła Joe, bo znowu spotkała Beakera? — zasugerował Fintan.

— Nie! — Sandro był pełen niesmaku. — Jak mogłoby jej zależeć na człowieku, który złamał jej dziewczęce serce?

— Może chce wyrównać z nim rachunki. Jak myślisz, Tara? — spytał Fintan. — Może planuje iść z nim do łóżka, rozmyślić się w ostatniej sekundzie i oznajmić mu, że ma maciupeńskiego siusiaka?

— Sama nie wiem — westchnęła Tara. — Kompletnie nie da się powiedzieć, co jej jest.

— Boże, czy ktokolwiek nie chciałby się mścić na frajerze, który go zostawił? — spytał marzycielsko Fintan. — Tak czy owak, Sandro, nie przejmuj się. Nic jej nie będzie. Beaker ma dziewczynę, więc wypada z gry.

Tara wątpiła jednak, czy Amy stanowi jakąkolwiek przeszkodę dla seksualnych podbojów Lorcana.

— Joe jej wszystko wytłumaczy. — Odkąd Joe zorganizował Fintanowi spotkanie z Dalem Wintonem, Fintan pokładał wielką wiarę w jego umiejętności.

— Masz rację — pokrzepiła się Tara. — Pewnie przeżyła poważny szok, ale wkrótce jej przejdzie.

— Jak tam twoja randka?

— Błę, okropnie. Był niski, łysiejący i tłusty.

— Miły?

— W porządku, ale zamierzam się oszczędzać. Następny facet, z którym się umówię, musi być wspaniały. Nie zgadzam się na żadnego starego dupka. Już raczej wolę być sama.

— Boże Święty! — wykrzyknął Fintan. — Zmieniłaś się. Co się stało z Tarą i jej ostatnią szansą?

— No właśnie — włączył się Sandro. — Gdzie zniknęła Tara Butler, która powtarzała: „Nie cierpię być bez mężczyzny”?

— Tara mówiąca: „Wolę chodzić z gnojkiem, który mi powtarza, że jestem gruba, niż nie mieć nikogo”? — dodał Fintan.

— Ale byłam żalosna. — Skrzywiła się. — Ostatnia szansa, dobre sobie! Życie przede mną!

— I przede mną. — Fintan promieniał *joie de vivre*.

— Nie mam pojęcia, co się zmieniło — wyznała Tara. — Wiem tylko, że kiedy mieszkałam z Thomasem, brakowało mi pewności siebie. Myślałam, że bez niego zupełnie sobie nie poradzę, ale teraz wiem, że mnie tłamsił. Dobrze jest nie bać się przez cały czas.

— Czego?

— Braku partnera. Myślałam, że to najgorsza rzecz, jaka się może przydarzyć, ale teraz, gdy najgorsze już się stało, okazuje się, że nie jest takie straszne. Właściwie to całkiem przyjemne.

— Przyjemne? — Fintan uniósł brew. — Coś podobnego.

— Przyjemne czasami — przyznała. — Nie mówię, że nie czuję się samotna. Chciałabym mieć fantastycznego faceta. Ale najbardziej samotna byłam z Thomasem. Teraz przynajmniej jestem sama i mam szansę kogoś poznać. Naprawdę tak może być. Spójrz na Katherine. Znalazła świetnego faceta, a jest starsza ode mnie.

— O półtora miesiąca. Ale podoba mi się twoje podejście. Jedna wielka przygoda. Co z Ravim?

— Fintan, błagam. Ravi to mój kumpel.

— Aha. Myślę, że chciałby zostać kimś więcej niż kumplem. — Sandro mrugnął do niej znacząco.

— Czy masz w kieszeni marsa czy też cieszysz się na mój widok? — spytał znacząco Fintan.

— Wolę batonik.

— Ale Ravi za tobą szaleje, prawda? Tara zarumieniła się i skrzywiła.

— Może. Nigdy nic nie mówił, ale może... Chociaż chyba wołał, kiedy byłam gruba. Może będzie miał szczęście. Znowu zbliżam się do rozmiaru dwunastego. To problem z brakiem problemów. Zadowolenie to koszmar.

— Po prostu wyrównujesz — pocieszył ją Fintan. — Wcześniej wyglądałaś jak desperatka, jak szkapa. Tak, tak, wiem, sam nie jestem kandydatem na Mister Universum. Teraz jednak wyglądasz wspaniale. Muskularna i szczupła. Sandro, nie sądzisz, że Tara i Ravi byliby wspaniałą parą?

— Ravi ma świetne ciało — przytaknął Sandro.

— Przestańcie! Bardzo go lubię. Nie jestem jeszcze gotowa. — Nie mogła znaleźć właściwych słów. — Teraz chcę się umawiać z mnóstwem mężczyzn! — wykrzyknęła. — Traktować to lekko i dobrze się bawić. Tak długo brakowało mi wolności, że szybko z niej nie zrezygnuję.

— On może na ciebie nie zaczekać.

— Nieważne, Fintan! Nieważne!

— Cudownie — szepnął. — Absolutnie cudownie.

Cztery kilometry dalej trwała gwałtowna kłótnia. Amy wrzeszczała na Lorcan. Znużona kilkoma miesiącami maltretowania, uznała, że jego ostentacyjne flirty ze współlokatorką Tary to już za wiele.

Kłótnia trwała do późnej nocy i na nowo wybuchła o świcie.

— Jak mogłeś mnie tak upokorzyć? — Jej piękna twarz była wykrzywiona i zalana łzami.

— Jak? — powtórzył powoli. — Normalnie. Nie zauważyłaś? Publicznie flirtowałem z inną.

— Ale dlaczego? — wyskrzeczwała. — Nie rozumiem. Po co ze mną jesteś, skoro chcesz mnie ciągle upokarzać?

Bo to takie łatwe.

Mówiła coraz wyżej, aż zaczęła pisać.

— Dlaczego robisz to wszystko? Czego pragniesz od życia? Czego naprawdę pragniesz?

Tysiące razy słyszał to pytanie. Znieruchomiał i wyglądało na to, że głęboko się nad tym zastanawia. Następnie otworzył usta i z okrutnym uśmiechem odparł:

— Lekarstwa na AIDS.

Ostatnio, kiedy usłyszał to pytanie — jakieś dwa tygodnie wcześniej, od załamanej farmaceutki o imieniu Colleen — odpowiedział:

— Czego chcę od życia? Może kobiety, która pieprzy się jak królik, a o drugiej w nocy zamienia się w pizzę?

Kończyły mu się zgryźliwe odzywki. Fakt, kobiety nie miały szans ich porównać, ale niepowtarzanie się było kwestią jego prywatnej dumy. Ta odpowiedź jednak przepełniła czarę goryczy Amy.

— Won! — Podniosła się i sztywną ręką wskazała mu drzwi. — Wynocha.

Lorcan zachichotał pobłaźliwie.

— Jesteś piękna, kiedy się złości. — Patentowane kłamstwo. Rozzłoszczona Amy wyglądała do dupy.

— Won! — powtórzyła.

— Masz udziały w telekomunikacji?

Na jej twarzy malowała się mieszanka furii i ciekawości.

— Bo — wyjaśnił ze śmiechem — ich zyski wzrosną o milion procent, gdy zadzwonisz tyle razy, co zwykle, błagając, żebym wrócił.

— Won!

Podszedł do drzwi, ale przed wyjściem wetknął jeszcze w nie głowę.

— Powrót do domu zajmie mi około pół godziny, więc wstrzymaj się do tego czasu.

Szedł powoli do metra, rozbawiony swoimi odzywkami. Wkrótce jednak poczuł coś na kształt kaca. Jego dobry nastrój przysł, a zadowolenie skaziły mniej przyjemne uczucia. To się wciąż powtarzało. Nigdy nie potrafił przestać odgrywać roli złego chłopca. Zawsze sprawiało mu to wielką frajdę. Jednak gdy wyparowały resztki radości, nie mógł się opędzić od myśli, że może czas już zrobić coś przyzwoitego i pozwolić Amy odejść; przestać ją dręczyć i dać jej spokój. Im dłużej się nad tym zastanawiał, tym bardziej utwierdzał się w tym, że stanowczo nadszedł czas, aby zająć się kimś innym, tym razem tak jak trzeba. Może nawet już spotkał tego kogoś...

Nadszedł czas, by przemyśleć życie i uczynki Lorcana Larkina.

— Hej — roześmiał się do siebie. — Chyba dojrzewam.

Amy podniosła słuchawkę i wykręciła numer. Nie był to numer Lorcana.

77

W poniedziałek Katherine nie poszła do pracy. Poprosiła Tarę, żeby zawiadomiła telefonicznie jej szefa.

— Dlaczego? Jesteś chora?

— Trochę.

— Nie wyglądasz na chorą.

— Zrobisz to dla mnie czy nie?

— Dlaczego nie chcesz tam iść? Nigdy dotąd tego nie robiłaś.

— Nie mogę się widzieć z Joe.

— Dlaczego z nim nie porozmawiasz? Jemu tak bardzo na tobie zależy.

— Błagam, Tara.

— Dlaczego nie wyjdiesz z domu? Siedzisz tu od sobotniego wieczoru.

— Błagam, błagam — powtarzała Katherine z zaciętością, która przerażała Tarę.

Tara nie miała pojęcia, co się działo z jej przyjaciółką, ale bardzo, bardzo się bała. Katherine prezentowała światu bladą, oszołomioną twarz, ale widać było, że pod jej powierzchnią wrzało. Tara nie chciała jej zostawiać. Nie wiedziała, co się może wydarzyć. Choć nie miała podstaw do takiego myślenia, bała się, że Katherine może popełnić samobójstwo. Działo się coś bardzo złego. Zaczęło się w sobotni wieczór i z pewnością nie chodziło o Joe. Był niewinnym gapiem.

— Błagam, Tara.

— OK. — Ta bezradność ją dobijała.

Tego dnia Tara dzwoniła do Katherine niemal równie często jak Joe. Kiedy wróciła z pracy, Katherine była ubrana i w pełnym makijażu.

— Wychodzisz? — spytała Tara, mając nadzieję, że przyjaciółka idzie na spotkanie z Joe.

— Nie.

— Aha. No to miło mi, że zadałaś sobie dla mnie tyle trudu.

— Ha, ha.

— Sama się nahaj.

Spędziły dziwny, pełen napięcia wieczór, oglądając telewizję i udając, że telefon nie dzwoni co pół godziny i Joe nie zostawia wiadomości.

Tara zerkała z ukosa na Katherine. To napięcie, oczekiwanie, razem z doskonałą fryzurą i makijażem coś znaczyło. Kiedy skończyła się *Panorama*, przyszło objawienie i nagle Tara wszystko zrozumiała, jasno i wyraźnie.

— Czekasz na niego, prawda?

Katherine zerknęła na nią. Miała strach w oczach.

— Hm? — mruknęła ostrożnie.

— Czekasz na Lorcana, prawda? Dlatego nie wychodzisz z domu. Nie ma twojego numeru telefonu, ale ma adres i boisz się, że cię nie będzie, kiedy przyjdzie.

Katherine milczała i wtedy Tara zrozumiała, że trafiła w sedno. Szaleństwo przyjaciółki rozdzierało jej serce. Zerwała się z fotela i usiadła przed Katherine.

— Posłuchaj mnie — powiedziała z napięciem w głosie. — Błagam, spójrz na mnie.

Katherine powoli skierowała na nią pełen wrogości wzrok.

— Muszę przemówić ci do rozsądku — oznajmiła z naciskiem Tara. — Ten Lorcan był twoją pierwszą miłością. Byłaś bardzo młoda i trochę niewinna. To niesamowity przystojniak, co tylko utrudnia sprawy. Jestem pewna, że przeżyłaś okropny szok podczas tego nieoczekiwanego spotkania, jesteś roztrzęsiona. Wszystkim się to zdarza. Gdybym teraz spotkała Thomasa, na pewno byłabym przygnębiona, wolno by mi było być przygnębianą. Ale tylko przez chwilę, bo życie musi toczyć się dalej. Zwłaszcza w twoim wypadku, bo masz Joe.

Twarz Katherine ożywiła się na wspomnienie Joe, ale za chwilę powrócił ponury wyraz.

— Daj spokój, Katherine, to było dawno temu. Idź przed siebie i zapomnij o tym. Tak należy postępować. Nawet ja dałam sobie spokój z Thomasem. Skoro ja mogłam, to każdy może!

— Nie zaszłaś w ciążę z Thomasem. — Usta Katherine ledwie się poruszały. Tara czekała, aż słowa znikną w ciszy. Szok był zbyt wielki. — A Thomas nie był żonaty — dodała pusto.

— Chcesz mi powiedzieć...? — Tara umilkła, gdy zrozumiała, o co chodzi. — Zaszłaś w ciążę z Lorcanem? Był żonaty? Kiedy miałaś dziewiętnaście lat?

Martwe, pozbawione nadziei oczy Katherine mówiły za nią.

— O Boże, Katherine! Dlaczego nam nie powiedziałaś?

Walcząc o znalezienie słów — jakichkolwiek słów — Katherine patrzyła na nią w milczeniu. Jak mogła opisać, co się przeżywa, gdy jest się młodą, samą i w ciąży? Jak opisać prawdziwe piekło? Cierpienie związane z odejściem Lorcana i brak kontaktu?

Najgorsze było to, co uświadomiła sobie po paru dniach — ponieważ była samotna i w ciąży z żonatym, stała się własną matką. Matką, od której przez całe życie starała się jak najbardziej odróżnić.

Dziewiętnaście lat pobożności, wyprasowanych ubrań, odrobionych prac domowych, punktualności i życia w czystości — to było bez znaczenia. Nawet były niemal w tym samym wieku. Rodząc ją, matka miała dwadzieścia lat.

— Opowiedz mi o tym — odezwała się Tara z ogromnym niepokojem. — Wiem, że musi być ci ciężko.

— Nie tak ciężko jak wtedy. — Mocno zaciskała szczękę. — Nie masz pojęcia, jak bardzo nie chciałam być w ciąży. Leżałam na łóżku, wpatrywałam się w swój brzuch i miałam ochotę krzyczeć. Naprawdę miałam ochotę krzyczeć tak głośno, aż pęknie mi głowa.

— Dlaczego? — Tara ledwie mogła mówić.

— Bo gdzieś tam w środku, taka malutka, że jej nie widziałam, rosła ruina mojego życia. Dorastał we mnie mały kosmita. Nigdy nie czułam się aż tak schwyтана w pułapkę. Zupełnie jak w więzieniu, ale wewnątrz własnego ciała. Nie było wyjścia.

Tara ze smutkiem pokiwała głową.

— Chciałam wyrwać sobie brzuch. Żałowałam, że nie jestem taką dziewczyną w cyrku, którą tnie się piłą na trzy części i której brzuch wysuwa się na bok w zgrabnym drewnianym pudle. Chciałam jedynie, żeby usunęli wszystko, co mi przeszkadzało.

Popatrzyła na Tarę, rozpaczliwie pragnąc zrozumienia, a następnie wyznała jej, że czasem się szczypała, próbując porozrywać swoje ciało, zostawić jedynie nieciążarną Katherine, prawdziwą Katherine.

— Miałaś aborcję? — spytała bardzo cicho Tara. Aborcja.

— Wiesz, że jestem — przynajmniej byłam — przeciwna.

Katherine nie mogła spojrzeć Tarze w oczy, gdy przypomniła sobie, jak w szkole zawsze powtarzała za zakonnicami, że aborcja to morderstwo, że nikt nie ma prawa odebrać życia nie narodzonemu. Wszystko to jednak zniknęło w koszmarnym strachu. Od chwili, w której uciekł Lorcan, pragnęła aborcji. Tylko dzięki niej jej życie miało szansę nie rozpaść się na kawałki. Wiedziała, że będzie się smażyła w piekle, ale nic jej to nie obchodziło. Już się w nim znalazła.

Gdyby tylko pozbyła się dziecka i oddzieliła się od tego grubą kreską, stałaby się najlepszą osobą na świecie. Podwoiłaby wysiłki, by żyć ostrożnym, w pełni kontrolowanym życiem. Wiedziała, że inne samotne dziewczyny też zachodziły w ciążę, że miały dzieci i je kochały. Ona, Katherine Casey, była inna. Gdzieś, tuż pod powierzchnią, czuła, że ciąża to kara dla rozwiązłych i puszczalskich dziewczyn. Ponieważ zawsze tak dobrze się zachowywała, uznała, że coś takiego jej nigdy się nie przytrafi. To była ostatnia rzecz, na jaką zasłużyła.

— Katherine — wyszeptwała Tara. — Chodź, Katherine.

— Nie mogłam nikomu powiedzieć. — Jej gardło ścisnęło się łzami. — Nigdy nie czułam się równie samotna.

— Mogłaś powiedzieć mnie i Fintanowi.

— Nie mogłam. Nie mogłam. Gdybym się wam przyznała, przyznałabym się też samej sobie. Chciałam, żeby to wszystko się skończyło. Łatwiej było zamknąć drzwi za przeszłością, jeśli nikt o niej nie wiedział.

— Boże, to straszne. — Tara była biała jak śnieg. — I sama przez to wszystko przeszłaś. — Nagle coś jej przyszło do głowy. — Mogłaś się zwrócić do swojej matki, na pewno by cię nie potępiła.

— Na pewno — zgodziła się Katherine. — Pewnie byłaby zachwycona. Zorganizowałyby zabieg i może nawet stawiałyby mnie za przykład.

Tylko że wtedy Katherine nigdy już nie czułaby moralnej przewagi nad matką. Wystarczyło, że była taka sama jak matka, ale żeby jeszcze matka miała o tym wiedzieć...

— Co zrobiłaś? — dopytywała się łagodnie Tara, przekonana, że ta rozmowa pomoże Katherine.

Katherine westchnęła ciężko i przygotowała się na powrotną drogę do piekła.

— Nie miałam pojęcia, jak zorganizować... — nawet teraz trudno jej było wypowiedzieć to słowo — ...:aborcję. Wiedziałam tylko, że w Irlandii jest nielegalna i że muszę jechać do Anglii.

Tara pokiwała współczująco głową, mając nadzieję, że nie widać jej przygnębienia, podczas gdy Katherine opowiadała całą historię. O tym, jak — z mdłościami, przewrażliwionymi piersiami i dwustoma funtami w torebce — przerażona wsiadła w pociąg do Dublina, gdzie znajdowało się centrum pomocy. Nie mogła uwierzyć w powagę sytuacji i to, co zamierzała zrobić. Próbowwała skoncentrować się na przyszłości, kiedy już uwolni się od koszmaru.

Przerażona weszła do centrum, pewna, że zaraz zauważy ją ktoś znajomy. Jednak potraktowano ją miło i łagodnie. Lekarz potwierdził ośmiotygodniową ciążę, a następnie rozmawiała z panią psycholog, która usiłowała jej pokazać inną drogę.

— Nie chcę tego słuchać — wykrztusiła Katherine. — Chcę tylko... Proszę, chcę tylko, żeby tego nie było.

Psycholog pokiwała głową. Tak często widywała te młode dziewczyny w panice, tak strasznie przerażone przyszłością, że nie potrafiły normalnie myśleć.

— Jesteś pewna? — Gdy Katherine skinęła głową, psycholog powiedziała łagodnie: — Dobrze. Jest pewna klinika w Liverpoolu. Zadzwoń do nich. Kiedy chcesz jechać?

— Teraz. — Usiłowała zapanować nad drżącym głosem. — Jak najszybciej.

Psycholog zostawiła ją samą, przycupniętą na skraju krzesła w maleńkim pokoju. Po piętnastu minutach wróciła z ciepłym uśmiechem, który — jak wiedziała — nie rozpuścił bryły lodu w brzuchu Katherine.

— Wszystko załatwione — oznajmiła cicho. — Tu zapisałam szczegóły. Prom odpływa dziś o ósmej. Zawiezie cię do...

Katherine słyszała to wszystko jakby z oddali. Pociągi, mapy, taksówka do kliniki, podróż powrotna, terapia.

— Dziękuję — powiedział jej głos.

Przez resztę dnia włóczyła się po Dublinie, ale nic z tego nie pamiętała. Nie mając co robić, dotarła do portu o wiele za wcześnie. Kręciła się po przypominającej szopę poczekalni, kiedy nagle poczuła coś mokrego i gorącego między nogami. Złapała torbę i pobiegła bez tchu do toalety dla pań, gdzie ujrzała, że krwawi. Dopiero wtedy poczuła ból.

Prom odpłynął bez niej i następnego ranka, już nie w ciąży, Katherine wróciła pociągiem do Limerick, wciąż czując, że żyje w koszmarze.

— Więc nie miałaś aborcji! — usiłowała ją pocieszyć Tara.

— Nie, ale miałabym — wyznała głucho Katherine. — To tak samo złe.

— Nieprawda.

— Tak czuję.

— A potem wróciłaś do Knockavoy i nie powiedziałaś ani słowa — przypomniała sobie Tara. — Byłaś taka zgorzkniała. Teraz rozumiem dlaczego.

— Napisałam do mojego ojca — wyznała Katherine. Skoro powiedziała już tak wiele...

— I co odpisał? — Tara usiłowała zachować spokój. Jeśli ojciec odrzucił ją tak szybko po tej sprawie z Lorcanem, czyż można się było dziwić jej sztywniactwu?

— Umarł — stwierdziła bez ogródek Katherine. — Pół roku i sześć dni wcześniej.

— Jak się czułaś?

Katherine zawahała się, szukając odpowiednich słów.

— Jakbym też umarła.

Tara z przerażeniem wstrzymała oddech.

— Potem przeprowadziliśmy się do Londynu i miałam kilka beznadziejnych romansów, aż dotarłam do dzisiejszego dnia. — Próbowала się uśmiechnąć.

— Ja też miałam beznadziejne romanse — przypomniała jej Tara.

— Nie tak jak ja.

Tara nie mogła się nie zgodzić.

— To musi mieć coś wspólnego z tym, że dowiedziałaś się o śmierci ojca tak wcześnie po sprawie z Lorcanem.

— Może.

— Dzięki Bogu, że mi o tym opowiedziałaś. Najwyraźniej Lorcan musiał to przyjąć w sobotni wieczór. — Oczywiście Katherine zalaśniły, a Tarze ścisnęło się serce. — Dlatego, że się otworzyłaś — dodała pośpiesznie. — Teraz możesz sobie z tym poradzić.

— A, rozumiem.

— Mam rację? Czekasz tu na wypadek, gdyby wpadł?

— Proszę, Tara, spróbuj zrozumieć. To nie jest dokończona sprawa. To mnie prześladowuje.

— Dlaczego myślisz, że on przyjdzie?

— Intuicja.

— Raczej pożądanie. — Tara spojrzała na nią z ukosa. — Ale, zakładając, że przyjdzie, co by ci to dało? Chyba nie zamierzasz znowu z nim chodzić?

Była wstrząśnięta, że Katherine natychmiast nie zaprzeczyła.

— Sama nie wiem, czego chcę — westchnęła z rozpaczą Katherine. Jej rozterki były prawdziwe. — Nie chcę się tak czuć.

— Myślisz, że ponowny związek z nim ci pomoże? Po tym, jak cię potraktował, lepiej byłoby, żebyś pokazała mu się z jak najgorszej strony.

— Pokażę.

To nie uspokoiło Tary. Lorcan był zbyt przystojny, zbyt czarujący, zbyt seksowny i zbyt niebezpieczny. Zawsze będzie wygrywał. I to, co mówiła Katherine, jakby lada chwila Lorcan naprawdę miał się pojawić na progu jej mieszkania, było jeszcze bardziej niepokojące.

— Co zaplanowałaś?

Katherine pomyślała o swoich fantazjach i odparła niewyraźnie.

— Właściwie nie mam planu. To zależy.

— Ale tak się nie stanie — powiedziała łagodnie Tara. — I tak możesz poradzić sobie ze wszystkim, co się stało. Wyślemy cię na prawdziwą psychoterapię i wiesz, że ja ci także pomogę, podobnie jak Joe. Liv to kopalnia informacji o takich problemach. Chociaż, z drugiej strony, świetnie sobie radzisz, doskonale układa ci się z Joe...

Rozległ się dźwięk dzwonka i obie podskoczyły.

— Kto...? — spytała Tara. — Jest za dziesięć dwunasta. Na policzkach Katherine pojawiły się rumieńce.

— To chyba do mnie — powiedziała cicho.

— Kto to? Joe?

To był Lorcan.

— Nie wierzę — jęknęła Tara, kiedy Katherine nacisnęła przycisk domofonu.

Co za bezczelny typ! Jednak Katherine wcale nie zwariowała.

Katherine otworzyła drzwi. Zachwiała się na widok muskularnej sylwetki Lorcana. Uznanie w jego oczach cofnęło ją o dwanaście lat. Lwia grzywa nie zmieniła się ani na jotę.

— Wejść. — Usiłowała wywołać w sobie pragnienie zemsty, zanim rozplynie się pod wpływem jego fascynującej urody. Znow miała dziewiętnaście lat i kręciło jej się w głowie na myśl, że on naprawdę tu jest.

Przeszedł przed nią do salonu, gdzie siedziała Tara z zaciętą twarzą.

— Witaj — powiedziała zimno. — Nie spodziewaliśmy się ciebie.

— Myślę, że Katherine mogła się mnie spodziewać. — Znaczący, smutny uśmiech Lorcana miał zasygnalizować Tarze, że gdyby nie oszczędzał się dla jej współlokatorki, mógłby i z nią spróbować.

— Skąd miałeś numer telefonu? — zapytała niewzruszona Tara. Czyżby nie wiedział, że ona nie złapie się już na żadne gierki?

— O, nie dzwoniłem — wyjaśnił i znow się uśmiechnął, jakby chciał powiedzieć: „Mój Boże, ale jesteś atrakcyjna”.

— Tara, mogłabyś...? — Katherine usiłowała być uprzejma.

Tara wyszła ciężkim krokiem z pokoju, zdumiona własnym gniewem. Lorcan był patalachem, każdy to widział. Po raz pierwszy Tara zaczęła rozumieć, jakie to musiało być frustrujące dla innych, kiedy ona sama prowadziła się z nieodpowiednimi mężczyznami.

Drzwi salonu trzasnęły, a Katherine i Lorcan spoglądali na siebie — on z sofy, ona z fotela.

— A więc... — zaczął.

— Tak — przytaknęła drżącymi ustami. Pod czaszką czuła coś lżejszego od powietrza, coś nieprzyjemnie niematerialnego. Nie mogła uwierzyć, że Lorcan naprawdę siedzi naprzeciwko niej.

— Dlaczego przyszedłeś? — spytała cierpko, co wymagało wysiłku. W wersji numer jeden jej fantazji, którą pocieszała się przez lata, Lorcan wybuchał pełnymi namiętności deklaracjami w stylu: „Nigdy cię nie zapomniałem. To, że pozwoliłem ci odejść, było największym moim błędem. Zapomnijmy o ostatnich dwunastu latach i sześciu miesiącach, zbyt dużo czasu zmarnowaliśmy...” Co dałoby jej znakomitą okazję, by mu poradzić, żeby to sobie wsadził w tyłek.

Zamiast tego jednak powiedział nonszalancko:

— Ej, cudownie było znow na ciebie wpaść. Możemy pogadać o dawnych czasach. — I zdumiał sam siebie, dodając: — Chciałbym wiedzieć... — Umilkł i wbił w nią spojrzenie koloru sherry. — Chyba chciałbym wiedzieć, co się stało z dzieckiem.

Niczym śliski węgorz gniew wywinął się z jej uścisku. Powinna być wściekła, że czekał tak długo, by dowiedzieć się, co z dzieckiem, ale czuła się dziwnie pokrzepiona.

— Powiedz mi — nalegał. — Urodziłaś je? Mógłbym się z nim spotkać?

Potrząsnęła przecząco głową.

— Miałaś skrobance? — spytał. Zawahała się, zanim odparła:

— Nie.

— Nie?

— Poroniłam.

— Ale myślałaś o skrobance? Zawstydzona przytaknęła.

Zatem nie było dziecka. Lorcan poczuł ulgę. Sam nie wiedział, dlaczego w ogóle o to spytał. Trochę go poniosło na myśl, że może po tym mieszkaniu biega jego dorodny syn. Ale, powiedzmy sobie otwarcie, po co komu taka odpowiedzialność?

— Rozumiem. — Wolał się zająć tym, co pod ręką.

Nie układało się tak, jak Katherine wyobrażała sobie w swoich rozlicznych scenariuszach. Nie był ani skruszony, ani bezczelny. Myślała, że rzuci mu jego przeprosiny w twarz jak garść żwiru. Albo na wypadek, gdyby próbował się do niej dobierać, ćwiczyła mnóstwo złośliwych, ostrych jak brzytwa ripost, którymi bez trudu zawstydziłaby go i upokorzyła. (Wszystko od: „Pozwoliłam się dotykać?” do jej ulubionego: „Molestowanie seksualne to przestępstwo”). Teraz jednak czuła, że nie stać jej na żadną ripostę. Szok wywołany jego obecnością podziałał na nią destrukcyjnie i nie potrafiła strząsnąć z siebie poczucia nierealności, które towarzyszyło każdemu jej słowu i każdemu jego spojrzeniu.

Z wielkim trudem panowała nad sobą.

— Widywałam cię w *Briar's Way*, kiedy jeździłam do domu na wakacje. — Zmusiła się do uśmiechu. — Byłeś zupełnie taki sam.

— Ha, ha, ha. — Bohater grany przez Lorcana był obłudnym kobieciarzem. — Trzeba z czegoś żyć.

— Nie grasz już tam?

— Nie, wyrosłem z tego. — Lorcan zastanawiał się nerwowo, czy wiedziała, jak bardzo podupadła jego kariera filmowa.

— Wyrosłeś z mnóstwa rzeczy — prychnęła. — Co się stało z twoją żoną?

— Nasze drogi się rozeszły. — Wtedy, gdy zaczął przywoicie zarabiać, ale nie widział potrzeby, aby o tym wspominać.

— Dlaczego?

— *C'est la vie*. Coś zyskujesz, coś tracisz.

— Ale dlaczego? Dlaczego wasze drogi się rozeszły?

Lorcan poruszył się niespokojnie. Wolałby, żeby się przymknęła. Nawet po tych wszystkich latach pamiętał, jak bywała nieustępliwa. Kiedy złapała coś w zęby, trudno było jej to wyszarpnąć.

— Oboje z siebie wyrosliśmy — spróbował ponownie.

— Jaka szkoda, że nie wyrosliście z siebie, kiedy zrobiłeś mi dziecko — zauważyła kąśliwie.

— Zdarza się. Słuchaj, naprawdę rozkwitłaś — dodał pośpiesznie. — Zawsze byłaś ładna, ale teraz jesteś po prostu fantastyczna.

Już miała go zapytać o jego dziewczynę, kiedy wyciągnął rękę i musnął nią jej twarz. Dotyk jego palców był niczym iskra elektryczna. Wszystkie zakończenia nerwowe jej ciała zaczęły nucić i śpiewać, racjonalne myśli zniknęły.

— Wyrosłaś na przepiękną kobietę — powiedział pożądliwie. Przejechał dłonią po jej policzku i dotarł do włosów, a ona siedziała nieruchomo jak posąg, z zamkniętymi oczyma. Wiedziała, że traci doskonałą okazję, żeby odegrać wersję drugą swojej fantazji, gdzie waliła go w twarz za te insynuacje. Nie mogła się jednak ruszyć, pokonana intensywnością wrażeń związanych z podróżą w czasie.

— Usiądź obok mnie. — Poklepał sofę. Potrząsnęła przecząco głową.

— No chodź. — Uśmiechnął się drapieżnie. Plecy go bolały od nachylenia się ku niej. Właściwie to ostatnio coś za często go bolały, będzie musiał się zbadać...

Nie miał pojęcia, jaki opór napotka z jej strony. W sobotni wieczór czuł, że uciekłaby z nim bez wahania. Jednak teraz miała czas przypomnieć sobie o swojej złości, więc należało wytoczyć ciężką artylerię.

— Wiesz co, Katherine przez K? — powiedział, zaglądając wprost do jej duszy. — Nigdy cię nie zapomniałem.

— Nie wierzę ci.

— To prawda.

Ponownie potrząsnęła głową.

— Przysięgam na Boga, że to prawda — powtórzył. — Byłaś wyjątkowa i gdyby nie żona... — Szczerść jego spojrzenia zaczęła rozjaśniać mrok w jej sercu i leczyć krwawiące rany. — Usiądziesz koło mnie? — poprosił.

Nic nie mogła na to poradzić. Jak automat opuściła fotel i usiadła obok Lorcana. Nie wiedziała, co nią powoduje. W jej głowie kotłowały się myśli, pragnienie zemsty spłotło się z innymi emocjami: pożądaniem seksualnym, które odczuwała w wieku dziewiętnastu lat, i potrzebą skorygowania kursu swojego życia.

Kiedy usiadła, Lorcan ujął jej drobną twarz w swoje duże, pewne dłonie, jakby chciał ją pocałować. Wiedziała, że powinna rąbnąć go w nerki albo spoliczkować, ale wszystkie te scenariusze walały się jak ściervo po podłodze rzeźni. Jej złość i pragnienie zemsty całkowicie się stepiły. Myśl, że nadal jej pożądał, była niczym balsam na starą ranę.

Ale chciała się czegoś dowiedzieć... Co to było?

Nagle sobie przypomniała.

— Co z twoją dziewczyną?

— Nie myśl o niej — zachichotał Lorcan, rzucając jej spojrzenie: „Jesteś najpiękniejszą kobietą na świecie”. Następnie przygotował się do wielkiego przedstawienia Lorcana Larkina. Pocałunku, który niszczył kobiety: łagodnego, lecz pewnego; słodkiego, lecz macho; stanowczego, lecz żartobliwego; erotycznego, lecz krzepiącego.

Sparaliżowana Katherine obserwowała ze zdumieniem, jak przysunął się tak blisko, że przestała wyraźnie widzieć jego twarz. Zanim przygotował się do finału, powiedział od niechcenia:

— Nie była nikim wyjątkowym. „Nie była nikim wyjątkowym”. „Nie była nikim wyjątkowym”.

Te słowa rozchodziły się echem w głowie Katherine. Z nagłą, niepożądaną jasnością rozumiała, że to właśnie powiedziała kiedyś o niej Lorcan, gdyby jego żona się dowiedziała. „Ta mała Katherine? Nie przejmuj się nią, nic dla mnie nie znaczyła, nie była nikim wyjątkowym”.

Znienacka pomyślała o Joe. On by jej tego nie zrobił. Nikomu by tego nie zrobił.

Lorcan był coraz bliżej, w końcu jego usta dotknęły warg Katherine. Walcząc o oddech, uwolniła się z jego uścisku.

— Muszę iść do łazienki — jęknęła.

Ku jej zdumieniu nie zaprotestował. Dopiero gdy ujrzała jego pobłażliwą minę, rozumiała, że uznał, iż chciała umyć zęby przed pieszczotami.

Na miękkich nogach ruszyła do drzwi. Gdy tylko się za nią zamknęły, Tara przebiegła przez korytarz i wciągnęła ją do łazienki.

— Co ty wyprawiasz?! — zapytała histerycznym szeptem.

— Nie wiem. — Na twarzy Katherine pojawiła się panika.

— Pozwól sobie przypomnieć, że w sobotę nawet nie pamiętał twojego imienia, a nadal nie pamięta nazwiska. Gdyby pamiętał, zdobyłby twój telefon w informacji. Dlaczego przyszedł tak późno? Gdzie był wcześniej? Nie mów mi, że w pracy. Amy mówiła, że nie pracuje. — Od dwudziestu minut Tara bardzo się niepokoiła, a teraz wszystkie jej zmartwienia wy dostały się na powierzchnię. — Skoro mowa o Amy...

— Rozstali się — wymamrotała Katherine. — Powiedział mi.

— Uwierzyłaś mu? Boże, musiał się nieźle naprzeczasać.

Katherine zawahała się przez sekundę, ale to wystarczyło.

— O nie — sapnęła Tara. — Chcesz powiedzieć, że nie przeprosił? Cholera!

Katherine była blada jak papier.

— To znaczy... Myślałam... — Jakkolwiek by na to patrzeć, nie dało się tego usprawiedliwić. Tara miała rację.

Lorcan nie przeprosił — a ona zamierzała pozwolić mu się pocałować, i to bez protestów. Jak to się, do cholery, stało?! To ona miała kontrolować sytuację, nie on. Była jednak równie bezradna i upokorzona jak wtedy, gdy wychodził z pubu ponad dwanaście lat temu. Z jego urodą i gadką tak bardzo namieszał w jej uczuciach, że nie potrafiła rozsądnie myśleć. Zupełnie jak kiedyś.

— Przepraszam, że jestem taka okrutna, Katherine, ale ty postępowałaś identycznie. Robiłaś to samo w te wszystkie noce, kiedy nie pozwalałaś mi pojechać do Thomasa.

— To co innego — powiedziała bez przekonania.

Z dala od Lorcana rozjaśniało jej się w głowie. Czuła się poniżona i nic niewarta, tak łatwo zamierzała skapitulować.

— Lorcan Larkin to wstrętny skurwiel — upierała się Tara.

— Wystarczy popatrzeć, jak traktuje swoją dziewczynę. Katherine, pomyśl, błagam cię, tylko pomyśl o tym, co ci zrobił. Zrobi to znowu. To była twoja największa pomyłka w życiu.

— Ale jego lubiłam najbardziej.

— To kutafon. Nie rozumiem, po co go w ogóle wpuściłaś. Przyznaję, że jest bardzo przystojny i że pewnie nadal ci się podoba, ale po tym wszystkim, co ci zrobił!

— Myślałam, że kiedy znów go zobaczę, zdołam naprawić przeszłość. — Coraz trudniej było jej się bronić. — Moje życie to katastrofa, a wszystko zaczęło się od niego. Myślałam, że jeśli on będzie dla mnie miły albo ja dla niego okropna, to w końcu poczuję się lepiej.

— Twoje życie nie jest katastrofą! — wykrzyknęła Tara.

— Przeszłość się naprawiła, nie widzisz? W twojej głowie nic się nie zmieniło od chwili, w której Lorcan cię kopnął, ale zobacz siebie moimi oczyma. Masz dobrą pracę, piękny samochód, wspaniałych przyjaciół, ale przede wszystkim masz udany związek. Twój związek z Joe jest udany! Chodzisz z nim od pięciu miesięcy. On za tobą szaleje. Ty szalejesz za nim. Udało się. To sukces.

— Prędzej czy później mnie zostawi — powiedziała ze smutkiem. — Zawsze tak robią.

— Nie on. Ten etap macie już za sobą. On cię zna.

— Dlaczego teraz jest inaczej? Tara gorączkowo szukała powodu.

— Może ze względu na Fintana — zaryzykowała ze strachem. — Tak bardzo się o niego martwiłaś, że nie miałaś czasu na neurotyczne zachowanie.

Był to cios na ślepo, lecz ku jej zdumieniu Katherine powoli pokiwała głową.

— Jezu, może i masz rację. — Usiadła na brzegu wanny. — Boże, myślę, że masz rację.

— Jeśli nie weźmiesz się szybko w garść i nie skończysz tego szaleństwa z Lorcanem, stracisz Joe.

— Stracę Joe — powtórzyła Katherine i myśl o tym, że zostanie bez niego, wytrąciła ją z równowagi. Nie mogła tego znieść.

Natychmiast pojawiły się wspomnienia. Wieczór, w którym ona i Joe usiłowali naprędce przyrządzić kolację i niemal podpalili jego kuchnię; wszystkie godziny, które Joe bez narzekania poświęcał Fintanowi; siłowanie na rękę, w którym pozwalał jej wygrać; nagrywanie *Ally McBeal* bez proszenia; kupno szminki Mac w niemal odpowiednim kolorze; naleganie, że naprawi jej samochód, gdy zepsuł się po raz n-ty; bezwarunkowa akceptacja, gdy powiedziała mu o swoim ojcu. Bliskość. Pomyślała o tym, jak pocieszała Joe, gdy Arsenal przegrał pięć do zera z Chelsea; o nowych skarpetkach z Wallace'em i Gromitem, które mu kupiła, bo stare mu się przetarły; o maśle z orzeszkami nerkowca, które wy-

szukała w sklepie i trzymała w szufladzie, bo kiedyś wspomniał, że je lubi; o wysiłku związanym z nauczeniem się, o co chodzi w pierwszej lidze, tylko po to, żeby mu sprawić przyjemność; o tym, że nie miała mu za złe, gdy nie poradził sobie z samochodem i musieli oddać go do mechanika Lionela, który stwierdził, że Joe jeszcze dodatkowo napsuł.

Zanim poznała Joe, jej życie przypominało zimną, czystą kartkę, a teraz pełno w nim było hipnotycznych, ja-skrawych kolorów. Nie mogła wrócić do poprzedniego stanu, to by ją zabiło. Zdumiona zrozumiała, jak daleko zaszła, jak wiele zmieniła, jak pełna i bogata była terazniejszość.

I pomyśleć, że gotowa była to wszystko odrzucić dla mężczyzny, który z zadowoleniem i bez wysiłku by ją zniszczył.

Czuła się jak po przebudzeniu ze snu. Ze snu, gdzie najdziwniejsze rzeczy wydawały się sensowne. Tylko że na jawie okazywały się zupełnie nielogiczne i idiotyczne.

— Wiesz co, Tara? — W jej oczach kryło się zdumienie. — Myślę, że masz rację. To prawdziwe uczucie, z Joe. Nie wyobraziłam sobie tego, prawda? Udało się? Zależy mu na mnie? Muszę do niego zadzwonić.

— Hm — odchrząknęła Tara i wskazała głową salon. — Pozostaje kwestia jednego rudzielca, który czeka, aż go obsłużysz.

— Co mam z nim zrobić? Mogłabyś się nim zająć zamiast mnie?

— Nie dotknęłabym go nawet bosakiem. Spław go.

— Tylko tyle? Mimo że mnie zapłodnił, a potem zostawił? — Rozradowana z poczucia wolności spytała: — Mogę mu popsuć humor? Troszeczkę?

Tara zastanowiła się nad tym niechętnie.

— No dobrze, ale bądź bardzo ostrożna. Bliski kontakt z tym mężczyzną miesza w głowie. Jeśli nie skończysz w ciągu pięciu minut, pójdę po ciebie.

Katherine nawet nie musiała myśleć o tym, co powie. Przecwiczyła to już dziewięć milionów razy. Kręcąc biodrami, wróciła do salonu.

— Na czym stanęliśmy? — spytała uwodzicielsko Lorcana.

— Na tym. — Przejechał wielką dłonią po jej włosach i przyciągnął ją do siebie.

Dotknął jej warg ustami, ale zanim pogłębił pocałunek, odsunęła się.

— Nie. — Wysunęła się z jego objęć.

— Nie? — wykrztusił.

— Przepraszam. — Westchnęła z żalem. — Po prostu mi się nie podobasz.

— Co...

— Nie jesteś taki jak kiedyś. I wiesz co? — Popatrzyła na niego i ujrzała, że nie skłamię. — Włosy ci wypadają. Zrobił się biały jak kreda.

— To ma coś wspólnego z tą lesbą, twoją przyjaciółką, prawda? — spytał ze złością. — Miałeś ochotę, zanim poszłaś do łazienki.

— Nie miałam, i nie ma to nic wspólnego z niczym poza twoim brakiem seksapilu. — Uśmiechnęła się z wdziękiem. — Wybacz!

— Ty kłamliwa dziwko.

— Nie mów tak do mnie. — Jej głos zlodowaciał. — Jak śmiesz.

Posłała mu stopień trzeci, a on doznał nieoczekiwanego szoku. Zachowywała się jak zwierzę!

— Jak śmiesz traktować mnie tak, jak tyle lat temu?

Teraz posłała mu stopień czwarty, aż zabrakło mu oddechu.

Jak szalone zwierzę. Nienormalne. Wściekle!

— Jak śmiesz wracać tu i zachowywać się tak, jakbyś nic złego nie zrobił? Jak śmiesz?

Nabrała powietrza w płuca, mając nadzieję, że sobie poradzi: już wyszła z wprawy. Zaciśnęła zęby i z szalonym wysiłkiem rzuciła mu spojrzenie meduzy. Jego przerażona mina powiedziała jej, że trafiła w sedno.

Oślupiał ze strachu. Była zła. Zła.

— Idę — powiedział.

— Tak sobie myślałam, że coś śmierdzi.

— Dziwka — mruknął.

Minął Tarę, która siedziała w przedpokoju niczym pies stróżujący.

— Dziwka — mruknął ponownie.

— Kutas — odparła radośnie.

Roger z mieszkania piętro niżej niemal dostał ataku serca, kiedy Lorcan trzasnął drzwiami.

Tara i Katherine wpatrywały się w siebie. Katherine nie wiedziała, jak zareagować, dopóki Tara nie wybuchnęła szczerym śmiechem. Katherine poszła w jej ślady.

— Tak się cieszę — wybełkotała — że posłużyłam się spojrzeniem meduzy. Zawsze robiłam to w myślach.

— Bardzo dobrze. Zadzwonisz do Joe czy pojedziesz?

— Myślisz, że powinnam darować mu Angie?

— Katherine!

— Dobrze, dobrze, już darowałam.

79

Lorcan wędrował po zimnej i ciemnej ulicy, napędzany świętoszkowatą wściekłością. Co za bezczelna baba! Jak śmiała? Uderzył do niej tylko dlatego, żeby się odegrać na tym śliczniutkim Joe Rocie i z nudów. Inaczej w życiu by się tam nie pokazał.

Chyba nie brał jej pod uwagę jako następczyni Amy, prawda? Jasne, że nie. No dobrze, musiał przyznać, że wyglądała nieźle, nadawałaby się na szybkie rżnięcie i interesowało go, co się stało z ich dzieckiem. Która kobieta chciałaby usunąć własne dziecko? Gorzej, która kobieta chciałaby usunąć jego dziecko? Była zwyczajnie nienormalna.

Na szczęście dla siebie Lorcan zapomniał, że jeśli chodzi o antykoncepcję, jest wyznawcą unikania myślenia o konsekwencjach, i dziarsko pomaszerował w mrok.

Obok ryknęła ghia karmann w kolorze niebieski metalik. Lorcan potrafił docenić dobre auto. Kiedy rozpoznał za kierownicą Katherine, ujrzał, że ze śmiechem pokazywała mu środkowy palec!

Co się działo?

Do czego zmierzał ten świat?

Powlókł się przed siebie, a szok spowodowany odrzuceniem przez Katherine atakował go ze świeżą werwą. Do-
tąd nigdy się to nie zdarzyło. Naprawdę nigdy. Miał trzydzieści dziewięć lat i odkąd pamiętał, żadna kobieta go nie od-
rzuciła. Zdumiony, zdenerwowany, przejechał rękami po włosach, usiłując się uspokoić. Nagle zachwiał się i potknął,
kiedy w świetle ulicznej latarni ujrzał, że między palcami zaplątało mu się mnóstwo rudych włosów. Jezu Chryste! Po-
ważnie, Jezu Chryste!

Jakaś kobieta właśnie kazała mu spadać. Włosy go zdradziły. Nie miał pracy. Nagle jego gniewna energia gdzieś się ulotniła, poczuł się strasznie stary. Stary, zdenerwowany i niedostosowany. Obrzydliwy, wyczerpany, przybity.

Nagle pomyślał o Amy. Słodkiej Amy. Cierpliwej, łagodnej, lojalnej Amy. Ona go nie odrzuci. Powita go z otwartymi ramionami, pocieszy, podniesie jego morale. Co on sobie myślał, kiedy uznał, że czas podarować jej wolność? Chyba zwariował.

Ruszył ku jej mieszkaniu. Chyba oszalał, że zaczynał z Katherine, I ta dziewczyna Deedee, wcześniej tego samego wieczoru. Amy była o wiele ładniejsza. Właściwie, skoro o tym pomyślał, może... może... może kochał Amy.

Zaczął iść jeszcze szybciej, żałując, że nie ma pieniędzy na taksówkę. Nagle bardzo zapragnął natychmiast spotkać się z Amy, powiedzieć jej, jak się czuł. Pomyślał, że nigdy więcej się nie ożeni. Pragnął jednak bezpiecznej przystani z Amy, miejsca, w którym mógłby złożyć swoją zmęczoną (łysiejącą) głowę. Może nawet mieć dwójkę dzieci. Zrezygnować z aktorstwa, to robota dla głupich, pełna płytkich egoistów. Znaleźć porządną pracę. Przyzwoitą pracę za przyzwoite pieniądze.

Na pustej ulicy pojawiła się wolna taksówka. Lorcan z radością na nią zamachał. Amy zapłaci.

Kiedy taksówka zatrzymała się przed jej mieszkaniem, Lorcan powiedział do kierowcy:

— Minutkę. Muszę wziąć pieniądze od dziewczyny.

— Proszę zostawić kurtkę w zastaw.

— To potrwa tylko chwilę.

— Kurtka zostaje.

— No dobra.

Amy otworzyła drzwi po trzecim dzwonku. Była owinięta ręcznikiem, najwyraźniej spała.

— O, cześć — powiedziała bezbarwnym głosem.

— Cześć. — Obdarzył ją uśmiechem. Nie mógł przestać się cieszyć, taki był zadowolony, że ją widzi, swoją ukochaną, swojego anioła, kobietę, którą kochał.

Nie ruszyła się, więc wciąż rozpromieniony machnął ręką:

— Mogę wejść?

— Nie.

— Skarbie, tak mi przykro. Za tamten wieczór, za tę Katherine. Tylko żartowałem, flirtowałem. Wiesz, jaki jestem. — Posłał jej smutny uśmiech pod tytułem: „Nic na to nie poradzę”.

— Wiem, jaki jesteś — przytaknęła. — Benjy mi powiedział.

Benjy stał tuż za nią.

— Cześć, stary — stwierdził z roztargnieniem Lorcan, a następnie znowu skoncentrował się na Amy. — Musimy pogadać. — Jego uśmiech niósł w sobie obietnicę. — Możesz, jak to mówią, czegoś się nauczyć. — Z irytacją zauważył, że Benjy nadal pęta się w korytarzu, więc zmarszczył brwi, jakby chciał powiedzieć: „Spieprzaj i zostaw nas samych”. — Amy i ja mamy sobie coś do powiedzenia — oznajmił znacząco.

Kiedy Benjy się nie ruszył, Lorcan ponownie zmarszczył brwi.

— Mógłbyś, stary?

Właśnie wtedy zauważył, że coś jest nie tak. Minęła druga w nocy. Co Benjy robił u Amy? Dlaczego oboje mieli na sobie ręczniki? Co tu się działo?

— Kochamy się — oznajmił Benjy.

Z płuc Lorcana wydobył się pozbawiony radości śmiech.

— Wiem, że ty się w niej kochasz — parsknął. — Zawsze tak było. Ale ona jest moja.

— Nie jestem — odparła. — Jestem Benjy'ego.

Mięśnie na twarzy Lorcana drżały, zwęzły się, rozciągały, wydłużały i skracały niczym miech akordeonu. Nie wiedział, czy śmiać się, czy płakać, prychać czy wypytywać.

— Kocham cię, Amy — wykrztusił w końcu.

— A ja kocham Benjy'ego — odparła.

Nie kochała Benjy'ego. Lubiła go i uznała, że może kiedyś go pokocha. Lorcan tak strasznie ją poranił, że nie chciała już dłużej z nim być. Teraz potrzebowała spokojnego życia z człowiekiem wielbiącym ziemię, po której stąpała. Benjy poprzysiągł, że zawsze będzie jej wierny i w niej zakochany.

— Nie wszyscy mężczyźni to skurwysyny — zapewnił ją.

— Ja taki nie jestem.

Uwierzyła mu.

Był zbyt brzydki, by kłamać.

— Czy wy... — wykrztusił Lorcan, przenosząc wzrok z Benjy'ego na Amy i z powrotem. — Czy wy to zrobiliście?

— O tak. — Oboje pokiwali głowami.

— Nie wierzę. — Tylko tyle zdołał z siebie wydusić.

— Nie przejmuj się — powiedziała. — Z czasem uwierzysz.

— Kutas z ciebie, nie przyjaciel. — Lorcan odwrócił się do Benjy'ego. — Po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłem. Po tych wszystkich radach, jak zdobyć dziewczynę, tak mi się odpłacasz. Miło z twojej strony, gnoju jeden.

— Twoje rady były do niczego. Wcale ich nie potrzebowałem — odparł z dumą Benjy. — Wystarczy mi moja prawdziwa miłość do Amy.

Amy zaczęła zamykać drzwi, a Lorcan uświadomił sobie w panice, że ma jeszcze jeden problem.

— Ej! — krzyknął. — Możesz mi pożyczyć pięć funtów na taksówkę?

— Nie.

Drzwi zamknęły mu się przed nosem.

Taksówkarza kilkakrotnie okradziono, więc teraz, w oczekiwaniu na podobną ewentualność, trzymał pod siedzeniem młotek. Nie bał się go użyć.

Lorcan Larkin był nie tylko ugotowany: podano go na talerzu, zjedzono, resztki włożono do lodówki, następnego dnia zrobiono z nich kanapki, jeszcze następnego gulasz, potem dodano curry, a pod koniec tygodnia przerobiono na żarcie dla psów.

W mieszkaniu w Battersea Joe Roth otworzył drzwi i ujrzał w nich Katherine.

— Cześć — powiedziała. — Przepraszam, że przyszłam tak późno, ale mogę ci coś opowiedzieć?

Epilog

W restauracji z chromu i szkła na Camden chuda recepcjonistka przejechała fioletowym paznokciem po książce rezerwacji i mruknęła:

— Casey, Casey, gdzie się podziałas? O jest, stolik dwanaście. Przyszła pani...

— Pierwsza! — skończyła za nią Katherine.

— Nie, chciałam powiedzieć, że to stolik pod oknem. Niektórzy pani znajomi już tam są.

Joe i Katherine popędzili do Tary, Liv i Mila.

— Przepraszamy za spóźnienie — powiedziała Katherine. — Problem z fryzurą. Tak czy owak, wszystkiego najlepszego, Tara!

— Co może być najlepszego w dniu urodzin? — spytała opryskliwe Tara. — Jak się czułas na swoich trzydziestych drugich urodzinach?

— Wyjątkowo szczęśliwa. — Katherine uśmiechnęła się do Joe.

— Ja też — dodała Liv.

— Ja swoich nie pamiętam, minęło zbyt dużo czasu — stwierdził Milo. — Mówili mi jednak, że byłem zadowolony.

— Jak się ma ciężarna? — spytała Katherine.

— Dobrze — odparł z dumą Milo. — W większość poranków rzyga jak w *Egzorcycie*, ale do lunchu jej przechodzi.

Liv uśmiechnęła się wyrozumiale niczym matka ziemia i po matczynemu złożyła ręce na podolku, mimo że była dopiero w dziewiątym tygodniu ciąży, a brzuch miała płaski jak deska. Promieniała dobrym samopoczuciem.

— Dobrze się czujesz? — spytał ją z niepokojem Milo. — Chcesz poduszkę pod plecy? Czy już ci przeszła chęć na zjadanie gazet?

— Gazet?

— Wczoraj zjadłam stronę z programem telewizyjnym — przyznała wstydliwie Liv. — Był zły.

— Nie mów tak — upomniął ją łagodnie Milo. — Nie byłem zły. Powiedziałem tylko: „Następnym razem zjedz strony o gospodarce...”. O, idą Fintan i Sandro.

Wśród siedzących pojawiło się napięcie. Minęły trzy miesiące, od kiedy Fintan zakończył chemioterapię, i tego popołudnia miał pierwszą wizytę u onkologa. Wszyscy liczyli na to, że wyniki okażą się pomyślne.

Jego przejście przez salę obserwował personel i większość klientów. Wysoki, spięty, podpierał się laską. Jego czaszka porośnięta była złocistym puchem. Miał włosy jak niemowlę — JaneAnn uważała, że urodził się blondynem.

— AIDS — szeptali piątkowi goście i znacząco kiwali do siebie głowami. — Bez wątplenia AIDS.

— Może to alopecja.

— Nie, spójrz, jaki jest chudy. Zakład, że ten drugi to jego chłopak. Dycha, że ma AIDS.

Sandro prowadził Fintana za łokieć. Obaj mężczyźni się uśmiechali. Czy to oznaczało, że mieli dobre wieści?

— Wszystkiego najlepszego! — Uściskali Tarę. — Wiem, że to dopiero jutro, ale wszystkiego najlepszego.

— Nieważne. Mów, co powiedział onkolog.

— Zakłada, że dotrwam do końca wieczoru.

— Nie, poważnie. Jakie są prognozy?

— Prognoza długodystansowa głosi, że umrę. — Widząc wokół przerażone twarze, Fintan wybuchnął śmiechem.

— Wszyscy umrzemy.

Jego śmiech był jednak pogodny, nie zgorzkniały.

— Ale rak, no wiesz, zniknął? — spytał z niepokojem Milo.

— Chwilowo dobrze się zachowuje. Ukrył się. Trzyma się z boku. Ból podpowiada mi jednak, że może wrócić. Nie na pewno, ale może.

— Ale niekoniecznie — podkreślił Sandro.

— Pożyjemy, zobaczymy — zgodził się Fintan. — Wciąż myślę, że to moja ostatnia szansa, ale nie jest tak źle. Tara popatrzyła na Fintana.

— Nie przeszkadza ci niepewność? — usłyszała swój głos. Te słowa wydostały się z jej ust, zanim nad nimi pomyślała.

Chwilę później miała ochotę zastrzelić się za brak taktu. Fintan jednak uśmiechnął się, a ten uśmiech przepelniony był lekkością, życiem i zadowoleniem.

— Nie. — A następnie zdumiał ją pytaniem: — A tobie?

— Co mnie?

— Nie przeszkadza niepewność?

Otworzyła usta, by zaprotestować, że w jej życiu nie ma niepewności, ale po chwili przygryzła wargę. Tak łatwo było zapomnieć o wszystkim, czego nauczyła się przez ostatni rok.

— Nie. — Uśmiechnęła się. — Tak naprawdę jestem zadowolona. Kiedy o tym myślę, wszystko staje się bardziej — tylko się nie śmiejcie — cenne.

— A kto się śmieje?

— To trzeba uczcić — oznajmił Joe.

— Powiedz mi, Tara — zaczął z zainteresowaniem Fintan — jak ci poszła randka z tym... Jak mu na imię? Ciągle zapominam. Z Garethem?

— Tak, z Garethem. Ujmijmy to w ten sposób — chwilowo możecie się wstrzymać z kupowaniem ślubnych ściereczek.

— Katastrofa?

— Niezupełnie. Tylko brakuje mu poczucia humoru.

— Co takiego?

— Gareth — westchnęła ciężko — to facet, który zabierze cię na wakacje do dżungli, żeby móc wskazać na okno i oznajmić: „Tam jest dżungla”. Rozumiecie, o co mi chodzi?

— Wszystko w życiu ma swoje dobre i złe strony — pokiwała głową Katherine.

— Tak, a obecnie w moim życiu toczy się między nimi bitwa.

— Przynajmniej dobrze się bawisz.

— Żebyś wiedziała.

— A kiedy ci się znudzi, zawsze możesz się ustatkować przy swoim oddanym Ravim.

— Jezusie, Maryjo, przestańcie! Dajcie spokój Raviemu, dobra?

Zapadła cisza, po czym Milo wymamrotał:

— Po mojemu za bardzo się stawia.

— Po mojemu też — skinął głową Joe.

— I po mojemu — zgodziła się Katherine.

— Mówcie po angielsku — poprosiła Liv.

— Dobrze, dobrze — poddała się Tara. — Niech będzie, jak chcecie. Szaleję za Ravim i zaraz za niego wyjdę.

— To mnie nie dziwi — stwierdził łagodnie Fintan.

— Dajcie spokój! Jestem gotowa na prezenty, panie De Mille. Mam nadzieję, że wszyscy pamiętaliście, że mebluję nowe mieszkanie i zmęczyło mnie już podgrzewanie wody w rondlu oraz spanie na zniszczonej sofie.

— Od miesiąca o niczym innym nie słyszymy.

— Znakomicie. Które z was kupiło mi łóżko?

— Czyżby ja? — spytał z niepokojem Fintan. — Muszę odpracować jeszcze miesiąc, zanim mi zapłacą, i zatrudniono mnie na pół etatu, więc dostaję tylko połowę wynagrodzenia.

Tara podała mu paczkę.

— Nie, dałeś mi to. Zobaczysz, przyjdzie dzień, w którym Cannella Garcia doczołga się do ciebie na kolanach i będzie cię błagała o powrót — powiedziała z rozmarzeniem.

— Jasne, ale teraz wszystko mi jedno. — Fintan rozdarł papier. — Życzę jej wszystkiego dobrego. Co to? Obrus ze skóry rekina?

— To zasłona prysznicowa.

— Jak miło. Wszystkiego najlepszego, laleczko. Przyjmujesz kupony rabatowe?

Kiedy Tara wdychała i wydziwiała nad nowym czajnikiem, nadmuchiwanym pufem, szafką na kompakty w kształcie żyrafy, talonem do Aero i zasłoną prysznicową, Fintan spytał:

— Przepraszam, że się wtrącam, ale czy Ravi dał ci prezent na urodziny?

— Tak — odpowiedziała po chwili zakłopotana Tara.

— Mogę spytać, co takiego?

— Właściwie... — Zakłopotanie Tary ustąpiło entuzjazmowi. — Coś fantastycznego. Wiecie, od jak dawna szukam nieścieralnej szminki?

Wszyscy pokiwali głowami z lekkim znużeniem.

— Ravi wyszukał fantastyczną rzecz zwaną Lipcote, nakłada się ją na szminkę. To bezbarwny płyn, wysycha przez minutę, a potem nawet wojna światowa nie zaszkodzi szmince. I wiecie co? To działa. Działa jak cholera. Patrzcie.

— Podniosła gin z tonikiem i powiedziała: — Patrzcie, jak przyciskam usta do szklanki. Mocno ją pocałuję. Widzicie, ani śladu szminki... no, może odrobina. Czy to nie zadziwiające?

— Zadziwiające.

Pojawił się szampan. Joe go otworzył, a Fintan i Sandro zaczęli chichotać i trącać się, gdy wypłynęła biała piana.

— Przykro mi, Liv, ty nie dostaniesz. — Katherine rozlała szampana do sześciu kieliszków.

— Musimy wznieść toast.

— Za Fintana — zaproponowała Tara.

— Nie, za Tarę, to jej urodziny — odparł wspaniałomyślnie Fintan.

— Nie, za coś bardziej wartościowego — zaprotestowała.

— Za co?

— Za życie. — Liv podniosła szklankę z mlekiem.

— Dobry toast — zgodzili się inni i złapali za kieliszki.

— I facetów z dużymi fiutkami — mruknął Fintan.

— Jeszcze lepszy.

— Za życie! — Szkło szczęknięło, a siedem głosów dodało: — I facetów z dużymi fiutkami!